

NELSON DEMILLE SPENCERVILLE

Pragnę podziękować trzem zaprzyjaźnionym autorom za to, że podzielili się ze mną swoim doświadczeniem: Peterowi Earleyowi, człowiekowi, który zna wszelkie tajemnice Waszyngtonu, Tomowi Blo-ckowi, kapitanowi sil powietrznych, oraz Johnowi Wastermannowi, prawnikowi wojskowemu i pisarzowi.

Dziękuję także moim przyjaciołom, Ałowi i Carol Schadom oraz Mike'owi i Melindzie Myersom, za pomoc przy poszukiwaniu informacji koniecznych do napisania tej książki, a także za ich gościnność.

I wreszcie, równie serdeczne podziękowania dla pierwszych czytelników tej książki: mojej asystentki Pam Carletta, mojego agenta Nicka Ellisona, mojej redaktorki i wydawcy Nancy Neiman, oraz — oczywiście — stanowej mistrzyni języka angielskiego, cierplivej żony i dobrej przyjaciółki, Ginny DeMille.

Od autora

Cała ta książka jest wytworem wyobraźni i chociaż w stanie Ohio istnieje miasto noszące nazwę Spencerville, ani nie wygląda ono tak jak miasto, które opisałem, ani zamieszkujący je ludzie nie mają nic wspólnego z bohaterami opisaną przeze mnie historii.

*Nie ustajemy w poszukiwaniach
A kresem wszelkich naszych poszukiwań
Będzie dojscie do punktu wyjścia
I poznanie tego miejsca po raz pierwszy.*

T. S. Eliot
Little Gidding
W tłumaczeniu Krzysztofa Bączkowskiego
Wybór poezji, PIW 1988

ROZDZIAŁ PIERWSZY

K

Keith Landry wracał do domu po dwudziestu pięciu latach spędzonych na froncie. Jechał saabem 900. Skręcił z Pennsylvania Avenue w Constitution, w kierunku Wirginii. Ponad Potomakiem przejechał mostem Theodore'a Roosevelta. W lusterku wstecznym dostrzegł kątem oka pomnik Lincolna, pomachał mu i skierował się dalej na zachód drogą 66, przez cały czas oddalając się od Waszyngtonu.

Zachodnie Ohio, ósma wieczór, połowa sierpnia i — co Keith Landry teraz zauważył — dzięki przejściu na czas letni słońce nadal jakieś piętnaście stopni ponad horyzontem. Już prawie zapomniał, jak jasno bywa tutaj, na końcu wschodniej strefy czasowej, bo nie pamiętał, że jego kraj jest taki wielki.

Jazda prostą równinną drogą nie wymagała skupienia, więc Landry pozwolił sobie na myślenie o sprawach, które dotąd odkładał na taką właśnie wolną chwilę. Zimna wojna skończyła się, co samo w sobie było dobre. Ale wielu walczących na jej frontach zostało zwolnionych, a to już nie było zachwycające, przynajmniej dla Keitha Landry'ego.

Bóg nareszcie zmiłował się, myślał Landry, i swym wszechmocnym oddechem odesłał w niebyt groźbę atomowego armagedonu, która wisiała nad tą planetą prawie pół wieku. Cieszymy się. Jesteśmy uratowani.

Z radością przekuję mój miecz na lemiesz lub siekierkę, a dziewięć-ciomilimetrowego glocka na przycisk do papieru, pomyślał. No, może nie z radością, ale ostatecznie jaki mam wybór?

Zimna wojna, która przez jakiś czas była najlepiej prosperującym interesem, okazała się ślepym zaułkiem i pozostawiła armię specjalistów, techników i urzędników szukających innych możliwości. Landry wiedział, że była to najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się ludzkości, odkąd maszyna drukarska Gutenberga pozbawiła pracy rzesze zakonników. Jeśli jednak zaczynał traktować sprawę osobiście, czuł głęboką irytację na rząd, który mu zabrał dwadzieścia pięć lat życia, ale nie doprowadził do pokoju pięć lat później, kiedy już należałoby mu się pełna emerytura.

Ale co tam. Waszyngton był dwa dni drogi i sześćset mil za nim. To był trzeci dzień jego życia numer dwa. Ten, kto twierdzi, że życie w Ameryce nie składa się z dwóch aktów, nigdy nie pracował dla rządu.

Przez chwilę nucił pod nosem *Drogę do domu*, ale nie podobał mu się własny głos i włączył radio. Odezwała się miejscowa stacja, wysłuchał więc raportu z targu, potem informacji o spotkaniach kościelnych, pikniku weteranów wojny wietnamskiej i tak dalej, a następnie dowiedział się, ile kosztuje żywiec oraz gdzie najlepiej w tej okolicy biorą ryby, i zapoznał ze szczegółową prognozą pogody. W południowej Indianie szalały tornada. Landry wyłączył radio, wciąż nie mógł pozbyć się myśli, że dwadzieścia pięć lat temu wysłuchał identycznych wiadomości.

Jednakże w ciągu tych lat jemu przydarzyło się wiele rzeczy, w większości niebezpiecznych. Teraz był bezpieczny i żywy, ale przez ostatnie ćwierćwiecze czuł się, jakby jedną nogą stał w grobie, a drugą na skórcie od banana. Uśmiechnął się. *Droga do domu*.

Musiał przyznać, że targaly nim sprzeczne uczucia; musiał sobie wszystko w głowie uporządkować. Dwa tygodnie temu znajdował się w Belgradzie i wymieniał groźby z ministrem obrony, a dzisiaj jechał przez Ohio i słuchał brzęczącego głosu, spekulującego na temat cen wieprzków. Był bezpieczny, to prawda, lecz wcale nie czuł się najlepiej.

Landry poprawił się na fotelu i skupił na prowadzeniu. Jazda pustą drogą sprawiała mu przyjemność, a saab płynął po szosie jak na skrzydłach. Kiedy mijał miasteczka i osady zachodniego Ohio, nie zwykły kształt samochodu zwracał uwagę i przyciągał zaciekawione spojrzenia. Pomyślał, że kiedy już zamieszka w Spencerville, powinien wymienić samochód na mniej ekstrawagancki.

Pola kukurydzy, urozmaicone tu i ówdzie spłachetkami soi, jęczmienia lub lucerny, ciągnęły się aż po horyzont, gdzie spotykały się z błękitem nieba. Kukurydza. Pastewna, na paszę dla świń i słodka, na ludzkie stoły. Kukurydza. Syrop kukurydziany, płatki kukurydziane, skrobia kukurydziana, kukurydza, kukurydza i jeszcze raz kukurydza, która pasie i tak już niezłe upasiony naród. W czasie minionych lat Landry często bywał na terenach, gdzie panował głód, może więc dlatego widok takiej szczodrości ziemi kojarzył mu się z nadmiarem.

— Bursztynowe fale ziarna — powiedział na głos. Zauważył, że zbiory zapowiadały się dobrze. Nie żeby go to specjalnie interesowało, ale przez osiemnaście lat słuchał, jak wszyscy wokół rozmawiają o zbiorach, więc

nieświadomie zwracał na nie uwagę, gdziekolwiek się znalazł: w Rosji, Chinach, Somalii, i teraz, po zatoczeniu pełnego okręgu, kiedy wracał do zachodniego Ohio.

Landry zobaczył tablicę informującą, że wjeżdża właśnie do miasta Spencerville. Wziął zakręt bez hamowania. Jadący za nim ford taurus spróbował tej samej sztuczki, ale ze znacznie gorszym efektem.

Na horyzoncie ujrzał wieżę ciśnień i silosy, a po chwili dostrzegł wieżę zegarową na budynku sądu hrabstwa Spencer. Była to budowla w stylu wiktoriańsko-gotyckim, z czerwonej cegły i piaskowca, a wzniesiono ją na cześć wkraczania w wiek dwudziesty. Kiedy stawiano ten budynek, musiał wydawać się czymś wspaniałym, pomyślał Landry, a teraz przynajmniej pozostał ślad, że hrabstwo Spencer kiedyś kwitło i miało tyle ludności, że mogło sobie pozwolić na gmach zbudowany z takim rozmachem.

Landry podjechał bliżej; stąd dostrzegał już dziesięć kościołów, a właściwie ich iglice, odbijające światło zachodzącego słońca.

Nie wjechał do centrum miasta, tylko skręcił w wąską wiejską drogę. Znak drogowy przypomniał mu, że należy tu uważać na wolno poruszające się pojazdy rolnicze, dlatego zdjął nogę z gazu. Po piętnastu minutach ujrzał czerwoną stodołę na farmie rodziny Landrych.

Nigdy wcześniej nie jechał do domu samochodem z tak daleka. Zazwyczaj przylatywał do Toledo lub Columbus i tam wynajmował auto. Jazda z Dystryktu Kolumbii wydała mu się interesująca, mimo że nic się właściwie po drodze nie wydarzyło. Poza samym krajobrazem interesujące było to, że nie bardzo wiedział, dlaczego właściwie chce zamieszkać w Spencerville po tylu latach nieobecności, a także to, że nie musiał się spieszyć, ponieważ nie czekały go tego dnia żadne spotkania. Interesujące było też obce uczucie braku kontaktu z ludźmi, którzy dotychczas musieli zawsze znać miejsce jego pobytu i wiedzieć, czy żyje, jest martwy, porwany, w więzieniu, ucieka czy może wybrał się na wakacje. Interesujący wydawał mu się nawet widok zwisającego drutu w samochodzie, w miejscu, gdzie kiedyś był przyczepiony rządowy telefon. Zgodnie z ustawą o bezpieczeństwie narodowym miał trzydzieści dni na powiadomienie o swoim nowym miejscu pobytu. Co prawda chcieli, by podał je już im w Waszyngtonie, ale on — po raz pierwszy wypróbując swoje prawa cywila — powiedział im, i to dość dosadnie, że nie wie, gdzie się wybiera. Odjechał, ale nie został zapomniany. Warunki spowodowały, że musiał opuścić służbę, jednak zainteresowanie zwierzchników jego osobą nie minęło.

Przejeżdżając obok rzędu skrzynek na listy, zauważył, że na tej z nazwiskiem Landry czerwona chorągiewka jest opuszczona. Tak było już od pięciu lat.

Skręcił w zachwaszczoną drogę żwirową.

Dom był w stylu wiktoriańskim, z białą oszalowanymi ścianami, z werandą i tandetnymi ornamentami, zbudowany w 1889 roku przez pradiadka Landry'ego. To był ich trzeci dom rodzinny, jeśli za pierwszy uznać chatę postawioną w roku 1820, kiedy osuszano bagna — Great Black Swamp i pozbywano się ich mieszkańców. Drugi dom został zbudowany jakoś tak w czasie wojny secesyjnej, Landry widział

tylko jego zdjęcie. Mały, kryty gontem, bez żadnych werand czy ozdób. Zgodnie z ludową mądrością, im lepiej wygląda dom, tym bardziej mąż siedzi pod pantoflem żony. Najwyraźniej pradiadek Cyrus miał niewielki kontakt z obuwem swojej małżonki.

Podprowadził saaba pod werandę. Zachodzące słońce nadal nieźle grzało, ale było przy tym bardzo sucho — duża odmiana po waszyngtońskiej łaźni.

Zapatrzył się na dom. Na werandzie nie pojawił się nikt, by go przywitać. Nikogo takiego po prostu nie było. Jego rodzice pięć lat temu przeszli na emeryturę i przenieśli się na Florydę. Niezameżna siostra, Barbara, wyjechała do Cleveland, by wypełnić swe życie pracą jako szefowa firmy reklamowej. Brat, Paul, był zastępcą prezesa Coca-Coli w Atlancie. Paul ożenił się z miłą kobietą, która pracowała w CNN, ale rozstali się i teraz jego życie wypełniała opieka nad dwoma synami i Coca-Cola.

Keith Landry nigdy się nie ożenił, częściowo z powodu doświadczeń brata i większości znanych mu ludzi, a częściowo dlatego, że jego praca nie sprzyjała rozkoszom stanu małżeńskiego.

A gdyby jeszcze chciał być wobec siebie całkowicie szczery, nigdy do końca nie zapomniał Annie Prentis, mieszkającej jakieś dziesięć mil od miejsca, gdzie właśnie parkował. W zasadzie dziesięć i trzy dziesiąte mili.

Keith Landry wysiadł z wozu, przeciągnął się i rozejrzył po obejściu. W przedwieczornym zmierzchu ujrzał samego siebie, gdy jako świeżo upieczony absolwent żegna na ganku pocałunkiem matkę i siostrę Barbarę oraz wymienia uścisk dłoni z małym Paulem. Jego ojciec stał wtedy przy rodzinnym fordzie, w tym samym miejscu, gdzie teraz stał Landry. Wzruszająca rodzinna scena, tyle tylko że Keith Landry nie ruszał na podbój świata. Na parking przed budynkiem urzędu hrabstwa czekał już na niego i innych młodych mężczyzn ze Spencerville autobus, mający ich zabrać na wstępne szkolenie do Toledo.

Keith Landry wyraźnie pamiętał wyraz zatroskania na twarzach rodziny, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się sam zachowywał.

Pamiętał jedynie, że czuł się okropnie, a jednocześnie był podniecony czekającą go przygodą, co z kolei wywoływało poczucie winy. Wtedy nie rozumiał tych mieszanych uczuć, ale teraz już tak. Znakomitym ich podsumowaniem były słowa starej piosenki: Jak długo utrzymacie ich w domu, kiedy poznali Paryż?''

Tyle że jego celem nie był Paryż, lecz Wietnam, i rekruci nie zebrali się na miejskim placu na apel i radosny

wymarsz, ani też nie powrócili w triumfalnym pochodzie po ogłoszonym zwycięstwie. Landry czuł się tak, jakby nigdy potem nie powrócił na farmę. Oczywiście fizycznie pojawiał się tu, ale nigdy nie wrócił duchowo. Farma przestała być jego domem.

Dwadzieścia pięć lat minęło od dnia, kiedy zszedł ze stopni werandy, by wyruszyć w świat. Teraz stał znowu przy tych samych schodach i obraz jego rodziny zbladł, pozostawiając nieoczekiwany smutek.

— No, cóż — powiedział do siebie — jestem w domu.

Wszedł na schody, odnalazł w kieszeni klucz i otworzył drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

P

o północnej stronie Spencerville, tej lepszej stronie miasta, dziesięć i trzy dziesiąte mili od farmy rodziny Landry'eh, Annie Baxter, z domu Prentis, sprzątała naczynia z kuchennego stołu.

Jej mąż, Cliff Baxter, dopił piwo z puszki, ledwo powstrzymał czknięcie, spojrział na zegarek i oświadczył:

— Wracam do roboty.

Annie spodziewała się tego, ponieważ przed kolacją nie przebrał się w ulubione dżinsy i podkoszulek. Siedział w brązowym mundurze policyjnym, zatknął tylko serwetkę za kołnierzyk, żeby tłuszcz z befsztyka nie kapał mu na nienagannie wyprasowaną koszulę. Annie zauważyła pod jego pachami i w pasie plamy potu. Kabura z pistoletem wisiała na kołku wbitym w ścianę, kapelusz pozostał w radiowozie.

•O której wrócisz do domu? — zapytała Annie.

•Wiesz przecież, że nie warto mnie o to pytać, króliczku. — Podniósł się. — Kto to, u diabła, może wiedzieć. Ta robota stała się całkiem zwariowana. Narkotyki i popieprzone dzieciaki. — Przypiął do pasa kaburę.

Annie spostrzegła, że pas zapina się na ostatnią dziurkę, i gdyby miała ochotę na złośliwą uwagę, zaproponowałaby mu, że weźmie szydło i zrobi mu następną.

Cliff Baxter zauważył, że żona spogląda na jego brzuch.

•Zdecydowanie za dobrze mnie karmisz. To znaczy, że znowu ona była winna.

•Mógłbyś nie wlewać w siebie tyle piwa — rzuciła.

•Mogłabyś zamknąć buzię.

Nie odpowiedziała. Nie była w nastroju do kłótni, szczególnie o coś, na czym jej właściwie nie zależało.

Przyjrzała się mężowi. Mimo nadwagi, z tą opaloną twarzą o nieregularnych rysach, szopą gęstych brązowych włosów i błękitnymi oczami, z których już znikł blask, nadal był przystojnym mężczyzną. To jego twarz i ciało spodobały się jej jakieś dwadzieścia lat temu. Także łobuzerski urok i pewność siebie. Był dobrym kochankiem, przynajmniej zgodnie ze standardami tamtych dni i miejsca. Okazał się zupełnie przyzwoitym ojcem, nie można też powiedzieć, żeby nie dbał o rodzinę.

W pracy szło mu nieźle, szybko został szefem miejscowej policji. Ale nie był dobrym mężem, choć gdyby go ktoś o to zapytał, twierdziłby, że jest.

Cliff Baxter otworzył drzwi.

—Nie rygluj zamków jak ostatnim razem — powiedział.

Ostatni raz, pomyślała, zdarzył się prawie rok temu, i tamtej nocy zrobiła to celowo, żeby musiał dzwonić i walić w drzwi. Chciała kłótni, ale nie aż takiej. Wtedy wrócił do domu o czwartej nad ranem. I teraz również zdarzało mu się wracać o tej porze raz albo dwa razy w tygodniu.

Jasne, że jego zawód wymagał pracy o różnych dziwnych porach, ale dowiedziała się z pewnych źródeł, gdzie tak naprawdę bywa jej mąż.

Cliff zbiegł po schodach na podwórkę i zawył, spoglądając w stronę czterech psów. Zwierzęta odpowiedziały podnieconym ujadaniem i zaczęły szarpać się na uwięzi. Cliff znowu zawył, po czym się roześmiał.

—Nie zapomnij dać im żarcia i spuść je na chwilę, żeby pobiegały — rzucił w stronę żony.

Nie odpowiedziała. Patrzyła, jak wsiada do samochodu i wyjeżdża z podwórka na drogę. Zamknęła kuchenne drzwi i przekreśliła zamek, ale ich nie zarygłowała.

Prawdę mówiąc, nawet zamek jest niepotrzebny, przemknęło jej przez myśl. Spencerville było dość bezpiecznym miastem, ale ludzie jednak na noc zamykali drzwi. Ona nie musiała tego robić, ponieważ jej mąż polecił patrolować co godzinę ulicę Williamsa, przy której mieszkali. Miał na to wytłumaczenie: kryminaliści wiedzą, gdzie mieszkam, nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził. A tak naprawdę Cliff Baxter miał bzika na punkcie swojej własności, był zazdrosny do obłądu i obsesyjnie podejrzliwy.

Dlatego też Annie Baxter czuła się więźniem we własnym domu. Oczywiście mogła wychodzić, kiedy chciała, ale wiadomość o tym, gdzie poszła czy z kim się zobaczyła, dochodziła natychmiast do uszu jej męża.

Wprawiało ją to w zakłopotanie i delikatnie mówiąc, poniżało. Mieszkańcy sąsiednich domów — lekarze, prawnicy, biznesmeni — oficjalnie wierzyli w powody, dla których policja ciągle patrolowała ich ulicę, lecz przecież znali Cliffa Baxtera i wiedzieli, jaka jest prawda.

— Ele mele dudki gospodarz malutki — powiedziała Annie na głos, powtarzała to sobie bez przerwy — żony nie utrzyma, dom na kłódkę trzyma. — I dodała: — Ty skurwielu.

Podszła do drzwi frontowych i wyjrzała na ulicę. Właśnie przejeżdżał radiowóz. Rozpoznała kierowcę, młodego człowieka, Kevina War-da, jednego z ulubionych faszystów Cliffa. Od czasu do czasu fantazjowała, jak by to było, gdyby zaprosiła Kevina na kawę i go uwiodła.

Ale podejrzewała, że Cliff wyznaczył kogoś, kto w nieoznakowanym wozie pilnuje z kolei Warda. Uśmiechnęła się ponuro — ulegała tej samej paranoi co jej mąż. Lecz jej paranoja miała mocne podstawy. Annie Baxter dochowała wierności mężowi, przynajmniej fizycznie. Fakt, nie pozostawiał jej dużego wyboru, ale poza tym traktowała przysięgę małżeńską z całą powagą, bez względu na jego zachowanie. Jednakże były chwile, kiedy odczuwała potrzeby, które na twarzy jej matki wywoływałyby rumieniec wstydu. Cliff ochotę na łóżko miał okazjonalnie, co zresztą ostatnio przyjmowała z zadowoleniem.

Samochód skręcił w następną ulicę, Annie przeszła do salonu. Usiadła na fotelu zasłuchana w tykanie zegara, który należał do jej rodziny od trzech pokoleń. Jej syn, Tom, wrócił do Columbus wcześniej, oficjalnie, żeby dorobić sobie przed rozpoczęciem nauki, a tak naprawdę dlatego, że Spencerville, a szczególnie street Williams, nie miało mu nic do zaoferowania latem, a jeśli już o tym mowa, również na resztę życia. Córka, Wendy, pojechała nad jezioro Michigan z kościelną grupą młodzieżową. Annie zgłosiła się jako opiekunka, ale Cliff rzucił tylko z uśmiechem: „A kto będzie się opiekował tobą, kochanie?”

Rozejrzała się po pokoju wypełnionym starymi meblami i pamiątkami rodzinnymi. Jeśli chodzi o jej gust, Cliff reagował nań mieszaniną dumy i sarkazmu. Pochodziła z dużo lepszej rodziny niż on i na początku usiłowała zatuszować różnice w pochodzeniu. Ale on nigdy nie pozwolił jej o tym zapomnieć, wytykając, że jej przodkowie mieli wprawdzie po kolei w głowach i dobre maniery, ale żadnego majątku. Natomiast jego rodzina siedziała na pieniądzach, chociaż jej członków cechowała pewna szorstkość. I kompletna pustka we łbie, dodała w myślach Annie.

Cliff lubił popisywać się swoim domem, tak samo jak chepił się wypchanymi głowami zwierząt, wiszącymi na ścianie w piwnicy, trofeami z zawodów strzeleckich, wycinkami prasowymi na swój temat, kolekcją broni i swoją największą zdobyczą — żoną. Patrzcie, ale nie ważcie się dotknąć. Podziwiając mnie i moje trofea. Cliff Baxter jest typowym kolekcjonerem, pomyślała Annie, nie widzi różnicy między żoną a wypchaną głową jelenia.

Przypomniała sobie ze smętnym uśmiechem, jak dumna była kiedyś ze swego męża i domu, ile miała nadziei i optymizmu, gdy jako młoda żona brała się do budowania wspólnego życia. Cliff Baxter bez zarzutu odegrał rolę starającego się o jej rękę, szczególnie w ostatnich miesiącach narzeczeństwa. Gdyby nawet zaczęła powątpiewać, czy wybrała słusznie — a prawdę mówiąc, przyszło jej coś takiego do głowy — nie dał jej żadnego powodu do zerwania. Ale już podczas pierwszych dni małżeństwa zauważyła, że jej mąż, znakomicie odgrywając nową rolę, robi tylko to, na co sam ma ochotę. Zrobiło jej się niedobrze, kie-

dy zrozumiała, że Cliff Baxter nie jest uroczym, choć nieco szorstkim chłopakiem, który chętnie podda się kobiecemu udomowieniu, lecz balansuje na granicy socjopatii. Zresztą wkrótce poniechał wysiłków, w które i tak nie wkładał serca, by zachowywać się jak na normalnego człowieka przystało. Jedynie spełnianie obowiązków stróża porządku trzymało go po właściwej stronie niebezpiecznej granicy. Spencerville zamieniło łobuziaka w opiekuna kużytkowi zarówno miasta, jak i ludzi, ale Annie żyła w ciągłym strachu, co będzie, kiedy Cliff stanie się zwykłym obywatelem, bez prestiżu i odpowiedzialności związanej z urzędem. Poprzysięgła sobie, że ucieknie w dniu, kiedy on odejdzie na emeryturę albo zostanie zwolniony.

Stanęła jej przed oczyma jego kolekcja broni: karabiny, strzelby i pistolety. Każda sztuka zamknięta na kłódkę, dobry policjant nie mógł przecież postąpić inaczej. Jednakże inni policjanci, może nawet wszyscy, daliby swej żonie klucz, na wypadek gdyby do domu wdarł się intruz. Wiedziała, jakim torem podążały myśli Cliffa: bał się, że własna żona go zastrzeli, kiedy będzie wracał o czwartej nad ranem, a potem powie, że wzięła go za włamywacza. Bywały noce, kiedy wpatrzona w zamknięte gąbłoty zastanawiała się, czy potrafiłaby przytknąć łufę do swojej albo jego głowy i pociągnąć za spust. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto odpowiadała sobie, że nie, ale bywały momenty...

Oparła głowę o fotel i z oczu popłynęły jej łzy. Zadzwoił telefon, lecz nie podniosła słuchawki.

Zgarnęła resztki obiadu na gazetę i zaniosła do psiego boks. Otworzyła furtkę w siatce i wrzuciła ochłapy do

środka. Trzy z czterech psów — owczarek niemiecki, rottweiler i doberman — rzuciły się na jedzenie. Czwarty, mały szary kundel, podbiegł do Annie. Pozwoliła psom wybiec na podwórko i zamknęła furtkę.

Kiedy wracała do domu, szara psina szła za nią krok w krok.

W kuchni nakarmiła zwierzę surowym hamburgerem, potem nalała sobie szklankę lemoniady i wyszła na dużą werandę. Usiadła na wiszącej ławce, podwijając pod siebie nogi, z przytulonym psem u boku. Ochłodziło się, delikatny wietrzyk poruszał drzewami, którymi obsadzona była ulica. W powietrzu czuło się deszcz. Ożywczy podmuch trochę poprawił jej nastrój.

Pomyślała, że przecież na pewno istnieje jakaś droga ucieczki, która nie wiedzie przez miejski cmentarz. Teraz, kiedy jej córka poszła na studia, Annie nie mogła już odkładać decyzji. Jeśli ucieknę, zastanawiała się, on prawdopodobnie mnie złapie, zanim uda mi się opuścić miasto, a jeśli nawet nie, pojedzie za mną dalej. Jeśli zwrócę się do jakiegoś prawnika w hrabstwie Spencer, dowie się o tym, zanim zdążę wrócić do domu. Cliff Baxter nie jest specjalnie lubiany czy szanowany, ale boją się go, z tym trzeba się liczyć.

Radiowóz znowu przejechał ulicą, Kevin Ward pomachał do niej. Zignorowała go, a pies zawarczał.

Mimo wszystko jednak, myślała, jesteśmy w Ameryce i mamy dwudziesty wiek, istnieje prawo i możliwość ochrony. Ale instynkt podpowiadał, że nie w jej sytuacji. Musiała uciec, opuścić dom, ludzi, wśród których żyła, rodzinę, i to budziło w niej gniew. Wolałaby rozwiązanie bardziej zgodne z jej normami, nie jego. Wolałaby mu powiedzieć, że chce się rozwieść i wyprowadza się do siostry i że muszą skontaktować się z adwokatami. Ale szef policji Baxter nie ma zwyczaju rezygnować ze swych trofeów, nie ma zamiaru wyjść na durnia. Wie, że żona chce go opuścić, nie musi mu o tym wcale mówić. Lecz wie także albo przynajmniej tak mu się wydaje, że trzymają bezpiecznie zamkniętą na klucz. I lepiej, aby nadal tak myślał.

Ta letnia noc, która osiadała na kołyszącej się powoli ławce, przywodziła jej na myśl inne letnie noce, dawno temu, kiedy była bardzo szczęśliwie i głęboko zakochana w innym mężczyźnie. W kieszeni zaszeleścił list, który teraz wyciągnęła. W świetle padającym z okna przeczytała adres na kopercie. Był to list do Keitha Landry'ego, który wysłała na jego waszyngtoński adres, skąd najwyraźniej został przesłany w inne miejsce, gdzie z kolei ktoś przelożył go do drugiej koperty i odesłał z powrotem do niej z informacją: - adresat nieznan.

Keith napisał do niej kiedyś, że jeśli otrzyma taką wiadomość, nie powinna próbować się z nim kontaktować. Ktoś z jego biura zgłosił się do niej i poda nowy adres.

Annie Baxter była zwyczajną dziewczyną, ale nie głupią. Wiedziała, co to znaczy: jeśli kiedykolwiek list zostanie jej zwrócony, będzie to oznaczało, że Keith nie żyje i ktoś z Waszyngtonu zawiadomi ją o tym.

Minęły dwa dni, od kiedy ten list wrócił do jej siostry mieszkającej w sąsiednim hrabstwie, dokąd Keith kierował wszystkie listy do Annie.

Od tej chwili bała się odebrać telefon, bała się, że zobaczy podjeżdżający pod swój dom samochód siostry, która przywiezie kolejny list, oficjalne pismo z Waszyngtonu. Będzie się zaczynało od słów: *Z przykrością informujemy Panią...*

Ale właściwie dlaczego miałoby w ogóle ją o tym zawiadamiać? Kim była dla Keitha Landry'ego? Przyjaciółką z dawnych lat, z którą utrzymywał kontakt listowny. Nie widziała go od ponad dwudziestu lat i nie przypuszczała, by miała go jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

Ale mógł poinstruować swoich ludzi, kimkolwiek byli, żeby wysłali do niej zawiadomienie o śmierci. Nagle uświadomiła sobie, że w tym właśnie momencie Keith może leżeć w Domu Pogrzebowym Gibbsa.

Starła się przekonać samą siebie, że to właściwie bez znaczenia. Byłoby jej smutno, ale ten fakt w żaden sposób nie wpłynąłby na jej dalsze życie. Na wieść o śmierci dawnego kochanka kobietę ogarnia smutek, nachodzą ją myśli o własnej śmiertelności, wspomina dni młodości, odmawia modlitwę i żyje dalej. Jeśli nie komplikuje to innych planów, idzie się na pogrzeb. W tym momencie uderzyła ją myśl, że gdyby Keith Landry nie żył i został pochowany w Spencerville, jej nawet w trakcie nabożeństwa żałobnego czy przy grobie towarzyszyłby ktoś z policji.

Pogłaskała leżącego obok psa. To był jej pies, trzy pozostałe należały do Cliffa. Szara kulka wdrapała się na jej kolana i podstawiała głowę do głaskania.

— On nie umarł, Denise — powiedziała. — Wiem, że nie.

Annie oparła się i lekko zakołysała ławką. Letnia błyskawica rozświetliła niebo na zachodzie i grzmot przetoczył się ponad polami kukurydzy i miastem, zwiastując ulewę. Powtarzając w myśli, „przecież mieliśmy się jeszcze spotkać”, poczuła, że płacze.

do domu. Cliff Baxter nie jest specjalnie lubiany czy szanowany, ale boją się go, z tym trzeba się liczyć.

Radiowóz znowu przejechał ulicą, Kevin Ward pomachał do niej. Zignorowała go, a pies zawarczał.

Mimo wszystko jednak, myślała, jesteśmy w Ameryce i mamy dwudziesty wiek, istnieje prawo i możliwość ochrony. Ale instynkt podpowiadał, że nie w jej sytuacji. Musiała uciec, opuścić dom, ludzi, wśród których żyła, rodzinę, i to budziło w niej gniew. Wolałaby rozwiązanie bardziej zgodne z jej normami, nie jego. Wolałaby mu powiedzieć, że chce się rozwieść i wyprowadza się do siostry i że muszą skontaktować się z adwokatami. Ale szef policji Baxter nie ma zwyczaju rezygnować ze swych trofeów, nie ma zamiaru wyjść na durnia. Wie, że żona chce go opuścić, nie musi mu o tym wcale mówić. Lecz wie także albo przynajmniej tak mu się wydaje, że trzymają bezpiecznie zamkniętą na klucz. I lepiej, aby nadal tak myślał.

Ta letnia noc, która osiadała na kołyszącej się powoli ławce, przywodziła jej na myśl inne letnie noce, dawno temu, kiedy była bardzo szczęśliwie i głęboko zakochana w innym mężczyźnie. W kieszeni zaszeleścił list, który teraz wyciągnęła. W świetle padającym z okna przeczytała adres na kopercie. Był to list do Keitha Landry'ego, który wysłała na jego waszyngtoński adres, skąd najwyraźniej został przesłany w inne miejsce, gdzie z kolei ktoś przełożył go do drugiej koperty i odesłał z powrotem do niej z informacją: - adresat nieznanym.

Keith napisał do niej kiedyś, że jeśli otrzyma taką wiadomość, nie powinna próbować się z nim kontaktować. Ktoś z jego biura zgłosił się do niej i poda nowy adres.

Annie Baxter była zwyczajną dziewczyną, ale nie głupią. Wiedziała, co to znaczy: jeśli kiedykolwiek list zostanie jej zwrócony, będzie to oznaczało, że Keith nie żyje i ktoś z Waszyngtonu zawiadomi ją o tym.

Minęły dwa dni, od kiedy ten list wrócił do jej siostry mieszkającej w sąsiednim hrabstwie, dokąd Keith kierował wszystkie listy do Annie.

Od tej chwili bała się odebrać telefon, bała się, że zobaczy podjeżdżający pod swój dom samochód siostry, która przywiezie kolejny list, oficjalne pismo z Waszyngtonu. Będzie się zaczynało od słów: *Z przykrością informujemy Panią...*

Ale właściwie dlaczego mieliby w ogóle ją o tym zawiadamiać? Kim była dla Keitha Landry'ego? Przyjaciółką z dawnych lat, z którą utrzymywał kontakt listowny. Nie widziała go od ponad dwudziestu lat i nie przypuszczała, by miała go jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

Ale mógł poinstruować swoich ludzi, kimkolwiek byli, żeby wysłali do niej zawiadomienie o śmierci. Nagle uświadomiła sobie, że w tym właśnie momencie Keith może leżeć w Domu Pogrzebowym Gibbsa.

Starła się przekonać samą siebie, że to właściwie bez znaczenia. Byłoby jej smutno, ale ten fakt w żaden sposób nie wpłynąłby na jej dalsze życie. Na wieść o śmierci dawnego kochanka kobietę ogarnia smutek, nachodzą ją myśli o własnej śmiertelności, wspomina dni młodości, odmawia modlitwę i żyje dalej. Jeśli nie komplikuje to innych planów, idzie się na pogrzeb. W tym momencie uderzyła ją myśl, że gdyby Keith Landry nie żył i został pochowany w Spencerville, jej nawet w trakcie nabożeństwa żałobnego czy przy grobie towarzyszyłby ktoś z policji.

Pogłaskała leżącego obok psa. To był jej pies, trzy pozostałe należały do Cliffa. Szara kulka wdrapała się na jej kolana i podstawiała głowę do głaskania.

— On nie umarł, Denise — powiedziała. — Wiem, że nie.

Annie oparła się i lekko zakółsała ławką. Letnia błyskawica rozświetliła niebo na zachodzie i grzmot przetoczył się ponad polami kukurydzy i miastem, zwiastując ulewę. Powtarzając w myśli, „przecież mieliśmy się jeszcze spotkać”, poczuła, że płacze.

ROZDZIAŁ TRZECI

K

Keith Landry przechadzał się po pustym domu, o który dbali dalecy krewni. Biorąc pod uwagę, że od pięciu lat nikt tu nie mieszkał, dom był w całkiem niezłym stanie.

Zawiadomił z wyprzedzeniem o swym przyjeździe, zatelefonował do ciotki Betty, która wcale nie była jego krewną, tylko daleką powinowatą matki. Nie chciał, żeby ją zdenerwowało światło w oknach i widok obcego samochodu. Prosił, żeby nikt inny nie zwracał sobie głowy jakimiś tam przygotowaniami, ale jego telefon okazał się oczywiście czymś w rodzaju wezwania do broni — a właściwie do szczotek i ścierek — i teraz dom lśnił czystością i unosiła się w nim sosnowa woń środka dezynfekcyjnego.

Starzy kawalerowie są traktowani ulgowo przez lokalną społeczność kobietą. Keith podejrzewał, że celem tych dobrych kobiet, dbających o samotników, było pokazanie zalet stanu małżeńskiego i posiadania towarzyszkę życia. Niestety, darmowe sprzątnięcie, gotowanie, prezenty w postaci strucli jabłkowej czy dzemu stanowiły remedium zazwyczaj tylko pogłębiające chorobę, którą miały uleczyć.

Przechodził z pokoju do pokoju. Nic się tu nie zmieniło od czasu jego ostatniej wizyty sześć lat temu. Przedmioty wydawały mu się znajome, a jednocześnie surrealistyczne, jakby śnił o swym dzieciństwie.

Rodzice pozostawili w domu większość tego, co mieli, być może spodziewali się, że Floryda im się nie spodoba i nie zagrzeją tam długo miejsca, albo też uważali, że meble, dywany i lampy stanowią integralną część tego miejsca, tak samo jak dębowe dźwigary.

Niektóre ze sprzętów miały ze dwieście lat. Keith wiedział, że zostały przywiezione do Ameryki z Anglii i Niemiec, gdzie sięgały korzenie jego rodziny. Jednak poza kilkoma prawdziwymi antykami większość rzeczy była po prostu tylko stara. Keith pomyślał, że farmerzy przez minione wieki żyli bardzo skromnie. Szczególnie w porównaniu z życiem jego waszyngtońskich przyjaciół, którzy znacznie obficie korzystali z produktu narodowego brutto. Im, podobnie zresztą jak jemu, pobory wypłacano z kasy publicznej. Keith, który nigdy nie potrafił do końca pogodzić się z faktem, że otrzymuje się pieniądze, choć nie wytwarza się nic namacalnego, często się zastanawiał, czy za dużo ludzi ze stolicy nie przejada za wiele farmerskiej kukurydzy. Ale żaden z jego kolegów, nawet jeśli miał podobne myśli, nie zdradził się z nimi.

Keith Landry czuł się dobrze w roli żołnierza, to była szanowana profesja w hrabstwie Spencer. Jednak później, kiedy zaangażował się w pracę wywiadowczą, zaczął wątpić w sens swego zawodu. Często nie zgadzał się z polityką kraju, którego był przedstawicielem, a ostatnio, gdy awansował i mógł wpływać na tę politykę, zdał sobie sprawę, że rząd pracuje wyłącznie dla siebie i własnej nieśmiertelności. Ten sekret poznał zresztą na długo przed tym, jak zaproszono go do wewnętrznego sanktuarium Białego Domu w roli członka Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Stał przy oknie sypialni na pierwszym piętrze i patrzył na noc. Zerwał się wiatr i chmury przesuwały się szybko po rozgwieżdżonym niebie. Księżyc dochodził do pełni i rzucał niebieskawą poświatę na pola dojrzewającej kukurydzy. Keith pamiętał, jak pewnego lata po suszy nastąpił okres, podczas którego bez przerwy padał deszcz i pszenica na tych polach — wtedy siało się przeważnie pszenicę — dojrzała do zbiorów dopiero pod koniec lipca, a że zapowiadano dalsze deszcze, farmerskie rodziny zbierały zboże, dopóki nie zaszedł księżyc, mniej więcej do trzeciej nad ranem. Następnego dnia była niedziela i połowa dzieciaków w ogóle nie pojawiła się w szkółce niedzielnej, a te, które przyszły, i tak spały z głowami na pulpitych. Keithowi wciąż było bliskie to wspólne doświadczenie, wysiłek zbiorowości dla zdobycia pożywienia, daru ziemi, i żal mu było miejskich dzieciaków, które do rastały, nie rozumiejąc, jaki jest związek między pszenicą a bułką czy między kukurydzą a płatkami śniadaniowymi.

Im bardziej naród oddala się od swych rolniczych korzeni, myślał, tym mniej zrozumiałe stają się cykle natury, relacje między ziemią a ludźmi, prawo przyczyny i skutku, a wreszcie — doszedł do wniosku — człowiek coraz mniej rozumie samego siebie.

Keith Landry zdawał sobie sprawę ze sprzeczności między tym, co myśli, a tym, jak żyje. Odrzucił możliwość zostania farmerem, ale nie wyrzekł się stylu życia farmera. Dobrze się czuł w Waszyngtonie i miastach w innych krajach, gdzie szybko się żyło, ale ciągnęło go na prowincję, chociaż tu zawsze się nudził. Wprawdzie praca go rozczarowała, to jednak ogarniał go gniew na myśl, że się go pozbyto.

Uznał, iż najwyższy czas skończyć z tym brakiem konsekwencji. Jeśli jego czyny będą rozmijać się z myślami, stanie się symbolem tego pełnego fałszu miejsca, które właśnie opuścił.

Chmury zakryły teraz całkowicie księżyc i gwiazdy. Nagle uświadomił sobie, jaka kompletna ciemność i cisza tu panują. Ledwo mógł dostrzec zarys starego warzywniaka oddalonego jakieś dwadzieścia stóp od domu; dalej już tylko w mroku majaczyły światła na farmie Mullerów.

Odwrócił się od okna, zszedł na dół, a potem wniósł na piętro swoje bagaże. W pokoju, który niegdyś dzielił z bratem, rzucił torby na łóżko.

Meble w sypialni były dębowe, podłoga sosnowa, a ściany otynkowane na biało. Deski podłogi przykrywał poszarpany chodnik, który miał więcej lat niż Keith. Tak zawsze wyglądały wszystkie pokoje chłopców, dopóki farmerzy nie zaczęli kupować byle czego na przecenie.

Keith przed wyjazdem z Waszyngtonu załadował do saaba rzeczy niezbędne oraz te, na których mu zależało. Okazało się, że jest ich za dużo. Wobec tego część pudeł zdecydował się wysłać pocztą kurierską, głównie te ze sprzętem sportowym. Meble z mieszkania w Georgetown oddał pobliskiemu kościołowi. W ten sposób pozbył się dobytku.

Dom został zbudowany, zanim w modę weszły wnęki ścienne. W pokoju stały dwie szafy na ubrania, jedna jego, druga brata. Otworzył tę, która należała do Paula, i najpierw rozpakował ekwipunek wojskowy: mundur, buty, pudełko z medalami, wreszcie wyjął swoją oficerską szablę. Potem zajął się nowocześniejszymi zabawkami: kamizelką kuloodporną, karabinem M-16, a na końcu glockiem. Jak to dobrze odkładać te rzeczy raz na zawsze, odrzucić broń i zbroję, pomyślał.

Spoglądając na szafę, zastanawiał się, czy te przedmioty mają dla niego w tym momencie jakieś znaczenie.

Za czasów college'u porwała go historia Cyncynata, rzymskiego wojownika, polityka i rolnika, żyjącego w czasach potęgi republikańskiego Rzymu. Ten właśnie człowiek, uratowawszy miasto od wrogiej armii, przyjął władzę tylko na czas zaprowadzania porządku, po czym powrócił do siebie, by uprawiać ziemię. W Waszyngtonie Keith często przechodził koło budynku na Massachusetts Avenue, gdzie mieściło się Stowarzyszenie Cyncynata, i wyobrażał sobie, że jego członkowie są niby ów Rzymianin, do którego imienia nawiązali w nazwie swego towarzystwa. Myślał wtedy, że to jest właśnie ideał — zarówno rzymski, jak i amerykański — esencja rolniczej republiki: jeśli przyjdzie wezwanie do broni, uformują milicję obywatelską, a po pokonaniu przeciwnika wrócą na rolę.

Ale nie to wydarzyło się w Ameryce po 1945 roku. Przez następne pół wieku wojna dyktowała zasady żyda. Taki był Waszyngton, który dopiero co za sobą zostawił: miasto próbowało poradzić sobie z — delikatnie mówiąc — efektami zwycięstwa.

Keith zamknął drzwi szafy. — Skończone — powiedział.

Otworzył drugą szafę i rozpakował dwie włoskie, ręcznie robione walizki. Odwiesił smoking i uśmiechnął się — strój ten zupełnie nie

pasował do wnętrza, w którym się obecnie znalazł — potem na wieszaki powędrowały garnitury. Na wierzchu zostawił tylko dzinsy i kilka zwykłych koszul.

Kontynuując temat rzymski, pomyślał, spaliłem za sobą mosty, niczym Cezar. Nie był jednak pewien, czy w swoim życiu widzi miejsce dla tej farmy. Nie był też tak naprawdę pewien, kim się stał.

O sobie ciągle myślał jako o chłopcu z prowincji. Co z tego, że skończył college, wiele podróżował, nosił szyte na miarę ubrania, biegle posługiwał się obcymi językami, a podobną biegłość osiągnął w kontaktach z egzotyczną bronią oraz egzotycznymi kobietami. Nieważne, gdzie przebywał: w Paryżu, Londynie, Moskwie czy Bagdadzie, zawsze wydawało mu się, że jest prostym chłopakiem ze wsi. Najprawdopodobniej jednak był to obraz fałszywy. Może stał się kimś, kto pasował do tych wszystkich egzotycznych i wymyślnych miejsc? A jeśli tak, to teraz znajduje się nie tam, gdzie trzeba. Ale da Spencerville trochę czasu i jeśli zaczną mu sprawiać przyjemność spotkania w kościele, łowienie pstrągów oraz pogaduszki w sklepie z narzędziami, zostanie tutaj. Jeśli nie... No cóż, w każdym razie na pewno nie wróci do Waszyngtonu. Ponad połowę swego zawodowego życia spędził na podróżach i może jego przeznaczeniem była włóczęga.

Keith zauważył na łóżku świeżą pościel i koc w szkocką kratę, prezent od ciotki Betty. Najwyraźniej pamiętała, gdzie był jego pokój, i uznała, że nie należy mu się sypialnia głowy rodziny. Tu mieszkał jako dziecko jego ojciec, a wcześniej jeszcze dziadek, widocznie ciotka Betty doszła do wniosku, że on również powinien tu spać do czasu, aż dorośnie. Uśmiechnął się.

Zszedł po schodach do obszernej kuchni. Przy okrągłym stole z łatwością zmieściłoby się dziesięć osób jak kiedyś: rodzina, pracownicy i wszystkie dzieciaki, które zdążyły na posiłek. Keith otworzył lodówkę i zobaczył, że jest tam wszystko, co potrzebne, poza piwem. Wielu tutejszych było abstynentami, a całe hrabstwo, choć trudno by je nazwać pustynią, również nie pławiło się w alkoholu. Podczas swych rzadkich wizyt traktował ten stan rzeczy jako ciekawostkę, ale gdyby zamieszkał tu na stałe, mógłby mieć z tym problem.

Poszedł do salonu, wyciągnął z jednego z kartonów butelkę szkockiej, wrócił do kuchni i nalał sobie whisky z wodą do plastikowego kubeczka, w którym napój wyglądał jak zielony.

Zasiadł przy dużym okrągłym stole i rozejrzał się wokół po pustych krzesłach. Poza jego matką i ojcem, Paulem i Barbarą, było tu miejsce wujka Neda, młodszego brata ojca, który zwykle siadywał naprzeciwko Keitha. Nadał go widział, jak je w milczeniu, zmęczony ciężką pracą na polu. Ned był farmerem z krwi i kości, poważnym, choć nie do końca pozbawionym poczucia humoru. Sól tej ziemi. Jego jedynym pragnieniem było ożenić się, patrzeć, jak rosną dzieci i łany, naprawiać zniszczone sprzęty, a w niedzielę wybrać się na ryby, na razie z bratankiem, a któregoś dnia może z własnym synem.

Keith miał jakieś dziesięć lat, kiedy do wujka Neda przyszła karta mobilizacyjna. Pamiętał, jak pewnego dnia zjawił się w domu w mundurze. Kilka tygodni później Ned wyjechał do Korei, z której już nigdy nie wrócił. Jego odesłane do domu rzeczy położono na strychu. Keith, jeszcze jako chłopiec, szperał nieraz w tym kufrze, a zdarzało się, że nawet wkładał zielony mundur.

Zapomniana wojna, zapomniany człowiek, zapomniane poświęcenie. Keith pamiętał, że gdy przyszły złe wieści, jego ojciec płakał, ale — co wydawało mu się zawsze dziwne — imienia wujka nigdy więcej w ich domu nie wymieniono.

Może, myślał, znaczenie miała już jedynie ostatnia śmierć ostatniego bohatera drugiej wojny światowej, potem politycy i dzierżący władzę zbrońcy tylko igrali życiem ludzi i ich rodzin. Może teraz zaczynamy to rozumieć. Spojrzał na miejsce wujka Neda, puste już od czterdziestu lat, i poniewczasie, ale z przekonaniem powiedział:

— Brak mi ciebie.

Dopił szkocką i nalał sobie następną porcję. Patrzył przez szklane drzwi na ciemny ogród. Wiatr hulał coraz gwałtowniej, na zachodzie widać było błyskawice, po których następowały uderzenia grzmotu.

Najpierw poczuł deszcz, potem go usłyszał, a usłyszał go, zanim zobaczył. Jak wiele, myślał Keith — obrazy, dźwięki, zapachy — wdru-kowuje się w pamięć, zanim człowiek skończy osiemnaście lat. To, kim stajesz się jako dojrzały człowiek, zostaje zdeterminowane, zanim zdążysz mieć na to jakikolwiek wpływ, kontrolę, czy nawet zanim pojmiesz, co się wokół dzieje. Nic dziwnego, że starzy ludzie tak chętnie wracają myślami do czasów swojej młodości; do cudowności tamtych lat, wiecznych odkryć, pierwszych doświadczeń z mrocznym sekretem śmierci, pierwszego pożądania i miłości, do wszystkiego, co malowane jasnymi barwami na świeżym płótnie. Na przykład pierwsze doświadczenie seksualne bywa tak silne, że większość ludzi pamięta je wyraźnie jeszcze dwadzieścia, trzydzieści i sześćdziesiąt lat później.

Annie.

Tak więc, pomyślał, znowu jestem w domu. W podróży widział zamki i królów, złote miasta i sięgające ku niebu katedry, wojnę i śmierć, zniszczenie i choroby. Keith był ciekaw, czy stary pastor Wilkes jeszcze żyje, ponieważ chciał mu powiedzieć, że naprawdę spotkał Czterech Jeźdźców Apokalipsy i poznał nie tylko ich imiona. Dowiedział się, kim oni są — oni to my.

Ale widział również miłość i współczucie, przyzwoitość i odwagę. I teraz, siedząc samotnie przy stole, czuł, że jego droga jeszcze się nie skończyła, że raczej staje się znowu ciekawa.

Był tutaj, dwadzieścia pięć lat po tym, jak zszedł z ganku, by ruszyć w świat. Przemierzył od tego czasu tysiące mil i miał tyle kobiet, że nie potrafiłby wymienić ich imion, nawet gdyby jego życie od tego zależało. A jednak zawsze w mrocznych chwilach świtu i wieczoru, w zaułkach wschodniej Europy i dżunglach Azji, kiedy strach lub śmierć zaglądały mu w oczy, myślał o Annie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

A

nnie Baxter leżała rozbudzona w łóżku. Przez niebo przebiegały krótkie błyski rozświetlające pokój, a chwilę później grzmot wstrząsał domem aż po fundamenty. Gdzieś w oddali wył alarm prze-ciwłamaniowy, czekały psy.

Powoli uświadamiała sobie, co się jej przed chwilą śniło. Sen był erotyczny i zaniepokoiła ją obecność w nim Cliffa, ponieważ powinien to być Keith. We śnie stała naga przed Cliffem starannie ubranym w mundur. Uśmiechał się, nie, spoglądał na nią pożądliwie, a ona zakrywała swą nagość.

Cliff Baxter w jej śnie był młodszy i lepiej zbudowany niż obecny Cliff Baxter. Bardziej jednak ją niepokoiło, że we śnie jego obecność ją podniecała, a gdy się obudziła, ten stan nie minął. Keith Landry i inni mężczyźni, z którymi zdarzało jej się sypiać, zanim zaczęła spotykać się z Cliffem, bywali wrażliwsi i lepszymi kochankami, ponieważ lubili poeksperymentować i starali się dać przyjemność także jej. Cliff uważał i nadal uważa, że najważniejsza jest samcza dominacja. Przyznawała, że na początku to właśnie ją pociągało, dokładnie jak w tym śnie, ale brutalny seks Cliffa i jego egoizm pozostawiały ją niezaspokojoną, przeświadczoną, że została wykorzystana i niekiedy niespokojną. A jednak pamiętała czasy, kiedy była chętną i zawsze gotową partnerką.

Czuła się winna, że sadystyczny seks uprawiany przez Cliffa kiedyś sprawiał jej przyjemność, a poczucie winy potęgowało jeszcze to, że nadal o nim myśli, a nawet śni bez obrzydzenia. Mało tego, gdy się obudziła, poczuła wilgoć między nogami. Raz na zawsze musi zabić ten sen i te myśli.

Spojrzała na zegar przy łóżku. Piąta szesnaście. Podniosła się, włożyła szlafrok, poszła do kuchni i nałala sobie mrożonej herbaty. Po chwili wahania sięgnęła po wiszący na ścianie telefon i wykręciła numer posterunku policji.

— Witam, pani Baxter, tu sierżant Blake.

Wiedziała, że gdy dzwoni, wyświetlany jest numer jej telefonu, nazwisko i adres, i to ją irytowało. Cliff nie czuł się najlepiej w kontakcie z nowoczesną techniką, ale intuicyjnie zdawał sobie sprawę, jakie daje złowieszcze możliwości. Używał Orwellowskich gadżetów

w policji Spencerville, poza tym jakby całkowicie przeniesionej z epoki kamiennej.

- Czy wszystko w porządku, pani Baxter?
- Tak. Chciałabym rozmawiać z mężem.
- No... jest właśnie na patrolu.
- W takim razie zadzwonię do samochodu. Dziękuję.
 - Proszę poczekać, on może być... Nie mogłem się z nim skontaktować. To ta burza. Spróbuję porozmawiać z nim przez radio i powiem, że pani dzwoniła. Czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić?
 - Nie, zrobił pan już dość. — Rozłączyła się i wykręciła numer samochodu. Po czterech sygnałach nagrany głos poinformował ją, że nie można uzyskać połączenia. Odwiesiła słuchawkę i zeszła do piwnicy. Część jej powierzchni zajmowała pralnia, reszta — wyłożona dywanem i obita boazerią — stanowiła królestwo Cliffa. Kiedy oprowadzał kogoś po domu, lubił mówić, wskazując na pralnię: „Biuro żony”, by za chwilę wskazać na drugą część piwnicy i powiedzieć: „Moje biuro”.

Przeszła więc do jego biura i zapaliła światło. Ze ścian wpatrywało się w nią szklanymi oczami kilkanaście wypchanych zwierzęcych głów; na martwych obliczach błąkały się uśmiechy, jakby zwierzęta się cieszyły, że zginęły z rąk Cliffa Baxtera. Ktoś, wypychacz zwierząt lub jej mąż, miał chore poczucie humoru. Najprawdopodobniej obaj.

Na biurku zatrzeszczało radio policyjne, usłyszała, jak ktoś z wozu patrolowego rozmawia z biurem. Nie było żadnych zakłóceń. Sierżant Blake nie zapytał nawet o Baxtera.

Wpatrywała się w stojak przy ścianie, gdzie spoczywała kolekcja broni. Skręcona metalowa linka biegła przez kabłąki tuzina karabinów i strzelb, kątownik i kończyła się pętlą i ciężką kłódką.

Annie podeszła do skrzynki na narzędzia, wzięła piłę do metalu i wróciła do stojaka. Pociągnęła metalową linkę tak, że się naprężyła, i zabrała się do piłowania. Spleciony drut zaczął się strzępić, a po chwili puścił. Wyciągnęła go. Wybrała browninga kalibru 12 z dwoma lufami, znalazła w szufladzie pudełko z nabojami i załadowała obie komory.

Przymierzyła dubeltówkę do ramienia i ruszyła po schodach na górę do kuchni. Położyła broń na stole i nalała sobie kolejną szklanekę mrożonej herbaty.

Kiedy zadzwonił telefon, sięgnęła po słuchawkę.

— Halo.

•Cześć, laleczko. Szukałaś mnie? -Tak.

•No więc, co się dzieje, ślicznotko?

Po trzaskach poznała, że jej mąż jest w samochodzie policyjnym.

•Nie mogłam spać — odpowiedziała.

•No cóż, i tak już pora wstawać. Co robisz na śniadanie?

•Myślałam, że zatrzymasz się w knajpie przy parkingu. — I dodała: — Podają jajka, bekon, ziemniaki i kawę o niebo lepsze niż moje.

•Skąd ci to przyszło do głowy?

•Dowiedziałam się od ciebie i twojej matki. Roześmiał się.

•Jestem o pięć minut drogi do domu. Wstaw wodę na kawę.

•Gdzie byłeś w nocy?

Minęło pół sekundy, zanim odpowiedział:

— Nie chcę więcej słyszeć takich pytań ani od ciebie, ani od nikogo innego. — Rozłączył się.

Siedziała w kuchni, trzymając na kolanach strzelbę. Popijała mrożoną herbatę i czekała.

Po jakichś dziesięciu minutach powiedziała na głos:

•A więc, pani Baxter, myślała pani, że to włamywacz.

•Tak — odparła po chwili.

•Ale drzwi nie zostały wyważone i na dodatek wiedziała pani, że mąż jest w drodze do domu. Przecięła pani stalową linkę dużo wcześniej, zanim usłuszała pani hałasy przy drzwiach. To raczej wygląda na działanie z premedytacją. Jakby pani na niego czekała.

•Cóż za nonsens, przecież kochałam mojego męża. Kto by go nie kochał?

•Ja na przykład nie znam nikogo, kto by go kochał. A już na pewno nie pani.

Annie uśmiechnęła się ponuro.

—Zgadza się. Czekałam na niego i strzeliłam mu w te jego tłuste dupsko. I co z tego?

Pomyślała o Keicie Landrym i o tym, że może leży martwy w Domu Pogrzebowym Gibbsa. *Przepraszam, pani Baxter, to jest sala B, pan Landry leży to sali A.*

A jeśli Keith żyje? Czy to coś zmienia? Może powinna poczekać, żeby się upewnić? A co z Tomem i Wendy? Cliff jest ich ojcem. Zawahała się i pewnie by nawet odniosła broń do piwnicy, ale przecież i tak by zobaczył, że przecięła linkę.

Na wysypany żwirem podjazd wjechał wóz policyjny. Usłyszała, jak drzwi się otwierają, a potem zatrząskują, dobiegł ją odgłos kroków na schodach ganku, a wreszcie zobaczyła sylwetkę męża w drzwiach. Włożył klucz do zamka.

Drzwi się otworzyły i Cliff Baxter wkroczył do ciemnej kuchni, jego postać wyraźnie rysowała się w świetle lampy na ganku. Wtarał twarz i ręce chusteczką, potem pociągnął nosem i podszedł do zlewu.

—Dzień dobry — powiedziała Annie.

Obrócił się i wytężył wzrok, spoglądając w stronę wężki, gdzie siedziała przy stole.

•O... tutaj jesteś. Nie pachnie kawą.

•Jeśli wachałeś swoje palce, to z pewnością nie poczułeś kawy. Przemilczał tę uwagę.

•Zapal światło — powiedziała.

Cliff wrócił do drzwi, namacał dłonią przełącznik i kuchnię zalało białe fluorescencyjne światło.

•Czy pani ma jakiś problem? — zapytał.

•Nie, proszę pana, to pan ma problem.

•Nie mam żadnego problemu.

•Gdzie byłeś?

—Skończ z tym gównem i wstaw kawę. — Zrobił kilka kroków w stronę holu.

Annie podniosła dubeltówkę z kolan i położyła ją na stole, kierując wylot lufy w stronę męża.

—Cofnij się.

Cliff przez chwilę wpatrywał się w broń, aż wreszcie powiedział bardzo cicho:

•Odsuń rękę od spustu.

•Gdzie byłeś dzisiaj w nocy?

•W pracy. W cholernej robocie, zarabiałem na przyzwoite życie. To więcej, niż ty potrafisz.

•Mnie nie pozwalasz podjąć pracy. Muszę się zgłaszać jako wolon-tariuszka w przyszpitalnym sklepie tuż przy posterunku policji, żebyś mógł mieć mnie na oku. Pamiętasz?

•Daj mi tę broń i po prostu zapomnijmy o tym, co się stało. — Zrobił na próbę krok naprzód i wyciągnął dłoń.

Annie wstała, podniosła dubeltówkę do ramienia i odciągnęła oba kurki.

Na dźwięk metalicznego trzasku Cliff cofnął się z powrotem do drzwi.

•No, no! — Wyciągnął przed siebie obie dłonie, demonstrując bezradność. — Posłuchaj, kochanie... To jest... niebezpieczne. To miękki spust... wystarczy, że głośniejsz odetchniesz i może zdarzyć się nieszczęście... Odłóż to...

•Zamknij się. Gdzie byłeś dziś w nocy?

Głęboko odetchnął, starając się zapanować nad głosem.

•Mówiłem ci. Był wypadek i samochody zatarasowały przejazd. Most nad Hoop Creek jest wyłączony z ruchu, przez całą noc odbierałem telefony od spanikowanych starych bab...

•Kłamiesz.

•Popatrz... popatrz na moje mokre ubranie... Czy widzisz błoto na butach? Przez całą noc pomagałem ludziom. No, daj spokój, kochanie, po prostu wszystko to sobie wymyśliłaś.

Annie przyglądała się jego mokrej kurtce i ubłoconym butom i zastanawiała się, czy przypadkiem akurat ten jeden jedyny raz nie mówi prawdy.

Cliff przemawiał dalej łagodnie, używając wszystkich czułych słówek, jakie potrafił sobie przypomnieć.

—Teraz, kochanie, słońce moje, musimy to odłożyć, dziecino, ja nic nie zrobiłem, małeńka...

Annie widziała, że jest naprawdę przestraszony, ale dziwnie nie cieszyło jej to odwrócenie ról. Prawdę mówiąc, wcale nie chciała, żeby ją prosił. Pragnęła jedynie jego śmierci. Ale nie mogła tak po prostu zabić go z zimną krwią. Strzelba ciążyła jej na ramieniu.

—Wyciągnij broń, Cliff — powiedziała.

Przestał przemawiać i wpatrywał się w nią w milczeniu.

—No, dalej. Chyba nie chcesz, żeby ludzie gadali, że zginąłeś, nie wyciągając pistoletu z kabury?

Cliff westchnął spazmatycznie i przesunął językiem po wyschniętych wargach.

•Annie...

•Tchórz! Tchórz! Tchórz!

W tej chwili piorun uderzył tak blisko, że Cliff Baxter aż podskoczył. Sięgnął po broń.

Strzeliła z obu luf i siła odrzutu cisnęła ją na ścianę.

Ogłuszający huk przebrzmiał, ale nadal dzwoniło jej w uszach. Opuściła dubeltówkę. Czuć było kwaśną woń prochu, a w powietrzu unosił się pył z dziury w suficie, tuż nad Cliffem, który leżał rozciągnięty na ziemi.

Podnosił się powoli, najpierw na jedno kolano, strząsając kawałki tynku i drewna z włosów. Zauważyła, że zmoczył spodnie.

Sprawdził, czy jego pistolet nadal tkwi w kaburze, a potem popatrzył w sufit. Ciągle jeszcze otrzepując się, wstał i ruszył do niej. Zauważyła, że cały dygocze, i zastanawiała się, co się teraz stanie, ale właściwie było jej wszystko jedno.

Minął ją, podszedł do wiszącego na ścianie telefonu i wykręcił numer.

—Tak, Blake, to ja. — Odchrząknął, starając się nadać głosowi normalne brzmienie. — Miałem drobny wypadek przy czyszczeniu broni. Gdyby były jakieś telefony od sąsiadów, wytłumacz im... Tak, wszystko w porządku. — Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Annie. — No, dobra.

Spokojnie patrzyła mu w oczy, ale widziała, że on nie potrafi znieść jej spojrzenia. Uznała też za interesujące jego priorytety: najpierw opanowanie sytuacji, tak żeby chronić siebie, swój wizerunek i swoją pracę. Nie miała złudzeń, nie chciał jej w ten sposób chronić przed karzącą ręką sprawiedliwości. Ale oczywiście właśnie to powie.

—Próbowałaś mnie zabić. Mogłbym cię aresztować — odezwał się jakby za naciśnięciem guzika.

•Tak się składa, że strzeliłam ponad twoją głowę. Ale proszę bardzo, zabieraj mnie do więzienia.

•Ty suko. Ty... — Z groźną miną zrobił krok w jej stronę, twarz mu poczerwieniała, ale Annie trwała nieporuszona, wiedząc, że — co za ironia — to właśnie odznaka policyjna powstrzymywała go przed pobiciem żony. On też o tym wiedział. Pewną przyjemność sprawiało jej patrzeć, jak zмага się z bezsilną furią. Ale pewnego dnia, o tym też wiedziała, uderzy. Miała tylko nadzieję, że do tego czasu padnie trupem powalony własną złością.

Podszedł, szarpnięciem ściągnął z niej szlafrok, a potem położył dłonie na jej ramionach i nacisnął miejsce, o które wcześniej opierała kolbę dubeltówki.

Przeszył ją ból i ugięły się pod nią kolana. W jednej chwili klęczała na podłodze. Czuła silny zapach uryny. Zamknęła oczy i odwróciła głowę, ale złapał ją za włosy i przyciągnął jej twarz ku sobie.

—Widzisz, co zrobiłaś? Dumna jesteś z siebie, suko? Założę się, że tak. Ale teraz wyrównamy rachunki. Będiesz tak klęczeć, aż się zsikasz w majtki, choćbyśmy musieli tkwić tu przez cały cholerny dzień. Więc jeśli ci się chce, nie powstrzymuj się. Ja poczekam.

Annie ukryła twarz w dłoniach i potrząsnęła głową. W jej oczach pojawiły się łzy.

—Czekam.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Cliff spojrzął za siebie. Przez szybę widać było twarz Kevina Warda.

—Wynoś się stąd, do diabła — warknął Cliff.

Ward szybko odwrócił się i odszedł. Na pewno jednak zdążył zobaczyć, że jego szef narobił w spodnie, pomyślała Annie. Na pewno też zobaczył zakurzoną od pyłu twarz Cliffa i klęczącą na podłodze Annie. Dobrze.

Cliff odwrócił się znów w stronę żony.

•Teraz jesteś nareszcie zadowolona, suko? Cieszysz się, co?

•Puść mnie w tej chwili — powiedziała szybko — albo, przysięgam na Boga, wezwę policję stanową.

•Jeśli to zrobisz, zabiję cię.

•Nie dbam o to. — Wstała i zawiązała pasek szlafroka. Cliff Baxter spoglądał na nią, wetknąwszy kciuki za pas. Z doświadczenia wiedziała, że należy skończyć konfrontację, wiedziała też, jak to zrobić. Nic nie mówiła, tylko stała, a po jej policzkach płynęły łzy. Spuściła głowę i wpatrując się w podłogę, zastanawiała się, czemu nie zrobiła w nim dziury.

Czekał dobrą minutę, potem — wreszcie zadowolony, że został przywrócony jego porządek i świat działał znów na jego zasadach — wziął żonę pod brodę i unióś jej twarz.

—No, dobra, upiecze ci się tym razem, koteczku. Posprzątasz ten cały bałagan i przygotujesz mi smaczne śniadanko. Wszystko ma być gotowe za pół godziny.

Skierował się do drzwi, ale zawrócił. Wziął dubeltówkę i wyszedł z kuchni.

Słyszała, jak wchodził po schodach, a po kilku minutach dobiegł ją szum prysznica. Znalazła w kredensie aspirynę i połknęła dwie tabletki, popijając pełną szklanką wody, umyła twarz i ręce w zlewie, a potem zeszła do piwnicy.

Przyglądała się strzelbom i karabinom. Mogłaby teraz wziąć jakąkolwiek sztukę z tej wystawy broni. Stała tak chwilę, wreszcie podeszła do warsztatu. Znalazła szczotkę i śmietniczkę i wróciła do kuchni.

Zrobiła kawę, podgrzała bekon na patelni, zmiotła i wrzuciła pył do kosza na śmieci, a potem umyła blat kuchenny i podłogę.

Cliff zszedł na dół ubrany w świeży mundur. Zauważyła, że wchodził do kuchni ostrożnie, pas z kaburą i pistoletem miał przewieszony przez ramię, a dłoń, niby przypadkiem, opartą na kolbie. Nie odwiesił pasa na kołek, tylko przerzucił przez oparcie krzesła i wtedy dopiero usiadł. Zanim zdążył zareagować, złapała pas z bronią i umieściła na zwykłym miejscu.

—Nie ma broni przy stole — powiedziała.

Cliffowi udało się opanować panikę, z trudem przywołał na twarz głupi uśmiech.

Annie nalala mu soku i kawy, usmażyła jajka na bekonie i położyła to wszystko na grzanek. Kiedy postawiła przed mężem śniadanie, powiedział:

—Usiądź.

Zajęła miejsce naprzeciwko. Pałaszował z uśmiechem.

•Straciłaś apetyt? — zapytał.

•Już jadłam.

•Nie będę — mówił, nie przerywając jedzenia — zamykał już mojej broni ani amunicji. Dolej mi kawy. — Począł, aż wstała i nalala mu. — Ponieważ nie masz dość odwagi, żeby mnie zabić.

•Gdybym miała, zdobyłabym broń.

•Prawda. Możesz kupować pistolety, kraść je czy też pożyczać, to już nie ma znaczenia. Nie boję się ciebie, kochanie.

Wiedziała, że w ten sposób po zmoczeniu gaci stara się odzyskać swoją męskość. Pozwoli mu się wygadać, byle tylko wyszedł z domu.

•Sięgnąłem po pistolet — mówił dalej. — Nie miałem żadnych szans, ale sięgnąłem.

•Tak. — Był głupszy, niż sobie wyobrażała, miał niewielki rozumek, ale rozbuchane poczucie męskości. Miała nadzieję, że pewnego dnia to go właśnie zabije.

•Zastanawiasz się, czyja bym cię zabił — powiedział.

•Nie interesuje mnie to.

•Co za gadanie, że cię nie interesuje? Oczywiście, że cię interesuje. Masz dzieci, rodzinę. — Uśmiechnął się. — Masz mnie. — Poklepał japo dłoni. — Daj spokój, przecież wiedziałaś, że mnie nie zabijesz. A wiesz dlaczego? Ponieważ mnie kochasz.

Annie odetchnęła głęboko, walcząc ze wzbierającym w niej krzykiem.

Dziobnął ją lekko widelcem w nos i mówił dalej:

— Widzisz, ciągle jesteś zazdrosna. A to oznacza, że nadal mnie ko chasz, prawda?

Była emocjonalnie wyciśnięta jak cytryna, ramiona jej drżały. Czowała w sobie całkowitą pustkę. W tym stanie umysłu potrafiła jedynie mówić to, czego od niej oczekiwał.

—Tak — odparła.

Uśmiechnął się.

— Ale jednocześnie mnie nienawidzisz. A teraz zamierzam ci coś po wiedzieć. Między miłością a nienawiścią jest bardzo cienka granica.

Przytaknęła, jakby to było dla niej objawienie. Cliff zawsze powtarzał idiotyczne banały tak, jakby sam je wymyślił, i nigdy nie przychodziło mu do głowy, że nie on pierwszy je mówił.

— Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem będziesz się na mnie wkurzać.

Uśmiechnęła się. Użył nieodpowiedniego słowa.

•Dziś rano zrobię wielkie sprzątanie. Masz gdzie iść? Pochylił się do niej i powiedział:

•Uważaj.

•Dobrze, panie oficerze.

•Odpieprz się z tym oficerem.

•Przepraszam. Rozsmarował żółtko na grzance.

•Zawołaj starego Willy'ego, żeby zreperował sufit.

•Dobrze.

Usiadł prosto i spojrzał na nią.

—Wiesz, haruję jak niewolnik, żeby zapewnić ci życie na poziomie, o jakim większość ludzi nawet nie marzy. Czego ty właściwie chcesz ode mnie? Mam rzucić pracę, kręcić się cały dzień po domu, szczypać się z każdym wydatkiem i pomagać ci w sprzątaniu?

-Nie.

—Ciężko pracuję dla mojego miasta, a ty myślisz, że latam po całym hrabstwie, wypuszczając na wolność swojego ptaszka.

Przytakiwała w odpowiednich miejscach. Ten wykład знаła już na pamięć.

Cliff wstał, przypiął pas i obszedł stół dookoła. Ścisnął jej ramiona, aż pisnęła z bólu. Cmoknął ją w głowę.

— Zapomnijmy o tym. Posprzątaj tu i zawołaj Willy'ego. Będę w domu około szóstej. Już mam ochotę na stek. I żeby piwo było w lodówce. Na karm psy. — A po chwili dodał: — I upierz mój mundur.

Szedł do drzwi, ale jeszcze rzucił przez ramię:

—I nigdy nie dzwoń do mnie do pracy, chyba żeby ktoś umierał.

Wyszedł.

Annie patrzyła przed siebie, choć właściwie nic nie widziała. Gdybym pozwoliła mu wyjąć broń z kabury, może odstrzeliłabym mu jednak głowę. A może jednak nie, może to on by mnie zabił. I to też byłoby w porządku. Może by go za to powiesili.

Wiedziała tylko, że Cliff niczego nie zapomina ani nie wybacza. Złał się w gacie ze strachu i teraz przyjdzie jej za to zapłacić. Chociaż niewiele już mogło się zmienić na gorsze w jej życiu.

Kiedy tak stała, ze zdziwieniem poczuła, że ma miękkie nogi. Coś ją ścisnęło w żołądku. Podeszła do zlewu i otworzyła okno. Wschodziło słońce, a kilka chmur burzowych płynęło na wschód. Na podwórku śpiewały ptaki, a wygłodniałe psy usiłowały zwrócić na siebie jej uwagę, powarkując głucho.

Zycie może być takie wspaniałe, pomyślała. Nie, pokręciła głowę. Zycie jest wspaniałe. Zycie jest piękne. Cliff Baxter nie może zatrzymać wschodzącego słońca ani uciszyć śpiewu ptaków. Nie ma też władzy nad jej umysłem ani duszą. Nienawidziła go za to, że ściągnął ją do swego poziomu, że w ogóle mogła rozważać popełnienie morderstwa czy samobójstwa.

Znowu wróciła myślą do Keitha Landry'ego. W jej wyobraźni Cliff Baxter zawsze był księciem ciemności, podczas gdy Keith jawił się jako pan jasności. Ten obraz był dobry dopóty, dopóki Keith pozostawał bezcielesnym ideałem. W najgorszych koszmarach odkrywała, że osoba będąca Keithem Landrym nie jest tą samą osobą, której obraz sobie stworzyła na podstawie otrzymany od czasu do czasu listów i wspomnień z odległej przeszłości.

Zdała sobie sprawę, że zwrócony list oraz sen na temat Cliffa, doprowadziły do wydarzeń tego ranka. Wzdrygnęła się. Ale teraz czuła się lepiej i obiecała sobie, że jeżeli Keith żyje, ona znajdzie sposób i odwagę, by go odnaleźć, porozmawiać z nim i zobaczyć, czy przystaje do jej wyobrażeń.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W

świadomość Keitha Landry'ego wdarło się brzęczenie jakiegoś urządzenia mechanicznego. Otworzył oczy. Powiew wiatru unosił białą koronkową zasłonkę, przez którą przeciskało się poranne słońce.

Czuł zapach zmytej deszczem ziemi i wiejskiego powietrza przesyconego wonią lucerny. Przez chwilę leżał, przyglądał się ścianom i sufitowi, powoli uświadamiając sobie, gdzie jest. Tyle razy śnił, że budzi się w swoim starym pokoju, a teraz ta chwila wydała mu się jakaś złowieszcza.

Usiadł, przeciągnął się i ziewnął.

—Czwarty dzień drugiego życia, poranek. Do dzieła. — Wyskoczył z łóżka i ruszył do łazienki na parterze.

Po prysznicu, już w spodniach khaki i podkoszulku, sprawdził zawartość lodówki. Pełnotłuste mleko, biały chleb, masło, boczek i jajka. Od lat nie jadł takich rzeczy, ale mruknął tylko:

—Czemu nie?

Przygotował sobie duże, tłuste śniadanie. Smakowało niebiańsko. Smakowało po domowemu.

Wyszedł na zwirowany podjazd. Powietrze było rześkie i wilgotne, nad polami wisiała mgła. Pokręcił się po obejściu. Zobaczył, że stodoła jest w złym stanie. Tu i ówdzie znajdował przedmioty, które przypominały mu dawne życie na farmie: zardzewiałą siekierę, wbitą w pniak, rozwalone koryto na karmę, przechylony silos, walący się kurnik, złamany płot padoku i zagrody dla świń, skrzynkę wypełnioną starymi narzędziami — to wszystko pozostało, niezabrane, niechciane, wiadoma oznaka upadku wsi.

Warzywnik i altana porośnięta dzikim winem zarosły chwastami, a i samemu domowi — co dostrzegł dopiero teraz — przydałoby się malowanie.

To, czego oczekiwał, jadąc tutaj, nie pokrywało się z realiami. Farmerski dom, w którym się wychował, nie był już dzisiaj tak malowniczy, a rodzin mieszkających w tej okolicy od zawsze z każdym rokiem ubywało — to wiedział już z poprzednich wizyt.

Młodzi ludzie wyjeżdżali do miast i tam znajdowali pracę, tak postąpili jego brat i siostra, a starsi coraz częściej przenosili się na południe, uciekając przed srogimi zimami, tak jak jego rodzice. Większość ziemi sprzedano lub wdzierżawiono wielkim gospodarstwom rolno--spożywczym, a rodziny, które pozostały na swoim, musiały walczyć o przetrwanie z takim samym trudem, jak tuż po osiedleniu się na tych terenach. Różnica polegała na tym, że nie zmuszały ich do tego warunki ekonomiczne, trzymała ich tylko wola, by żyć tak jak dawniej. Jadąc tutaj, Keith zastanawiał się, czy nie uprawiać ziemi, ale kiedy znalazł się na miejscu, pomyślał, że powinien głębiej tę sprawę rozważyć.

Stał przed domem i patrzył na werandę, przypominając sobie letnie noce, hamaki i fotele na biegunach, lemoniadę, radio, rodzinę i przyjaciół. Poczł nagłą potrzebę zatelefonowania do rodziców, do brata i siostry; powie im, że jest w domu, i zaproponuje spotkanie rodzinne. Ale uznał, że poczeka z tym, aż sam osiągnie równowagę psychiczną. Musi zrozumieć siebie i swoje pragnienia.

Wsiadł do samochodu i odjechał zakurzoną wiejską drogą.

Czteryście akrów ziemi należącej do rodziny Landrych wdzierżawiła rodzina Mullerów, dzięki czemu każdej wiosny jego rodzice otrzymywali czek. Ojciec Keitha żył w przekonaniu, że na jego ziemi rośnie kukurydza, ale Mullerowie setki akrów obsiali soją, którą dostarczali zbudowanej w pobliżu japońskiej fabryce. Fabryka dawała zatrudnienie wielu ludziom i kupowała dużo soi. Mimo to ksenofobia w hrabstwie Spencer sięgała zenitu i Keith nie miał wątpliwości, że Japończycy byli tu tak samo źle widziani, jak meksykańscy imigranci, którzy zjawiali się każdego lata. To dziwne, myślał, coś na granicy cudu i czegoś złowieszczonego, że gdzieś w samym środku Stanów Zjednoczonych, w samym sercu rolniczej krainy, pojawili się Japończycy, Meksykanie, a ostatnio nawet przybysze z Indii i Pakistanu. Wielu z nich pracowało w miejscowym szpitalu na stanowiskach lekarzy.

Miejscowi nie mogli winić za ten stan rzeczy nikogo poza sobą. Populacja w hrabstwie systematycznie malała, najlepsi i najzdolniejsi wyjeżdżali, natomiast ta młodzież, którą Keith spotykał przy okazji swoich wizyt, wydała mu się apatyczna, pozbawiona celu i motywacji, niechętna pracy na farmach i nienadająca się do zajęć wymagających wykształcenia.

Drogi, którymi jechał Keith, całkiem dobre, ale nie rewelacyjne, cięły hrabstwo na szachownicę, z północy na południe i ze wschodu na zachód. Tylko niektóre miejsca pozostały niezmiennione, takie jak za pierwszych osadników. Z lotu ptaka północno-zachodnie hrabstwa wyglądały jak płachta papieru milimetrowego, po którym płynie strużka brunatnego atramentu — błotnista rzeka Maumee, meandrująca od południowego zachodu do wielkiego błękitnego kleksa jeziora Erie.

Keith przemierzał hrabstwo aż do południa, mijał domy, w których niegdyś mieszkali ludzie, teraz niszczone, widział nawet kilka całkiem opustoszałych osad, nieczynny punkt sprzedaży narzędzi rolniczych, zabite deskami szkoły wiejskie i stodoły. Wszystko to powodowało, że okolica sprawiała wrażenie opuszczonej.

Przy drodze co jakiś czas napotykał tablice informujące o jakichś wydarzeniach historycznych. To mu przypominało, że hrabstwo Spencer było niegdyś miejscem kilku bitew stoczonych podczas wojny z Francuzami i Indianami, jeszcze przed rewolucją amerykańską, zanim przybyli tu jego przodkowie. Wyobrażał sobie tych Anglików i Francuzów, przemykających lasami, przedzierających się przez moczary, otoczonych przez Indian, zabijających kolejnych wrogów. Tak daleko pozostawiali swoje domy... Prawdę mówiąc, kiedy uczył się o tych wojnach jako chłopiec, uważał je za szczyt idiotyzmu, ale wtedy jeszcze nie wiedział nic o Wietnamie.

Całe terytorium dostało się w ręce Anglików, więc rewolucja właściwie nie tknęła tutejszych osiedleńców. W 1838 roku coraz liczniejsza ludność połączyła się w hrabstwo Spencer. W wojnie meksykańskiej z 1846 wzięło udział wielu mieszkających tu wojskowych, których większość zginęła, a wojna secesyjna praktycznie zdziesiątkowała młodych mężczyzn. Hrabstwo jednak podniosło się po tej burzy, rozrosło i wręcz rozkwitło, osiągając szczyt rozwoju w czasie, gdy w Europie toczyła się pierwsza wojna światowa. Ale po jej zakończeniu i po kolejnym światowym kataklizmie, który spowodował gwałtowne zmiany cywilizacyjne, rozpoczął się czas upadku, niedostrzegalny za jego młodych lat, ale teraz już oczywisty. Wciąż zastanawiał się, czy naprawdę chce tu mieszkać, czy może przybył tylko po to, by dokończyć stare sprawy...

Na skrzyżowaniu dróg, tuż przed wjazdem do miasta, stała samoobsługowa stacja benzynowa, a obok niej sklep. Nazwa nic mu nie mówiła, ale podjechał. Wysokie ceny, byle jakie jedzenie, za to tylko najlepszych firm, i tania benzyna niewiadomego pochodzenia — uznał to za ciekawą koncepcję marketingową. Stwierdził jednak, że jego saab, podobnie jak on sam, musi się przyzwyczaić do urozmaiconej diety, wysiadł więc i zatankował.

Pokazał się pracownik, jakieś dziesięć lat młodszy od Keitha. Dłuższą chwilę patrzył na samochód, potem podszedł i zajrzał do środka.

•Co to za cudo? — zapytał.

•Samochód.

•To wiem, u diabła. Ale jaki? — Roześmiał się, uderzając dłonią w udo.

•Saab, dziewięćsetka. Szwedzki.

-Co?

•Zrobiony w Szwecji.

•Nie żartujesz pan?

Keith zakręcił wlew paliwa i wetknął wąż w dystrybutor. Mężczyzna spojrzął na tablicę rejestracyjną.

—Dystrykt Kolumbii, stolica kraju. Stamtąd pan jesteś?

-Tak.

•Robisz dla rządu? Podatki? Ostatnio mało się tu was pokazywało. — Gruchnął śmiechem.

•Zwykły obywatel. — Keith uśmiechnął się grzecznie.

•Przejazdem?

•Może zostaną chwilę. — Wręczył mężczyźnie banknot dwudzie-stodolarowy.

Ten nie spieszył się z wydawaniem reszty.

•Masz pan jakieś upatrzone miejsce? — zapytał.

•Mam tu rodzinę.

•Pochodzi pan z tych stron?

•Nazywam się Landry. Wyjechałem jakiś czas temu.

•Przecież znam ich, do licha. Który Landry?

•Keith. Moi rodzice to George i Alma. Mieli farmę koło Overton.

•Wiem, gdzie to jest. Teraz są na emeryturze, co?

•Wyjechali na Florydę.

•Bob Arles. — Mężczyzna wyciągnął dłoń. — Moi starzy prowadzili stację benzynową Texaco w mieście.

— Pamiętam. Nadal dwadzieścia dwa centy za galon?

Bob Arles roześmiał się.

•Nie, zamknęli interes. W samym mieście nie ma już ani jednej stacji. Za wysokie podatki, czynsze jeszcze większe, a wielkie kompanie naftowe też nas nie rozpieszczają. Ja z mety kupuję od takich, co sprzedają paliwko tanio.

•Co wlałem dzisiaj?

•O, pan to miałeś szczęście. Było jakieś pół mobila, trochę shella, odrobinę texaco.

•Nic z kukurydzy? Arles znowu się zaśmiał.

•Tego też ciut-ciut. Takie życie.

•Sprzedaje pan piwo?

•Jasna sprawa.

Arles poszedł za Keithem do sklepu, gdzie przedstawił go kobiecie o srogim wyrazie twarzy, siedzącej za kontuarem.

—To moja żona. Mary. A to Keith Landry, jego rodzice mieszkali na farmie koło Overton.

Kobieta skinęła głową.

Keith podszedł do lady chłodniczej, gdzie zobaczył dwa rodzaje importowanego piwa, heinekę i coronę, ale ponieważ nie chciał wyjść na faceta całkiem nie z tej planety, sięgnął po paczkę sześciu coorsów i sześciu rolling rocków, jedno i drugie w puszkach. Zapłacił kobiecie. Kiedy wychodził, Bob Arles ruszył za nim.

•Szukasz pan roboty? — zapytał.

•Może.

•Nie jest lekko. Farma jeszcze należy do pana?

•Tak, ale ziemia jest wydzierżawiona.

•Dobrze. Bierz pan pieniądze i nogi za pas. Farmerstwo to dzisiaj kosztowne hobby.

•Aż tak źle?

•Ile masz? Czteryście akrów? To tyle co nic. Ci z czterema tysiącami akrów, płodozmianem i hodowlą radzą sobie całkiem nieźle. Jeden taki to nawet jeździ lincolnem. Trzyma się z Japońcami i dostarcza zboże hurtownikom z Maumee. Gdzie się pan zatrzymałeś?

•Na farmie.

•Aha. Masz pan tu jakąś kobitkę?

•Jestem sam — odparł Keith.

Arles zorientował się, że przesadził z poufałością, więc powiedział tylko:

•No, to życzę szczęścia.

•Dzięki. — Keith rzucił piwo na siedzenie i wsiadł do samochodu.

•I witamy w domu — dodał Arles.

•Dzięki.

Wyprowadził samochód na szosę. Z tego miejsca widział południowy skraj Spencerville, szereg magazynów i warsztatów, za którymi rozciągały się już pola; tam właśnie przebiegała granica miejskiej aktywności i podatków, a zaczynało się życie wiejskie.

Okrażył miasto. Jeszcze nie miał ochoty tam wracać, chociaż właściwie nie wiedział dlaczego. Może nie bardzo chciał przejeżdżać główną ulicą w swym dziwacznym samochodzie, a może nie był gotowy na spotkanie z ludźmi, których znał.

Skierował się w stronę kościoła Świętego Jakuba.

W drodze starał się nie widzieć domów na kółkach, aluminiowych baraków i porzuconych samochodów. Okolica nadal było bardzo piękna, rozległe połacie obsiane kukurydzą, pola, które sięgały aż po horyzont, gdzie jak dawniej linie drzew dzieliły poszczególne majątki. Strumienie i potoki, źródłanie czyste, wiły się między wierzbami płaczącymi, przepływając pod mostkami.

Tę ziemię w czasach prehistorycznych pokrywało morze, a kiedy zjawili się tu przodkowie Keitha, większość tego, co stało się potem północno-zachodnim Ohio, było bagnami i lasami. W stosunkowo krótkim czasie, mając do dyspozycji tylko najprostsze narzędzia, ludzie osuszyli bagna, wykarczowali drzewa, wzniesli domy. Żyzność ziemi, która jakby czekała przez dziesięć milionów lat, aż ktoś się nią zajmie, objawiła się teraz w urodzajnych plonach ryżu i jęczmienia, owsa i żyta, marchwi i kapusty, właściwie wszystkiego, czym pionierzy obsiali ziemię.

Po wojnie secesyjnej ci, którzy zajmowali się uprawą ziemi, zbijali majątki na zbożu, potem nadeszła era kukurydzy, łatwiejszej, rosnącej jeszcze lepiej, teraz zaś Keith dostrzegał coraz więcej soi, cudownych strąków, bogatych w białko, które miały wykarmić coraz liczniejszą ludność ziemi.

Hrabstwo Spencer, czy się to komuś podobało, czy też nie, zostało teraz powiązane z całym światem i miało przyszłość. Keith widział oczami wyobraźni dwa obrazy: na jednym powrót do sielankowego wiejskiego życia dzięki mieszkańcom miast i przedmieść szukającym spokojniejszej i bezpieczniejszej egzystencji, na drugim ten świat jako coś w rodzaju megaplantacji, należącej do nieobecnych inwestorów, których jedynym celem jest zwiększenie produkcji. Keith widział pola i farmy pozbawione drzew i płotów, byle tylko było więcej miejsca pod zasiew. A gdy się nad tym zastanawiał, przyszło mu do głowy, że może cały naród podąży w złym kierunku.

Zjechał na wysypiane żwirem pobocze i wysiadł z samochodu.

Powyżej pola, na wzgórzu, znajdował się cmentarz ocieniony klonami i otoczony łąkami kukurydzy. Jakies pięćdziesiąt jardów dalej przycupnął kościół Świętego Jakuba, do którego chodził jako chłopiec. Obok stała niewielka plebania, gdzie dawniej mieszkał pastor z panią Wilkes; zresztą może ciągle jeszcze żyli.

Keith wszedł na teren cmentarza, przechadzał się między grobami, których wiele było zniszczonych przez czas i porośniętych mchem.

Odnalazł swoich dziadków ze strony matki i ojca, a potem po kolei ich rodziców oraz synów, córki i dalszą rodzinę. Pochowani byli w interesującym porządku, który trzeba było znać, żeby się nie pogubić. Najstarsze groby znajdowały się w najwyższym miejscu wzniesienia, późniejsze usytuowane były niżej, w koncentrycznych kręgach, schodzących aż do skraju pól. Grób najstarszego z rodziny Landrych nosił datę 1849, a najstarszego Hoffmana, niemieckiego

przodka Keitha, był z 1841 roku. Nie leżeli tu polegli w którejś z wcześniejszych wojen, ponieważ w tamtych czasach ciał nie odsyłano do domów. Ale Korea i Wietnam miały liczną reprezentację. Keith znalazł grób swego wujka i zatrzymał się na chwilę, potem przeszedł do miejsca, gdzie pogrzebano mężczyzn zabitych w Wietnamie. Było ich dziesięciu, pokaźna liczba jak na mały wiejski cmentarz. Keith znał ich wszystkich, niektórych z widzenia, kilku całkiem dobrze, każde nazwisko przywoływało wspomnienie twarzy. Czekał, czy nie poczucie się winny jako ten, który przeżył, ale przecież stojąc przed Ścianą Pamięci w Waszyngtonie, nie doświadczył niczego takiego. Ogarnął go tylko bezsilny gniew z powodu niepotrzebnej straty. I zaświtała mu jeszcze inna myśl, która w czasie ostatnich tygodni nachodziła go coraz częściej: wprawdzie ostatnie lata przyniosły mu wiele sukcesów, jego życie byłoby lepsze, gdyby nie przytrafiła się ta wojna.

Usiadł pod klonem, pomiędzy grobami u stóp wzgórza, tuż przy polu i żuł źdźbło trawy. Słońce wisiało wysoko, ziemia była jeszcze zimna i mokra po burzy. Takiego spokoju nie doświadczył od wielu lat. Był do głębi poruszony tym, że oto jest z powrotem w domu. Położył się na plecach i patrzył w jasne niebo, przeświecające między liśćmi klonu.

— Gdybym nie pojechał na wojnę, Annie i ja pewnie byśmy się pobrali... kto wie.

Ten cmentarz, pomyślał, jest równie dobrym miejscem, od którego można zacząć wracać, jak każde inne.

Podjechał do miasta od strony północnej, gdzie kończyła się polna droga, a zaczynała street Williams. Zwolnił, zawahał się i skręcił w jedną z uliczek przedmieścia.

Niektóre ze starych wiktoriańskich budynków wyglądały na wyremontowane, inne popadły w ruinę. Jako dzieciaka fascynowało go wszystko w tej dzielnicy: wielkie domy na małych splechawkach gruntu, które teraz wcale nie wydawały mu się takie małe, potężne drzewa, tworzące w lecie ciemnozielony tunel, sam fakt, że ludzie mogą mieszkać tak blisko siebie, że zagląдают sobie wprost w okna, no i luksus posiadania dwóch samochodów. To, co kiedyś robiło wrażenie, bawiło i wydawało się tajemnicze, teraz oczywiście już takie nie było. Niewinność dziecięca z perspektywy czasu wręcz zawstydziała, ale jakim byłby dorosłym, gdyby choć raz nie patrzył na życie szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma?

Ulica była spokojna, czego się należało spodziewać w letnie popołudnie. Dzieci jeździły na rowerach, jakaś matka pchała wózek z niemowlęciem, kierowca ciężarówki dostawczej zatrzymał się, by sobie uciąć pogawędkę ze stojącą w drzwiach kobietą. To była ulica wielkich werand — amerykański fenomen, co odkrył podczas swoich podróży. Ale dzisiaj w Ameryce już tak się domów nie budowało. Na niektórych z tych werand bawiły się maluchy, obok na fotelach kołysali się starcy. Cieszył się, że Annie mieszka na takiej ulicy.

Kiedy podjechał pod jej dom, wydarzyło się coś dziwnego. Serce zaczęło mu mocno walić, a w ustach całkiem zaschło. Dom stał po prawej stronie, minął go, zanim zdał sobie z tego sprawę. Zobaczył przy furtce zniszczoną ciężarówkę, stary człowiek, który z niej wysiadł, wnosił do domu drabinę. I była też ona. Zdążyła mu tylko mignąć i znikła w głę-

bi wraz ze starym człowiekiem. Trwało to sekundę czy dwie, patrzył z odległości pięćdziesięciu kroków, ale nie miał wątpliwości, że to ona, w jednej chwili rozpoznał jej rysy twarzy, ruchy, sposób chodzenia. I to go zaskoczyło.

Cofnął samochód i otworzył drzwiczki, ale nie wysiadł. Tak po prostu stanąć w jej drzwiach? Ale dlaczego nie? Cóż w tym złego? Nie wyobrażał sobie, że mógłby zadzwonić do niej czy podrzucić list. Nie wiedział dlaczego, lecz nagle odniósł wrażenie, że powinien po prostu zapukać do jej drzwi i powiedzieć: „Cześć, Annie”. Spontanicznie, bez żadnych prób i niech się dzieje, co chce.

A jeśli nie jest sama? Jeśli w domu są dzieci albo mąż? Dlaczego to mu nigdy nie przyszło do głowy, kiedy wyobrażał sobie po wielokroć tę scenę w minionych latach? Najwyraźniej wyobrażona chwila stała się dla niego tak ważna, że odrzucał wszystko, co mogło mu ją zepsuć.

Zatrzasnął drzwi samochodu i wycofał się. Ruszył w stronę farmy, a jego myśli mknęły jeszcze szybciej niż samochód. Co się z tobą dzieje, Landry? Weź się w garść, chłopie.

Odetchnął głęboko i zwolnił do dozwolonej prędkości. Nie ma co zaczynać od utarczek z miejscową władzą. To przypominało mu męża Annie. Z pewnością, myślał, gdyby nie była mężatką, odważyłby się zatrzymać i powiedzieć „cześć”. Ale mężatki nie wolno w ten sposób kompromitować. Nie w tych stronach.

Może więc zostawić wiadomość u jej siostry. Albo zatelefonować. Facet, który radził sobie w Berlinie Wschodnim, powinien zdobyć się na rozmowę z dziewczyną, którą kiedyś kochał.

— Jasne — mruknął i dodał w myślach: za parę tygodni, kiedy jakoś tutaj osiądę.

Wrócił na swoją werandę i spędził tam całe popołudnie z dwoma sześciopakami piwa, przyglądając się przejeżdżającym samochodom.

Bob Arles wlewał benzynę do baku samochodu szefa policji. Samoobsługa nie oznaczała, że Cliff Baxter ma się sam tym zajmować. Gawędzili pogodnie.

- Posłuchaj, szefie — powiedział Arles — był tu dziś interesujący gość.
- Masz suszoną wołowinę?
- Jasne. Obsłuż się.

Cliff Baxter przeszedł do sklepiku i dotknięciem róna kapelusza przywitał panią Arles, która nadal siedziała za ladą. Przyglądała mu się, kiedy wyciągał wołowinę, ciasteczka z masłem czekoladowym, solone orzeszki i baloniki Hersheya. Razem jakieś dwadzieścia dolarów, policzyła w myślach.

Z lodówki wyjął napój pomarańczowy, cisnął wszystko na blat koło kasy i zapytał:

•Za ile mamy tu tego dobra, Mary?

•Za jakieś dwa dolary. — Zawsze odpowiadała tak samo. Rzucił kilka ćwiartek, a ona włożyła zakupy do papierowej torby.

Bob Arles przyniósł rachunek wypisany na komisariat, Cliff go podpisał, nie sprawdzając sumy.

— Dzięki, szefie — powiedział Arles.

Mary nie była pewna, czy jest za co dziękować. Mężczyźni muszą zamienić każdy interes w transakcję związaną, pomyślała. Jej mąż wystawiał miastu zawyżone rachunki za paliwo, a policjant paś swój tłusty brzuch prawie za darmo.

Cliff zabrał torbę i wyszedł. Bob Arles ruszył za nim.

•Jak już powiedziałem, przyjechał taki facet zagranicznym samochodem, ma tablice z Waszyngtonu i...

•Wyglądał podejrzanie?

•Nie, chcę tylko powiedzieć, że pochodzi z tych stron. Kiedyś tutaj mieszkał. Teraz wrócił i szuka pracy, mieszka na farmie swoich starych. Rzadko ktoś wraca.

•Pewnie, że rzadko. I dobrze. — Cliff wsiadł do swego wozu.

•Przyjechał saabem. Ciekawe, ile można by za niego dostać?

•Poczekaj, niech no pomyślę... Może dwadzieścia tysięcy, nawet trzydzieści, jeśli nowy.

•Facetowi musi się dobrze powodzić.

•To po cholere kupuje sobie zagraniczny wóz? — Cliff odkręcił okno. — Powiedział, jak się nazywa?

•Landry. Keith Landry.

•Co? — Cliff Baxter gapił się na Arlesa.

•Jego starzy mieli farmę koło Overton — dodał Arles. — Znałeś ich?

Cliff siedział przez chwilę cicho, a potem powiedział:

•Taa... Keith Landry?

•Tak właśnie powiedział.

•Wrócił? -Mhm.

•Z rodziną? -Nie.

•Jak wygląda?

•Nie wiem. — Bob wzruszył ramionami. — Normalny facet.

•Z ciebie to byłby szatan nie policjant. Gruby? Chudy? Łysy? Siu-siak sterczy mu na głowie?

•Chudy. Wysoki, z bujną czupryną. Powiedziałbym, że przystojny. Czemu pytasz?

•Tak sobie pomyślałem, że lepiej mieć na niego oko. Zęby go ładnie powitać w domu.

•Jego samochodu nie pomylił z żadnym innym. A poza tym mieszka w domu swoich rodziców. Możesz go sprawdzić, jeśli chcesz.

•Może to zrobić. — Cliff wrzucił pierwszy bieg i pojechał na południe w stronę Overton.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cliff Baxter dumał nad wydarzeniami poranka.

Nie miał pojęcia, co w nią wstąpiło.

Oczywiście wiedział bardzo dobrze. Nienawidziła go. W jakiś sposób nawet to akceptował, chociaż był przekonany, że żona równocześnie go kocha. On ją kochał, więc i ona musiała kochać jego. Natomiast naprawdę zaniepokoiło go, że zdecydowała się wziąć broń z jego kolekcji. Zawsze była mocna w gębie, ale co najwyżej rzuciła w niego talerzem. A teraz strzeliła mu tuż nad głowę.

—Pewnie ma zespół napięcia przedmiesiączkowego. Dlatego jest taka rozdrażniona.

Wierzył, że to on wygrał kłótnię, ale tylko w chwilach, gdy zapominał, że nie wytrzymał mu pęcherz. A o tym starał się zapomnieć. Tyle tylko że nie mógł.

—Dziwka.

Może by się nad tym i dłużej zastanawiał, gdyby nie to, że pojawił się całkiem nowy problem — pan Keith Landry, były chłopak panny Annie Prentis.

Przejechał koło farmy rodziny Landrych, zlustrował czarnego saaba zaparkowanego na wysypanym żwirze podjeździe. Zauważył też siedzącego na ganku mężczyznę i był pewien, że ten z kolei zauważył przejeżdżający

radiowóz.

Baxter skorzystał z telefonu w samochodzie i zadzwonił do pełniącego służbę sierżanta.

— To ja, Blake. Przekręć do Waszyngtonu, do biura rejestracji samochodów, i dowiedz się wszystkiego o facecie, który nazywa się Keith Landry. — Przeliterował imię i nazwisko. — Jeździ czarnym saabem, dziewięćsetką. Nie mam pojęcia, który rocznik, i nie widzę numerów. Oddzwoń jak najszybciej.

Następnie połączył się z informacją telefoniczną.

— Potrzebny mi numer Landry'ego, Keitha Landry'ego, County Road dwadzieścia osiem, niedawno przyznany.

— Nie mam numeru na takie nazwisko, proszę pana — usłyszał w odpowiedzi.

Cliff rozłączył się i zadzwonił na pocztę.

— Mówi szef policji Baxter, połączcie mnie z naczelnikiem.

Po kilku sekundach zgłosił się Tim Hodge, kierownik urzędu pocztowego.

• Mogę w czymś pomóc?

• Tak, Tim. Sprawdź, czy nie masz czasem nowego klienta, nazwisko Landry, z Waszyngtonu. Owszem, chodzi o stolicę naszego kraju.

• Poczekaj chwilę, już sprawdzam. — Kilka minut później Hodge odezwał się znowu: — Owszem, mamy tu kilka rachunków Keitha Landry'ego.

• Czy figuruje gdzieś pani Landry?

• Nie, tylko on.

• Pobyt czasowy?

• Wygląda na stałą zmianę adresu. Jakiś problem?

• Nie. Po prostu dom stał pusty, a teraz wygląda, jakby ktoś tu mieszkał.

• Pamiętam starszych państwa o tym nazwisku, George'a i Almę. Przenieśli się na Florydę. Co to za facet?

• Przypuszczam, że syn. — Cliff zastanawiał się przez chwilę, po czym zadał kolejne pytanie: — Czy zarezerwował skrytkę pocztową?

• Nie. Gdyby to zrobił, wpłynęłyby od niego jakieś pieniądze.

• Jasne. W porządku.... Posłuchaj, chciałbym rzucić okiem na to, co do niego przychodzi.

Minęła długa chwila, podczas której do naczelnika dotarło, że to nie jest zwykła prośba.

• Przykro mi. Przerabialiśmy to już wcześniej. Żeby coś takiego zrobić, muszę zobaczyć nakaz sądowy.

• Do diabła, Tim, chcę tylko zerknąć na koperty, a nie otwierać jego korespondencję.

• Tak... ale... jeśli to jakiś łobuziak, idź do sądu...

• Ja tylko proszę o drobną przysługę, Tim. Jeśli ty będziesz potrzebował czegoś, to wiesz, gdzie przyjść. Prawdę mówiąc, jesteś mi coś winien, od kiedy twój zięć prowadził ubzdrygolony.

• No tak... dobra... Chcesz tylko spojrzeć na koperty, jak będziemy je sortować...?

• Nie mogę przecież sterczeć u was przez cały dzień. Zrób fotokopie, z przodu i tyłu, a ja będę po nie wpadał od czasu do czasu.

-No...

— I trzymaj gębę na kłódkę, to ja też będę trzymał. Pozdrów ode mnie córkę.

Cliff odłożył słuchawkę. Jechał prostą drogą, nie zwracając uwagi na okolicę, i zastanawiał się nad wydarzeniami ostatniego dnia.

Facet wrócił, nie poprosił jeszcze o założenie telefonu, ale chce, żeby mu dostarczać pocztę. Dlaczego się tu znowu pojawił?

Baxter pamiętał Keitha Landry'ego ze szkoły średniej, ale te wspomnienia wcale nie były przyjemne. Nie znał go dobrze, właściwie tylko z widzenia, ale Keitha znał każdy. Był jednym z tych gości, o których wiadomo, że zawsze i wszędzie odniosą sukces. Wysportowany, odcytany i na tyle popularny, że tacy faceci jak Cliff Baxter nienawidzili go z całej duszy.

Cliff przypomniał sobie z pewnym zadowoleniem, że kilka razy potrafił Keitha na korytarzu szkolnym, a Keith tylko powiedział „przepraszam”, jakby wina leżała po jego stronie. Cliff uważał Landry'ego za mięczaka, ale przyjaciele ostrzegali go, żeby nie przeciągał struny. Sam to wiedział, chociaż starał się nie przyznawać do tego nawet przed sobą.

Cliff był o rok niżej niż Landry i właściwie nie zwracałby na niego uwagi, gdyby Keith nie umawiał się z Annie Prentis.

Wkurzali go czasem ludzie pokroju Landry'ego. Wydawało się, że wszystko robią jak należy. Chodzili z odpowiednimi dziewczynami, wszystko, do czego się brali, szło im jak z płatka. A co gorsza, Landry był synem zwykłego farmera i w dni wolne od szkoły przerzucał widłami gnój, a jego rodzice przyjeżdżali do firmy rodziców

Baxtera wymienić stary samochód na niewiele młodszy i ledwie ich było stać, żeby dopłacić różnicę. A jednak ten właśnie facet poszedł na studia, bo na jego stypendium złożył się kościół, klub rotariański i jeszcze coś skapnęło z kasy stanowej, z pieniędzy, które płacili tacy Baxterowie. A na końcu wypiął się na nich wszystkich i wyjechał.

— Pieprzony dupek.

Nie miałby nic przeciwko wyjazdowi tego skurwiela, tyle tylko że razem z nim pojechała też Annie Prentis, i z tego, co Cliff słyszał, przez cztery lata w Bowlig Green tych dwoje pieprzyło się ile wlezie, dopiero później przyszła jego kolej.

Trzasnął dłonią w tablicę rozdzielczą.

— Cholerny dupek.

Kutas, który kiedyś rznął jego żonę, pojawił się z powrotem w mieście! To było nie do zniesienia.

— Skurwiel.

Przez chwilę jechał przed siebie, planując następny ruch. Wiedział jedno - ten Landry musi się stąd wynieść. Obojętne jak. To miasto należy do Cliffa Baxtera i nikt, ale to nikt, nie będzie mu tu podskakiwał — szczególnie facet, który pieprzył się kiedyś z jego żoną.

— Jesteś przeszłością, chłopcze.

Nawet jeśli Landry zapomniał o tym, co było, Cliff wściekał się na samą myśl, że ten drań może znowu znaleźć się blisko jego żony choćby przypadkiem, w mieście lub u wspólnych znajomych. Wyobraził sobie, jak spotykają się na ślubie czy innej uroczystości, i ten złamas, który bzykał jego żonę, podchodzi z uśmiechem, żeby powiedzieć jej cześć. Cliff potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć tej myśli.

•Nie ma mowy. Nie ma takiej pieprzonej możliwości. — Odetchnął głęboko.

•A niech to szlag, bzykał się z moją żoną przez cztery lata, może nawet pięć czy sześć, a teraz przyjeżdża tu sobie jakby nigdy nic, bez żadnej cholernej baby, siedzi sobie na tej swojej cholernej werandzie i do cholery, nic nie robi... — Baxter jeszcze raz wałnął ręką w kierownicę. — A niech go szlag!

Zatrzeszczało radio i w samochodzie rozległ się głos sierżanta Blake'a:

•Szeffie, jeśli chodzi o informację na temat tej tablicy rej...

•Chcesz, żeby cię słyszało całe hrabstwo? Używaj telefonu.

•Tak jest.

Kiedy tylko odezwał się sygnał, szeryf warknął: -Wal.

•Przefaksowałem nazwisko Keith Landry, podałem markę wozu i model, ale odfaksowali odpowiedź negatywną.

•Co to ma niby znaczyć?

•No cóż, powiedzieli, że taka osoba nie istnieje.

•Do cholery, Blake, spisz numer rejestracyjny tego cholernego samochodu i przefaksuj to jeszcze raz.

•Gdzie on stoi?

•Na ich starej farmie, County Road dwadzieścia osiem. Chcę dostać wszystkie dane z prawa jazdy, potem masz zadzwonić do banków i sprawdzić, czy gdzieś otworzył rachunek, zdobyć jego numer ubezpieczalni, następnie... dowiedz się o przebieg służby wojskowej, czy był notowany, wszystko, co się da.

•Tak jest.

Cliff rozłączył się. Po prawie trzydziestu latach w policji umiał budować akta od podstaw. Dwóch detektywów w jego komisariacie prowadziło kryminalną bazę danych, ale to Cliffa zupełnie nie interesowało. On miał własne dane na temat każdego, kto choć trochę liczył się w hrabstwie Spencer i kim się z jakiegoś powodu interesował.

Zdał sobie sprawę, że trzymanie tajnych akt na temat prywatnych obywateli jest nielegalne, ale był przedstawicielem starej szkoły, w której uczyli, że karierę i bezpieczeństwo najłatwiej załatwić zastraszeniem i szantażem.

A właściwie wiedział o tym, zanim jeszcze wstąpił do policji. Jego ojciec, a wcześniej jeszcze ojciec jego ojca szli przez życie niby tarany i odnieśli sukces. I żeby oddać sprawiedliwość, to nie system skorumpował jego, to on — i to właściwie jednoosobowo — skorumpował system. Ale nie mógłby tego dokonać bez pomocy ludzi, którzy popełniali świnstwa w życiu osobistym i zawodowym — żonatych mężczyzn, którzy utrzymywali pozamałżeńskie związki, ojców, którzy chcieli ratować synów przed karzącą ręką prawa, biznesmenów, którym bardzo na rękę były wszelkie ulgi podatkowe, polityków, którzy chcieli się dowiedzieć czegoś o swoich przeciwnikach, i tak dalej, i tak dalej. Cliff zawsze był na miejscu, zawsze potrafił wyczuć ludzkie słabości i doskonale odbierał każdy sygnał, zapowiadający zejście ze ścieżki prawa. I zawsze wtedy wyciągał pomocną dłoń.

Kiedy stał się częścią systemu, brakowało w nim jedynie centrali, miejsca, do którego obywatel mógł przyjść i ofiarować usługę za usługę, gdzie człowiek mógł sprzedać własną duszę.

Notatki Cliffa Baxtera stały się z biegiem lat prawdziwymi aktami. Nie było na nie ceny.

Niestety, ostatnimi czasy do urzędów związanych z władzą dostało się sporo takich ludzi, jakich on nie lubił. Nauczyciele, kaznodzieje, gospodynie domowe, zakichani farmerzy. Nawet do rady miejskiej trafiła jedna kobieta, niejaka Gail Porter, emerytowana wykładowczyni uniwersytecka, hałaśliwa suka i na dodatek była komunistka. Przeszła fuksem, jej przeciwnik, Bobby Cole, dał się przyłapać w męskiej toalecie na stacji autobusowej w Toledo.

Cliff jej nie docenił, a potem było za późno, ale od tego czasu już zebrał o niej akta pękate jak dynia i był pewien, że wykurzy ją podczas najbliższych wyborów w listopadzie. Kobiety jej pokroju nie popierały istniejącego porządku i Cliff wiedział, że gdyby ona utrzymała się na stanowisku, za nią przyszyłyby następne.

Cliff był spokrewniony z burmistrzem, dobrze znał kilku radnych i komendanta policji stanowej. Wszyscy ci ludzie zdobywali swoje urzędy w wyborach. Natomiast stanowisko Cliffa było z mianowania i jego zdaniem zostało mu przyznane raz na zawsze. Wiedział, że musi się trzymać stolka, bo gdyby stracił pracę, setki mężczyzn i kobiet zbiegłoby się, by go stratać.

Wiedział zachodzące w świecie zmiany i wiedział, że tych zmian nie zatrzymają granice hrabstwa Spencer. Wiedział też, że nowe nie jest dla niego bezpieczne. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, że potrafi panować nad tym, co się dzieje, przynajmniej tak długo, jak długo szeryfem hrabstwa pozostawał Don Finney, kuzyn jego matki. Don miał tylko dwóch zastępców, którzy kontrolowali całe hrabstwo, toteż zawarł z Cliffem cichą umowę, że policja Spencerville może działać także poza granicami miasta, i właśnie to Cliff teraz wykorzystywał. Dzięki takiemu układowi mógł wtrącać się w sprawy ludzi mieszkających poza jego jurysdykcją, takich na przykład jak ta Porter i jej mąż czy Keith Landry.

W ten sposób zamierzał działać jeszcze parę lat. Potem, gdy dzieci skończą studia i nadejdzie czas emerytury, planował zmianę terenów łowieckich — chciał przeskoczyć przez granicę do Michigan. Ale na razie pożerał swoich wrogów, nawet kiedy nie był głodny.

Część jego natury, która upodabniała go do rekina, potrafiła wyczuć krew na dobrą milę, ale od tych nowych ludzi, z Gail Porter włącznie, wcale nie dochodził zapach krwi. Pokazał jej kiedyś, ile ma na nią haków, w nadziei, że szybko zagoni ją do szeregu. Pokazał jej, że wie o jej działalności lewicowej w czasach uniwersyteckich i o chłopakach, z którymi się bzykała, a z tej wiadomości jej mąż na pewno nie byłby zadowolony. Ale ona powiedziała tylko, żeby wsadził sobie te informacje gdzieś. Cliff był bardziej niż wkurzony, o mało jej nie trzepnął. Jeśli ludzie przestają się bać, to jak można utrzymać porządek? To było nieco przerażające.

Część jego wilczej natury pomagała mu wyczuć niebezpieczeństwo, zanim jeszcze jakiegokolwiek inne zwierzę w lesie domyśliło się jego istnienia. Od kilku lat widział, że ci nowi ludzie zaczynają go jakby okrążyć. Oceniali go. Czy te grupki myślą, że to jest jakaś uczciwa rozgrywka?

No, i jeszcze Annie. Prawdziwa dama, która nie nazywa rzeczy po imieniu, jeśli słowo wydaje jej się za brzydkie. Nagle wpada jej do głowy, żeby sprawdzać, co on robi, a na dodatek chce mu odstrzelić głowę!

— Co tu się dzieje, do jasnej cholery? Chcą mi się dobrać do tyłka, odebrać robotę, a teraz własna żona próbuje mnie zabić i jakiś facet, który ją bzykał, pojawia się na horyzoncie. Boże, czym zasłużyłem na takie gówno?

Zastanawiał się, czy Annie już wie, że jej ekschłopak wrócił do miasta. Może właśnie dlatego próbowała go zabić. Ale to nie miało sensu. Trafiałaby do więzienia zamiast do łóżka Landry'ego. Przemknęło mu przez głowę, że może już się nie interesowała Keithem Landrym, a on nią. Ale tak czy siak wolałby, żeby ten kutas zniknął z miasta. Nie da rady pilnować ich w nieskończoność, ale przez jakiś czas na pewno. Pan Landry może sobie nadal uprzyjemniać życie bzykaniem, ale nie będzie tego robił z panią Baxter.

Cliff doskonale znał wszystkie ulubione zakątki kochanków i dawniej — zanim dzieciaki zaczęły się puszczać w domach, gdy ich rodzice ciężko pracowali, lub w podmiejskich motelach — podczas każdego weekendu łapał po kilkoro zabawiających się w samochodach czy opuszczonych stodołach. Miał jakby szósty zmysł, który pomagał mu przyłapać ich nagich, a przynajmniej na wpół rozebranych. To była ta część jego ciężkiej pracy, którą lubił najbardziej, a gdy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że takie noce zawsze kończyły się wizytą w domu jednej z jego pań, ponieważ inaczej nie wytrzymałby mu suwak w spodniach. Czasami przyjeżdżał w takim stanie do domu i Annie nawet kilka razy skojarzyła to z pogonią za puszczałymi się małolatami.

— Taaa, wygadana to ona jest. I na pewno jej to nie posłuży.

Całe to myślenie na temat seksu pobudziło go. Cliff Baxter zawrócił w stronę miasta. Zajechał do niego od południa, nie była to najlepsza dzielnica. Połączył się z centralą i powiedział do Blake'a:

- Wyłączam się na jakiś czas. Gdybyś mnie potrzebował, daj znać przez radio. A na pewno odezwij się do mnie za godzinę, żebym wiedział, gdzie powinienem być.
- Zgoda, szefie.

Baxter zatrzymał się na popękany betonowy podjeździe pod drewnianym bungalowem i pilotem otworzył drzwi garażu. Wjechał do środka radiowozem, wysiadł i nacisnął guzik, który je zamykał.

Podszedł do wewnętrznych drzwi i otworzył je własnym kluczem. Kuchnia była mała, brudna i zawsze śmierdziała, jakby coś szwankowało z kanalizacją. Annie, przy wszystkich swoich wadach, wiedziała przynajmniej, jak zajmować się domem.

Zajrzał do nieposprzątanego salonu, a następnie wkroczył do pierwszej z dwóch sypialni. Trzydziestoparoletnia kobieta spała na łóżku, niczym nieokryta, tylko w podkoszulku. W pokoju było ciepło, wentylator w oknie mełł gorące powietrze. Białe fartuszek kelnerki i bielizna powiewały się na podłodze.

Baxter podszedł do łóżka. Podkoszulek podjechał na biodra dziewczyny, tak że widać było włosy łonowe. Cliff, patrząc na nie przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na pełny biust: sutki wyraźnie odcinały się pod materiałem. Napis

na koszulce głosił: „Zaparkuj i posil się”.

Miała dobre ciało, umięśnione akurat tak jak trzeba, i ładną skórę, zwłaszcza jeśli się nie zwracało uwagi na parę ukąszeń komarów.

Kobieta poruszyła się i przekręciła na brzuch. Cliff patrząc na jej pośladki, poczuł twardość między nogami. Sięgnął dłonią i ścisnął jedną krągłość. Wymamrotała coś, przetoczyła się na plecy i otworzyła oczy.

— Cześć, ślicznotko. — Cliff Baxter uśmiechnął się.

•Och... — Odchrząknęła i rozciągnęła usta w nieszczerym uśmiechu. — To ty.

•A niby kto miałby być?

•Nikt... — Usiadła, próbując oprzytomnieć, a potem obciągnęła podkoszulek. — Nie wiedziałam, że się do mnie wybierasz.

— Jeszcze nie doszedłem. Po to właśnie tu jestem.

Znowu zmusiła się do uśmiechu.

Usiadł na łóżku koło niej, włożył dłoń między jej nogi, wsunął głębiej palec.

•Wilgotne sny?

•Taa... Ty mi się śniłeś.

•No, lepiej, żeby tak było.

Zaczął przesuwać palcem po jej łechtaczce.

Skrzywiła się lekko, najwyraźniej niezadowolona, że minutę po obudzeniu z głębokiego snu czuje w sobie palce mężczyzny.

•Co z tobą?

•Nic. Muszę pójść do łazienki. — Zsunęła się z łóżka i zniknęła w holu.

Cliff wytarł palce o prześcieradło i położył się na łóżku, nie zdejmując ubrania. Nasłuchiwał dochodzących z łazienki odgłosów wody spuszczonej z rezerwuaru, a potem szumu płynącej z kranu i płukania gardła.

Sherry Kolarik była ostatnią z długiej listy kobiet, z którymi się zadawał przed małżeństwem, podczas zalotów, w okresie narzeczeństwa, a następnie przez cały czas trwania małżeństwa. Jego romanse nigdy nie trwały długo i nigdy nie doświadczał przyśpieszonego bicia serca na myśl o dziewczynach, z którymi sypiał — traktował rzecz w kategoriach sportu, bzykanie krótkodystansowe. Prawdę mówiąc, gdzieś w głębi duszy cały czas zdawał sobie sprawę, że nie jest zdolny do prawdziwego związku z kobietą, panienki po prostu mu się trafiały — miejskie dziwki, kobiety, które złamały prawo, rozpaczliwie samotne rozwódki, wreszcie barmanki i kelnerki, którym zawsze przydało się parę dolców ekstra — najniższy sort małomiasteczkowego społeczeństwa amerykańskiego. Łatwe cele dla szefa policji Baxtera.

Od czasu do czasu podrywał mężatkę, jak na przykład zatrudnioną w areszcie policjantkę albo Beth Marlon, żonę miejscowego pijaka. Czasami zaliczał żonę jakiegoś faceta, który był w prawdziwej potrzebie, na przykład trafił do więzienia. Te podboje cenił sobie najbardziej, bo pieprzenie żon oznaczało również pieprzenie mężów.

Uważał, by nie zaczynać z żonami facetów, którzy mogli stać się kłopotliwi. Omijał kobiety prawniczki, nauczycielki, lekarki i w ogóle pracujące zawodowo; choć nigdy nie przyznawał się do tego przed samym sobą, wiedział, że z nimi nie ma szans i że nawet gdyby zaliczył jedną z nich, zostałby odrzucony po bliższym poznaniu. Jego jedynym ważnym podbojem w tej sferze pozostała Annie Prentis. Ale w tamtych czasach Cliff Baxter był przystojny, miał nieco więcej wdzięku, no i bardzo się starał. I prawdę powiedziawszy, był to czas wojny, mężczyzn na ulicach Spencerville widziało się tyle co kot napłakał, więc policjant z odroczonej kartą poboru wydawał się atrakcyjny wielu młodym damom. O wszystkim tym wiedział, mimo że nie zastanawiał się nad tym. Tak więc ego Cliffa Baxtera nie cierpiało, a jego instykt drapieżcy nigdy nie zawodził. Był samotnym wilkiem, który zawsze wyczuwał, kiedy ofiara słabnie i skąd zagraża niebezpieczeństwo.

A jednak miał fantazje związane z opryskliwą panią prawnik z biura prokuratora, z dwoma lekarkami ze szpitala i tą zadzierającą nosa zdziwą kierującą bankiem. A także ze studentkami, które przyjeżdżały do domów na wakacje. Uważał, że pieprzenie się z którąś z tych kobiet byłoby równoznaczne z pieprzeniem całej klasy ludzi patrzących na niego z góry. Kombinował sobie, że pewnego dnia to się zdarzy. Odciągnie jedną owcę od stada, rozpali w niej ogień i niech no ona spróbuje tylko o tym komuś powiedzieć. A może jej się spodoba. Jednak na razie miał kobiety pokroju Sherry Kolarik.

Wróciła do sypialni, a Cliff spojrzął na zegarek.

•Nie mam za dużo czasu.

•Chciałam być dla ciebie czysta.

•Na to, co masz zrobić, nie musisz być czysta. — Podniósł się z łóżka, przemaszerował przez salon, wyszedł drzwiami frontowymi, zamknął je, po czym nacisnął dzwonek, a gdy w drzwiach pojawiła się Sherry w szlafroku, zapytał: — Panna Kolarik?

-Tak.

—Szef policji Baxter. Chciałbym z panią porozmawiać. — Wszedł i zamknął za sobą drzwi. — Panienko, jest pani winna sto dolarów za parkowanie. Albo pani zapłaci, albo będę musiał poprosić panią na

posterunek.

Jeśli Sherry Kolarik uważała przypomnianie sytuacji, w jakiej się poznali, za romantyczne, nie dała tego po sobie poznać, nie roześmiała się ani go nie objęła. Zamiast tego powiedziała:

•Bardzo mi przykro, ale nie mam pieniędzy.

•W takim razie muszę panią ze sobą zabrać — powtórzył. — Proszę się ubrać.

•Proszę, nie, muszę iść do pracy. Zapłacę panu w piątek, kiedy dostanę wypłatę.

•Miała pani trzy miesiące na uregulowanie mandatu, teraz muszę panią aresztować. Jeśli nie pójdzie pani dobrowolnie, będę musiał założyć pani kajdanki i zabrać tak, jak pani stoi.

Kiedy ta scena rozgrywała się po raz pierwszy, ona miała na sobie strój kelnerki. Ale czuła się równie bezradna i bezbronna jak teraz. Tyle tylko że teraz już nie była winna skurwielowi stu dolarów. Ale jeszcze był samochód. Gdyby Baxter zażyczył sobie przeglądu, potrafiliby wypatrzeć jakąś usterkę.

•Niech pan posłucha, pracuję w barze dla kierowców, przecież na pewno mnie pan tam widział. Jeśli wpadnie pan w piątek koło południa, pójdziemy prosto do banku z czekiem. Nie może pan poczekać?

•Nie, proszę pani. Jeśli już ruszyłem swój tyłek, żeby tutaj przyjść, to albo dostanę pieniądze, albo panią zabieram. — Zadzźwięczał kajdankami przypiętymi do paska.

•Przykro mi. Nie mam pieniędzy i nie mogę sobie pozwolić, żeby nie iść do pracy... Niech pan posłucha, mam jakieś dwadzieścia dolców.

Baxter pokręcił głową.

•Czek z późniejszą datą. -Nie.

•Mam biżuterię, zegarek...

•Nie jestem złodziejem, tylko policjantem.

•Przykro mi. Nie wiem co...

Odpiął kajdanki od pasa. Przez długą chwilę patrzyli na siebie, oboje przypominając sobie chwilę, kiedy wreszcie zrozumiała, o co mu chodzi. Zapytała wtedy:

•A pan nie mógłby pożyczyć mi pieniędzy?

•Co będę z tego miał?

— Niech pan posłucha, mam tylko siebie, nic więcej. Czy chce mnie pan?

—Starasz się mnie przekupić seksem?

Skinęła głową.

—No cóż, zobaczymy, jakie możesz mi dać gwarancje, zanim się zde cyduję. Ściągnij to z siebie.

Rozwiązała pasek, szlafrok zsunął się na podłogę, potem zdjęła przez głowę podkoszulek i rzuciła go na fotel. Stała pośrodku salonu naga, a Baxter obchodził ją wkoło. Kątem oka zauważyła wybrzuszenie, jakie powstało w jego spodniach.

—W porządku, panno Kolarik, to wystarczające gwarancje pod po zyczkę. Klękaj i do roboty, tym razem ja zafunduję ci szybki lunch. Da lej, mała.

Uklękła na dywanie.

Odpiął broń i odłożył ją na fotel, rozpiął pas, ściągnął spodnie.

—No, kochanie, postaraj się.

Wzięła głęboki wdech, zamknęła oczy i wsunęła penisa w usta. Kiedy było po wszystkim, Cliff powiedział:

—Połknij to.

Wciągnął spodnie, przypiął broń i rzucił na fotel dwudziestkę.

—Zajmę się opłatami za parkowanie, ale winna mi jesteś jeszcze cztery tygodniówki.

Sherry skinęła głową i wymamrotała:

—Dziękuję.

Cliff nie był szczególnie wrażliwy, ale zauważył, że dziewczyna nie wygląda na najszcześniejszą. Poklepał ją po policzku.

—Zobaczymy się później, wpadnę na kawę. Teraz muszę już iść.

Wyszedł drzwiami od podwórka. Podniosła się, pobiegła do kuchni, wypluła spermę do zlewu, wyplukała usta, a potem poszła pod prysznic.

Cliff Baxter jechał uliczkami Spencerville. Czuł się znakomicie. Miał dwie kobiety, co na razie mu wystarczało. Sherry służyła głównie do seksu oralnego, ale była jeszcze Jackie, samotna kobieta obarczona dziećmi, usiłująca żyć z tego, co jej mąż, z którym była w separacji, przysyłał z Toledo. Jackie miała przyjemną sypialnię i porządne łóżko, w którym była całkiem dobra. Cliff zawsze przynosił jej torbę pełną jedzenia, które dostawał w prezencie w miejscowym supermarkecie. Miał też

trzecią kobietę, uświadomił sobie, własną żonę.

- Prawdziwy mężczyzna z ciebie. — Roześmiał się na głos. Zadzwoił przerośnięty telefon.
- Szeffie — odezwał się sierżant Blake. — Wysłałem Warda z lornetką, żeby spisał ten numer rejestracyjny.
- Dobrze.
- Potem zadzwoniłem do tych pajaców z Waszyngtonu i podałem im numer.
- W porządku. Co dostaliśmy?
 - No... powiedzieli, że to jest specjalna rejestracja i jeśli chcemy wiedzieć coś więcej, musimy wypełnić formularz, uzasadniając, po co...
- O czym ty, do cholery, mówisz?
- Przefaksowali mi ten formularz. Bite dwie strony.
 - Co to za gówno? Dzwon do tych skurwysynów, powiedz im, że potrzebujemy informacji, i to już! Powiedz, że facet jest podejrzany, czy co tam wymyślisz, że nie chce pokazać nam karty wozu ani żadnego dowodu...
— Szeffie, próbowałem wszystkiego. Oni twierdzą, że to ma coś wspólnego z bezpieczeństwem narodowym.
- Narodowym... czym?
- No, wiesz, chodzi o służby specjalne.

Cliff Baxter prowadził przez pewien czas w milczeniu. Czuł się po prostu jak król i miał wszystko pod kontrolą, a tu nagle ten chłystek Landry wyskakuje jak diabeł z pudełka, i to po tylu latach. Chyba dwudziestu pięciu. Najgorsze, że nie ma na niego żadnego haka, a nawet nie może się dowiedzieć nic o jego rejestracji. Kim, u diabła, jest ten facet?

- Szeffie?
 - W porządku, po prostu pilnujcie go. Chcę, żeby ktoś podjechał tam kilka razy na dzień, i chcę wiedzieć, kiedy on wybiera się do miasta. Za każdym razem.
- Dobra... Ale na co mamy patrzeć? To znaczy dlaczego...?
- Róbcie tylko to, co wam powiedziałem, do cholery.
- Tak jest.

Cliff się rozłączył.

— On rznął moją żonę, oto dlaczego. I ludzie w miasteczku to wiedzą albo usłyszą o tym bardzo prędko. Nie pozwolę na to. Nie ma mowy, żebym pozwolił.

Przychodziły mu do głowy różne scenariusze; przypomniał sobie, co mu kiedyś powiedział stary sędzia Thornsby: „Czasami problem to okazja w przebraniu”.

— Właśnie. Ten głupi skurwiel przyszedł prosto na moje podwórko. Ale to, czego nie mogłem zrobić dwadzieścia pięć lat temu, mogę zrobić teraz. Zabiję go... Nie, po prostu obetnę mu jaja. Właśnie. Obetnę mu jaja i położę na kominku, żeby Annie odkurzała je co tydzień. — Roześmiał się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z

południowego zachodu wiał gorący suchy wiatr, taki sam, jaki kiedyś przewiewał prerie, po których uciekały w oszalałej panice nieprzeliczone stada bawołów, kierując się na Great Black Swamp, gdzie do dziś można znaleźć ich kości. A teraz wiatr przewiewał tysiące łanów pszenicy, miliony akrów falującego zboża, małe miasteczka i samotne farmy, pastwiska i łąki, na których pasło się bydło. Wiał tak przez Indianę, Ohio i Krainę Wielkich Jezior, gdzie spotykał się z masami ark-tycznego powietrza, zdążającego na południe.

Mniej więcej w połowie września, kiedy wiatry z zachodu zamierały, Keith Landry przypominał sobie, że o tej porze roku zdarza się także podmuch z północy, niosący zapach sosen i jezior, a na niebie pojawiają się bernikle kanadyjskie.

Właśnie takiego jesienno-dziennego dnia George Landry powiedział do swojej żony Almy: „Czas stać się przynajmniej tak mądrym jak te gęsi”. I odjechali.

Keith zastanawiał się nad historią ludzkich migracji. Jej powody były zazwyczaj bardziej skomplikowane. Ludzie dostosowują się do każdego klimatu i w zamierczłych czasach zaludnili całą ziemię, każdy jej zakątek. Nie musieli,

jak na przykład lososie, wracać w stałe miejsce tarła, chociaż jego zdaniem nie było to takie złe.

Przyzwyczał się do wręcz zatykającej suchości powietrza, do wiecznego kurzu i nieustannie wiejącego, wysuszającego wszystko wiatru. I podobnie jak większość mieszkańców stanu Ohio, myślał o zimie na długo przed jej nadejściem. Ale o ile przyzwyczajenie się do pogody było łatwe, o tyle dopasowanie do tutejszej społeczności mogło okazać się nieco trudniejsze.

Tydzień po powrocie Keith zdecydował, że czas zajechać do miasteczka. Wyruszył w samo południe i skierował się prosto do Baxter Motors, przedstawicielstwa Forda. Jego rodzina zawsze tam kupowała samochody, chociaż Keith jak przez mgłę pamiętał, że ojciec nie miał dobrego zdania o właścicielach. Ale starszy był przekorny, uważał, że potrafi ubić lepszy interes z ludźmi, których nie lubi, i gdy mu się to udało, miał niemałą satysfakcję.

Keith był świadomy, że Baxter Motors należy do rodziny męża Annie i chyba to, chociaż sam nie bardzo rozumiał dlaczego, również wpłynęło na jego decyzję.

Wysiadł z saaba i rozejrzył się wokół. W warsztacie stały same ford, nie widać było żadnego zagranicznego wozu, nawet z tych, które na wschodzie Stanów stały się popularne.

Sprzedawca stojący po drugiej stronie parkingu powitał go pytaniem:

- Jak się pan miewa?
- Znakomicie. Miło, że pan pyta.

Sprzedawca przez chwilę wyglądał na speszzonego, potem wyciągnął rękę.

- Phil Baxter.
- Keith Landry.

Przyjrzał się Baxterowi. Mężczyzna skończył chyba właśnie czterdziestkę, a miał już więcej podbródków niż stary Chińczyk. Wyglądał niezwykle dobrodusznie, ale tego wymagała jego praca.

— Pan jest właścicielem? — zapytał.

Phil się roześmiał.

— Jeszcze nie, muszę poczekać, aż tatuś zdecyduje się odejść na emeryturę.

Keith usiłował wyobrazić sobie Annie jako żonę faceta będącego ofiarą takiej fuszerki genetycznej, ale doszedł do wniosku, że to by było niegrzeczne i małostkowe. Od razu przeszedł do rzeczy, być może za szybko jak na miejscowy gust.

— Chciałbym zamienić tego wykonanego na specjalne zamówienie ford na coś nowego.

Phil Baxter przyjrzał się saabowi i znowu się roześmiał.

- Chłopie, to przecież nie jest ford. — Potem spoważniał i powiedział: — Raczej nie bierzemy zagranicznych wozów. Myślę, że wie pan czemu.
 - Czemu?
 - Trudno się ich pozbyć. Miejscowi lubią amerykańskie samochody. — Przyjrzał się tablicy rejestracyjnej. — Skąd pan przyjechał?
 - Z Waszyngtonu.
 - Przejazdem?
 - Pochodzę stąd. Po prostu wróciłem.
 - No tak, nazwisko jakby znajome. Robiliśmy już wcześniej interesy?
 - Pewnie tak. Chce mi pan sprzedać nowy samochód?
 - Jasne... Ale... muszę porozmawiać z szefem.
 - Ztatusiem?
 - Taaa. Tylko że teraz go tu nie ma. Jakiego ford szukasz, Keith?
 - Może mustanga GT?
 - Oczy Phila rozbłysły zainteresowaniem.
 - Dobry wybór. Mamy dwa: czarny i czerwony. Ale możemy sprowadzić dowolny kolor.
 - Dobrze. Ile dostanę za mojego? To zeszłoroczny model, przejechałem osiem tysięcy mil.
 - Sprawdzę.
 - Więc weźmiesz saaba?
 - Odpowiem ci wkrótce, Keith. Na razie masz moją wizytówkę.
- Keitha rozbawiło to małomiasteczkowe podejście do interesów.
- W Waszyngtonie sprzedawcy zachowywali się jak policyjni negocjatorzy lub lobbyści. Tutaj nikt nikogo nie naciskał.
- Dzięki, Phil. — Odwrócił się, żeby odejść, ale wiedziony przekorą zawrócił. — Pamiętam faceta, który nazywał się Cliff Baxter — powiedział.
 - To mój brat. Jest teraz szefem policji.
 - Co ty powiesz? Wygląda na to, że dobrze się ustawił.
 - Znakomicie. Wspaniała żona, dwoje świetnych dzieciaków, jedno na studiach, drugie tuż przed.

- Pobłogosław go, Boże.
- Amen.
- Do zobaczenia, Phil.

Keith wyjechał na główną ulicę, ale po chwili stanął na czerwonych światłach.

To był głupi ruch, Landry.

Nie musiał iść do Baxter Motors, wiedział przecież, że nie będą chcieli saaba. A już zdecydowanie nie powinien wspominać o Cliffie Baxterze Jak na eks oficera wywiadu, zachowywał się po prostu idiotycznie — przejeżdżka pod jej domem, wizyta w zakładzie należącym do jej teścia. A teraz co? Zacznie ją ciągnąć za warkoczyki?

Landry, dorosnij wreszcie.

Światła się zmieniły i ruszył na zachód, w górę ulicy. Śródmiejską zabudowę tworzyły rzędy ciemnych budynków z cegły, dwu- i trzypiętrowych, ze sklepami na parterze. Wiele mieszkań stało pustych. Prawie wszystko w centrum Spencerville zostało zbudowane pod koniec wojny secesyjnej i na początku Wielkiego Kryzysu. Stare budynki, ozdobione drewnem, były interesujące architektonicznie, ale magazyny na dole, które zmodernizowano w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, prezentowały się marnie. Zarówno pieszy, jak i kołowy ruch był tu niewielki, a przynajmniej połowa sklepów opuszczona. Działały jeszcze punkty sprzedaży taniej odzieży, wynajmu kaset wideo i inne tym podobne. Annie w kilku listach wspomniała, że pomaga w aptece szpitala hrabstwa, która powinna mieścić się właśnie w centrum, ale nigdzie nic takiego nie zauważył.

Trzy największe budynki także były zamknięte na cztery spusty: miejscowe kino, stary hotel i dom towarowy. Brakowało także dwóch sklepów z artykułami żelaznymi, kilku warzywnych, trzech kolejnych ze słodyczami i sklepu sportowego, gdzie Keith przed laty tracił połowę swego czasu i większą część pieniędzy.

Kilka miejsc pozostało nietkniętych — apteka Grove'a, restauracja Millera, dwie knajpy i historyczny już budynek poczty.

Śródmieście Spencerville z całą pewnością nie wyglądało tak, jak Keith je zapamiętał. Kiedyś stanowiło pępek jego świata, ale również centrum życia i handlu hrabstwa Spencer. Lata pięćdziesiąte były okresem prosperity i wyżu demograficznego.

Ale już wtedy prawa ekonomii, która tak odmieniła wizerunek głównych ulic miast Ameryki, działały nieubłaganie. Tyle że jako chłopak tego nie wiedział i dla niego centrum Spencerville było najlepszym, najwspanialszym miejscem na świecie, miejscem pełnym przyjaciół, gdzie zawsze jest co robić. Ameryka, stwierdził w duchu, która wysłała swoich chłopców na wojnę, już nie istnieje, nie wita nas po powrocie.

Nie trzeba być urodzonym w małym mieście, żeby mieć słabość do amerykańskiej prowincji, rozmyślał Keith. Był to, i wciąż w jakiejś mierze nim pozostał, ideał, choćby tylko abstrakcyjny i sentymentalny. Ale pomijając nostalgię, nie sposób zapomnieć, że historię Ameryki budowały właśnie te małe miasta, tysiące takich Spencerville, otoczonych całym mnóstwem farm. Tutaj amerykańskie idee i kultura kształtowały się i rozkwitały, by następnie rozprzestrzenić się na cały kraj. Ale teraz korzenie umierają, chociaż nikt tego jeszcze nie dostrzega, bo drzewo stoi niewzruszenie.

Wjechał na centralny plac miasta i po drugiej stronie ujrzał budynek, który nie zmienił się ani trochę. Był to posterunek policji. Pomiędzy wozami patrolowymi stała grupa policjantów rozmawiających z mężczyzną, w którym Keith instynktownie rozpoznał szefa policji Baxtera. W tej samej chwili zauważył też, że bardzo blisko posterunku znajduje się apteka szpitala hrabstwa.

Objechał masywny budynek sądów, otoczony kilkoma akrami parku. Prawo jako narzędzie administracji, zarówno w obszarze cywilnym, jak i karnym, wciąż miało się w Ameryce bardzo dobrze, nawet w takich hrabstwach jak Spencer. Obok sądu w budynku mieściły się biura prokuratora, ośrodek opieki społecznej, biblioteka, biuro geodety, urząd agrarny, komisja wyborcza i kilka innych instytucji — Ministerstwo Wszystkiego w piętnastopiętrowej wieży z zegarem, wznoszącej się nad miastem niczym w wizjach Orwella.

W parku dzieci jeździły na rowerach, kobiety spacerowały z wózkami, na ławkach siedzieli starzy ludzie, a obok nich urzędnicy, którzy wyszli na przerwę, i bezrobotni. Przez chwilę Keith wyobrażał sobie, że wrócił do 1963 roku, kiedy to spotkał Annie Prentis, i że przez następne trzy dziesiątki lat nic się nie wydarzyło albo — co lepsze — sprawy potoczyły się inaczej niż w rzeczywistości.

Objechał plac dookoła, skręcił znowu w główną ulicę, tym razem na zachód. W tej części miasta stały wspaniałe stare budynki. Kiedyś była to dzielnica rezydencji, ale teraz zdecydowanie podupadła, mieściły się tu pensjonaty, nieoficjalne centra dziennej opieki, kilka domów wynajęto na biura, gdzieś tam widać było jakiś sklepik, którego właściciel zapewne z trudem radził sobie z opłatą czynszu i podatkami.

W miejscu, gdzie tablica znać miała koniec miasta, główna ulica stawała się czteropasmowa i jako autostrada biegła do granicy z Indianą. To już nie była ta sielska okolica, jaką zapamiętał Keith. Wzdłuż drogi ciągnęły się supermarkety i stacje benzynowe. Jak okiem sięgnąć widniały wielkie plastikowe tablice: Wendy, McDonald, Burger King, Kentucky Fried Chicken, Roy Rogers, Domino's Pizza, miejsca zachęcające do szybkiego posiłku, aż po Indianę, a pewnie także i Kalifornię. To była autostrada wiodąca przez całą Amerykę.

W każdym razie właśnie powstanie takich miejsc zabiło przedmieścia. A może przedmieścia zabiły same siebie, bo straciły wizję przyszłości, a jednocześnie odcięły się od przeszłości. W miasteczkach doskonałych, takich, jakie widział

w Nowej Anglii, przeszłość i teraźniejszość stanowiły jedno, a przyszłość budowano ostrożnie na istniejących fundamentach.

Ale Keith zdawał też sobie sprawę, że gdyby nie wyjeżdżał ze Spencerville, byłby świadkiem powolnych zmian i to, co teraz widział, nie raziłoby go aż tak bardzo.

Ponieważ w całym centrum nie został już ani jeden sklep spożywczy, skręcił na parking supermarketu. Wziął wózek i wszedł do środka. Przejścia były szerokie, sklep klimatyzowany i czysty, artykuły właściwie te same co w Waszyngtonie. Mimo tęsknoty za bałaganiarskim sklepikiem pana Erharta, Keith musiał przyznać, że nowoczesny supermarket jest prawdziwie amerykańskim wkładem w zachodnią cywilizację.

Jak na ironię sklepy, które odwiedzał w Georgetown, bardziej przypominały prowincjonalne Spencerville niż prawdziwe, obecne Spencerville tutaj i teraz.

Zaskoczyło go, jak wielu osób nie zna, a był czas, że kłaniały się co drugiej. Jednak tu i ówdzie mignęła mu znajoma twarz, niektórzy też najwyraźniej rozpoznawali jego, ale pewnie nie potrafili skojarzyć twarzy ani przypomnieć sobie nazwiska. Spotkał przynajmniej dziesięć kobiet w swoim wieku, które znał kiedyś, i mężczyznę, z którym grywał

w futbol. Ale ponieważ zjawił się tak nagle, jakby spadł z nieba, nie był jeszcze przygotowany, by tłumaczyć im, kim jest.

Nie spotkał nikogo ze swoich byłych przyjaciół, co go ucieszyło, bo z żadnym nie utrzymywał kontaktu, i teraz czułby się zakłopotany. Prawdę mówiąc, poza rodziną, jedyną osobą ze Spencerville, do której pisywał, była Annie.

Zobaczył ją, jak skręcała za regał, popchnął szybciej wózek, a potem w ogóle go zostawił i pobiegł za nią. Ale to nie była ona, a nawet nikt do niej podobny.

Wrócił po wózek, zrezygnował z reszty zakupów i poszedł do kasy.

Na zewnątrz jego samochód blokował pojazd policyjny z dwoma mundurowymi w środku. Keith włożył torby do bagażnika, wsiadł do saaba i włączył silnik, ale oni jakby tego nie zauważyli. Wsiadł i podszedł do policjanta siedzącego za kierownicą.

—Przepraszam, chciałbym odjechać.

Gliniarz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego, potem odwrócił się do swego partnera.

— Myślałem, że wszyscy imigranci już wyjechali. — Parsknęli śmiechem.

To był jeden z takich momentów, kiedy przeciętny Amerykanin, niech go Bóg strzeże, powiedziałby gliniarzowi, żeby się odpięprzył. Ale Keith nie był przeciętnym Amerykaninem i żył dość długo w krajach rządzonych przez policję, żeby rozpoznać prowokację. W Somalii, na Haiti czy w dziesiątkach innych krajów, w których bywał, taka sprawa zakończyłaby się śmiercią głupiego obywatela. W dawnym imperium radzieckim rzadko strzelano na ulicach, ale można było wylądować w areszcie, co mogło się zdarzyć i w Ameryce.

—Poczekam — powiedział.

Wsiadł do samochodu i wrzucił tylny bieg, żeby światła z tyłu pozostały włączone. Minęło dobre pięć minut, tymczasem sporo przechodzących obok klientów zwróciło uwagę na to, co się dzieje, a kilku nawet podeszło, by powiedzieć policjantom, że blokują temu panu drogę. Nie chcąc wzbudzać za wielkiego zainteresowania, gliniarze uznali, że pora odjechać.

Keith wycofał się i ruszył autostradą. Mógł dojechać do domu obwodnicą, ale wybrał drogę przez miasto, na wypadek gdyby gestapo planowało jakieś następne atrakcje. Jadąc, nieustannie zerkał w lusterko wsteczne.

To nie była przypadkowa zaczepka, wymierzona w jakiegoś tam człowieka z tablicami rejestracyjnymi wskazującymi na obcego, na dodatek w dziwnym samochodzie. Spencerville nie było południowym zapyziałym miasteczkiem, gdzie policji zdarzało się zachowywać nieprzyjemnie w stosunku do przyjezdnych. To było cywilizowane,

przyjacielskie miasto Środkowego Zachodu, gdzie obcych traktowano zazwyczaj grzecznie. A zatem incydent został zaplanowany i nie trzeba było być eksolicerem wywiadu, by wiedzieć, kto go zaplanował.

Tak więc, przynajmniej na jedno pytanie Keith uzyskał odpowiedź: szef policji Baxter wiedział, że on jest w mieście. Ale czy wiedziała o tym także pani Baxter?

Już wcześniej zastanawiał się, jaka będzie reakcja Baxtera na przyjazd dawnego kochanka jego żony. Wielkie miasta są pełne ekskochanków i zazwyczaj nikt nie robi z tego problemu. Nawet tutaj, w Spencerville, musiało być wielu żonatych mężczyzn i zamężnych kobiet, którzy wcześniej robili to z innymi partnerami. Jednak u Cliffa Baxtera problemem był brak wychowania i finezji.

Annie nigdy nie napisała ani jednego złego słowa na temat męża, nawet między wierszami. Ale było jeszcze to, czego nie pisała i co Keith słyszał przez te lata od swojej rodziny.

Matka — Boże jej błogosław — zawsze rzucała słowo czy dwa na temat Baxterów. Nie były to jakieś subtelne uwagi, raczej zdania typu: „Nie wiem, co ta kobieta w nim widzi”. Albo: „Spotkałam niedawno Annie Baxter na ulicy, pytała o ciebie. Wciąż wygląda jak młoda dziewczyna”.

Matka zawsze lubiła Annie i chciała, żeby jej głupi syn się z nią ożenił. Za czasów jego matki zaloty stanowiły wstęp do małżeństwa i jeśli kawaler zniszczył reputację dziewczyny, zabierając ją bez przyzwyczajenia na piknik, a potem

się znią nie ożenił, mógł być pozwany do sądu. Keith uśmiechnął się. Jak ten świat się zmienił.

Ojciec, mimo że nie lubił dużo mówić, o obecnym szefie policji wypowiadał się niepochlebnie, ale komentował tylko sprawy publiczne. Z jego ust nigdy nie padło słowo na temat seksu, miłości, małżeństwa, ani imię Annie. Jednak zgadzał się z żoną — ich dzieciak zaważył sprawę.

Tyle tylko że oni nie potrafili zrozumieć świata lat sześćdziesiątych; stres i ruchy społeczne dotknęły bardziej młode pokolenie. Świat oszalał i gdzieś w tym szaleństwie Keith i Annie zgubili drogę, a potem stracili siebie.

Przez ostatnie pięć lat, odkąd jego rodzice się stąd wyprowadzili, nie miał żadnych wiadomości, które by dotyczyły Cliffa Baxtera, ani relacji o tym, jak ładnie wygląda Annie w kwiecistej sukience, kiedy spaceruje po parku.

Wolał to, bo matka go raniła, choć miała dobre intencje.

Keith jechał powoli przez miasto. Zawrócił na Chestnut Street, minął tory i znalazł się w biedniejszej dzielnicy, pełnej magazynów i fabryczek.

Co jakiś czas zerkał w lusterko wsteczne, lecz nie widział żadnego wozu patrolowego.

Nie domyślał się, jaki następny ruch planuje Baxter, ale właściwie nie miało to znaczenia dopóty, dopóki obaj będą działali zgodnie z prawem. Keith nie miał nic przeciwko drobnym utarczkom; prawdę mówiąc, na myśl o nich czuł miłe podniecenie. W dawnym Związku Radzieckim i całym bloku wschodnim nękanie uznawano za najwyższą formę uznania, oznaczało, że dobrze się wykonuje robotę, a nieprzyjaciel musi wyrazić swoje niezadowolenie.

Cliff Baxter okazałby więcej sprytu, gdyby się tak nie spieszył.

Keith podejrzewał jednak, że szef policji nie jest ani cierpliwy, ani subtelny. Z pewnością potrafił być przebiegły i niebezpieczny, tyle że zanadto przywykł do natychmiastowych efektów.

Próbował w wyobraźni postawić się na miejscu Baxtera. Z jednej strony chciałby się pozbyć Keitha Landry'ego jak najszybciej z miasta. Ale gorsza część jego natury pragnęłaby sprowokować incydent, który prowadziłby do rozwiązania mieszczącego się między aresztowaniem a wpakowaniem przeciwnikowi kulki w łeb.

Po chwili zastanowienia Keith zrozumiał, że w mieście nie ma miejsca dla Keitha Landry'ego i Cliffa Baxtera i jeśli Keith Landry zostanie, komuś najprawdopodobniej stanie się krzywda.

ROZDZIAŁ ÓSMY

K

olejny tydzień minął w miarę spokojnie, Keith przyzwyczajał się stopniowo do zajęć w obejściu i domu. Wyciął krzaki, które wyrosły w warzywniku, usunął chwasty, przekopał ziemię i posypał ją słomą, żeby zielsko znowu nie wyrosło, a słomę przykrył warstwą ziemi, żeby jej wiatr nie porozwiewał. Zerwał kilka winogron z pędów porastających altanę, a same pędy przyciął.

Następnie pobierał suche gałęzie leżące pod drzewami, porąbał je na szczapy i poukładał koło tylnego wejścia do domu. Przez dwa dni doprowadzał do porządku żywopłoty, a potem zabrał się do szopy na narzędzia i stajni. Robota farmera była ciężka, a przecież miał niezłą kondycję. Przypominał sobie dni, kiedy jako chłopak wprost padał ze zmęczenia, ale wytrzymał do spotkania z ojcem przy kolacji. A ojciec zajmował się tym wszystkim przez pięćdziesiąt lat. Z pewnością zasłużył sobie na patio na Florydzie, z którego mógł patrzeć na drzewka pomarańczowe. Keith nie miał pretensji do brata, że nie chciał kontynuować stu pięćdziesięcioletniej tradycji mało opłacalnej harówki, tak samo jak nie winił siebie ani siostry. A jednak cieszyłby się, gdyby ktoś taki jak wuj Ned został na gospodarstwie. Ojciec przynajmniej nie sprzedał ziemi i domu. Większość farmerów pozbywała się gospodarstwa i całości inwentarza bez cienia żalu. Nie słyszał też, żeby ktoś kiedyś wrócił z Florydy czy innych miłych zakątków.

W szopie na narzędzia znalazł stare kowadło z napisem „Erfurt 1817”. To było kowadło, które jego prapradziadek przywiózł ze sobą z Niemiec. Załadował je na żaglowiec, potem najprawdopodobniej na łódź wiosłową, a wreszcie na wóz, który koń przyciągnął tutaj. Dwieście funtów stali, ciągniętych na drugą stronę ziemskiego globu, na kraniec świata, gdzie żyli wrogo nastawieni Indianie, a rośliny i zwierzęta były dość dziwne. Jego przodkowie musieli przeżywać chwile zwątpienia, czy aby dokonali słusznego wyboru. Ale zostali tu i zbudowali cywilizację. Teraz jednak tego, co nie udało się Indianom i bagnom, dokonała sama cywilizacja, i ta farma, podobnie jak inne, stała opuszczona.

Gdy tak pracował, przeszło mu przez myśl, że rąbanie drewna na opał jest jakąś deklaracją, chociaż, oczywiście, mógł pójść po rozum

do głowy i wyjechać, a to całe drewno zostawić. Ale na razie zajmowanie się farmą rodziców, dziedzictwem przodków, sprawiało mu frajdę. Opalił się, mięśnie bolały go w przyjemny sposób, czuł się silny i zbyt zmęczony, żeby dręczyły go problemy mieszkańców miast czy prześladowały myśli erotyczne. Chociaż właściwie o seksie — wbrew sobie — myślał.

Kiedy podłączono mu telefon, zadzwonił do rodziców, a potem do brata i siostry. Powiedział im, że wrócił do domu. Jego waszyngtońskiego numeru nie tylko nie było w książce telefonicznej, ale nie miała go nawet firma telekomunikacyjna. Teraz, w Spencerville, zdecydował się podać zarówno numer, jak i nazwisko do książki, ale na razie nikt do niego nie dzwonił, co mu odpowiadało.

Z Waszyngtonu nadeszła przesyłka z pocztą, ale nie było w niej nic ważnego, tylko kilka rachunków, zamykających poprzedni rozdział jego życia. Mógł je teraz popłacić, ponieważ już otworzył rachunek w starym banku rolnohandlowym. Firma kurierska dostarczyła resztę jego rzeczy, ale nierozpakowane paczki postawił na strychu.

Pomyślał, że to zadziwiające, jak szybko życie może stać się prostsze. Do jego domu nie przychodziły już faksy ani teleksy, w samochodzie nie musiał odbierać telefonów, nie miał biura ani sekretarki, na biurku nie leżał bilet na samolot, nie musiał pamiętać o comiesięcznych spotkaniach ani raportach, na które czekał ktoś w Białym Domu. Tylko życie pozostało do rozwiązania, nic więcej.

Chociaż wreszcie poinformował Radę Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie zamieszkał, nie otrzymał od nich żadnej oficjalnej wiadomości; nikt z jego przyjaciół i znajomych z Waszyngtonu również się do niego nie odezwał. To utwierdziło go w przekonaniu, że życie, jakie wcześniej prowadził, było jedną wielką bzdurą. Gra toczyła się tylko dla graczy, byłe gwiazdy szybko znikwały z firmamentu.

Przy pracy myślał o latach spędzonych w Departamencie Obrony, a potem w Radzie. Przyszło mu do głowy, że w takich miejscowościach jak Spencerville, rozsianych po całym kraju, pełno jest miejsc upamiętniających mężczyzn i kobiety z sił zbrojnych, którzy polegli podczas wojny albo chociaż walczyli.

W Arlington był nawet pomnik nieznanego żołnierza, poświęcony wszystkim niezidentyfikowanym poległym; organizowano parady i uroczystości, by ich uczcić. Dla tych, którzy zginęli lub stracili zdrowie w wyniku tajnej wojny, istniały tylko prywatne miejsca pamięci w korytarzach czy ogrodach kilku niedostępnych dla publiczności budynków. Najwyższy czas wzniesić pomnik walczącym na frontach zimnej wojny i uczcić tych, których małżeństwa zniszczono, których zgniotła machina biurokracji, którzy zostali unicestwieni fizycznie i psychicznie, a czasami wręcz duchowo. Keith nie potrafił sobie uzmysłowić, jaką właściwie formę powinien mieć ten wyraz pamięci, ale wyobrażał go sobie jako dziurę pośrodku centrum handlowego, coś na kształt leja, z którego by się wznosiła mgła. A gdyby tam umieścić tabliczkę; powinny być na niej wyryte słowa: Wojownikom Zimnej Wojny 1945— 1989? Podziękowania.

Ta wojna nie zakończyła się wystrzałem, ale jękiem i przejściem do stanu pokoju tak łagodnym, że wręcz niezauważalnym. Wśród żołnierzy zimnej wojny nie było poczucia wspólnoty, oni nie czuli, że odnieśli jakieś zwycięstwo, nie było żadnych ceremonii przy rozwiązywaniu dywizji. Wszystko kończył ostatni czek, odprawa na białej kartce papieru, bez słowa podziękowań.

Ale nie odczuwał goryczy. Prawdę mówiąc, był szczęśliwy, że ten etap życia miał za sobą. Wprawdzie uważał, że rząd powinien dać z siebie coś więcej, ale rozumiał swój kraj i tendencję, by traktować wojnę jako coś, co się zdarza komuś innemu i gdzie indziej; jako kłopot. Jej zakończenie było powrotem do normalności.

Czas narąbać drewna. Przyciął stare dęby rosnące wokół domu i zebrał gałęzie. Uderzał, dzielił na szczapy i układał na sterty. Przyszli Mullerowie z farmy sąsiadującej od południa z jego ziemią oraz Martin i Sue Jenkinsowie, którzy mieli gospodarstwo po drugiej stronie drogi. Każdy przynosił mu coś do jedzenia, każdy wyglądał na nieco zmieszanego i zadawał te same pytania: „Więc zamierzasz tu przez jakiś czas zostać? Jeszcze ci nie brak wielkiego miasta? Spotkałeś kogoś ze starych znajomych?”. I tak dalej. Nikt jednak nie powiedział tego, co wszyscy myśleli: „Zwariowałeś?”.

Keith wyciągnął z lodówki zimne piwo i usiadł na werandzie. Spoglądał na pustą drogę, na pola, na gałęzie drzew kołyszące się na wietrze. Na motyle, trzmiele i ptaki. Przejechał biało-niebieski radiowóz. Zjawiali się każdego dnia, co najmniej dwa razy, może i więcej. Uświadomił sobie, że gdyby jakimś cudownym zrządzeniem losu pojawiła się u niego Annie, mogliby mieć problem. Zastanawiał się, czy nie przesłać jej przez siostrę wiadomości, ale wydało mu się to głupie, a poza tym nie bardzo wiedział, co miałby napisać. „Cześć, wróciłem i jestem śledzony przez twojego męża. Trzymaj się z daleka”.

Z pewnością mąż pilnował także i jej. Ale doszedł do wniosku, że prawdopodobnie to ona nie ma wcale ochoty go odwiedzić, więc nie ma się czym martwić. Co ma się stać, to się stanie. Zbyt wiele lat poświęcił różnego rodzaju manipulacjom, potem rozważaniu konsekwencji tych manipulacji, później próbom ustalenia, czy jego manipulacje odniosły zamierzony skutek, a wreszcie kontrolowaniu szkód, kiedy cała sprawa nie wychodziła, i tak dalej, i tak dalej. „Uważaj, bądź czujny i gotowy. Nic nie rób”. To wyglądało na całkiem niezłą radę. Chociaż brała go chętka, żeby jednak coś zrobić.

Następnego ranka pojechał do Toledo i wymienił saaba na chevy blazera. Blazer był ciemnozielony, jak większość tych, które jeździły po okolicy, więc nie rzucał się w oczy. Sprzedawca przyczepił mu tablice stanu Ohio, a Keith swoje tablice waszyngtońskie schował pod siedzenie. Musiał je odesłać tam, skąd je otrzymał, a nie był to wydział

komunikacji.

Późnym popołudniem ruszył w kierunku domu. Dotarł do obrzeży Spencerville już o zmierzchu, a kiedy dojeżdżał do swojej farmy, słońce długimi fioletowymi cieniami kładło się na podwórko. Przejechał obok skrzynki pocztowej, kierując się w stronę domu, ale nagle zahamował i cofnął się. Kątem oka zauważył, że czerwona chorągiewka jest uniesiona, co oznaczało, że w skrzynce znajduje się list. Zdziwił się, bo tego dnia wyjmował już pocztę. Otworzył skrzynkę i zobaczył nieostem-płowaną kopertę, na której zamiast adresu widniało tylko jego imię - Keith. Wiedział, czyje to pismo.

Zaparkował blazera na tyłach zabudowań, tak żeby go nie było widać z drogi, i wszedł do domu. Położył kopertę na stole kuchennym, sięgnął po piwo, odstawił je i zamiast tego naszykował sobie szkoocką z wodą sodową.

Usiadł ciężko przy stole, pociągnął drinka, dołał do szklanki trochę whisky, powtórzył to jeszcze kilka razy, zanim wreszcie sięgnął po list.

— No cóż.

Myślał o niej. O niej i o sobie.

Przez dwa lata w szkole średniej łączyło ich silne uczucie. Potem spędzili wspólnie cztery lata w college'u. Byli nierozłączni. Annie, z entuzjazmem oddająca się nauce, postanowiła kontynuować studia na uniwersytecie stanowym. On, znudzony szkołą, niespokojny, a poza wszystkim niemający funduszy na dalszą edukację, odpadł w przedbiegach. Jednak pojechał z nią do Columbus, tyle że zanim skończyło się lato, dostał wezwanie do wojska.

Otworzył kopertę, wyciągnął z niej kartkę i przeczytał pierwszą linijkę:

Drogi Keicie, słyszałam, że wróciłeś i mieszkasz w rodzinnym domu.

Spojrzał na ciemne podwórko i przez chwilę przysłuchiwał się świerszczom.

Tamto lato spędzili razem, to były magiczne dwa miesiące, mieszkali razem, poznawali miasto i uniwersytet. We wrześniu musiał wyjechać. Obiecał, że wróci, a ona, że będzie czekać. Ale nic takiego się nie stało, nie miało prawa się stać w Ameryce roku 1968.

Keith wziął głęboki wdech i skoncentrował się na liście. Czytał:

Ludzie mówią, że zamierzasz zostać tu przez jakiś czas. Czy to prawda?

Może. Nalał sobie jeszcze odrobinę whisky i znowu odbiegł myślami w przeszłość.

Wyjechał do Fort Dix w New Jersey, gdzie odbył najpierw szkolenie podstawowe, a potem kolejne, następnie trafił do szkoły oficerskiej w Fort Benning, w Georgii. Po roku otrzymał stopień podporucznika. Nie najgorzej jak na wiejskiego chłopaka. Pisali do siebie, na początku często, potem już rzadziej i listy przestały być szczere. Przyznała się, że trudno jej dochować wierności, i dała mu do zrozumienia, że spotyka się z innym. Rozumiał. Tyle że nie rozumiał. Wakacje przed przydziałem do jednostki spędził w Spencerville, nie w Columbus. Rozmawiali przez telefon. Miała dużo pracy na uczelni i była bardzo zajęta. A on obawiał się, że wkrótce znajdzie się w strefie działań wojennych i jej studia miał w nosie. Zapytał, czy się z kimś spotyka. Odpowiedziała, że tak, ale to nic poważnego. Po dziesięciu minutach takiej rozmowy miał dość. „Zmieniłaś się”, powiedział. „Wszyscy się zmieniamy, Keith. Rozejrzyj się wokół”, odparła.

„No cóż, muszę kończyć — oznajmił. — Powodzenia w szkole”.

„Dzięki. Trzymaj się, Keith. Wracaj cały”.

Jasne”.

„Cześć”.

„Cześć”.

Ale jakoś żadne z nich nie potrafiło odłożyć słuchawki. Wreszcie rzekła: „Zrozum, zrobiłam to, żeby obojgu nam ułatwić sprawę”.

„Rozumiem. Dzięki”. I rozłączył się.

Jednak nadal pisywali do siebie. Żadne nie potrafiło zrozumieć, że to już naprawdę koniec.

Keith odsunął od siebie szklaneczkę whisky. Alkohol nic nie pomagał, ręce mu drżały, a umysłu nie chciała zasnąć przyjemna mgielka. Czytał dalej:

No cóż, witaj w domu, Keith, i powodzenia.

— Dzięki, Annie.

Służył jako dowódca plutonu piechoty, widział zbyt dużo trupów i krwi. Nie potrafiłby wymienić nazw miejsc tych jatek. Śliczne małe wioski i gospodarstwa zmiecione z powierzchni ziemi, na ich miejscu pozostały tylko worki z piaskiem i drut kolczasty, a on płakał nad wieśniakami i ich rodzinami. Zakończył służbę i wrócił na przepustkę do Spencerville.

Wytańł pot znad górnej wargi i skupił się na liście. Przeczytał go jeszcze raz od początku, wreszcie doszedł do słów:

Wyjeżdżam jutro, żeby odwieźć Wendy do szkoły. Zaczyna właśnie pierwszy rok na naszej starej alma mater. Nie

mogę się doczekać, kiedy Cię znowu zobaczę. Wrócę mniej więcej za tydzień.

Skinął głową i odetchnął głęboko.

Trzydzieści dni wolnego przesiedział w Spencerville, gdzie właściwie tylko jadł, pił i spacerował. Matka go namawiała, żeby pojechał do Columbus. Zadzwonił. Annie pracowała właśnie nad doktoratem. Pamiętał, że oboje byli bardzo spięci. Nie pytał o innych mężczyzn, bo nauczył się to akceptować. On też miał inne kobiety. To bez znaczenia. Lecz ona zmieniła się przez ten rok. Stała się aktywna politycznie i żywiła mieszane uczucia w stosunku do mężczyzn w mundurze, nie omieszkała też wygłosić wykładu na temat wojny.

Wściekł się, ona pozostała chłodna, ledwie panował nad gniewem, ona przemawiała lodowatym tonem. Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy powiedziała: „Muszę iść”. Wtedy dopiero uświadomił sobie, że ona płacze albo jest bliska łez. Zaproponował, że przyjedzie do niej, zgodziła się. Ale nie chciała, by przyjeżdżał do Columbus, ani sama nie chciała pokazywać się w Spencerville. Mieli się umówić w połowie drogi.

Przeczytał ostatnie zdanie listu:

Moja ciotka Louise wciąż jest Twoją sąsiadką. Kiedy następnym razem pojedę ją odwiedzić, wpadnę powiedzieć Ci cześć. Trzymaj się, Annie.

Włożył list do kieszeni, podniósł się i podszedł do drzwi. Gorący wiatr ucichł, na dworze było już chłodniej. Nad zachodnim horyzontem pozostała jeszcze odrobina słońca, ale na wschodzie już pojawiły się gwiazdy.

Doszedł do miejsca, gdzie zaczynało się pole, i ruszył wzdłuż zagonu, aż zawędrował na wzgórek, który zgodnie z tradycją uważano za miejsce pochówku Indian. Wzniesienie było nieduże, ale jego rodzina nigdy niczego tu nie sadziła i poproszono Mullerów, by również tego nie robili. Pagórek porastała dzika trawa, a na samym szczycie wznosiła się samotna brzoza.

Keith stał oparty o jej pień i spoglądał na pola kukurydzy. Tutaj przychodził bawić się jako chłopiec i rozmyślać jako młody człowiek.

Nie spotkali się w połowie drogi. Z powodu jego dumy, jego ego czy jak to inaczej nazwać. Po prostu nie potrafił pogodzić się z faktem, że wiązała się z innymi mężczyznami, gdy on wciąż ją uważał za swoją dziewczynę. Ale przecież nie zaproponował jej małżeństwa. Może dlatego, że nie chciał, by młodo owdowiała. To klasyczny dylemat czasów wojny: ożenić się czy nie? Nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, co wtedy mówił na ten temat, ale był pewien, że ona pamięta.

Siedział oparty o pień brzozy i patrzył na gwiazdy. W Waszyngtonie prawie się ich nie widziało, ale tutaj, na wsi, widok nieba zapierał dech w piersi. Wyszukiwał konstelacje, które znał, przypominał sobie, jak robili to razem z Annie.

Po Wietnamie został mu tylko rok służby, lecz zdecydował się pobyc w wojsku trochę dłużej. Złożył podanie o przyjęcie do szkoły wywiadu wojskowego w Fort Holabird, w Marylandzie. To było interesujące i naprawdę lubił swoją pracę. Został wysłany na drugą turę tej nigdy niekończącej się wojny, ale tym razem jako analityk wywiadu. Awansował do stopnia kapitana, zarabiał niezłe pieniądze, służba mu odpowiadała. Lepsza od wojny, lepsza od Spencerville, lepsza niż powrót do kraju, który oszalał.

Ich korespondencja się urwała, ale skądś się dowiedział, że zarzuciła robienie doktoratu i podróżuje po Europie. Wróciła do Spencerville na ślub swojej kuzynki i właśnie tam, na tym ślubie — jak twierdził jego przyjaciel — spotkała Cliffa Baxtera. Najwyraźniej dobrze się razem bawili na weselu i po nim, bo pobrali się kilka miesięcy później. Przynajmniej tak słyszał, ale to był czas, kiedy w ogóle nie chciał słuchać niczego na ten temat.

Keith wyciągnął z kieszeni list, ale zrobiło się już zbyt ciemno, żeby czytać. Mimo wszystko patrzył na zlewające się w mroku litery, przypominając sobie słowa i zdania. Właściwie były całkiem niewinne, ale dokładnie to chciał od niej usłyszeć. Wiedział, ile musiało ją kosztować napisanie tego listu, zdawał sobie sprawę, że narażała się na niebezpieczeństwo, wrzucając kopertę do jego skrzynki. I nie chodziło tylko o wściekłość Cliffa Baxtera, ale również o jej uczucia. Musiało ją to dużo kosztować. Żadne z nich nie chciało już przeżywać kolejnego zawodu, nigdy więcej złamanych serc. A jednak zdecydowała się zaryzykować, wziąć sprawy w swoje ręce. To mu się spodobało.

Włożył list do kieszeni.

Po tym, jak usłyszał o jej ślubie, wyrzucił ją ze swych myśli. Wytrzymał jakiś tydzień, a następnie, chociaż uważał to za grupie, napisał do niej krótki liścik z gratulacjami. Zaadresowany na dom jej rodziców. Wysłała mu jeszcze krótsze podziękowanie z prośbą, aby już nigdy, ale to nigdy się z nią nie kontaktował.

Zawsze uważał — a może ona też — że w jakiś sposób zejdą się znowu. Żadne z nich nie potrafiło zapomnieć o drugim. Przez sześć lat byli najbliższymi przyjaciółmi i kochankami, kształtowali się nawzajem, dzielili radościami i tragediami czasu dorastania, nie wyobrażając sobie nawet, że mogą żyć bez siebie.

Ale wdarł się między nich świat, a tamten jej list dał mu jasno do zrozumienia, że wszystko między nimi skończone. Tyle że on nigdy w to nie wierzył.

Kilka miesięcy po swoim ślubie napisała znowu, przepraszając za ton ostatniego listu. Stacjonował wówczas w Europie. Zaproponowała kontynuowanie korespondencji, ale prosiła, żeby wysyłał listy na adres jej siostry, Terry, mieszkającej w sąsiednim hrabstwie.

Odczekał do powrotu do Stanów i napisał do niej z Waszyngtonu. W liście ograniczył się do informacji, że przez najbliższy rok zostanie w Pentagonie. To rozpoczęło dwudziestoletnią korespondencję, po kilka listów rocznie. Pisała o narodzinach kolejnych dzieci, opowiedziała o przeprowadzce, on o swoim przeniesieniu do Departamentu Obrony, opisywała mu, co się dzieje w Spencerville, on odpowiadał jej z różnych miejsc na całym świecie.

Nigdy nie wysyłali sobie fotografii, żadne nie prosiło o wizerunek drugiego ani nie spieszyło z propozycją wysłania swojego. To było tak, jakby chcieli zachować żywe wspomnienie.

Nigdy nie napomykali o tym, co ich kiedyś łączyło, jakby to była tylko długoletnia serdeczna przyjaźń. No, może co jakiś czas, kiedy któreś z nich pisało list późną nocą, pojawiała się bardziej osobista nuta. Raz napisał do niej z Włoch:

Widziałem po raz pierwszy Koloseum nocą, szkoda, że nie byłeś razem ze mną.

Odpisała:

Widziałam je, Keith, kiedy byłam w Europie, i wiesz, zabawne, też pomyślałam wtedy o Tobie.

Ale takie uwagi rzadko im się zdarzały i żadne nie przekraczało zbyt granicy. Za każdym razem, kiedy jego adres zmieniał się na kolejny, egzotyczny, pisała mu:

Jak bardzo Ci zazdroszczę podróży i przeżyć. Do tej pory myślałam, że to ja będę prowadzić życie pełne rozmaitych przygód, a Ty zostaniesz w Spencerville.

Zazwyczaj odpowiadał jej:

Jakże ja zazdroszczę Ci stabilizacji, dzieci i życia rodzinnego.

On się nigdy nie ożenił, Annie się nie rozwiodła, a Cliff Baxter nie zrobił im tej uprzejmości i nie umarł. Życie toczyło się dalej. Świat zmieniał się z każdym dniem.

W 1975 roku był właśnie po raz trzeci w Sajgonie, kiedy wkroczyli tam Wietnamczycy z Północy; zabrał się jednym z ostatnich helikopterów. Napisał do Annie z Tokio:

Pięć lat temu wiedziałem, że przegraliśmy tę wojnę. Jakimi głupcami byliśmy. Część moich ludzi złożyła rezygnację. Zastanawiam się nad tym samym.

Odpowiedziała:

Czy pamiętasz ten mecz, kiedy w połowie przegrywaliśmy 36 do 7? Wszedłeś na boisko po przerwie. Nigdy nie widziałam, żebyś grał lepiej. Przegraliśmy, ale co się pamięta, wynik czy grę?

Keith zasłuchał się w trel słowika dochodzący z odległej kępy drzew, potem przeniósł wzrok na dom Mullerów. W oknach kuchni paliło się światło, prawdopodobnie jedli kolację. Pewnie jego gra była ciekawsza niż gra Mullerów, ale oni pod koniec dnia zbierali się wspólnie przy jednym stole. Bardzo żałował, że nie ma dzieci, ale w jakiś sposób cieszył się, że Annie je ma. Zamknął oczy i wsłuchał się w noc.

O mały włos ożeniłby się, właściwie nawet dwa razy, w ciągu tych następnych pięciu czy sześciu lat. Raz z koleżanką, z którą wspólnie działali w Moskwie, drugi raz ze swoją sąsiadką w Georgetown. Za każdym razem to on zrywał, uznając, że nie jest gotowy. Prawdę mówiąc, wiedział, że nigdy nie będzie gotowy.

Doszedł do wniosku, że czas zakończyć korespondencję z Annie, a jednak nie potrafił przestać. Powstrzymywał się całymi miesiącami, a potem skreślał choćby kilka zdań, nie zagłębiając się w tematy osobiste.

Nigdy nie skomentowała zmiany tonu jego listów ani nie uskarżała się, że przychodziły tak rzadko. Sama niezmiennie zapisywała dwie lub trzy strony, wypełniając je wiadomościami, a od czasu do czasu wspomnieniami. Wreszcie jednak ustąpiła i jej listy przychodziły coraz rzadziej. W połowie lat osiemdziesiątych wszystko wskazywało na to, że ich korespondencyjna przyjaźń się urwie, że pozostaną tylko przy bożonarodzeniowych kartkach i życzeniach urodzinowych.

Oczywiście od czasu do czasu przyjeżdżał do Spencerville, ale nigdy nie informował jej o tym wcześniej, i chociaż za każdym razem zamierzał się z nią zobaczyć, nigdy do tego nie doszło.

Jakoś w 1985 roku, po jego wizycie, napisała mu:

Słyszałam, że byłeś u nas na pogrzebie swojej ciotki, ale zanim się o tym dowiedziałam, już wyjechałeś. Chciałabym pójść z Tobą na kawę, ale może

lepiej nie. Między chwilą, kiedy powiedziano mi o 'Twojej wizycie, a wieścią o Twoim wyjeździe czułam się całkiem roztrzęsiona. Gdy już byłam pewna, że wyjechałeś, ogarnęła mnie ogromna ulga. Jaki ze mnie tchórz.

Odpowiedział:

Obawiam się, że to ja jestem tchórzem. Wolalbym jeszcze raz pójść na wojnę, niż spotkać się z Tobą przypadkiem na ulicy. Przejechałem koło Twojego domu. Pamiętam czasy, jak mieszkała tam stara pani Wallace. Odwaliałaś kawał dobrej roboty, dom teraz wygląda pięknie. I masz cudowne kwiaty. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

I dodał:

Nasze ścieżki rozeszły się w 1968 roku i teraz nie mogą się już przeciąć. Ponowne spotkanie oznacza dla nas zejście z obranej już drogi i wkroczenie na niebezpieczne terytorium. Przyjeżdżam do Spencerville tylko z jakiejś okazji, nie chcę wyrządzić Ci krzywdy. Gdybyś jednak trafiła kiedyś do Waszyngtonu, z radością napiję się z Tobą kawy. Za dwa miesiące wyjeżdżam do Londynu.

Nie odpowiedziała natychmiast, ale wreszcie napisała do Anglii i choć nie nawiązała do wynurzeń z poprzednich dwóch listów, jej słowa zapadły mu głęboko w serce:

Mój syn, Tom, rozegrał w sobotę swój pierwszy mecz futbolowy. Wspominałam ten dzień, kiedy po raz pierwszy siedziałam na stadionie i patrzyłam, jak wchodzisz na boisko. Ty nie masz wokół siebie wszystkich tych znajomych miejsc i rzeczy, aleja tak, i czasami, gdy coś takiego jak mecz przypomina mi o przeszłości, płaczę. Przepraszam.

Odpowiedział natychmiast, tym razem nie udając, że jest twardy. Napisał:

Nie, mnie nie otaczają te znajome miejsca i przedmioty, które przypominałyby mi Ciebie, ale za każdym razem, kiedy czuję się samotny czy przestraszony, myślę o Tobie.

Potem znowu zaczęli pisywać do siebie częściej i w tonie bardziej osobistym. Już nie byli dziećmi, zbliżali się do wieku średniego i wszystkiego, co się z tym wiązało. Napisała do niego:

Nie wyobrażam sobie, że miałabym Cię już nigdy więcej nie zobaczyć.

Odpowiedział:

Obiecuję, że jeśli Bóg nie postanowi inaczej, spotkamy się znowu.

Najwyraźniej Bóg chciał, by się spotkali.

A jednak kolejne sześć lat minęło bez tego obiecanego spotkania. On może czekał na jakieś wydarzenie, na przykład, żeby ona się rozwiodła lub zachorowała. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Jego rodzice wyprowadzili się ze Spencerville, nie miał już po co tu przyjeżdżać.

Mur berliński runął w 1989 roku. Widział to na własne oczy, potem znowu wysłano go do Moskwy, gdzie był świadkiem zamachu stanu w 1991 roku. Zrobił karierę, miał wpływ na politykę Waszyngtonu. Jego nazwisko wymieniano w gazetach, zawodowo czuł się usatysfakcjonowany, ale wiedział, że czegoś mu brakuje.

Euforia lat osiemdziesiątych przerodziła się w kryzys lat dziewięćdziesiątych. Parafrazując stare powiedzenie Churchilla, jego koledzy mawiali: „Zakończyła się wojna gigantów, rozpoczęła potyczka pigmejów”. W wojnie pigmejów nie było potrzeba tak wielu wojowników, część z nich usłyszała, że może wracać do domów, w pewnej chwili i on to usłyszał. Więc wrócił.

Otworzył oczy i podniósł się.

— Wróciłem.

Spojrzał na wzgórze, gdzie niegdyś grzebano ludzi, i po raz pierwszy skojarzył je sobie z podobnymi pagórkami w Wietnamie. Tam mogły być jedynymi wzniesieniami na całkowicie płaskich polach ryżowych; często jego pluton okopywał się na noc właśnie w takich miejscach. Oczywiście była to profanacja, ale jednocześnie dobra taktyka. Pewnego razu, kiedy właśnie się okopywali, przyszedł do nich mnich buddyjski i powiedział: „Obyście żyli w ciekawych czasach”. Młody porucznik Landry potraktował to jako rodzaj błogosławieństwa i dopiero później dowiedział się, że to stare przekleństwo. A jeszcze później zrozumiał, co naprawdę znaczyło.

Słońce już zaszło, ale księżyc oświetlał pola, tak że Keith widział wszystko wokół. Panował spokój, powietrze przenikał zapach ziemi i kukurydzy. To był jeden z tych pięknych wieczorów, które zapadają w pamięć i które wspomina się potem przez lata.

Zszedł ze wzgórze i ruszył między zagony kukurydzy. Pamiętał, jak jego ojciec postanowił na próbę obsiać

czterdzieści akrów kukurydzą. Kiedy urosła, mały Keith przyglądał się zafascynowany gąszczowi. Całe akry wysokich zielonych ścian. Zaczarowany świat dla niego i jego przyjaciół. Bawili się w chowanego, wymyślali coraz to nowe zabawy, spędzali tu całe godziny, gubiąc się i udając, że zanurzenie w tym labiryncie zieleni czymś im grozi. Pola były cudownie złowieszcze w nocy,

często spali wtedy pod gwiazdami, uzbrojeni w zabawki-pistolety, wystawiając na noc strażę, i budzili się przerażeni.

To był wspaniały obóz ćwiczebny dla piechoty, myślał. Nie wiedział, czy do takich zabaw pchał ich wrodzony instynkt czy pamięć kulturowa, wywodząca się z czasów, gdy te miejsca stanowiły zachodnie rubieże kraju. Ponieważ brakowało prawdziwego niebezpieczeństwa, musieli stworzyć pozorne, ożywić Indian, przywołać na pola kukurydzy dzikie bestie i straszdyła. A potem, kiedy przyszła rzeczywistość — wojna — byli gotowi. Właśnie to dotknęło jego i Annie w 1968 roku. Wiedział, że mogą iść razem na studia, pobrać się i mieć dzieci, jak tylu ich przyjaciół, ale był już przeznaczony do czegoś innego, a ona to rozumiała. Pozwoliła mu odejść, ponieważ musiał walczyć ze smokami. To, co zdarzyło się później, wynikało z całej serii nieporozumień spowodowanych męskim ego, kobiecą rezerwą, nieumiejętnością komunikowania się i zwykłym pechem. Gwiazdy stały na drodze ich miłości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

P

adało przez cały dzień i nie była to jedna z tych letnich burz nadchodzących z zachodu lub południowego zachodu, które odchodzą równie nagle, jak przyszły. Deszcz był mile widziany, bo kukurydza potrzebowała wody, aby mogła dojrzeć gdzieś między Halloween a Świętem Dziękczynienia. Keith pomyślał, że jeśli do tego czasu nie wyjedzie, może zaoferować Mullerom czy Jenkinsom pomoc przy żniwach. Chociaż większość pracy wykonywały teraz maszyny, zdrowy mężczyzna, który siedziałby w czasie żniw z założonymi rękami, uważany był za skończonego grzesznika, maszerującego równym krokiem do piekła. Ci natomiast, którzy pracowali na polu, należeli do grona przyszłych zbawionych. Keith miał pewne kłopoty z doktryną protestancką i podejrzewał, że większość jego sąsiadów również, może poza amiszami. Bezpieczniej jednak było zachowywać się tak, jakby człowiek już był w gronie zbawionych, a poza tym Keith miał ochotę wziąć udział w żniwach.

W domu sporo było do roboty, więc nie przeszkadzało mu, że pada. Tu trzeba było coś przykręcić, tam poluzować, elektryka wymagała naprawy, rury uszczelnienia. Ojciec, na szczęście, zostawił w piwnicy cały warsztat z narzędziami.

Wykonywanie tych drobnych napraw sprawiało mu przyjemność, miał wrażenie, że robi coś pożytecznego, a już dawno czegoś takiego nie czuł.

Zaczął od wymiany uszczeltek w kranach. Może nie była to robota na miarę oficera wywiadu, ale na tyle automatycznie wykonywał wszystkie związane z nią czynności, że przynajmniej mógł myśleć o czym innym.

W ostatnim tygodniu nic się nie wydarzyło, nawet radiowozy przestały przejeżdżać koło jego domu. Można by więc przypuszczać, że Cliff Baxter wyjechał z żoną, ale Keith w to wątpił. A wątpił w to, ponieważ znał ludzi pokroju Baxtera; był on nie tylko najbardziej zaciekłym z możliwych przeciwników intelektu, ale również człowiekiem, który nie pojechałby tam, gdzie jego żona spędziła cztery szczęśliwe lata przed ślubem.

Inny mężczyzna czułby się bezpieczny, wiedząc, że miała tylko jednego kochanka i nie przeleciała jej cała drużyna baseballowa. Ale Cliffa Baxtera przedmałżeński seks żony prawdopodobnie po prostu wkurzał. Zanim zjawił się on, Pan Wspaniały, nie powinna była pewnie mieć życia w ogóle.

Keith przez chwilę zastanawiał się, czy nie pojechać do Bowling Green. Czy nie byłoby to najlepsze miejsce na spotkanie? Jednak musiał brać pod uwagę możliwość, że mąż mimo wszystko wybrał się tam z Annie, choćby po to, by mieć na nią oko i zepsuć jej przyjemność pokazywania córce miasta i college'u. Wyobrażał sobie, jakie rozmowy toczyły się w domu Baxterów, kiedy Wendy oświadczyła, że złożyła papiery do alma mater matki i że została przyjęta.

Rozumiał również, że teraz, kiedy zarówno córka, jak i syn opuścili dom, Annie Baxter ma się nad czym zastanawiać. Wspomniała o tym w jednym z ostatnich listów, pisząc, że musi podjąć jakieś decyzje dotyczące ukończenia doktoratu lub podjęcia pracy czy w ogóle powrotu do spraw, które odłożyła na zbyt długo.

Może, rozmyślał Keith, człowiek jest przeznaczony z góry do jakichś działań i życie nie jest chaosem, choć tak wygląda. Bo czy przyjazd Kei-tha Landry'ego do Spencerville nie zbiegł się z chwilą, gdy gniazdo Annie opuściły pisklęta? Ale ten zbieg okoliczności nie był całkowicie przypadkowy. Keith wiedział z listów, że Wendy wybiera się na studia, co mogło wpłynąć na jego decyzję powrotu. Z drugiej strony przecież już dwa czy trzy lata wcześniej mógł

zostać odesłany na przymusową emeryturę. Ale ważniejsze było coś innego: on dojrzał do zmiany życia, z kolei z jej listów wynikało, że ona swojego ma dość od dłuższego już czasu. A więc przypadek, podświadome planowanie czy cud? Wszystkiego po trosze.

Był rozdarty między potrzebą działania i biernością, między oczekiwaniem i potrzebą aktywności. W wojsku stawiano nacisk na aktywność, w wywiadzie na cierpliwość. „Jest czas siewu i czas zbiorów”, powtarzał nauczyciel szkółki niedzielnej. Jeden z instruktorów dodawał do tego: „Jeśli o którymś z nich zapomnisz, spieprzyłeś”.

Amen.

Keith skończył wymieniać uszczelkę w ostatnim kranie i umył ręce.

Przyjął zaproszenie na przyjęcie z okazji Dnia Pracy w domu ciotki Betty, która mieszkała kilka mil od niego. Pogoda była dobra, steki wręcz wspaniałe, sałatki domowej roboty, a do tego słodka kukurydza, dojrzewająca wcześniej niż pastewna.

Przyszło około dwudziestu osób, a Keith większość znał osobiście lub przynajmniej ze słyszenia. Mężczyźni w jego wieku wyglądali staro i to go przerażało. Było też sporo dzieciaków, nastoletni chłopcy wypytywali go o Waszyngton i wszyscy chcieli wiedzieć, czy był w Nowym

Jorku. Paryż, Londyn, Rzym, Moskwa i tyle innych miejsc, gdzie mieszkał przez te wszystkie lata, były tak odległe od ich wyobrażeń, że nawet nie mogły ich zainteresować. Co do jego pracy, to wiedzieli od rodziców Keitha, że zajmuje się dyplomacją. Nikt z nich nie pojmował, co to właściwie znaczy, ale na czym polega praca w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, także by nie zrozumieli. Prawdę mówiąc, po dwudziestu latach w wywiadzie wojskowym, Agencji Wywiadu Obrony i Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, Keith, z każdym kolejnym przeniesieniem i awansem, także coraz mniej rozumiał. Kiedy jeszcze pracował jako agent operacyjny, wszystko było czyste jak lza. Im wyżej wspiął się po szczeblach kariery, tym stawało się bardziej mgliste. Zasiadał na konferencjach w Białym Domu z ludźmi z Rady Doradców Wywiadu, CIA, Biura Wywiadu i Badań i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego — nie mylić z Radą Bezpieczeństwa Narodowego — z ludźmi z innych komórek wywiadu i Agencji Wywiadu Obrony, w której niegdyś pracował. Jak piętnaście czy dwadzieścia różnych agencji może przegapić coś ważnego? O, bardzo łatwo.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sprawy mogły być nieco zagmatwane, ale przynajmniej posuwały się w jakimś kierunku. Około roku 1990 wszystko stało się jeszcze bardziej tajemnicze i na dodatek stanęło w miejscu. Keith uważał, że zaoszczędzono mu około pięciu lat zakłopotania. Jego ostatni przydział wiązał się z pracą komitetu, który zupełnie poważnie rozważał wyznaczenie sekretnych pensji dla byłych wysokich rangą oficerów KGB. Jeden z jego kolegów określił to jako „rodzaj planu Marshalla dla byłych wrogów”. Coś takiego mogą wymyślić tylko w Ameryce.

W każdym razie przyjęcie z okazji Dnia Pracy skończyło się o zmroku meczem koszykówki przy obręczy przybitej do drzewa na podwórku ciotki Betty. Keith bawił się doskonale.

W zakłopotanie wprawiała go jedynie obecność trzech niezamężnych kobiet: kuzynki trzeciego stopnia, Sally, trzydziestoletniej panny o wadze stu siedemdziesięciu funtów czy coś koło tego, ale nadzwyczaj słodkiej, oraz dwóch rozwódek: Jenny z dwójką dzieci i Annie — niestety to imię budziło u niego aż za dużo skojarzeń — bezdzietnej. Te dwie panie dobiegały już czterdziestki, ale wyglądały całkiem, całkiem. Od pierwszej chwili czuł, że dla nich główną atrakcją przyjęcia nie były domowe sałatki.

Jenny była zabawna, dziewczyna-kumpel, grała dobrze w kosza i znakomicie radziła sobie z dziećmi. Keith już dawno temu się nauczył, że dzieci i psy lepiej oceniają charakter niż dorośli.

Powiedziała mu, że może się podjąć niezbyt ciężkiego sprzątanego, bo przydałyby się jej dodatkowe pieniądze. Jeśli będzie potrzebował pomocy, niech zadzwoni. Odpowiedział, że na pewno się odezwie.

W tych stronach mężczyzna czterdziestoparoletni, który nigdy nie był w związku małżeńskim, otaczany był troskliwością, ale też stawał się przedmiotem spekulacji dotyczących jego przystosowania do życia lub preferencji seksualnych. Keith nie wiedział, co Jenny o nim myśli, ale doceniał, że chce się czegoś dowiedzieć.

Cóż, kiedy od dnia powrotu czuł dziwny przymus pozostania wiernym Annie Baxter. Przy czym nie było mu z tym źle. A jednak wiedział, że powinien uważać, by ludzie nie przypomnieli sobie o ich związku. Dlatego zapisał numer telefonu Jenny, podziękował ciotce i pozwolił im spekulować. To był miły dzień.

Właśnie zamierzał iść spać, kiedy zadzwonił dzwonek. Wyrzwał przez okno i zobaczył obcy szary samochód. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Na werandzie stał mężczyzna w średnim wieku i średniej budowy, w drucianych okularkach, z wąsami i z dużą łysiną, którą otaczał wianuszek brązowych, dość długich włosów. Trzymał w ręku złożony parasol. Mężczyzna powiedział:

— Wojna była plugawa i niemoralna, ale przykro mi, że cię nazwałem mordercą dzieci.

Keith uśmiechnął się, rozpoznając głos.

— Witaj, Jeffrey.

•Słyszałem, że wróciłeś. Nigdy nie jest za późno na przeprosiny. Wyciągnął dłoń, a Keitii, ujmując ją, powiedział:

•Wejdz.

Jeffrey Porter zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i powiesił go na wieszaku w sieni.

•Od czego zaczniemy po tych wszystkich latach? — zapytał.

•Od stwierdzenia, że wyłysiałeś.

•Ale nie utylem.

—Rzeczywiście. Lewicowcy i sympatycy bolszewizmu zawsze są chudzi.

Jeffrey się roześmiał.

—Od dobrych dwudziestu lat nie słyszałem takich słodkich słów.

•Trafiłeś do właściwego człowieka, czerwono. Roześmieli się i uściskali serdecznie.

•Ty wyglądasz świetnie, Keith.

•Dzięki, chodź, napijemy się piwa.

Poszli do kuchni, napełnili przenośną lodówkę piwami, wytaszczyli ją na werandę i zasiedli w fotelach bujanych. Patrzyli na deszcz, popijając piwo, obaj pogrążeni we własnych myślach. Wreszcie odezwał się Jeffrey:

—Gdzie są te lata, Keith? Czy to zbyt banalne, żeby o tym mówić?

—No cóż, i tak, i nie. Dobre pytanie, ale obaj znamy na nie odpowiedź.

•Prawda. Przyznaję, że ostatnim razem byłem dla ciebie dość szorstki.

•Obaj byliśmy dla siebie szorstcy — odparł Keith. — Byliśmy młodzi, pełni pasji, przekonani o własnych racjach. Zналиśmy odpowiedzi na wszystkie pytania.

•Gównno wiedzieliśmy — odparł Jeffrey i otworzył kolejne piwo. — Byłeś jedynym facetem, którego uznawałem za prawie dorównującego mi bystrością.

•A ja miałem cię za równie bystrego jak ja. Może nawet bardziej.

•W każdym razie właśnie dlatego tak mnie rozwścieczyło, że robisz z siebie idiotę.

•A ja nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ktoś tak lebski jak ty łapie się na tę gadkę radykałów, a sam nie pomyśli.

•Nigdy się na nią nie złapałem, Keith, w każdym razie nie do końca. Ale fakt, że ją powtarzałem.

— To przerażające. Widziałem całe narody, które tak właśnie postępowały.

•Pewnie. Ale ty za to dałeś się złapać na wymachiwanie flagą amerykańską i też się za bardzo nie zastanawiałeś, co to właściwie ma znaczyć.

•Od tego czasu zmądrzałem. A jak z tobą?

•Sporo się nauczyłem — odparł Jeffrey. — Ale dość polityki. Jeszcze skończy się na kolejnej bójce. Opowiadaj, po co tutaj zjechałeś.

•No cóż, zostałem wywalony.

•Skąd? Z wojska?

•Nie, to już przeszłość.

•W takim razie kto cię zwolnił?

•Rząd'.

Jeffrey spojrzał na niego w milczeniu.

Keith patrzył na pola i padający na nie deszcz. Było coś bardzo specjalnego w patrzeniu na deszcz, kiedy się siedziało na werandzie. Od wielu lat brakowało mu tego.

•Ożeniłeś się? — dopytywał się Jeffrey.

•Nie. A ty wzięłeś ślub z tą dziewczyną...? No, z tą hipiską z włosami po pupę, z którą chodziłeś się na ostatnim roku?

•Gail. Tak, pobraliśmy się. I nadal jesteśmy razem.

•Masz szczęście. Dzieciaki?

•Nie, i tak na świecie jest za dużo ludzi. Nie przykładamy do tego ręki.

•Ja też nie. Gdzie mieszkacie?

•Tutaj. Żeby być dokładnym, wróciliśmy dwa lata temu. Na kilka lat zakotwiczyliśmy w Bowling Green.

•To słyszałem. A potem?

•No cóż, oboje dostaliśmy stypendium do Antioch, po jakimś czasie oboje dochrapaliśmy się posad i wykładaliśmy, a teraz przeszliśmy na emeryturę.

•Gdybym musiał spędzić jeszcze jeden rok na uniwersytecie, palnąłbym sobie w łeb.

•Nie każdy się do tej roboty nadaje — przyznał Jeffrey. — Do roboty dla rządu też nie każdy.

•Zgoda.

•Widziałeś się z Annie po powrocie?

•Nie. — Keith otworzył kolejne piwo.

Jeffrey przyglądał się staremu przyjacielowi ze szkolnej ławy, a Keith zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany.

—Chyba nie jesteś z nią jakoś związany? - spytał po chwili Jeffrey.

-Nie.

•Wpadłem na nią kilka razy. Pytałem, czy ma od ciebie jakieś wieści, ale zaprzeczała. To śmieszne, przecież byliśmy sobie tacy bliscy... myśleliśmy wtedy, że to się nigdy nie skończy...

- Byliśmy tego pewni.
 - Zapraszałem, żeby kiedyś wpadła do mnie i Gail na drinka — powiedział — ale wciąż mnie zbywała. Z początku było mi przykro, ale potem dowiedziałem się co nieco na temat jej męża. To prawdziwy fuhrer, wiedziałeś o tym? Spotkałem ich kiedyś razem podczas imprezy dobroczynnej w Elks Lodge, Annie była uroczą, taka jak to ona potrafi, a ten jej mąż nazista miał ją cały czas na oku, jakby była jakimś szmuglerem heroiny. Wiesz, co mam na myśli? Ten neandertalczyk aż się w środku gotował, bo ośmieliła się rozmawiać z mężczyznami. Żonatymi mężczyznami. Na miłość boską, to byli lekarze, prawnicy, tego rodzaju goście. Ona nic takiego zresztą nie robiła, a on powinien być zachwycony, bo Bóg mi świadkiem, że potrzebuje wszystkiego, co by mu poprawiło reputację. Ale tylko wziął ją pod ramię i wyprowadził. Po prostu. Posłuchaj, może ja i jestem socjalistą i zwolennikiem równości, ale przy okazji jestem też pieprzonym snobem i kiedy widzę dobrze urodzoną, wykształconą kobietę, którą taki gnojek... Dokąd idziesz?
- Do łazienki.

Keith umył twarz. Spojrzał w lustro. Rzeczywiście, mógł podziękować swoim genom, bo nie wyglądał gorzej niż za studenckich czasów. Z kolei Jeffrey był nie do poznania. Ciekawe, jak wygląda Annie. Jeffrey z pewnością wie, ale nie zapyta go o to. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Wrócił na werandę i usiadł.

—Skąd się dowiedziałeś, że wróciłem?

—Och... Gail usłyszała od kogoś. Nie pamiętam od kogo. Wygląda świetnie.
- Gail?
 - Annie. — Jeffrey roześmiał się. — Zachęcałbym cię, żebyś się znowu nią zainteresowała, ale ten skurwiel by cię zabił. — Po chwili dodał:

— Wie, że dostał gwiazdkę z nieba, i nie odda jej.
- Dla ciebie taką gwiazdką było Antioch, pasowałeś tam jak ulał.
 - No... chyba tak. Przeżyliśmy tam z Gail parę dobrych lat. Organizowaliśmy protesty, strajki, pikietowaliśmy przed komisją poborową w mieście. Piękne czasy.
 - Wspaniałe. — Keith się roześmiał. — Odstraszałeś tych, którzy mogli mnie zastąpić.
 - Szkoda, że nie było cię z nami. — Jeffrey też się zaśmiał. — Chryste, wypaliliśmy tyle trawki, że załatwiłaby stado słoni, i pieprzyliśmy się z połową wydziału, aż wrzało.
- Sypiałeś z innymi dziewczynami?
- Pewnie. Nie wiesz, ile straciłeś.
 - Ale... Posłuchaj, ja jestem zwykłym wieśniakiem i nie rozumiem... Kiedy już byłeś po ślubie, to też sypiałeś z innymi?
 - No tak. Ciągle trafiała się jakaś okazja. Było jak w prawdziwej komunie. I naprawdę wierzyliśmy w wolną miłość. Gail do dziś wierzy, że to ona wymyśliła powiedzenie „Czyń miłość, nie wojnę”. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym. Tak mówi. Przyszło to do niej podczas snu. Pewnie po prochach.
- Niech zastrzeże prawa autorskie.
 - Pewnie. Tak czy siak, odrzucaliśmy wartości i sentymenty burżuazji, odrzuciliśmy religię, patriotyzm, rodzicielstwo i to wszystko.

— Pochylił się ku Keithowi. — Byliśmy szczęśliwi i pełni wiary. Nie we wszystko, ale wystarczająco. I naprawdę nienawidziliśmy wojny.
- Jasne. Ja też nie mam o niej najlepszego zdania.
- Daj spokój, Keith. Nie oszukuj się.
 - Dla mnie to nie była sprawa polityczna. Po prostu widziałem siebie jako Huckleberry'ego Finna z karabinem maszynowym.
- Ludzie umierali.
- To prawda, Jeffrey. Wciąż płaczę nad nimi. A ty?
 - Nie. Ale ja nigdy nie chciałem, żeby ginęli. — Szturchnął Keitha w ramię. — Zapomnijmy o tym, dobrze? Już nikt o to ani trochę nie dba.
- Pewnie nie.

Obaj sięgnęli po kolejne piwo. Siedzieli, pijąc i bujając się w fotelach. Keith pomyślał, że za dwadzieścia lat będą tak siedzieć przykryci kocami i popijać sok jabłkowy, rozmawiając o zdrowiu i wspominając dzieciństwo. Cały ten okres pomiędzy — lata seksu, namiętności, kobiet, polityki i zmagani — stanie się mglisty, prawie zapomniany. Chociaż miał nadzieję, że tak nie będzie.

 - Hu nas ze Spencerville trafiło do Bowling Green? — zapytał. — Ja, Annie, ten dziwny dzieciak, trochę od nas starszy, jak mu tam było. Chyba Jake?
 - Tak. Wyjechał do Kalifornii. Nigdy potem już o nim nie słyszałem. Była jeszcze taka dziewczyna, Barbara Evans, niezła laska. Widziałem ją na imprezie dwudziestolecia ukończenia szkoły.
- Liceum w Spencerville czy college'u w Bowling Green?
- College'u. Na spotkania w ogólniaku nigdy nie chodziłem. A ty?

- Ja też nie.
- Jeżeli w przyszłym roku się wybierzesz, to też pójdę.
- Dobra.
 - Był jeszcze jeden chłopak z naszego miasta, który dostał się na Bowling Green — mówił dalej Jeffrey. — Jed Powell, dwa lata od nas młodszy. Pamiętasz go?
- Jasne. Jego rodzice mieli mały sklepik w mieście. Co u niego?
 - Trafilo go w głowę w Wietnamie. Wrócił, kilka lat przebidował i umarł. Moi rodzice przyjaźnili się z jego starymi. Poszliśmy z Gail na pogrzeb, rozdawaliśmy antywojenną literaturę. Gówniana robota.
- Może.
- Stałeś się łagodniejszy czy jesteś pijany?
- Jedno i drugie.
- Ja też. — Jeffrey kiwnął głową.
 - Siedzieli jeszcze chwilę, opowiadając sobie, co słycać u różnych krewnych, wspominając chwile przeżyte wspólnie w Spencerville i Bowling Green. Wydobywali z zakamarków pamięci kolejne wydarzenia. Zaczęło się ściemniać, wciąż padał deszcz.
 - Właściwie każdy, kogo znałem, siedział kiedyś na tej werandzie — powiedział Keith.
 - Wiesz co, nie jesteśmy jeszcze starzy, a czuję się tak, jakby nas otaczały duchy.
 - Wiem, co masz na myśli. Może nie powinniśmy byli tu wracać, Jeffrey. Dlaczego ty wróciłeś?
 - Nie wiem. Jest taniej niż w dużym mieście. Nie stoimy najlepiej z forszą. Starając się wychowywać radykałów, zapomnieliśmy o pieniądzach. — Roześmiał się. — Powinienem być kupować akcje zakładów zbrojeniowych.
- Nie jest to dziś najlepsza inwestycja. Pracujesz?
 - Udzielam korepetycji dzieciakom z ogólniaka. Gail także. Ona poza tym pracuje w radzie miejskiej, za co dostaje dolara rocznie.
- Żartujesz. Kto u licha głosował na czerwoną?
 - Jej przeciwnika przyłapano w męskiej ubikacji, robił brzydkie rzeczy.
 - Keith się uśmiechnął.
- Spencerville miało dobry wybór.
- Właśnie. W listopadzie zleci ze stołka. Baxter już się o to postara.
- Nie dziwię się.
- Uważaj na tego gościa, Keith. On jest niebezpieczny.
- Żyję w zgodzie z prawem.
- To nie ma znaczenia, przyjacielu. Ten facet jest chory.
- Więc zrób coś z tym.
- Próbuję.
 - Próbujesz? Czy nie jesteś czasem tym samym facetem, który chciał obalić rząd Stanów Zjednoczonych?
- To było łatwiejsze. — Zaśmiał się. — I to było kiedyś.
 - Cmy uderzały o siatki w oknach domu, fotele skrzypiały. Keith otworzył ostatnie dwa piwa, podał jedno Jeffreyowi.
- Nie rozumiem, dlaczego oboje porzuciliście pracę na uniwersytecie.
- No... bo to się stało jakieś niesamowite.
- Co się stało niesamowite?
 - Wszystko. Gail wykladała socjologię, a ja Marksa, Engelsa i innych białych mężczyzn pochodzenia europejskiego, co do jednego nieboszczyków. Siedziałem w mojej wieży z kości słoniowej i nie rozumiałem, co się dzieje w prawdziwym świecie. Upadek komunizmu mnie zaskoczył.
- Mnie także. A mnie płacono za zapobieganie niespodziankom.
- Naprawdę? Byłeś kimś w rodzaju szpiega?
 - Mów dalej. Twoi bohaterowie okazali się herosami na glinianych nogach. I co dalej ?
 - Po prostu nie wiedziałem, czy powinienem napisać od nowa swoje wykłady, czy całe swoje życie? Poza tym zajęcia, które prowadziłem, nie ściągały zbyt wielu słuchaczy. Kiedyś byłem w awangardzie myśli społecznej, a nagle znalazłem się na tyłach. Chryste, nawet już nie mogłem wyrwać żadnej panienki. Wiesz, może byłem już za stary na studentki, ale... przecież to nie chodzi tylko o pociąg fizyczny. Poza tym teraz obowiązują zasady, zapisano całe stronicę zasad prowadzenia się... Jezu Chryste, każą ci dostać słowne zezwolenie przy każdym kolejnym kroku... Czy mogę rozpiąć ci bluzkę? Czy mogę zdjąć twój biustonosz? Czy mogę położyć dłoń na twojej piersi? — Roześmiał się. — Nie żartuję. Możesz sobie wyobrazić coś takiego w czasach, kiedy my studiowaliśmy? Chryste, po prostu się pieprzyliśmy i było świetnie. No, może ty nie, ale... W każdym razie Gail też trochę straciła na popularności. Jej potencjalni studenci zaczęli wybierać studia nad feminizmem, historię Afroamerykanów, amerykańską filozofię, kapitalizm epoki New Age i tego typu zajęcia. Nikt nie zajmuje się już dziś zwykłą socjologią. Kiedyś czuła się, jakby należała do establishmentu. Jezu Chryste, ten kraj naprawdę się

zmienia, czy co?

- Antioch może nie być zbyt reprezentatywne dla całego kraju, Jeffrey.
- Może i nie. Ale nie ma nic żałośniejszego niż stary rewolucjonista, który już nie ma o co walczyć. Rewolucje zawsze zjadają same siebie. Wiedziałem o tym trzydzieści lat temu. Po prostu nie oczekiwałem, że trafię na talerz tak szybko.
- Wylali de?
 - Nie. Oni tego nie robią. Po prostu pewnego dnia obudziliśmy się z Gail i podjęliśmy decyzję. Pozostaliśmy wierni zasadom. Głupcy.
 - Nie. Mądrze zrobiliście. Dobrze. Nie mogę tego powiedzieć o sobie. Szkoda, że nie zrobiłem tego, co wy. Ale ja czekałem na uderzenie topora.
- Dlaczego? Redukcje?
 - Tak. Ceną zwycięstwa jest zmniejszenie zatrudnienia. Jak na ironię.
 - Ale przynajmniej wygrałeś. Ja teraz już się nie doczekam socjalistycznego rajy na ziemi. — Skończył piwo i zgniół puszkę. — Polityka śmierdzi. I niszczy ludzi.
 - To ci mówiłem. — Keith siedział przez chwilę, zastanawiając się nad słowami Jeffreya. On i jego przyjaciel z czasów młodości żyli zupełnie inaczej, wierzyli w odmienne rzeczy, od końca studiów nie mieli najwyraźniej nic wspólnego. A tak naprawdę mieli, i to więcej, niż można by przypuszczać.

Kiedy byli mali, bawili się na tym samym boisku szkolnym i tego samego dnia poszli do ogólniaka. Każdy z nich uważał się za uczciwego człowieka, może nawet idealistę, i wierzył, że to, co robi, jest najlepsze dla ludzkości. Służyli w innych armiach, podczas gdy większość stała i tylko się przyglądała. A na koniec obaj zostali wyprowadzeni w pole, zużyci przez różne systemy i odrzuceni. I teraz siedzieli razem, dwóch chłopaków, już dość leciwych, pijąc razem piwo na werandzie.

 - Jesteśmy bezużytecznymi relikwiami przegranych wojen — powiedział Keith. Jeffrey przytaknął.
 - Tak. Czy następne trzydzieści lat przeżyjemy dobrze?
 - Prawdopodobnie nie. Tylko nie popełnimy tych samych błędów.
 - Ale przeszłość się od nas nie odczepi. Już się mówi, że ja i Gail jesteśmy czerwoni, co nie jest do końca prawdą, ale tracimy przez to uczniów. Co niby powinniśmy zrobić? Zacząć chodzić do kościoła? Wybrać się Czwartego Lipca na piknik w strojach czerwono-biało-niebieskich? Przystać do republikanów?
 - Boże broń.
 - Widzisz. Wciąż jesteśmy radykalni. Nic się na to nie poradzi.
 - Nie, i kochacie to. Dlatego właśnie tu jesteście. W Antioch byliście pieśnią przeszłości. Tutaj staliście się prawdziwym zagrożeniem.

Jeffrey trzepnął się w kolano.

 - Masz rację. W tym miejscu czas się zatrzymał. Kocham to. — Spojrzał na Keitha. — A ty? Czy wiesz, dlaczego jesteś tutaj?- Chyba tak.
- Dlaczego?
 - No... jestem wypalonym do cna cynikiem, a ponieważ nie sędzę, żeby tu ktoś choćby rozumiał, na czym polega cynizm, mam nadzieję, że się wyleczę.
 - Tak. Cynizm to humor w chorobie. Tak powiedział H. G. Wells. Mam nadzieję, że ci się poprawi.
- Ja też.
 - Może ja wyleczę się z mojego idealizmu. Wiesz, kto to jest idealista? Człowiek, który zauważył, że róża pachnie piękniej niż kapusta, i uznał, że w związku z tym z róży zrobi lepszą zupę. Na tym polega mój problem. Dlatego właśnie jestem bez forsy i bez pracy, wyrzucony poza nawias społeczeństwa. Ale mam nadzieję, że nie jestem cyniczny.
- Niech Bóg cię błogosławi. Czy można to powiedzieć ateście?
- Zawsze. Byłeś już w kościele? -Nie.
- Powinieneś.
- Czy to naprawdę ty, Jeffrey?
 - Tak... Zobaczyłem, jaką siłę ma religia w Polsce, w Rosji... To nie dla mnie, ale widzę, co wiara może zrobić ze skłopotanym umysłem. Tobie by się trochę przydało.
- Może.
 - Muszę już iść, chłopie. — Jeffrey podniósł się chwiejnie na nogi. — Zaraz kolacja. Wpadnij jutro wieczorem i zjedz z nami. Gail chce cię zobaczyć. Ciągłe jesteśmy wegetarianami, ale możesz przynieść własną świnię czy cokolwiek. Mamy wino i piwo. Pijemy.
- To widzę. — Keith wstał, także niepewnie. — O której?
 - Czy to ważne? O szóstej, siódmej. — Jeffrey podszedł do schodków i złapał równowagę, chwytając się kolumny. — Chcesz przyprowadzić przyjaciółkę?
 - Nie.

- Jak sobie radzisz z seksem? Nie zadowolaj się kurczakami. W tym mieście znajdziesz mnóstwo rozwiedzionych kobiet. Z przyjemnością zajmą się tobą.
- Możesz jechać?
 - Jasne. To prosta droga. Wynajmujemy dom i kilka akrów ziemi, na której hodujemy warzywa. Dwie mile na północ. Kiedyś mieszkał tam stary Bauer.
- Pozwól, że cię zawiozę.
 - Nie... Jeśli mnie zatrzymają, Gail mnie wyciągnie. Jeśli ciebie zatrzymają, dobiorą ci się do skóry.
- Dlaczego to mówisz?

Jeffrey przysunął się do Keitha i objął go ramieniem.

 - Przyszedłem, żeby ci to powiedzieć... Nawet gdybyśmy nie odnowili przyjaźni, zamierzałem ci to wyjawić. Gail ma informatora związanego z policją... a dokładnie na posterunku policji, ale o tym lepiej zapomnij. Mówi się, że Baxter poluje na ciebie, i przypuszczam, że obaj wiemy dlaczego. Lepiej, żebyś był ostrożny.
- Dziękuję.

Jeffrey zawahał się, po czym dodał:

— Nie wiem, czy ty i ona pozostawaliście w kontakcie, ale czuję, że wy... co to ja chciałem powiedzieć? Nie potrafię nawet myśleć o was osobno... Za każdym razem, kiedy widzę Annie, myślę o tobie, a kiedy dzisiaj zobaczyłem ciebie, pomyślałem o Annie. Chryste, bredzę.

Odwrócił się, zszedł po schodach i ruszył przez deszcz bez parasola. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Keith patrzył, jak światła samochodu oddalają się ciemną, moką drogą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

P

oraneek wstał jasny i Keith chciał się zabrać do roboty na farmie, ale wszystko było mokre po deszczu. Włożył więc czyste dżinsy i koszulę z krótkimi rękawami i wybrał się do miasta załatwić kilka spraw.

Kusiło go, żeby przejechać pod domem Baxterów, ale do tego czasu policja mogła już ustalić, jakim jeździ samochodem. Zresztą nie miał powodu sprawdzać, czy Annie wróciła. Kiedy uzna, że nadszedł czas, pojedzie do ciotki Louise i wpadnie do niego.

Wjechał do centrum i znalazł parking przy sklepie z alkoholem. Wszedł, obejrzał stoisko z winami, których większość była krajowej produkcji; nazwy właściwie nic mu nie mówiły. Przypomniał sobie, że Jeffrey i Gail, jak wszyscy, których znał w Bowling Green, pili tanie słodkie wina. Dzisiaj by zaprzeczyli, że w ogóle o takich słyszeli. Mimo to kupił dla żartu butelkę wina jabłkowego i wino gronowe, które tak naprawdę było mieszanką soku winogronowego z alkoholem, miejscowy produkt. Poza tym poprosił o butelkę całkiem porządnego włoskiego chianti, które także przywołało wspomnienia.

Zapłacił za wino, wrócił do blazera, schował butelki do bagażnika, a wyjął z niego zapakowane w kopertę tablice z waszyngtońską rejestracją. Ruszył w stronę poczty, która mieściła się po zachodniej stronie Courthouse Square.

Budynek poczty wzniesiono jeszcze w czasach federalistów, Keith jako chłopiec czuł nabożny szacunek do tego miejsca. Kiedyś zapytał ojca, czy zbudowali go Rzymianie, i usłyszał w odpowiedzi potwierdzenie. Dzisiaj jego znajomość historii była już nieco lepsza, uśmiechnął się na to wspomnienie i nagle zrozumiał, co miała na myśli Annie, pisząc o miejscach budzących nostalgię. Przypomniał sobie, jak przychodził tu z nią kupować znaczki i wysyłać listy.

Przy okienkach nie było kolejek. Podał kopertę urzędnikowi, który zważył ją i przykleił odpowiednią liczbę znaczków. Keith poprosił o pokwitowanie i wypełniał właśnie druczek przesyłki poleconej, kiedy usłyszał, jak urzędniczka z jednego z sąsiednich okienek mówi:

— Życzę dobrego dnia, pani Baxter.

Odwrócił się i zobaczył kobietę o rudych włosach do ramion, w prostej bawełnianej letniej sukience. Zbliżała się już do wyjścia.

Stał przez moment nieporuszony. Za kobietą zamknęły się drzwi.

- Wypełnił pan ? — zapytał urzędnik.
- Tak. Nie... nieważne. — Zmiał formularz i szybko wyszedł.

Na schodach się rozejrzył. Nagle spostrzegł ją: szła w towarzystwie trzech kobiet w stronę skrzyżowania. Zawahał się, a potem, przeskakując po kilka stopni, pobiegł za nimi.

Zawsze wyobrażał sobie Annie taką, jaką ją ostatni raz widział, dwadzieścia pięć lat temu, na dzień przed zgłoszeniem się do komisji poborowej. Kochali się w jej mieszkaniu w Columbus, a potem o świcie pocałował ją i odszedł. Teraz, po czterdziestce, nadal miała figurę młodej dziewczyny i szła tak samo energicznie jak zawsze. Śmiała się i żartowała z przyjaciółkami, ale nie widział jej twarzy, tylko raz mignął mu profil, kiedy się odwróciła.

Poczuł, jak serce zaczyna mu bić gwałtownie. Stał wpatrzony w cztery idące kobiety. Zatrzymały się na rogu, czekając na zmianę świateł. Zrobił krok do przodu, zawahał się, zrobił jeszcze jeden krok i znowu się zatrzymał. Idź, ty idioto, idź.

Światła się zmieniły i kobiety weszły na jezdnię. Keith stał i obserwował je. Wtedy właśnie Annie powiedziała coś do trzech pozostałych. Poszły dalej w stronę miejskiego parku, ale już bez niej. Stała przez chwilę bez ruchu, a potem odwróciła się i podeszła do niego.

Uśmiechnęła się, wyciągając rękę.

•Witaj, Keith. Dawno się nie widzieliśmy. Ujął jej dłoń.

•Witaj, Annie.

•Jestem zdenerwowana.

•W ogóle tego nie widać. Ja zaraz zemdleję.

•Wątpię. — Uśmiechnęła się, zrobiła krok do tyłu. — Niech no ci się przyjrzy. Nie postarzałeś się ani o dzień.

•Postarzałem się o dwadzieścia pięć lat. Ty wyglądasz świetnie.

•Dziękuję.

Patrzyli na siebie. Jej oczy były duże, jak zawsze pełne wesołych iskerek. Zauważył, że usta ma umalowane taką samą jasnoróżową kredką jak kiedyś. Jej cera miała zdrowy odcień, ale ze zdziwieniem dostrzegł, że nie jest opalona, choć kiedyś uwielbiała siedzieć na słońcu. Oczywiście miała kilka zmarszczek, ale tylko dodawały dojrzałości jej wciąż dziewczęcej twarzy. Kiedyś była ładna, teraz wręcz piękna.

Zastanawiał się, co powiedzieć, wreszcie wykrztusił:

•Więc... dostałem twój list. Ten w skrzynce.

•Dobrze.

•Jak było w Bowling Green?

•Było... miło. Smutno.

•Chciałem... Nie wiedziałem, czy pojechałaś sama, czy...

— Pojechałam sama. To znaczy z córką. Rozglądałam się tam za tobą — dodała. — W przenośni.

Skinął głową, a potem znowu popatrzył prosto w jej oczy.

•Czy wierzysz w to, co się dzieje?

•Nie, wiem, że śnię.

•Ja... Nie potrafię znaleźć słów. Rozejrzała się.

•Zaraz muszę iść.

•Rozumiem.

•Napisałam do ciebie. List wrócił. Myślałam, że nie żyjesz.

•Nie... Po prostu nie zostawiłem w biurze adresu do korespondencji...

•Byłam zrozpaczona. — Odchrząknęła i dodała: — Straciłam przyjaciela od pióra.

Zaskoczony zauważył, że jej oczy zwilgotniały. Chciał jej podać chusteczkę, ale wiedział, że nie powinien. Wyjęła paczkę chusteczek z torebki i udając, że wyciera twarz, osuszyła oczy.

•Więc... — Odetchnęła głęboko. — Jak długo masz zamiar tutaj zostać?

•Nie wiem.

•Dlaczego wróciłeś?

Rozważał kilka wymijających odpowiedzi, ale wreszcie wyznał:

— Żeby cię zobaczyć.

Zagryzła dolną wargę i wpatrując się w ziemię, walczyła ze łzami. Keith, który również zaczął tracić kontrolę nad sobą, bał się odezwać.

Wreszcie podniosła na niego wzrok.

•Mogłeś mnie widzieć za każdym razem, kiedy tutaj byłeś — odparła.

•Nie mogłem, Annie. Ale teraz mogę.

—Boże... Nie wiem, co powiedzieć... chodzi mi... czy ty... wciąż?

-Tak.

Przetarła jeszcze raz oczy, spojrzała w stronę parku, gdzie jej przyjaciółki jadły lody przy budce i przyglądały się im.

•Za trzydzieści sekund dojdą do wniosku, że kroi się coś niedobrego — ostrzegła.

•To wciąż małe miasto, prawda? — Zmusił się do uśmiechu.

- Bardzo małe.
 - Chcę, żebyś wiedziała, że twoje listy pomogły mi kilka razy w bardzo ciężkich chwilach.
- Twoje też mi pomagały. Muszę iść.
- Kiedy napijemy się razem kawy?
 - Wpadnę do ciebie — uśmiechnęła się — gdy tylko się wybiorę w odwiedziny do ciotki. Ale nie wiem, kiedy to będzie.
- Zazwyczaj jestem w domu.
- Wiem.
- Twój mąż... — zaczął.
- To również wiem. I wiem, kiedy mogę przyjechać.
- W porządku. Wyciągnęła dłoń, a on ją ujął.
 - W Europie, Waszyngtonie czy Nowym Jorku całujemy się na do widzenia.
 - W Spencerville mówimy po prostu: „Życzę panu miłego dnia, panie Landry. Miło było pana znowu zobaczyć”. — Odwzajemniła uścisk dłoni i odwróciła się.

Keith przyglądał się, jak przechodziła przez ulicę i szła dalej, do swoich trzech znajomych.

Stał przez chwilę, nie bardzo wiedząc, jak się tu znalazł, gdzie stoi jego samochód i co właściwie powinien teraz zrobić.

Czuł w gardle gulę i nie mógł oderwać wzroku od miejsca, w którym wcześniej stały kobiety, chociaż już ich tam nie było. Chciał pobiec za nimi, ująć ją za ramię i powiedzieć jej towarzyszkom: „Przepraszam panie, ale my się kochamy, więc panie nam wybaczą”.

Ale może potrzebowała trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić. Może nie podobało jej się to, co zobaczyła. Odtwarzał sobie słowo po słowie ich rozmowę, wygląd Annie i to, co ujrzał w jej oczach.

Z tego, co słyszał, nie miała łatwego życia, ale nikt by tego nie powiedział, patrząc na nią, na jej oczy, twarz, sposób poruszania się. Są ludzie, po których widać każdą bliźnę, każdy zawód, każdy smutek. Annie Prentis była wieczną optymistką, szczęśliwą, pełną animuszu, niezłamaną przez życie.

Z drugiej strony on również radził sobie całkiem nieźle i pewnie nie wyglądał na wypalonego, a przecież w sercu chował każdy smutek, zawód i każdą ludzką tragedię, jakiej kiedykolwiek był świadkiem.

Z rozważań, jak by się potoczyło ich życie, gdyby się pobrali i mieli dzieci, nie wynikało nic dobrego. Byłoby wspaniale. Zawsze sobie powtarzali, że zostali stworzeni dla siebie. Teraz musieli się zastanowić, czy mogą zacząć w miejscu, w którym się rozstali. To było najważniejsze. Cynik, który w nim siedział, mówił „nie”. Młody Keith Landry, ten, co kochał całym sercem, nie stawiając żadnych warunków, mówił „tak”.

Odnalazł samochód, wsiadł i zapalił silnik. Jak przez mgłę pamiętał, że ma do zrobienia zakupy, ale ruszył prosto do domu.

W drodze wspominał ów dzień w Columbus dwadzieścia pięć lat temu, w jej sypialni. Wstawał świt, ale on nie spał już od paru godzin. Siedział w fotelu ubrany, przyglądał się Annie śpiącej nago na plecach. Jej długie włosy leżały rozsypane w nieładzie na poduszce.

Wiedział, że minie dużo czasu, zanim zobaczą się znowu. Ale do głowy mu nie przyszło, że upłynie ćwierć wieku i zniknie świat, który znają. Siedząc tak, myślał o wojnie, która toczyła się gdzieś w Azji, przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że może zginąć, ale wszystko to wydawało się takie odległe. Byli dziećmi z małego miasteczka, które spędziły idylliczne lata w college'u, a jego dwa lata w wojsku wydawały się po prostu dziurą w drodze. Martwił się jedynie, że ona poczuje się samotna.

Po zakończeniu szkolenia w Fort Dix powinien był dostać przepustkę, ale zamiast tego wysłano ich do Filadelfii, gdzie demonstracje antywojenne stały się zbyt gwałtowne. Znowu świat stanął między nimi, lecz dla niego było to całkiem nowe doświadczenie.

Udało mu się zadzwonić do niej z budki, nie zastał jej jednak w domu, a w tamtych czasach nie istniały automatyczne sekretarki. Zatelefonował raz jeszcze, lecz linia była zajęta. Wreszcie napisał do niej, ale zanim odpowiedź doszła do Fort Dix, minęło kilka miesięcy. W tamtych dniach nie było łatwo się skontaktować, a później z wielu powodów stało się to jeszcze trudniejsze.

Keith zdał sobie sprawę, że jest na farmie, i skręcił na podjazd prowadzący do domu. Zatrzymał blazera koło ogrodu, ale nie wsiadł.

Chciał sobie powiedzieć, że teraz wszystko będzie dobrze, że miłość zwycięży. Pomyślał, że jest pewien swoich uczuć do Annie, ale tak naprawdę wcale jej nie zna. Co ona czuje do niego? I co zamierzają z tym zrobić? I co w związku z tym zrobi jej mąż?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

O

siódmej wieczór Keith Landry podjechał na farmę starego Bauera, gdzie mieszkali Gail i Jeffrey Porterowie. Zmierzch zapadł dość wcześnie, było chłodno, niebo przybrało barwę fioletoworóżową, która Keithowi kojarzyła się z końcem lata.

Dom stał blisko drogi. Wyraźnie wymagał odmalowania. W drzwiach frontowych pojawiła się Gail. Na widok Keitha ruszyła przez trawnik w jego stronę. W chwili gdy udało mu się wygrzebać z blazera, z winem i parasolem Jeffreya w objęciach, stała już koło niego. Uściskała go i wyczuwała.

•Keicie Landry, wyglądasz zabójczo.

•Jestem tylko posłańcem, proszę pani — odpowiedział. — Ale pani też wygląda pięknie i świetnie pani całuje.

•Nic się nie zmieniłeś. — Roześmiała się.

•Dobrze by było.

Poznał ją dopiero na ostatnim roku, kiedy Jeffrey zaczął z nią chodzić, i właściwie nie pamiętał, jak wyglądała, bo nosiła się w stylu bardzo wtedy popularnym: wychudzona buzia bez makijażu, jeszcze szczuplejsze ciało, długie włosy, wiejska sukienka i bose stopy. Prawdę powiedziawszy, teraz też miała długie, rozpuszczone włosy, na sobie kwiecistą sukienkę, prawdopodobnie oryginalną ludową, i była na bosaka. Keith zastanawiał się, czy oczekiwano od niego, by i on ubrał się na to spotkanie na modłę lat sześćdziesiątych. Nadal szczupła, nie nosiła biustonosza, co wyraźnie widział w głęboko wyciętym dekolcie. Nie była ładna ani wtedy, ani teraz, ale była i pozostała seksowna. Wręczył jej parasol.

— Jeffrey go zostawił.

•Cud, że pamiętał, gdzie mieszka. Musieliście się, chłopcy, niezłe bawić.

•To prawda.

Ujęła go pod ramię i poprowadziła ku domowi.

•Jeffrey mi powiedział, że byłeś szpiegiem.

•Zostawiłem w domu płaszcz i sztylet.

•Dobrze. Nie będziemy dziś rozmawiać o polityce. Tylko wspominać dawne czasy.

•Trudno to rozdzielić.

•Racja.

Weszli do domu. Keith znalazł się w prawie nieumeblowanym salonie, oświetlonym tylko przez promienie zachodzącego słońca. Meble, z tego, co spostrzegł, były w stylu minimalistycznego europejskiego modernizmu, prawdopodobnie nadeszły w skrzyniach, a gospodarze zbijali je sami, korzystając z instrukcji napisanej po szwedzku.

Gail cisnęła parasol w kąt i poprowadziła go dalej. Przeszli przez jadalnię umeblowaną w tym samym stylu i znaleźli się w kuchni jakby żywcem przeniesionej z lat pięćdziesiątych. Keith postawił na stole butelki. Gail wyjęła je z toreb.

•Jabłkowe i gronowe! Uwielbiam je! — zawołała.

•To oczywiście żart. Tu masz jeszcze dobre chianti. Pamiętasz małą restaurację włoską koło kampusu?

•Jak mogłabym zapomnieć? Niesmaczne spaghetti, wtedy jeszcze nie mówiło się na nie *pasta*, obrus w szachownicę i stopione świece w oplecionych słomą butelkach po chianti.

Włożyła tanie wina do lodówki i podała Keithowi korkociąg, żeby otworzył chianti. Postawiła dwa kieliszki, do których nalała wina. Stuknęli się, a ona wygłosiła toast:

•Za Bowling Green.

•Na zdrowie.

•Jeffrey jest za domem — poinformowała go. — Zbiera zioła.

Na kuchni pykał duży kocioł, stół nakryto na trzy osoby, w koszyku leżał naszykowany bochenek ciemnego chleba.

•Czy przyniosłeś dla siebie mięso? — zapytała Gail.

•Nie, myślałem, że upoluję coś po drodze.

•Obrzydliwiec. — Roześmiała się.

•Podoba ci się tutaj? — zapytał.

•Jest w porządku. — Wzruszyła ramionami. — Spokojnie. Mnóstwo domów do wynajęcia, na które możemy sobie pozwolić. Rodzina Jef-freya wciąż tu mieszka, więc od dwóch lat on odświeża swoje związki. Ja pochodzę z Fort Recovery, tam jest tak samo jak tu. A co z tobą? Lubisz to miejsce?

•Jak na razie.

•Nostalgia? Smutek? Znudzenie? Przypadek?

•Wszystkiego po trosze. Muszę to sobie poukładać od nowa. Gail ponownie napelniła oba kieliszki i jeszcze jeden dla

Jeffreya.

- Chodź, pokażę ci ogród.

Wyszli z domu kuchennymi drzwiami.

— Mamy towarzystwo! — zawołała Gail.

Jeffrey, który był o rzut kamieniem od domu, podniósł się z klęczek i pomachał, po czym ruszył w ich stronę. Był w poroziąganym podko-

szulku, pod pachą niósł kosz wypełniony zielskiem. Keith miał nadzieję, że nie jest przeznaczone dla nich na kolację.

Jeffrey wytarł dłonie o szorty i wyciągnął rękę do gościa.

- Miło cię widzieć.

- Dotarłeś do domu bez przygód? — zapytał Keith.

•Jasne. — Jeffrey wziął kieliszek od Gail. — Na starość nie mam już tak mocnej głowy. Tylko od czasu do czasu palimy trawkę.

•Puszczamy stare przeboje, zapalamy wszystkie światła, robieramy się i pieprzemy — dodała Gail.

Keith nie skomentował tej informacji, rozejrzał się tylko i powiedział:

- Piękny ogród.

•Tak, obsadzamy kukurydzą nasze cztery akry, a jeszcze udaje nam się podwędzić co nieco od sąsiadów — odparł Jeffrey. — Na szczęście hodują tę słodką, inaczej jedlibyśmy jak bydłeta.

Keith przyjrzał się uważnie warzywnikowi. Nie przypominał normalnego ogrodu; prawdopodobnie Porterowie w dużej mierze jedli to, co wyhodowali. W jednej chwili przestał uważać się nad sobą. Ostatecznie rząd wypłacał mu całkiem niezłą pensję, a w dodatku jego rodzina nie pozbyła się ziemi.

— Chodź — odezwał się Jeffrey — oprowadzę cię.

Ruszyli przez ogród. Była tu część wydzielona specjalnie na warzywa korzeniowe, potem na pomidory i dyniowate, dalej rosły strączkowe. Keith w ogóle nie wiedział, że istnieje ich tyle rodzajów. Najbardziej interesujący był kawałek z ziołami — czegoś takiego nie spotykało się w hrabstwie Spencer. Były tam zioła używane w kuchni, chyba ze czterdzieści odmian, a także coś, co Jeffrey nazwał „ziołami historycznymi i medycznymi”, a na dodatek rośliny używane do farbowania i rozmaite inne, wykorzystywane w domu, by ładnie pachniało. A dalej, aż do pól, rozciągał się pas dzikich kwiatów, których jedynym zadaniem było cieszyć oko i uspokajać umysł.

— Piękne — powiedział Keith.

— Robię perfumy, potpourri, herbaty, płyny kosmetyczne, zioła do kąpieli, tego typu rzeczy.

- Coś do palenia? Jeffrey roześmiał się.

- Bóg wie, że przydałoby się, jednak tutaj bym nie zaryzykował.

- Ja uważam, że możemy, ale Jeffrey to cykor — oznajmiła Gail.

•Szeryf hrabstwa jest nieco bardziej otwarty niż szef policji w Spen-cerville, ale ma nas na oku — bronił się Jeffrey. — On uważa to całe zielarstwo za podejrzan.

•Daj spokój, Jeffrey — powiedziała Gail — potraktuj to gadanie tak jak grzyby, które hodujesz. Trzymaj w ciemnościach i podrzucaj pod nie gównem.

Roześmieli się.

— Mam źródło w Antioch — powiedział Jeffrey. — Jeżdżę tam raz na miesiąc. Właśnie wróciłem. — Mrugnął do Keitha.

Zrobiło się już prawie ciemno, wrócili do domu. Gail włożyła zioła do cedzaka i umyła, a Jeffrey mieszał zawartość garnka, która wyglądała na zupę bez mięsa. Gail dołała do niej odrobinę chianti i wrzuciła zioła.

— Niech się trochę podduszają.

Keith miał silne uczucie déjà vu, przypominała mu się pierwsza kolacja z Jeffreyem i Gail na terenie kampusu. U nich niewiele się zmieniło.

Gail rozlała resztę chianti do kieliszków.

— Pewnie myślisz, że nie możemy się rozstać z latami sześćdziesiątymi — powiedziała.

-Nie. Tak!

•Prawdę mówiąc, podchodzimy do tego okresu selektywnie. Każda era, każda dekada ma swoje dobre i złe strony. Na przykład całkowicie odrzuciliśmy nowy feminizm na rzecz starego feminizmu. Za to odpowiada nam nowoczesna ekologia.

- To świadczy o waszej dużej bystrości — zauważył chłodno Keith.

- Ta sama stara mądrość. — Jeffrey się zaśmiał.

- Jesteśmy dziwakami — uzupełniła Gail.

Keith poczuł się w obowiązku powiedzieć coś miłego gospodarzom.

•Myślę, że możemy być tak dziwacznymi, jak sobie tylko życzymy. Zasłużyliśmy na to.

- Ty to powiedziałaś — zgodził się Jeffrey.

—Poza tym odrzuciliście pieniądze dla zasad — ciągnął Keith.

Gail przytaknęła.

- Częściowo z powodu zasad, częściowo po prostu zaczęliśmy się tam źle czuć. Dwoje starych radykałów, z których się śmieją za plecami. Kiedyś byliśmy bohaterami, ale teraz dzieciaki już nie mają bohaterów. Młodzież zawsze uważa, że historia świata zaczyna się w dniu ich narodzin.
- Nie jest tak źle — rzekł Jeffrey. — Ale czuliśmy się niespełnieni zawodowo.
- Niezupełnie to mówiłeś mi wczoraj wieczorem — powiedział Keith.
- No cóż, wczoraj byłem pijany. Ale może byłem bliższy prawdy. Tak czy owak, jesteśmy tutaj i uczymy przeciętniaków.

•Jeffrey mi powiedział, że ciebie się pozbyli — odezwała się Gail.

•Nie poczekali ani dnia dłużej, niż byłem im potrzebny.

•Czy śmiali się z ciebie?

•Nie, nie sądzę. Starych wojowników imperialistyczne społeczności wywiadowcze traktują z szacunkiem.

•W takim razie czemu cię nie zatrzymali?

•Cięcia budżetowe i koniec zimnej wojny... Nie, to nie do końca prawda, zostałem zwolniony, ponieważ znalazłem się w obszarze psychicznym pomiędzy wypaleniem a wątpliwościami moralnymi. Potrafią to wyczuć na milę i nie lubią tego zapachu. — Przez chwilę zastanawiał się, a potem dodał: — No i zacząłem zadawać pytania.

•Na przykład?

•Poczekaj... to było na spotkaniu w Białym Domu. Zaprosili mnie, żebym odpowiadał na pytania, a nie zadawał je — Keith uśmiechnął się na wspomnienie sytuacji, o której mówił — a ja spytałem wtedy sekretarza stanu: „Czy zechciałby mi pan wytłumaczyć politykę zagraniczną naszego kraju, jeśli taka w ogóle istnieje, żebym mógł zrozumieć, czego pan chce?”. Nigdy nie słyszałem takiej ciszy, jaka wtedy zapadła.

•Czy ci wytłumaczył? — dopytywał się Jeffrey.

— Był na tyle grzeczny. Ale ja ciągle nieć nie rozumiałem. Sześć miesięcy później znalazłem na biurku list, w którym wyjaśniano, że ze względu na cięcia budżetowe mogę się cieszyć wcześniejszą emeryturą. Pozostawiono tylko miejsce na mój podpis. Podpisałem.

Jeffrey mieszał zupę, popijając wino, Gail wyjęła z lodówki drewniany talerz z surowymi warzywami do pogryzania i postawiła go na stole. Sięgnęli po nie.

•Wygląda na to, że ty też zrezygnowałeś dla zasad — powiedział wreszcie Jeffrey.

•Nie, mnie poproszono, żebym przyjął wcześniejszą emeryturę z powodu cięć budżetowych. Taką wersję podano prasie i napisano w aktach, czyli tak to właśnie było. — Po chwili dodał: — Moja praca polegała na odkrywaniu prawd obiektywnych, ale do tego potrzebne są dwie strony: ten, kto mówi, i ten, kto słucha. Zabrakło słuchających. Prawdę mówiąc, nikt nie słuchał już od dwudziestu lat, ale zabrało mi chwilę, zanim to zrozumiałem. — Zamilkł. — Jestem szczęśliwy, że odszedłem.

•Widzę pewne podobieństwo między twoją sytuacją a naszą — doszła do wniosku Gail. — My też jesteśmy szczęśliwi na tej farmie, gdzie gówno jest dobre tylko na nawóz. — Otworzyła lodówkę i wyciągnęła tanie wina, które przyniósł Keith.

•Pamiętasz? — zapytała Jeffreya. — Osiemdziesiąt dziewięć centów za butelkę. Ile za nie zapłaciłeś, Keith?

•Coś około czterech dolców za każdą.

•Zdzierstwo — oświadczył Jeffrey. Zdjął kapsel z jabłkowego i powąchał. — Dobrze. — Rozlał wino do szklanek, Gail wrzuciła do każdej po listku mięty. Stuknęli się.

— Za minione dni, nieobecnych przyjaciół z naszej młodości, ideały i ludzkość — powiedział Jeffrey.

— I za jasną przyszłość bez koszmaru zagłady jądrowej.

Wysuszyli do dna szklanki i odstawili je, wydając przesadne dźwięki zadowolenia. Wreszcie wybuchnęli śmiechem.

•Wcale niezłe — powiedział Jeffrey do Keitha. — Nie masz więcej?

•Nie, ale wiem, gdzie je można dostać.

— Uderza do głowy — stwierdziła Gail. Poszła do kuchni po wino gronowe i postawiwszy je na stole, usiadła. Jeffrey zgasił światło i zapalił dwie świece.

Keith rozlał trunek. Jedli surowe warzywa, maczając je w sosie.

Przez chwilę rozmawiali o niczym, Jeffrey i Keith wspominali ogólniak, Gail oświadczyła im wreszcie, że nudzą, przerzucili się więc na rozmowę o ostatnim roku w Bowling Green. Przyniosła skądś karafkę z winem, a Jeffrey, do którego najwyraźniej należało mieszanie w garnku, wstał do swych obowiązków. Ona dbała, by szklanki były pełne.

Keith bawił się dobrze, mimo że miał niewiele wspólnego ze swymi gospodarzami, poza tym, że chodzili razem do liceum. Zresztą nawet wtedy nie przyjaźnił się z małym chudzielcem Jeffreyem Porterem, choć się lubili, prawdopodobnie z tego powodu, że obaj byli bystrzy, a jako nastolatki nie mieli żadnych opinii na temat polityki, życia i wojny.

W college'u początkowo się zbliżyli, po prostu dlatego, że pochodzili z tego samego miasteczka i łatwiej było im w dwóch przystosować się do nowego środowiska. Właściwie, myślał teraz Keith, wtedy wręcz się zaprzyjaźnili.

Ale kiedy wojna radykalizowała i podzieliła mieszkańców miasteczka uniwersyteckiego, odkryli, że różnią się w ocenie zbyt wielu kwestii. W trakcie trwania wojny w Wietnamie, podobnie jak w czasie wojny secesyjnej, brat występował przeciwko bratu, sąsiad przeciwko sąsiadowi, a przyjaciel przeciw przyjacielowi. Gdy się patrzyło wstecz, mogło się wydawać, że inteligentni ludzie dobrej woli powinni byli wyznawać te same poglądy. Jednak Keith, zresztą nie tylko on, stracił wtedy starych przyjaciół, których sobie cenił, i zyskał nowych, o których zbytnio nie dbał. Kilka razy nawet się pobili. Jeffrey nie był w tym dobry i Keith walczył z nim tylko, gdy tamten tego zażądał. Kończyło się to tak, że Keith wychodził, a Jeffreya wynoszono.

Jakies półtora roku później Jeffrey napisał do Keitha do Wietnamu; adres dostał od jego matki, która z radością dała go jednemu ze starych przyjaciół syna. Keith myślał, że chodzi o pojednanie i gotów był odpowiedzieć w tym samym tonie. Ale kiedy otworzył list, przeczytał: *Cześć Keith, zabiłeś dzisiaj jakieś niemowlęta? Licz, ile masz kobiet i dzieci na sumieniu. Armia da ci medal* I tak dalej.

Keith pamiętał, że był nie tyle zraniony, ile wściekły. Gdyby Jeffrey stał wtedy obok, zabiłby go. Teraz, patrząc wstecz, zdał sobie sprawę, jak daleko zawędrowali drogą szaleństwa.

Ale minęło ćwierć wieku, Jeffrey go przeprosił, a Keith przyjął przeprosiny. Obaj byli już innymi ludźmi, przynajmniej miał taką nadzieję.

To nieuchronnie przywiodło mu na myśl Annie. Skończyła studia, podróżowała po Europie, wyszła za mąż, miała dzieci, sypiała z innym mężczyzną przez dwadzieścia lat, w tym czasie przeżyła dwadzieścia Gwiazdek, urodzin, rocznic ślubu i tysiące śniadań i kolacji z rodziną. Keith Landry i Annie Baxter z pewnością nie mieli ze sobą więcej wspólnego niż Keith Landry i Jeffrey. Tyle że z Jeffreyem... nie sypiał przez sześć lat.

•Hej, Keith — odezwała się Gail. — Wyrównałeś rachunki?

•Nie... ja...

Jeffrey podniósł się i podszedł do pieca.

—Gotowe.

Rozlał zupę do trzech misek i udało mu się je zanieść na stół bez rozlewania. Gail pokroiła chleb.

—Domowej roboty.

Zjedli. Chleb pachniał jak jedzenie, którym Keith zwykł na farmie swoich rodziców karmić konie, ale zupa była smaczna.

Na deser podano domowe ciasto z truskawkami, również dobre, tylko zapach ziołowej herbaty przypomniał Keithowi o miejscach w Azji, które, jak sądził, udało mu się już wymazać z pamięci.

•Czy Jeffrey ci mówił, że zasiadam w radzie miejskiej? — zapytała Gail.

•Mówił. Gratulacje.

•No chyba. Mojego oponenta przyłapano, jak pieprzył się z kimś w męskiej toalecie.

•Opublikowano to? — Keith uśmiechnął się. Gail przytaknęła.

— Ja co prawda pieprzyłam się z masą facetów, ale to co innego.

Wszyscy troje byli pijani, mimo to jednak Keith poczuł się po tej uwadze nieswojo.

•No i nigdy mnie nie przyłapano w toalecie — dodała Gail. — Tak czy siak, w listopadzie mamy znowu wybory i tym razem stanę przeciwko republikańskiej damulce z kawałkiem gówna zamiast mózgu.

•Całkiem sporo jest tych, którzy chcą pchnąć to miasto i kraj do przodu — powiedział Jeffrey. — Planujemy odnowić centrum, przywrócić mu dawny historyczny wygląd, żeby przyciągnąć turystów i ludzi, którzy włożyliby tu trochę pieniędzy. — Jeffrey zapalił się, opowiadając o planach dla Spencerville i hrabstwa Spencer.

Keith słuchał.

•Wracasz do swych planów obalenia rządu Stanów Zjednoczonych? — spytał.

•Myśl globalnie, działaj lokalnie — odrzekł Jeffrey z uśmiechem. — Oto motto lat dziewięćdziesiątych.

•No cóż — zauważył Keith. — To brzmi raczej jak stara, dobra środ-kowozachodnia propaganda. Pamiętasz jeszcze to słowo?

•Jasne. Ale to coś więcej. Interesujemy się także ekologią, uczciwym rządem, służbą zdrowia i tym wszystkim, co wykracza poza biznes i komercję.

•To dobrze, bo ja też. Prawdę mówiąc, zauważyłem już to, o czym mówisz, i doszedłem do podobnych wniosków. Ale nie każdy w ten sposób na to patrzy. Jeździłem dużo po świecie i jeśli się czegoś nauczyłem, to tego, że ludzie mają takie rządy, na jakie zasługują.

•Nie bądź cynikiem — odparł Jeffrey. — To jeszcze ciągle ten kraj, w którym ludzie dobrej woli potrafią czegoś dokonać.

•Mam nadzieję.

•Hej, wy tam, skończcie już tę filozoficzną dysputę — wtrąciła się Gail. — Musimy ci się zwierzyć z prawdziwego problemu. Zarząd tego miasta i hrabstwa popadł w letarg, częściowo jest skorumpowany, częściowo głupi. — Spojrzała na Keitha. — Prawdę mówiąc, źródło naszych kłopotów to mąż twojej byłej dziewczyny, Cliff Baxter.

Keith milczał.

- Ten skurwysyn szantażuje ludzi — ciągnęła Gail. — To pieprzony klon J. Edgara Hoovera. Zbiera informacje na temat obywateli tego miasta i okolic, między innymi o mnie. Pokazał mi te papiery, głupi gnój, i zamierzam podać go za to do sądu.
- Uważaj na niego. — Keith spojrzął na nią. Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu, wreszcie odezwał się Jeffrey:
- To dyktator i jak każdy dyktator w głębi serca jest tchórzem.
 - Nawet tchórz może być niebezpieczny, jeśli ma broń — odparł Keith.
 - Tak — skinął głową Jeffrey — ale my przed nim nie drżymy. Stawaliśmy już przeciw żołnierzom z bagnetami.
 - Może stawałeś tak przeciwko mnie, Jeffrey. Byłeś w Filadelfii jesienią sześćdziesiątego ósmego?
 - Nie i nie byliśmy w Kent, kiedy żołnierze strzelali do demonstrantów, ale nasi przyjaciele tam byli i powiem ci, że gdybym wiedział, co się wydarzy, też bym pojechał.
 - Tak, pewnie rzeczywiście byś pojechał. Ale to były inne czasy i może lepsza sprawa.

Znowu przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Popijali wino z karafki. Łagodny powiew, który wpłynął przez otwarte okno, zachy-

botął świeczką. Keith poczuł zapach polnych kwiatów i kapryfolium, niezwykłą różnorodność woni.

• Czy coś o nim wiesz? — zapytała Keitha Gail.

• O kim?

• OJ. Edgarze Baxterze.

- Nie. Wydaje mi się, że pamiętam go ze szkoły średniej. Ale nie są to najbardziej aktualne informacje.
- No cóż — wtrącił Jeffrey. — Ja pamiętam go całkiem dobrze. Niewiele się zmienił. Taki sam dupek. Jego rodzina doszła do pewnych pieniędzy, ale nie poprawiło to ich talentów towarzyskich ani nie dodało rozumu. Dzieciaki Baxterów zawsze miały kłopoty, pamiętasz? Chłopcy znęcali się nad słabszymi, a dziewczyny trafiały przed ołtarz już w ciąży. W takim małym miasteczku jak nasze mówi się, że w tej rodzinie jest zła krew.

Keith nie odpowiedział. Czuł, że to nie jest zwykłe plotkowanie. Chcieli go skaperować. Rozpoznawał metodę.

— Ma fioła na punkcie własności i jest wściekle zazdrosny — ciągnęła Gail. — Mówię teraz o jego żonie. Annie wciąż jest bardzo atrakcyjna, a to sprawia, że pan Baxter patrzy na nią jak jastrząb. Z tego, co słyszałam, ona żyje jak święta, ale on jej nie wierzy. Ludzie, którzy mieszka ją na ich ulicy, twierdzą, że dom Baxterów jest pod ciągłą obserwacją. A parę tygodni temu wybuchła u nich jakaś strzelanina o piątej nad ranem. Był wtedy w domu. Sąsiadom powiedziano, że nic się nie stało.

Keith milczał. Jego twarz również nic nie zdradzała, może poza dobrze wyćwiczoną mieszaniną umiarkowanego zainteresowania i odrobiny sceptycyzmu, gdy Gail referowała to, co słyszała od innych. Miał wrażenie, że znowu siedzi w jakiejś europejskiej kawiarni, zarzucając się.

— To nie jest miły facet — ciągnęła Gail — ale ludzie muszą z nim jakoś żyć. Nawet niektórzy z tych, co pracują dla niego, uważają go za brutala. A jednak w pewien perwersyjny sposób potrafi być też czarujący. Stara szkoła. Zawsze kłania się pierwszy kobietom, nigdy nie zwraca się do nich inaczej jak „proszę pani”, okazuje szacunek ojcom miasta, urzędnikom i tak dalej, podobno nawet pomaga staruszkom przejść przez jezdnię. — Gail uśmiechnęła się, dodając: — Ale również podszczypuje kelnerki i wykorzystuje kobiety, które popadły w tarapaty. Ten facet to niezła gnida. — Rozlała resztę wina do szklanek.

Keith nasłuchiwał nocnych ptaków i świerszczy. Niby nic z tego, co usłyszał, nie zdziwiło go, ale był zadowolony, że to teraz słyszał. Gdzieś głęboko, gdzie schroniła się dawna moralność, czaiła się myśl, że nie powinien niszczyć małżeństwa, domu, rodziny. W ciągu lat służby wielokrotnie wplątał się w sytuacje, które można było uważać za wątpliwe, nawet takie, których powinien się wstydzić. Ale to było tam i kiedyś.

A chodziło o tu i teraz. To był dom. Jeśli wierzyć Gail i Jeffreyowi, Baxterowie nie tworzyli szczęśliwego stadła, pan Baxter był psychopata, a pani Baxter potrzebowała pomocy. Przypuszczalnie.

- W swojej pracy ten facet jest neandertalczykiem. Nie daje sobie rady z młodzieżą w mieście. To prawda, że wielu z nich ubiera się dziwnie, noszą włosy do ramion albo gołą głowę i wszędzie się włóczą. My też wariowaliśmy. Ale Baxter im nie pomaga, tylko ich ściga. W miejscowej policji nie ma nikogo młodego, nie prowadzą też żadnego douczania czy szkoleń. Siły policyjne Spencerville to tylko wozy patrolowe, gliniarze i areszt. To miasto umiera, ale Baxter tego nie widzi. Stoi na straży prawa i porządku, to wszystko.
- Jego praca polega na strzeżeniu prawa i porządku — zauważył Keith.
- Tak — zgodził się Jeffrey — ale powiem ci coś jeszcze. W tym też nie jest za dobry. Co prawda nadal mamy niewielką przestępczość, ale już nie tak małą jak kiedyś. Są narkotyki... nie mówię o pocziwej trawce, lecz o ciężkiej arterii, i Baxter nie ma pojęcia, skąd to pochodzi, kto to sprzedaje ani kto kupuje. Natura zbrodni i

zbrodniarzy zmienia się, ale nie Baxter. Mamy bijatyki i rozróby, kradzieże samochodów, doszło do dwóch gwałtów. Poza tym odwiedził nas gang z Toledo, który napadł na bank. Złapała ich policja stanowa, nie Baxter. Potem zaproponowano naszym policjantom szkolenie, ale ponieważ nie było obowiązkowe, Baxter je olał. Nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, jak niefachowi i skorumpowani są jego ludzie.

Keith nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, starał się myśleć o Bax-terze jako o nieco gburowatym, ale sprawnym policjancie. Ohydny człowieku, ale dobrym szefie policji, oddanym sprawie bezpieczeństwa publicznego. Z drugiej strony incydent na parkingu przed supermarketem dowodził, że ma do czynienia z nieuczciwymi policjantami.

- Baxter zrzuca winę za naszą minieksplzję zbrodni na narkotyki i częściowo ma rację. Ale on również obciąża winą szkoły, rodziców, telewizję, MTV, kina, muzykę, wideo, sprośne pisemka i co się jeszcze da. W porządku, może jest w tym trochę prawdy, tyle że nie dostrzega już relacji między wzrostem przestępczości a bezrobociem, znudzeniem nastolatków a brakiem możliwości czy bodźców.
- Jeffrey, kiedy małomiasteczkowa Ameryka wyglądała inaczej? — zapytał Keith. — Może twarda policja nie jest na to najlepszym lekarstwem, ale nie jesteśmy w Columbus czy Cleveland, przyjacielu. My potrzebujemy małomiasteczkowych rozwiązań małomiasteczkowych problemów, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.
- Nie mamy nic przeciwko prawdzie, Keith — wtrąciła Gail. — Nie jesteśmy tymi oszołomami, co kiedyś. Ale problemy zostały te same. Czy nic cię nie obchodzą?
- Owszem, to jest przecież moje rodzinne miasto - odparł Keith po chwili namysłu. - Nie spodziewałem się, że zaszły tu aż takie zmiany. Przyjechałem tu w poszukiwaniu spokoju, ale widzę, że wy dwoje nie dacie mi pójść na ryby.
- Starzy rewolucjoniści — odpowiedziała Gail z uśmiechem — nie płowieją z czasem jak starzy żołnierze, Keith. My po prostu znajdujemy następną sprawę.
- Widzę.
- Uważamy, że Baxter ma słabe punkty, które chcemy wykorzystać
- kontynuowała Gail.
 - Może potrzeba mu tylko treningu wrażliwości i paru spotkań z psychologiem? Tacy jak wy właśnie to proponują kryminalistom. Czemu nie policjantom?
 - Wiemy, że rzucasz nam przynętę, i przyznajemy, że jesteś w tym dobry, ale wiemy też, że jesteś inteligentny. Już zrozumiałeś albo stanie się to wkrótce, że dla Baxtera nie ma zbawienia. Chryste, nawet on już to wie. I robi się nerwowy jak ścigany szczur, co czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym.
- Keith przytaknął, myśląc: I z pewnością wcale nie lepszym mężem.
- Uważamy, że przyszedł czas, żeby go wylać — powiedziała Gail.
- Potrzebujemy moralnego zwycięstwa, czegoś, co by poruszyło opinię publiczną. Keith, z twoją przeszłością...
 - Nic nie wiesz na temat mojej przeszłości — przerwał jej. — Cokolwiek mówiłem, nie może wyjść poza ten dom.
 - W porządku. — Skinęła głową. — Z twoją inteligencją, wiedzą, urokiem, możesz nam pomóc. Chcemy, żebyś się do nas przyłączył.
- Kto to jest „my”?
- Po prostu grupa reformatorów.
- Czy muszę stać się demokratą?
 - Boże, nie! — Jeffrey się roześmiał. — Jesteśmy ludźmi z różnych klas i różnych partii. Są wśród nas duchowni, ludzie interesu, nauczyciele, farmerzy, kobiety niepracujące zawodowo. Do licha, jest z nami większość rodziny Annie.
 - Naprawdę? Ciekawe, jaki nastrój panuje podczas obiadu w Święto Dziękczynienia w domu Baxterów?
 - Podobnie jak wielu ludzi, którzy nas popierają, nie ujawniliśmy się jeszcze — odparł Jeffrey. — Czy możemy liczyć na ciebie?
 - No cóż... — Prawdę mówiąc, Keith czuł urazę do Cliffa Baxtera, ponieważ Cliff ożenił się z Annie. — No cóż... Nie wiem, jak długo tutaj zostaną...
 - Wydawało mi się, że postanowiłeś tu osiąść na jakiś czas — przerwał mu Jeffrey.
- Nie jestem pewny.
 - Nie prosimy cię, żebyś na środku głównej ulicy wyzwał go w samo południe na pojedynek.
 - W porządku. W zasadzie jestem za pozbywaniem się skorumpowanych urzędników.
 - Dobrze. W takim razie mówisz o Cliffie Baxterze. W przyszłym tygodniu, w czwartek wieczorem, spotykamy się w kościele Świętego Jakuba. Wiesz, gdzie to jest?
 - Tak, to moja dawna parafia. Dlaczego spotykacie się poza miastem?
 - Ludzie nie chcą, żeby wszyscy wiedzieli, że uczestniczą w tych spotkaniach. Rozumiesz dlaczego?
 - Chyba tak. Ale może przesadzacie z tą rewolucyjną melodramatycznością. To jest Ameryka. Spotkajmy się w ratuszu. Mamy do tego prawo.
- Nie możemy. Jeszcze nie.
Keith zastanawiał się, ile jest w tym próby uratowania romantyzmu rewolucji, a ile prawdziwego strachu.

- Pomyślę, może przyjdę.
- Dobrze. Kawałek ciasta? Herbaty?
- Nie, dzięki. Czas ruszać w drogę.
- Jeszcze wcześniej — zaoponowała Gail. — Żadne z nas nie ma jutro nic do roboty. — Podniosła się, a Keith sądząc, że chce posprzątać ze stołu, wstał również i sięgnął po talerz i szklankę. — Zostaw to. Wciąż żyjemy jak świnki. — Wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu.

Jeffrey ruszył za nimi, niosąc potpourri.

— Jedzenie było świetne, rozmowa inspirująca, czas na poobiedniego papieroska — powiedział.

Gail zapaliła dwa kadzidelka i dwie pachnące świece. Jeffrey usiadł po turecku na podłodze przed niskim stolikiem. Wyciągnął z potpourri bibułki i położył je na blacie.

Keith przyglądał się, jak jego palce zwijają pięć skrętów szybciej, niż stary farmer poradziłby sobie z papierosem.

Gail włożyła kasetę do magnetofonu (był to *Klub samotnych serc sierżanta Pieprza*), a potem usiadła na podłodze i oparła się o fotel.

Jeffrey zapalił skręta, zaciągnął się i podał go Keithowi. Keith zawahał się przez chwilę, pociągnął i ponad stołem podał papierosa Gail.

Śpiewali Beatlesi, świeczki migotały, pachniało ziołami. Był rok 1968. Albo coś koło tego.

Pierwszy skręt za pomocą szczypcyków został starannie odłożony w popielniczkę, do użycia w fajce, która leżała obok. Zapalono następnego.

Keith pamiętał jeszcze, jak się to zawsze odbywało. Nikt nie mówił zbyt wiele, a jeśli już, nie miało to wielkiego sensu. Jednak teraz Gail powiedziała cicho, głosem zastrzeżonym dla spiskowców:

—Ona potrzebuje pomocy.

Keith ją zignorował.

•Rozumiem, jak i dlaczego kobieta trwa w takim związku... — Gail mówiła jakby do siebie — Nie sądzę, żeby ranił ją fizycznie... ale pieprzy jej w głowie...

•Dość. — Keith oddał jej skręta.

•Dość czego? — Zaciągnęła się. — Pan, panie Landry, może rozwiązać za jednym zamachem swoje i nasze problemy... — Dmuchiła dymem. — Mam rację?

Keith z trudem skupiał myśli, ale po paru sekundach, a może minutach, usłyszał swój głos:

—Gail Porter... Brałem się za lby z największymi tego świata... i mam dość doświadczenia z kobietami, żeby napisać na ten temat książkę... Nie próbuj pieprzyć w mojej głowie... — Wydawało mu się, że to właśnie nie chciał powiedzieć. A przynajmniej coś bardzo zbliżonego.

Gail, jakby ignorując go, ciągnęła:

•Zawsze ją lubiłam... To znaczy, nigdy się specjalnie nie przyjaźniłyśmy, ale ja... Podobała mi się. Zawsze uśmiechnięta, zawsze zaangażowana w słuszną sprawę... Chodzi mi o to, że mogę udawać co innego... ale gdzieś w głębi duszy zazdrościłam jej... tego całkowitego porozumienia między wami... Jakby nic innego się nie liczyło...

•Związała się z jakimś ruchem antywojennym w Columbus.

•Naprawdę? Wkurzyło cię to?

Keith nie odpowiedział albo tak mu się wydawało. Nie potrafił już odróżnić, czy wypowiada swoje myśli na głos, czy nie.

Wydawało mu się, że w pokoju na długi czas zapadła cisza, potem Gail odezwała się znowu:

•Posłuchaj, Keith, jeśli nawet po tym, jak podbiłeś świat, nie chcesz zrobić nic z tym miastem ani ze sobą, to przynajmniej zabierz stąd tę kobietę.

•Chyba muszę iść. — Keith podniósł się.

•Nie ma mowy, chłopie — odezwał się Jeffrey. — Prześpisz się tutaj. Teraz nie potrafisz nawet znaleźć drzwi.

•Nie, ja muszę...

•Temat zamknięty — oznajmiła Gail. — Dość pieprzenia o poważnych sprawach. Cieszymy się życiem.

Podala skręta Jeffreyowi, podniosła się i zmieniła kasetę. Zaczęła tańczyć do wtóru *Honky Tonk Woman*.

Keith przyglądał się jej w migotliwym blasku świec. Jej szczupłe ciało poruszało się wdzięcznie, do rytmu. Taniec nie był specjalnie erotyczny-

ny, ale ponieważ dużo czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz był z kobietą, poczuł, że jest gotowy.

Jeffrey nie zwracał uwagi na żonę, wpatrywał się w płomień świecy.

Keith odwrócił wzrok od Gail i przyłączył się do przyjaciela.

Nie czuł upływu czasu, ale zdawał sobie sprawę, że zmieniono jeszcze raz kasetę. Jeffrey stwierdził, że *Sounds of Silence* najlepiej pasuje do trawki.

Gail odezwała się jakby do siebie:

— Czy pamiętacie czasy, kiedy nosiło się przezroczyście bluzki, a pod nimi żadnych biustonoszy, pływało nago w

basenie? Seks grupowy, żadnych plag ani poprawności politycznej. Pamiętacie, że mężczyźni i kobiety po prostu się lubili? Pamiętacie? Bo ja tak. Boże, co się z nami stało?

Chyba nikt nie miał pojęcia, bo odpowiedziała jej cisza. Umysł Ke-itha nie pracował najgorzej, ale wiedział, że pamięta lepsze dni, chociaż jego zdanie na temat tego, co było lepsze, różniło się od wizji Gail czy Jeffreya. Ale chodziło o to, że kiedyś było lepiej. Ogarnęła go nagle nostalgia. Czuł, że coś stracił - trochę przez trawkę, trochę pod wpływem tego wieczoru, a trochę dlatego, że faktycznie tak było.

Gail nie zaproponowała mu siebie, co przyjął z ulgą, bo nie wiedział, co by w takiej sytuacji zrobił. Wieczór zakończył się tak, że on spał na kanapie pod kocem, a oni na górze, we własnych łózkach.

Kadzidełko i świece wypaliły się, album Simona i Garfunkela skończył, a Keith leżał w ciszy i mroku.

Nad ranem wstał, ubrał się i wyszedł, zanim gospodarze się obudzili.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

K

ilka dni po kolacji u Porterów, w piątkowy wieczór, Keith Landry, wiedziony starym przyzwyczajeniem, postanowił pojechać do miasta.

Włożył spodnie i sportową koszulę, wsiadł do blazera i ruszył w stronę Spencerville.

Przez minione dni nie widział Annie, i to nie z braku czujności ze swojej strony. Starał się jak najmniej wychodzić z domu, nie oddalał się od telefonu, by zawsze go słyszeć, sprawdzał skrzynkę na listy kilka razy dziennie i obserwował przejeżdżające samochody. Krótko mówiąc, zachowywał się jak zakochany sztubak, co nie było do końca nieprzyjemne.

Poprzedniego dnia mniej więcej koło południa widział, jak niebie-sko-biały radiowóz ze Spencerville przejeżdża powoli obok, a tego ranka pojawił się biało-zielony wóz szeryfa hrabstwa. Ten mógł tu trafić przypadkiem, ale radiowóz z miasta zapędził się zdecydowanie za daleko.

Na wszelki wypadek nie trzymał blazera na widoku. Nie wiedział, czy odkryli już, że ma nowy samochód, chociaż mogli to sprawdzić w biurze rejestracji samochodów.

Jak na razie była to spokojna zabawa w kotka i myszkę, ale Keith zdawał sobie sprawę, że może doprowadzić do konfrontacji.

Jechał główną ulicą, która była spokojniejsza niż w piątki wieczorem za jego czasów. Wtedy piątki były dniami targowymi, farmerzy zjeżdżali się i roztawiali stragany od północnej strony Courthouse Square. Dzisiaj wszyscy, również farmerzy, kupowali jedzenie w supermarketach, przetworzone i gotowe do spożycia.

Prawdopodobnie właśnie w tych sklepach największy tłum jest w piątki wieczór, pomyślał Keith, ale w śródmieściu otwartych było jeszcze kilka sklepów i bank. Czynne też były, o czym świadczyły choćby zaparkowane obok samochody, restauracja Millera, dwa bary i poczta.

Keith zaparkował w pobliżu jednego z barów. To był ciepły wieczór babiego lata. Na ulicy pustki. Wszedł do wnętrza.

Jeśli chcesz poznać miasto, nauczył się Keith, odwiedź najlepszy i najgorszy bar, najlepiej w piątek albo sobotę wieczorem. Bar „U Johna” bez wątplenia należał do tej drugiej kategorii.

Wnętrze było ciemne, hałaśliwe, zadymione i śmierdziało nieświeżym piwem. Towarzystwo stanowili głównie mężczyźni w dżinsach i podkoszulkach. Podkoszulki, jak zauważył Keith, reklamowały różne marki piwa, traktory John Deer oraz miejscowy klub sportowy. Na niektórych widniały interesujące hasła w stylu:

„Sięgaj tam, gdzie wzrok nie sięga”.

Pod ścianami stało kilka automatów do gier, a na środku stół bilardowy. Z grającej szafy płynęła melodia country.

Przy barze było kilka niezajętych stołków, Keith więc podszedł i usiadł.

Barman przez chwilę przyglądał mu się taksująco, oceniając, czy nowo przybyły nie stanowi potencjalnego zagrożenia. Wreszcie zapytał:

•Czego się pan napije?

•Poproszę bud.

Barman postawił przed nim butelkę i otworzył ją.

—Dwa dolce.

Keith położył dziesięć na ladzie. Dostał reszty, ale szklanki nie, pił więc z butelki.

Rozejrzył się wokół. Zobaczył, że jest tu także kilka młodych kobiet, ale wszystkie w męskim towarzystwie. Telewizor nad barem transmitował mecz między Jankesami a Bluejayami, komentator rywalizował z jakimś piosenkarzem country, łkającym po zdradzie swojej żony.

Mężczyźni byli między dwudziestką a pięćdziesiątką, a nawet i starsi, równiacy skore jednakowo do postawienia ci piwa lub rozwalenia głowy stołkiem, jedno i drugie bez specjalnego zaangażowania. Kobiety nosiły się podobnie jak mężczyźni — dzinsy, tenisówki i podkoszulki. Paliły i piły piwo z butelek tak jak mężczyźni. Ogólnie rzecz biorąc, był to zadowolony, spokojny tłumek, chociaż Keith wiedział z doświadczenia, że później może się zrobić bardziej gorąco.

Określił się na stołku i siedział, przypatrując się grającym w bilard. Przed wyjazdem z miasta nie chodził do żadnych knajp, bo ledwie stał się pełnoletni, trafił do wojska. Do Johna" i „Pocztowego" wpadał, kiedy przyjeżdżał na przepustkę. Wtedy wydawało mu się, że prawie wszyscy tutejsi goście to weterani — każdy miał do opowiedzenia jakąś historię, a niektórzy, podobnie jak on, byli w mundurach i nie mogli pić. Teraz, jak podejrzewał, większość towarzystwa mieszkała w pobliżu, wyczuwał w nich rodzaj niespokojnego znudzenia; wyglądali na ludzi, którym nic istotnego się nie zdarza.

Spśród mężczyzn w swoim wieku nie poznawał nikogo, ale jeden gość, siedzący przy końcu baru, nie spuszczał z niego wzroku, więc i Keith zerkał na niego kątem oka.

Facet podniósł się ze stołka, powoli przeszedł przez salkę i zatrzymał się tuż przed Keithem.

— Znam cię — powiedział.

Keith przyjrzał mu się. Wysoki, kościsty, jasne włosy do ramion, popsute zęby, niezdrowa cera i podbite oczy. Długie włosy, dzinsy, podkoszulek i sposób mówienia sugerowały dwudziestolatka, ale twarz była o wiele starsza.

•Wiem, kto ty jesteś — powtórzył facet głośno, choć niewyraźnie. -Kto?

•Keith Landry.

Parę osób siedzących w pobliżu spojrzało w ich stronę, ale bez specjalnego zainteresowania.

Keith uświadomił sobie, że rzeczywiście ta twarz nie jest mu obca.

•Jasne — powiedział — ty jesteś...

•No, Keith. Przecież mnie znasz.

Keith przeszukiwał zakamarki pamięci. Przez głowę przelatywała mu procesja twarzy ze szkoły średniej. Wreszcie powiedział:

— Billy Marlon.

— Tak. Do diabła, człowieku, byliśmy kumplami. — Marlon trzepnął Keitha po ramieniu, a potem uściśkał energicznie jego dłoń. — Jak leci?

Keith pomyślał, że chyba powinien był wybrać „Pocztowy".

•Świetnie. A tobie, Billy?

•Po prostu znakomicie. Gównianie, ale leci.

•Postawić ci piwo?

•Czemu nie.

Keith zamówił jeszcze dwa budweisery. Billy usadowił się na sąsiednim stołku przy barze i nachylił się tak, że Keith czuł od niego zapach piwa i nie tylko.

•Człowieku, to naprawdę wspaniale — powiedział.

•Jasne.

•Wyglądasz świetnie.

•Dzięki.

•Co ty tu, u diabła, robisz?

•Wpadłem z wizytą.

•Naprawdę? To znakomicie. Jak długo już jesteś?

•Parę tygodni.

•Nie bujasz? Miło cię znowu widzieć.

Najwyraźniej Billy Marlon rzeczywiście ucieszył się ze spotkania. Keith próbował przypomnieć sobie, co wie na temat Billy'ego i co mieli

ze sobą wspólnego, żeby móc podtrzymać coś, co zapowiadało się na wyjątkowo głupią rozmowę. Wreszcie, kiedy Billy odsunął się nieco, uprzytomnił sobie, że grali razem w drużynie futbolowej. Marlon jako pomocnik, ale nie za dobrze, więc przeważnie siedział na ławce, zagrzewając ich do walki okrzykami. Marlon jako dzieciak chciał, żeby wszyscy go lubili i właściwie nie było go za co nie lubić, a jednak wiele osób drażnił. Prawdę mówiąc, nadal wydawał się Keithowi drażniący, choć miły.

•Dostałeś w Wietnamie w dupę? — zapytał Marlon.

•Chyba tak.

•Ja też. Byłeś w pierwszej kawaleryjskiej, zgadza się?

•Owszem.

- Pamiętam. Twoja matka zamartwiała się na śmierć. Powiedziałem jej, że nic ci się nie stanie. Jeśli takiej dupie jak ja udało się przeżyć, to co dopiero takiemu facetowi jak ty.
- Dzięki. — Keith pamiętał, że Billy'ego zabrali, jak tylko ukończył szkołę średnią. On sam wybronił się wtedy, zdając do college'u, co z perspektywy czasu wydawało się kolosalnym błędem rządu. Bogaci, inteligentni, uprzywilejowani, wszyscy, którzy mogli dostać się na studia, dostawali cztery lata na protestowanie przeciwko wojnie lub ignorowanie jej, podczas gdy biedni i głupi byli zabijani i kaleczeni. Ale wojna, zamiast skończyć się w jakimś rozsądnym czasie, trwała i trwała, więc absolwenci uczelni, tacy jak Keith, też dostali wezwania. Zanim on trafił do Wietnamu, Billy Marlon i prawie wszyscy koledzy ze szkoły średniej zdążyli wrócić do domów lub polec.
- Byłem w dwudziestej piątej dywizji, Tropikalnej Błyskawicy. Całkiem nieźle dokopaliśmy kilku żółtkom.
- To dobrze.
Ale nie dość, żeby zakończyć tę cholerną wojnę.
- Ty też zobaczyłeś trochę gówna, co?
- Tak, zobaczyłem.
Najwyraźniej Billy śledził jego karierę wojskową, prawdopodobnie racząc Spencerville opowieściami o bohaterskich czynach kolegi.
- Zabiłeś kogoś? — zapytał Billy. — Chodzi mi o to, czy zabiłeś z bliska?
- Wydaje mi się, że tak.
— To radocha, co?
- Nie.
Billy zastanawiał się nad tym przez dobrą chwilę, a wreszcie powiedział:
- Nie... Trudno o tym zapomnieć.
- Spróbuj.
- Nie mogę, człowieku. Ty możesz? Ja wciąż nie mogę.
Keith patrzył na swojego byłego kolegę z klasy. Najwyraźniej Billy Marlon stał się degeneratem.
- Jak ci się życie potoczyło? — zapytał.
- Nic specjalnego. Dwa małżeństwa, dwa rozwody. Z pierwszego mam dzieciaki. Już dorosły i mieszkają w Fort Wayne. Pojechały tam matką, kiedy były jeszcze małe. Wyszła za męża za jakiegoś dupka i właściwie już ich nie widuję. Druga żona... wyjechała. — Opowiedział łatwą do przewidzenia historię, a na koniec westchnął. — Cholera, chciałbym zacząć wszystko od nowa.
- Każdy choć trochę by chciał. Ale trzeba ciągnąć dalej.
- Nie ma wyjścia.
- Gdzie pracujesz?
•Nigdzie. Dorywczco. Trochę poluję, trochę łowię. Mieszkam milę za miastem, na zachód stąd, sam. Muszę tylko zajmować się domem. Dawni właściciele wynieśli się do Kalifornii, do swoich dzieciaków. Cowleyowie. Pamiętasz ich?
- Nazwisko brzmi znajomo.
•Zamierzają sprzedać dom, więc od listopada będę musiał znaleźć sobie coś innego.
- Czemu nie zgłosisz się do szpitala dla weteranów?
- Nie jestem przecież chory.
- Nie wyglądasz najlepiej.
•Kiedy usłyszałem, że muszę się wynosić, zacząłem za dużo pić. Naprawdę przejąłem się, że nie będę miał gdzie mieszkać. Ale stanę na nogi. A ty gdzie się zatrzymałeś?
- Na rodzinnej farmie.
•Naprawdę? Posłuchaj, gdybyś potrzebował towarzystwa, mogę płacić czynsz, pomóc w domu, postawić coś na stół.
•W listopadzie już mnie tu nie będzie. Ale zanim wyjadę, zobaczę, czy uda mi się jakoś ci pomóc.
- Dzięki. Dam sobie radę.
Keith zamówił następne dwa piwa.
- Z czego żyjesz? — zapytał Billy.
- Z emerytury.
- Tak? Kto ci płaci?
- Rząd.
•Nie gadaj! Posłuchaj, widziałeś się już po przyjeździe z którymś z dawnych kumpli?
- Nie. Chociaż tak, widziałem Jeffreya Portera. Pamiętasz go?
•Jasne. Parę razy go spotkałem. Nie mamy sobie wiele do powiedzenia.
Rozmawiali jeszcze chwilę. Keith nie miał wątpliwości, że Billy jest pijany.
—Muszę ruszać. — Spojrzał na zegarek, położył dwudziestkę na barze i zwrócił się do barmana: — Przynies mojemu przyjacielowi jeszcze

jedno piwo, a potem powinien już chyba iść do domu.

Barman odepchnął banknot w stronę Keitha.

•On już jest urżnięty.

•Daj spokój — wyjęczał Billy. — Facet chce mi postawić drinka.

—Skończ to, co masz, i spływaj.

Keith zostawił pieniądze na barze.

•Weź je i jedź do domu — powiedział do Billa. — Wpadnę przed wyjazdem.

•Świetnie. Do zobaczenia. — Billy pomachał mu na odchodne. — Wspaniale było cię zobaczyć.

Keith wyszedł na świeże powietrze. „Pocztowy” mieścił się po drugiej stronie placu. Przeszedł przez skrzyżowanie i ruszył ścieżką przez park.

Na ławkach pod ozdobnymi lampami siedziało trochę ludzi, alejkami przechadzały się pary. Keith ujrzał pustą ławkę i przysiadł na chwilę. Miał przed sobą pomnik upamiętniający wojnę secesyjną, potężną postać z brązu, żołnierza Unii z muszkietem. Na granitowej podstawie wyryto nazwiska poległych z hrabstwa Spencer, było ich kilkuset.

Z ławki, na której siedział, widać też było inne miejsca upamiętniające kolejne wojny, począwszy od tej z Indianami, przez wojnę meksykańską i tak dalej i dalej, jedna za drugą, aż po Wietnam, który został upamiętniony prostą tablicą z brązu z nazwiskami poległych. Pomyślał, że to dobrze, gdy małe miasto pamięta o tych wszystkich, którzy zginęli, ale nie uszło jego uwagi, że po pomniku upamiętniającym wojnę secesyjną każdy kolejny był mniejszy, jakby mieszkańcy miasta tracili pewność co do znaczenia następnych wojen.

Noc była przyjemna, nie bardzo chciało mu się ruszać. Piątkowy wieczór w Spencerville nie oferował zbyt wielu rozrywek. Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie wieczorów w Londynie, Rzymie, Paryżu, Waszyngtonie czy gdzie tam jeszcze był. Zastanawiał się, czy naprawdę mógłby tu zamieszkać. Uznał, że tak. Gdyby miał towarzystwo, potrafiłby wrócić do prostego życia.

Rozejrzał się wokół, jego wzrok przykuł oświetlony kramik sprzedawcy lodów, otoczony klientami. Nagle przyszło mu do głowy, że w piątkowy wieczór w mieście mógł spotkać Annie. Czy Baxterowie wychodzili na kolację? Może robili wspólnie zakupy? Nie miał pojęcia.

Kiedyś w letnie wieczory on i Annie Prentis siadywali w tym właśnie parku i godzinami rozmawiali. Szczególnie utkwiło mu w pamięci lato przed wyjazdem na uczelnię, przed rozpoczęciem wojny, przed zabójstwem Kennedy'ego, przed modą na narkotyki, przed odkryciem, że istnieje jakiś świat poza hrabstwem Spencer, kiedy to i on, i jego kraj byli jeszcze młodzi i pełni nadziei, kiedy chłopak zenił się z dziewczyną z sąsiedztwa.

Ten park był wtedy pełen jego przyjaciół, dziewczyny nosiły sukienki, a chłopcy mieli krótkie włosy. Wynalezione właśnie tranzystory rozbrzmiewały muzyką Petera, Paula i Mary, Joan Baez, Diony i Elvisa, ale rozbrzmiewały cicho.

Paliło się mentolowe, nie trawkę, piło się colę, a nie wciągało kokainę. Pary trzymały się za ręce, a kiedy zostało się złapanym na pieszczołach w krzakach, kończyło się to wizytą na posterunku i naganą z ust starego policjanta.

Świat był na granicy wybuchu, to się czuło, ale nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy się to wreszcie stanie. Lato 1963 roku zwane było latem amerykańskiej niewinności i z pewnością było to również ostatnie lato jego niewinności, zanim ją stracił w sypialni Annie Prentis.

Była pierwszą kobietą, którą zobaczył naga. Wcześniej nie oglądał nawet zdjęć czy filmów. „Playboy” istniał w roku 1963, ale nie w Spencerville, również zbyt ryzykownym filmom broniono tu dostępu. Dlatego nie wiedział, jak wygląda naga kobieta, a tym bardziej jej intymne miejsca. Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie pierwszych niezgrabnych prób skonsumowania miłości. Annie była równie niedoświadczona jak on, ale miała lepszy instynkt. On za to miał prezerwatywę, którą nosił w portfelu właściwie nie wiadomo po co. Kupił ją od starszego kolegi za dwa dolce, co w owym czasie stanowiło dla niego prawdziwy majątek.

Gdybyśmy wiedzieli, co się stanie, myślał teraz, próbowalibyśmy zatrzymać to lato na zawsze.

Wstał z ławki i ruszył przed siebie. Skądś dochodził ryk rapu, kilku nastolatków siedziało w kręgu na trawie, każdy zapatrzony w swoją grę elektroniczną. Ławki zajmowali starsi mężczyźni. Młoda para leżała na trawniku, sfrustrowana niemożnością bliższego kontaktu.

Keith przeniósł się myślą w lata sześćdziesiąte, a konkretnie do jesieni 1963. On i Annie stali się wtedy znakomicie dobranymi kochankami, rozkoszowali się próbami i odkryciami, własną dorosłością i siłami witalnymi. Nie mieli książek na ten temat, nie oglądali filmów pornograficznych, nie otrzymali żadnego przewodnika po tajemnicach seksu, a jednak odkryli seks oralny, pozycję sześćdziesiąt dziewięć, obszary erogenne, opanowali umiejętność erotycznego rozbierania się, podniecających rozmów i gry wstępnej. Nie mieli pojęcia, skąd to wszystko do nich przyszło, i niekiedy żartobliwie oskarżali się o jakieś skrywane doświadczenia, oglądanie niedozwolonych filmów, jakie w tym czasie powstawały w Europie, czy nawet o wyciąganie informacji od przyjaciół. Ale naprawdę nigdy wcześniej nie uprawiali seksu, tyle że byli ciekawi i zaskakująco pozbawieni zahamowań.

Kochali się, kiedy tylko mieli możliwość, i trzymali to w sekrecie, bo tak właśnie musieli się zachowywać kochankowie w tamtych czasach.

Gdy wyjechali na studia, mogli zachowywać się bardziej otwarcie, ale akademiki — czego surowo przestrzegano — nie były koedukacyjne. Do moteli nie przyjmowano młodych par, toteż przez pierwsze dwa lata kochali się w

mieszkaniach zaprzyjaźnionych małżeństw. Wreszcie Annie wynajęła pokój nad sklepem z towarami żelaznymi, chociaż nadal mieszkali w akademikach.

Keith zastanawiał się, dlaczego się wtedy nie pobrali. Może, rozmyślał, nie chcieli zniszczyć romantyczności, tajemniczości, smaku owocu zakazanego. Nic też nie wskazywało, że powinni się spieszyć. Zamknięci w świecie uniwersyteckim, nie widzieli potrzeby zmiany.

A potem był dyplom i powołanie do wojska. Połowa mężczyzn, których znał, potraktowała ten świstek papieru nie jako wezwanie do armii, lecz do ołtarza. Ślub nie chronił od wojska, ale życie żonatego żołnierza było łatwiejsze. Nie trzeba było mieszkać na terenie jednostki, tylko zjawiać się na ćwiczenia, dostawało się dodatkowe pieniądze, poza tym żonaci mieli mniejszą szansę, że zostaną wysłani jako mięso armatnie.

A jednak oni nigdy właściwie nie rozmawiali o małżeństwie. Okazało się, że mieli inne marzenia. Jej podobało się życie na uczelni. On snił o przygodzie.

Byli bratnimi duszami, przyjaciółmi, kochankami. Dzielili myśli i emocje. Mieli wspólne pieniądze, samochód i życie przez pełne sześć lat. Ale mimo całej otwartości żadne nie zdobyło się na to, żeby poruszyć temat przyszłości, bali się, że zrzną się wzajemnie. Więc na koniec on pochylił się tylko nad jej łóżkiem, pocałował ją i odszedł.

Keith dotarł właśnie na drugi koniec parku po drugiej stronie ulicy widać było bar „Pocztowy”.

Usłyszał głośne wrzaski i odwrócił się. Jakies dziesięć kroków dalej, na skrzyżowaniu alejek stało dwóch umundurowanych policjantów. Wykrzykiwali coś do mężczyzny leżącego na ławce, a jeden walił pałką w podeszwy jego butów.

—Wstawaj! No, już! Mówiłem ci, że tutaj nie można spać!

Mężczyzna podniósł się chwiejnie, Keith poznał Billy'ego Marlona.

—Cholerny pijak! — wrzasnął drugi policjant. — Niedobrze mi się robi na twój widok. Łachudra.

Keith miał ochotę powiedzieć młodemu człowiekowi, że Billy Marlon jest kombatantem, że kiedyś grał w reprezentacji futbolowej Spen-cerville, że jest ojcem, mężczyzną. Ale tylko stał, ciekaw, czy incydent zakończy się na tym.

Nie zakończył się. Policjanci stali przed Billym przypartym do drzewa, wyrzaskując obelgi.

—Mówiliśmy ci, żebyś się trzymał z daleka od miasta! Nikt cię tutaj nie chce! Nie słuchasz dobrych rad?

Billy nagle też zaczął krzyczeć:

—Zostawcie mnie! Nikomu nie zawadzam! Zostawcie mnie w spokoju!

Jeden z policjantów groźnie uniosł pałkę, Billy szybko zakrył twarz rękami. Keith zrobił krok w ich stronę, ale policjant uderzył tylko w drzewo ponad głową Billy'ego. Roześmiał się, jego kumpel rechotał do wtóru.

—No, powiedz nam jeszcze raz, co zamierzasz zrobić szefowi Baxterowi. No, dalej, Rambo, powiedz nam!

Roześmiali się znowu. Billy nie był już taki wystraszony.

—Mam zamiar go zabić — odparł. — Jestem kombatantem i mam zamiar go zabić. Powtórzcie mu, że pewnego dnia go zabiję. Powtórzcie mu.

—Dlaczego? Wyjaśnij nam dlaczego.

-Bo... bo...

—No, wal. Bo pieprzył się z twoją żoną. Zgadza się? Szeryf Baxter pieprzył twoją żonę.

Billy opadł nagle na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Rozplakał się.

—Powiedzcie mu, żeby trzymał się z daleka od mojej żony. Powiedzcie mu, żeby przestał. Niech trzyma się od niej z daleka. Niech przestanie, przestanie...

Mężczyźni trzymali się za brzuchy, trzęsąc się ze śmiechu.

•Wstawaj. Zabieramy cię! — zakomenderował pierwszy. Ale Billy skulił się na ziemi i nie przestawał płakać.

•Podnoś się. — Drugi złapał go za długie włosy i pociągnął. Keith podszedł do nich.

•Zostawcie go — polecił.

Jeden z policjantów odwrócił się, spojrzął na niego bacznie i rzekł bardzo chłodno i służbiście:

•Proszę, niech pan odejdzie. Kontrolujemy sytuację.

•Nie, nie kontrolujecie. Napastujecie tego człowieka. Zostawcie go.

•Muszę pana prosić...

Jego kolega szturchnął go w bok.

—Popatrz, to jest... — wyszeptał coś partnerowi do ucha i teraz już obaj przyglądali się Keithowi. Pierwszy zrobił krok w jego stronę.

—Jeśli pan nie odejdzie — aresztuję pana za utrudnianie policji utrzymywania porządku.

— Nie widziałem, żeby ktoś tu dbał o porządek. Jeśli aresztujecie mnie czy jego, opowiem prokuratorowi, co tu widziałem i słyszałem, i zaskarżę was obu.

Policjanci i Keith wpatrywali się w siebie przez chwilę.

• I kto niby uwierzy tobie? — rzekł wreszcie jeden ze stróżów prawa.

• Zobaczymy.

• Grozi nam pan?

Keith zignorował pytanie i podszedł do Billy'ego. Pomógł mu wstać, objął go za ramiona i ruszył w stronę ulicy. Usłyszał okrzyk za sobą.

— Zapłaci pan nam za to. Nie ma wątpliwości, że nam pan zapłaci.

Keith prowadził Billy'ego ścieżką przez park do samochodu. Billy śłaniał się, ale Keith zmuszał go do marszu.

• Co się dzieje? — zapytał nagle Billy. — Gdzie idziemy?

• Do domu.

• Dobrze, tylko nie tak szybko. — Wyrwał się i ruszył dalej o własnych siłach. Keith szedł tuż za nim, gotowy w każdej chwili go podtrzymać. Billy mamrotał coś do siebie.

• Cholerne gliny, zawsze się do mnie przyczepią. Do cholery, przecież nikomu nic nie zrobiłem... Czepiają się mnie, najpierw pieprzył się z moją żoną, a teraz...

• Uspokój się.

Grupa ludzi idąca z naprzeciwka ustąpiła im z drogi.

— Ten skurwiel... śmieją się ze mnie... powiedział, że sama chciała i że już z nią skończył...

— Zamknij się — warknął Keith. — Zamknij się, do cholery!

Złapał Billy'ego za łokieć i poprowadził do blazera. Wyjechali z miasta, kierując się na zachód.

— Gdzie mieszkasz?

— Droga numer osiem... oj, niedobrze mi. — Billy nagle się osunął.

Keith otworzył okno po stronie pasażera i wypchnął mu głowę na zewnątrz.

— Jak masz rzygać, to nie tutaj.

Odnalazł farmę Cowleyów, z nazwiskiem rodzinnym wypisanym nad wjazdem. Podjechał do ciemnego domu i zaparkował za starą niebieską furgonetką. Zaciągnął Billy'ego na werandę. Zgodnie z podejrzeniami drzwi do domu były otwarte, wtaszczył więc kumpla do środka, jakoś trafił do pokoju i rzucił go na kanapę. Wyszedł, ale po chwili zawrócił, ułożył go nieco wygodniej i ściągnął mu buty. Kiedy był już przy drzwiach, usłyszał:

— Keith, posłuchaj, Keith.

Odwrócił się.

-Tak?

— Cieszę się, żeśmy się spotkali, bracie.

Keith przysunął twarz do twarzy Billy'ego i powiedział wolno i wyraźnie:

— Weź się w garść, żołnierzu.

Billy wytrzeszczył na niego oczy, już nie tak mętne jak przed chwilą.

• Tak jest, sir — odpowiedział. Kiedy Keith wychodził na dwór, usłyszał jeszcze:

• Hej, człowieku, jestem ci winien drinka!

Wsiadł do blazera i ruszył szosą. Na poboczu stał samochód policyjny, spoglądał więc w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy ruszy za nim, ale nic takiego się nie stało. Zastanawiał się, czy policja przypadkiem nie chce zakończyć swoich porachunków z Billym i czyby nie zawrócić, ale uznał, że jak na jedną noc wystarczy mu utarczek.

Mniej więcej w połowie drogi do domu zobaczył następny radiowóz ze Spencerville. Ten ruszył za nim, Keith zatrzymał się przy skręcie na własną farmę. Wóz policyjny stanął trochę dalej. Keith siedział nie-poruszony. Policjanci również. Siedzieli tak przez pięć minut, potem Keith wjechał na teren obejścia, a oni ruszyli dalej szosą.

Najwyraźniej zabawa nabierała tempa. Nie zadał sobie trudu, by chować blazera za dom. Zaparkował go przy werandzie i wszedł do środka frontowymi drzwiami.

Na górze wyjął z szafy swojego glocka, załadował go i zostawił na nocnym stoliku.

Rozebrał się i położył do łóżka. Nadal czuł się podekscytowany i miał kłopoty z zaśnięciem, ale wreszcie udało mu się popaść w rodzaj odrętwienia, czego nauczył się w Wietnamie i co potem udoskonalił. Jego ciało odpoczywało, lecz umysł pozostawał czujny.

Myśli jednak biegły w kierunku, na który by nie zezwolił przy pełnej świadomości. Coś mu mówiło, że to, co było domem, stało się ostatnim polem walki, o czym zresztą zawsze wiedział. To był wielki podświadomy sekret, który ukrywał przed sobą przez te wszystkie lata. Jego wspomnienia dotyczące Cliffa Baxtera nie były tak mętne, jak sugerował to Porterom czy sobie. Prawdę mówiąc, pamiętał tego skurwiela całkiem dobrze. Pamiętał, że kilka razy został

przez niego popchnięty, pamiętał, jak chamsko potrafił się Baxter zachowywać podczas meczu futbolowego, a najlepiej pamiętał, jak tamten przypatrywał się Annie Prentis na szkolnych potańcówkach czy na basenie. Pamiętał nawet moment, gdy podczas jesiennej zwózki siana Baxter położył dłoń na pupie Annie, pomagając jej wspiąć się na wóz.

Powinien był wtedy zareagować, ale Annie wydawała się całkiem nieświadoma istnienia Cliffa Baxtera, a Keith wiedział, że najlepszą metodą rozwścieczenia takiego osobnika jest niezwracanie na niego uwagi. I prawdę mówiąc, nienawiść Baxtera rosła z miesiąca na miesiąc, co Keith potrafił dostrzec. Ale Cliff Baxter był dość sprytny, żeby nie przekroczyć granicy. Wreszcie pewnie by się coś stało, lecz przyszedł czerwiec, Keith i Annie ukończyli szkołę i wyjechali na uczelnię.

Keith nie wiedział, czy zainteresowanie Baxtera Annie było autentyczne, czy wynikało tylko z chęci dokuczenia mu, z zupełnie bezinteresownej zawiści. Kiedy dowiedział się o ślubie Annie z dawnym wrogiem, nie tyle był wściekły, ile wstrząśnięty. Czuł się, jakby piekło i niebo zamieniły się miejscami, jakby zupełnie się nie znał na ludzkiej naturze. Ale z biegiem lat nauczył się nieco więcej o siłach przyciągających do siebie kobiety i mężczyzn, wydawało mu się też, że zrozumiał związek między Cliffem Baxterem i Annie Prentis.

A jednak zastanawiał się, czy to wszystko by się wydarzyło, gdyby wtedy pobił się z Baxterem, gdyby po prostu sprął na kwaśne jabłko tego szkolnego dręczyciela. I zastanawiał się, czy nie powinien tego zrobić teraz. Ale jeśli wybierze konfrontację, nie będzie to już bójka na pięści na szkolnym boisku.

Mniej więcej o dwunastej zadzwonił telefon, ale nikt się nie odezwał. Chwilę potem usłyszał na drodze wycie syreny policyjnej. Telefon dzwonił jeszcze parę razy. Wreszcie odłożył słuchawkę na bok.

Reszta nocy przeszła spokojnie; spał kilka godzin.

O świcie zadzwonił na posterunek policji w Spencerville, przedstawił się i poprosił do telefonu Baxtera.

Dyżurny officer wydawał się nieco zaskoczony.

- Nie ma go tutaj — odparł.
- W takim razie chcę zostawić wiadomość. Proszę mu powiedzieć, że Keith Landry chce się z nim spotkać.
- Tak? Gdzie i kiedy?
- Dziś wieczorem, o ósmej, na boisku szkolnym.
- Gdzie?
- Słyszał pan, co powiedziałem. Proszę mu powiedzieć, żeby przyszedł sam.
- Powtórzę.

Keith odłożył słuchawkę. Lepiej późno niż wcale.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

K

Keith Landry zgasił światła i wjechał na parking koło budynku liceum położonego na peryferiach miasta. Wyasfaltowany plac rozciągał się za starą ceglana budowlą, zainstalowano tu stojaki na rowery, a dalej było boisko do koszykówki i szatnie. Lamy rtęciowe oświetlały teren, ale poza tym niewiele się zmieniło od czasów, kiedy spotykał się tu z kolegami w letnie wieczory.

Zatrzymał się przy jednym z koszy, wyłączył silnik, wysiadł z samochodu. Położył na masce glocka, zdjął koszulę i rzucił ją na broń. Wyciągnął z bagażnika piłkę do koszykówki i przy świetle lamp rtęciowych zaczął ćwiczyć rzuty. Odgłos odbijanej piłki zmącił ciszę wieczoru.

Podbiegł, dryblując, zrobił zwód, a potem podskoczył i piłka wylądowała w obręczy.

Kiedy poczuł, że pot spływa mu po plecach, pomyślał, że to, co robi, być może nie jest wcale najmądrzejsze. Chodziło mu o inną grę, i właśnie ją rozpoczął. Nie wytrzymał nerwowo i po dziecinnemu rzucił wyzwanie: „Spotkamy się na boisku szkolnym, gnojku”. Brzmiało to niezłe. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, mogło się okazać fatalnym błędem. Wiedział, że potrafi sobie dać radę z zabijaką klasowym, ale Baxter mógł się zjawić w towarzystwie.

Nie wziął ze sobą M-16 ani kamizelki kuloodpornej, bo chciał równej walki. Ale kogo przywlecze ze sobą tamten? Prawdę mówiąc, całkiem możliwe, że otoczy go kilka policyjnych samochodów, a jeśli Baxter wyda rozkaz, by strzelać, to, co Keith Landry wziął ze sobą, nie będzie miało w ogóle znaczenia. I na pewno szef policji wymyśli znakomity scenariusz tłumaczący śmierć Keitha Landry'ego.

Zrobił sobie przerwę i zerknął na zegarek. Była siódma czterdzieści pięć. Ciekawe, czy Baxter w ogóle odpowie na

wyzwanie. Obraz namalowany przez Porterów przedstawiał egoistę i człowieka zarozumiałego, a taki może nie docenić przeciwnika. Typ mężczyzny, który z przyjemnością wkroczyłby na posterunek i obwieścił: „Właśnie zabiłem mojego wroga ze szkoły średniej. Wyślijcie wóz po zwłoki”.

Zaczął znowu rzucać do kosza, niebo pociemniało. Jeśli Baxter przyjdzie sam, istnieje duża szansa, że już nigdy nie powróci do komisariatu. Keitha kilka razy w życiu ogarniała mordercza pasja, a teraz sam się dziwił, jak bardzo pragnie zabić Baxtera. Pragnienie to narastało przez całe lata i zadomowiło się w jego duszy.

Zerknął na zegarek. Była ósma. Spojrzał na szkołę, potem na boisko i graniczącą z nim ulicę, ale nie widział ani świateł samochodu, ani żadnego ruchu. Wykonał serię rzutów z dystansu.

Uświadomił sobie, że ludzie Baxtera lepiej bądź gorzej wiedzą, co ich szef ma do tego faceta, Keitha Landry, wiedzieli też, że Landry poprosił Baxtera, by stawiał się w pojedynkę. Ciekawe, co Baxter powie swoim ludziom? Że Landry przeszkadza pani Baxter, ale jej mąż jednak nie chce się spotkać z przeciwnikiem sam na sam? W świecie macho byłaby to najgłupsza rzecz, jaką mógłby zrobić. Keith zrozumiał, że świadomie czy nie postawił Baxtera w sytuacji, w której ten nie może poprosić o pomoc, żeby nie wypaść kiepsko. Dlatego albo przyjdzie sam, albo nie przyjdzie w ogóle i będzie musiał żyć dalej z konsekwencjami swego tchórzostwa.

O ósmej pięć wiedział, że zgodnie z niepisanymi regułami tej gry nadszedł czas, by odjechać. Został jednak, wciąż rzucał piłkę do kosza, biegał po boisku, nie oddalając się wszakże zbyt od glocka, który leżał na masce.

W pewnej chwili zobaczył światła. Jakiś samochód powoli wyłonił się zza szkoły i skręcił, łapiąc go w snop jasności.

Keith obojętnie kozłował piłkę, zbliżając się przez cały czas do blazera.

Samochód — a teraz już widział, że to wóz policyjny — zatrzymał się o jakieś pięćdziesiąt kroków; światła przez cały czas wycelowane były w niego.

Otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadł jakiś człowiek. Keith nie potrafił go zidentyfikować, ale mężczyzna wydawał mu się wyższy i chudszy od Baxtera. Odłożył piłkę i sięgnął po koszulę, wraz z nią ujmując pistolet. Zacisnął palec na cynglu.

Mężczyzna zbliżył się i krzyknął:

— Keith Landry?

Keith wprawdzie nie słyszał głosu Baxtera prawie przez trzydzieści lat, ale nie miał wątpliwości, że to nie jego głos.

- Kto pyta? — zawołał w odpowiedzi.
- Funkcjonariusz Schenley z policji Spencerville. Mężczyzna szedł ciągle w jego stronę.
- Kto jeszcze jest w samochodzie?
- Mój partner.
- Gdzie Baxter?

—Nie mógł przyjść. — Schenley był teraz jakieś dziesięć kroków od niego i Keith zobaczył, że trzyma coś w rękach, ale nie był to pistolet. Zrobił jeszcze pięć kroków i zatrzymał się.

- Jesteś sam?
- Może. Gdzie twój szef? Szuka swoich jaj ? Schenley roześmiał się.
- Chciał przyjść, ale nie mógł.
- Dlaczego?

Policjant wyciągnął coś ku niemu; była to złożona gazeta.

- Po co mam to czytać? — zapytał Keith.
- To jest wiadomość, którą powinienes poznać.
- Ty mija przeczytaj.
- Dobra. — Schenley wzruszył ramionami, odczepił latarkę od paska i skierował snop światła na gazetę. — Tu jest kolumna towarzyska... posłuchaj: *Szefpolicji Spencerville Cliff Baxter został zaproszony do Klubu Łosiów przez burmistrza i radę miejską na dzisiejszy wieczór; z okazji piętnastolecia jego pracy w siłach policyjnych naszego miasta. Pani Annie Baxter: z domu Prentis, przybędzie również, by wraz z przyjaciółmi i współpracownikami męża wspominać zarówno co ciekawsze, jak i co zabawniejsze wydarzenia w karierze swojego męża.* — Schenley zgasił latarkę. — Widzisz. Gdyby mógł, przyszedłby.
- Wiedział o tym przyjęciu od dawna — odparł Keith. — Mógł przełożyć nasze spotkanie na inny dzień.
- Nie przedobrz, chłopie. To są jego obowiązki. Nie masz nic lepszego do roboty w sobotę wieczór?
- Nie potrafię wymyślić nic miłszego niż przywalenie twojemu szefowi.
- Tak? — Policjant się roześmiał. — Dlaczego chcesz zrobić coś tak głupiego?
- Ty mi powiedz, Schenley. Jak mężczyzna mężczyźnie.
- No... mówi się, że ty i pani Baxter byliście kiedyś razem.
- Może. Jak sądzisz, czy to wkurza twój szefa?
 - Pewnie tak. — Policjant roześmiał się znowu. — Wiesz, jacy są faceci.
 - Jasne, że wiem. Zrób mi grzeczność, Schenley, i powiedz swemu szefowi, że następnym razem, kiedy się z nim umówię, powinien mnie zawiadomić, jeśli nie będzie mógł przyjść.

- Pewnie chciał sprawdzić, czy przyjdiesz.
- To już mi przyszło na myśl. Nie musi sobie tym zaprzętać głowy. Jestem tutaj i będę tutaj czy w jakimkolwiek innym miejscu, które wskaże. Jego kolej, by mnie zaprosić.
- Twardziel z ciebie. Ale coś ci poradzę: nie wtrącaj się pan w jego sprawy.
- Ja też dam tobie, Baxterowi i reszcie chłopców pewną radę. Spuście z tonu. Mam dość tego gówna, które wszystkim wciskacie.

• Powtórzę.

Keith spojrzął na Schenleya. Wydawał się nieco mniej wojowniczy niż tych dwóch w parku. Właściwie wyglądał na zmieszanego.

— Nie mieszaj się w prywatne sprawy szefa — powiedział. Położył lewą dłoń na koszuli, pod którą wciąż leżał glock, pociągnął za suwak i rozładował pistolet. Głośnego metalicznego szczęku nie sposób było pomylić z niczym innym. — Nie jest tego wart.

Schenley nie spuszczał wzroku z koszuli Keitha, potem przeniósł wzrok na niego.

• Spokojnie.

• Możesz odejść.

Policjant odwrócił się powoli i odmaszerował. Keith podniósł piłkę i wszedł do samochodu. Patrzył za radiowozem, kiedy ten zawracał, a potem zniknął za szkołą.

Przejechał przez boisko i znalazł się na drodze, która graniczyła ze szkołą. Skręcił w stronę miasta. Mijając Klub Łosiów, zauważył, że parking jest pełen.

Tak więc pani Baxter będzie opowiadać dykteryjki na temat męża.

Zdołał się opanować i powiedział do siebie:

— A co byś chciał znaleźć w kolumnie plotek? — Nie chciało mu się wierzyć, że jest zazdrosny. — Oficjalnie przecież występuje jako żona jednego z najważniejszych obywateli tego miasta. — Przypomniał sobie, jak patrzyła na niego, kiedy spotkali się na ulicy, i co wtedy mówiła. — Właśnie. Żony ważnych obywateli i polityków trwają przy nich i uśmiechają się, nawet kiedy mężowie popełniają zdrady, są tchórzami i biorą łapówki. To należy do kontraktu.

Przestał się nad tym zastanawiać i wrócił myślą do zdarzeń na boisku szkolnym. Najwyraźniej Baxterowi zależy, by Keith Landry wiedział, dlaczego się nie stawiał. Baxtera obchodzi, co Keith Landry o nim myśli. To nic nowego, facet, który lubi bić mniejszych od siebie, jest tchórzem.

No i jeszcze chodziło o podkomendnych, takich jak Schenley. Oni coś wiedzieli i chcieli zobaczyć, jak postąpi ich szef. Keith podejrzewał, że jeśli nie są całkowicie skorumpowani, muszą nienawidzić Baxtera. Ale także bać się go, i póki ktoś silniejszy go nie zgniecie, będą wypełniać rozkazy. Lojalność w stosunku do nieuczciwego szefa nie jest bezwarunkowa, ale trudno liczyć, że jego oddział zbuntuje się i ucieknie. Mężczyźni w obliczu wyższej rangi i władzy zachowują się głupio jak stado owiec, odnosi się to zwłaszcza do żołnierzy, gliniarzy i urzędników państwowych. O mały włos, a coś takiego zdarzyłoby się jemu w Waszyngtonie.

Keith widział światło na ganku swego domu, wjechał na podjazd. No cóż, pomyślał, dzisiaj to była próba. Ale wreszcie ktoś musi zdobyć punkt.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

M

imo incydentu na boisku szkolnym w ciągu kilku następnych dni nic się nie wydarzyło. Żaden samochód policyjny nie przejeżdżał koło domu Keitha, telefon nie rozdzwaniał się w środku nocy. Baxter nie wystąpił z propozycją spotkania w dogodniejszym dla siebie terminie. Było bardzo spokojnie. Cisza przed burzą, której celem jest zdenerwowanie przeciwnika. Ale Keith się nie denerwował.

Ktoregoś dnia o siódmej rano poszedł do obejścia Jenkinsów po drugiej stronie drogi. Jak można się było spodziewać, zastał rodzinę przy śniadaniu. Przy kuchennym stole siedzieli Martin i Sue Jenkingsowie, małżeństwo pod

czterdziestkę, oraz ich nastoletnie dzieci: Martin junior i Sandra, uczniowie szkoły średniej.

Sue zaproponowała Keithowi śniadanie, ale poprosił tylko o kawę. Rozmawiali o pogodzie — ostatnimi czasy zrobiło się zdecydowanie zimno — o zbiorach kukurydzy i o tym, czy wreszcie spadnie deszcz. W „Kalendarzu farmera” zapowiadano ciężką zimę. Sue uważała, że informacje w kalendarzu są idiotyczne, ale Martin wierzył w nie bez zastrzeżeń.

Dzieciaki przeprosiły, tłumacząc się obowiązkami, i wyszły.

•Wiem, że i na was czeka praca — powiedział Keith — nie zabiorę wam dużo czasu.

•W czym możemy ci pomóc? — zapytał Martin.

— Chciałem tylko powiedzieć wam o incydencie sprzed kilku nocy.

•Słyszeliśmy i widzieliśmy.

•Miałem mały zatarg z miejscową policją i przyjechali się zrewanżować.

Martin skinął głową.

•To nie ich rewir — powiedziała Sue. — Zadzwoiłam na posterunek tamtej nocy, ale sierżant dyżurny nic na ten temat nie wiedział, więc zadzwoiłam do szeryfa Dona Finneya. Obiecał, że sprawdzi. Nie oddzwonił, więc zatelefonowałam jeszcze raz. Poinformował mnie, że nikt na policji nic na ten temat nie wie.

•Zamierzaliśmy zadzwonić też do ciebie — dodał Martin — sprawdzić, czy ty coś wiesz.

—No cóż, tak jak wspomniałem, trochę ich rozdrażniłem.

Jenkinsowie nie zapytali, czym zdenerwował policjantów, ale Sue powiedziała:

•Don jest jakimś krewnym Baxtera, moim zdaniem są jak bracia syjamscy.

•Spróbuję dopilnować, żeby nic takiego się więcej nie zdarzyło

—rzekł Keith.

•To nie twoja wina — oświadczyła Sue. — Oni czują się całkiem bezkarni. Obywatele powinni coś z tym zrobić.

•Pewnie tak. Posłuchajcie, kukurydza wygląda pierwszorzędnie.

•To prawda — zgodził się Martin. — I to wszędzie. Znowu będzie jej za dużo. Będziemy mieli szczęście, jeśli zapłacą dwa dolary za buszel.

I to jest właśnie problem z rolnictwem, pomyślał Keith. Dostawy zawsze przekraczają popyt i ceny spadają. Kiedy był dzieckiem, dziesięć procent amerykańskiej populacji stanowili farmerzy. Teraz było ich tylko dwa procent, a jednak produkcja ciągle rosła. Zakrawało to na cud, ale jeśli miałeś czterysta akrów, tak jak Jenkinsowie i większość farmerskich rodzin, zarobki były zjadane przez wydatki. Kiedy był urodzaj i ceny spadały, rolnicy splukiwali się dostatniego centa. A w złym roku ceny co prawda szły w górę, ale z pól zbierało się niewiele i człowiek też był splukany. Do tej pracy zawsze trzeba dokładać.

—Czasami zastanawiam się, czy nie zostać farmerem — powiedział.

Sue roześmiała się, komentarz był tu niepotrzebny.

•Czy nie chcielibyście sprzedać albo wynająć jednego z waszych koni? — zapytał Keith.

•Nigdy o tym nie myślałem — odparł Martin. — Potrzebny ci koń?

•Chyba mam ochotę pojeździć. Dla urozmaicenia.

•Do licha, na pewno nie warto mieć konia na własność. Więcej z nimi kłopotu niż pożytku. Jeśli masz ochotę na przejażdżkę, po prostu przychodź i bierz sobie konia. Dzieciaki jeżdżą tylko w weekendy albo w wakacje.

•Dzięki, ale chciałbym wam za to płacić.

•O nie, zwierzęta i tak potrzebują ruchu. Dobrze im to robi. Tylko je po przejażdżce napój i wytrzyj z potu, może podrzuć trochę obroku. Siwek wałach jest łagodny, za to młoda klaczka to niezła wściklica.

—Roześmiał się. — Tak jak ta w domu.

•Jeśli jeszcze raz zobaczę, jak patrzysz na listonoszkę, to ty będziesz wałachem — odparowała Sue.

•Dziękuję za kawę. — Keith podniósł się. — Nie macie nic przeciwko temu, żebym teraz wziął konia?

—Ależ bierz. Wałach nazywa się Willy, kobyła to Hilly. Hilly i Willy, tak je nazwały dzieciaki.

Keith udał się do stajni, gdzie w boksach stały konie i pojadały z koryta. Otworzył obie przegrody, klepnął konie w zady i wygonił na padok.

Wyszedł za nimi i przez chwilę im się przyglądał. Wałach był apatyczny, za to klacz najwyraźniej miała temperament.

Zdjął uzdę z gwoźdźca, zbliżył się do klaczy, włożył jej wędzidło w pysk i przywiązał wodze do płotu, a sam ruszył po derkę i siodło. Osiodlaną poprowadził do bramy, wskoczył jej na grzbiet i ruszył w kierunku swojej farmy, przecinając drogę, a potem w stronę lasu, który rozciągał się za strumieniem ograniczającym od zachodu jego ziemię.

Wjechał między drzewa, trzymając się brzegu strumienia, którego koryto niemal całkiem wyschło.

Ciszę zakłócał jedynie szmer wody i śpiew ptaków. To było miłe. Jego ojciec nigdy nie trzymał koni, jak zresztą większość farmerów, ponieważ pociągało to za sobą dodatkowe koszty, a niczemu nie służyło. Teraz za nadwyżkę pieniędzy kupowało się skutery śnieżne i motory terenowe, jedne i drugie zbyt szybkie i hałaśliwe, by w czasie jazdy porozglądać się i pomyśleć. Keithowi podobało się to, że czuł pod sobą zwierzę, jego ciepło i ruch, z uśmiechem

słuchał rżenia, a już z pewnością wolał jego zapach od smrodu spalin.

Z Annie zdarzało im się od czasu do czasu wynajmować konie. Jechali wtedy w jakieś zapomniane przez Boga i ludzi miejsce, gdzie mogli się spokojnie kochać. Żartowali, że nie robili tego jedynie na grzbiecie końskim. Keith zastanawiał się teraz, czy byłoby to możliwe.

Puścił wodze i pozwolił kłaczy wędrować przed siebie; najwyraźniej droga wzdłuż strumienia podobała jej się, bo ochoczo szła dalej stępa.

Przyszło mu do głowy, że nie może nawet marzyć o spędzeniu tutaj reszty życia, dopóki Baxter pozostaje w okolicy. Zrobił z siebie przynętę. To nie była dobra strategia.

Nie powinien zajmować się tak bardzo Baxterem, lecz dążyć do rozmowy z panią Baxter. Musi spotkać się z nią przynajmniej raz jeszcze na godzinę albo dwie, żeby wyjaśnić, co stało się między nimi. W listach nigdy nie wyjaśnili sobie niczego istotnego i Keith czuł, że nie potrafi żyć dalej, jeśli nie zrozumie, dlaczego się rozstali i jak do tego doszło.

Następnym punktem programu będzie oczywiście ustalenie, czy pragną być znowu razem. Być może Annie chce tego. On na pewno.

Cliff Baxter był tu wprawdzie przeszkodą, ale dałoby się ją obejść. Taka taktyka dla wszystkich zainteresowanych byłaby pewnie lepsza. Tak doradzałby młody oficer wywiadu wysłany w niebezpieczne rejony.

Strumień rozszerzał się, za to drzewa rosły rzadziej i po pewnym czasie Keith znalazł się nad jeziorem. Nikt tutaj nie pływał ani nie łowił ryb, miejsce wyglądało na zupełnie opuszczone. Kiedyś często przychodził tu w lecie z kolegami, puszczali łódki, wędkowali, bawili się w wodzie. Zimą ludzie palili na brzegu ogniska, a na skutej lodem taflę jeździli na łyżwach albo łowili ryby w przeręblach.

Skierował konia w lewo i jechał mulistym brzegiem.

Gdyby to rzeczywiście była misja w obcym kraju, myślał, łatwo dałoby się uciec z czymś odebrany wrogowi. Ale ta wojna nie była tym samym, co ucieczka z obcego kraju z książką kodów lub zdrajcą.

Annie. To nie byłaby akcja wywiadowcza, lecz staroświeckie wykradnięcie żony, takie samo jak w czasach klanów czy plemion. W naszym społeczeństwie jednak najpierw trzeba się dowiedzieć, czy żona sobie tego życzy.

Pomyślał, że ani on, ani Annie, oddzielnie czy razem, nie mogliby żyć, czując nieustannie na karku gorący oddech Cliffa Baxtera.

Może, rzecz jasna, spakować się, wsiąść do samochodu i wyjechać tak daleko, jak tylko się da. Ale nie potrafi wymazać z pamięci obrazu Annie stojącej na chodniku, ze łzami w oczach, nie zapomni tych wszystkich listów, które otrzymywał od niej przez lata. Serce mu się ścisnęło. „Nie mogę wyjechać, nie mogę zostać...”. Nie wypada mu nawet zadeklarować rozejmu, ponieważ Baxter potraktowałby to jako objaw słabości i wykorzystał.

Keith stanął nad brzegiem jeziora i zapatrzył się w toń.

Może dałoby się Cliffowi Baxterowi przemówić do rozumu. Usiedli-by we trójkę, wypili piwo i porozmawiali jak cywilizowani ludzie. I dogadali się. Żadnych brzydkich scen, rozlewu krwi ani ucieczek. „Panie Baxter, pańska żona i ja kochamy się, kochaliśmy i zawsze będziemy kochać. Ona nie dba o pana ani trochę. Więc prosimy, bądź pan tak miły i życzy nam dobrze. Papiery rozwodowe nadejdą pocztą. Dzięki, Cliff. Możemy ucisnąć sobie dłonie?”

Na co Cliff Baxter sięgnąłby, oczywiście, po pistolet. Ale gdyby potrafił posługiwać się mową, gdyby był inteligentnym, cywilizowanym człowiekiem, odparłby tak: „Panie Landry, panu tylko się wydaje, że kocha pan moją żonę, bardziej jednak prawdopodobne jest to, że ma pan obsesję na tle wspomnienia z dawnych lat, wspomnienia czegoś, co już dawno nie istnieje. Poza tym jest pan nieco znudzony, na przymusowej emeryturze i szuka pan przygody. No i dodajmy do tego jeszcze, że nie darzy mnie pan sympatią, co ma swoje źródło w drobnych konfliktach z czasów dzieciństwa, więc zabranie żony postrzega pan jako rodzaj rewanzu. To nie jest zdrowe podejście, mało tego, nie jest ono uczciwe w stosunku do Annie, która przechodzi teraz ciężki okres, gdyż cierpi, bo dzieci opuściły dom, ma stresy związane z moją pracą i świadomość, że wkracza w wiek średni. Byliśmy z Annie szczęśliwi na nasz własny sposób i czekamy teraz na moją emeryturę, kiedy to przyjdzie czas, by się razem starzeć. Prawda, Annie?”

Keithowi wcale nie podobało się to, co Baxter by mu powiedział, ponieważ było w tym ziarno prawdy.

Ale takie spotkanie w rzeczywistości nie mogło się odbyć. Keith Landry, Cliff Baxter i Annie Prentis Baxter będą się szarpać i szamotać, tak jak inni ludzie w podobnych sytuacjach, zadając sobie i innym wiele bólu. A po zakończeniu tej sprawy każde z nich wyjdzie poranione i z wyrzutami sumienia i już nigdy nie poczuje się naprawdę szczęśliwe.

Keith wjechał między drzewa i znowu podążył wzdłuż strumienia. Kierował się w stronę farmy, zdecydowany spakować swoje rzeczy i opuścić dom, tak samo jak to zrobił dwadzieścia pięć lat temu, choć tym razem bez wiary w powrót.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

P

óznym popołudniem Keith zasiadł do pisania pożegnalnego listu do Annie. Ale nie szło mu. Czy zaproponować ostatnie spotkanie przed wyjazdem? Czy napisać krótko, bez zbędnych wyjaśnień, czy wręcz przeciwnie, winien jest jej pełną spowiedź? Nie, to tylko otworzyłoby szerzej ich dusze na ból. Żadnych długich epistoł ani ostatnich spotkań. Bądź szlachetny, bądź silny, bądź odważny. I bądź zwięzły. Napisał:

Droga Annie. Nie możemy odrobić przeszłości, nie da się wrócić do naszego Spencerville ani do Bowling Green. Żyliśmy osobno i tak jak Ci kiedyś napi salem, jestem tu tylko przejazdem i nie chcę -w czasie mojego krótkiego pobytu nikomu wyrządzić krzywdy. Dbaj o siebie i proszę, zrozum mnie. Pozdra wiam,
Keith

I tyle. Włożył list do koperty, na której napisał adres jej siostry.

Podniósł się i rozejrzał po kuchni. Zaczął się pakować, ale nie czuł zadowolenia.

Wiedział, że powinien wysłać ten list już po wyjeździe i że musi wynieść się bardzo prędko, zanim wydarzy się coś, co zmieni jego decyzję. Prawdopodobieństwo konfrontacji z Baxterem lub spotkania z Annie z każdym dniem się zwiększało.

Przychodzimy na świat w czasie, którego nie wybieramy, pomyślał, to, jak długo na nim pozostajemy, nie od nas zależy, a wreszcie odchodzimy. Możemy jedynie odejść wcześniej, ale nie możemy przedłużyć danego nam czasu. Jednak między chwilą przyjścia na świat i odejścia stajemy przed paroma prawdziwymi wyborami. Wybory mogą być różne: dobre i złe, trudne i łatwe. Te dobre są zarazem często najtrudniejsze.

— Wybór. Pakować się czy zjeść obiad? — Wybrał obiad i otworzył lodówkę. — Co my tu mamy? — Niewiele. — Piwo albo piwo. — Wybrał piwo.

Zadzwonił telefon. Keith zdecydował, że nie będzie go odbierał, ale ponieważ telefon nie przestawał dzwonić, zmienił zdanie i podniósł słuchawkę.

- Słucham, Landry.
- Cześć, tu Porter. Zgadniesz, jak mi na imię? Keith uśmiechnął się.
- Gail — powiedział.
- Nie, Jeffrey, z krótszymi włosami.
- Z czym dzwonicz?
 - Żeby przypomnieć ci o spotkaniu u Świętego Jakuba. Dzisiaj, ósma wieczór.
- Nie dam rady, chłopie.
- Na pewno dasz.
- Pewnie tak, ale nie chcę.
- Na pewno chcesz.
- Nie, nie chcę.
- Wolisz, żeby rewolucja zaczęła się bez ciebie?
- Dobrze by było. Skracaj się, właśnie siadałem do obiadu.
- Nie pieprz mi, Keith. Muszę obdzwonić pięćdziesiąt osób.
- Posłuchaj, Jeffrey, ja... ja postanowiłem...
 - Poczekaj... — Jeffrey przykrył dłonią słuchawkę, ale Keith słyszał jego stłumiony głos, który po chwili zabrzmiał znowu w słuchawce.

—Gail mówi, że zrobi wszystko, co zechcesz, jeśli przyjdiesz, a poza tym jesteś nam to winien za trawkę.

- Posłuchaj... No, dobrze.
- Czy chcesz coś powiedzieć?
- Tak. Do widzenia.
 - Chodzi mi o spotkanie. Czy chcesz powiedzieć, jakie wrażenie zrobiło na tobie Spencerville po dwudziestoletniej nieobecności? I o twoich nadziejach na przyszłość?
 - Może innym razem. Do zobaczenia później. — Odłożył słuchawkę i mruknął pod nosem: — Wciąż interesuje mnie tylko przeszłość.

Wieczorem Keith pojechał do Świętego Jakuba. Trawiasty parking zastawiony był samochodami, było ich z pięćdziesiąt, rzadki widok obok kościoła, no, może poza Gwiazdką i Wielkanocą.

Zaparkował tuż przy cmentarzu i natychmiast ruszył do kościoła. W drzwiach kilkoro młodych ludzi wręczało ulotki. W kruchcie grupa mężczyzn i kobiet witała przybyłych. Keith dostrzegł między nimi Gail i Jeffreya, spróbował przemknąć niezauważony, ale bez powodzenia.

—Co jestem ci winna? — zapytała Gail.

- Pocałunek załatwi sprawę. Cmoknęła go w policzek.
 - Łatwo ci sprawić przyjemność. Chętnie ofiarowałabym coś więcej
- powiedziała.

- Gail, daj spokój, jesteśmy w kościele. Dziwię się, że jeszcze nie spadł na nas sufit — wtrącił się Jeffrey.
 - Ale ty chyba nie wierzysz w gniew Boży? — zapytał Keith.
 - Nigdy nic nie wiadomo — odparł Jeffrey.
 - Przyszło już ponad sto osób — oznajmiła Gail. — Ławki zajęte, chór też. Mówiłam ci, ludzie mają już dość. Chcą zmiany.
 - Nie, Gail, oni tu są, ponieważ tak wiele się zmieniło — odparł Keith. — Pragną zatrzymać czas, a tego nie da się zrobić. Powinnaś pomóc im to zrozumieć.
 - Masz rację. — Skinęła głową. — Wszyscy troje mamy wiejskie korzenie, a zapomnieliśmy, jak ludzie tutaj myślą. Musimy ten sposób myślenia zmienić.
- Keith wznosił oczy. Nic dziwnego, że rewolucjoniści budzą u zwykłych ludzi przerażenie.
- Nie, oni nie chcą, żeby ktokolwiek zmieniał ich sposób myślenia. Pragną, żeby rząd i społeczeństwo zachowywali się zgodnie z ich wartościami i wiarą.
 - W takim razie rzeczywiście chcą cofnąć czas, a tego nie da się zrobić.
 - Nie, dosłownie nie, ale kiedy odmalujesz przyszłość, żeby wyglądała jak przeszłość, uda ci się.
 - Jesteś takim samym manipulatorem jak my — rzekła Gail. — Czy z tego żyłeś?
 - Coś w tym... No tak, pracowałem kiedyś w dziale propagandy. Ale nie podobało mi się.
 - To musiało być fascynujące. Powinieneś to wykorzystać w życiu osobistym, byłoby niesamowite.
 - Chciałbym. A tak przy okazji — Keith zmienił temat — kto jest tutaj pastorem? Kto jest na tyle szalony, żeby pozwolić wykorzystać święte miejsce do takiego celu?

- Pastor Wilkes — odparł Jeffrey.
 - Naprawdę? Myślałem, że do tego czasu odszedł na emeryturę albo nawet umarł.
 - No cóż, jedno i drugie byłoby prawdopodobne — powiedział Jeffrey. — Jest naprawdę stary. Ale odpowiada mu to, co robimy. I chyba niezbyt się przejmuje Baxterem.
 - Naprawdę? Nie przyszłoby mi do głowy, że się znają. Baxterowie zawsze chodzili do Świętego Jana, w mieście, tam gdzie uczęszczali wszyscy ważni obywatele.
 - Najwyraźniej zna go z reputacji, a nawet chyba rozmawiał na jego temat z innymi duchownymi z miasta. Chciałbym mieć taki wywiad jak oni. W każdym razie prawdopodobnie usłyszysz dzisiaj, że Baxter jest grzesznikiem i cudzołoznikiem.
- To nie czyni z niego jeszcze złego człowieka.
- Jesteś niemożliwy. — Gail się roześmiała. — Idź, stań w kącie.
- Tak jest, proszę pani. — Keith wszedł do małego kościółka, znalazł miejsce tuż za ostatnią ławką.

Kościół rzeczywiście pękał w szwach. Ołtarze zasłonięto, więc skromne wnętrze bez witraży przypominało zbór kwaków czy amiszów.

Ludzie stojący wokół niego stanowili doskonały przekrój społeczności hrabstwa Spencer. Ci mężczyźni i kobiety, choćby nie wiadomo jak się ubrali, zawsze wyglądali na farmerów. Między innymi zobaczył Sue i Martina Jenkinsów. Byli też ludzie z miasta, robotnicy i osoby wykształcone, przedstawiciele wszystkich grup wiekowych, od uczniów po starców.

Keith pamiętał czasy, zanim pochłonęła ich telewizja i inne nowoczesne rozrywki, kiedy różne zebrania cementowały społeczność wiejską. Jego rodzice chodzili na spotkania klubowe i kościelne. Kobiety wspólnie szyły, a mężczyźni dyskutowali o polityce lub działali w kółku rolniczym. Z zakamarków pamięci Keith wygrzebał nawet wspomnienie, że zbierano się w sali klubowej, by posłuchać muzyki, pograć w bilard i napić się ponczu. Ale tamte czasy już minęły, obecnie grę na pianinie, bilard i poncz wyparły dobre filmy, futbol i sześciopaki piwa. W tamtych czasach ludzie ze Spencerville musieli sami zadbać o swoją rozrywkę. I właśnie z takich spotkań w wiejskich kościółkach narodziło się wiele ruchów społecznych, jak abolicja i populizm. Jednakże teraz jego kraina przestała już być krainą rolniczą, dlatego też brakło zarówno ludzi, jak i woli, by stąd wpływać na politykę państwa. Prowincja zajęła się sobą, gdyż czuła się opuszczona i odsunięta od miejskich centrów władzy, zaczęła działać na własną rzecz — może z niewielką pomocą ludzi z miasta i uciekinierów z ośrodków akademickich, takich jak on sam i Porterowie.

Wśród ludzi, którzy wciąż nadchodzili, wypatrzył Jenny. Nie widział się z nią ani nie rozmawiał od Dnia Pracy. Na jego widok uśmiechnęła się i pomachała, ale była w towarzystwie mężczyzny i z nim razem wcisnęła się w ławkę.

Keith przyglądał się zgromadzeniu. Musiało tu być kilkoro takich, co doniosą o przebiegu spotkania Baxterowi. To

było pewne jak dwa razy dwa cztery i chyba tacy doświadczeni rewolucjoniści jak Jeffrey i Gail o tym wiedzieli, nawet jeśli nie przychodziło to do głów zwykłym mieszkańcom Spencerville. Keith miał nadzieję, że Porterowie rozumieją, w co pakują tych wszystkich ludzi. Zawodowi rewolucjoniści, jak dobrze wiedział, dzielili się na dwie kategorie — romantyków i pragmatyków. Romantycy kończyli wraz z pracującymi dla nich ludźmi w więzieniach lub nawet ginęli. Pragmatycy, na przykład pierwsi naziści i bolszewicy, zrobiliby wszystko, byle tylko przeżyć i zwyciężyć.

Porterowie, choć działali już długo, mieli cechy romantyków, a przeżyli te wszystkie lata tylko dlatego, że kultura amerykańska była przychylna wszelkim romantynom i rząd miał na tyle dobrze w głowie, by rozumieć, iż tworzenie męczenników może tylko szkodzić, zwłaszcza gdy naród trwa w stanie uśpienia.

Jednak na poziomie lokalnym ludzi można było zbudzić i pchnąć do czynów. Najwyraźniej władze miasta i hrabstwa naruszyły jedną z podstawowych zasad, która brzmiała:

„Obywatele mają być szczęśliwi albo zagubieni”.

Spotkanie rozpoczęło się od ślubowania wierności fladze, co zdaniem Keitha, musiało Porterom napsuć krwi. Kolejnym punktem była modlitwa, w której proszono Boga o przewodnictwo; wygłosił ją młody, nieznanый Keithowi pastor. Keith zerknął na Porterów stojących na podium i zobaczył, że oboje pochylają głowy. Może te lata nauczyły ich nieco pragmatyzmu, pomyślał.

Kiedy wszyscy w ławkach usiedli, Gail przeszła na środek podestu i wypróbowała mikrofon:

— Keicie Landry, czy słyszała mnie tam, z tyłu?

Prawie wszyscy obrócili się w jego stronę, a Keith w tej chwili chętnie by udusił Gail. Ale tylko skinął głową, na co Gail uśmiechnęła się i zaczęła:

— Witam na spotkaniu, które, mam nadzieję, jest pierwszym z wielu. Cel, w jakim się tu zebraliśmy, jest prosty. Mamy się zastanowić, co zrobić, żeby władze tego miasta i hrabstwa były uczciwe, odpowiedzialne i kompetentne. — Spojrzała w stronę Keitha i dodała: — Tak jak to było przed laty. Aby kierowały nami w zgodzie z naszymi przekonaniem i wartościami.

Spojrzenia Keitha i Gail zetknęły się na moment. Mówiła dalej, nie wyjaśniając, o jakie przekonania i wartości jej chodzi.

Kiedy Gail przemawiała, Keith uświadomił sobie, że niezależnie od tego, czy Cliff Baxter jest u władzy czy nie, ciągle jest tym samym Cliffem Baxterem. A wiedząc, jak funkcjonuje małe miasteczko, Keith był pewien, że szeryf hrabstwa, kuzyn Cliffa Baxtera, w razie czego zrobi z niego swego zastępcę, żeby Baxter wciąż mógł nosić pistolet i gwiazdę.

— Jako członek rady miejskiej — kontynuowała Gail — jedyny chyba wybrany urzędnik obecny tutaj, chcę, żebyście wiedzieli, że prze kazałam zaproszenie wszystkim pozostałym wybieralnym urzędnikom naszego miasta i hrabstwa, jednak ich interesowało jedynie spotkanie rady miejskiej z członkami władz hrabstwa w ratuszu. Więc nie są dzę, żeby któryś się tutaj zjawił. — Rozejrzała się wokół. — Jeśli na sali jest ktoś z władz hrabstwa, niech wstanie i podejdzie tutaj. Mamy dość miejsca.

Nikt nie wstał. Keith patrzył z uznaniem na Gail.

— Poprosiliśmy, żeby „Spencerville Gazette” przysłała tutaj dziś wieczór swego reportera. Czy ktoś przybył? — Gail rozejrzała się znowu. — Nie? Czyżby dlatego, że gazeta jest własnością jednej z najznakomitszych naszych rodzin, czy może dlatego, że Baxter Motors to jej największy reklamodawca?

Kilka osób roześmiało się, parę innych zaczęło klaskać. Keith widział, że Gail rozdawała prztyczki w co bardziej prominentne nosy z dużą przyjemnością. Na pewno zdawała sobie sprawę, że zyskuje w ten sposób więcej wrogów niż sprzymierzeńców. Gail mogła rozniecić rewolucję, ale ani ona, ani Jeffrey nie umieliby jej poprowadzić, nie byłoby też dla nich miejsca w nowym reżimie. Prawdę mówiąc, pozostaną wyrzutkami — biedni i bez przyjaciół, odcięci od swych korzeni, wyalienowani ze świata, który starali się stworzyć, obcy w obcym kraju. Kojarzyli się Keithowi z nim samym.

Gail przemawiała nadal, trzymając się ogólników, ale wreszcie przeszła do sedna, czyli do szefa policji Cliffa Baxtera.

— Po bliższym poznaniu szefa Baxtera, a pełniąc swoją funkcję, mu szę od czasu do czasu się z nim spotykać, uznałam go za człowieka niekompetentnego, nieefektywnego, o inklinacjach dyktatorskich. Ale nie musicie mi wierzyć na słowo. Przybyło tu dzisiaj kilka osób, które wyraziły chęć opowiedzenia nam o Baxterze. Niektóre z tych historii zaszokują was, a ludzie, którzy je opowiedzą, wasi sąsiedzi, muszą wy

kazać się dużą odwagą cywilną, żeby się do pewnych spraw przyznać. Większość tego, co usłyszycie, nie będzie świadczyło o nich dobrze, a jednak zdecydowali się na wyznanie, gdyż chcą zrobić coś dla siebie i swojej społeczności. Opowiedzą wam o korupcji, przekupstwie, nieuczciwych wyborach i, tak, o tym też. O cudzołóstwie.

Gail wiedziała, kiedy umilknąć, tak by dały się słyszeć pełne zdziwienia szeptu dobrych obywateli Spencerville. Mimo że wszystko, co powiedziała i zamierzała powiedzieć, było chyba prawdą, podobnie jak to, co mieli do powiedzenia inni, Keith czuł się jak na siedemnastowiecznym procesie czarownic, kiedy świadek za świadkiem stawał, by złożyć zeznania przeciwko swej sąsiadce. Brakowało jedynie osoby oskarżonej.

Gail opowiedziała jeszcze, jak sama dowiedziała się o istnieniu nielegalnych akt, które prowadził Cliff Baxter, i zakończyła tak:

— Zamierzam wytoczyć mu proces cywilny i poprosić sąd o podanie tych akt do publicznej wiadomości. Nie mam nic do ukrycia i nie mam się czego wstydzić. Moja przeszłość wielu osobom obecnym tutaj jest znana i możecie mnie za nią osądzać. Ale nie pozwolę, żeby mnie ktoś szantażował. Co więcej, zastanawiam się, czy nie zaskarżyć pana Baxtera o przestępstwo kryminalne. Rozmawiałam już z prokuratorem hrabstwa na ten temat. A jeśli nie znajdę sprawiedliwości w Spencerville, pojadę do Columbus i porozmawiam ze stanowym pełnomocnikiem prokuratora generalnego. I zrobię to nie dla siebie, ale dla wszystkich w tym hrabstwie, którzy byli podmiotem nielegalnej inwigilacji. Powiodła wzrokiem po zebranych i dodała:

— Niektóre z ofiar Baxtera są tu dzisiaj, inne nie chcą być rozpoznane i uszanuję ich decyzję. Niektóre zaś zdecydowały się wystąpić publicznie. A więc, żebyście nie musieli już mnie dalej słuchać, przedstawię pierwszą ochotniczkę, niech sama przemówi.

Atrakcyjna młoda kobieta, wyglądająca tak, jakby wolą się znaleźć w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi, podniosła się niepewnie i ruszyła w stronę podium. Gail przywitała ją serdecznym uściskiem i powiedziała coś, prowadząc ją do mikrofonu.

Kobieta przez kilka sekund stała, milcząc, a Keith pomyślał, że jest blada, jakby przestraszona. Odchrząknęła kilka razy i wreszcie zaczęła:

— Nazywam się Sherry Kolarik i jestem kelnerką w „Zaparkuj i po sil się”. — Sherry Kolarik wypila łyk wody i zerknęła na siedzącą koło niej Gail. — Pierwszy raz spotkałam Baxtera sześć miesięcy temu, kiedy przyszedł do mnie do domu po pieniądze za przeterminowane opłaty parkingowe. Wiedziałam, że jestem winna pieniądze, ale byłam splotka na i powiedziałam mu to. Wydawało mi się dziwne, że sam szef policji przychodzi do mojego domu... Wcześniej go nie poznałam, ale przecież wiedziałam, jak wygląda, bo często wpadał do baru na śniadanie. Ni gdy go nie obsługiwałam, zawsze siadał przy stoliku w rewirze innej dziewczyny. Nie powiem, jak ona się nazywa, ale siadał tam, bo się z nią umawiał.

Przez tłum przebiegł szmer, niektórzy przecież wiedzieli, że Baxter jest żonaty. Ale Keith czuł, że najlepsze — lub najgorsze — dopiero ich czeka.

— Raz, kiedy ta dziewczyna miała wolne — ciągnęła Sherry — usiadł przy moim stoliku. Nie zagadywał, tylko wskazał na tabliczkę z imieniem... wiecie, taką, którą nosimy na lewej piersi, i powiedział: „Sherry to ładne imię dla tej, a jak wołają na drugą?”.

Rozległo się parę spontanicznych wybuchów śmiechu, Sherry też uśmiechnęła się zakłopotana, a kiedy wszyscy ucichli, podjęła swoją opowieść:

— W każdym razie kilka tygodni później przyszedł do mnie po opłaty parkingowe. Wpuściłam go. Próbowałam go przekonać, że choć nie mam pieniędzy, oddam wszystko w dzień wypłaty. Ale powiedział, że albo oddaję zaraz, albo mnie aresztuje i spędzę noc w areszcie, bo sędziego uda się sprowadzić dopiero następnego dnia. Poinformował mnie, że każdy więzień przechodzi rewizję osobistą i musi włożyć więzienne ubranie. Później się dowiedziałam, że to nie dotyczy takich przewinień jak zwłoka za opłaty parkingowe, ale wtedy byłam naprawdę przestraszona.

Keith wszędzie, gdzie bywał, stykał się z przypadkami nieuczciwego wykorzystywania władzy, i to mu się nie podobało, lecz szczególnie nie lubił mężczyzn, którzy wykorzystywali swoją władzę albo broń, żeby poniżyć bezbronną kobietę i zmusić ją do uprawiania seksu, a ta historia dążyła właśnie w tym kierunku.

Sherry mówiła dalej i po jakiejś minucie doszła do punktu kulminacyjnego.

—Więc ja... ja zaproponowałam... zaproponowałam mu seks...

W kościele panowała martwa cisza.

—Więc... ja nie mówię, że mnie zmusił... ale wiedziałam... no wie działałam, że do tego wszystko prowadzi, a byłam przestraszona i bez centa przy duszy. Nie twierdzę, że jestem niewinna czy coś w tym rodzaju, miałam paru chłopców, ale ich lubiłam i nigdy nie robiłam tego dla pieniędzy czy z kimś, kto mi się nie podobał... Ale wtedy nie widziałam innego wyjścia. Więc... zaproponowałam siebie, a on to przyjął. — Odetchnęła. — Powiedział, że mi da pieniądze, ale że to jest pożyczka i kazał mi się rozebrać, chciał zobaczyć, jakie mu dają gwarancje.

Na to tłum zbiorowo westchnął, a Sherry zwiesiła głowę, potem podniosła wzrok, wzięła głęboki wdech i spojrzała na zebranych. Keith czuł, że to nie gra — ta kobieta naprawdę była upokorzona, przestraszona i odważna. Mógł tylko zgadywać, jakie motywy przywiodły ją na to podium, ale podejrzewał, że mniej poczucie obywatelskiego obowiązku, a bardziej pragnienie zemsty.

Usłyszał już dość i gdy Sherry opowiadała, co działo się później, zaczął się przepychać przez tłum.

Przeszedł przez kruchtę, gdzie tłum wyciągał głowy, by coś usłyszeć, i po schodach zszedł na dziedziniec.

Zauważył jakichś ludzi wśród samochodów, błyskali latarkami. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to policjanci. W gruncie rzeczy nie zdziwił się, a jednak trudno mu było uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Zagadnął najbliższego, który okazał się zastępcą szeryfa hrabstwa, a nie funkcjonariuszem z miasta Spencerville.

—Co, u diabła, pan robi?

•Wykonuję rozkazy — odparł mężczyzna. Wyglądał na zmieszanego, co było dobrym znakiem.

•Czyje rozkazy?

•Nie mogę powiedzieć.

•Kto tu dowodzi?

•Właściwie to nikt. Żadnych szefów. — Mężczyzna rozejrzał się.

Nieopodal stał policjant ze Spencerville. Keith podszedł do niego i stwierdził, że to z nim spotkał się na dziedzińcu szkoły.

•Schenley, czy zdaje pan sobie sprawę, że łamie pan prawo? Schenley odwrócił głowę i zawołał:

•Hej, Kevin, Pete. Chodźcie tutaj.

Podeszli jeszcze dwaj policjanci. Tym razem ci, którzy napastowali Billy'ego Marlona w parku. Wszystkich funkcjonariuszy w Spencerville było chyba z piętnastu i Keith miał wrażenie, że gdyby został w miasteczku trochę dłużej, szybko by ich poznał. Plakietki identyfikacyjne informowały, że ci dwaj nazywają się Ward i Krug. Ward, ten, który walił w podeszwy butów Billy'ego, powiedział:

•No, no, kogo my tu mamy. Jak krowie gówno. Zawsze przyczepi się do butów. Zwiewaj, póki możesz.

•Funkcjonariuszu Ward, funkcjonariuszu Krug i funkcjonariuszu Schenley, to zebranie odbywa się zgodnie z prawem i jest chronione Pierwszą Poprawką do Konstytucji, na wypadek gdybyście tego nie wiedzieli — zwrócił im uwagę Keith. —Jeśli nie odejdziecie w tej chwili, wezwę policję stanową i każę was wszystkich aresztować.

Trzech policjantów popatrzyło najpierw na siebie, a potem na Keitha.

•Zwariowałeś czy co? — zapytał Ward.

•Jestem wkurzony. Zjeżdżać stąd, i to już.

•Hola, hola, spokojnie, chłopaczku.

•Macie sześćdziesiąt sekund, żeby zniknąć, a jak nie, wracam do kościoła i sprowadzę tutaj ludzi.

Na chwilę zapadła cisza. Tymczasem dołączyło do nich pozostałych siedmiu policjantów.

— Ten facet mówi, że wezwie na nas policję — poinformował ich Ward.

Paru gliniarzy lekko się uśmiechnęło, ale nikt nie wydawał się szczególnie rozbawiony.

— I wyciągnę tutaj tych ludzi z kościoła.

Najwyraźniej żaden z nich nie życzył sobie konfrontacji ze znajomymi i sąsiadami w takich okolicznościach, ale też żaden nie chciał zostać tak splawiony przez samotnego obywatela. Keith rozważał, czy umożliwić im honorowe wyjście, ale uznał, że nie zasłużyli na to.

•Zostało wam jakieś dziesięć sekund — powiedział.

•Mniej mi potrzeba, żeby cię zakuć w kajdanki — rzucił Ward.

—Pięć sekund.

Nikt się nie poruszył.

Keith odwrócił się w stronę kościoła, ale spostrzegł, że jest otoczony i żeby się przedrzeć przez kordon, musi popchnąć jednego z policjantów, na co tylko czekali.

—Zejdźcie mi z drogi — powiedział. Wyciągnęli pałki, stając na sze

roko rozstawionych nogach. Keith zastanawiał się, czy nie próbować przedrzeć się przez linię w stylu obrońcy futbolowego, ale zdawał sobie sprawę, że druga strona dysponuje pałkami i pistoletami. Najwyraźniej był w równie trudnej sytuacji jak oni i nikt nie chciał wykonać pierwszego ruchu.

— Jesteś dupek — odezwał się za nim Ward. — I na dodatek głupiec.

Keith odwrócił się i podszedł do niego.

•Gdzie jest dzisiejszego wieczoru Baxter? Przyjmuje następne honory w Klubie Łosiów?

•Nie twój interes — burknął Ward.

•Założę się, że jest na zebraniu rady miejskiej i tam kryje swoją dupę, a was wysłał na pierwszą linię. Gdzie są wasi sierżanci? Zdaje się, że wasi przełożeni zupełnie stracili jaja. Możesz to powtórzyć Baxter owi.

Najwyraźniej dotknął czułego punktu, bo nikt się nie odezwał. Dopiero po dobrej chwili Ward uznał, że milczenie zanadto się przedłuża, i mruknął:

•Sam mu powiesz, mądralo, kiedy cię do niego przyprowadzimy.

•No to przyprowadźcie. Albo mnie aresztujcie, albo zejdźcie mi z drogi.

Ale najwyraźniej nie mieli ochoty ani na jedno, ani na drugie. Keith kalkulował, jak długo może jeszcze potrwać spotkanie w kościele.

Po kilku minutach uznał, że ma dość. Już miał zamiar przedzierać się przez mur gliniarzy, kiedy usłyszał głos:

— Co się tu dzieje?

Od strony niewielkiej plebanii ktoś nadchodził, podpierając się laską. Kiedy się zbliżył, Keith zobaczył, że to bardzo stary człowiek, a wreszcie rozpoznał w nim pastora Wilkesa.

Pastor, ubrany w spodnie, sportową koszulę i tweedową marynarkę, zapytał znowu:

•Co tu się dzieje?

•Wszystko pod kontrolą, proszę pana — odparł Ward.

•Nie o to pytałem. Co się dzieje?

Ward nie mógł znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi, więc milczał. Pastor Wilkes przeszedł przez kordon i zatrzymał się przed Keithem.

•Kim jesteś, synu?

•Keith Landry.

—Nazwisko brzmi znajomo. Należysz do grupy, która zebrała się w kościele?

-Tak.

—Skąd się wzięli ci policjanci?

•Ich pastor powinien zapytać. Pastor Wilkes odwrócił się do Warda.

•Czy ktoś was tu wzywał? -Nie.

•W takim razie po co przyjechaliście?

•Żeby... zapewnić bezpieczeństwo.

•Weiskasz mi kit, synu. Proszę się wynosić z mojego terenu. Ward spojrzął na pozostałych i skinieniem głowy wskazał wozy

policyjne. Kiedy odchodzili, zatrzymał się na chwilę przed Keithem i powiedział:

•Na twoim miejscu zmykałbym do Waszyngtonu. I to szybko.

•Nie zapomnij powtórzyć Baxterowi tego, co ci powiedziałem.

•Możesz na mnie liczyć, mądralo.

A więc wiedzieli już, że przyjechał z Waszyngtonu, co nie powinno go dziwić. Zastanawiał się, czego się jeszcze o nim dowiedzieli. Ale nie miało to żadnego znaczenia, skoro rzeczywiście zamierzał wyjechać, chociaż Cliff Baxter bezwiednie starał się go zatrzymać.

•Czy masz chwilę? — zapytał pastor Wilkes.

•Tak — odparł Keith po chwili namysłu.

Ruszyli w stronę plebanii. Keith przypomniał sobie, że ostatnim razem, kiedy tam był, pastor udzielił mu wykładu na temat pokus czyhających na niego w świecie otaczającym hrabstwo Spencer, mając w szczególności na myśli alkohol i seks na uczelni. Zawsze z przyjemnością wspominał to, co wtedy usłyszał.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

P

lebiana była oszalowana drewnianymi deskami pomalowanymi na biało, a wzniesiono ją razem z kościołem jakieś sto lat temu. Wilkes poprowadził gościa do malutkiego salonu i wskazał mu zapadniętą kanapę. Keith usiadł, a pastor usadowił się naprzeciwko w bujanym fotelu.

- Mam odrobinę sherry — zaproponował.
 - Nie, dziękuję. — Keith przyglądał się Wilkesowi w przyćmionym świetle. Od czasu ukończenia szkoły widział go kilka razy na ślubach i pogrzebach, ale od ostatniego spotkania minęło co najmniej siedem lat. Za każdym razem wydawało mu się, że pastor jeszcze bardziej skurczył się i pomarszczył.
- Dlaczego zjawiała się tu policja? — zapytał Wilkes.
- Żeby spisać numery rejestracyjne samochodów.
 - Pastor skinął głową. Przez chwilę milczał, a potem podniósł wzrok na Keitha.
- Jesteś synem George'a i Almy. -Tak.
- Czyja cię chrzciliem?
- Tak mi mówili. Wilkes uśmiechnął się.
- A czy udzielałem ci ślubu? — zapytał.
- Nie, nigdy się nie ożeniłem.
- Zgadza się. Poszedłeś do wojska, a potem pracowałeś dla rządu.
 - Najpierw pojechałem do college'u. Do Bowling Green. Ostrzegał mnie pastor przed rozwiązłymi kobietami na uczelni.
- Czy pomogły ci moje nauki?
- Ani trochę.
 - Wilkes znowu się uśmiechnął.
- Czy wróciłeś na dobre? — zapytał.
- Nie sądzę.
- Dlaczego w ogóle przyjechałeś?
- Żeby zająć się domem.
- Tylko po to?
 - Keith zastanawiał się przez chwilę, potem odparł:
- Wolałbym nie kłamać, a nie chcę o tym mówić.
 - No cóż, doszły do mnie plotki, ale nie powtarzam tego, co mi ludzie mówią, więc nie powiem ci, co słyszałem. Keith milczał.
 - Jak się mają twoi bliscy? — zapytał Wilkes.
 - Keith zdał relację z losów wszystkich członków rodziny, a potem sam zapytał:
- Co słychać u pani Wilkes?
- Pan uznał, że czas ją powołać do siebie.
 - Keith pomyślał, że standardowa odpowiedź „przykro mi” zabrzmiałaby w tym kontekście głupio, więc powiedział tylko:
- Była wspaniałą kobietą.
- To prawda.
- Dlaczego nie przyszedł pastor na spotkanie? — zapytał Keith.
 - Nie należy mieszać polityki i religii. Zbyt wielu młodych księży robi to w dzisiejszych czasach i połowa ich kongregacji wścieka się na nich.
 - Tak, ale istnieje niesprawiedliwość społeczna na świecie i kościół może pomóc.
 - Pomagamy. Głoszę miłość i miłosierdzie, opowiadam o łasce i dobrych uczynkach. Gdyby ludzie tego słuchali, nie byłoby niesprawiedliwości społecznej.
 - Ale nie słyszą tego ci, co nie przychodzą, a nieraz i ci, którzy przychodzą.
- Niektórzy nie, niektórzy tak. Nic więcej nie mogę zrobić.
 - Widziałem luterańskich księży organizujących marsze w Dreźnie, pastor pewnie też je widział w telewizji. Oni dopomogli w obaleniu rządów komunistycznych. To samo robili katolicy księża w Polsce.
 - Niech Bóg im błogosławi. Postępują zgodnie z własnym sumieniem. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, powiem ci, że bez wahania zginę za moją wiarę.
- Na szczęście nikt tego nie wymaga.

- Nigdy nie wiadomo.
 - Ale pozwolił pastor, by ci ludzie spotkali się w kościele, i wygonił policjantów.
 - Tak.
 - Czy wie pastor, z jakiego powodu zwołano to spotkanie? — zapytał Keith.
- Wiem.
- Czy pochwała pan tę sprawę?
 - Dopóki nie prowadzi to do czegoś nielegalnego lub gwałtownego. Może tego nie wiesz, ale dawniej często wykorzystywano kościoły jako miejsca różnych spotkań. Wywodzi się to z czasów, kiedy kościół był jedynym dużym pomieszczeniem, gdzie mogło się zgromadzić wielu ludzi. Święty Jakub widział już dużo politycznych i patriotycznych zebrań. To miejsce nie należy do nas, jestem tylko sługą bożym.
 - Tak, ale jestem pewien, że nie wpuszczał pan tu na spotkania miejscowego klanu.
- Sługa boży nie musi być bigotem ani idiotą. — A po chwili dodał:
 - Nie zaprosiłem cię tu, żebyś mnie przepytawał. To ja chciałem zadać kilka pytań. Jeśli można.
- Proszę.
- Dziękuję. Czy pochwalasz to spotkanie?
- W zasadzie tak.
- Już odkryłeś, że w Spencerville nie dzieje się najlepiej?
- Owszem.
- Znasz przypadkiem szefa policji Baxtera?
- Chodziliśmy razem do szkoły średniej.
 - Ze słów i zachowania policjantów wywnioskowałem, że zwróciłeś na siebie jego uwagę w znacznie bliższych nam czasach.
 - Nie... No, może i zwróciłem. Ale myślę, że ma to coś wspólnego z faktem, że nie układało się najlepiej między nami już w szkole.
- Naprawdę? Byliście rywalami?
 - Nigdy nie podchodziłem do tego w ten sposób. Ale najwyraźniej on tak. — Keith nie był pewien, dokąd zmierza ta rozmowa, i niewielu osobom pozwoliłby zadawać sobie takie pytania, ale pastor Wilkes był jedną z nich. Stary człowiek zamyślił się.
 - Moja pamięć nie jest już taka dobra jak niegdyś — rzekł wreszcie
 - ale coś mi się wydaje, że zalecałeś się do jego żony.
 - Keith nie odpowiedział.
- Prawdę mówiąc, twoja matka mi o tym mówiła.
- To możliwe.
 - W takim razie może Baxter jest zmartwiony, że dawny konkurent wrócił do Spencerville.
 - Byłem jej kochankiem. Na uczelni. — Nie było sensu wspominać szkoły średniej, bo starszy pan by się zmartwił.
 - Nazywaj to, jak chcesz — powiedział teraz. — Ja rozumiem. Czy myślisz, że to martwi Baxtera?
- Musiałby być bardzo niedojrzały.
 - Niech Bóg mi wybaczy te słowa, ale żaden z Baxterów nie wykazywał się nigdy dojrzałością. Keith uśmiechnął się.
- Jak było jej z domu? Prentis, zgadza się?
- Tak. Annie.
 - Oczywiście. Annie Prentis. Dobra rodzina. Pastor Schenk ze Świętego Jana bardzo pochlebnie się o nich wyraża. Jak się domyślasz, rozmawiamy ze sobą. Nawet z księżmi z kościoła Niepokalanego Poczęcia. Spotykamy się raz na miesiąc na radach ekumenicznych, a kiedy zakończymy sprawy zawodowe, plotkujemy jak najęci. Nigdy nie wymieniamy nazwisk, chyba że jest to konieczne, i nigdy nie powtarzamy ani słowa, ale czego się człowiek nasłucha!
- Mogę sobie wyobrazić.
 - Jeffrey miał rację, kiedy sugerował, że pastor Wilkes ma sieć wywiadowczą, której mógł mu pozazdrościć nawet Baxter.
 - Naszym celem nie jest rozsiewanie plotek — rzekł Wilkes. — Chcemy pomagać, zapobiegać rozwodom, doradzać młodym ludziom, których drogi zdają się rozchodzić, oddalać mężczyzn i kobiety od obiektów ich pożądania. Mówiąc w skrócie, ratować dusze.
- To wspaniałe.
 - To moja praca. Och, wiem, co myślisz. Uważasz, że Spencerville stało się miasteczkiem potępionych. A jednak większość tutaj to dobrzy, bogobojni chrześcijanie. Ale ludziom poplątały się ścieżki życia. Wszędzie jest podobnie. Chciałbym, żebyś w niedzielę przyszedł do kościoła, a potem spotkał się z nami na herbatce.
 - Może przyjdę. Ale pastor wie, że mówi do nawróconego. Powinien się pastor zwrócić do innych.

- Oni wiedzą, gdzie jesteśmy.
Keith chciał wyjść, zanim spotkanie w kościele się zakończy.
—No cóż, dziękuję, że uratował mnie pastor przed policjantami.
Pastor nie zwrócił uwagi na próbę zakończenia rozmowy.
- Pan i pani Baxter, jak pewnie wiesz, przechodzą ciężki okres. Pastor Schenk rozmawiał na ten temat z panią Baxter.
- Co to ma wspólnego ze mną?
- Ktoś widział, jak rozmawiała z tobą na ulicy.
 - Pastorze, może to i jest małe miasto, jednak kawaler może chyba rozmawiać publicznie z mężatką.
- Nie pouczaj mnie, młody człowieku. Staram ci się pomóc.
- Doceniam...
—Powiem wprost. Nie będziesz pożądaną żoną bliźniego swego.
Jego słowa nie do końca zaskoczyły Keitha.
- A pastor mógłby poprosić pastora Schenka — odparł — żeby przypomniał Baxterowi, że cudzołóstwo jest grzechem.
- Wszyscy wiemy o Baxterze. To, co mówię tobie... Obowiązuje mnie dyskrecja, ale pewnie już wiesz, że pani Baxter dużo o tobie myśli.
To była najlepsza wiadomość, jaką Keith usłyszał od tygodni. Rozważał kilka odpowiedzi, włącznie z brakiem odpowiedzi, ale wreszcie powiedział:
 - Przez lata pisywaliśmy do siebie i nigdy nie dała mi tego do zrozumienia. Nie zrobiła nic niegodnego.
 - To zależy, jak oceniasz fakt, że mężatka koresponduje ze swoim byłym chłopakiem.
- Nie zrobiła nic złego. Jeżeli ktoś zawinił, to tylko ja.
 - To bardzo szlachetne z twojej strony, chłopcze. Wiem, że uważasz mnie za bardzo staroświeckiego, i dziękuję, że mnie rozbawiłeś.
 - Nie to jest moim celem. Słucham uważnie i rozumiem stosunek pastora do tej sprawy i zaniepokojenie. Zapewniam, że mój związek z panią Baxter jest czysto platoniczny.
- No cóż, zobaczymy, czy okażesz siłę i czy tak pozostanie.
Keith spojrział na pastora Wilkesa i mimo że rozum podpowiadał mu co innego, a może po prostu dlatego, że czuł potrzebę powiedzenia tego komuś, wyrzucił z siebie:
—Żeby być z panem uczciwym, pastorze, duch ochoczy, ale ciało mdłe.
Pastor Wilkes na moment zaniemówił.
—Doceniam twoją uczciwość, synu — powiedział po chwili. — I cie szę się, że pamiętasz Pismo Święte.
Keith podniósł się.
—Czas na mnie.
Pastor podparł się laską i także wstał. Odprowadził Keitha do drzwi, wyszli na ganek. Zebranie jeszcze trwało. Keith zastanawiał się, jak wielu świadków zgromadzili Gail i Jeffrey.
- Najwyraźniej wie pastor więcej o ludziach, niż sugerował na początku rozmowy.
- Owszem, tylko nie wiedziałem, czy ty jesteś takim człowiekiem, z którym powinienem rozmawiać. Uznałem, że nim jesteś, więc udzieliłem ci rady i dołożyłem do tego cenną informację. Mam nadzieję, że nie czujesz się urażony radą, a informację zachowasz wyłącznie dla siebie.
- Nie czuję się urażony, a o rozmowie nikomu nie wspomnę. Ale obchodzi mnie, że ludzie o mnie mówią.
- Synu, powróciłeś do miasteczka, które przeżywa ciężkie czasy, i jak na ironię jednym z naszych problemów jest pan Baxter, zarówno jako osoba publiczna, jak i prywatna, co jest również twoim problemem. A nie powinno być.
- Dlaczego nie? Dlaczego mam zrobić mniej niż ludzie zebrani w tym kościele?
- Wiesz bardzo dobrze dlaczego. Proszę, przemyśl własne motywy i rozważ konsekwencje swoich działań.
- Pastorze, od czasu kiedy opuściłem Spencerville, służyłem jako oficer i wysyłano mnie na różne akcje, a wszystkie te akcje mogły okazać się śmiertelnie niebezpieczne dla mnie, moich kolegów, i mówiąc między nami, także i dla naszego kraju.
- W takim razie nie potrzebujesz kazania od wiejskiego pastora.
- Ale doceniam zainteresowanie.
Pastor Wilkes położył dłoń na ramieniu Keitha i popatrzył mu w oczy.
- Lubię cię. Nie chcę, by coś ci się przytrafiło.
- Raczej nic mi się nie przytrafi.
 - Pozwól, że cię odprowadzę do samochodu — powiedział. — Pomóż mi zejść po schodach. — Kiedy schodzili, odezwał się znowu:
 - Wiem, że coś jest między tobą a Annie Baxter i żeby być już całkowicie uczciwym, nie jestem temu do końca przeciwny. Ale musisz zachować się jak należy, inaczej nigdy się między wami nie ułoży.
 - Nadal się nie przyznaję do pożądania żony bliźniego swego — odparł Keith — ale słucham.

— Dobrze. Słuchaj i zapomnij, gdzie to usłyszałeś. Ona, kobieta, o której rozmawiamy, jest nieszczęśliwa w złym związku. Jej mąż jest cudzołóżnikiem i grzesznikiem. Może i wywodzę się ze starej szkoły, ale słucham tego, co mówią młodzi pastory, i jestem przekonany, że powinna opuścić tego człowieka, zanim przydarzy się coś naprawdę złego. Jej męża rozgniewała sama sugestia, że ich małżeństwo potrzebuje pomocy, i ani pastor, ani ta kobieta nie widzą nadziei na zmianę. W takich okolicznościach małżeństwo się nie utrzyma. Po rozwodzie ona może robić, co jej się żywnie podoba. Ale ty musisz okazać cierpliwość i nie stać się częścią problemu. To dobra kobieta i nie chcę, żeby ktoś ją skrzywdził.

Stali w mroku, delikatne światło padające z okien kościoła kładło ich cienie na groby.

•Ja też nie — powiedział Keith.

•Jestem pewien, że twoje zamiary są szlachetne, ale jedyną szlachetną rzeczą, jaką możesz w tej sytuacji zrobić, to nie utrzymywać z tą kobietą żadnych kontaktów. Sprawy się same wyprostują z Bożą pomocą.

•I bez mojej pomocy.

•Właśnie. — Pastor milczał chwilę. — Zamierzasz tu pozostać na stałe?

•Zamierzałem, ale teraz nie jestem pewien.

•Uważam, że sama twoja obecność podziałała jak dolanie oliwy do ognia. Czy nie mógłbyś na jakiś czas wyjechać? Z pewnością rodzice ucieszyliby się na twój widok.

•Czy wygania mnie pan z miasta, pastorze? — zapytał z uśmiechem Keith.

•Przypuszczam, że tylko gdy wyjedziesz, ta historia może się zakończyć szczęśliwie. W przeciwnym razie przewiduję same nieszczęścia.

Najwyraźniej obaj doszli do tych samych wniosków niezależnie od siebie.

•Nie sądziłem, że będzie mi pastor doradzał, jak zdobyć żonę innego mężczyzny. Oczekiwałem, że usłyszę coś o ogniach piekielnych.

•Kościół fundamentalistów znajduje się dalej przy drodze. Tutaj głosimy miłość i zrozumienie. Czy zobaczę cię w niedzielę?

•Być może. Dobranoc.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

K

eith odjechał spod kościoła. Nic nie jest proste w prostym życiu na wsi, pomyślał. Właściwie życie w mieście było dużo łatwiejsze. Tutaj dbało się o duszę i trzeba było o niej myśleć, a to komplikowało wiele spraw.

Jechał ciemną wiejską drogą. Wiedział, że w każdej chwili, w dowolnym miejscu i pod byle pretekstem może go zatrzymać policja, i już się z tym pogodził. Trafiał w ręce policji i w innych krajach, znał warunki więzienne, wiedział, kiedy chcieli człowieka tylko nastraszyć, a kiedy naprawdę pokiereszować. Nigdy nie był torturowany i nigdy nie stał przed plutonem egzekucyjnym, chociaż raz, przed laty, w Birmie, otarł się o śmierć.

Jako weteran kilku aresztowań nie wyobrażał sobie, żeby cela w Spen-cerville zdolna była mu dostarczyć specjalnych sensacji, ale nigdy nie wiadomo, co policja wymyśli, póki się nie trafi za kratki i nie przekona na własnej skórze. Chociaż trudno jest zginać z rąk policji, jeden scenariusz, dość częsty w cywilizowanych krajach, był całkiem prawdopodobny — śmierć podczas ucieczki. Keith nie sądził, by ktoś zwracał sobie głowę śledztwem, gdyby znaleziono go martwego na polnej drodze, szczególnie gdyby ścisnął w dłoni policyjną broń, włożoną mu tam już po śmierci. Musieliby jednak odżałować jeden ze swoich pistoletów, bo nie miał przy sobie broni, choć teraz tego żałował.

Ale czy policja aż tak daleko zaszła na drogę bezprawia? Raczej nie, choć Cliff Baxter na pewno tak, zwłaszcza że został rozdrażniony przez Keitha Landry'ego.

Zerknął w lusterko wsteczne, ale nie zobaczył żadnych świateł samochodowych. Skręcił w polny szlak, wybierając okrężną drogę do domu. Tyle że do domu prowadził tylko jeden podjazd. Gdyby byli bystrzy, czekali by na końcu tego

podjazdu.

Zastanawiał się nad tym, co usłyszał w kościele, przed kościołem i na plebanii. Wszystko to miało związek z Cliffem Baxterem, którego ponury cień padał na tę dawniej rozświetloną krainę.

Zostań bohaterem, zbawcą.

Nie. Zapomnij o bohaterstwie. Tutaj każdy dostaje to, na co zasłużył.

Wilkes miał rację. Trzeba zostawić to Bogu, Annie, Porterom.

Nie angażuj się w to.

Czy gdyby Annie nie została żoną Cliffa Baxtera, równie chętnie stanąłbyś po stronie sprawiedliwości? Oto pytanie, Landry.

No cóż, robiłem to dość często, pomyślał, chociaż wtedy mi za to płacono. Z drugiej jednak strony pieniądze nie były tak wielkie, by zrównoważyć ryzyko, którego się podejmował. Chyba kierował się jednak patriotyzmem i poczuciem sprawiedliwości. A kiedy te motywy zbladły, pozostała chęć przeżycia przygody i pragnienie pokonywania kolejnych szczebli kariery, ale wreszcie i to okazało się niewystarczające. Tutaj, w Spencerville, uznał, że może osiągnąć kilka rzeczy za jednym zamachem. Zabijając Baxtera, oddałby przysługę miastu i sobie, uwolnił Annie, a może nawet ją zdobył. Ale — niezależnie jak mocno sam siebie przekonywał — to nie wydawało się słuszne.

Zorientował się, że ma przed sobą zjazd w drogę numer 28, która już wiodła prosto do domu. Nie chciał tędy jechać, skręcił w przecinkę dla traktorów, wrzucił napęd na cztery koła i przez pole kukurydzy jakoś dojechał na własne podwórko.

Na zgaszonych światłach objechał dom i zaparkował koło drzwi kuchennych. Wysiadł, otworzył je i wszedł do ciemnej kuchni. Czuł się głupio, a jednocześnie był wściekły. Nie zapalił światła, tylko przez chwilę nasłuchiwał.

Zastanawiał się przez moment, czy nie pójść na górę po pistolet, ale instynkt mu mówił, że nic mu nie grozi, a w razie czego lepiej być w kuchni, w pobliżu wyjścia. Otworzył lodówkę i wyjął piwo.

—Więc powinienem nadstawić drugi policzek i wyjechać, tak jak radzi Wilkes?

Ale to nie było w jego stylu. Otworzył piwo i wciąż stojąc, pociągnął długi łyk.

—A może raczej powinienem śledzić Baxtera, przyłapać go, gdy wychodzi od jednej ze swoich dziewczyn, i poderżnąć mu gardło. Niewielka mokra robótka, nie pierwszy raz. No cóż, ludzie wiedzieliby, że ja to zrobiłem, ale byłoby tysiące innych podejrzanych i nikt by zbytnio nie dociekał, jak było naprawdę.

Nieźle. Ale zostaje jeszcze wdowa i dwoje dzieciaków. Oraz świadomość, że może nie zabiłeś go dlatego, że był złym mężem, skorumpowanym policjantem i człowiekiem niegodnie wykorzystującym swoją władzę.

— Właściwie czemu nie? Zabijałem już ludzi z drobniejszych powodów.

Skończył piwo i sięgnął po następne.

—Nie, nie mogę zamordować skurwiela. Po prostu nie mogę. W ta kim razie muszę wyjechać. — Podeszedł do kuchennego stołu, gdzie powinien leżeć list do Annie, który wcześniej napisał, ale w słabym świetle księżycy nic nie widział. Zapalił lampę — na blacie nic nie leżało. Popatrzył na krzesła i podłogę. Nic.

Zaalarmowany zgasił światło i odstawił puszkę piwa. Nasłuchiwał, ale nic nie zakłócało ciszy. Przyszło mu do głowy, że może ciotka Betty czy ktoś inny z rodziny zajrzał, by posprzątać i przynieść mu coś do jedzenia. Ten ktoś zobaczył list i zabrał, żeby go wrzucić do skrzynki. Jednak było to mało prawdopodobne.

Jeśli ten ktoś nadal przebywał w domu, wiedział też, że on wrócił. Lepiej zapomnieć o broni na gorze, bo nawet jeśli zdoła tam dotrzeć, pewnie już ją zabrano.

Przesunął się cicho w stronę drzwi kuchennych, położył dłoń na klamce.

Usłyszał od strony salonu znajome skrzypnięcie, które po chwili się powtórzyło. Zawrócił, wszedł na korytarz, całkiem pusty, a potem do pokoju. Równomierne skrzypienie ustało. Zapalił stojącą lampę i zapytał:

•Jak długo tu jesteś?

•Jaką godzinę.

•Jak się dostałaś?

•Klucz był w skrzynce na narzędzia, jak zawsze.

Siedziała w fotelu na biegunach, ubrana w dzinsy i sweter. List leżał na jej kolanach.

•Myślałam, że jesteś w domu, ale cię nie było. Już miałam odejść, gdy przypomniałam sobie o kluczu i pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę.

•Zrobiłaś.

Chociaż właściwie od dobrej chwili wiedział, że to ją zastanie w salonie.

•Czy przeszkadza ci, że weszłam do domu? -Nie.

•Wciąż wydaje mi się, że on w jakiejś mierze należy do mnie. Keith czuł się trochę tak, jakby to był sen, i usiłował przypomnieć

sobie, w którym momencie zasnął.

— Jesteś sam? — zapytała.

-Tak.

•Wydawało mi się, że rozmawiasz z kimś w kuchni, więc siedziałam tutaj cicho jak myszka.

•Jestem sam. Mówiłem do siebie. Gdzie masz samochód?

•W stodole.

•Dobry pomysł. Gdzie jest pan Baxter?

—Na zebraniu rady miejskiej.

-A ty?

•U ciotki Louise.

•Rozumiem... Czy słyszałaś, co mówiłem?

•Tylko ton. Zły jesteś na coś?

•Nie, tylko dyskutuję sam ze sobą.

•Kto wygrywa?

•Anioł.

•Ale wyglądasz na zakłopotanego.

•To dlatego, że wygrywa anioł. Uśmiechnęła się.

—No cóż, też się zastanawiałam, czy tutaj przyjdę. To nie jest przy
padkowe spotkanie na ulicy.

-Nie. Podniosła list.

•Był do mnie, więc...

•W porządku, zaoszczędziłem na znaczku. Podniosła się i ruszyła w jego stronę.

— Chcę, żebyś wiedział, że rozumiem. Masz rację. Nie możemy... Czy
pamiętasz ten wiersz, który oboje tak lubiliśmy? „Chociaż nic nie wróci
tych chwil, gdy trawa była najzieleńsza, kwiaty najpiękniejsze, nie przy
wdziewajmy szat żałobnych, lecz z pamięci czerpmy siłę”. — Po chwili
dodała: — Chyba już wtedy czuliśmy, że gwiazdy staną na drodze naszej
miłości i już wtedy czerpaliśmy z wiersza pociechę... — Zawahała się,
a potem pocałowała go w policzek. — Do widzenia, Kochany. — Minęła
go i wyszła na korytarz.

Słyszał, jak wchodzi do kuchni, słyszał, jak otwiera drzwi, a potem zamyka za sobą. Bądź silny, bądź szlachetny,
bądź odważny. Ale nie bądź kompletnym idiotą. Ruszył biegiem do kuchni, wypadł na dwór z krzykiem:

—Poczekaj!

Odwróciła się.

•Nie, Keith. Proszę. Masz rację. To się nie uda. Nie możemy... to zbyt skomplikowane... Nie oszukujmy się...

•Posłuchaj... musimy... powinniśmy zrozumieć... muszę wiedzieć, co się stało... to znaczy... — Nie mógł znaleźć
słów, wreszcie powiedział: — Annie, nie możemy jeszcze raz po prostu odejść od siebie.

Odetchnęła głęboko.

•Nie mogę tu stać. To znaczy na dworze.

•Wejdz. Proszę.

Zastanawiała się chwilę, a potem wróciła do kuchni.

—Czy możesz trochę zostać? — zapytał.

— Tak, mogę... Wreszcie napijemy się razem kawy. Gdzie masz
dzbanek?

•Nie chcę kawy. Muszę się napić czegoś mocniejszego. — Zapalił lampkę nad zlewem, podszedł do kredensu i
wyjął butelkę szkockiej. — Napijesz się?

•Nie i ty też nie powinieneś.

•Masz rację. — Odstawił butelkę. — Czuję się niepewnie.

•Ty? To ja słyszę bicie własnego serca i kolana mi drżą.

•Mnie też. To może byśmy usiedli. -Nie.

•Posłuchaj... Wiem, ile ryzykowałeś, przychodząc tutaj...

•Ryzykowałam podwójnie, Keith. Po pierwsze, mogłam być śledzona, a po drugie, narażałam się, że złamiesz mi
serce. Nie, przepraszam, nie mogę cię obwiniać.

•Nie, porozmawiajmy. Cieszę się, że przyszedłeś. Cieszę się... to zbyt słabo powiedziane. Posłuchaj, napisałem ten
list...

•Nie tłumacz. Rozumiem. Naprawdę.

Stali, patrząc na siebie z przeciwnych kątów kuchni, wreszcie odezwał się Keith:

—Nie tak to sobie wyobrażałem.

-A jak?

Zawahał się, ale podszedł i ją objął.

-Tak.

Przytulili się i pocałowali, a on przypomniał sobie, jak to jest trzymać ją w ramionach, jej ciało przy swoim ciele, przypomniał sobie jej zapach i smak.

Odsunęła się, a potem ukryła twarz w jego ramieniu. Nagle zrozumiał, że ona płacze, dygotała. Nie mogła się uspokoić, a on nie miał pojęcia, co powinien zrobić, więc tylko ją tulił.

Wreszcie wyciągnęła chusteczkę z kieszeni dżinsów, wytarła oczy, nos i roześmiała się.

•O Boże... spójrz na mnie. — Jeszcze raz wytarła nos, spojrzała mu w oczy. — No... — Odchrząknęła. — No więc, panie Landry, cieszę się, że znowu się spotkaliśmy. Czy odprowadzi mnie pan do samochodu?

•Nie odchodź.

•Muszę.

•Czy będzie dzwonił do domu twojej ciotki po spotkaniu w radzie? -Tak.

•I co ona powie?

•Że jadę do domu. Powiedziałam Cliffowi, że telefon w samochodzie nie działa. A ciotka po jego telefonie zadzwoni tutaj.

•Wie, gdzie jesteś?

•Tak. Proszę, zadzwoń do niej, że już pojechałam do domu.

•Dlaczego nie możemy poczekać na jej telefon?

•Bo chcę już wyjść.

•Dlaczego?

•Bo... możemy porozmawiać kiedy indziej... Musimy porozmawiać, ale nie chcę, żeby cokolwiek wydarzyło się dzisiaj wieczoru.

Uśmiechnął się.

•To samo powiedziałaś mi tego wieczoru, kiedy straciłaś dziewictwo. Miałaś wtedy szesnaście lat.

•Ale tym razem mówię poważnie. — Roześmiała się na przekór swoim słowom. — Boże, wspieraj mnie. Trudno mi się od ciebie oderwać.

Przytulili się znowu i pocałowali. Oparła policzek na jego piersi.

—Po prostu trzymaj mnie tak — poprosiła.

Trzymał i gładził jej włosy.

— Zamierzałam pójść do twojej sypialni, to by dopiero była niespodzianka.

Nie odpowiedział.

•Ale potem pomyślałam: a jeśli przyprowadzi kogoś do domu? Jeśli kogoś tu ma?

•Nie mam tu nikogo, odkąd wróciłem.

•Z tego, co słyszałam, nie z braku chętnych.

•Ja nic takiego nie słyszałem, zajmuję się swoimi sprawami.

•To dobrze. Ale nie musisz... to znaczy masz pełne prawo... To głupie, przecież to nie moja sprawa...

•Annie, liczysz się tylko ty.

Przytuliła się mocniej, a potem wspięła na palce i zaczęła całować go w policzki, usta, czoło.

•Chyba nie potrafię za dobrze ukrywać uczuć — powiedziała. — Należy być bardziej skrytym. Jak powinnam to rozegrać, Keith?

•Tym razem spróbujmy szczeroci.

•Dobrze. Kocham cię. Zawsze cię kochałam.

•Ja też cię kocham i zawsze kochałem. Dlatego wróciłem. Nie umiem o tobie zapomnieć.

•Przeklinam dzień, kiedy pozwoliłam ci odejść.

•Nie pozwoliłaś, sam odszedłem. Powinienem być poprosić cię o rękę. — Spojrzał jej w oczy. — Co byś odpowiedziała?

•Powiedziałabym „nie”.

•Dlaczego?

•Bo chciałeś odejść. Byłeś znudzony, Keith. Widziałeś, jak twoi przyjaciele idą na wojnę, bez przerwy oglądałeś wiadomości z Wietnamu. Widziałam to. I pragnęłaś innych kobiet.

-Nie.

•Keith.

•No... Od chęci do czynu daleka droga.

•Wiem, a ty byś mnie nigdy nie oszukał. Należała ci się jakaś seksualna przygoda w życiu. Na Boga, Keith, poza nami każdy to robił z każdym.

•Co do ciebie, nie jestem taki pewien — próbował zażartować.

- Chcesz, żebym była całkowicie szczerą? — Uśmiechnęła się. — Też chciałam spróbować z innym. Oboje chcieliśmy, ale będąc razem, nie potrafiliśmy, zbyt dobrze rozumieliśmy się nawzajem. Byliśmy dwójką prostych dzieciaków, oszalałych z miłości, zbikowanych na punkcie seksu i czuliśmy się winni z tego powodu. A jeszcze bardziej dlatego, że pragnęliśmy więcej seksu i więcej partnerów. W pewien sposób to było silniejsze niż małżeństwo.
- Chyba masz rację. — Uśmiechnął się. — A więc pożądałaś innych mężczyzn?
- Czasami. Czyja się czerwienię?
 - Trochę. — Przez chwilę się zastanawiał. — Co powinniśmy byli zrobić?
 - Nie mogliśmy nic zrobić. Świat zrobił to za nas. Dla nas.
 - Pewnie tak. Ale dlaczego nie zesłiśmy się znowu?
 - Ty nie potrafiłeś zaakceptować, że był drugi mężczyzna.
 - Nie, nie potrafiłem. A ty?
 - Kobiety są inne. Ja tylko chciałam, żebyś przestał o nich myśleć.
 - No cóż, przestałem.
 - Ja też. Nigdy nie miałam romansu.
 - Gdybyś nawet miała, toby mnie nie zabolalo. Należał ci się.
 - Nie, posłuchaj. Jestem beznadziejnie staroświecka. Ale dla ciebie, panie Landry, zrobię wyjątek.
 - No... niczego bardziej w tej chwili nie pragnę. Ale... musimy zrozumieć, jakie konsekwencje...
 - Keith, nic mnie nie obchodzi konsekwencje. Zrobiliśmy porządek z przeszłością, a to ona nam przeszkadzała. Kochajmy się teraz i niech diabli biorą przyszłość.

Poprowadził ją w stronę schodów, serce mu biło jak młot, bał się, że zadzwoni telefon i jednocześnie, że nie zadzwoni.

Gdyby ktoś zapytał go później, jak znaleźli się w sypialni, nie potrafiłby powiedzieć, ale właśnie tam się znaleźli, przy zapalonym świetle. Pomyślał, że Annie wygląda na zdenerwowaną, zapytał więc:

- Chcesz się czegoś napić?
 - Nie, chcę to zrobić z jasną głową. — Rozejrzała się po pokoju. — Raz robiliśmy to tutaj, kiedy twoja rodzina wyjechała gdzieś z wizytą.
 - Tak. Udawałem, że jestem chory, i zostałem w domu.

Wydawało się, że go wcale nie słucha; rozglądała się dookoła, potem zajrzała do jednej z szaf, akurat otwartej. Zobaczyła to, co i on dobrze widział: pas z kaburą, kamizelkę kuloodporną, szablę, mundury, M-16. Spojrzała na niego, ale rzuciła tylko:

- Widzę, że umiesz utrzymać porządek.
- Jestem schludnym starym kawalerem.

Stali niepewni, wpatrzeni w siebie, daremnie szukając odpowiednich słów.

— No cóż, zrobię pierwszy krok — powiedziała, ściągając przez głowę sweter. Rzuciła go na bok, potem odpięła biustonosz, który zsunął się i spadł na podłogę. — Tak lepiej? — Keith położył ręce na jej piersiach. Zaczął je gładzić i poczuł, jak sutki twardnieją pod jego dotykiem. Rozpięła mu koszulę i przesunęła dłońmi po jego piersi. — Nic się nie zmieniło, Keith.

-Nic.

Przytuliła się do niego całym ciałem, całowali się, podczas gdy ona zdejmowała mu koszulę. Nadal się całowali, kiedy rozpinała swoje dzinsy i zsuwała je razem z bielizną. Poprowadziła jego dłoń pomiędzy swoje uda. Sięgnął głębiej i poczuł wilgoć.

Odsunęła się, usiadła na łóżku, ściągnęła buty, skarpetki, spodnie. Teraz, już całkiem naga, spojrzała na niego z uśmiechem:

— Czy to się dzieje naprawdę?

- Mój Boże, Annie. Ależ ty jesteś piękna. Zerwała się nagle i zarzuciła mu ręce na szyję.
- Kocham cię.

Podniósł ją i położył na pościeli. Pochylił się nad nią i zaczął całować jej piersi i brzuch, potem ukląkł i całował wnętrze jej ud, które rozchylił.

Podniósł się powoli, rozpiął pasek i spodnie.

Leżała, oddychając ciężko, i patrzyła, jak się rozbiera. Nie spuszczała z niego wzroku, a kiedy zbliżył się do niej, wyciągnęła dłonie. Siadła na niej okrakiem i pocałował ją w policzek.

— Dobrze? — zapytał.

Przytaknęła.

Położył się na niej, a ona poprowadziła go w siebie. Całowali się delikatnie, przytulając się i pieszcząc, poruszając się powoli, jakby do nich należał cały czas świata.

Leżeli jak dwie łyżeczki w pudełku, ona oplatała Keitha rękami i nogami. Pocałowała go w kark.

- Spisz?
- Nie, marzę.
- Ja też. — Przytuliła się mocniej, pocierając stopą o jego nogę.
- Lubię to.
- Wiem.

Odwrócił się do niej, nadal leżeli spleceni.

— Gdybyś wiedział, ile razy fantazjowałam na ten temat...

- Nie więcej niż ja.
- Naprawdę? -Tak.
- Mówiłam ci, że nigdy nie miałam romansu. Nawet przelotnego.
- To nie ma znaczenia.
- Dla mnie ma. Ty jesteś kimś nadzwyczajnym.
- Rozumiem.

— Nie mówię tego, żebyś myślał, że musisz się ze mną ożenić. Już jestem mężatką. Chcę ci tylko uświadomić, że jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. I jeśli po dzisiejszym wieczorze nic się już nie wydarzy, zrozumieć to. Ale tego zawsze pragnęłam. Kochać się z tobą raz jeszcze.

— Myślisz tak naprawdę?

-Nie.

Roześmiał się.

Przeczesała dłońią jego włosy.

— Powiedz mi... Wiem, że były jakieś kobiety, ale czy była ta jedna?

— Nic takiego, o czym bym pisał rodzinie. — Zastanawiał się przez chwilę i dodał: — Naprawdę. Nie potrafiłem zapomnieć o tobie, więc nie mogłem... chodzi mi o to, że nie było powodu, żeby się żenić.

Przez dłuższy czas nie odpowiadała.

- Może gdybym nie miała dzieci — rzekła wreszcie — stanęłabym pewnego dnia na twoim progu.
- Bywałam w takich miejscach, które nawet nie miały progów. To nie byłoby dla nas dobre życie.
- Tego nigdy się nie dowiem. Czasami ci zazdrościłam, czasami myślałam, że już nie żyjesz...

— A czasami życzyłaś mi, żebym nie żył.

Zastanowiła się nad tym.

- Nie. Byłam zła, ale modliłam się, żebyś był bezpieczny. Chociaż zdarzały się momenty, kiedy sobie życzyłam śmierci.
- Przebac.
- Teraz już w porządku. Jednak przez dwadzieścia lat sypiałam z mężczyzną, którego nie kochałam. To grzech. Ale już nie będę grzeszyć.
- Nie chciał o to pytać, lecz czuł, że musi.
- Annie, dlaczego z nim zostałaś?
 - Sama co dzień zadaję sobie to pytanie. Chyba ze względu na dzieci... rodzinę... społeczność...
- Chodzi ci o to, że gdybyś złożyła pozew rozwodowy...?
- Musiałabym wyjechać. On zareagowałby...
- ...gwałtownie?
 - Nie wiem. Miałam nadzieję, że umrze. Że ktoś go zabije. To okropne, sama siebie nienawidzę za takie myśli.
- Teraz już nie musisz czekać, aż ktoś go zabije.
- Nie odpowiedziała, więc pomyślała, że rozważy dwuznaczność tych słów.
- Możesz po prostu go porzucić — dodał.
 - Tak zrobię. — Nie prosiła go o pomoc ani o żadne zapewnienia, wyznała tylko: — Może podświadomie czekałam na ciebie. Zawsze wiedziałam, że wrócisz. Ale nic od ciebie nie chcę, żadnych obietnic, że się mną zajmiesz, ani żadnych deklaracji, że zajmiesz się nim. Chcę to zrobić sama. Teraz, kiedy moja córka jest w college'u, mogę odejść.
- Przecież wiesz, że zamierzam ci pomóc, więc...
- Keith, on jest niebezpieczny.
- Mocny w gębie.

Oparła się na łokciu i spojrzała na niego.

— Gdyby coś ci się stało, to przysięgam, że się zabiję. Obiecay mi, że nie staniesz przeciwko niemu.

Zadzwoił telefon.

- To ciotka — powiedziała Annie. Keith sięgnął po słuchawkę.

•Halo.

•Wydawało mi się, że widzę światła w twoim domu. Jak się tam dostałeś?

•Kto mówi?

•Ward. Po prostu sprawdzam. Zabrałeś się stamtąd?

•Pewnie, dość miałem zabawy jak na jeden wieczór.

•Ja nie. Nie miałem szczęścia.

•Nie jestem tu po to, żeby cię uszczęśliwić.

Annie pochyliła się i przyłożyła ucho do słuchawki. Keith odwrócił się od niej i powiedział do mikrofonu:

•Nie dzwoń więcej. — Odłożył słuchawkę.

•Kto to był? — zapytała.

•Sprzedawca samochodów.

Spojrzała na niego i już miała coś powiedzieć, kiedy telefon zadzwonił ponownie.

-Tak?

Odezwwał się kobiecy głos o staroświeckim środkowozachodnim zaśpiewie:

•Pan Landry?

•Słucham?

•Nazywam się Sinclair, jestem ciotką Annie Baxter. Annie mówiła, że może wpadnie do pana na chwilę w drodze do domu.

Keith uśmiechnął się, słysząc napięcie w głosie starszej pani.

— Nie była tu nawet minuty, pani Sinclair. Nawet nie wysiadła z samochodu. Przez piętnaście sekund wymienialiśmy uwagi na temat cen...

Keith poczuł, że Annie szczypie go w ramię, usłyszał jej śmiech i szept: „Przestań”.

•...a potem odjechała do domu — dokończył.

•Właśnie myślałam, że już powinna być w drodze do domu, i to powiedziałam panu Baxterowi, kiedy dzwonił do mnie. Powiedziałam, że już niedługo powinna się tam zjawić.

•Z pewnością niebawem będzie, pani Sinclair.

•Miło było z panem porozmawiać, panie Landry. Proszę na siebie uważać.

•Dziękuję, pani Sinclair, że zadzwoniła pani do mnie.

Annie przetoczyła się na Keitha i przytknęła swój nos do jego nosa.

•Jesteś naprawdę zabawny.

•Twoja ciotka też. Czy ona wie, o co chodzi?

•Co nieco. Będę jej musiała przywieźć następnym razem wino z mniszka. — Roześmiała się, pocałowała go i wstała z łóżka. — Muszę iść.

Przemaszerowała naga przez pokój. Po chwili Keith usłyszał szum wody w łazience.

Wstał, ubrał się, wcisnął pod koszulę glocka. Wysła z łazienki. Zebrała ubranie i rzuciła je na łóżko.

•Nie chce mi się ubierać — powiedziała. — Chcę być naga przez całą noc, przez cały tydzień.

•Uważam, że to doskonały pomysł.

Zapięła stanik, potem wciągnęła przez głowę sweter, usiadła na łóżku i włożyła spodnie i skarpetki.

•Nadal ubierasz się od góry do dołu.

•To inni tak nie robią? — Podciągnęła dzinsy, wreszcie wsunęła buty na stopy. Podniosła się. — No dobrze. Odprowadzisz mnie na dół?

•Tak postępują dzentelmeni.

Zeszli ze schodów, trzymając się za ręce. Bezustannie zerkała na niego, wreszcie nie wytrzymała:

•Czy wierzysz, że to się dzieje naprawdę?

•Z trudem.

•Czuję się tak, jakbym znowu miała szesnaście lat. Nie miałam takiej frajdy od... no, od naszego ostatniego razu.

•Miło, że to mówisz.

•Tak czuję. Serce mi ciągle wali, nogi mam jak z waty.

•Twarz masz zarumienioną, oczy ci błyszczą. Uważaj, kiedy wrócisz do domu.

•Och. — Przyłożyła dłonie do policzków. — Dobrze, będę uważać. Boże, czy ty myślisz...

•Odtwórz w myślach cały wieczór spędzony z ciotką Louise. Zanim wrócisz do domu, wszystko będzie dobrze.

Parsknęła śmiechem.

— A co będzie, jeśli nasienie popłynie mi po nogach?

Keith uśmiechnął się. Przypomnił sobie, że jedną z tych rzeczy, które u niej lubił, było to, że niekiedy w zupełnie nieoczekiwanych momentach robiła się sprośna. Kiedy podeszli do drzwi kuchennych, zapytała:

•Keith, co my zrobimy?

•Powiedz, a ja wykonam.

- Kochasz mnie?
- Wiesz, że tak. Uśmiechnęła się.
- Do zobaczenia. Zadzwoń. Złapał ją za rękę.
-Nie.
- Muszę iść.
- Wiem. Ale... ludzie twojego męża czasami obserwują mój dom.
- Och...
— Nie widzieli, że przyjechałaś, bo wcześniej nie było ich tutaj, a jeśli nawet byli, to pojechali za mną. Teraz pojedę pierwszy. Jeżeli są, ruszą za mną. Oczekaj dziesięć minut, dopiero potem jedź.
Stała przez chwilę jak wryta.
- To okropne — rzekła wreszcie. Spojrzała na niego. — Keith, tak mi przykro. Nie mogę cię w to wciągać...
- To nie twoja wina, tylko jego. Ja potrafię sobie z tym poradzić, ale czy ty potrafisz?
- Dla ciebie, tak. — Skinęła głową.
- Dobrze. Teraz, pamiętaj: byłaś u ciotki Louise przez cały wieczór. Trzymaj się tej wersji, żeby nie wiem co. Czym jeździsz?
- Lincolnem continentalem. Białym.
- Dziesięć minut.
- Uważaj, Keith.
Wyszedł, wszedł do blazera, pomachał jej i ruszył ku szosie. Skręcił w stronę miasta, jechał parę mil, aż dotarł do skrzyżowania. Zatrzymał się.
Nie widział żadnych świateł za sobą, więc jechał dalej, dopóki nie zobaczył na wpół rozwalonej bramy. Zatrzymał się, zgasił światła, wycofał wóz na polną drogę i schował go za stertę drewna.
Wysiadł i przyglądał się drodze. Po jakichś pięciu minutach zobaczył światła samochodu nadjeżdżającego z dużą prędkością od strony jego farmy. Ukląkł za jakimś krzakiem i czekał.
Samochód śmignął przed nim, ale zdołał rozpoznać kształt białego lincolna continentala. Oczekał jeszcze dziesięć minut, potem wszedł do blazera i wrócił do domu.
Nie był do końca pewien, czy Annie jest bezpieczna, ale jeśli Baxter zacznie ją wypytywać, a ona uprze się przy swojej wersji, wszystko dobrze się skończy.
Ogarnęło go niepokojące uczucie, że cała sytuacja zaczyna mu sprawiać przyjemność. I co z tego? Dobra robota zawsze daje frajdę.
Nie miał wątpliwości, że i Annie bawi intryga, w jaką się wplątała, przynajmniej do pewnego stopnia. Zawsze tak było, kiedy wynajdywali miejsce i czas na miłość. Niebezpieczeństwo podniecało ją, było takie romantyczne. Miłość jako owoc z drzewa zakazanego zawsze smakowała lepiej.
Tej nocy ujrzał jednak w jej oczach prawdziwy strach. Była odważna i gotowa ponieść ryzyko. Tyle że tym razem przyłapanie na gorącym uczynku nie groziło wyrzuceniem ze szkoły, lecz śmiercią, a to już nie było zabawne. Wiedział, że szybko musi znaleźć jakieś rozwiązanie.
Myślał o niej. Znowu byli razem. Rozdzieliło ich tyle lat i mil, a mimo wszystkich przeszkód spotkali się w jednej sypialni. Ich ciała i dusze znalazły satysfakcję. Po raz pierwszy od tygodni, a nawet miesięcy, Keith Landry był szczęśliwy i uśmiechał się.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

C

liff Baxter wcześniej przyszedł do biura i od razu wezwał do siebie Kevina Warda.

- No i co się działo u Świętego Jakuba wczoraj wieczór? Oficer Ward odchrząknął.
- No... zebrała się tam kupa ludzi.
- Tak mówisz? Spisaliście numery?
- No... trochę...
- Trochę? Co ty mi tutaj pieprzysz?

- Szefie... tam... był ten facet... Landry.... -I?
- No... on tam był...
- To żadna niespodzianka.
- Tak, ale trochę nam dał popalić.
- O czym ty gadasz?

Ward jeszcze raz odchrząknął i zrelacjonował zajścia poprzedniego dnia, starając się przedstawić policję w jak najlepszym świetle.

Baxter słuchał relacji w milczeniu, ale najwyraźniej nie był zachwycony. Wreszcie, kiedy funkcjonariusz zakończył raport, warknął:

- Chcesz mi powiedzieć, że przepłoszyli was jeden facet i stary klecha?
- No... oni... Przecież byliśmy na terenie należącym do kościoła. Gdyby to był tylko Landry, dobralibyśmy mu się do tyłka...
- Zamknij się. Dobra, dawaj mi te numery, które udało wam się spisać, zanim was wykurzyli.
- Już się robi, szefie.
- I dupa w troki. Jedziemy do tego Landry'ego.
- Tak jest. — Ward podniósł się i ruszył w stronę drzwi.
 - A następnym razem, jak zlecę ci robotę i nie zostanie wykonana, może zastanowisz się, czy wrócić do przerzucania gnoju razem z ojcem.

Ward zawahał się.

•Szefie — powiedział — poszłoby łatwiej, gdyby pan był z nami. Przecież to, co robiliśmy, nie jest legalne...

- Wynocha stąd!

Ward wyszedł.

Cliff Baxter siedział przy biurku i przez chwilę wpatrywał się w ścianę. Rozumiał, że sprawy wymykają mu się z rąk. Przeniósł wzrok na fotografię Annie stojącą na biurku.

—Dziwka — rzucił.

Patrząc na nią, wspominał wczorajszy wieczór. Wróciła do domu po nim, czekał na nią w kuchni. Nie rozmawiali za wiele, a ona poszła prosto do łóżka, twierdząc, że boli ją głowa. Sprawdził telefon w jej samochodzie. Nie odbierała przez cały dzień, a jednak wyglądało na to, że wszystko działa. Ale nigdy nic nie wiadomo z tymi fikuśnymi urządzeniami. Z drugiej strony... dziwnie się zachowywała i chętnie by ją trochę przycisnął. Lecz najpierw coś sprawdzi. Lepiej zadawać pytania, kiedy się zna już odpowiedzi.

Gdzieś w umyśle Baxtera kołatała myśl, że Annie jest od niego sprytniejsza. Ale spryciarze, co odkrył już dawno, czasami przeceniają swój rozum, są zbyt pewni siebie i myślą, że gówno, które wciskają innym, nie śmierdzi. Pokiwał głową i powiedział:

—Ciotka Louise. Już dawno jej nie widziałem.

Cliff Baxter popatrzył na zegarek. Była siódma rano. Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer.

Odezwał się zaspany głos Tima Hodge'a, poczmistrza Spencerville:

- Halo...
- Cześć, Tim, czyżbym cię obudził?
- Tak... kto mówi?
- Rusz dupą, poczta czeka.
- A... to ty, Cliff. Co słyhać?
- Ty mi powiedz.
 - Więc... — Tim Hodge odchrząknął. — No cóż... poszedłem wczoraj na to spotkanie u Świętego Jakuba.
- No, myślę. I co się działo?
- No... więc... oni... tego... Przyszło sporo ludzi...
- To wiem. Czy padło moje nazwisko?
 - Tak... Owszem, padło. Prawdę mówiąc, niejedną raz.
- Baxter skinął głową.
 - Daj spokój, Tim. Jestem człowiekiem zajęтым. Powiedz mi kto, co, gdzie, kiedy i jak.
 - W porządku. No więc, ta kobieta z rady miejskiej, Gail Porter, tak jakby przewodniczyła spotkaniu. Jej mąż też tam był i przyprowadzili... coś jakby świadków.
- Świadków? To co to było, do cholery? Mityng czy proces? Tim Hodge nie odpowiedział od razu, wreszcie wykrztusił:
 - No, było tam trochę ludzi, którzy... no, skarżyli się na ciebie.
 - Na przykład kto?
 - Żona Boba Arlesa, Mary, i jakaś kobieta o imieniu Sherry... o jakimś dziwnym nazwisku.
- Kolarik?
- Właśnie. Szlag!
- Co powiedziała?

- Która?
- Obie. Co te dziwki powiedziały?
 - No... Mary mówiła, że zabierasz produkty ze sklepu, a za to podpisujesz, że wzięłaś więcej benzyny...
- Pieprzyć ją. Co nagadała ta druga?
 - No... coś o... powiedziała, że ty... że ty i ona... że ty masz z nią... Jezu Chryste!
 - Chodzi ci o to, że ta dziwka przed wszystkimi ludźmi w kościele nakłamała... Co właściwie powiedziała?
 - Że ją pieprzysz. Że pieprzysz się z nią już od jakiegoś czasu. Że zapłaciła jej bilety parkingowe i żeby ci to spłacić, musi się z tobą pieprzyć. — Po chwili Hodge dodał: — Opowiedziała o tym dość szczegółowo.
- Kłamliwa dziwka.
- Jasne.
- Czy ludzie w to uwierzyli?
- No... nie wiem.
 - Posłuchaj, może byś wpadł po południu na kawę? Opowiesz mi dokładnie, co widziałeś i słyszałeś ubiegłej nocy. Bądź około trzeciej. A tymczasem trzymaj buzię na kłódkę i miej oczy szeroko otwarte.
- Dobra.

Baxter odłożył słuchawkę i zapatrzył się przez okno na główną ulicę.

— A niech to! — Walnął pięścią w biurko. — Pieprzone dziwki, czło-
wiek nie może im ufać za grosz.

Zastanawiał się, jak rewelacje ogłoszone poprzedniego wieczoru mogą wpłynąć na jego pozycję, ale uznał, że uda mu się utrzymać miasto pod kontrolą. Sherry Kolarik była kurwą, a więc najgorszym rodzajem świadka. Mary Arles to inny problem, ale jej mąż zakłaj-struje żonusi tę szeroką japę raz-dwa. Baxter zastanawiał się, co jeszcze mogło wyjść w czasie mitingu. Położył przed sobą kartkę papieru i zaczął układać listę. Na pierwszym miejscu wypisał Keit-ha Landry'ego, pod nim znalazła się Sherry Kolarik, następnie Mary Arles, Gail Porter, jej mąż — imienia nie mógł sobie przypomnieć. Przez chwilę wahał się, ale dopisał: pastor Wilkes. Jeszcze chwilę się zastanawiał i dołożył Boba Arlesa. Annie wpisał również, ona zawsze zajmowała honorowe miejsce wśród ludzi, którzy go wkurzali.

Nalał sobie z termosu kawy i siedział, popijając. Sprawy najwyraźniej wymykały mu się spod kontroli. To nie był po prostu pechowy tydzień. Jeśli szybko nie da kopa, komu trzeba, może to być początek pecha permanentnego.

Podniósł się i przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie funkcjonariusz Ward wprowadzał listę numerów rejestracyjnych do komputera, żeby otrzymać wydruk z nazwiskami właścicieli samochodów.

— Wyłącz to pieprzone urządzenie — polecił Baxter.

Ward wyszedł z programu.

 - Czy masz dla mnie raport na temat Keitha Landry'ego i tego, co wczoraj porabiał?- Jasne. — Ward wręczył mu zapisaną maczkiem kartkę.
 - Krug widział, jak opuszcza dom o siódmej trzydzieści wieczorem, a potem ty i Krug widzieliście go na parkingu przy Świętym Jakubie o ósmej trzydzieści pięć.

— Zgadza się. Mityng ciągle jeszcze trwał, ale Landry wyszedł wcześniej.
- A co się działo potem?
 - No więc Landry poszedł na plebanię z pastorem Wilkesem. Pojechałem do jego farmy i czekałem na szosie dwadzieścia osiem kilkaset jardów od podjazdu do domu, ale nikogo nie widziałem. Potem zauważyłem, że na piętrze zapaliło się światło, więc zadzwoniłem do niego z samochodu. Odebrał. Nie wiem, jak się dostał do domu, chyba przyjechał od południa drogą dla traktorów. Musiał mieć pietra, widocznie się domyślił, że będziemy na niego czekać. Wszystko to ma pan w raporcie.

Baxter zerknął na trzymany w ręce papier.

— Zadzwoniłeś do niego o dziesiątej trzydzieści, a on odebrał telefon?

-Tak.
- Więc mógł być w domu od godziny.
 - Mógł. Zależy, jak długo został z Wilkesem i gdzie potem pojechał. Tak jak mówiłem, wrócił do domu okrężną drogą. Przestraszył się.
 - Tak. Naprawdę musieliście go przerazić. Czy widziałeś, żeby jakiś inny samochód podjeżdżał na jego farmę?

-Nie.
- Po telefonie zostałeś tam jeszcze jakiś czas?
 - Nie, wyglądało, że wrócił już na dobre. Ale jakąś godzinę później przejeżdżałem tamtędy i na górze wciąż się świeciło. O czym pan myśli, szefie?
- O niczym. Jadę na śniadanie do „Zaparkuj i posil się”.
- Dobra.

Cliff Baxter wyszedł z komendy. Ruszył piechotą na wschód, do „Zaparkuj i posil się” wkroczył o siódmej trzydzieści.

Usiadł przy tym samym stoliku co zwykle. Podeszła do niego starsza kelnerka o imieniu Lanie.

- Jak się pan czuje dziś rano, szefie?
- Dobrze.
- Kawy?
- Jasne.

Nalała mu z dzbanka.

- Chce pan spojrzeć do karty? — zapytała.
 - Nie. Szynek, dwa jajka nie bardzo ścięte, frytki, za grzanki i sok dziękuję.
- Już podaję. — Odwróciła się.
- Gdzie Sherry? — zatrzymał ją Baxter.
- Dzwoniła, że nie najlepiej się czuje.
- Tak? Mój przyjaciel widział ją wczoraj wieczorem.
- Może zabawa była zbyt dobra. — Lanie uśmiechnęła się.
 - Nie. Widział ją w kościele. U Świętego Jakuba, przy drodze do Overton. — Baxter przyglądał się uważnie kelnerce, ale chyba nic nie wiedziała.
- Zaraz przyniosę jajka.
 - Dobrze. Posłuchaj, gdyby przyszła albo dzwoniła, powiedz, że jej szukam. Musimy pogadać o biletach parkingowych.

Uśmiech znikł z twarzy Lanie, ale skinęła głową.

Cliff zjadł śniadanie. Prawie każdy, kto wchodził, witał się z nim z daleka. Baxter starał się ocenić, do kogo doszły wieści, mimo tak wczesnej godziny.

Jeden z radnych miejskich, Chet Coleman, aptekarz, przysiadł się do niego i bez wstępów zapytał:

- Słyszałeś o spotkaniu u Świętego Jakuba?
- Słyszałem.
- Kiedy myśmy obradowali, ci ludzie obrzucali nas błotem.
- Żartujesz?
- Nie podobało mi się to, co słyszałem.
- Skąd się dowiedziałeś?
- No... od przyjaciela, który tam był.
 - Tak? A ten przyjaciel wpadł do ciebie po spotkaniu, żeby ci o nim powiedzieć, czy wstąpił dziś rano?
- No... dziś rano...
 - Tak? A czy ten przyjaciel nie nazywa się przypadkiem pani Coleman?

Chet Coleman nie odpowiedział, nie było potrzeby.

— Wiesz co, Chet — powiedział Baxter. — Cały ten kraj wymyka się spod kontroli. A wiesz dlaczego? Przez kobitki. Jeśli facet nie potrafi utrzymać swojej baby, to co dopiero kraju.

• No... było tam też sporo mężczyzn, a z tego, co słyszałem...

- Pozwól, że udzielę ci pewnej rady, panie radny. Jeśli twoja żona wybierze zły kierunek, nie pomoże ci to ani w listopadowych wyborach, ani w twojej pracy.

Baxter wstał, rzucił parę dolarów na stół i wyszedł. Była już ósma czterdzieści pięć, na ulicy panował ruch, co prawda nie taki jak dwadzieścia lat temu o tej porze, ale wystarczający, by Baxter poczuł się jak pan czy wręcz jak książkę, który wstąpił między swoich poddanych i bada panujące nastroje. Większość ludzi wyglądała równie uległe jak zawsze, ale od czasu do czasu trafiał się ktoś, kto odwracał wzrok albo dziwnie na niego spoglądał.

Cliff Baxter witał się z niektórymi, wymieniał uściski dłoni, żartował ze sklepikarzami, przykładał palce do kapelusza, kłaniając się kobietom, a nawet pomógł starszej pani Graham przejść przez jezdnię.

Zatrzymał się przed budynkiem posterunku i witał przechodniów, zwracając się do większości po imieniu. Z Oliverem Grebbsem, szefem banku, żartował, że ten sprzeniewierza pieniądze, by utrzymać kochankę. Obaj wiedzieli, że sprzeniewierzenie to żart, ale kochanka — nie.

Przeniósł wzrok na drugą stronę ulicy, na budynek sądu. Urzędnicy miejscy szli przez park do pracy. Wiedział, że niedługo, może jutro, a może nawet dzisiaj, będzie się musiał spotkać z burmistrzem.

Cliff Baxter nie zastanawiał się, skąd wieje wiatr tego ranka, ale czuł pierwsze podmuchy z północy, na początku delikatne, prawie niezauważalne. Człowiek dopiero po chwili uświadamia sobie, że nie są to już ciepłe podmuchy ze wschodu. Prawdę mówiąc, było prawie bezwietrznie, tylko nieliczni zorientowali się, że wiatr zmienił kierunek.

Szef policji Baxter odwrócił się i wkroczył do swej siedziby. Sierżant dyżurny Blake powitał go z wymuszoną nonszalancją.

— Wyjeżdżamy o dziesiątej — zwrócił się Baxter do Warda. Wszedł do swego pokoju i zamknął drzwi. Podeszedł do okna i patrzył na główną ulicę, na park, na sąd — to był jego świat. Człowiek mniejszego formatu,

powiedział sobie, byłby przestraszony. Ale on ma jaja. Co ma wisieć, nie utonie. A gdyby miał tonąć, pociągnie za sobą wielu ludzi, zaczy nając od tych na przygotowanej dzisiaj liście, a kończąc na wszystkich, których miał w aktach.

Sytuację, w której się znalazł, w jakiś sposób wiązał z przyjazdem Keitha Landry'ego, chociaż wiedział, że ferment zaczął się dużo wcześniej. Jednak gdyby udało mu się pozbyć Landry'ego, przynajmniej jeden problem miałby z głowy. Potem mógłby się zająć Gail Porter, nie wspominając o tej suce Sherry Kolarik, Mary Arles i innych babach, którym się wydawało, że mają większe jaja niż on. A później, jeśli będzie trzeba, zabierze się do mężczyzn. Nie musi nikogo zabijać, wystarczy, że popędzi im kota, aż będą półżywi ze strachu — a jeśli w taki sposób przestraszysz kogoś dwukrotnie, będzie na sto procent przerażony na śmierć.

Keith obudził się o siódmej rano i od razu pomyślał o Annie. Teraz sprawy się nieco ułożyły: kochali się i wiedzieli, że się kochają. Nie zamierzał już nigdzie wyjeżdżać. Chciał zostać i ułożyć sobie z nią życie, siadywać wspólnie z nią na ganku i patrzeć na zachody słońca.

Ale wiedział, że nie zostanie, jeśli wciąż tu będzie Cliff Baxter. Annie nie marzyła już o śmierci swego męża, dostrzegła inne rozwiązanie. Ale tym innym rozwiązaniem była ucieczka, a Keith nie chciał uciekać.

Leżał i wpatrywał się w sufit. Dopiero po chwili zrozumiał, że wdycha delikatny zapach pozostawiony przez nią na pościeli.

To był ciepły dzień i Keith pracował przy szopie bez koszuli. Zastanawiał się, kiedy i jak będą się mogli spotkać i znowu kochać. Uświadomił sobie, że mógłby w kilka dni zorganizować ich wyjazd; zostawiliby wszystkie zmartwienia i obawy za sobą. W niecały tydzień mogliby się znaleźć w Paryżu. Nie wiedział, czy Annie ma paszport. Ale to nie był problem. Mógł go dla niej zdobyć w niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Potem, za jakiś rok, przyjechałby do Spencerville sam, a jeśli Baxter pozostawałby wciąż na scenie, udałoby im się pewnie załatwić sprawę bezkrwawo. A potem wróciliby z Annie jako mąż i żona.

— Dobre rozwiązanie.

Chyba kwadrans po dziesiątej usłyszał chrzęst zwiru; jakiś samochód wjeżdżał bramą wjazdową. Był to niebiesko-biały wóz policyjny ze złotym emblematem szefa policji.

Kierowca zobaczył go, samochód skręcił i jechał prosto na niego. Zatrzymał się o jakieś trzydzieści kroków. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn. Otworzyły się drzwiczki od strony pasażera, z samochodu wysiadł krzepki mężczyzna w ciemnych okularach i kowbojskim kapeluszu i ruszył ku niemu.

Keith wyszedł mu naprzeciw, pewny, że to Cliff Baxter. Zatrzymali się o kilka kroków od siebie i przyglądali sobie nawzajem. Wzrok Keitha przesunął się na samochód — kierowca też wysiadł. To był funkcjonariusz Ward; stał oparty o maskę.

Wrócił spojrzeniem do Baxtera. Rozpoznał go po prawie trzydziestu latach i stwierdził, że mimo potężnego kałduna wciąż jest przystojny i wciąż tak samo arogancki jak kiedyś.

Keith przyglądał się jego twarzy, ale ciemne okulary i cień szerokiego ronda kapelusza nie bardzo sprzyjały ocenie nastroju gościa. Czy

Baxter wie cokolwiek na temat ostatniej nocy? Keith uświadomił sobie, że boi się o Annie.

•Już myślałem, że nie przyjedziesz — powiedział. Usta Baxtera drgnęły, nie odpowiedział, tylko nadal wpatrywał się w niego przez okulary. Wreszcie wycedził:

•Nie lubię cię.

•To dobrze.

•Nigdy cię nie lubiłem.

•Wiem. — Keith ponad ramieniem Baxtera spojrzał na Warda, który przysiadł na masce i uśmiechał się.

•I nigdy nie będę — dodał Baxter.

•To bardzo niegrzecznie mówić do kogoś, nie zdejmując ciemnych okularów.

•Pieprz się.

•Hola, panie władzo, naruszasz pan własność prywatną, chyba że istnieje jakiś oficjalny powód pańskiej wizyty.

Cliff Baxter obejrzał się przez ramię na Warda, potem podszedł do Keitha i powiedział:

•Ty pieprzony dupku.

•Wynoś się z mojej ziemi.

•Dlaczego tutaj przyjechałeś?

•Tu jest mój dom.

•Akurat. Nie przynależysz tutaj.

•Sześć pokoleń mojej rodziny leży tu pochowanych. Nie mów mi, że tu nie przynależę.

•Ty spoczniesz w tej ziemi szybciej, niż się spodziewasz. Keith zrobił krok do przodu. Stali teraz twarzą w twarz.

•Grozisz mi?

- Spierdalaj albo cię zabiję. — Baxter położył dłoń na kaburze, a Keith zobaczył kątem oka, jak Ward ześlizguje się z maski i sięga po pistolet. Zrobił głęboki wdech i cofnął się o krok.
- Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. — Baxter się uśmiechnął. Keith wziął się w garść.
- Mów, co masz do powiedzenia, i spadaj, Cliff.
Baxter najwyraźniej nie był przyzwyczajony, by ktoś się zwracał do niego tak bezceremonialnie. Zdjął okulary i przyglądał się Keithowi przez dłuższy czas.
—Dależ popalić moim chłopakom — odezwał się wreszcie.
Keith nie odpowiedział.
- I usiłujesz mi przypieprzyć. Za szkołą. Spotkajmy się za szkołą. Tak to sobie wymyśliłeś?
- Tak. I byłem tam.
— Masz szczęście, że mnie nie było. Leżałbyś teraz u Gibbisa sztywny jak deska, okryty prześcieradłem czerwonym od tego, co masz w żyłach. A ja naplułbym ci w twarz, jeśli w ogóle miałbyś jeszcze potem jakąś twarz.
Keith milczał.
- Moi chłopcy powiedzieli, że się schowałeś za sutannę tego klechy od Świętego Jakuba.
- Nie mieszaj do tego pastora Wilkesa.
•Taa? A to niby czemu? Każdy, kto się wpięprza w drogę moim chłopcom, wpada w gówna po same uszy. Dotyczy to nawet Wszchemogącego.
Keith tylko potrząsnął głową.
- I niby co robiłeś w Baxter Motors? — kontynuował Baxter.
- Rozmawiałem z twoim bratem o samochodzie.
•Taa? I o mojej żonie. Jak nadal będziesz się tu szwendał, rozpytywał o mnie i moją rodzinę, to umrzesz. Zrozumiałeś?
Keith widział, że oczy Baxtera są blisko siebie osadzone, znak, że ma do czynienia z drapieżcą. Kiedy mówił, lekko kołysał głową na boki, jakby wypatrywał ofiary.
Nie potrafił sobie wyobrazić, jak Annie mogła spędzić z tym facetem dwadzieścia lat, ale pewnie istniał też domowy model Cliffa Baxtera. Baxter prawdopodobnie ją kochał, chociaż Annie nigdy o tym nie pisała, pewno uważał się za opiekuńczego i troskliwego, choć większość ludzi uznałaby, że po prostu jest zaborczy.
- Mowę ci odjęło czy jak? — zapytał Baxter. -Nie.
- Założę się, że robisz w gacie. -Nie.
- Nie, tak, nie, tak. Nie masz nic więcej do powiedzenia?
•Owszem, mam. W jaki sposób wybroniłeś się przed powołaniem do wojska? Psychiczny czy kaleka?
- Pieprz się, byłem policjantem. Miałem robotę tutaj.
- Jasne, tak jak kobiety i dzieci, które słały listy i paczki.
- Ty skurwysynu...
•Hej, panie władzo, uważaj, żeby ci się coś nie wypsnęło. Chcesz dowieść, że z ciebie facet z jajami? Wróć do domu i wezmę swój sprzęt albo ty odłóż swój. Możesz wybrać broń. Pistolety, noże, siekiery, pięści. Wszystko mi jedno, jak cię zabiję.
- Baxter wziął głęboki wdech, widać było, że ma ochotę się wycofać. Tyle już zostało powiedziane, a pistolet był tylko jeden, i to Baxter go miał. Niewiele było potrzeba, by pociągnął za spust. Chyba że, pomyślał Keith, Baxter ma inne plany co do Keitha Landry'ego, coś, co wymyślił przez ostatnie kilka tygodni. Baxter nie przyjechał tutaj, żeby go zabić,
więc nie należy mu dawać powodu. Jednak nie mógł się powstrzymać — marzyła mu się dobra bójka.
- To co, idziemy na plac? — powiedział. — Właśnie planowałem drobną przerwę.
- Owszem, wyjdziemy na plac. — Baxter uśmiechnął się. — Tyle tylko że ty nie będziesz wiedział, kiedy się tam znajdziesz.
- Ten sam klasowy bohater, zawsze uderza od tyłu.
•Owszem, a ty ten sam klasowy dupek. Pamiętasz, jak cię potraçałem na korytarzu? Chciałbyś o tym zapomnieć, co? Dotykałem twojej dziewczyny, kiedy tylko mogłem, a ty tylko stałeś i nic. I wiesz co? Podobało jej się. Miała ochotę na mężczyznę, a nie pieprzonego mięczaka. A tak przy okazji, jeśli kiedyś zobaczę, że z nią rozmawiasz, obetnę ci jaja i nakarmię nimi swoje psy. Nie żartuję.
- Keith stał bez ruchu. Po tym oświadczeniu nie było już nic do powiedzenia. Facet wykopie sobie grób własnymi zębami. Baxter nie potrafił się już zatrzymać.
- A jak sobie tu radzisz ze swoim fiutkiem? Niech no cię przyłapię na tym, jak się pieprzysz z inwentarzem! Wsioki zawsze to robią, dlatego się tak boją prawdziwych kobiet. Twój brat wsadzał swojego gęsiom nad stawem, o mało ich nie pozabijał. Pamiętam go. A twoja siostra...
- Przestań. Proszę, przestań.
- Powiedz to jeszcze raz.

- Proszę, przestań. Posłuchaj... Wyjeżdżam za tydzień. Przyjechałem tylko zobaczyć farmę. Nie zamierzam zostać. Nim minie tydzień, mnie tu nie będzie.
 - Tak mówisz? Może nie chcę czekać tak długo? — Baxter przyjrzał mu się uważnie.
 - Potrzebny mi tylko tydzień.
 - Coś ci powiem: daję ci sześć dni. Ale jeśli mnie wcześniej wkurzysz, wytrąsnę z ciebie całe gówno, zrozumiałeś?
 - Tak.
- Baxter już się miał odwrócić, ale w ostatniej chwili zamachnął się i wpakował pięść w brzuch Keitha. Ten zgiął się i opadł na kolana. Baxter podparł czubkiem buta jego brodę i zadarł mu głowę do góry.
- Trzymaj się z daleka od miasta — rzucił.
- Wrócił do samochodu. Keith widział, jak przybijają sobie piątkę z Wardem.
- Wsiadli do samochodu, zawrócili, przejeżdżając przez krzaki malin, potem zachrząścił żwir na podjeździe. Keith podniósł się i patrzył, jak samochód wtacza się na drogę. Uśmiechnął się i powiedział:
- Dziękuję.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Cliff Baxter siedział przy kuchennym stole, krojąc wieprzowinę.

- To cholerne mięso jest spalone.
 - Przykro mi.
 - Ziemniaki są całkiem zimne.
 - Przykro mi.
 - Zapomniałaś, jak się gotuje? -Nie.
 - Nic dziwnego, że nie jesz.
 - Nie mam apetytu.
 - Choćby się miało apetyt, i tak nie nadaje się to do jedzenia.
 - Przykro mi.
 - I dziękuję, że proponujesz mi coś w zamian.
 - Na co miałbyś ochotę?
 - Pójdę coś zjeść na mieście.
 - Dobrze.
- Odłożył nóż i widelec i spojrzał na nią.
- Coś cię dręczy? -Nie.
 - Jesteś taka małowówna.
 - Boli mnie głowa.
 - Szkoda, bo mam na ciebie ochotę. Annie zeszywniała.
 - Skończył ci się okres?
 - Nie... niezupełnie.

— Ale dziękuję ci nie krwawią, prawda? — Łyknął piwa, nie spuszczać z niej wzroku. Po chwili powiedział: — Wpadłem dziś do twojej ciotki Louise.

Poczuła, jak jej się ściska żołądek. Cliff odstawił puszkę piwa.

- Ta kobieta to dopiero potrafi gotować. Co podała wczoraj na kolację?
 - Ja... ja nie jadłam u niej kolacji.
 - Naprawdę? Mnie powiedziała coś zupełnie innego, kochanie.
 - Ciotka Louise robi się ostatnio strasznie roztargniona. — Annie popatrzyła mu prosto w oczy. — Na kolacji byłam u niej tydzień temu. Wczoraj wpadłam tylko z wizytą.
 - Tak mówisz? Roztargnienie to chyba cecha rodzinna. Od wczorajszego wieczoru chodzisz jak nieobecna.
 - Niespecjalnie się czuję.
 - Co ci jest?
 - Nie wiem... Może po prostu tęsknię za dziećmi. Pomyślałam, że może pojedę je odwiedzić w przyszłym tygodniu.
 - Nie potrzebują ustawicznego matkowania. Jeśli mają ochotę nas zobaczyć, mogą przyjechać na weekend.
 - Chciałabym się upewnić, czy Wendy się zadowoliła. Pierwszy raz znalazła się daleko od domu i...
 - Wiesz, nie podoba mi się to miasto. Nie lubię Bowling Green. Myślę, że pojedę i zabiorę ją stamtąd.
 - Nie!
- Coś w jej głosie go zaskoczyło. Nachylił się ku niej.

- A niby czemu nie?
- Jej się tam podoba.
 - Coś takiego? Podobają się jej te pieprzone koedukacyjne akademiki. Czy jak ty tam byłaś, też mieliście takie?
 - Nie.
- Co, do kurwy nędzy, usiłują zrobić? Zachęcić do pieprzenia?
- Cliff... świat się zmienia...
 - Nie tutaj. To jest chrześcijański dom i chrześcijańska wspólnota. Kobieta nie żyje pod jednym dachem z mężczyzną, dopóki nie są małżeństwem.
 - Ufam, że będzie postępowała zgodnie z tym, czego nauczyła się w kościele... i kierując się naszym przykładem — powiedziała Annie i pomyślała: niech Bóg jej dopomoże.
 Cliff przyglądał się żonie przez chwilę, a potem zauważył:
 - Tak, coś ci chodzi po głowie.
 - Właśnie ci powiedziałam, co mnie niepokoi. Pracujesz dzisiaj w nocy?
 - Może. A skoro już rozmawiamy o uczelni, to twój przyjaciel wrócił do miasta.
 Wstała, by nalać sobie mrożonej herbaty. Kiedy wyjmowała dzbanek z lodówki, ręka jej się trzęsła.
 - Wiesz, o kim mówię? — Cliff wstał również i położył dłoń na drzwiach lodówki, zanim zdążyła je zamknąć.
 - Nie.
 - Mam ochotę na jeszcze jedno piwo. — Wyjął puszkę. — Naprawdę nie wiesz, o kim mówię?
 Podjęła decyzję.
 - A, masz pewnie na myśli Keitha Landry'ego.
 - Doskonale wiesz, kogo mam na myśli.
 - Słyszałam, że wrócił.
 - Pewnie, że słyszałaś. Pewnie. I czego jeszcze się dowiedziałaś?
 - Niczego. Masz ochotę na deser?
 - Nie miałem obiadu. Dlaczego miałbym chcieć deser?
 - Czy wybierasz się gdzieś na obiad?
 - Moja pani, nie zagaduj mnie. Słuchaj, co do ciebie mówię.
 - Słucham, Cliff. Keith Landry wrócił do miasta. Więc co z tego? Coś jeszcze?
 - To jest właśnie pytanie.
 - O co ci chodzi?
 - Jezu Chryste, kobieto! Naprawdę umiesz wkurzyć faceta.
 - Co mam powiedzieć, Cliff? Wrócił do miasta. Słyszałam o tym i ty również słyszałeś. Dlaczego jesteś na mnie wściekły?
 Popatrzyli na siebie. Oboje doskonale wiedzieli, dlaczego Cliff Baxter jest wściekły.
 - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wrócił? — zapytał.
 - Nie przyszło mi do głowy, że mam ci o tym mówić.
 - Cholerna baba.
 - Nie mów do mnie w ten sposób. — Narastający w niej gniew zaczął górować nad strachem. Podniosła głos: — Nie powinieś mówić do mnie w ten sposób. Wychodzę. — Gwałtownie postawiła szklankę w zlewie i odwróciła się do drzwi.
 Złapał ją za ramiona, obrócił i trzymał.
 - Nigdzie nie idziesz.
 - Przestań! Przestań! Puść mnie!
 Opuścił ręce i zrobił krok do tyłu.
 - W porządku... Przepraszam. No już, uspokój się. Usiądź. Chcę tyłko z tobą porozmawiać.
 Nie ufała mu ani trochę, ale — choć niechętnie — usiadła. Postawił swoje krzesło naprzeciwko i bawił się puszką po piwie. Wreszcie powiedział:
 - No... przecież wiesz, jaki jestem. Czasami zżera mnie zazdrość. Twój dawny chłopak wrócił do miasta, na dodatek jest kawalerem, zacząłem sobie coś wyobrazać. Chyba jesteś szczęśliwa, że tak mi na tobie zależy.
 Przyszło jej na myśl parę kąśliwych odpowiedzi, z których każda dotknęłaby go do żywego.
 - Rozumiem. Ale nie chcę o tym rozmawiać, bo nie ma o czym.
 - Ale widzisz, że mnie to gnębi.
 - Nie powinno.
 - Dlaczego nie? Facet, który pieprzył moją żonę, mieszka w sąsiedztwie, a mnie ma to nie obchodzić?

- Cliff, posłuchaj. Cokolwiek powiem, będziesz wściekły. Jeśli powiem, że nie dbam o to, że mieszka w sąsiedztwie, rozżościsz się; kiedy powiem, że mnie to obchodzi, ty...

Baxter huknął pięścią w stół, aż naczynia podskoczyły, Annie również.

— Różnął się z tym facetem przez sześć pieprzonych lat. I masz tylko do powiedzenia, że jego powrót do miasta nie powinien mnie wkurzać. A gdyby któraś z moich dawnych panienek tu się sprowadziła? Czy to by ci się podobało?

Miała ochotę przypomnieć mu, że czasami pokazywał jej swoje byłe i żywiła dla nich jedynie współczucie.

- Myślę, że by mi przeszkadzało.
- Cholerna racja!
- Proszę, nie krzycz. Wiem, że jesteś zły, ale...
 - Postuchaj, pamiętasz Cindy North? Różnąłem ją przez rok, zanim się zacząłem z tobą spotykać. A gdyby wprowadziła się teraz do sąsiedniego domu i okazałoby się, że jest wolna? Chybaby cię to wkurzało.
- Oczywiście.
- Widzisz. A ja mam nie być wkurzony?
 - Tego nie powiedziałam. Tylko żebyś się nie wściekał na mnie. Ja nic nie zrobiłam.
- Ale może masz ochotę.
- Cliff, daj spokój.
- Pamiętasz, jak ci było z nim miło, prawda?

—Nic już nie pamiętam. To się skończyło dwadzieścia lat temu.

Wyglądał na wręcz zdziwionego, że minęło tyle lat.

— Ale kiedy usłyszałaś, że wrócił — nie ustępował — zaczęłaś wspo minać harce na sianie. Gdzie się pieprzyliście? Po stodołach? Czy może w twoim samochodzie?

Wstała, ale on złapał ją za pasek i zmusił, żeby na powrót usiadła.

Annie bała się, ale nie o siebie. Wiedziała, że da sobie z nim radę. Lecz skoro Cliff się tak nakręcił, musiała ostrzec Keitha. Odetchnęła głęboko.

— Cliff, kochanie, wiem, że jesteś zły, ale dla mnie jesteś jedynym mężczyzną na świecie.

To go trochę uspokoiło, chociaż nie do końca.

- Lepiej, żeby tak było.
 - Jest. Wiem, że mnie kochasz, i dlatego jesteś wzburzony. To mi bardzo pochlebia. — Wiedziała, że powinna przestać, kiedy jest górą, ale nie mogła się powstrzymać, by mu nie przyłożyć. — Naprawdę nie chcę, żebyś myślał o tym, co ja i Keith robiliśmy razem przez te sześć lat. Spojrzał na nią, ale się nie odezwał.
 - Byliśmy młodzi — dodała — po prostu dzieciaki. I robiliśmy tylko to, co robili wtedy wszyscy wokół nas. Powinieneś być szczęśliwy, że robiłam to tylko z nim, a nie...

•Zamknij się!

•Przepraszam.

•Zamknij się.

Spuściła głowę i wpatrując się w talerz, starała się z całych sił powstrzymać uśmiech.

•Nie chcę, żebyś rozmawiała z nim ani o nim.

•Nie będę.

•Dzwonił do ciebie?

•Dlaczego miałby...? — Potrząsnęła głową.

•Ty próbowałaś się do niego dodzwonić?

•Ależ skąd.

•Ach tak? Więc nie rozmawialiście ze sobą.

Jeszcze raz podjęła decyzję, podniosła się i stanęła za jego krzesłem.

—Cliff nie mogę cię okłamywać... Spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy. Byłam z Charlene Helms, starszą panią Whitney i z żoną pastora Schenka, Marge. Właśnie wyszłam z poczty i wpadłam na niego. W pierwszej chwili go nie poznałam i kiedy się odezwał, nie wiedziałam nawet, że to on. Wiesz, jak to jest, kiedy ludzie sądzą, że ich znasz, i zaczynają do ciebie mówić. A potem zdałam sobie sprawę, z kim rozmawiam, więc powiedziałam tylko: „Życzę miłego dnia, panie Landry”. I poszłam dalej z dziewczynami. — Położyła dłoń na jego ramionach i chociaż nie widziała twarzy, czuła, jak jego mięśnie się napinają. — Zupełnie mi to wyleciało potem z głowy, Cliff— ciągnęła — ale kiedy sobie

przypomniałam, że powinnam ci o tym powiedzieć, akurat cię nie było. Wiedziałam, że możesz się gniewać, lecz chciałam ci wspomnieć o tym przypadkowym spotkaniu. Ale pewnie też trochę się bałam, więc może podświadomie starałam się o tym zapomnieć. Pomyślałam, że tylko wpadł tu z wizytą i po sprawie. Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Nigdy już nie będę z nim rozmawiać. Przysięgam.

Siedział nieporuszony.

— Nawet nie będziesz mogła.

Na chwilę zamarło jej serce. Ścisnęło ją w gardle. Wreszcie pojęła, że powinna się odezwać i że nie może zadać najważniejszego pytania.

• Nie będę.

• Nie będziesz. Wykurzyłem tego skurwiela z miasta.

• Och...

Podniósł się, stanął twarzą do niej i uśmiechnął się.

— Wpadłem do niego dziś rano. Dziwi cię to?

-Nie.

• Kazałem mu stąd spieprzać. Powiedział, że za tydzień już go tu nie będzie.

• Za tydzień?

• Tak, to pieprzony mięczak, gdybyś chciała wiedzieć.

• Nie dbam o to.

• Błagał mnie, żebym pozwolił mu zostać jeszcze trochę. Dałem mu sześć dni. Przywalilem mu w bebechy, złożył się jak szczyryk. Szkoda, że tego nie widziałaś. Powiedziałem mu parę nieprzyjemnych rzeczy. Nawet się nie bronił.

Do diabła, zaproponowałem głupkowi, że odłożę pistolet i odznakę, jeśli chce się bić, ale był tak przerażony, że mało nie zlał się w gacie. Jak mogłaś spotykać się z takim gnojkiem!

Annie zagryzła wargi, by ukryć ich drżenie, ale nie potrafiła powstrzymać łez.

• Co ty, płaczesz?

• Nie... — Otarła twarz. — Jest mi po prostu przykro... że musiałeś to zrobić.

• Przykro? O co ci, do licha, chodzi? Jesteś wściekła na mnie? -Nie.

• Jezu Chryste, nie rozumiem cię. Płaczesz, bo mu przyłożyłem?

• Nie. Kobiety się martwią, kiedy ich mężczyźni robią coś niebezpiecznego.

• Niebezpiecznego? Ten pieprzony głupek nie jest niebezpieczny... chociaż pewnie mógłby być. Kiedy tam jechałem, nie wiedziałem, co mnie czeka. Ale wiedziałem, że muszę to z nim załatwić jak mężczyzna z mężczyzną.

• Proszę, obiecaj mi, że już więcej tam nie pojedziesz.

— Nie pojedę. Wyślę kogoś innego.

Uszczypnął ją w policzek.

• Nie martw się. Facet musiał stracić jaja w Wietnamie. Szczęście, że nie wyszłaś za niego.

• Nigdy mnie o to nie prosił.

• A co mnie to obchodzi?

• Posprzątam. — Sięgnęła po talerz stojący na stole.

• Później. Idź na górę. Kiedy przyjdę, masz być gotowa.

— Cliff..

-Tak?

Chciała mu powiedzieć: „Zeszłej nocy byłam w łóżku z Keithem Landrym i nie chcę ciebie”. To pragnienie było silniejsze od pragnienia wbicia mu noża w serce.

-Cliff... ja...

— Co? Boli cię głowa? Nie jesteś w nastroju? Masz okres? Co tym razem?

-Nic.

Wyszła z kuchni na korytarz. Chciała wybiec z domu, ale wiedziała, że nie ucieknie daleko. Czują w sobie wzbierający krzyk, pragnienie, by pobiec na górę i przeciąć sobie żyły, spuścić lampę na jego głowę, kiedy wejdzie do pokoju, podpalić dom, cokolwiek, byle nie iść z nim do łóżka.

Złapała za poręcz przy schodach i próbowała zebrać myśli. Mogła jedynie udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wychodziło jej to całkiem niezłe w rozmowie, ale w łóżku nie potrafiła udawać. Nie zauważał tego ani nie dbał o to, póki ulegała. Ale tym razem nie była zdolna nawet do tego. Wróciła do kuchni.

Siedział przy stole i dopijał piwo, czytając gazetę. Podniósł na nią wzrok.

-Co?

• Napiłabym się czegoś.

• Tak? — Roześmiał się. — Dlaczego? Nie możesz się ze mną pieprzyć na trzeźwo?

• Czasami alkohol poprawia mi nastrój.

•W takim razie pij, i to jak najwięcej. Niebiosy widzą, że już od dłuższego czasu nie jesteś w dobrym nastroju.

Podeszła do kredensu, wyjęła butelkę brzoskwińówki, szklanekę i ruszyła znowu do drzwi.

— Przygotuj się na takie rzeczy — Cliff spojrzął na nią znad gazety — których już jakiś czas nie robiłaś, kochanie.

Przeszła przez korytarz, powlokła się po schodach do sypialni. Napelniła szklanekę wódką, zamknęła oczy i wypła do dna. Łzy stanęły jej w oczach. Nalała sobie drugą szklanekę, wypła pół, usiadła na łóżku i zapłakała.

Ledwie pamiętała, że ściągnęła z siebie ubranie, ale widziała, jak wchodził do pokoju. Z tego, co wydarzyło się potem, nie pamiętała nic.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W

sobotę rano telefon rozdzwonił się dwadzieścia po ósmej. Keith robił właśnie w kuchni kawę. Podniósł słuchawkę.

- Halo.
- Keith, muszę z tobą porozmawiać. Zgasił gaz pod wodą.
- Czy z tobą wszystko w porządku?
- Tak. Dzwonię z budki w mieście. Możemy się gdzieś spotkać?
- Oczywiście. Gdzie?
- Może na rynku. Dziś nie powinno tam być nikogo.
 - To nie dla nas. Posłuchaj, pamiętasz jeziorko na południe od mojej farmy?
- Tam gdzie jeździliśmy na łyżwach?
 - Tak. Weź chleb czy coś takiego i przyjedź nakarmić kaczki. Będę tam za dwadzieścia minut. Czy wszystko w porządku?
- Tak. Nie. Weź broń. Widziałam, że masz.
- W porządku. Czy teraz nic ci nie grozi?
 - Nie. Przepraszam. Tylko się martwię o ciebie. Cliff stał się podejrzliwy...
 - Za dwadzieścia minut. Gdyby cię śledzili — dodał — jakby nigdy nie jedź nakarmić kaczki, tylko zostaw otwarte drzwi samochodu. Zrozumiałaś?
- Tak.
- Nie denerwuj się.

Odłożył słuchawkę, poszedł na górę i otworzył szafę. Znalazł lornetkę, potem włożył jeden magazynek do kieszeni. Drugi załadował do M-16. Zszedł na dół, na podwórko i ruszył na farmę Jenkinsów. Pięć minut później klacz była osiodłana. Klepnął ją i wyjechał przez otwartą bramę, przeciął szosę i znalazł się w lesie. Pozwolił, by koń sam wybierał drogę do płytkiego strumienia, dopiero tu skierował zwierzę ku jeziorku.

Sto jardów od miejsca, gdzie strumień wypływał z lasu, ściągnął wodze, zeskoczył i przywiązał klacz do młodego drzewka.

Szedł dalej brzegiem strumienia, zatrzymał się dopiero w cieniu drzew na skraju lasu. Na trawiastym zboczu nad jeziorkiem nie dostrzegł żadnego samochodu.

Jedyną prowadzącą tu drogi nie było stąd widać, bo biegła po przeciwnej stronie wzgórza — od czasu do czasu widział czubek przejeżdżającej ciężarówki.

Spojrzał na zegarek. Za kwadrans dziewiąta. Zastanawiał się, co wydarzyło się między ich ostatnim spotkaniem, dwie noce temu, a tą chwilą.

Po kilku minutach zobaczył przód samochodu wspinającego się po zboczu, a potem zjeżdżającego w jego stronę. Ale nie był to lincoln, lecz ford fairlane. Takich fordów, z pewnością kupowanych w Baxter Motors, używała policja Spencerville, zarówno jako wozów oznakowanych, jak i nieoznakowanych.

Ten samochód nie miał żadnych emblematów policyjnych. Zatrzymał się w miejscu, gdzie kończyła się trawa, a zaczynał piaszczysty brzeg. Keith podniósł lornetkę do oczu. Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i wysiadła Annie. Była w czerwonej spódnicy i białej bluzce. Przez moment stała przy otwartych drzwiach, rozglądając się, potem

je zatrzasnęła.

Podeszła do brzegu z bułką w rękach. Keith przyglądał się jej. Myślni była najwyraźniej gdzie indziej. Zdjęła z bułki celofan, a potem odrywała kawałek po kawałku i wrzucała je do wody. Kilkanaście kaczek i gęsi podpłynęło do chleba. Annie co kilka sekund oglądała się za siebie.

Keith odczekał parę minut, wyszedł spomiędzy drzew i pomachał do niej.

Zobaczyła go, odrzuciła bułkę i brzegiem pobiegła mu naprzeciw.

Była wzburzona, ale nie przestraszona. Uśmiechała się, przebiegając ostatnie jardy, i wręcz wskoczyła mu w ramiona.

—Cześć, panie Landry. — Objęła go rękami i nogami.

Pocałowali się. Ześlizgnęła się na ziemię i ujęła go za ręce.

•Dobrze cię widzieć — powiedziała i zajrzała do lufy karabinu zwisającego mu przez ramię. — Może jednak to nie jest potrzebne.

•Wybrałem się na lisy. Przejdźmy się po lesie.

Szli ramię w ramię brzegiem jeziora; Annie co chwila oglądała się za siebie.

— Nie wydaje mi się, żeby ktoś za mną jechał. Zawiozłam lincolna dziś rano do Baxter Motors, powiedziałam, że coś mi stuka w silniku. Pożyczyli mi fairlane'a. Tego cholernego lincolna widać na pół mili, myślę, że dlatego właśnie Cliff mi go dał.

Keith uśmiechnął się.

— Może jednak miałaś jakieś romanse.

—O nie, proszę pana, co oczywiście nie znaczy, że nie myślałam o nich.

•Ciotka się wygadała?

•Coś w tym stylu. Ale to nie jej wina. Cliff pojechał do niej i powiedziała mu, że jadłam z nią kolację, a potem zapytał mnie, co było na tę kolację.

•Diabeł tkwi w szczegółach.

•Nie jestem najlepsza w kłamaniu, a on się robi podejrzliwy. Właściwie zawsze był podejrzliwy, tyle że tym razem ma rację. — Weszli między drzewa, teraz szli brzegiem strumienia. Było tu chłodniej niż w słońcu, a drzewa — przeważnie brzozy i wierzby — zaczęły właśnie zmieniać kolory. Keith zawsze lubił jesień na wsi, drzewa odziane w łunę, czas polowań i zbiorów. Nigdzie na świecie nie widział czegoś podobnego i może dlatego, gdy myślał o powrocie do domu, robił to jesienią.

•To twój koń? — Annie klepnęła go w ramię.

•Pożyczony. Od Jenkinsów, tych, co mieszkają po drugiej stronie drogi.

•A więc tak tu dotarłeś. Czy wciąż jeżdżą za tobą?

•Nie chciało mi się dzisiaj sprawdzać.

•Nie możesz złożyć skargi czy coś w tym stylu?

•Bawi mnie ich zainteresowanie.

•Mnie nie. — Annie podeszła do klaczy i poklepała ją. — Miłe zwierzę. Kiedyś jeździliśmy konno, pamiętasz?

•Pamiętam. Nadal jeździsz?

—Nie. Ale chciałabym. — Ściągnęła buty i rajstopy, potem odwiązała wodze i poprowadziła kobyłę, by napiła się ze strumienia. — Była spragniona.

Keith zdjął z ramienia karabin i położył go obok lornetki na zwałonym drzewie. Usiadł i przyglądał się Annie.

•Nakarmiona? — zapytała.

•Dałem jej siana o siódmej. Tylko mnie nikt jeszcze nie nakarmił.

•Kawalerzy są beznadziejni. — Roześmiała się. — Jeśli przesuniesz takiemu talerz kilka cali na bok, umrze z głodu.

Kto dbał o ciebie przez te wszystkie lata?

•Wuj Sam i ciotka armia.

Patrzyła na niego, prowadząc klacz z powrotem na brzeg i przywiązując wodze do drzewa.

—Czy miałeś dobre życie, Keith?

-Tak.

•Ja też, mimo tego małżeństwa. Nauczyłam się doceniać inne rzeczy.

•Zawsze potrafiłaś widzieć dobre strony każdej sytuacji. To ja wypatrywałem chmur.

•Nie zawsze. Udajesz większego cynika, niż jesteś.

•Za dobrze mnie znasz.

•Wystarczająco dobrze. — Na bosaka podeszła do niego i położyła się na zwałonym pniu, kładąc mu stopy na kolanach. — Są zimne — poskarżyła się.

Wytań jej stopy chusteczką, a potem roztań je dłońmi.

•To przyjemne.

- Jak stoimy z czasem?
- Kogo to obchodzi?
- Nas.
 - Aha, stoimy całkiem nieźle. Ja robię właśnie sobotnie zakupy. A on pojechał na ryby nad Jezioro Szare, z kumplami. Mamy tam domek myśliwski. Nie wróci do domu przed zmrokiem.
- Jesteś pewna?
 - Jedynie, co sprawia mu więcej radości niż dręczenie mnie, to polowanie i łowienie ryb w męskim towarzystwie. — Zastanowiła się i dodała: — Boże, jak ja nienawidzę tego domku i miejsca. Ale cieszę się, że on je lubi. Przynajmniej tam jest daleko ode mnie... i możemy być razem.
- Jeździsz tam z nim?
 - Czasem. Kilka razy wybraliśmy się sami, bez dzieci i w ogóle bez towarzystwa. Był wtedy innym człowiekiem. Niekoniecznie lepszym i właściwie nie gorszym... Po prostu innym... spokojnym, odległym, jakby... nie wiem... zatopionym w myślach. Nie lubię jeździć tam z nim sama i zazwyczaj się od tego wymiguję. —Dobrze, teraz mi powiedz, co się stało.
 - Zamknęła oczy, a on masował jej stopy.
 - No cóż, mieliśmy małą scenę wczoraj przy kolacji. Zaczęło się od tego, że jedzenie było przypalone. — Roześmiała się. — Zrobiłam to specjalnie.
- Milutko się z tobą żyje.
 - Pozostawię to bez komentarza. W każdym razie chciał mnie przyłapać na kłamstwie w związku z wizytą u ciotki Louise, potem przeszliśmy na temat Wendy mieszkającej w koedukacyjnym akademiku, a potem na temat Keitha Landry'ego, faceta, który, cytując: „rznął się ze mną przez sześć lat, a teraz mieszka w pieprzonym sąsiedztwie", potem znowu chciał mnie przyłapać na kłamstwie, pytając, czy cię widziałam. Uznałam, że już o tym wie, więc powiedziałam mu, że spotkałam cię przypadkiem.
- Rozsądnie. — Keith kiwnął głową.
 - Niespecjalnie poprawiło mu to humor. Jest wściekły i podejrzewa nas o najgorsze, to właśnie chciałam ci powiedzieć. Ale przypuszczam, że już sam wiesz. Mówił, że był u ciebie wczoraj. — Zdjęła nogi z jego kolan i usiadła obok na pniu. Ujęła go za rękę. — Przykro mi, że naraziłam cię na to.
 - Annie, kiedy wsiałem w Waszyngtonie do samochodu, żeby tutaj przyjechać, wiedziałem, gdzie i po co jadę.
- Ale nie znałeś całej sytuacji.
- Interesowało mnie tylko, co ty czujesz.
- Keith, przecież wiedziałeś. Musiałeś wiedzieć, co czuję.
 - Listy od ciebie mogła czytać bez rumieńca zarówno twoja, jak i moja ciotka. — Uśmiechnął się.
- Listy ode mnie! To ty podpisywałeś się: z uszanowaniem.
- Tak. — Po chwili dodał: — To znaczyło: z miłością.
 - Przez chwilę siedzieli, przysłuchując się szmerowi strumienia, rzeniu konia, szelestom liści i ćwierkaniu ptaków.
 - Rozumiałeś, że wciąż cię kocham i nadal na ciebie czekam, prawda? - odezwała się wreszcie.
- Rozumiałem. Ale mogłem nigdy nie wrócić.
 - Zawsze wiedziałam, że wrócisz. — Podniosła gałązkę i pisała nią po ziemi. — Ale gdybyś nie wrócił, nikt nie zająłby twojego miejsca.
- Otarła oczy i wciąż wpatrując się w ziemię, wzięła głęboki oddech.
- O Boże... Myślałam, że cię zabili, myślałam, że się ożeniłeś. Myślałam, że przestałeś mnie kochać.
 - Nie.
- Ale dlaczego czekałeś? Dlaczego?
 - Nie wiem... To znaczy, kiedy tylko wyjechałem, oboje byliśmy na coś rozgniewani... Potem, zanim pojechałem za morze, zdałem sobie sprawę, że mogę zginąć albo stracić rękę czy nogę... czy cokolwiek...
 - Gdybym była twoją żoną, zajęłabym się tobą. Gdybym była wdową po tobie, czciłabym twoją pamięć.
 - No cóż, teraz już nie musisz. Potem, gdy wróciłem... Nie wiem... Nie potrafiliśmy nawiązać kontaktu. A kiedy wyszłaś za mąż, nienawidziłem cię i nienawidziłem siebie. Później po prostu mijały lata, listy raz przychodziły, raz nie przychodziły... Miałaś dzieci, swoje życie... Wyobrażałem sobie ciebie w towarzystwie rodziny i przyjaciół... Nigdy nie pisałaś zbyt wiele o swoim małżeństwie...
- Ty nigdy nie napisałaś ani słowa o swoich uczuciach.
- Pisałem.
- Ani słowa o nas.
 - Ty też nie. Próbowaliśmy... bałem się. Bałem się, że listy przestaną przychodzić.
- Ja też się tego bałam.
- Para idiotów.
 - Znowu wytarła oczy i próbowała się uśmiechnąć.
 - Kiedyś potrafiliśmy rozmawiać o wszystkim, a potem przez dwa
 - dzieci lat nie umieliśmy nawet wymówić: „Kocham cię" czy „Brak mi

ciebie". — Położyła dłoń na jego nodze. — Gdy wyjechałeś, przepłakałam kilka tygodni. Potem zebrałam się w sobie i zatraciłam się w nauce. Nie umawiałam się...

• Nie musisz mi tego mówić. Naprawdę.

• Pozwól mi. I wtedy zaczęłam rozumieć... Zaczęła mnie ogarniać złość na ciebie... A kiedy kobieta jest zła, staje się mściwa.

— Nie wiedziałem o tym.

Uderzyła go pięścią w nogę.

• Słuchaj. Poszłam pogadać z psychoanalitykiem i okazał się bardzo pomocny. Powiedział, że buduję gniew przeciwko tobie, bo tylko w ten sposób potrafię sobie dać radę z tym, że cię mogę utracić. Powiedział, że bardzo cię kocham i powinnam ci to wyznać.

• Nie pamiętam, żebyś mi coś takiego powiedziała.

• Bo nigdy nie dostałeś tego listu. Porwałam go na kawałeczki. Potem napisałam znowu i znowu go porwałam. Robiłam to kilka razy. Wreszcie zrozumiałam, że wciąż jestem na ciebie wściekła. Byłam zraniona, czułam się zdradzona. Wciąż kołatało mi się po głowie zdanie, które gdzieś usłyszałam: mężczyzna, który jest szczęśliwy w domu, nie idzie na wojnę.

• Nawet szczęśliwy mężczyzna może być niespokojny.

• Nie było cię, żeby mi to powiedzieć. A kiedy zadzwoniłeś, miałam wrażenie, że się ode mnie bardzo oddaliłeś...

• Ja też miałem...

• Wiem. Nienawidzę telefonów. Udało mi się jakoś pozbiierać i postanowiłam, że będę się umawiać z facetami. Chcę, żebyś wiedział, Keith, że nigdy żadnego z nich nie kochałam. Nie tak, jak wciąż kocham ciebie. Prawdę mówiąc, wcale ich nie kochałam. — Roześmiała się. — Każdy po kolei mnie porzucał. Wszyscy mieli o to samo pretenzje: „Annie, jesteś taka zimna, egoistyczna, myślisz tylko o sobie”. Tak bardzo się mylili. Ja po prostu kochałam innego mężczyznę.

• Nie musisz mi tego wszystkiego mówić.

• Oczywiście, że muszę. Pojechałam do Europy, żeby stąd uciec, i urzekło mnie piękno starego kontynentu. Bo co ja znałam? Spencer-ville, Bowling Green, Columbus. I za każdym razem, kiedy widziałam coś wspaniałego, myślałam: Keith, spójrz na to. Keith, czyż to nie jest piękne? — Oparła łokcie o jego kolana i ukryła twarz w dłoniach. — Przepraszam... nie płakałam od lat, a teraz bez przerwy płaczę.

• Nie szkodzi.

Wyjęła chusteczkę z kieszeni i wytarła nos.

• No, dobrze... Więc później wróciłam do domu, moja kuzynka wychodziła za mąż, byłam jej drużyną i na przyjęciu spotkałam Cliffa Baxtera.

• Słyszałam o tym od kogoś, kto był na tym weselu. Moja matka też mi napisała, że się z nim zaręczyłaś. Dodała też, że jestem głupcem.

• Twoja matka miała rację. Moja też. Mówiła, że bym za niego nie wychodziła. Zabawne, ale mój ojciec na początku go lubił. Wielu facetów go lubi, kobiet zresztą też. Kobietom podobało się, że co roku kupował nowy samochód. Miał też pewien wdzięk i był przystojny. Nadal co roku zmienia samochód.

• Annie...

• Cicho. Nie znałam się zbyt dobrze na mężczyznach i nie potrafiłam ocenić... Myślałam, że już nigdy nie spotkam drugiego Keitha, Cliff jest przecież chłopakiem z sąsiedztwa, Cliff ma odpowiedzialną pracę, Cliff nie zostanie wezwany do wojska, inni chłopcy z kolei są albo żonaci, albo walczą w Wietnamie, a poza tym Cliff zawsze mnie lubił. Czy potrafisz sobie wyobrazić równie niedojrzałe prowincjonalne myślenie?

• Jasne. Tak przecież właśnie wtedy myśleliśmy, Annie.

• Masz rację. Więc... poprosił mnie o rękę... Uklęknął przede mną, czy możesz w to w ogóle uwierzyć? Schlebiało mi to, nie miałam o sobie najlepszego zdania.

— Annie, powiedz mi, dlaczego za niego wyszłaś — rzekł Keith.
— Podaj prawdziwy powód. Musisz wiedzieć i musisz to powiedzieć

głośno.

Podniosła się, spojrzała na niego z góry i rzuciła:

— Żeby się na tobie odegrać.

On też wstał. Patrzyli na siebie.

— Ty skurwielu, czy wiesz, co mi zrobiłeś? Czy w ogóle masz pojęcie?

Nienawidzę cię. Nienawidzę tego, co ze mną zrobiłeś, w co mnie wrobiłeś, nienawidzę cię za to, co zrobiłam przez ciebie.

— Wiem. Czy teraz czujesz się lepiej?

Przytaknęła.

Wziął ją za rękę, stali na skraju strumienia i patrzyli na wodę.

• Dziękuję — powiedziała. — Teraz mi lepiej.

• Mnie też.

- Już nie czuję do ciebie nienawiści.
- No, może troszeczkę.
- Nie, wcale. Jestem tylko wściekła na siebie.
- Ja też. Ale myślę, że możemy sobie przebaczyć.
 - A ty na pewno nie jesteś już na mnie zły? — zapytała. — Za to, jak cię traktowałam, kiedy poszedłeś do wojska, i za to, że wyszłam za Cliffa?
 - Wiesz, że byłem wściekły. Ale co nieco od tego czasu zrozumiałem. Nigdy nie pisaliśmy do siebie o tym, ale sam akt pisania, samo pozostawanie w kontakcie, był przyznaniem, że oboje popełniliśmy błąd, że oboje żałujemy tego, co się stało. W ten sposób przepraszaliśmy się, wybaczyliśmy i okazywaliśmy miłość, nie mówiąc: przepraszam, wybacz mi, kocham cię. Cieszę się, że postanowiłaś o tym porozmawiać. Cieszę się, że możesz o tym ze mną mówić.
 - Mogę. Jesteś pierwszym mężczyzną, którego nazwałam skurwielem od czasu... no, od czasu gdy ty... pamiętasz, poszedłeś na lunch z tą małą dziwką, jak jej tam było...
- Karen Rider.
- Sukinsyn. — Roześmiała się.

Długo wpatrywali się w wodę, pogrążeni w myślach, wreszcie Annie się odezwała:

 - Tak tu spokojnie. Kiedy dzieci były małe, przyjeżdżałam tu z nimi łowić ryby. Uczyłam je jazdy na łyżwach. Myślę, że polubiłbyś moje dzieci. Są podobne do mnie.
- To dobrze.
- Już właściwie nie są dziećmi, prawda? Są bardzo dorosłe.
 - W takim razie radzą sobie lepiej niż my. My nie chcemy dorosnąć.
- Myśmy dorośli. Chciałabym znowu być nastolatką.
 - Czemu nie? Wybierz sobie jakiś wiek i zostań przy nim. Oto moje nowe motto.

Roześmiała się.
- Dobrze. Dwadzieścia jeden.
- Kochanie, twoje ciało temu nie zaprzeczy.
 - Widzę, że to zauważyłaś. Noszę ubrania w takim samym rozmiarze jak podczas studiów. Jeśli chodzi o wygląd, jestem bardzo próżna. Bardzo płytka.
 - To dobrze. Ja też. A tak przy okazji, tamtego wieczoru świetnie wyglądałaś w dzinsach. Dlaczego jesteś dziś tak elegancko ubrana?
 - Bo... kiedy jadę na miasto, muszę wyglądać wyjściowo. On sobie tego życzy. Nie wolno mi nawet pójść na basen i pokazać się w kostiumie kąpielowym. Gdy przyszedł po mnie na zajęcia aerobiku i zobaczył, co mam na sobie, a zajęcia były koedukacyjne, tak się wściekł, że teraz ćwiczę w domu... Przepraszam. Przykro tego słuchać.
 - A czy wolno ci uprawiać seks z jeźdźcem, którego dopiero co napotkałaś w lesie?
- Tak się składa, że na ten temat najczęściej fantazjuję.
- Dobrze. — Wstał i rozejrzał się. — Twardawo tu.
 - O, trochę wyobraźni, Keith. Tutaj, na tej kłodzie. — Wzięła go za rękę i poprowadziła do zwałonego pnia, na którym siedzieli przedtem. Ściągnęła z niego koszulę i położyła na drzewie. — Usiądź. Nie, wcześniej musisz zdjąć spodnie. Ściągnął buty i dzinsy, a ona tymczasem rozpięła bluzkę i biustonosz. Zdjęła figi, ale została w spódnicy.
 - Na wypadek gdyby ktoś nadszedł. Nie możemy być całkowicie nadszy. Zawsze mogę powiedzieć, że zbierałam grzyby, a ciebie widzę pierwszy raz na oczy.
 - Śluszne rozumowanie. — Usiadł okrakiem na kłodzie, a Annie, opierając się o jego ramiona, przełożyła jedną nogę nad pniem i usiadła mu na kolana. Włożyła rękę pod spódnice, odnalazła go i wsunęła w siebie.
- O... jak dobrze...

Otoczyła go ramionami, a on złapał się za pień, żeby nie stracić równowagi.
- Spadniemy — powiedziała.
 - No i co z tego? — Trzymając go za ramiona, wznosiła się i opadała. — O... to jest... inaczej... A jak jest tobie?
- Cudownie.
- Spadniemy?
- Nie. Utrzymam nas.

Przycisnęła piersi do jego nagiego torsu, poruszając się powoli w górę i w dół, w pewnej chwili przyspieszyła, oddychając głośnie. Nagle zeszytniała, dochodząc do szczytu w tym samym momencie co on.

Całym ciężarem opadła na niego, jej oddech powoli się uspokajał. Po dobrej minucie powiedziała:

 - Czuję się jak dziwka. To wspaniałe. Jak wyplączemy się z tej pozycji?
 - Poczekamy na strażnika leśnego. — Objął ją ramionami i wstał. Zsunęła się na ziemię. Pocałowali się. — To było bardzo miłe.
 - Mnie też się podobało. — Położyła dłoń na jego męskości i oświadczyła: — Musimy się umyć.
- Chcę mieć to na sobie.

- Naprawdę? — Zamoczyła swoje majtki w strumieniu i wytarła nimi najpierw jego, a potem siebie. — No, teraz dobrze.
- Jesteś zabawna.
 - Mam ochotę na zabawę. Kręci mi się w głowie. — Rzuciła majtki w krzaki. — Czuję się, jakbym znowu miała dwadzieścia lat. Nie robiłam tego na dworze od czasu studiów. Następnym razem pójdziemy do stodoły, a potem wylądujemy na tylnym siedzeniu mojego samochodu.
- Może wynajmiemy pokój w motelu.
- To też.
 - Sięgnął po spodnie, ale powstrzymała go:
 - Nie. Zdejmij gatki. Nigdy nie widziałam nagiego faceta w lesie.
- Szkoda, że nie mam aparatu. Skarpetki też zdejmij.
 - Ściągnął z siebie jedno i drugie.
 - Zawstydzasz mnie.
- Obróć się. — Podeszła do niego od tyłu i przesunęła dłońmi po jego plecach i pośladkach, ściskając je lekko dłońmi. — Ależ jesteś muskularny.
- Byłaś w więzieniu czy co? Mogę się już ubrać?
 - Nie, obróć się. — Przeciągnęła dłońmi po jego piersiach i dalej w dół. — Mówiłam ci. Nie potrafię utrzymać swoich dłoni z daleka od... — Spojrzała na jego brzuch. — A to co?
- Blizna.
 - Och... — Zapięła biustonosz i bluzkę. On również się ubrał. Poszła nad brzeg strumienia i usiadła na łacie słonecznego światła, tuż koło wody, opierając się plecami o wierzbę.
 - Keith usiadł obok.
 - Annie wrzucała gałązki do wody i przyglądała się, jak spływają w dół strumienia.
- Co się wydarzyło, kiedy przyjechał do ciebie? — zapytała.
 - No cóż, był dużo bardziej wkurzony, niżby wynikało z sytuacji. Przyszło mi do głowy, że dowiedział się o twojej wizycie u mnie, więc... więc przez chwilę naprawdę się bałem. O ciebie.
- Dziękuję.
 - Był bardzo napastliwy, więc o siebie też się troszkę bałem. Ale potem sobie uświadomiłem, że o niczym nie wie, tylko po prostu jest stuknięty.
- Przyjechał sam?
- Nie. Wziął ze sobą jednego ze swoich ludzi, Warda. Znasz go?
 - Tak, to mój cień. — I dodała: — Cliff sugerował mi, że pojechał do ciebie sam.
 - Wbrew rozsądkowi Keith powiedział:
- Gdyby był sam, już by nie żył. Przez chwilę milczała.
- To tchórz i kłamca — rzekła wreszcie.
- Ale jest też niebezpieczny, Annie. Musisz uważać.
- Nigdy mnie nie uderzył. Wiem, jak sobie z nim dać radę.
 - Wasze dzieci wyjechały, w pracy ma kłopoty, ja zjawiłem się w mieście. Jest na granicy. Wierz mi.
- Skąd wiesz, że ma kłopoty w pracy? — zapytała.
- Byłem na spotkaniu u Świętego Jakuba. Słyszałaś o tym?
 - Tak. Jeśli chodzi o ścisłość, moi rodzice tam byli. Od tego czasu zachowują się dziwnie. Podejrzywałam, że wyszła tam sprawa Clif-fa, ale nikt mi nic nie mówi. Czy ty mi powiesz?
 - Nie.
 - Nie jestem całkiem nieświadoma. Wiem, że się łajdaczy, ale nie wierzę, żeby coś takiego wyszło na publicznym mityngu.
- Jest nagranie z tego spotkania. Pamiętasz Jeffreya Portera?
 - Tak. Od czasu do czasu go spotykam. I jego żonę, Gail. To ta dziewczyna, z którą chodził jeszcze na studiach.
 - Właśnie. Wpadłem do nich powspominać dawne czasy. Ufam im. Jeśli będziesz kiedyś czegoś potrzebowała, a nie uda ci się skontaktować ze mną, jedź do nich. Uprzedzę ich.
 - Keith... nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek o nas wiedział. To zbyt niebezpieczne.
 - Posłuchaj. Wiem, kiedy można komuś zawierzyć życie. To ludzie godni zaufania. Najpierw pojedź i porozmawiaj z nimi i powiesz mi, co o nich myślisz.
- Dobrze... I oni mają nagranie ze spotkania.
 - Mają. Jeffrey zadzwonił do mnie wczoraj. Sprzedają to po pięć dolców i nie mogą sprostać zamówieniom. Ale ty dostaniesz za darmo.
 - Keith, co jest na tej taśmie? Czy będę się czuła zawstydzona, poniżona? A może jedno i drugie?
 - Przykro mi, Annie. Aż za wielu ludzi wystąpiło przeciwko twojemu mężowi. Ale ty nie musisz się czuć ani zawstydzona, ani poniżona. Za to możesz się czuć rozgniewana.
- Prawdę mówiąc, już o to nie dbam.

- Spotkaj się z Porterami. Możemy potrzebować ich pomocy.
- Po co?
- Chodzi o alibi.
- I jak długo będzie nam to potrzebne?
 - To zależy od ciebie, Annie. — Wziął ją za rękę. — Czy jesteś gotowa wyjechać?
 - Czy to jest propozycja matrymonialna, panie Landry? — Spojrzała mu w oczy.
- Owszem, panno Prentis.
- Zgadza się.
 - Objął ją ramionami, potoczyli się po trawie, a kiedy była nad nim, pocałowała go.
- Wreszcie to powiedziałaś.
- Jestem nieśmiały.
 - Naprawdę jesteś. Może stałeś się człowiekiem światowym, ale nadal jesteś nieśmiały.
- Nie mów nikomu.
 - Zmieniłeś się, Keith. Oczywiście, musiałeś się przecież zmienić, ale nadal cię znam.
- A ty nie zmieniłaś się za wiele. I nadal cię lubię.
 - Ułożyła się wygodnie na nim, leżeli jakiś czas nieruchomo. Myślał, że zasnęła, ale nagle zapytała:
- Kiedy?
- Kiedy co?
- Kiedy możemy uciec?
 - Och! A co byś powiedziała na to, żeby po prostu się do mnie przeprowadzić?
 - Zsunęła się z niego i klęcząc obok, patrzyła na niego w skupieniu.
 - Nie możemy, Keith. To nie Waszyngton. Tutaj ludzie nie zmieniają ot tak partnerów. Uciekają. Zawsze tak było i jest. Muszą. Wiesz o tym.
- Wiem. Aleja nie lubię uciekać.
 - Nie ma innego wyjścia. — I dodała: — Pojadę z tobą, gdziekolwiek zechcesz. Ale tutaj nie możemy zostać.
- Dobrze... ale najpierw zamierzam z nim porozmawiać.
- Nie. On się może zachować bardzo gwałtownie. Właśnie tego Keith by sobie życzył.
- Musimy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną, to wszystko. Tym razem wpatrywała się w niego długo.
- Keith, spójrz na mnie — poprosiła wreszcie.
- Tak? — Podparł się i popatrzył jej prosto w oczy.
- Obiecuj mi, że go nie skrzywdzisz.
 - Keith nie odpowiedział. Położyła mu dłonie na ramionach.
 - Wiem, że cię uderzył, i wiem, że nie jesteś typem mężczyzny, który w nieskończoność wybacza. Ale nie musisz wyrównywać rachunków. Zapomnij o tym. Dla mnie.
 - Keith nadal milczał.
- Proszę — powtórzyła. — Niech Bóg i Spencerville rozprawią się z nim. Nie potrzebujemy, żeby coś takiego stanowiło część naszej historii. — Zamilkła na chwilę. — On jest ojcem Toma i Wendy.
- Obiecuję, że go nie zabiję.
 - Żadnej przemocy, Keith. — Patrzyła na niego nieustępliwie. — Proszę. Daruj mu lanie, na które sobie zasłużył. — Ujęła jego twarz w dłonie. — Nic gorszego od tego, co już mu robimy, nie może go spotkać. Zostaw to tak, jak jest.
- Dobrze. Obiecuję.
- Kocham cię. — Pochyliła się i pocałowała go. Podniósł się.
- Pozwól, że cię odprowadzę.
- Chodźmy strumieniem.
 - Dobrze. — Ściągnął buty i skarpetki, zostawił je na brzegu, podwinął dzinsy i przewiesił sobie karabin przez ramię, podczas gdy ona zbierała porzucane rzeczy.
 - Szli strumieniem w stronę stawu, trzymając się za ręce.
 - Potrzebuję tygodnia na uporządkowanie swoich spraw — powie
 - działa. — Czy to za długo?
 - Nie po dwudziestu pięciu latach.
 - Ścisnęła mu dłoń.
- Gdzie pojedziemy?
- Masz paszport?
- Nie, ale mogę o niego wystąpić.
- Z tego urzędu pocztowego nie możesz skorzystać.
- Masz rację. Pojadę do Toledo.
 - Najpierw wybierzemy się do Waszyngtonu. Weź wszystkie swoje dokumenty.

- Dobrze. Nigdy nie byłam w Waszyngtonie.
- Które miasto w Europie najbardziej lubisz?
- Rzym.
- W takim razie jedziemy do Rzymu.
- Mówisz poważnie?
- Jeśli ty tak, to ja też. Przez chwilę się zastanawiała.
- Tak, mówię poważnie.
- Rozumiesz — zerknął na nią — co to znaczy zostawić dom?
 - Nie, ale jeśli będę z tobą, będę w domu. Przez te wszystkie lata usychałam z tęsknoty za miłością.
 - Znam to uczucie. Ale czy zastanawiałaś się, jak to jest, kiedy się tęskni za dziećmi, za rodziną, za znanymi miejscami?
 - Tak. Zastanawiałam się. Lecz nadszedł czas, żebym zrobiła coś, co chce zrobić Annie Prentis.
- A co z twoją pracą? Czy wciąż udzielasz się w tej aptece?
 - Tak, i lubię to, ale trudno nazwać tę pracę ambitną. To zajęcie wykonywane za przyzwoleniem męża. Brak kontaktu z mężczyznami, brak pieniędzy, ustalone godziny i ciągle pod jego nadzorem. A tobie by przeszkadzało, gdybym pracowała?
- Możesz robić, co chcesz.
 - Czy mogę pracować po godzinach w biurze, przynosić na weekendy robotę do domu i wyjeżdżać służbowo w męskim towarzystwie?
- Nie przeholuj, Prentis.
 - Szi dalej wodą do kostek, stąpając po kamieniach. Miło mu było tak iść i czuć jej dłoń w swojej.
- Może kiedyś będziemy mogli tutaj wrócić.
- Może.
 - A jak z tobą, Keith? Przecież tutaj jest także twój dom. Czy chciałeś zostać?
- Chciałem, lecz wiedziałem, że to się nie uda. Ale może kiedyś.
- Gdyby... Gdyby jego tu nie było...
- Co by zrobił, gdyby go zwolnili?
 - Nie zostałyby. Nie mógłby — odpowiedziała. — To stanowiłoby zbyt duże upokorzenie. A poza tym za wiele osób w skrytości ducha go nienawidzi. — Rozważała przez chwilę jakąś myśl. — Wiesz, jeśli pani Baxter ucieknie z innym mężczyzną, on może się czuć tak zawstydzony, że złoży rezygnację i opuści to miasto. Wtedy będziemy mogli wrócić.
- Gdzie by pojechał?
 - Nad Jezioro Szare. Tam właśnie ma zamiar się przenieść na emeryturze. — Uśmiechnęła się. — To się może zdarzyć wcześniej, niż myśli. Tyle tylko że pojedzie sam. Wie, że nie może zostać w Spencerville jako były szef policji.
 - Sugerujesz, że nie będzie już więcej uroczystych kolacji w Klubie Łosi?
 - Pewnie czytałeś o tym w gazecie. — Zerknęła na niego. — Boże, to był jeden z najgorszych wieczorów w moim życiu. — Kiedy nie odpowiadał, dodała: — Czyżbyś był zazdrosny?
 - Nieraz miotają mną pewne niezdrowe emocje. Nie bardzo potrafię je nazwać.
 - No cóż, kochanie, w Klubie Łosi przez cały czas myślałam o tobie, zastanawiałam się, co porabiasz w sobotę wieczór. Czy wiesz, ile sobotnich wieczorów przesiedziałam, zastanawiając się, co porabiasz?
 - Podczas szkolenia bawiłem się szampańsko. Stałem w kolejce do budki telefonicznej, a kiedy wreszcie się dodzwoniłem, ciebie nie było.
 - Oczywiście, że byłam. Tyle że nie zamierzałam przyjmować telefonów. Duma i upór to grzechy, a my za nie zapłaciliśmy.
- Prawda.
 - Zazdrość też jest grzechem. Nie jestem zazdrosna, lecz... dzwoniłam do ciebie z Klubu Łosi. Po prostu chciałam usłyszeć twój głos. Ale ciebie nie było.
 - Na boisku szkolnym trochę rzucałem do kosza, wróciłem do domu około dziewiętej, wziąłem zimny prysznic i poszedłem do łóżka.
- Dobrze. Czy śniłeś o mnie?
 - Prawdopodobnie. Wiem tylko, że rano pierwsza myśl dotyczyła ciebie.
 - Byli już na skraju lasu. Rozejrzeli się po łące i wodzie. Koło samochodu Annie stało kilka innych pojazdów, na trawie leżały rowery.
 - Grupka nastolatków pływała na gumowej tratwie, dwóch mężczyzn łowiło ryby. Na brzegu małe dzieci bawiły się stateczkami pod czujnym okiem matek.
 - Tafla jeziora była spokojna, tylko od czasu do czasu pojawiały się na niej koncentryczne kręgi, gdy rzucała się jakaś rybka. Tuż nad wodą, którą gładziły gałązki wierzb, latały ważki. Blisko wody rosły lilie, których słodkie korzenie nadawały się po ugotowaniu do jedzenia. Keith zastanawiał się, czy dzieciaki jeszcze w ogóle wiedzą takie rzeczy.

Jeziro wyglądało tak jak przed trzydziestu laty, tyle tylko że wtedy przychodziło tu dużo więcej dzieci — aktywne pokolenie, może już ostatnie dzieciaki w stylu Huckleberry'ego Finna, piekące korzenie lili i zajadające się rdemem, łowiące ryby na bambusowe wędki, jeżdżące na rowerach cięższych od nich samych.

•Dlaczego się uśmiechasz? — zapytała Annie.

•Właśnie przypominałem sobie chłopaków, którzy zbierali się tu w gorące letnie noce. Paliliśmy papierosy, piliśmy piwo i rozmawialiśmy o dziewczynach.

•Wiem. Chowaliśmy się w tych wysokich trawach i podglądaliśmy was.

•Nie robiliście nic takiego.

•Ależ tak. — Roześmiała się głośno. — Nawet dwa razy. Co prawda niewiele widziałyśmy, ale wszystkie zapewnialiśmy się nawzajem, że tak.

•Dlaczego nie przyłączyłyście się do nas?

•Pewnie należało. Jednej nocy miałyśmy zamiar zwinąć wam ubrania, ale strach nas obleciał.

•Wiesz, coś ci powiem. Pewnej letniej nocy wrócimy tu razem, ty i ja.

•Umowa stoi.

Stali cicho. Chcieli przedłużyć tę chwilę.

•To pewnie ostatni gorący weekend.

•Tak, czuję już tchnienie jesieni.

•Ja też.

Przyglądali się ludziom nad stawem.

•Znasz pastora Wilkesa ze Świętego Jakuba, prawda? -Tak.

•Rozmawiałem z nim tego wieczoru po mityngu w kościele.

•Jak on się miewa?

•Jest stary, ale wciąż czujny.

•Czujny?

•Poradził mi, żebym nie pożył żony bliźniego swego.

•Naprawdę? No cóż, jeśli miał na myśli panią Jenkins albo panią Muller, to bardzo dobra rada. Ale obawiam się, że odnosiło się to do mnie. Jakież to krępujące.

•Lubi cię. I chyba mnie nie osądza, radził tylko poczekać do rozwodu. Wtedy będzie mi wolno cię pożywać.

•Naprawdę to powiedział?

•Tak. W głębi duszy romantyk z niego.

•Nie przyszło mi do głowy, że pójdziesz do kogokolwiek, nawet do pastora, po radę.

•Prawdę mówiąc, nie poszedłem. To on poruszył ten temat.

•To znaczy, że wiedział... Skąd mógł wiedzieć...

—Od twojego pastora, wielbego Schenka. Mówię ci to tylko na wypadek, gdybyś chciała się wybrać do pastora Schenka po poradę albo rozgrzeszenie czy coś w tym stylu.

— Ja... ja rozmawiałam z nim o swoim małżeństwie. — Zawahała się.

— Uczciwie mówiąc, mówiłam mu o tobie.

•Naprawdę? Zwierzałaś mu się z fantazji seksualnych na mój temat?

•Ależ nie. — Roześmiała się. — W każdym razie oszczędziłam mu szczegółowych opisów.

•No cóż, jeśli będziesz z nim znowu rozmawiać, powie ci to samo co Wilkes mnie: „Rozwiedź się, a na razie nie popełniaj cudzołóstwa”.

•Trochę już za późno.

—Poza tym informacje się rozchodzą.

Kiwnęła głową.

•Przyjaźnię się z żoną pastora Schenka, Marge... Co ci jeszcze mówił pastor Wilkes?

•Nie mogę powiedzieć, ale mimo twoich najlepszych chęci i tak wiedzą za dużo.

•Będę ostrożna. — Spojrzała na niego. — Za tydzień od dzisiaj, Keith.

•Za tydzień od dzisiaj. Usiadła na ziemi.

•Możesz mi osuszyć stopy?

Uklęknął i wytarł jej stopy skrajem koszuli, a potem pomógł włożyć buty.

—Gdzie masz bieliznę? — zapytał.

•Zgubiłam. — Wyciągnęła rękę, pomógł jej wstać. — Dobry Boże, tylko spójrz, jak ja wyglądam... cała w liściach, ubranie brudne... — Roześmiała się. — Myślisz, że mogę przed powrotem do domu zajść do sklepu? Dzień dobry, pani Smith, rzeczywiście, kochałam się dziś w lesie. Widać, prawda? Z wysokim nieznanym jeźdźcem. Jaką ma pani dzisiaj marchewkę?

•Dobrze się bawisz, prawda?

•Tak. I wiem, co myślisz: jak to będzie, kiedy seks przestanie być niebezpieczną przygodą. Więc... To jest zabawne, ale jestem też przestraszona, naprawdę. Chcę być bezpieczna, z tobą i wiem, że za dwadzieścia lat, kiedy będziesz

wchodził do mojego pokoju, serce zabije mi mocniej.

- Wierzę ci.
 - Powinieneś, bo jeśli nie, to popełniasz błąd. Chcę się stąd wyrwać, żeby nie wiem co, Keith, i chcę, żebyś mi pomógł. Ale nie musisz mi nic obiecywać. Zabierz mnie stąd, a potem zrobisz, co będziesz chciał. Mówię poważnie.
 - Nie, nie mówisz... — Przyjrzał się jej twarzy. — No... może jednak tak. Ale to nie jest dobry plan. Cała sprawa jest dość prosta. Wróciłem, żeby być z tobą.
- A gdybym ważyła trzysta funtów?
 - Przeszedłbym koło ciebie na ulicy, gdybym tylko zdołał się precyzyjnie przemieszczać na chodniku. Nie dręcz mnie.
- Ktoś ci o mnie pisał?
 - Tak, kilka osób. Głównie moja matka. Ona zwracała uwagę, czy tyjesz?
- Wyjechała stąd pięć lat temu. Spoważnieli.
- Czy masz jakiś plan? — spytała Annie.
 - Nie, ale im prościej to zrobimy, tym lepiej. Co on zazwyczaj robi w soboty?
 - Sobota jest dobra. Wyjeżdża z przyjaciółmi albo do domku nad Jezioro Szare, albo nad Michigan czy Erie. Pływają łodzią, wędkują, w sezonie łowieckim strzelają. Właśnie zaczął się sezon na ptactwo.
- A jeśli pada?
 - I tak jadą. Zazwyczaj grają w karty. Większość ma jakieś chaty w Michigan.
 - Dobrze. Po prostu spakuj to, co najniezbędniejsze, i spotkamy się gdzieś. Pojedziemy do Toledo, tam jest lotnisko, i tyle będzie nas widział.
 - Dobrze... Pojadę do mojej siostry, Terry. W hrabstwie Chatham wyróżniają się samochody ze Spencerville.
- Dobry plan.
- Nie masz nic przeciwko spotkaniu w domu mojej siostry?
 - Nie. Dogadywaliśmy się. Z przyjemnością zobaczę ją znowu i podziękuję jej za dwadzieścia lat przekazywania ci listów ode mnie. Zawsze na Gwiazdkę wysyłałem jej kartkę.
 - Wiem. Jesteś słodki i ona cię lubi. Jeszcze w ogólniaku, kiedy byłem z tobą gdzieś, gdzie nie powinnam, kryła mnie.
 - Pamiętam. — Zamilkł i po chwili zapytał: — Czy nie narobimy jej kłopotów?
 - Ona nienawidzi Cliffa. Nie, ona pogardza Cliffem. Jej mąż podobnie. Na pewno się domyśla, że przez te dwadzieścia lat nie wysyłaliśmy sobie przepisów kulinarnych.
- Nigdy nie rozmawialiście o naszej korespondencji?
 - Oczywiście, że nie. No, może czasem. — Annie się uśmiechnęła. — Boże, za każdym razem, kiedy przychodził od ciebie list, natychmiast dzwoniła i była taka podekscytowana. Na wszelki wypadek używałyśmy szyfru. Ona mówiła: „Właśnie dostałam katalog sprzedaży wysyłkowej, chciałabym ci go pokazać”. Umawialiśmy się u niej albo w Spencerville, albo w połowie drogi, u ciotki Louise. Wtedy dawałam jej listy do ciebie, nigdy nie ufałam ludziom z poczty w Spencerville. To plotkarze.
 - Tak, ale *co* innego listy, a *co* innego pomoc w ucieczce z mężczyzną.
- Terry dobrze nam życzy.
- Czy Baxter nic jej nie może zrobić?
 - Jej mąż, Larry, to twardziel. Miły gość, ale nienawidzi Cliffa i Cliff się go boi. Poza tym Larry jest honorowym zastępcą szeryfa w Chatham i niczego nie pragnie bardziej niż pretekstu do starcia z Cliffem Baxterem.
- To dobrze.
- Porozmawiam z nimi i powiem, że będziemy w sobotę... o której?
 - O drugiej piętnaście mamy bezpośredni lot do Waszyngtonu. Jeśli wyjedziemy od twojej siostry o dziesiątej, zdążymy na ten samolot.
- Skinęła głową.
- Dobrze. Cliff wyniesie się rankiem z kumplami. Ja się spakuję i pojadę do domu Terry. Włożę rzeczy do toreb po zakupach, więc gdyby mój cień zobaczył, że coś wkładam do bagażnika, nie nabierze podejrzeń.
- Oglądasz filmy szpiegowskie?
- Należałam do Phi Beta Kappa. Mój mózg wciąż jeszcze pracuje.
 - Widzę. Wiesz, bywałam w krajach policyjnych, gdzie gliniarze sprawiali mniej kłopotu niż ci tutaj.
 - To głupcy. W każdym razie powinnam być u Terry około dziewiątej. Ty możesz przyjechać wcześniej, jeśli chcesz. Będą cię oczekiwali. Napijemy się kawy, dam im listy do Toma i Wendy, a potem się pożegnamy. Później Terry porozmawia z mamą i tatą.
- Czy uciekałaś już wcześniej?

- Keith, wyobrażałam to sobie tysiąc razy. Żałowałam, że nie mam dość odwagi, żeby to zrobić naprawdę, ale teraz się cieszę, że czekałam. — Spojrzała na niego. — Nigdy nie myślałam, że będę uciekać z tobą, ale zawsze fantazjowałam, że gdzieś do ciebie dołączę.
- Czuję się zawstydzony.
 - Ty? Nie wierzę. Kręci mi się w głowie, serce mi wali i jestem tak zakochana, że nie myślę jasno. Ostatni raz czułam się tak szczęśliwa przed twoim powołaniem do wojska. Gdy nadeszło, wiedziałam, że nic już nie będzie takie samo.
- Ja myślałam, że nic się nie zmieni. Byłaś mądrzejsza.
 - Kochany, oboje wiedzieliśmy, ale mieliśmy nadzieję. — Milczała chwilę, a potem dodała: — Dwudziestolatki popełniają głupie błędy, ale trudno siebie oceniać po dwudziestu latach. Przeżyliśmy sześć wspólnych lat, Keith, i dziękuję za to Bogu. Jeśli taka będzie Jego wola, resztę życia też spędzimy razem.
 - Keith w milczeniu ujął jej dłoń i pocałował.
 - Muszę iść. — Odetchnęła głęboko. — Spotkamy się jeszcze przed sobotą?
- Nie należy ryzykować. I nie dzwoń, boję się podsłuchu.
 - Jestem więcej niż pewna, że moje rozmowy policja rejestruje. Dlatego dzwoniłam do ciebie z budki. Myślisz, że twój telefon...
 - Może. Prawdopodobnie Porterów również. Dasz sobie radę w domu?
 - Spróbuję. Tak, dam. Nie będzie miał żadnych powodów do podejrzeń. Czy wiesz, gdzie mieszka Terry?
- Po dwudziestu latach adresowania kopert chyba tak.
 - Wciąż ten sam sarkazm co kiedyś. Trzeba będzie nad tobą popracować.
- Nie, kochanie, nauczysz się z tym żyć.
 - Niech będzie. Gdy mam okres, jestem niezłą jędzą, a i bez niego nie zapominam języka w gębie.
- Nie mogę się już doczekać naszych rozmów. Stali przez chwilę w milczeniu.
- Nie chcę odchodzić — powiedziała wreszcie.
- Więc zostań.
 - Nie mogę... Czekam na mnie praca w domu, bo inaczej po powrocie Cliff zacznie się zastanawiać, gdzie byłam przez cały dzień.
- Wyraźnie trzyma cię na krótkiej smyczy.
- Bardzo krótkiej. Ty nigdy nie trzymałeś mnie na smyczy.
- I nigdy nie będę.
 - Nie musisz. Dobrego dnia, panie Landry. Zobaczymy się w przyszłą sobotę i uciekniemy razem.
 - Wyciągnęła rękę, a on ją ujął.
- Annie... gdybyś zmieniła zdanie...
 - Nie, ani ja nie zmienię, ani ty. Bądź tam, Keith. Wiktoriański dom z czerwonej cegły. County Road numer sześć. — Pocałowała go, odwróciła się i pośpiesznie ruszyła do samochodu.
 - Patrzył na nią, kiedy szła nad wodą. Zatrzymała się, żeby porozmawiać z dwoma starszymi panami, łowiącymi ryby. Musiała powiedzieć coś śmiesznego, bo roześmieli się i patrzyli za nią, kiedy odchodziła.
 - Otworzyła drzwi samochodu i wtedy obejrzała się w jego stronę. Był ukryty w cieniu drzew, nie mogła go zobaczyć, ale mu pomachała, a on pomachał jej. Wsiadła do auta, wycofała się na wzniesienie i zjechała na drugą stronę.
 - Keith stał jeszcze chwilę, a potem wrócił drogą w górę strumienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

K

Keith Landry poszedł na niedzielną mszę do Świętego Jakuba głównie z powodu zaproszenia pastora Wilkesa, ale również wiedziony ciekawością i nostalgią.

Kościółek był już wypełniony prawie po brzegi. Zgodnie z tradycją wszyscy ubrali się odświętnie. Pastor wygłosił ładne kazanie na temat moralności władzy, podkreślając, że urzędnicy państwowi, którzy łamią dziesięć przykazań i ignorują prawa Boże, nie zasługują na zaufanie społeczeństwa. Keith uznał, że pastor usiadł do pisania kazania zaraz po przeczytaniu zapisu z czwartkowego spotkania. Wilkes oczywiście nie wymienił nazwisk, ale Keith był przekonany, że ludzie i tak wiedzą, o kogo chodzi. Dobrze, że pastor nie skorzystał z okazji, by poruszyć w kazaniu temat grzechu cudzołóstwa.

W tym małym kościółku mszę niedzielną odprawiano tylko raz, dlatego członkowie kongregacji, nie mogli udawać przed swymi sąsiadami, że przyjdą o innej godzinie. Dla Keitha jako nastolatka był to problem, ale gdy zdał do szkoły średniej, zaczął uczęszczać do Świętego Jana i jakoś tak się składało, że zawsze stał w pobliżu rodziny Prenti-sów. Znacznie pilniej uczęszczał na msze, pan i pani Prentis cieszyli się, że go tam widują, on wszakże czuł wyrzuty sumienia z powodu motywów, nie wspominając już o myślach, które pochłaniały go w czasie nabożeństw.

Teraz rozejrzył się po znajomym wnętrzu. Było tu sporo osób, które znał, między innymi ciotka Betty, Mullerowie, Jenkinsowie, Jenny, tym razem bez mężczyzny, który towarzyszył jej w czwartkowy wieczór, za to z dwójką małych dzieci oraz — co ciekawe — funkcjonariusz Schen-ley, zamieszany w incydenty na boisku szkolnym i przed kościołem, z rodziną. Była też Sherry Kolarik. Powróciła na scenę swej publicznej spowiedzi, robiąc najwidoczniej krok w stronę uzdrowienia duchowego. Podobnie jak on, panna Kolarik niewątpliwie czuła ulgę, że pastor Wilkes nie spogląda w jej stronę. Jednakże kapłan wyraźnie nawiązał do jej kłopotliwego położenia, przypominając wszystkim, że kobieta nie jest grzesznicą sama w sobie, bardziej naczyniem grzechu, jego przyczyną. Keith zastanawiał się, jak by to zostało przyjęte w Waszyngtonie.

Nie widział Porterów, zresztą nie spodziewał się ich tutaj, ale miał nadzieję, że może Annie zrobi mu niespodziankę i zjawi się u Świętego Jakuba. Była pewnie jednak u Świętego Jana w towarzystwie swego grzesznego męża. Zastanawiał się, czy nie pojechać później na mszę do miasta, lecz uznał, że nie byłoby to najrozsądniejsze posunięcie.

Po skończonym nabożeństwie pastor Wilkes witał się przed kościołem z parafianami, zwracając się do każdego po imieniu. Keith zazwyczaj unikał tej ceremonii, ale tym razem zszedł po schodach i ustawił się w kolejce. Staruszek był wyraźnie uszczęśliwiony jego widokiem i kiedy uściśli sobie dłonie, powiedział:

- Witam w domu, chłopcze. Tak się cieszę, że przyszedłeś.
- Dziękuję za zaproszenie. Podobało mi się kazanie.
 - Mam nadzieję, że uda ci się przyjść za tydzień. Nasza rozmowa nasunęła mi kolejny temat.
- Powrót syna marnotrawnego?
- Myślałem o czymś innym.
- W przyszłą niedzielę może mnie nie być w mieście. Wilkes uśmiechnął się złośliwie.
- Szkoda. Chciałem mówić o roli kościoła w życiu publicznym.
- Dobry temat. Chętnie bym posłuchał.
- Przyślę kopię.

Jeszcze raz uściśli sobie dłonie i Keith odszedł. Poranek był chłodny, północny wiatr buszował wśród kolb kukurydzy i między drzewami, strząsając pierwsze jesienne liście na trawę i płyty nagrobne cmentarza przy kościele. W przejrzystym powietrzu wszystko wyglądało wyjątkowo pięknie: mały kościół i plebania, wysokie kołyszające się wiązy, żeglujące po niebie chmury koloru cyny. Ale coś złego wisiało w powietrzu. Keith pomyślał, że ten jesienny wiatr, przepędzający lato i malujący ziemię na czerwono, niesie jednocześnie ze sobą coś złowieszczonego. I chociaż tak bardzo chciał tu pozostać, trochę się także cieszył, że już wkrótce wyjedzie.

Na parkingu wpadł na ciotkę, która uradowała się, widząc go w kościele, i zaprosiła na niedzielny obiad. Ponieważ nie umiał wymyślić grzecznej odmowy — poza tym, że wolałby oglądać telewizję i pić piwo, czego ona nie uznałaby za grzeczne — przyjął zaproszenie.

O umówionej godzinie, która była również godziną rozpoczęcia meczu, zjawił się u ciotki Betty z butelką francuskiego czerwonego burgunda. Ciotka przez chwilę studiowała nalepkę, mruczając pod nosem francuskie słowa, potem wstawiła butelkę do lodówki. Nie miało to znaczenia, bo jak się okazało, w domu nie było korkociągu i Keith dostał szklankę mrożonej herbaty, zdecydowanie przesłodzonej.

Na obiad zostały zaproszone osoby, które spotkał już na przyjęciu

— kuzyn matki Zack Hoffman z żoną Harriet oraz ich dorosła córka Lilly z mężem Fredem. Lilly i Fred przyprowadzili trzech synów, których imion Keith nie zapamiętał i którzy byli za mali, by domagać się oglądania w telewizji meczu. Poszli się bawić na podwórko.

Keith, świadom, że z tymi ludźmi łączą go więzy krwi, skierował rozmowę na związki rodzinne. W głębi duszy to go naprawdę interesowało.

Na obiad podano tradycyjny rostbef, puree ziemniaczane i fasolkę

— amerykańskie jedzenie, które ze stołów stolicy znikło jakieś dwa lata wcześniej. Harriet, której myśli wciąż krążyły przy drzewie genealogicznym rodziny, powiedziała:

—Moja siostra Dorothy wyszła za Luke'a Prentisa. Znasz chyba tę rodzinę, Keith?

Podniósł na nią wzrok i uświadomił sobie, dlaczego wygląda tak znajomo.

•Wydaje mi się, że spotykałeś się kiedyś z moją siostrzenicą, Annie.

•Owszem.

—Wyszła za męża za jednego z Baxterów. Cliffa. Jest szefem policji.

Keith zastanawiał się, czy nie należy otworzyć wina scyzorykiem.

Zack spojrzął na swój rostbef i powiedział:

—Słyszałem, że u Świętego Jakuba odbyło się spotkanie jemu po święcone. Ten facet jest... — spojrzął na wnuków i dokończył: — dziki, jeśli ktoś chciałby znać moje zdanie.

Lilly i Fred przytaknęli, ciotka Betty nie bardzo rozumiała, o czym mowa, a chłopcy poprosili o pozwolenie wstania od stołu, które otrzymali.

Zack odprowadził ich wzrokiem, potem pochylił się nad stołem i powiedział konspiracyjnym szeptem:

•Słyszałem, że poza domem nie potrafi utrzymać zapiętego rozporka. Przyprowadzili do kościoła kobietę, która była na tyle bezwstydną, że opowiedziała wszystkim, co robiła z Cliffem Baxterem.

•Czy ktoś chce dokładkę? — zapytała ciotka Betty.

•Widziałeś Annie od czasu studiów? — zwróciła Harriet się do Keitha.

-Nie.

—Słyszałem, że była tam też inna kobieta, Mary Arles — mówił da lej Fred — ona i jej mąż, Bob, są właścicielami stacji benzynowej przy szosie numer dwadzieścia dwa. Opowiadała, jak Cliff Baxter bierze so bie, co chce, z ich sklepu, a potem ona musi wpisywać to w zawyżone rachunki za benzynę.

— Moja siostra była na tym spotkaniu — powiedziała Harriet. — Nie dobrze jej się robiło, kiedy musiała wysłuchiwać tych wszystkich hi stori o swoim zięciu.

Spojrzała na Keitha, który przysłuchując się rozmowie, zauważył, że Freda i Zacka bardziej poruszyły finansowe malwersacje szefa policji niż jego niewierność małżeńska, podczas gdy Lilly i Harriet wręcz przeciwnie.

— Gdybym się dowiedziała — mówiła właśnie Lilly — że mój mąż puszcza się po okolicy, wykopałabym go z domu bez chwili wahania.

Fred nie wygląda na mężczyznę, który by się puszczał czy mógł się puszczać, pomyślał Keith, ale po takim ostrzeżeniu wygląda prawie jak winowajca.

•W kuchni mam jeszcze mnóstwo jedzenia — oznajmiła ciotka Betty.

•Nie dziwiłoby mnie, gdyby odeszła od niego — powiedziała Harriet do Keitha.

-Kto?

•Annie.

•Ach... No, tak. Małżonka dowiaduje się ostatnia.

•Moja siostrzenica to prawdziwa święta — ciągnęła Harriet. — Wychowała dwoje świetnych dzieciaków i prowadzi najprzykładniejszy dom. Zasluguje na coś lepszego.

•Ktoś powinien jej powiedzieć — zwróciła się do matki Lilly. — Gdyby mój mąż tak się zachowywał, a nikt by mi o tym nie powiedział, nie traktowałabym milczenia jako oznaki przyjaźni. — Spojrzała na Freda, którego Keith już zaczął podejrzewać o cudzołóstwo.

Harriet podjęła się obrony zięcia:

— Fred by nawet nie pomyślał o tym.

Ludzie lubią temat zdrady, odkrył Keith, tak samo tutaj jak w Waszyngtonie, Rzymie, Paryżu, Moskwie i wszędzie. Ale choć temat był interesujący i w ogóle, w tym szczególnym wypadku, który omawiano, był też niewygodny. Tak więc, ponieważ wszyscy zebrani przy stole poza nim byli wolni od grzechu zdrady, przestano o tym rozmawiać. Harriet zwróciła się do Keitha:

•Powie Annie, że cię widziałam. Na pewno by chciała, żebym ci przekazała pozdrowienia.

•Dziękuję. Ty też ją pozdrów ode mnie jak najserdeczniej.

•Zrobię to. Może spotkacie się gdzieś któregoś dnia.

•Tego się nigdy nie wie. — Keith postanowił powiedzieć Annie, żeby wysłała Harriet kartkę z Rzymu.

— Na deser mamy galaretkę cytrynową. Czy komuś zrobić kawę? Mam rozpuszczalną, bezkofeinową. Tylko zagotuj wodę.

Keith podniósł się.

—Nie znoszę wychodzić tuż po jedzeniu, ale obiecałem pewnym lu dziom, że się z nimi spotkam o piątej.

— Jest dopiero za piętnaście. Skosztuj najpierw trochę deseru.

Keith przypomniał sobie, że ciotka Betty zawsze miała problemy z pojęciem czasu, więc powiedział:

- Wolę jechać powoli. Dziękuję za fantastyczny obiad. — Pocałował ją, uściśnął dłonie wszystkim po kolei, do Freda powiedział: — Trzymaj się z daleka od kłopotów. — A do Harriet: — Przekaż moje ukłony swojej siostrze i panu Prentisowi.
- Na pewno bardzo się ucieszą.
- Mam nadzieję.

Wyszedł. Powiedział do widzenia chłopcom, którzy biegali z piłką, i wsiadł do samochodu.

Jadąc do domu, rozpamiętywał rozmowę przy stole. Nie interesowało go to, co mówiono o Cliffie Baxterze czy Annie Baxter, ale że też stara dobra Harriet odgrywa Kupidyna. Keith roześmiał się. Są ludzie, pomyślał, którzy, nieważne jak wiekowi ani jak wychowani, pozostają romantykami. Biedni Lilly i Fred w najmniejszym stopniu nie byli, podobnie jak ciotka Betty. Ale stary Zack i Harriet wciąż spoglądali na siebie z błyskiem w oczach. Kochankowie to specjalny gatunek ludzi i zawsze rozpoznają innych kochanków. Był pewien, że Harriet słyszała uderzenia jego serca za każdym razem, kiedy padało imię Annie.

Trzy następne dni, od poniedziałku do środy, Keith spędził w domu. Nie chciał ryzykować konfrontacji z Baxterem i jego ludźmi. Zbyt blisko był *celu*. Zbierał siły na ucieczkę.

Wprawdzie czuł się bezpieczny w swoim domu, ale miał inne troski. Nie potrafił wymyślić, jakim sposobem Baxter mógłby przekonać sędziego, by zgodził się na założenie podsłuchu w jego telefonie, zdawał sobie jednak sprawę, że ten podsłuch mógł zostać założony. Jednym ze standardowych gadżetów w teczce Keitha był wykrywacz tego typu pluskiew. Nie podejrzewał, że go jeszcze kiedykolwiek użyje, ale teraz przeszukał dom kilka razy — z negatywnym skutkiem. Za każdym razem, kiedy wracał do domu, sprawdzał gniazdko na strychu. Istniało urządzenie do wykrywania podsłuchu na linii, ale nie miał go w podręcznym zestawie.

Wiedział, że przynajmniej do soboty Baxter nie założył, legalnie lub też nielegalnie, podsłuchu na jego telefonie, bo gdyby tak było, zjawiłby się nad jeziorem, a wtedy jeden z nich leżałby już w domu pogrzebowym Gibbsa. Ale nawet jeśli jednego dnia nie było podsłuchu, mógł zostać zainstalowany nazajutrz i lepiej było liczyć się z taką ewentualnością. W każdym razie nie zmierzał używać telefonu, aby finalizować lub zmieniać plany.

Kilka tygodni wcześniej, kiedy rozważał możliwość pozostania w Spencerville na stałe, myślał o kupnie telefonu komórkowego. Teraz miał zamiar zadzwonić do swoich byłych kolegów w Waszyngtonie, żeby przeprowadzili pełne elektroniczne badania, a także sprawdzili w aktach sądowych, czy ktoś nie występował o podsłuch. Rada Bezpieczeństwa Narodowego była tak samo zainteresowana, by nikt nie podsłuchiwał jego rozmów, jak on sam, tyle tylko że z zupełnie innych powodów.

Myśląc o tym, Keith zastanawiał się, czemu do dziś nie odezwał się nikt z Waszyngtonu. Nie dbał o to, ale ta cisza stawała się złowieszczą.

W środę po południu izolacja, którą sobie zaaplikował, stała się nudna. Myślał o Annie, martwił się o nią, ale uspokajał się, pamiętał starą zasadę, że brak wieści to dobre wieści, co zresztą nie było prawdą w Waszyngtonie i całkowicie nie zgadzało się ze wszystkim, czego nauczyło go dwadzieścia lat pracy w wywiadzie.

Późnym popołudniem, kiedy przycinał i odchwaszczał krzaczki truskawek, nagle nie wytrzymał. Rzucił narzędzia i kopnął wiadro, tak że przeleciało przez całe podwórko.

— A niech to cholera!

Nie znosił odosobnienia, nawet jeśli sam je sobie narzucił, a poza tym martwił się o Annie. Wskoczył do blazera, gdzie na przednim siedzeniu leżał M-16, i z glockiem zatkniętym za pas pojechał w stronę drogi. Zatrzymał się koło skrzynki na listy i tu wreszcie zdołał nad sobą zapanować. Zawrócił do domu.

Spakował najważniejsze rzeczy, dokumenty, paszport, odzież na zmianę. Nie zamierzał brać broni do samolotu, chociaż wziął teczkę z takimi gadżetami jak długopis wypełniony gazem łzawiącym, aparat z mikrofilmem, nóż ze spieku węglowego i kapsułkę z cyjankiem, plus inne cudeńka, których również nie miał zamiaru używać, ale których nie mógł zostawić w domu.

Zszedł do kuchni i stwierdził, że nie ma nic do jedzenia ani piwa. Z tego, co wiedział, w Spencerville nie istniał zwyczaj dostarczania jedzenia do domu, a potrzebny mu był prowiant do soboty rano. Przypuszczał, że mogłby namówić panią Jenkins albo panią Muller, żeby przy okazji swoich zakupów kupiły też coś dla niego, ale wpadł na inny pomysł, który mógł rozwiązać trzy problemy naraz. Sięgnął po telefon i wykręcił numer. Odebrał Jeffrey.

— Tu FBI — powiedział Keith. — Jesteś aresztowany za nakłanianie do usunięcia ze stanowiska stróża porządku publicznego, mianowanego przez rząd Stanów Zjednoczonych.

- Chyba chodzi panu o moją żonę.
- Co u was słychać?
- Wszystko dobrze. Miałem dzwonić do ciebie...
- Czy macie czas na kolację dzisiaj wieczorem?

- Jasne. U ciebie?
- Zgadza się. O siódmej.
- Nie mogę się doczekać.
- Zrób mi grzeczność, Jeffrey.
- Słucham.
- Nie mam w domu kompletnie nic do jedzenia, a samochód nie chce mi ruszyć. Moglibyście coś przynieść?
- Dobra.
- I wino.
- Nie ma problemu.
- Potrzebuję również trochę gotówki.
- Czy mamy przywieźć ze sobą zastawę stołową?
 - Nie, to mam. Ale czy mógłbyś mi zrealizować czek na tysiąc dolarów?
- Jasne. Posłuchaj. Wpadła do mnie....
- Powiesz mi o tym później.
- Nie, musisz to wiedzieć...
 - Później. Dzięki. — Odłożył słuchawkę. Annie. Sądząc po tonie głosu Jeffreya, to musiała być Annie. Dobrze. Wszystko u niej w porządku, wszystko dobrze. Przynajmniej sam nie musiał tego sprawdzać. Poza tym Porterowie przyniosą jedzenie i picie, a to załatwiało chwilowo inne problemy.
- Porterowie zjawili się dwadzieścia minut później, co jak na byłych hipisów, stanowiło znakomity wynik. Keith wziął od Gail płócienne woreczki z ziołami, a od Jeffreya karton z plastikowymi pojemnikami.
 - Wszystko gotowe — oświadczyła Gail. — Inaczej musielibyśmy czekać kilka godzin. Teraz wystarczy to tylko podgrzać.
- Piec chyba mam.
 - Uroczy dom. — Gail rozglądała się, wchodząc do środka. — Wychowałeś się tutaj? — Tutaj się urodziłem i tutaj dorastałem. Ale jeszcze nie dorosłem. Roześmiała się. Keith wskazał im drogę do kuchni. Stawiając jedzenie, powiedziała:
 - Ekspresowe curry.
 - Słucham?
- Jeffrey wytłumaczył:
 - W Antioch mieli taką świetną hinduską restaurację „Ekspresowe Curry”, gdzie można było kupować na wynos, i zawsze, gdy Gail nie chce się gotować, prosi mnie, żebym tam zadzwonił. Obawiam się jednak, że nie dostarczają do Spencerville.
- Można by spróbować. Przepraszam, że tak was wrobiłem.
 - To żaden kłopot — powiedziała Gail. — Jesteś nam winien obiad, a my ci go chętnie przywieźliśmy. Jeffrey wrócił do samochodu po wino. Gail i Keith wyjmowali naczynia.
 - Przywieźliśmy kable, żeby podładować akumulator w twoim wozie. Ale wydawało nam się, że kupiłeś nowy samochód.
- Z samochodem wszystko w porządku.
- Myślałam...
- Później wszystko wytłumaczę.
- Niech zgadnę. Ktoś ci depcze po piętach.
- Trafione. — Keith nakrywał do stołu.
- Nie daj się.
 - Długo by o tym gadać. Ale jeśli przynieśliście dość wina, opowiem wam, co się dzieje.
- Dobrze.
 - Jeffrey wrócił z trzema butelkami czerwonego, Keith otworzył jedną. Opróżnił ją przelewając zawartość do trzech wysokich szklanek.
 - Kieliszków nie ma. Na zdrowie.
 - Wypili, siedli przy kuchennym stole, gdzie Gail położyła krakersy i coś na kształt wielobarwnej pasty.
- Co to jest? — zapytał Keith.
- Pasta jarzynowa.
- Dobra.
 - Pili wino, jedli, rozmawiali, ale czuło się, że zawisły w powietrzu pytania, na które brakowało odpowiedzi. Gail powtórzyła mężowi, co Keith powiedział o policji.
- Nie możesz tu siedzieć jak w potrzasku — rzekł Jeffrey.
- Kiedy ostatni raz jadłeś? — zapytała Gail.
- Czy jestem tucznikiem?
 - Keith, to niepodobne do ciebie — powiedział Jeffrey. — Nie możesz pozwolić, żeby policja cię upokarzała.

- To długa historia. Powiedźcie, jak idzie sprzedaż Prawdziwej Spowiedzi?
- Niesamowicie — odparł Jeffrey. — Już wydaliśmy pięćset egzemplarzy. Krążą pomiędzy ludźmi, oceniamy, że przeczytało je jakieś pięć tysięcy osób. To sporo, jak na tak małe hrabstwo. Myślę, że pogoniliśmy mu kota. Wiesz, kto przyszedł do nas poprosić o egzemplarz? To ci właśnie chciałem powiedzieć przez telefon.
- Keith popił wina.
- Kto?
- Musisz zgadnąć.
- Cliff Baxter.
- Blisko. — Gail się roześmiała.
 - Daj spokój — wtrącił Jeffrey. — Mówiłem ci, że to twoja dawna przyjaciółka.
- Annie Baxter.
 - Bingo! Potrafisz w to uwierzyć?
 - Tak.
 - To wymagało pewnej odwagi — powiedziała Gail. Uśmiechnęła się do Keitha. — Wyglądała świetnie. Jak na kobietę, której mąż został oskarżony o szantaż, wyłudzenie i cudzołóstwo, zachowywała się całkiem spokojnie. Wręcz pogodnie.
- Może ma chłopca.
- To by tłumaczyło jej nastrój. — Gail przyjrzała mu się uważnie.
 - Oczywiście daliśmy jej wydruk w prezencie — kontynuował Jeffrey — i zaprosiliśmy ją do siebie. Byłem zdziwiony, że się zgodziła. Wypiła filiżankę herbaty. Miło było znowu z nią pogadać. Wspominaliśmy stare czasy. Powiedziałem jej, że wróciłeś, ale podobno już się spotkaliście.
- Tak, koło poczty.
 - Czy poczułeś przyspieszone bicie serca? — zainteresowała się Gail.
- Pewnie.
 - No, nie dziwiłabym się, gdyby wkrótce znowu była do wzięcia. Wiesz, nie najlepiej się z tym czuję. Chodzi mi o to, że nigdy nie chciałam, żeby miała przeze mnie jakieś kłopoty w domu- Ale to jego wina.
- Też tak sądzę. Dobrze się bawił, teraz przyjdzie płacić.
 - Tylko przy takim zrozumieniu, jakie panuje między Jeffreyem a mną, nie miałyby to znaczenia. Nikt nie rozdzielił nas dowodem zdrady.
 - Interesujące. A co by się stało, gdyby któregoś z was naprawdę zakochało się w kochanku?
 - No... — Gail nie czuła się najzręczniejszą, wyraźnie coś takiego zdarzyło się jednemu z nich lub obojgu przynajmniej raz, dwa, a może nawet więcej razy. — W przypadkowym partnerze trudno się zakochać. Miłość bardziej ma związek z tęsknotą za kimś, kogo przy nas nie ma, niż z seksem. Czy nie powiedziałaś, że twoje serce przyspieszyło, kiedy zobaczyłaś Annie? Widzisz, po dwudziestu paru latach coś pozostało. Jak wiele kobiet przeleciałaś od tamtego czasu?
- Cudzoziemki się liczą? Parsknęła śmiechem.
- I dlaczego taki przystojny facet się nie ożenił?
- Powinienem być zamówić jedzenie telefonicznie.
 - Daj mu spokój, Gail — powiedział Jeffrey. — Ten temat wyraźnie mu nie pasuje.
 - Zgadza się — potwierdził Keith.— Czy macie jakieś kłopoty z policją w Spencerville?
 - Jeszcze nie. — Jeffrey potrząsnął głową. — Pamiętaj, że Gail zasiada w radzie miejskiej. Wolą poczekać do wyborów. Wtedy zobaczymy, kto się utrzyma.
- Keith popatrzył na nich.
- Ale tymczasem uważajcie. Baxter nie jest całkiem normalny. Gail i Jeffrey spojrzeli na siebie.
- Uważamy - odparł Jeffrey.
- Macie broń?
- Nie. Jesteśmy pacyfistami. Za to do nas strzelali.
- Pozwólcie, że dam wam karabin.
- Nie. — Jeffrey pokręcił głową. — Nie użylibyśmy go.
- A gdyby ktoś przyszedł do waszego domu i...
- Nie. Proszę, uszanuj to, Keith.
 - W porządku. Ale gdybyście naprawdę potrzebowali pomocy, dajcie znać.
 - Jasne. — Jeffrey podniósł się, wymieszał zawartość w obu garnkach i rzekł: — Gotowe. Zjedli zupę, potem warzywa w curry, które popijali winem z ostatniej butelki. Keith przygotował kawę, a Gail postawiła na stole ciasto marchewkowe.
 - Żeby nie zapomnieć. — Jeffrey włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej brązową kopertę. — Tu jest twój tysiąc.
 - Dzięki. — Keith wyciągnął z portfela czek i podał go Jeffreyowi, który spojrzął na niego i powiedział:

- Ale to czek na dwa tysiące.
 - Mój wkład w dobrą sprawę. Nigdy wcześniej nie dawałem pieniędzy czerwonym.
- Gail uśmiechnęła się.
 - Nie możemy tego przyjąć.
 - Owszem, możecie. Nie potrzebuję tych pieniędzy, a chcę coś zrobić.
- Możesz nam pomóc, przyłączając się.
- Tak bym zrobił. Ale wyjeżdżam. Żadne z nich nie odezwało się.
 - Posłuchajcie — powiedział Keith — lubię was i darzę zaufaniem.
- Poza tym mogę potrzebować waszej pomocy. Gotowi jesteście wysłuchać długiej historii?
 - Skinęli głowami.
 - Dobrze. Wróciłem do Spencerville na linię startu, żeby zacząć wszystko od początku. Tego się jednak nie da zrobić. Już po wyścigu. Ale zawsze jest jakaś nowa gonitwa. O Boże, kręcę się jak pies za własnym ogonem. W porządku, kocham Annie...
 - Gail uderzyła dłonią w stół.
- Wiedziała! Widzisz, Jeffrey, mówiłam ci...
- To ja ci mówiłem.
 - Czy mogę? To nie jest takie proste. Pisaliśmy do siebie przez te wszystkie lata...
- To cudowne. Mów dalej. Czy ona cię kocha?
- Gail, siedź cicho — zgromił ją Jeffrey.
- Więc... No tak, kocha mnie i zamierzamy uciec. Koniec historii.
- Akurat — powiedziała Gail. — Czy już to robiliście?
- To nie ma znaczenia... Nie, nie robiliśmy...
 - Kłamczuch. Wiedziała. Widzisz? Dlatego ona chodzi z głową w chmurach. Pytała, czy rozmawialiśmy z tobą ostatnio. To fantastyczne. Ten gnojek zasługuje na wszystko, co dostaje. Och, Keith, tak bardzo się cieszę. — Wstała i pocałowała go, czego się spodziewał. Jeffrey pospieszył z mocnym uściskiem dłoni. Keidia zaczęło ogarniać zniecierpliwienie, ale powiedział tylko:
 - No więc to jest właśnie odpowiedź na większość waszych pytań, a uważałem, że jestem wam winien wyjaśnienie, czemu nie angażuję się...
 - Daj spokój — wtrącił Jeffrey — załatwiasz swoją część, kradnąc mu żonę.
- Ja właściwie nie kradnę...
 - Zawsze wiedziałem, że wy dwoje znowu się zejdziecie — przerwał mu Jeffrey. — Kiedy wyjeżdżacie?
- Nie mogę powiedzieć. Ale wkrótce.
- Jak wam pomóc?
 - Tak na początek nie wspominajcie o tym przez telefon. Obawiam się, że wasz albo mój może być na podsłuchu.
- Prawdopodobne. Co jeszcze?
 - No cóż, przywieźliście mi pieniądze, jedzenia chyba zostanie dość na parę następnych dni. Ale dobrze by było, żeby Gail miała uszy i oczy otwarte na to, co się dzieje w ratuszu.
- Zawsze mam. I mam swojego informatora w policji.
- Dobrze. Ale jemu też zbyt nie ufaj.
 - Kiedy przychodzi do rewolucji, niewielu jest ludzi, którym można ufać. Keith skinął głową.
 - Znać zasady gry.
 - Krótko mówiąc, przyczajasz się, aż... — Jeffrey zawiesił głos — do czasu ucieczki.
 - Znakomicie to ująłeś. Dam wam klucze do domu, miejcie go na oku.
- Nie ma sprawy.
 - Gdzie to robiliście? — dopytywała się Gail. — Ile razy? Jak wam się udało?
 - Mamy doświadczenie z czasów studenckich. — Keith zmienił temat: — Jej mąż zawsze był podejrzliwy, ale na moim punkcie jest szczególnie przewrażliwiony. Przyjechał tu w zeszłym tygodniu i mieliśmy krótką wymianę zdań. Ale w gruncie rzeczy nic nie wie. Dał mi tydzień, żebym się wyniósł z miasta, i ten tydzień kończy się w piątek, tyle że ja wyjadę później. Może znów przyjedzie, wtedy poproszę o kilka dni prologaty, bo to jest mniej skomplikowane niż zabicie go, czego zresztą obiecałem nie robić.
 - To oświadczenie odebrało im mowę.
 - Sprawa jest poważna — powiedział Keith. — Ten facet jest psychiczny i dotarł do granicy. Uważajcie na siebie. Może weźmiecie jednak karabin.

Przez chwilę siedzieli cicho, wreszcie odezwał się Jeffrey:

•To ciężka artyleria. Mógłbym zapalić?

•Proszę bardzo.

Jeffrey wyciągnął woreczek i bibułki z kieszeni spodni i zrobił skręta. Zapalił i podał Keithowi, który odmówił, potem Gail, która również odmówiła. Wzruszył ramionami, usiadł i zaciągnął się dymem.

•Czy myślisz, że Annie jest bezpieczna? — zapytała Gail.

•Tak sądzę. Ale czuję pewne wibracje, jeśli wolno mi użyć tego starego określenia, a te wibracje mi mówią, że coś się dzieje na Williams Street. — Keith uśmiechnął się. — Zgaś to, Jeffrey, bo zaczynam mówić tak jak ty.

•Nie, ja rozumiem — odezwała się Gail. — Chodzi mi o to, że nawet myśmy wiedzieli, że coś się dzieje. Kto jeszcze, poza Baxterem?

•Po prostu ludzie. Pastor, czyjaś siostra, miłe starsze panie. Prawdopodobnie wpadam w lekką paranoję, ale boję się, że Baxter zrobi coś strasznego. Muszę was prosić, żebyście nie mówili ani nie robili nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Przyczajcie się do końca tego tygodnia. Dobrze?

•Słowo.

•Może będę was potrzebować, jeśli plan się nie powiedzie.

•W porządku.

•Doceniam to. Popatrz, Jeffrey, kto by pomyślał, że będziemy znowu razem jeść kolację?

Jeffrey zaciągnął się i spojrzał na niego.

•Czas leczy wiele ran, Keith. Cieszę się, że żyliśmy na tyle długo, by zmądrzeć.

•Jeśli to jest preludium do męskich pojednań, to ja wychodzę na werandę — oświadczyła Gail.

•Czuje się zagrożona. — Jeffrey obrócił się do Keitha. — Dlatego właśnie potrzebujemy kobiet. Żeby zachować równowagę w stosunkach z innymi mężczyznami i... no i po coś jeszcze. A tak przy okazji, dokąd się wybieracie? Możemy kiedyś wpaść do was na kolację?

•Jasne. Dam wam znać, gdy gdzieś osiadziemy.

•Będzie nam ciebie brakowało, Keith — odezwała się Gail. — Nie mamy tu zbyt wielu przyjaciół.

•Może to się zmieni, kiedy się pozbędziecie Baxtera.

•Nie sądzę. Ale może. Wróćcie kiedyś tutaj?

•Chciałbym. To zależy od tego, co się stanie z Baxterem.

•Tak — zgodził się Jeffrey. — Przez jakiś czas nie doradzałbym wam kupna domu przy Williams Street. — Roześmiał się. — Boże, ale bym chciał zobaczyć jego pieprzoną gębę, kiedy wróci do domu i znajdzie pieprzoną kartkę przyczepioną do lodówki. — Jeffrey zaczął chichotać, waląc raz po raz dłonią o blat stołu.

— Chodźcie na werandę — zaproponował Keith. — Służąca posprząta.

Siedzieli na werandzie i przyglądali się, zachodowi słońca. Nikt się nie odzywał.

— To zadziwiające, Keith — powiedziała wreszcie Gail.

-Co?

— Miłość. Przetrwiała czasy studenckie, wojnę, dziesiątki lat, ogromne odległości i wszystko, czego ci życie nie oszczędzało. Gdybym była sentymentalna, popłakałabym sobie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

K

iedy w czwartek rano Keith się obudził, nie miał pojęcia, dlaczego tak kiepsko się czuje. Stopniowo przypomniał sobie, że Portero-wie przyszli na kolację, potem dotarło do niego, że nieźle popili. Teraz już wiedział, skąd ten ból głowy. Pamiętał też, co świętowali.

Zwłókł się z łóżka, otworzył okno i poczuł chłodny powiew. Następny piękny dzień, dobry dzień dla kukurydzy, chociaż przydałby się przed zbiorami jeden porządny deszcz.

W samej bieliźnie wyszedł na korytarz i skierował się do łazienki. W drzwiach wpadł na Jeffrey'a.

- Jest mi niedobrze — wyjęczał Jeffrey.
- Spałeś tutaj ?
- Nie, wróciłem w bieliznie po naczynia.
- Gdzie Gail?
- Pojechała po śniadanie dla nas. Chcesz wejść do łazienki?
 - Nie, idź ty. — Keith wziął szlafrok i zszedł do kuchni. Umył twarz w zlewie, znalazł w kredensie aspirynę, wziął dwie tabletki i nastawił wodę na kawę.
 Pod drzwiami kuchenne zajechał samochód, po chwili weszła Gail z torbą z zakupami w rękę.
- Jak się czujesz?
 - W porządku. — Usiadł przy kuchennym stole, a Gail wyjęła butelkę soku pomarańczowego i trzy bułki kukurydziane.
 - Całą drogę stąd do miasta jechał za mną radiowóz.
 - Keith skinął głową.
 - Teraz już wiesz, że jest jakieś powiązanie między nami. Znalazłaś się na liście — powiedział.
 - Byłam na tej liście, zanim tutaj przyjechałeś do miasta. — Usiadła i nalała soku do trzech szklanek. Keith wypił trochę.
- Czy cię wylegitymowali? — zapytał.
 - Nie, to ja ich wylegitymowałam. Wsiadłam z samochodu, przedstawiłam się jako radna, a potem powiedziałam, żeby się odpięrzyli albo zabiorę im odznaki.
 - Wykorzystujesz władzę, Gail. Powinnaś krzyknąć coś na temat swoich praw obywatelskich.
 - Nie wiedzieliby, o czym, u diabła, mówię. Jedyne, czego się boją, to tego, że mogą stracić swoje pistolety i gwiazdy.
- Tak, ci chłopcy nie są najlepsi. Ryba psuje się od głowy. Siedzieli w milczeniu.
- Czy mówiłeś poważnie o zabiciu Baxtera? — zapytała wreszcie. -Nie.
- Bałam się, kiedy jechali za mną — rzekła, spoglądając na niego.
 - Wiem. Chciałem załatwić ten problem przed wyjazdem, ale obiecałem, że tego nie zrobię.
 - Rozumiem. Czy mogę cię zapytać... Czy kiedykolwiek to robiłeś? Chyba chodzi mi o Wietnam...
 Keith nie odpowiedział. Zastanawiał się nad jej pytaniem. Tak, zabijał w Wietnamie, ale to się działo podczas walki. W pierwszych latach pracy w wywiadzie dostał prawdziwą licencję na zabijanie, lecz zanim wręczyli mu pistolet i tłumik, podali mu zasady. Są tylko dwie sytuacje, kiedy można zabić: w walce i w samoobronie. Ale każdy w Ameryce miał to samo prawo.
- Jednak jego licencja upoważniała go do czegoś więcej: mógł zabić z wyprzedzeniem, jeśli czuł się zagrożony. W jeszcze mroczniejsze rejony wkraczało się, gdy zapadały decyzje o zabijaniu w celu zapobieżenia większemu złu. I na przykład Keith uważał, że Cliff Baxter jest tym większym złem, choć rodzice pana Baxtera i jego dzieci mogli się z tym nie zgadzać. W każdym wypadku trzeba było rozważyć wszystkie za i przeciw, ale Keith nigdy nie musiał sam podejmować decyzji, nigdy też nie musiał występować jako narzędzie wykonawcze komitetu, który taką decyzję podjął.
 - Czy zastanawialiście się, że póki on żyje, nigdy nie będziecie bezpieczni?
- Nie sądzę, żeby jaja Baxtera znosiły dalekie podróże.
 - A czy nie myślałeś, że on może skierować swój gniew na... no, powiedzmy, na rodzinę Annie?
- Co ty sugerujesz, Gail? Myślałem, że jesteś pacyfistką.
 - To Jeffrey jest pacyfistą. Gdyby ktoś zagrażał mojemu życiu albo życiu mojej rodziny czy przyjaciół, zabiłabym go.
- Czym? Marchewką?
 - Bądź poważny. Posłuchaj, ja się czuję zagrożona, a przecież nie mogę pójść na policję. Wezmę ten karabin.
 - Dobrze. Przyniosę go. — Podniósł się, ale w tej właśnie chwili Jeffrey zszedł po schodach.
- Potem włożyliśmy to do bagażnika — szepnęła Gail.
 - Ależ mieliśmy zabawę ostatniej nocy! Cieszę się, że wreszcie mogliśmy świętować ogłoszenie waszych zaręczyn.
 - Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, jak by wyglądało wasze życie, gdyby nie wojna i to całe zamieszanie? — zapytał Keith.
 - Tak, zastanawiałem się. Myślę, że nudno. Tak jak teraz. Uważam, że to, co przeżyliśmy, było wyjątkowe. Fakt, wiele osób zostało skrzywdzonych, ale większość nas wyszła z tego obronną ręką. I dzięki temu dziś jesteśmy lepszymi ludźmi. — Po chwili namysłu dodał: — Prawie wszyscy studenci byli śmiertelnie znudzeni, zainteresowani tylko sobą, bez charakteru. Powiedziałbyś, że to republikanie, chociaż sami uważali się za buntowników. Buntowników bez powodu.
- To ty zacząłeś jego ulubiony temat. — Gail spojrzała na Keitha.
- Pamiętasz Billy'ego Marlona? — zapytał Keith Jeffrey a.
 - Jasne. Dupowłaz, chciałby być najlepszym przyjacielem wszystkich. Nawet kilka razy na niego wpadłem.

Usiłowałem być dla niego miły ze względu na dawne czasy, ale irytuje mnie.

- Spotkałem go w barze „U Johna”.
- Na litość, Landry, nie poszedłbym tam, nawet żeby się wysikać.
- Pewnej nocy poczułem tęsknotę.
- Dlaczego o niego pytasz?
 - Czasami, kiedy widzę kogoś takiego jak on, mówię sobie: gdyby nie łaska boska, to samo by się ze mną stało.
 - Gdyby Bóg był naprawdę miłosierny, nie byłoby takich ludzi — skomentowała Gail.
 - Teraz, Keith, wsiadłeś na jej konika. Rozumiem, co chcesz powiedzieć, aleja myślę, że Billy'owie Marlonowie tego świata zawsze dostają w dupę. Oni to nie my.
- Czasami w to wątpię.

Jeffrey zastanawiał się przez chwilę.

— Wyrzebaliśmy się stąd, Keith, ty i ja, i jeszcze kilku. Nie mieliśmy pieniędzy, jak rodzina Baxterów, ani tradycji inteligenckich, jak Prentisowie. Twój stary był farmerem, mój pracował na kolei. Lata sześćdziesiąte umożliwiły nam wyrwanie się z tych środowisk. — Uśmiechnął się. — No i dały nam seks. Wiesz, kiedyś policzyłem, wstecz do czterdziestego piątego, że najprawdopodobniej zaliczyłem więcej kobiet niż wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie razem wzięci. Przypuszczam, że jeszcze tylko podczas drugiej wojny światowej ludzie też się tak zdrowo pieprzyli.

— Czy to był temat jednego z twoich wykładów? — Keith się uśmiechnął.

- A wiesz, że tak.
 - No, dobrze. Było świetnie. Ale jak kiedyś powiedziałeś, robiliśmy wtedy także gówniane rzeczy. Na przykład ty mi przysłałeś gówniany list. Wszystko w porządku. Takie same listy dostawałem od całkiem obcych ludzi. Tyle tylko że bez przerwy powtarzaliśmy: miłość, miłość, miłość, a byliśmy przepelnieni nienawiścią. Ja również. Kiedy dostałem od ciebie tamten list, naprawdę pragnąłem cię zabić. Gdybyś był koło mnie, zrobiłbym to.
 - Co mogę powiedzieć? Byliśmy młodzi. Wzmózona aktywność na powierzchni Słońca, Jowisz i Mars w jednej linii, czy coś w tym guście, a na dodatek spadła cena trawki; byliśmy zdrowo szurnięci. Gdyby nie to, ty i ja siedzielibyśmy wczoraj „U Johna”, skarżąc się na ceny skupu i pensje na kolei, a może Billy Marlon mieszkałby tu zamiast ciebie albo zasiadał w radzie miejskiej, gdyby nie wysłali go do Wietnamu. Chryste, nie wiem. — Odgryzł kawałek bułki — Część tego, kim jesteśmy, pochodzi z genów, część z kultury, część z gwiazd, a bardzo dużo z naszych osobistych doświadczeń. Ty, ja, Cliff Baxter, Annie Prentis i Billy Marlon. Wszyscy urodziliśmy się w tym samym szpitalu i w tym samym roku. Nie potrafię tego wyjaśnić.
 - Ja również nie. Chciałbym, żebyś wyświadczył mi przysługę. Jak wyjadę. Pojedź i sprawdź, czy nie dałoby się czegoś zrobić dla Marlona. Mieszka na farmie Cowleyów, przy drodze numer osiem. Zobacz, czy nie udałoby się go przenieść do szpitala dla kombatantów.

•Jasne. Porządny z ciebie gość.

•Nie rozgaduj tego.

— Masz mieszane uczucia, prawda? Zapytała Gail. — Zamierzasz jeszcze raz opuścić dom, wyruszasz w wielką i niewiadomą podróż, chcesz zacząć od nowa życie z drugą osobą. Jesteś podekscytowany czy wystraszony?

— Jedno i drugie.

Kiedy zjedli śniadanie, Gail zapytała Keitha, czy ma zapasową szczoteczkę do zębów.

— Jasne. Zaraz ci znajdę. Chodź ze mną na górę.

Weszli do pokoju Keitha. Otworzył szafę. Gail popatrzyła na mundury, bagnet, kamizelkę kuloodporną i inne akcesoria niezbędne w jego pracy.

— Co ty właściwie robiłeś? — zapytała.

- To i owo. — Wyciągnął M-16. — Najkrócej mówiąc, spędziłem dwadzieścia pięć lat, walcząc z komunistami. Znudzilo ich to prawie w tym samym czasie co mnie.
- Dawało ci to satysfakcję?
 - Pod koniec mniej więcej tak samo jak tobie twoja praca. Patrz, to jest regulacja ognia. Teraz broń jest zabezpieczona. Jeśli przesuwniesz to tutaj, możesz strzelać. Tylko połóż palec na spuście. Kolejny nabój wsuwa się do komory automatycznie. To jest magazynek, a w nim dwadzieścia naboju. Kiedy go opróżnisz, popchnij ten uchwyt i magazynek wyskoczy, wtedy włóż następny, tylko upewnij się, że wskoczył na miejsce. Pociągnij tę rączkę w tył, w ten sposób załadujesz pierwszy nabój i już dalej wszystko będzie działało automatycznie. — Wręczył jej karabin.
- Jaki lekki — powiedziała.

•I nie szarpie.

Przećwiczyła ładowanie magazynka, ładowanie naboju do komory i celowanie.

— To bardzo proste — oświadczyła wreszcie.

•Fakt. Zostało zaprojektowane dla takich ludzi jak Billy Marlon. Proste, lekkie, łatwe w użyciu i niezwykle śmiertelne. Wystarczy jedynie pociągnąć za spust.

•Sama nie wiem. — Zawahała się.

•W takim razie nie powinnaś go brać.

•Wezmę.

•Dobrze. Tu jest pokrowiec, w bocznych kieszeniach cztery naładowane magazynki, a tutaj celownik teleskopowy, ale nie zawracaj sobie nim głowy. Przydatny jest przy strzelaniu z dużej odległości. Nie sądzę, żeby doszło do potyczki z miejscową policją, ale powinnaś czuć się lepiej, kiedy będziesz to miała w nocy pod łóżkiem, prawda?

—Otworzę bagażnik — powiedziała — i wyciągnę Jeffreya na spacer.

Kilka minut później Keith, już ubrany, zobaczył, jak wychodzą poza ogrodzenie. Kuchennymi drzwiami wymknął się na podwórko i położył M-16 obok pustych pojemników po jedzeniu. Zamknął bagażnik, wrócił do domu i nalał sobie filiżankę kawy.

•Tu jest naprawdę ładnie — oświadczyła Gail, gdy wrócili. Przez chwilę rozmawiali jeszcze o niczym. — No... czas ruszać. — Objęła go i pocałowała. — Powodzenia, Keith. Zadzwoń albo napisz.

•Napiszę. A na razie skontaktujcie się z jakąś firmą z Toledo, niech wam sprawdzi telefon. I kupcie sobie komórkowy.

•Dobra myśl. — Jeffrey uściśnął mu dłoń. — Gdybyś potrzebował czegoś jeszcze przed wyjazdem, lepiej nie dzwoń, tylko wpadnij.

— Myślę, że ustaliliśmy, co trzeba. Klucze do domu zostawiam w skrzynce z narzędziami.

•Dobrze. Będziemy mieć na wszystko oko, dopóki nie wrócisz.

•Dzięki. I powodzenia w rewolucyjnej działalności.

Uściskali się jeszcze raz i Porterowie odjechali. Keith patrzył za nimi, prawie pewien, że zobaczy ich znowu w lepszych czasach.

Jakiś czas później stał na drabinie, wymieniając zardzewiałe zawiasy w drzwiach stodoły. Praca na powietrzu rozjaśniała mu umysł.

Usłyszał chrzęst opon na podjeździe, obejrzał się i zobaczył szarego forda taurusa, za którym wznosił się tuman kurzu.

Nie miał pojęcia, kto to mógł być, ale zawsze podświadomie spodziewał się Annie. Chociaż chyba nie. Zszedł szybko z drabiny, wyjął ze skrzynki z narzędziami Glocka, schował go za pas pod koszulą i ruszył w stronę domu. Z samochodu wysiadł mężczyzna o jasnych włosach, mniej więcej jego wzrostu i wieku, w niebieskim garniturze. Rozejrzał się i na widok Keitha pomachał ręką.

—Czy to jest farma Landrych?

Keith skrzywił się.

•Ładny masz tutaj teren, synu — oświadczył mężczyzna. — Chcę cię albo wykupić, albo stąd wykurzyć, muszę mieć miejsce na moje bydło.

•Jesteś w Ohio, Charlie. — Keith stanął przed gościem. — Tutaj się nie mówi w ten sposób.

•Myślałem, że to Kansas. Jak się masz?

Uściśnęli sobie dłonie, potem lekko się objęli, poklepując po plecach.

Charlie Adair z Rady Bezpieczeństwa Narodowego był bezpośrednim cywilnym zwierzchnikiem Keitha, a bywało, że i najlepszym przyjacielem. Keith zastanawiał się, po co się tutaj zjawił, i podejrzewał, że ma to związek ze sprawami administracyjnymi. Pewnie chodziło o jakieś papiery do podpisania, a może polecono mu naocznie sprawdzić, czy Keith jest tam, gdzie powinien, jak żyje i tak dalej. Chociaż jednocześnie coś mu mówiło, że Charlie przyjechał w innym celu.

•Jak leci, Keith? — zapytał Charlie Adair.

•Jeszcze dwie minuty temu było świetnie. O co chodzi?

•Wpadłem tylko, żeby powiedzieć „cześć”.

•Cześć.

Charlie rozejrzał się naokoło.

•Tutaj się urodziłeś? -Tak.

•Dobre miejsce do dorastania?

•Było dobre.

•Macie tutaj cyklony?

—Co najmniej raz w tygodniu. Gdybyś przyjechał trochę wcześniej,

załapałbyś się. Ale zapowiadają na później tornado, więc jeśli jeszcze będziesz...

Adair uśmiechnął się.

- No i co, wskoczyłeś w stare buty.
- Owszem.
- Ile taka farma jest warta?
 - Nie wiem... czterysta akrów, dom, zabudowania, trochę sprzętu... Może ze czterysta tysięcy dolarów.
 - Nie nabierasz mnie? To całkiem niezłe. Ale w Wirginii farmy dzentelmenów podchodzą pod milion. Keith nie sądził, żeby Charlie Adair przyjechał do hrabstwa Spencer rozmawiać o cenach ziemi.
- Kiedy przyleciałeś? — zapytał.
 - Rannym lotem do Columbus, a tam wynająłem samochód. Przyjemna jazda. Odnalazłem cię właściwie bez trudności. Policja dobrze wiedziała, gdzie jesteś.
- To naprawdę niewielkie hrabstwo.
- Zauważyłem. — I dodał: — Opaliłeś się. Zrzuciłeś trochę wagi.
- To od pracy na dworze.
 - Tak przypuszczałem. — Adair przeciągnął się. — Możemy się przejść? Jestem po długim locie i po długiej jeździe.
 - Jasne. Oprowadzę cię po włościach.
- Kiedy obchodzili dookoła farmę, Charlie udawał zainteresowanie każdym drobiazgiem, Keith zaś udawał, że interesuje go pokazywanie wszystkiego.
- To należy do ciebie? — zapytał Charlie.
- Nie. Do moich rodziców.
- Dziedziczysz po nich?
 - Mam brata i siostrę, ale pierworodny tutaj nie mieszka, więc trzeba będzie kiedyś podjąć jakąś decyzję.
 - Innymi słowy, jeśli któreś z was będzie chciało farmę, powinno spłacić pozostałych dwoje.
 - Czasami tak się właśnie dzieje. Zwykle tak się działo. Dziś spadkobiercy zazwyczaj sprzedają farmę wielkiej korporacji, dzielą się pieniędzmi i dają nogę.
- Niedobrze. To zabija rodzinne farmy. To i podatki gruntowe.
 - Nie ma podatków gruntowych, jeśli farma pozostaje w rękach jednej rodziny.
 - Naprawdę? Przynajmniej coś te dupki z Kongresu dobrze wymyśliły.
- Tak, ale niewiele więcej.
 - Przeszli na pole i spacerowali między zagonami kukurydzy.
 - To stąd pochodzą moje płatki śniadaniowe — rzekł z westchnieniem Charlie.
 - Jeśli jesteś krową. To jest kukurydza pastewna. Karmi się nią bydło, ono staje się tłusciutkie, wtedy sieje zabija i robi hamburgery.
- Mówisz, że nie powinienem tego jeść?
 - Ludzie jedzą słodką kukurydzę. Farmerzy trochę jej sieją, zbiera się ją ręcznie, jakoś tak w sierpniu.
- Czegoś sensownego się dzisiaj nauczyłem. Ty to wszystko zasiałeś?
 - Nie, Charlie, to się robi w maju. Ja przyjechałem tutaj w sierpniu. Nie sądzisz chyba, że kukurydza wyrosła tak w dwa miesiące.
- Nie mam pojęcia. Więc to nie jest twoje?
- Ziemia tak. Ale wydzierzawiona.
- Rozumiem. Czym ci płacą, kukurydzą czy gotówką?
 - Gotówką. — Keith skierował się w stronę indiańskiego kopca cmentarnego. Wdrapali się na szczyt. Charlie potoczył wzrokiem po polach.
 - To serce naszego kraju, Keith. Tego broniliśmy przez te wszystkie lata.
- Od morza do morza.
 - Brakuje ci naszej roboty?
 - Nie.
- Charlie wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów.
- Mogę tutaj zapalić?
- Czemu nie?
- A co tam rośnie? — zapytał, wydmuchując kłęb dymu.
- Soja.
- Ta od sosu sojowego?
- Tak. Niedaleko stąd jest fabryka należąca do Japończyków.
- Chcesz mi powiedzieć, że tutaj są japończycy?
 - Czemu nie? Nie mogą przewieźć milionów akrów amerykańskiej ziemi do Japonii.

Charlie zastanawiał się przez chwilę.

- To jest... przerażające.
 - Nie bądź ksenofobem.
 - Wracając do pracy... — zaciągnął się — oni chcą, żebyś wrócił. Keith już wcześniej to zrozumiał.
 - Zapomnij o tym.
 - Wysłali mnie, żebym cię sprowadził.
 - Powiedzieli mi, żebym sobie poszedł. Więc wracaj do nich i powiedz, że poszedłem.
 - Nie utrudniaj mi, Keith. Bez ciebie mam nie wracać.
 - Charlie, oni nie mogą tak po prostu wyrzucić człowieka, a potem zmieniać zdania.
 - Mogą mówić, co tylko chcą. Ale pragną cię przeprosić za wszystkie niedogodności, na jakie cię narazili. Działali pośpiesznie, nie zastanowili się odpowiednio nad sytuacją na Wschodzie. Czy przyjmiesz ich przeprosiny?
 - Oczywiście. Do widzenia. Kiedy masz lot powrotny?
 - Proponują ci cywilny kontrakt na pięć lat. Wtedy będziesz miał trzydzieści w służbie i pełną emeryturę.
 - Nie.
 - I awans. Wojskowy. Jedna gwiazdka generalska. Jak to brzmi, pułkownika?
 - Przyjechałeś w złym momencie.
 - To jest praca w Białym Domu, Keith. W blasku jupiterów. Możesz być następnym Alexandrem Haigiem. On myślał, że jest prezydentem, ale ta praca stwarza rzeczywiście ogromne możliwości i naprawdę mógłbyś się ubiegać o prezydenturę. Ludzie chcieli, żeby Haig się ubiegał. Ten kraj gotów jest wybrać generała na prezydenta. Czytałem tajne wyniki sondaży na ten temat. Zastanów się nad tym.
 - Dobrze. Pozwól, że się chwilę zastanowię. Nie.
 - Każdy chce być prezydentem.
 - Ja chcę być farmerem.
 - I o to chodzi. Ludzie pokochają cię za to. Wysoki, przystojny, uczciwy człowiek ziemi. Czy znasz historię Cyncynata?
 - Ja ci ją opowiedziałem,
 - Zgadza się. Więc twój kraj znowu cię potrzebuje. Czas przestać przerzucać gównem. Charliemu najwyraźniej wszystko się pomieszało.
 - Wiesz, co bym od razu zrobił jako prezydent? Zwolniłbym cię.
 - To bardzo małaśtka, Keith.
 - Charlie, przestań kręcić.
 - Nie kręczę. Zapomnij o prezydenturze. Kiedy skończysz pracę dla Białego Domu, możesz wrócić tutaj i kandydować do Kongresu, a potem mieszkać w Waszyngtonie. Będziesz miał to co najlepsze z obu tych światów. Możesz robić coś dla swojego hrabstwa i dla kraju. — Adair rzucił niedopałek na ziemię. — Chodź, przejdziemy się.
- Szli znowu między łanami kukurydzy.
- Posłuchaj, Keith — ciągnął Adair — to prezydent się uparł, żeby mieć ciebie w swojej ekipie. Winien mu jesteś przynajmniej odpowiedź. Stań z nim twarzą w twarz. Nawet jeśli nie chcesz tej roboty, musisz mu osobiście powiedzieć, żeby się od ciebie odpięrzył.
- On mi to samo powiedział listownie.
 - Nie on.
 - Nieważne kto. Jeśli ktoś spieprzył, to już nie mój problem. Wiesz, że mam rację.
 - Niebezpiecznie jest mieć rację, kiedy rząd się myli.
 - Czy to groźba? — Keith zatrzymał się.
 - Nie. Tylko dobra rada, przyjacielu. Ruszyli dalej.
 - Czy za rok nadal będzie ci się tutaj podobało? — zapytał Charlie.
 - Jeśli nie, to się przeprowadzę.
 - Posłuchaj, Keith, pewnie mógłbyś szczęśliwie rdzewieć tutaj, wkurzony na tamtych facetów. Ale teraz, kiedy przyniosłem ci ich szczere przeprosiny i propozycję, nie będziesz już miał spokoju. Musisz radzić sobie z nową sytuacją.
 - Właśnie tutaj jest ta nowa sytuacja. Tam wdepnąłbym znowu w to samo stare gówno. Byłem wkurzony, to prawda, ale już mi przeszło.
- Chłopcy oddali mi przysługę. Nie możesz mnie zmusić, żebym wrócił, więc przestań mi wciskać kit.
- No... wiesz, że ciągle jeszcze jesteś wojskowym. Co prawda nie nosiłeś munduru przez ostatnie piętnaście lat, ale pozostajesz pułkownikiem, chociaż w stanie spoczynku, a prezydent jest głównym zwierzchnikiem sił zbrojnych,
 - Pogadaj z moimi prawnikami.
 - Prezydent może cię niekiedy wzywać. Nadszedł taki czas.
 - Nie ze mną te numery.

- Dobrze, w takim razie pomyśl o moim tyłku. Wróc ze mną do Waszyngtonu i powiedz im, że Adair zrobił wszystko, co w jego mocy, ale ty i tak ich pieprzysz i przyjechałeś, żeby im to powiedzieć wprost. Dobrze? Wiem, że chcesz tak właśnie zrobić. Nic nie jesteś im winien. Ale mnie jesteś co nieco i proszę cię teraz o wyrównanie rachunków. Mnie to urzędują, a ty im powiesz, co o nich myślisz. Uczciwa propozycja?
- Ja... Ja nie mogę jechać z tobą...
 - Jesteś mi to winien, Keith. Przyjechałem tu odebrać, co mi się należy, a nie po to, żeby błagać, grozić czy ci się podlizywać. Tylko odebrać co moje.
- Charlie, posłuchaj...
- Bukareszt. Żeby nie wspomnieć misji w Damaszku.
- Posłuchaj, Charlie... Jest kobieta...
 - Zawsze jest jakaś kobieta. Właśnie w taki sposób o mało nie załatwiłeś nas w Damaszku.
- Tutaj jest kobieta...
- Tutaj? Na rany Boga, nie siedzisz tu nawet dwóch miesięcy.
 - Z dawnych czasów. Wiesz, szkoła średnia i studia. Może ci kiedyś o niej wspomniałem, kiedy byłem w sentymentalnym nastroju.
- No... tak. Mówiłeś. Rozumiem. — Zastanawiał się przez chwilę i zapytał: — Mąż?
 - Keith skinął głową.
- No cóż, w tym nie możemy ci pomóc. — Mrugnął. — Ale możemy coś wymyślić.
- Dziękuję, już sam wszystko wymyśliłem. Byli już na podwórku.
- Czy mogę tu zapalić? — Charlie usiadł na małym traktorze.
- Pewnie. To tylko traktor. Nie lata.
 - Właśnie. — Zapalił papierosa i zamyslił się. Po chwili powiedział: — Nie widzę żadnych komplikacji.
 - Jest mężatka. Jak by to wyglądało, gdyby doradca prezydenta mieszkał z zamężną kobietą?
- Załatwimy jej rozwód.
- To będzie trwało lata.
- Pociągniemy za parę sznurków.
 - Nie, nie wolno wam. Nie możecie robić wszystkiego, na co wam przyjdzie ochota. Wydaje się wam, że możecie, ale nie. Istnieje coś takiego jak prawo.
- Zgoda. Czy zamierzasz wkrótce z nią zamieszkać?
- Tak. Lada moment.
 - Zainstalujemy ją w osobnym mieszkanku w Waszyngtonie. Wielkie mi rzeczy.
 - Charlie, nie to planujemy. Nie jestem aż tak ważny dla globalnego pokoju. Świat poradzi sobie bez moich rad. Niebezpieczeństwo minęło. Robiłem to, co było obowiązkiem. Teraz zaczęło się liczyć również moje życie.
- Cieszę się. Możesz mieć i życie, i karierę. Jednocześnie.
- Nie tego typu karierę.
 - Tym razem nie będzie to już tak szalone. Jasne, w tej robocie nie da się wracać do domu o czwartej i od czasu do czasu trzeba się gdzieś przelecieć, ale już nie za żelazną kurtynę. Rozwalili ją.
- Tak. Widziałem to na własne oczy.
 - No właśnie. — Przyglądając się desce rozdzielczej traktora, Charlie zapytał: — Wiesz, jak to prowadzić?
- A jak bym inaczej wyjeżdżał przez bramę?
- Myślałem, że traktory są większe.
- To model ogrodowy. Używany do prac w obejściu.
- Nie żartujesz sobie ze mnie? A gdzie jest ten duży?
 - Ojciec go sprzedał — odparł Keith. — No więc, dziękuję ci, że wpadłeś. Powiedz cześć znajomym. O której odlatuje twój samolot?
- Charlie spojrzął na zegarek.
- Druga pięćdziesiąt z Toledo. Ile zabierze mi jazda stąd na lotnisko?
 - Jakaś godzinę, a jak będzie duży ruch, to trochę więcej. Lepiej, żebyś już ruszał, bo możesz się spóźnić.
- Mam jeszcze czas na piwo.
- Chodź do środka.
 - Charlie zeskoczył z traktora i weszli do domu kuchennymi drzwiami.
- Skończyło mi się — powiedział Keith.
- To daj cokolwiek, pić mi się chce.
 - Nie wątpię. Przez ostatnie pół godziny dymiełeś jak parowiec. — Otworzył lodówkę i wyjął dzbanek z wodą. Nalał do dwóch szklanek. — To prawdziwa źródłana woda.
- Charlie wypił duszkiem pół szklanki.
- Dobra.

- W czasach prehistorycznych było tutaj morze. Pod warstwą ziemi mamy czysty wapień. Przez miliardach lat szkielety małych morskich stworzonek utworzyły pokaźną warstwę.
Charlie spoglądał na niego podejrzliwie.
- Naprawdę?
- Mam zamiar ją butelkować i sprzedawać białym kołnierzykom wD.C.
- Dobry pomysł. Siądźmy na minutę. — Usiedli przy dużym stole, Charlie przez dłuższą chwilę milczał, co wcale się Keithowi nie podobało. — Zamierzasz tutaj z nią zostać? — zapytał wreszcie.
- Nie.
- Gdzie się wybieraliście?
- Teraz Keithowi nie podobało się użycie czasu przeszłego w pytaniu.
- Nie wiem, gdzie się wybierzemy — odparł.
- Musisz nas zawiadomić. Taki jest przepis.
- Zawiadomię was, żebyście mogli mi wysłać czekić. Charlie skinął głową. Myślami był chyba gdzie indziej.
- Wiesz, kiedy tu jechałem, przydarzyło mi się coś zabawnego. Keith nie odpowiedział.
 - Podjechałem na posterunek policji i ten facet, oficer dyżurny, chyba nazywa się Blake... Kiedy go zapytałem, czy wie, gdzie mieszkasz... miał dziwną minę. Zaczął mi zadawać pytania. Chciał wiedzieć, jaką mam do ciebie sprawę. Czułem się tak, jakbym wrócił do Niemiec Wschodnich. Czy mogę zapalić?
- Jasne.
Charlie zapalił papierosa, popiół strząsał do szklanki.
 - To mi dało do myślenia. Przecież jestem szpiegiem. W każdym razie kiedyś nim byłem. Przyszło mi do głowy, że może ci ktoś tutaj nadepnął na odcisk i policja cię wzięła pod opiekuńcze skrzydła. Albo że może powiedziałeś im, kim byłeś, i kazałeś się informować, gdyby ktoś o ciebie pytał. Na przykład ktoś o imieniu Igor, z rosyjskim akcentem. Ale to nie trzymało się kupy, bo kiedy przyjechałem tutaj, wyglądałeś na zaskoczzonego. A więc cię nie zawiadomili.
- Charlie, za długo już w tym siedzisz.
 - Wiem. Sam doszedłem do podobnego wniosku. Ale kiedy wychodziłem, podszedł do mnie inny policjant. Potężny facet. Powiedział, że jest szefem. Nazywa się Baxter. Zapytał, po co jadę na tę farmę. Nie kazałem mu się odpięrzyć, na to jestem za sprytny, liczyłem, że coś od niego wyciągnę. Coś mi zaczęło wyglądać, że naraziłeś się miejscowej władzy. Więc mignąłem mu papierami, mówiąc, że to oficjalna sprawa rządowa.
- Musisz się nauczyć pilnować własnego nosa, Charlie.
 - Teraz zaczynam się o ciebie martwić. Ten facet jest groźny. Jak policjant z kiepskiego horroru, gdzie całe miasteczko opanowują Obcy. Był taki film, pamiętasz? No więc, wtedy ten pan Baxter nie był już taki hardy, tylko zapytał, czy mógłby służyć pomocą. Odparłem, że może i tak. Pan Landry dostaje emeryturę od Amerykańskiej Organizacji Ochrony Dzikich Zwierząt, powiedziałem — obaj uśmiechnęli się na wspomnienie starego dowcipu — no i pan Landry stara się o część etatu w miejscowym oddziale organizacji, a ja przyjechałem, żeby sprawdzić jego morale i czy jest akceptowanym członkiem miejscowej społeczności. Na co szef policji poinformował mnie, że pan Landry miał kilka zatargów z miejscową władzą, wspominał o incydencie w parku, kiedy pijany naruszał porządek publiczny. Przeszkadzałeś też policjantom w pełnieniu ich obowiązków służbowych na jakimś parkingu. Twierdził, że rozmawiał z tobą na temat twojego antyspołecznego zachowania, ale tylko mu pyskowałeś. Doradzał odrzucenie twojej oferty pracy. Powiedział także, że ktoś powinien sprawdzić, czy na pewno przysługują ci rządowe pieniądze. Chyba cię nie lubi.
- Byliśmy rywalami w szkole średniej.
 - Naprawdę? I coś jeszcze. Powiedział, że starał się sprawdzić twoje numery rejestracyjne i okazało się, że nie jesteś zarejestrowany. W tym momencie zacząłem interesować się panem Baxterem. — Wrzucił papierosa do szklanki. — Co się dzieje, Keith? Rywalizacje szkolne są już dawno za nami.
- Tak. No więc, *cherchez lafemme*, mądrało. -Aha.
- Wezmę jednego papierosa.
— Jasne. — Charlie podsunął mu paczkę i zapalniczkę. — Ale chyba nie sypiasz z córką szefa policji?
Keith zapalił papierosa i zaciągnął się.
- Nie, z żoną.
 - Więc to tak! Kobieta. A ja myślałem, że wróciłeś tutaj, żeby się zrelaksować.
- Mówiłem ci. Odezwała się przeszłość.
 - Wszystko to brzmi bardzo romantycznie. Ale może opiszmy całą sytuację równaniem.
- Mów po ludzku.
- Dobrze. Masz zamiar z nią uciec?
- Taki jest plan.
- Kiedy?

- W sobotę rano.
- Nie możecie trochę poczekać?
- Nie. Robi się gorąco.
- No, ja myślę. Dlatego nosisz gnata pod koszulą, co? Keith nie odpowiedział.
- Czy mąż wie?
 - Nie. Gdyby wiedział, ten dom już byłby pod ostrzałem. Ale wie, że jego żona i ja byliśmy kiedyś razem. I nie lubi o tym myśleć. Mam się wynieść z miasta, dał mi czas do jutra.
- Czy masz zamiar go zabić?
 - Nie. Obiecałem jej, że tego nie zrobię. Mają dwójkę dzieciaków. Na studiach.
 - No cóż, miały go wystarczająco długo. Zostaną im dobre wspomnienia i polisa ubezpieczeniowa.
- Charlie, nie żartuj na temat zabijania. Tego mam naprawdę dość.
 - Eliminacja. W żartach słowo „zabijać” brzmi nieładnie. — I dodał: — Czy życie nie okazałoby się dla ciebie łaskawe, gdyby ten facet popełnił samobójstwo albo miał wypadek? Ja go nie lubię.
- Nie spełnia naszych warunków eliminacji.
- Groził ci fizycznie?
- Coś w tym stylu.
- No to masz. Paragraf piąty.
- Piąte przykazanie. Stary Testament.
 - Tutaj mnie masz. Rób, co masz zrobić. I pamiętaj, że jeśli przyjedziesz do Waszyngtonu, wszystko się ułoży. Życie w stolicy jej się spodoba.
- Nie przez pięć lat. To dziewczyna z prowincji, Charlie.
- Chciałbym ją poznać.
- Jasne. — Keith odłożył papierosa.
- Lecisz ze mną tym o drugiej piętnaście. Wiesz o tym, prawda?
- Pierwsze słyszę.
 - Nie masz wyjścia, Keith. Wierz mi. Ale wolałbym, żebyś to potraktował jako oddanie mi przysługi. Nie dlatego, że jesteś moim dłużnikiem, lecz że bym ja był twoim.
- Wolę tutaj słuchać tego pieprzenia.
 - Pojedziesz do Waszyngtonu, żeby ratować mój tyłek. Nie mogę wrócić i oznajmić sekretarzowi obrony, że mi się nie udało cię namówić, byś stanął przed nim i prezydentem. Jezu, wysłaliby mnie do Islandii i przez następną kadencję liczyłbym bipnięcia radaru. Moja żona by uciekła z kimś takim jak ty.
 - Skończ z tym. — Keith przez chwilę milczał. — Bardziej polegają na naszej wzajemnej lojalności niż na naszych zobowiązaniach w stosunku do rządu.
- Dzisiaj już tylko to działa.
- Nie czujesz się wykorzystany?
 - Pewnie. Wykorzystany, kiepsko opłacany, niedoceniany i niepotrzebny. Masz rację, niebezpieczeństwo minęło, a my... jak to szło? Niebezpieczeństwo za nami, to, co było złe, okazało się dobre, o weteranach zapomniano, żołnierze poszli w odставку.
- Święta prawda.
 - No i co z tego? Gramy, bo nam płacą. Wiesz, stary, czasami czuję się tak, jakbym był w drużynie futbolowej, która właśnie wygrała ważny mecz. Zawodnicy drużyny przeciwnej rozeszli się do domów, trybuna są puste, a my gramy dalej, choć zostaliśmy sami. — Przez moment siedział cicho. Keith widział, że Charlie Adair też przechodzi mały kryzys zaufania, ale z Charliem nigdy tak naprawdę nie było wiadomo.

—Spotkanie jest jutro rano.

—Prawdę mówiąc, planowałem, że polecę do Waszyngtonu w sobotę o drugiej piętnaście — powiedział Keith. — Czy nie moglibyśmy przelożyć tej randki na poniedziałek?

Charlie odpowiedział, używając swego najbardziej służbowego tonu:

- Dobry człowieku, masz spotkanie z sekretarzem obrony jutro o jedenastej, następnie pójdziesz do Gabinetu Ovalnego, gdzie dokładnie o jedenastej pięćdziesiąt pięć uściśniesz dłoń prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeśli ci dwaj dżentelmeni będą chcieli dostosować swój rozkład dnia do twojego, być może następne spotkanie odbędzie się w poniedziałek.
- Wydaje mi się, że wolny obywatel, korzystający z dobrodziejstw konstytucji, chciałby zostać odrobinę wcześniej zawiadomiony...
- Keith. Dość. Nie jesteś osobą prywatną bardziej niż ja. I wiesz, jak takie sprawy są załatwiane. Coś takiego przydarzyło się sir Patrickowi Spence'owi.
- Komu?
 - Temu facetowi ze szkockiej ballady. Moje korzenie sięgają do Szkocji, a jesteśmy akurat w Spencerville. Dlatego o tym pomyślałem.

•O czym?

•O szkockiej balladzie. — Zaczął recytować: — *Król siedzi w mieście Dumferling, pije wino czerwone jak krew, och, gdzie ja znajdę dobrego żeglarsza, by poprowadził mój statek?* — to mówi prezydent. Potem: *Wstał stary rycerz, co siedział po prawicy króla* — to sekretarz obrony

— mówi: *Sir Patrick Spence jest najlepszym żeglarzem, jaki pływał po morzach. To o tobie. A potem: Król pisze królewskie pismo, pieczętuje je i wysła do sir Patricka, co wędrował po pustkowiach. To chodzi o mój przyjazd tutaj. I teraz: Kiedy sir Patrick przeczytał pierwsze zdanie, ro ześmiał się głośno, ale gdy zdanie przeczytał drugie, łza go oślepila* — to znowu o tobie.

•Dziękuję ci, Charlie.

•*Och, kim jest ten, kto uczynił tę podłość, kto wysłał mnie o tej porze roku, bym żeglował po morzu. Spiesz się, spiesz się, moja wesola kompanio, nasz statek odpływa z por... dokładnie o drugiej piętnaście... Nie mów już nic, miły panie, bo wiatr już dmie z całej nfy.* Tak to właśnie było — zakończył Charlie Adair. — Tak też się działo od początków czasu. Królowie siedzieli, zbijając baki, jakiś pomysł wpadał im do głowy, banda durniów przyklaskiwała im, że to znakomita myśl. A potem mnie wysyłali, żebym ci powiedział o zleceniu. — Spojrzał na zegarek. — Więc spiesz się, spiesz, panie Landry.

•Jeśli wolno spytać, co się przydarzyło sir Patrickowi Spence'owi?

•Utonął podczas sztormu. — Charlie podniósł się. — W porządku, możesz jechać tak jak stoisz minus pistolet, ale proszę, zapakuj garnitur. Zachodnie skrzydło Białego Domu mogłoby pęknąć na twój widok.

•Muszę być tutaj z powrotem najpóźniej jutro wieczorem.

•Będziesz. Posłuchaj, jeśli zjedziesz do Waszyngtonu ze swoją panią w sobotę, ja z Katherine zaprosimy was na obiad. Wszystko zależy od Wujka Sama. Chciałbym ją poznać.

•Nie przyjmę tej pracy.

•Mylisz się. Powiesz im, że musisz to przemyśleć przez weekend. I że powinieneś przedyskutować to ze swoją narzeczoną. Dobrze?

•Po co komplikować sprawy?

•Może jesteście jej to winieni... A tak przy okazji, jak jej na imię?

•Annie.

•Powinieneś pomówić z Annie na temat waszych przyszłych planów. Pokażemy jej Waszyngton, a potem obgadamy sprawę. Katherine jest w tym bardzo dobra.

•Annie to prosta dziewczyna z prowincji. Mówiłem ci, to nie jest życie...

•Kobiety kochają miasta. Sklepy, restauracje, sklepy. Gdzie się zatrzymasz?

•Nie wiem.

•Zarezerwuję wam pokój w Four Seasons. Będzie zauroczona Georgetown. Tam jest dokładnie tak jak w centrum Spencerville. Możesz pokazać jej tereny swoich dawnych łowów. Tylko trzymaj się z daleka od Chadwick. Linda nadal tam mieszka, a przecież nie chcemy żadnych scen. Już się cieszę na ten weekend.

•Ależ gnida z ciebie.

•Wiem.

Keith zostawił Charliego w kuchni, a sam poszedł na górę, żeby spakować torbę podróżną.

W drodze na lotnisko to on rozpoczął rozmowę:

—Kiedy mi powiedzieli, żebym odszedł, nie wstawiłeś się za mną.

Charlie zapalił papierosa.

•Po co? Byłeś wypalony, stary. Chciałeś odejść. Przecież wiesz. Czemu miałbym przeciągać twój smutek?

•Co każe ci sądzić, że teraz jestem mniej wypalony?

•Nic, to nie był mój pomysł. To oni uważają, że zostało w tobie jeszcze trochę energii. Jak w sadzy.

•Interesująca analogia. Co się dzieje z sadzą?

•Paruje i znika.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

K

iedy Keith i Charlie przybyli na lotnisko Toledo, do odlotu zostało zaledwie kilka minut. Mieli bilety pierwszej klasy.

- Czy w Waszyngtonie powitają mnie salutem armatnim? — zapytał Keith.
- Oczywiście. I rozłożą czerwony dywan.
- Orkiestra wojskowa?

—Cała gala. Biuro podróży Białego Domu pracuje jak należy.

Keith nałożył słuchawki i podczas całego lotu czytał, żeby dłużej nie słuchać Charliego Adaira.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania. Siedzieli po lewej stronie, z której był lepszy widok. Rządowe i wojskowe zakazy nie pozwalały samolotom nadlatywać na krajowe lotnisko ze wschodu — chodziło o bezpieczeństwo Białego Domu — i samoloty z północy, południa i zachodu miały problemy ze schodzeniem nisko ze względu na wysokie budynki na brzegu Potomacu i ograniczenia hałasu na przedmieściach Marylandu. Z tych powodów, jeśli lot był z północy, tak jak teraz, lecieli nad samym Potomakiem, dzięki czemu oglądali wspaniałą panoramę.

Keith, siedzący przy oknie, patrzył na skąpane w słońcu miasto. Samolot zdawał się ślizgać po wodzie. Widział Georgetown, Watergate, potem Mall i pomniki Lincolna, Waszyngtona i Jeffersona, a z oddali Kapitol. To był naprawdę przepiękny widok, i nigdy mu się nie nudził, a już szczególnie gdy nie oglądał go przez dłuższy czas.

Zdawał sobie sprawę, że podczas lądowania miasto zacznie oddziaływać na niego czymś w rodzaju własnej siły przyciągania. Charlie Adair musiał również o tym wiedzieć, kiedy prosił o bilety po lewej stronie samolotu.

Wylądowali zgodnie z rozkładem. Nie było ani czerwonego dywanu, ani salutów, ani orkiestry wojskowej, ale czekał na nich rządowy lincoln z szoferem, który zabrał ich do hotelu Hay-Adams na Szesnastej Ulicy, przecznicy od Białego Domu.

Adair zaproponował jeszcze wspólnego drinka, ale Keith zaoponował:

—Jak na jeden dzień byłeś już wystarczająco grzeczny.

- Nie zaliczaj tego na moje konto.
- O której jutro?
- Przyjadę po ciebie o dziesiątej trzydzięci.
- Trochę za wcześnie, jeśli spotkanie zaczyna się godzinę później.
 - Znasz zasady Białego Domu. Pół godziny wcześniej to już za późno. Minutę później to poważny błąd.
- Czekam na ciebie o jedenastej.
- Możemy trafić na korek. Samochód może się zepsuć...
- Możemy pójść piechotą. Budynek widać nawet stąd. Zobacz.
- Dziesiąta czterdzieści pięć.
 - W porządku. Przyniesź mój bilet powrotny, inaczej nigdzie z tobą nie pójde.
- Będę go miał.
- I zrób mi rezerwację. Do Toledo, Columbus albo Dayton.
- Zrobię. Do zobaczenia jutro.

Keith wszedł do odnowionego słynnego hotelu i zameldował się. Rezerwację zrobiło biuro podróży Białego Domu, wszyscy więc okazywali mu szacunek. To było miasto, o czym dobrze wiedział, gdzie żyło się i oddychało władzą, a nie —jak sądziło wielu — polityką.

Przez okno pokoju widział Lafayette Square, Biały Dom i potężną kopułę Kapitolu za nim. Nie było go niecałe dwa miesiące, ale szalona energia tego miejsca działała mu już na nerwy. Za gorąco, za wilgotno, za dużo samochodów, za dużo klaksonów, za dużo ludzi, po prostu za dużo wszystkiego.

Zastanawiał się, czy się nie odezwać do Porterów, ale istniała możliwość, że mają telefon na podsłuchu, zresztą nie było powodu, by dzwonić do nich czy do siostry Annie. Będzie z powrotem w Ohio w piątek wieczorem, w domu przed północą, a w domu Terry przed dziesiątą rano w sobotę.

Zastanawiał się też, czy nie zadzwonić do przyjaciół w Waszyngtonie, ale właściwie nie było po co. W tym mieście, zamieszkanym przez pracowników rządowych, przyjaciele są jednocześnie współpracownikami. Gdy mieszka się na przedmieściach, istnieje szansa zaprzyjaźnienia się z sąsiadami, ale życie towarzyskie osoby wynajmującej mieszkanie w mieście — tak jak on to robił — jest przedłużeniem zawodowego. Keith dostał co prawda kilka listów od dawnych kolegów, ale wiedział, że jeśli wypada się z roli, wypada się w stu procentach, nawet jeśli się nie zmieni miejsca zamieszkania.

Sięgnął do pokojowego barku i zrobił sobie drinka. Stał i patrzył na miasto, które ktoś niedawno określił jako ostatnią i jedyną stolicę władzy na świecie. Czy mógłby tu znowu żyć? Dlaczego miałby tego pragnąć? Nie widział się tu nawet w roli emerytowanego pracownika rządowego.

W jakiś sposób był typowym przedstawicielem setek tysięcy mężczyzn i kobiet, wojskowych i cywilów, których kariery przerwało zakończenie zimnej wojny. Jeśli tak na to spojrzeć, to niczym też nie różnił się od milionów innych wojowników z przeszłości, zwycięzców i przegranych, którzy w jednej chwili przestali być potrzebni. Ale w przeciwieństwie do żołnierzy i weteranów z opowiadki Charliego Adaira nigdy nie czuł się lekceważony, a fakt, że został zatrudniony, sprawił mu radość.

Patrzył w dół na samochody tkwiące w korku, potem podniósł wzrok. Większość ludzi, których znał, w takiej samej jak jego sytuacji, nie powróciła dosłownie do domów jak on, ale... Z drugiej strony chciał zapomnieć o przeszłości i odniósł wrażenie, że mu się udało. Naprawdę. Mogę powiedzieć „nie” prezydentowi. O to właśnie walczyłem. Panie prezydencie, której części słowa „nie” pan nie może zrozumieć? — Uśmiechnął się do siebie.

Zjadł wczesną kolację samotnie w pokoju, do Chateaubriand i trufli zamówił butelkę Banfi Brunello di Montalcino. Powtarzał sobie, że nie tęsknił do takiego jedzenia, ale potem musiał przyznać, że jednak tak. Jeśli wyląduje w Spencerville, kupi kilka dobrych książek kucharskich. Porterowie dobrze sobie radzą z warzywami, on wyspecjalizuje się w mięsach, a może Annie nauczy się piec ciasto. Choć może nie. Co to właściwie za różnica. W dodatku nie miał pojęcia, gdzie tak naprawdę wyląduje. Ważne było to, że krótki pobyt w Waszyngtonie podkreślił różnice między stolicą a Spencerville — nie żeby trzeba je specjalnie podkreślać, były dość wyraźne.

Jednak musiał przyznać, że w jakiś dziwny i perwersyjny sposób brak mu było tego miasta. Charlie Adair też to wiedział i dlatego właśnie go tu przywiózł. Keith powtarzał sobie, że nie może znowu zamieszkać w Waszyngtonie, nie może też mieszkać w Spencerville. Musi znaleźć jakiś neutralny teren, gdzie on i Annie żyliby szczęśliwie i w spokoju.

Po kolacji wyszedł. Na dole poprosił portiera, żeby sprowadził mu taksówkę.

— Georgetown — rzucił kierowcy.

Taksówka ruszyła za rzędem innych samochodów na główną ulicę handlową Georgetown. Mijali stare lokale, które budziły wspomnienia o błyskotliwych, młodych ludziach, siedzących za barem lub przy stolikach, dyskutujących o sztuce, literaturze, podróżach, a czasami także o sporcie. Ale to były tylko *hors d'oeuvres*, pobudzające apetyt na główne danie, a tym zawsze w Waszyngtonie była polityka i władza.

Keith pokierował taksówkarzem tak, by przejechali koło jego dawnego mieszkania na Wisconsin Avenue, a potem bocznymi uliczkami, gdzie mieszkali jego przyjaciele, a także przyjaciółki. Na ulicach nie zobaczył nikogo znajomego, co mu odpowiadało.

Starał się wyobrazić sobie tutaj Annie i pomyślał, że budziłaby zdziwienie i czuła się zagubiona w tym świecie. Nawet taka prosta czynność, jak polecenie portierowi, by zamówił taksówkę, była jej obca. Jasne, szybko by się tego nauczyła, ale to nie znaczy, że bawiłoby ją miejskie życie, nawet w Georgetown. Nie, czułaby się oderwana od korzeni i uzależniona od niego, a to by prowadziło do urazu; a jeśli kobieta czuje się dotknięta, kto wie, do czego może dojść?

Oczywiście, mogliby zamieszkać na przedmieściach, i on by dojeżdżał do pracy kolejką. Ale od razu wyobraził sobie, jak dzwoni do niej do Wirginii czy Marylandu i mówi, że ma spotkanie, które potrwa do północy. Młode pary w Waszyngtonie — gdzie indziej zresztą też — prowadziły takie życie, lecz młodzi mają więcej sił, by borykać się z codziennymi trudami, zazwyczaj oboje robią karierę, a w dodatku jedno z nich nie spędza prawie całego życia w piętnastotysiecznym miasteczku.

Ona by się na pewno dostosowała i prawdopodobnie nawet by się nie skarżyła, ponieważ taka właśnie jest. Ale w ich związku nie byłoby równowagi, bo to byłby jego świat, jego praca, jego przyjaciele i koledzy, a on już nie dbał o ten świat, o tę pracę, o tych przyjaciół i kolegów. I to on byłby nieszczęśliwy.

Choć może nie. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Wiedział, że nie chce na Annie robić wrażenia splendorem Waszyngtonu, koktajlami, eleganckimi kolacjami, ważnymi ludźmi i władzą. Na nim nie robiło to wrażenia i wątpił, żeby ją poruszyło. Z drugiej jednak strony rok czy dwa... nie byłoby to takie złe. W tym czasie sytuacja w Spencerville mogłaby się sama rozwiązać. Bawił się tą myślą, ale wreszcie zapytał sam siebie:

•Czy to wypali? Taksówkarz obejrzał się.

•Słucham pana.

—Nie, nic. Proszę tutaj skręcić w prawo. — Keith przeczytał nazwisko na licencji: Vu Thuy Hoang, i zapytał: — Lubi pan Waszyngton?

Mężczyzna, doświadczony taksówkarz, na dodatek obciążony wielowiekową tradycją grzeczności Wietnamczyk, odpowiedział:

—Tak. Bardzo dobre miasto.

Jak wielu innych jego ziomków, którzy żyli i pracowali w stolicy, ten człowiek cierpi, doszedł do wniosku Keith. W Vu Thuy Hoang mógłby opowiedzieć o rozpacz, co zawstydziliby większość Amerykanów, z nim włącznie. Nie chciał znać tej opowieści, ale zapytał:

—Z jakiej części Wietnamu pan pochodzi?

Przyzwyczajony do pytań aż za wielu wietnamskich weteranów, taksówkarz odpowiedział szybko:

—Phu Bai. Zna pan?

- Tak. Wielka baza lotnicza.
- Tak, tak. Wielu Amerykanów.
- Wróci pan do domu? -Nie.
- Chciałby pan wrócić?

Mężczyzna przez kilka sekund milczał, wreszcie odpowiedział:

- Może. Z wizytą.
- Ma pan rodzinę w Phu Bai?
- O tak. Duża rodzina.
- Czy chętnie by pana powitali? Może pan tam wrócić?
- Nie. Nie teraz. Kiedyś. Może.

Mężczyzna wyglądał na jakieś czterdzieści kilka lat. Keith z jakiegoś powodu wyobraził sobie, że w swoim kraju był persona non grata. Może pracował jako urzędnik państwowy w dawnym reżimie albo był oficerem, zbyt blisko współpracował z Amerykanami, a może zrobił coś gorszego, na przykład był członkiem dawnej, znienawidzonej policji. Kto wie? Nigdy ci nie powiedzą. Liczyło się tylko to, że w Phu Bai był szef policji, ten szef policji miał listę, a na tej liście figurowało nazwisko tego człowieka. Szef policji był wietnamskim odpowiednikiem Cliffa Baxtera, tyle że konflikt między Keithem i Baxterem nie był ani polityczny, ani filozoficzny, tylko czysto osobisty. Ale sprowadzało się to do tego samego — niektórzy nie mogli wrócić do domu, bo inni tego sobie nie życzyli.

- Wracajmy do hotelu — powiedział Keith.
- Nie zatrzymujemy się nigdzie?
- Nie. Prosto do hotelu.

Wysiadając, Keith dał Wietnamczykowi dziesięciodolarowy napiwek i radę za darmo:

—Niech pan wraca do domu. Kiedy tylko będzie pan mógł. Nie ma na co czekać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nazajutrz rano w pokoju Keitha zadzwonił telefon.

— Jestem na dole — rozległ się w słuchawce głos Charliego Adaira.
— Zejdź, kiedy tylko będziesz gotowy.

Keith powstrzymał się od sarkastycznej odpowiedzi. W którymś momencie nocnych rozmyślań doszedł do wniosku, że Charlie nic tu nie zawinił.

— Będę za pięć minut.

Patrząc w lustro, poprawił krawat i przejechał szczotką po granatowym garniturze. Jeśli nie liczyć sportowej marynarki i krawata na niedzielnej mszy u Świętego Jakuba, ubrał się tak formalnie po raz pierwszy od przyjęcia pożegnalnego, które odbyło się prawie dwa miesiące temu.

— Wyglądasz na miejscowego, Landry — rzekł do siebie. Wyszedł z pokoju i zjechał windą na parter.

Charlie powitał przyjaciela z pewną ostrożnością, niepewny jego nastroju, ale Keith powiedział tylko:

- Masz rację, to nie twoja wina.
- Instynkt cię nie zawodzi. Chodźmy.
- Bilet.

•Och, no dobrze... — Charlie wyciągnął bilet lotniczy z kieszeni i podał go Keithowi. — Zarezerwowałem ci lot do Columbus liniami USAir, bez przesiadek. Masz tu również bilet na wynajęcie samochodu.

Keith obejrzał bilet. Samolot odlatywał z National Airport o siódmej trzydzieści pięć, na miejscu miał być o dziewiątej pięć.

- Nie mogłeś wziąć nic wcześniejszego? — zapytał.
- To był pierwszy bezpośredni w pierwszej klasie.
 - Mam w nosie bezpośredniość i pierwszą klasę. Nie było nic wcześniejszego do Toledo czy Dayton?
 - Dayton? Gdzie to jest? Posłuchaj, rezerwację załatwiało biuro podróży Białego Domu. Myślę, że nie było specjalnie dużo lotów do wyboru. Ciesz się, że lecisz do Columbus w Ohio, a nie Columbus w Georgii. Jeśli masz ochotę, możesz później spotkać się z urzędnikiem, który wypisywał ci bilet.
- Nie ma sprawy. Ruszajmy.

Wyszli głównymi drzwiami, przy krawężniku czekał na nich lincoln. Ponieważ padało, kierowca przeprowadził ich do wozu, osłaniając parasolem.

Usiedli na tylnym siedzeniu.

- Rozmawiałem wczoraj wieczorem z doradcą sekretarza. Bardzo się ucieszył, że udało ci się przejechać.

- Miałem jakiś wybór?
 - To ich zwyczajna gadka. Udają skromność. Sekretarz obrony powie ci: „Keith, to cudownie, że pan przyjechał. Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy panu kłopotu”.
- Czy to wtedy mam mu powiedzieć, żeby się odpiął?
 - Nie. Jest przygotowany na ponowne przyjęcie cię do drużyny, więc kiedy on powie: „Miło, że jesteś znowu z nami”, ty odpowiesz: „Miło być w Waszyngtonie”, jakbyś niedokładnie zrozumiał, o co mu chodzi. Potem wymienisz uścisk dłoni z prezydentem. Jeśli poinformowano go, że się wahasz, powie: „Pułkowniku, mam nadzieję, że rozważy pan naszą ofertę z uwagą i przyjmie ją pan”. Wtedy ty powiesz: „Tak zrobię, proszę pana”, mając na myśli namysł, nie przyjęcie. Łapiesz?
 - Charlie, byłem mistrzem dwuznaczności, ekspertem od nic nie-znaczących zdań, mogłem wyklądać niejasność. Dlatego właśnie nie chcę wracać. Zacząłem się od nowa uczyć prostego języka.

•To bardzo niepokojące.

•Zakładam, że nie powiedziałaś Tedowi Stansfieldowi o mojej niechęci do tej pracy.

•Nie, ponieważ chcę, żebyś to jednak rozważył. Zastanawiałeś się nad propozycją?

-Tak. -I?

•No cóż, wsiadłem wczoraj wieczorem do taksówki i podczas jazdy sporo sobie przemyślałem. Pojechałem do pomnika Lincolna, stanąłem przed tym wielkim człowiekiem i zapytałem go: „Abe, co powinienem zrobić?”. I pan Lincoln przemówił do mnie. Powiedział: „Keith, Waszyngton cuchnie”.

•A niby co ci miał powiedzieć? Przecież tutaj został zastrzelony. Powinieneś być zapytać kogoś innego.

•Na przykład? Pięćdziesięciu tysięcy facetów, których nazwiska wyryte są na czarnej ścianie? Wolałbyś chyba nie słyszeć, co oni mają do powiedzenia na temat Waszyngtonu.

•Nie, chyba nie.

Służbowy samochód objechał Lafayette Square i zatrzymał się na Siedemnastej Ulicy przed wejściem do zachodniego skrzydła.

—Posłuchaj, Keith, to jest twoja decyzja — powiedział Charlie. — Zrobiłem tylko to, o co mnie poproszono. Dostarczyłem cię na miejsce.

•Nie poprosili cię, żebyś mnie namówił do przyjęcia tej pracy?

•Nie, uważali, że z radością wskoczysz w siodło. Aleja wiedziałem, że tak nie będzie.

•Miałeś rację.

•Dlatego mogę się czuć nieco niezręcznie podczas spotkania.

•Będę chronił twój tyłek.

•Dzięki.

Keith wyjrzał przez okno. Dokładnie naprzeciwko zachodniego skrzydła, po drugiej stronie Siedemnastej Ulicy mieściło się jego dawne miejsce pracy, Old Executive Office Building, stuletnia konstrukcja z granitu i żelaza, wzniesiona w stylu drugiego cesarstwa. Ludzie albo zachwycali się tym budynkiem, albo go nie znosili. Niedawno odnowione wnętrze było wystarczająco wspaniałe, by budzić zakłopotanie, szczególnie jeśli się miało okno wychodzące na murzyńskie getto.

Budynek był czterokrotnie większy od Białego Domu i kiedyś mieściły się w nim Departament Obrony, Departament Stanu, Departament Marynarki Wojennej i jeszcze zostawało trochę wolnego miejsca. Obecnie nie wystarczał nawet dla pracowników Białego Domu, wydzielono go więc na biura dla wyższych rangą urzędników, na przykład tych, którzy pracowali w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, czymś w rodzaju grupy doradców prezydenta, miejscu dla byłych pracowników CIA, Agencji Wywiadu Obrony, dla której kiedyś pracował Keith, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, zajmującej się głównie kryptografią, wywiadu Departamentu Stanu czy innych widmowych twórców, w jakie obfitował Dystrykt Kolumbii.

Wśród tych ludzi był dyrektor CIA, sekretarz obrony, sekretarz stanu, przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabu i inne wysoko postawione osoby, wyznaczone przez prezydenta. Z pewnością była to grupa elitarna i w czasie zimnej wojny rada liczyła się bardziej niż gabinet, chociaż dla wszystkich miało to być tajemnicą.

Kilka lat temu Keithowi zaproponowano, by zostawił swoją pracę w Agencji Wywiadu Obrony w Pentagonie i przyjął posadę w radzie. W porównaniu z tym, co robił dotychczas, zaoferowane zajęcie było mniej niebezpieczne, poza tym samo biuro znajdowało się bliżej jego mieszkania w Georgetown, a wreszcie wydawało mu się, że polubi życie cywila. Jak się jednak okazało, brakowało mu ryzyka i chociaż dla jego kariery zbliżenie do Białego Domu okazało się dobrym posunięciem, pod innymi względami wybór nie był taki trafny.

Wśród ludzi, których spotkał w radzie, był pułkownik Oliver North. Nie znał go za dobrze, ale kiedy North stał się już sławny, pułkownik Landry zaczął się martwić. North był dobrym żołnierzem, lecz praca dla cywilów służyła mu mniej więcej tak jak przebywanie na oddziale zakaźnym. Coraz częściej zanosił się strasznym kaszlem. Keith zaczął dostrzegać podobny syndrom u siebie i bez przerwy mył ręce.

A teraz chcieli, żeby tu wrócił. Wprawdzie nie do starego budynku, ale najwyraźniej do samego Białego Domu.

Dotarli do posterunku na Siedemnastej Ulicy, wylegitymowali się i zostali przepuszczeni. Kierowca podjechał pod

samo wejście. Wyszli.

Przy wejściu także stali strażnicy, ale nikt już ich nie sprawdzał, jeden otworzył im tylko drzwi. Wkroczyli do niewielkiego holu, gdzie za biurkiem siedział mężczyzna, którego zadaniem było sprawdzanie nazwisk na liście spotkań. Keith podpisał się, a w rubryce: „Miejsce pracy i stanowisko” podał: „Cywil, były wojskowy w stanie spoczynku”. Była godzina jedenasta pięć.

Zachodnie skrzydło Białego Domu odwiedził już kilka razy. Zazwyczaj szło się tam znanym tylko niewielu podziemnym pasażem, który prowadził pod Siedemnastą Ulicą do piwnic Białego Domu, gdzie znajdował się pokój sztabowy, a także kilka biur Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Na parterze bywał wielokrotnie, zawsze gdy chciano go widzieć w roli doradcy do spraw bezpieczeństwa.

Kiedy Charlie złożył swój podpis, mężczyzna za biurkiem odezwał się:

—Panowie, zjedzcie teraz windą, tam ktoś będzie na was czekał.

Znaleźli się w podziemiu, gdzie inny mężczyzna poprowadził ich do sali klubowej, jak nazywano poczekalnię z nowiutkimi fotelami, całkiem zresztą ładnymi. Telewizor włączony był na CNN, a na drugim stole przy ścianie stały termosy z kawą, ciastka, owoce, nawet jogurty dla dbających o zdrowie, wszelkiego rodzaju przekąski i napoje, może poza alkoholem i cyjankiem.

W pomieszczeniu było kilkanaście osób, mężczyzn i kobiet. Keith nie znał nikogo. Wszyscy obrzucili nowo przybyłych ukradkowymi spojrzeniami, starając się odgadnąć ich miejsca na panteonie chwilowych bogów i bogiń Waszyngtonu.

Charlie i Keith znaleźli dwa wolne krzesła i usiedli przy małym stoliku.

- Napijesz się kawy? — zapytał Charlie.
- Nie, dzięki, szefie.

Charlie z uśmiechem zaakceptował zmianę frontu.

—Posłuchaj — powiedział — jeśli przyjmiesz tę pracę, twoim bezpośrednim przełożonym będzie przewodniczący rady, nie ja.

— Myślałem, że mam być doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Nie, będziesz pracował bezpośrednio dla niego.
- Kiedy mogę zostać prezydentem?
 - Keith, trochę się denerwuję przed tym spotkaniem. Możesz przestać pieprzyć?
- Jasne. Zrób kilka pompek. Mnie to zawsze pomaga.
 - Wolałbym papierosa, ale tutaj nie wolno palić. To miejsce schodzi na psy.

Keith rozejrzał się. Mimo sympatycznego umeblowania wciąż była to piwnica bez okien, a panująca tu atmosfera przypominała wszystkie poczekalnie świata. Lekkie brzęczenie świadczyło, że gdzieś w trzewiach budynku znajduje się urządzenie elektryczne, dzięki któremu do pomieszczeń tłoczony jest zimne lub gorące powietrze, w zależności od pory roku. Po dwóch miesiącach spędzonych z dala od wielkiego miasta i brzęczenia wielkich budynków Keith słyszał te brzęczenie i nie sprawiało mu to przyjemności.

Żeby być bardziej precyzyjnym: było coś surrealistycznego w tym pomieszczeniu, miało się wrażenie zagrożenia — jakby wszyscy zebrani oczekiwali na wyrok.

Keith miał okazję zwiedzić kazamaty Łubianki, która stała się rodzajem turystycznej atrakcji Moskwy dla wybranych byłych nieprzyjaciół Rosji, takich jak na przykład on. Cele zniknęły, ale umiał sobie wyobrazić krzyki torturowanych mężczyzn i kobiet, wywoływanie nazwisk, echa strzałów na końcu korytarza, w miejscu gdzie — jak tłumaczył przewodnik — strzelano więźniom w tył głowy.

Poczekalnia zachodniego skrzydła Białego Domu była oczywiście całkiem inna — jogurty i wiadomości w telewizji — ale nastrój oczekiwania na wywołanie nazwiska taki sam. Nieważne, w jakim celu miano je wywoływać, liczyło się samo to, że trzeba było czekać na wezwanie.

I tu właśnie Keith powiedział sobie, że już nigdy więcej nie chce czekać na to, by urzędnik wywoływał jego nazwisko. Wezwano go dwadzieścia pięć lat temu i na tamto wezwanie odpowiedział. Wezwano go wczoraj, posłuchał znowu. Wywołają go jeszcze raz dziś, ale będzie to ostatni raz.

Drzwi otworzyły się, stanął w nich urzędnik i powiedział:

— Pułkownik Landry, pan Adair? Czy zechcieliby panowie pójść ze mną?

Podnieśli się i ruszyli za młodym człowiekiem do windy. Wjechali na górę, wyszli na korytarz, który prowadził do gabinetu po wschodniej stronie skrzydła. Mężczyzna zapukał do drzwi, po czym otworzył je i gestem zaprosił ich do środka. Inny mężczyzna, w którym Keith rozpoznał Teda Stansfielda, wyszedł im na spotkanie.

— Ted, na pewno pamiętasz Keitha — odezwał się Charlie.

- Oczywiście. — Ucisnęli sobie dłonie, a Stansfield powiedział: — Tak się cieszę, że udało się panu przybyć tu dzisiaj.
- Miło mi, że zostałem zaproszony.
 - Wejdźcie proszę, siadajcie. — Wskazał dwa krzesła przy długim

stole z ciemnego drewna, przy którym zbierał się gabinet.

Pokój ten, o czym Keith dobrze wiedział, kiedy tylko nie odbywały się tu posiedzenia rządu, wykorzystywany był do różnego typu spotkań. Właściwie był to bardzo eksploatowany pokój konferencyjny, używany przez różnych ludzi w celu wywarcia na gościach wrażenia albo onieśmienia ich. Pułkownik Keith Landry być może kiedyś był pod wrażeniem, ale nigdy onieśmiony. Teraz czuł się lekko znudzony i poirytowany.

Spojrzał na Stansfielda, gładkiego czterdziestolatka, człowieka naprawdę zadowolonego, głównie z siebie.

- Sekretarz nieco się spóźni — poinformował ich Stansfield. Po czym zwrócił się do Keitha: — Pański dawny szef, generał Watkins, również do nas dołączy, a także pułkownik Chandler, który obecnie pracuje dla doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.
- A czy przyjdzie również pan Yadzinski? — zapytał Keith, opuszczając tytuł doradcy, chociaż w oficjalnych kołach Waszyngtonu ludzi na najwyższych szczeblach zawsze tytułowano. Mówiono więc na przykład „prezydent”, „sekretarz obrony” i tak dalej, jakby ci ludzie przestali być śmiertelnikami i awansowali do grona bogów, bo brzmiało to jak: „Bóg wojny Mars przyłączy się do nas wkrótce”. Zresztą do ludzi na bardzo niskich szczeblach również zwracano się w ten sposób, dodając do nazwiska tytuł służbowy, na przykład „portier”.
- Doradca postara się dołączyć do nas jak najszybciej.
- I wszyscy się nieco spóźnią.
- No, owszem, wydaje mi się, że tak. Czy mogę panów czymś poczęstować?
- Nie, dziękujemy.

Trzech mężczyzn, czekając, rozmawiało o niczym, jak to było w zwyczaj.

— Dobrze się pan bawił podczas krótkiego okresu w stanie spoczynku?

Nie komentując czasu przeszłego w tym pytaniu i nie psując od razu intrygi Charliego, Keith odparł:

- Owszem.
- Co pan porabiał?
- Wróciłem do rodzinnego miasta i odnalazłem dawną dziewczynę.
- Naprawdę? — Stansfield się uśmiechnął. — Czy roznieciliście dawny płomień?
- Tak.
- No cóż, to bardzo interesujące. Macie jakieś plany na przyszłość?
- Mamy. Prawdę mówiąc, przywożę ją pojutrze do Waszyngtonu.
- Wspaniale. Dlaczego nie przywiózł jej pan od razu?

— Jej mąż wyjeżdża z miasta dopiero jutro.

Keith poczuł kopnięcie Charliego w tym samym momencie, kiedy z twarzy Stansfielda zniknął idiotyczny uśmiech.

- Charlie twierdził, że to nie problem — poinformował Teda Keith.
- No... sądzę...

• Dama, o której mowa, jest w trakcie rozwodu — wtrącił się Charlie.

-Aha.

Keith pozwolił, by na tym stanęło.

Otworzyły się drzwi i wszedł generał Watkins po cywilnemu oraz drugi mężczyzna, również po cywilnemu, w którym Keith rozpoznał, chociaż rzadko mieli okazję ze sobą rozmawiać, pułkownika Chandlera.

Charlie podniósł się, Ted Stansfield także, chociaż jako cywile nie musieli tego robić. Keith nie był pewien, jak powinien się zachować, ale wstał. Uścisnęli sobie dłonie.

- Dobrze wyglądasz, Keith — powiedział generał Watkins. — Odpoczynek dobrze ci zrobił. Gotowy znów wskoczyć w siodło?
- To był nieprzyjemny upadek, generale.
- To tylko dodatkowy powód, żeby znowu dosiąść konia.
- Keith spodziewał się takiej odpowiedzi, ale był sobie sam winien.
- Sądzę, że pamięta pan Dicka Chandlera — zwrócił się Ted Stansfield do Keitha. — To na jego miejsce ma pan wskoczyć. Na pułkownika Chandlera czekają większe wyzwania w Pentagonie.

Pułkownik Landry i Chandler uścisnęli sobie dłonie. Na twarzy tego drugiego malowała się wyraźna ulga. Widocznie z niecierpliwością czeka na zastępcę, pomyślał Keith, choć może to wyobraźnia płata mi figle.

Keith wiedział, że większość żołnierzy nie lubiła przydziałów do Białego Domu, a w czasie pokoju trudno było wyrwać się z tego miejsca bez uszczerbku w karierze. Wojna stwarzała większe możliwości: zgłaszał się człowiek na front.

Generał Watkins, pułkownik Chandler, pułkownik Landry, pan Adair i pan Stansfield wciąż stali, czekając na przybycie sekretarza obrony. Keith zauważył, że rozmowa się nie klei. Zbyt długie mówienie o niczym wydawało się w zachodnim skrzydle nie na miejscu, a poruszanie tematów poważnych, jak na przykład coraz gorsza sytuacja w byłym Związku Radzieckim, było najeżone pułapkami, ponieważ wszystko, co zostało powiedziane, mogło być postrzegane jako oficjalne oświadczenie i użyte później przeciwko mówiącemu. Ted Stansfield uratował sytuację, opowiadając o

nowym szefie protokołu, który został mianowany stosunkowo niedawno, a już zdążył się uporać z męczącym problemem, kto komu powinien się meldować.

Keith usiłował tego nie słuchać, szmer rozmowy skierował jego myśli na organizację służb. Rada Bezpieczeństwa Narodowego kierowana była przez doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Tą osobą był obecnie Edward Yadzinski. Pułkownikowi Landry'emu proponowano pracę zastępcy pana Yadzinskiego, może doradcy wojskowego czy też łącznika z sekretarzem obrony, na którego właśnie wszyscy czekali.

W tym schemacie organizacyjnym, uzmysłowił sobie Keith, każdy z każdym był połączony, ale tak, by linie powiązań się nie przecinały. Przypominało to schemat atomowego okrętu podwodnego. Jednakże odmiennie niż w schemacie elektronicznym, gdzie musi istnieć zgodność z prawami fizyki, społeczność wywiadowcza działała niekoniecznie w zgodzie z prawami nauki, Boga czy natury, lecz tylko w zgodzie z prawami człowieka, które były przedmiotem spotkań na szczeblach i debat w Kongresie.

Poza tym Keith nie widział rozsądnego powodu, by jego dawny szef, generał Watkins, był obecny na tym spotkaniu, ponieważ Watkins znajdował się bardzo daleko na prawo, za Siedemnastą Ulicą, podczas gdy Keith był teraz w samym centrum. Podejrzał jednak, że generał jest tu w ramach pokuty za to, że pozwolił pułkownikowi Landry'emu odejść, co mu oczywiście polecono, ale Watkins powinien był przewidzieć, że dwa miesiące później prezydent może poprosić akurat o pułkownika Landry'ego. Biedny generał Watkins.

Watkins, naturalnie, nie musiał przeproszać za wysłanie pułkownika Landry'ego na zieloną trawkę, ale musiał być obecny przy tym, jak go zatrudniano, i musiał się w dodatku uśmiechać, a przynajmniej udawać, że się uśmiecha. Watkins był, oczywiście, cholernie wkurzony, i miał do tego pełne prawo, ale nie da po sobie tego poznać, nawet mu nie drgnie powieka.

Centrum władzy, pomyślał Keith, w każdym czasie i wszędzie było z definicji rajem dla wariatów. Kreml, pałac bizantyjski, willa Cezara, bunkier Fuehrera, wszystko jedno, jak dane miejsce wyglądało i jak się nazywało, wewnątrz zawsze panował półmrok i brakowało powietrza

— pożywka dla szaleństwa i coraz większego oderwania od rzeczy wistości. Wiedziony nagłym impulsem Keith miał ochotę podbiec do drzwi z krzykiem i uciekać z tego domu wariatów.

—Keith, uśmiechasz się w sposób, który mnie zawsze irytował

- odezwał się generał Watkins.

•Nie wiedziałem, że się uśmiecham, panie generale, i nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że pana irytuję.

•Ten uśmieszek był zawsze preludem do jakiejś niezwykle ciętej uwagi. Czy chciałbyś nam coś powiedzieć?

•Generale, chętnie skorzystam ze sposobności, by...

— Keith, może raczej zechciałbyś zachować to na inną okazję — wtrącił Charlie Adair.

Keith pomyślał, że moment jest wręcz idealny, by powiedzieć Watkinsowi, co o nim myśli, ale właśnie otworzyły się drzwi i wkroczył sekretarz obrony. Był to drobny, łysiejący mężczyzna w okularach. Ludzie zazwyczaj nie tak wyobrażają sobie szefa najpotężniejszej wojennej maszyny świata. I jego łagodna powierzchowność nie była bynajmniej kamuflażem jego silnej osobowości — w tym mdłym ciele nie krył się Mars, bóg wojny. Wyglądał jak mydłek i był mydłkiem.

Ted Stansfield przedstawił sekretarza obrony, który uśmiechnął się, uściśnął wszystkim zebranym dłonie i zwrócił się do Keitha:

— Bardzo się cieszę, że pan przyjechał.

Stansfield odsunął krzesło na krańcu długiego stołu i sekretarz usiadł. Generałowi Watkinsowi i pułkownikowi Chandlerowi wskazano krzesła po jego prawej stronie, a Keith i Charlie mieli zająć miejsca naprzeciwko.

Ted Stansfield, który nadal stał, powiedział:

— Panowie, jeśli pozwolicie, opuszczę was teraz, czeka mnie kolejne spotkanie.

I wyszedł. Sekretarz obrony spojrzał na Keitha.

— No cóż, pułkowniku Landry, prawdopodobnie zastanawia się pan, dlaczego poprosiliśmy, żeby pan przerwał wypoczynek i wrócił do nas. Powiem panu. Podczas spotkań, na których omawiano sprawy związane z wywiadem, zrobił pan na prezydencie doskonałe wrażenie, i to wrażenie nieprzemijające. Kilka dni temu prezydent zapytał konkretnie o pana. — Parsknął śmiechem i dodał: — Kiedy ktoś mu powiedział, że przeszedł pan w stan spoczynku, odparł, że chyba jest pan na to za młody. I w ten sposób jest pan znowu z nami. — Uśmiechnął się do Keitha.

Keith rozważył kilka odpowiedzi, wśród których było zacytowanie ballady o szkockim przodku Charliego. Zamiast tego skorzystał ze sposobności, by wyrównać rachunki i powiedział:

—Poproszono mnie, żebym odszedł ze służby, sir. To nie był mój

pomysł. — Nie spojrział przy tym na generała Watkina, to już byłoby małostkowe. Dodał tylko: — Ale miałem za sobą dwadzieścia pięć lat służby i jestem całkiem zadowolony z mojej obecnej sytuacji.

Sekretarz obrony chyba nie bardzo zrozumiał, o co chodzi.

—No cóż, pańskie nazwisko zostało umieszczone na liście awansów do stopnia generalskiego. Prezydent wkrótce dostanie ją do akceptacji.

Keith, znowu próbując coś ustalić, wyjaśnił:

—Już nie jestem w służbie czynnej, sir. Po odejściu z posady rządu zostałem zwolniony z wojska. Rozumiem więc, że te awanse dotyczą oficerów rezerwy.

Sekretarz obrony miał własny scenariusz tej rozmowy i kontynuował w zgodzie z nim:

—Stanowisko, które ma pan objąć, to funkcja doradcy wojskowego szefa Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Pułkownik Chandler zapozna pana z obowiązkami. Pańskie biuro mieści się tutaj, w zachodnim skrzydle.

Keith pomyślał, że zabrzmiało to tak, jakby powiedział „po prawicy Boga”. Bo właśnie znajdowali się w centrum władzy (a sąsiedztwo władzy samo w sobie jest władzą), o kilka kroków od Gabinetu Ovalnego, gdzie w korytarzu można było wpaść — w dosłownym tego słowa znaczeniu — na prezydenta, epicentrum krajowej i międzynarodowej wymiany uścisków dłoni. Nie było to tego rodzaju miejsce pracy, do którego twoi przyjaciele lub rodzina mogliby wpaść na filiżankę kawy albo żeby zaprosić cię na lunch.

•Czy moje biuro będzie na piętrze, czy w podziemiach? — zapytał Keith.

•W podziemiach — odparł pułkownik Chandler.

•A da się stamtąd dojrzeć niebo? Chodzi mi o to, czy jest tam choćby małe okienko?

Chandler wyglądał na nieco rozbawionego.

•To biuro mieści się wewnątrz kompleksu — odpowiedział. — Ale będziesz miał sekretarkę.

•Macie tu rośliny?

Charlie Adair zmusił się do uśmiechu i wyjaśnił zebranym:

•Pułkownik Landry spędził ostatnie dwa miesiące na rodzinnej farmie, co uczyniło go wrażliwym na przyrodę.

•Doprawdy urocze — rzucił z przekąsem sekretarz obrony. — Czy chciałby może mnie pan o coś zapytać, pułkowniku? — zwrócił się do Keitha.

Ponieważ mówiąc to, podnosił się już z krzesła i patrzył na zegarek, Keith powiedział tylko:

—Nie, sir.

Sekretarz obrony wstał, więc pozostali również się podnieśli.

—Dobrze. Wybaczenie panowie, ale mam następne spotkanie. — Spojrzał na Keitha i dodał: — Strata generała Watkina jest zyskiem Białego Domu. Powodzenia. — I wyszedł.

Generał Watkins wykorzystał ten moment, by zwrócić się do Keitha:

•Dziwię się, że zdecydował się pan wrócić do Waszyngtonu. Odnosiłem wrażenie, że ma pan dość służby.

•Miałem.

Generał spojrział na niego pytająco.

—Może nowa posada pana rozrusza — dodał.

—Jeśli będę nosił taką samą gwiazdę jak pan — odparł Keith — spotkamy się na zawodach sportowych i sprawdzimy, który z nas ma więcej wigoru.

Generałowi Watkinowi uwaga ta nie sprawiła przyjemności, ale wyczuwając delikatne przesunięcia w strukturze władzy, nie zareagował na nią. Powiedział tylko:

•No cóż, panowie, nie jestem już wam potrzebny, a i ja mam kolejne spotkanie. Życzę miłego dnia. — Spojrzał na Keitha. — Polityka nie jest pana najlepszą stroną, pułkowniku.

•Dziękuję.

Po wyjściu Watkina Keith, Charlie Adair i pułkownik Chandler usiedli znowu, tym razem nie czekając, aż im to ktoś zaproponuje. Keith zajął krzesło nieco oddalone od krzeseł pozostałych dwóch mężczyzn.

Całe to tak zwane spotkanie było przedstawieniem z sekretarzem obrony w roli głównej. Inni też mieli swoje role. Charlie Adair wystąpił jako Judasz, generał Watkins jako kozioł ofiarny, pułkownik Chandler jako Piłat umywający od wszystkiego ręce, a Ted Stansfield jako mistrz ceremonii. Keith wiedział, jaką rolę sam powinien odegrać, ale nie najlepiej sprawdzał się w wygłaszaniu kwestii.

Myślni wrócił do Annie. Jak ona by to wszystko zrozumiała? Tak jak powiedział Charliemu, była prostą dziewczyną, ale nie głupią, prawdę mówiąc, na studiach radziła sobie znacznie lepiej niż on. Poza tym wywodziła się z rodziny inteligentkiej. Gdyby Annie była teraz w tym pokoju, z pewnością cała ta pompa i protokół wydałyby jej się z lekka niesmaczne i bez wątplenia przejrzałyby cały ten stek nonsensów znacznie wcześniej, niż jemu się to udało.

W początkach jego kariery świat był bardziej niebezpieczny, za to rząd wydawał się znacznie normalniejszy. W tamtych czasach można było jeszcze spotkać ludzi oddanych służbie, ludzi mających świadomość celu i misji. Dziś pokolenie tych, którzy zakosztowali Wietnamu, takich jak on, odchodziło w stan spoczynku, nie martwiąc się nawet specjalnie, kto przyjdzie na ich miejsce.

Przez następne pięć minut pułkownik Chandler mówił o obowiązkach wynikających z nowej pracy i jaka się z nią wiąże odpowiedzialność, przedstawiając wszystko w najkorzystniejszym świetle i nie wspominając o dwunastogodzinnym dniu pracy, zabieraniu roboty do domu czy sytuacjach kryzysowych w krajach, których strefy czasowe i święta nie pokrywały się ze swymi odpowiednikami w Waszyngtonie. Keith przerwał Chandlerowi pytaniem:

•I to się panu podoba?

•Podoba? — Tamten zastanawiał się przez moment, potem odparł: — Praca w Białym Domu jest bardzo stresująca, ale jednocześnie daje satysfakcję.

•Jak coś stresującego może jednocześnie przynosić zadowolenie?

•No... po prostu może. Chyba powinienem powiedzieć, że robię coś dla swego kraju, nie tylko dla siebie.

•Ale czy robi pan dla kraju naprawdę to, co należy?

•Myślałem, że tak. Myślałem. Ale jeszcze mnóstwo pracy przed nami. Jest jeszcze z kim walczyć.

•Zgoda. Może nowi dobrzy chłopcy poradzą sobie z nowymi złymi chłopcami.

•My mamy doświadczenie.

•Nasze doświadczenie dotyczy przeszłości. Jeśli nawet rozumiemy nowe realia, myślimy w stary sposób. — Spojrzał w oczy pułkownikowi Chandlerowi. — Czy radziłby mi pan przyjąć tę pracę?

Chandler odchrząknął i zerknął na Adaira, który machnął przyzwalająco dłonią, jakby mówił: „Powiedz mu”.

Pułkownik Chandler zastanawiał się przez chwilę.

•Cieszę się, że mogę ją wymienić w swoim życiorysie, ale takich dwóch lat jak ostatnie nie życzyłbym mojemu najgorszemu wrogowi.

•Dziękuję.

Otworzyły się drzwi i wkroczył Edward Yadzinski. Wszyscy wstali, Yadzinski kolejno uściśnął im dłonie.

•Jakże się cieszę, że mógł pan przybyć tak szybko — zwrócił się do Keitha.

•Dziękuję. Ja również się cieszę.

•Powinienem być w tej chwili na innym spotkaniu, ale chciałem z panem sekundę porozmawiać. Czytałem pańskie akta osobowe, zakres pańskich doświadczeń naprawdę zrobił na mnie wrażenie. Szukam właśnie kogoś takiego jak pan, kto będzie ze mną szczerzy. Pułkownik Chandler potwierdzi moje słowa. Lubię wojskowych, ponieważ odpowiadają mi ich cechy.

•Tak jest, sir. — I dlatego, pomyślał Keith, że zazwyczaj nie mają ambicji politycznych, muszą słuchać rozkazów, więc łatwo ich przesuwac z jednego miejsca na drugie bez potrzeby wyrzucania z pracy. Podobnie jak księża i pastory, oficerowie w wojsku służą ludziom, co stawia ich pracę jakby ponad życiem osobistym. Ludziom na kierowniczych stanowiskach odpowiada trzymanie oddanych sług.

•Pańscy dawni koledzy pochlebnie wyrażają się o panu, pułkowniku — ciągnął Yadzinski. — Prawda, Charlie?

•Pułkownik Landry był bardzo cenionym pracownikiem mojego wydziału — zgodził się Adair. — I ogólnie szanowanym.

•Nigdy nie układało mi się z generałem Watkinsem — poinformował Keith swego potencjalnego szefa — i wielokrotnie przyprowadzałem pana Adaira o palpitanie serca.

Charlie się skrzywił, ale Yadzinski się uśmiechał.

—Nie jest pan dyplomatą, co? Prawdę mówiąc, byłem obecny przy tym, gdy zapytał pan sekretarza stanu, czy w ogóle mamy jakąś politykę zagraniczną. — Parsknął śmiechem. — Podobało mi się to. Jestem z panem, pułkowniku. Ja pracuję bezpośrednio z prezydentem, a pan będzie pracował bezpośrednio ze mną.

Keith pomyślał, że chyba lubi Yadzinskiego i pięć czy sześć lat temu z chęcią by dla niego pracował. Ale było za późno. Głośno powiedział:

—Mimo dzielących nas różnic uważam, że pan Adair ma szeroką wiedzę, jest kompetentny i oddany swej pracy.

Keith cieszył się, że udało mu się wtrącić, ale Yadzinski powiedział tylko:

—Pułkownik Chandler lepiej niż ja odpowie na wszystkie pańskie pytania. — Wyciągnął dłoń, a Keith ją ujął. — Witam na pokładzie, pułkowniku. — Kiedy wymieniali uścisk, Yadzinski spojrzął na zegarek.

—Już mam następne spotkanie. — Nie wypuszczając dłoni Keitha, zapytał: — Od kiedy może pan zacząć?

•No cóż, chciałbym się zastanowić przez najbliższy weekend...

•Oczywiście. Od poniedziałku. Doskonale. Pułkownik Chandler pokaże panu biuro.

•Pułkownik Landry mieszka w Ohio — wtrącił Charlie.

•Wspaniały stan. Życzę dobrego dnia, panowie. — Odwrócił się i wyszedł.

Keith spojrział na zegarek i powiedział:

•Mam kolejne spotkanie. Życzę dobrego dnia, panowie. Charlie zmusił się do uśmiechu.

•Masz spotkanie z prezydentem.

•Musi pan poczekać na wezwanie — dodał pułkownik Chandler.

—Uśmiechnął się do Keitha. — Ale ja już nie mam żadnego spotkania. Wychodzę. — Podeszedł do drzwi, nagle odwrócił się i rzekł: — Jeśli zabłądzi pan na dół, natknie się pan na moje biuro. Zostawiłem swój numer, gdyby miał pan jakieś pytania. Do usług. — Wyszedł i chociaż Keith nie usłyszał słowa „fajerzerze”, wisiało ono w powietrzu.

•Charlie — odezwał się Keith — wydaje mi się, że już nie jesteśmy w Spencerville.

•Skąd to wrażenie?

•Mogą się trochę zdziwić, kiedy odkryją w poniedziałek, że biuro pułkownika Chandlera jest puste — powiedział Keith.

•Zastanów się nad tym przez weekend. Yadzinski to jeden z nielicznych porządnym facetów w administracji. Spróbuj. Co masz do stracenia?

•Duszę.

Przeszli do holu i zjechali ciasną windą na dół.

—Chcesz, żebym ci pokazał twoje biuro? — zapytał Charlie.

-Nie.

Usiedli w poczekalni.

—Chyba swoje zrobiłem — powiedział nagle Charlie jakby do siebie. — Dzięki.

Keith nie odpowiedział. Czytał gazetę. Charlie nagle się roześmiał.

—Powiedz mi, czy możesz wrócić do Ohio, spakować się, wrócić do Waszyngtonu, znaleźć mieszkanie, umeblować je i stawić się w poniedziałek rano w pracy?

Keith spojrział na sponad gazety, ale milczał.

—On pewnie nie wiedział, że opuściłeś Waszyngton — ciągnął Charlie — ale przecież mu powiedziałem... może nie słuchał.

Keith przewrócił stronę w gazecie.

—Wyjaśnię to. Dadzą ci kilka tygodni.

Keith spojrział na zegarek.

—Ale rozumiem cię — mówił dalej Charlie. — To miejsce to szybkowar.

Keith przerzucił kolejną stronę i przeczytał artykuł na temat godzin szczytu w metrze. Minuty płynęły.

•A kiedy powiesz, że pracujesz w Białym Domu — ciągnął Charlie — twoja przyjaciółka z pewnością będzie z ciebie dumna, to naprawdę robi wrażenie.

•Nie — powiedział Keith, nie podnosząc nawet wzroku.

—Chyba nie powiesz, że to cię nie kusi.

Keith odłożył gazetę.

•Charlie, urzędnicy przychodzą i odchodzą, praca w Białym Domu jest akurat tak bezpieczna, jak ujeżdżanie dzikich koni. Posłuchaj, nie chcę krytykować ani oceniać, ale postawiono mnie w sytuacji, która mi się nie podoba. Nie przyjmuję tej propozycji z powodów osobistych, to powinno wystarczyć. W porządku?

•W porządku.

W tym momencie pojawił się urzędnik.

•Pułkownik Landry — powiedział — pan prezydent może się z panem teraz spotkać.

•Powodzenia — mruknął Charlie.

Keith podniósł się. Kiedy wychodził za urzędnikiem, oczy wszystkich w pokoju wpatrywały się w niego.

Znowu wjechali na górę windą i korytarzem przeszli do Gabinetu Ovalnego. Przy drzwiach stał agent Secret Service.

—Musicie poczekać parę minut — powiedział.

Sekretarz przypomniał Keithowi zasady protokołu i ostrzegł, żeby nie nadepnął na Wielką Pieczęć na dywanie.

—Czy powinienem przez nią przeskoczyć? — zainteresował się Keith.

—Nie, proszę obejść ją z lewej strony. Doradca prezydenta obejdzie ją z prawej strony, a następnie pójdziecie razem w stronę biurka. Prezydent jest już spóźniony, więc nie poprosi was, żebyście usiedli, ale podejdzie i przywita się z wami. Streszczajcie się.

— Czy mam mu powiedzieć, że głosowałam na niego?

Urzędnik spoglądał na Keitha przez chwilę, potem zerknął na grafik spotkań, jakby chciał się upewnić, że ten facet na nim figuruje.

Drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich młoda kobieta. Wkroczyli do pokoju o owalnym kształcie, szli po wspaniałym błękitnym dywanie, ominęli pieczęć, następnie skręcili w stronę biurka prezydenta, który siedział na tle wielkich, wychodzących na południe okien. Keith zauważył, że wciąż pada.

Prezydent się podniósł i z uśmiechem podszedł, by się z nimi przywitać. Wyciągnął dłoń, mówiąc:

—Cieszę się, widząc pana znowu, pułkowniku.

- Dziękuję, panie prezydencie — odparł Keith, odwzajemniając uścisk.
- Brakowało nam tu pana.
- Tak, panie prezydencie.
- Czy już się pan zdomowił?
- Jeszcze nie, panie prezydencie.
 - Pan Yadzinski dopilnuje tego. To wymagający szef, ale sprawiedliwy.
- Tak, panie prezydencie.
 - Żyjemy w trudnych czasach, pułkowniku, i cenimy ludzi doświadczonych i uczciwych.
- Dziękuję, panie prezydencie.
- Czy chciałby mnie pan o coś zapytać?

To pytanie zawsze zadawali prezydenci, generałowie i inne osoby o wysokiej pozycji. Tak nakazywała tradycja. Dawno temu, prawdopodobnie zanim jeszcze Keith się urodził, pytanie to miało jakieś znaczenie. Dziś, kiedy wszyscy byli spóźnieni, stało się zgoła retoryczne i zawsze odpowiadano na nie: „Nie, proszę pana”.

Ale Keith zapytał:

—Dlaczego ja?

Prezydent przez moment wydawał się wytrącony z równowagi, a towarzysząca im kobieta odchrząknęła. Prezydent uniósł brwi.

- Słucham?
- Dlaczego poprosił pan o mnie?
 - O, rozumiem. No cóż, zrobił pan na mnie wrażenie człowieka o sporej wiedzy i dobrym instynkcie. Bardzo się cieszę, że jest pan tu z nami. — Wyciągnął znowu dłoń. — Witam w Białym Domu, pułkowniku.

Keith znów odwzajemnił jego uścisk.

—Dziękuję za zaproszenie.

Kobieta dotknęła ramienia Keitha, odwrócili się i przeszli przez gabinet, omijając pieczęć. W chwili gdy dochodzili do drzwi, agent, który czekał za nimi, otworzył je.

Keith wkroczył do holu, kobieta została w środku. Odpowiedzialny za spotkania urzędnik zwrócił się do niego:

- Dziękuję za przybycie, pułkowniku. Pan Adair czeka na pana w holu.
- Jak poszło? — Adair wstał, według Keitha wyglądał na zaniepokojonego.
 - Sześćdziesiąt siedem sekund, wliczając obejście pieczęci.

Pokazano im drogę do wyjścia z zachodniego skrzydła, a kierowca przeprowadził ich pod parasolem do samochodu. Zanim wsiedli, Adair zapytał:

- Co powiedział? -Nic.
- On myśli, że przyjąłeś tę pracę?
- Owszem.
- Co zamierzasz z tym zrobić?
- Przemyśleć.

—Dobrze. Zarezerwowałem stolik na lunch. Ritz-Carlton — rzucił kierowcy Adair.

Opuścili teren Białego Domu, samochód jechał mokrymi ulicami w gęstym strumieniu innych pojazdów.

- Rezerwy i powściągliwości zademonstrowałeś dokładnie tyle, ile trzeba. Niezbyt lubią tych, którzy są za bardzo chętni lub zbyt mało się reklamują.
- Charlie, to nie było spotkanie w sprawie pracy. To było przydzielenie zadania.
- Nieważne.
- Czy ty przyjąłbyś tę pracę?
- Ze wzruszeniem.
 - Powinieneś znaleźć chwilę, żeby zastanowić się nad swoim życiem, przyjacielu.
 - Ja nie mam życia. Jestem urzędnikiem federalnym, a urzędnicy federalni nie mają życia.
- Martwisz mnie.
- To ty mnie martwisz. Jesteś zakochany?
- To nie ma znaczenia. Nie chcę wracać do Waszyngtonu.
- Nawet gdyby nie było pani Baxter?

•Ten temat jest zamknięty.

Jechali w milczeniu, Keith przyglądał się miastu przesuwającemu się za oknami. Musiał przyznać, że przeżył tu parę miłych chwil, ale wyjątkowo sztywna struktura i ustalona kolejność dziobania w waszyngtońskiej administracji zupełnie mu nie odpowiadały.

Każda ekipa, dla której pracował, zaczynała we własnym stylu, z własną wizją, energią, optymizmem i ideałami. Ale nie mijał rok i już okopy biurokracji dławiły to wszystko, a po następnym roku nową administrację ogarniał pesymizm, wywołany podziałami i konfliktami. Mężczyzna z Gabinetu Ovalnego starzał się szybko, a okręt, którego był kapitanem, dyszał ciężko, niezatapialny, ale i niedający się sterować, pozbawiony portu przeznaczenia.

Keith Landry wyskoczył z okrętu, a ściśle mówiąc, został wyrzucony za burtę i wylądował na brzegu Spencerville. Kobieta, którą spotkał na plaży, była dla niego bardzo dobra, ale teraz załoga wzywała go do powrotu. Kobieta, gdyby tego chciał, popłynęłaby z nim, ale nie chciał jej pokazywać prawdziwej natury lśniącego białego okrętu ani przedstawiać jej pozostałym marynarzom. Lękał się, że zacznie go oceniać, patrząc na nich. Okręt nie mógł na niego dłużej czekać, a wódz wyspy, mąż kobiety, właśnie wydał polecenie, żeby go z niej usunąć.

- Czasami człowiek znajduje się w sytuacji, kiedy nie można wybrać łatwiejszego rozwiązania, bo go po prostu nie ma — powiedział do Charliego.
- Masz rację. Ale ty, Keith, masz szczególne zdolności pakowania się właśnie w takie sytuacje.
- Myślisz, że robię to specjalnie?
 - Fakty zdają się tego dowodzić. I zazwyczaj sam je prowokujesz. A nawet gdy, co się zdarza, w trudną sprawę wplątują cię inni, zawsze znajdziesz sposób, by ją jeszcze bardziej skomplikować. A gdy inni chcą ci pomóc z niej wybrnąć, odrzucasz ich pomoc.
- Naprawdę?
- Tak.
- Może to dlatego, że wywodzę się z rodziny, która wszystko zawdzięczała tylko sobie.
- Może. Albo po prostu jesteś upartym, przewrażliwionym, kłótlwym bucem.
- To niewykluczone. Czy mógłbym dzwonić do ciebie w chwilach, gdy nie będę się mógł obejść bez porad psychoanalityka?
- Nigdy do mnie nie zadzwonisz. Ale ja zadzwonię.
- Czy trudno się ze mną pracowało?
 - Jak zacznę o tym mówić, nie skończę. Ale w każdej chwili przyjąłbym cię z powrotem.
- Dlaczego?
 - Nigdy w niczym nie zawiodłeś. Ani razu. Myślę, że właśnie na tym polega teraz twój problem. Tyle że teraz jesteś lojalny wobec kogoś innego.
 - Tak... gdzieś między Waszyngtonem a Spencerville przeszedłem przemianę.
- Staraj się jeździć bliżej. A propos, jesteśmy na *miejscu*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W

eszli do hotelu Ritz-Carlton i skierowali się do Jockey Club, gdzie kierownik sali powitał Adaira po nazwisku. Kiedy szli do dwuosobowego stolika, wszyscy spoglądali w ich stronę.

Keith wiedział, że od dnia otwarcia miejsce to odwiedzają najbardziej wpływowi ludzie Waszyngtonu; Jackie Kennedy była jednym z pierwszych gości.

Lokal miał charakter męskiego klubu, ale najwyraźniej kobietom odpowiadało tutejsze jedzenie, no i zainteresowanie, jakie tu wzbudzały. Właściwie cały Waszyngton miał męski charakter, choć głoszone zasady równych szans i poprawność polityczną. Z pewnością było tu kilka kobiet, które miały władzę, ale ogólne nastawienie do kobiet dalekie było od tego, co deklarowano publicznie. Liczba młodych, przystojnych kobiet znacznie przewyższała liczbę mężczyzn, w dodatku władza działała jak afrodyzjak, a tę dzierżyli mężczyźni. Kobiety, które przyjeżdżały do Waszyngtonu z głębi kraju do pracy na stanowiskach sekretarek i jako wszelka pomoc, często reprezentowały pewien typ, który zadowala się odbitym blaskiem. Innymi słowy, kobiety w oficjalnych kręgach waszyngtońskich były meblami, szczęśliwymi, gdy się je politurowało i przysiadło na nich na chwilę. Oczywiście nikt by tego nie przyznał,

co w Waszyngtonie oznaczało, że jest to święta prawda.

Z pewnością jakaś zmiana wisiała w powietrzu, ale poza kilkoma bogatymi i potężnymi wdowami po dawnych możnowładcach Waszyngtonu niewiele kobiet jadało w Jockey Club.

Keith nie bywał tu zbyt często, ale zauważył, że w tym lokalu nie istniały podziały polityczne. Można tu było spotkać i Barbarę Bush z Nancy Reagan, i osobistości walczące o równe prawa dla czarnych, Vernona Jordana i Jessego Jacksona. No i najbardziej znane postacie ze świata mediów. Teraz też spostrzegł Mike'a Wallace'a i George'a Willa, siedzących przy oddzielnych stolikach. Ludzie wydawali się z uwagą śledzić, kto z kim je.

- Czy dołączy do nas ktoś ważny? — zapytał Charliego. — Nie chciałbym zawieść tych wszystkich ludzi.
 - Możesz się tu pojawić za kilka tygodni w mundurze generalskim — odparł Charlie, zapalając papierosa.
 - Generałów w tym mieście jest na pęczki, pułkownicy są na posyłki, a ja już nie noszę munduru.
 - Zgoda. Ale możesz poprosić, żeby sekretarka zadzwoniła i powiedziała: „Tu Biały Dom. Chciałabym zrobić rezerwację dla generała Landry'ego”.
 - No, patrzcie, to prawie tak ważne jak sama praca.
 - Cóż, jeśli się nad tym chwilę zastanowić, po awansie, z trzydziestoma latami służby na koncie, twoja emerytura wyniesie dwa razy tyle co obecnie. Będziesz mógł żyć wygodnie. I wciąż jeszcze będziesz młody.
 - Dlaczego tobie na tym zależy, Charlie?
 - Chciałbym cię mieć znowu pod ręką.
 - Nie będę pod twoją ręką. Będę po drugiej stronie ulicy.
 - Chciałbym mieć przyjaciela w Białym Domu.
 - Aha. To jest powód.
 - Poza tym zastanawiam się, co jest dla ciebie najlepsze.
 - Czyli mamy wspólny problem. — Ale dodał: — Doceniam to.
- Podszedł kelner. Keith zamówił podwójną szkocką z lodem. Charlie, jak zwykle, wódkę z sokiem.
- Zrobiłem ci rezerwację w Four Seasons od jutra. Wydawało mi się, że chcesz być w Georgetown.
 - Kto za to płaci?
 - Biały Dom.
 - Włącznie z jutrzejszą nocą z moją dziewczyną, która jest mężatką?
 - Wszystko załatwione.
 - Dziękuję. — Keith studiował kartę.
 - Tak czy siak, jeśli złapiesz ten o drugiej piętnaście wylatujący z Toledo, powinieneś być w swoim pokoju przed piątą. Wpadnę do ciebie i zjemy kolację w Georgetown.
 - Dobrze.
 - W poniedziałek pokażemy jej miasto, potem pogadacie i coś postanowicie.
 - Innymi słowy, nie muszę się zjawiać w pracy w poniedziałek rano.
 - Zajmę się tym. A do czasu, kiedy znajdziesz coś odpowiedniego, wynajmiemy ci hotel.
 - Dzięki.
 - Keith zagłębił się w menu.
 - Po awansie będzie cię stać na dom w Georgetown.
 - Wątpię.
 - Ile dzisiaj wyciąga generał brygady? Jakies osiemdziesiąt pięć tysięcy?
 - Pewnie tak. Rozważę to wnikliwie.
 - Ale ku czemu się skłaniasz?
 - Ku karcie dań. Staram się ją przeczytać. Rozmowę uważam za zamkniętą.
 - Za tych, co na służbie byli, są i będą — wznosił toast Charlie, kiedy podano drinki.
 - Zdrowie.
 - Kelner przyjął ich zamówienia.
 - Czy rozmawiałeś ze swoją panią wczoraj wieczór? — zapytał Charlie.
 - Ona mieszka z mężem.
 - Ach, rzeczywiście. — Charlie parsknął śmiechem. — Ted o mało nie stracił panowania nad sobą, kiedy to powiedziałeś. To było całkiem zabawne. Nie przypuszczałem, że zamierzasz wyskoczyć z czymś takim... — Umilkł na chwilę. — Czemu to powiedziałeś?
 - Poczułem taką potrzebę.

Powspominali stare czasy, porozmawiali o postzimnowojennym świecie, poprorokowali na przyszłość. Podano im jedzenie. Prawdę mówiąc, Keith nieźle się bawił. Lubił Charliego Adaira, lubił dyskutować o konkretnych problemach, lubił szkocką i lubił stek. Nie potrafił sobie wyobrazić, że znowu mieszka w tym mieście, ale potrafił sobie wyobrazić, jak wykonuje robotę wywiadowczą, gdzieś poza krajem, w jakimś miejscu, gdzie może udałoby mu się zrobić coś dobrego, chociaż nie miał pojęcia, gdzie by to mogło być. Jak na ironię, zaszedł za daleko w hierarchii służbowej, żeby

pracować w terenie, a zresztą, kiedy odmawia się prezydentowi, nikt nie proponuje ci innej roboty. A gdyby nawet mógł dostać robotę za oceanem, nie byłoby to w porządku w stosunku do Annie. Miała dwójkę dzieci na studiach w Ohio i rodzinę w Spencerville. Czas zacząć patrzeć na siebie jako na osobę prywatną, mającą zobowiązania i ponoszącą odpowiedzialność za innych.

•Dlaczego uważasz, że nadal powinniśmy być policją świata? — zapytał Charliego. Charlie odparł bez wahania:

•Ponieważ wciąż mamy miliony zatrudnionych w tym celu ludzi, miliony stóp kwadratowych powierzchni biurowych i miliardy dolarów przeznaczonych na ten cel przez Kongres. To nie ma nic wspólnego z idealizmem, raczej z powierzchnią biurową. Jeśli wycofamy się z areny światowej, w tym mieście zaczniesz straszyć i zamknąć Jockey Club.

•Brzmi to nieco cynicznie. Ludzie mogą się zająć problemami miejscowymi. Serce tego kraju umiera.

•Może tacy ludzie jak my. Chciałbyś dostać pracę w Departamencie Zdrowia?

-Nie.

—No widzisz. Ja też powiem nie, nawet gdyby dali mi wyższe stanowisko i lepsze pieniądze. Prestiż daje pomaganie cudzoziemcom lub przypieprzanie cudzoziemcom. — Charlie zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się. — Chcemy rządzić światem.

•Świat świetnie poradzi sobie bez nas.

•Może. Gdyby Sowieci nadal stanowili zagrożenie... czy wtedy byś wrócił?

•Gdyby wciąż byli zagrożeniem, nie zostałbym wylany.

•Odpowiedz na pytanie.

— Tak, wróciłbym.

Charlie skinął głową.

—Widzisz, Keith, tak naprawdę to jesteś nieszczęśliwy, bo zimna wojna się skończyła...

-Nie.

•Posłuchaj mnie. Poświęciłeś życie walce z bezbożnymi komuchami, wielu ludzi czuło to samo co ty. Jesteś produktem swoich czasów i niewielkiego amerykańskiego miasteczka. Dla ciebie było to coś w rodzaju świętej wojny, z tobą po stronie Boga i aniołów. Ty byłeś jednym z aniołów, teraz szatan i jego legiony zostały pokonane, wkroczyliśmy do samego piekła i uwolniliśmy uwięzione dusze. A teraz... co? Co? Nic. Twój kraj już cię nie potrzebuje w roli obrońcy przed siłami zła. Czuliś się szczęśliwszy, kiedy diabeł żył, a Biały Dom był pierwszym celem na sowieckiej mapie celów rakietowych. Budziłeś się co dzień, wiedząc, że jesteś na pierwszej linii frontu, że bronisz słabych i przerażonych. Szkoda, że nie widziałeś samego siebie, kiedy wkraczałeś codziennie rano do biura, szkoda, że nie widziałeś ognia w swych oczach, kiedy wysyłałem cię z kolejnym zadaniem. — Charlie zdusił papierosa i ciągnął: — W ostatnich latach przypominałeś rycerza, który zabił już ostatniego smoka, a teraz siedzi sfrustrowany i odmawia zabijania szczurów w piwnicy, ponieważ jest to poniżej jego godności. Urodziłeś się i wyrosłeś, by wziąć udział w Armagedonie. A teraz już po wszystkim. To była dobra wojna, kiepska wygrana, a teraz nikt już o nic nie dba. Znajdź coś nowego, co cię będzie ekscytować.

•Wszystko, co powiedziałeś — odparł Keith po chwili milczenia

— to prawda. Nawet jeśli nie chciałem tego usłyszeć.

—Nie mówię ci nic, czego byś nie wiedział. Posłuchaj, powinieneś stworzyć sponsorowaną przez rząd grupę o nazwie „Ludzie Bez Celu”.

•Prawdziwi mężczyźni nie dołączają do takich grup. Zatrzymują swoje problemy dla siebie.

•Moja żona nie zgodziłaby się z tym. — Charlie przez chwilę się zastanawiał, a potem dodał: — Czasami naprawdę myślę, że przydałoby się jakieś stowarzyszenie tych, którzy brali udział w zimnej wojnie. Tak jak tych, co walczyli w Wietnamie. Gdzie są nasze parady?

•Zwracam ci uwagę na pomnik wojowników zimnej wojny na Mail

— powiedział Keith.

•Na Mail nie ma żadnego pomnika wojowników zimnej wojny.

•Na to ci właśnie zwracam uwagę.

•Rozumiem. — Charlie najwyraźniej namyślał się nad czymś. — Czy wiesz, co rycerze robili pomiędzy bitwami? Zajmowali się romantyczną, dworską miłością. Być zakochanym, być dwornym, zdobywać kobiety to wcale nie jest niemęskie.

•Wiem o tym.

•Czy ona cię podnieca? -Tak.

•Więc jedź do niej.

Keith przyglądał się Charliemu przez moment.

— A co z pracą? — zapytał.

•Zapomnij o niej. Na twojej tarczy widnieją smoki. Nie bierz się do szczurów w piwnicy.

•Dziękuję, Charlie.

Wypili kolejnego drinka. Potem Keith zapytał:

—Ile czasu tak ważnej osobie jak ty zajmie załatwienie paszportu?

— No — Charlie zakołysał swoją czwartą lub może piątą wódką — może kilka godzin, jeśli wszystko będzie w porządku. Zadzwoń do kolegi w Departamencie Stanu i popchnę sprawę. To dla twojej przyjaciółki?

-Tak.

•Gdzie jedziecie?

•Nie wiem. Prawdopodobnie do Europy.

•Jeśli macie zamiar zawitać w jakieś dziwne miejsce, gdzie potrzeba wizy, daj mi znać. Załatwię w jeden dzień.

•Dzięki.

Zamówili kawę, brandy i deser. Dochodziła trzecia po południu, ale nadal co najmniej połowa stolików była zajęta. To niezwykle, pomyślał Keith, jak wiele spraw wagi państwowej załatwia się w czasie lunchów, koktajli i kolacji. Miał nadzieję, że inni goście myślą jaśniej niż on i Charlie.

Charlie znów zakołysał swoją brandy i powiedział:

•Odszedłbym z tych samych powodów, ale mam żonę, dzieci na uczelni, hipotekę i kosztowne przyzwyczajenia, jeśli chodzi o restauracje. Wreszcie jednak wszyscy odejdziemy, wszyscy faceci z ciężko zdobytą wiedzą na temat świata, a nasze biura zajmą mięczaki, zajmujący się kobietami w ciąży lub uzależnionymi od narkotyków imigrantami ze wschodniej Europy.

•To lepsze, niżby miały świecić pustkami.

•Pewnie. — Charlie wypił brandy i zamówił następną. Kiedy skończyli jeść, Keith powiedział:

•Pojadę taksówką do Hay-Adams.

•Nie, weź wóz, poproś kierowcę, żeby wrócił tutaj po mnie o piątej. Mam jeszcze ochotę coś łyknąć. Możesz na lotnisko pojechać taksówką?

•Jasne. — Keith podniósł się. — To jutro do was wpadam. Lubię Katherine. Ciebie też, czasami.

•Cieszę się, że spotkam Annie. — Charlie stanął niepewnie na nogach. — Four Seasons czekają na nas. Zastanów się, bez żadnych nacisków, przed środą wyślij Yadzinskiemu miły odmowny liścik i zmykaj do Europy.

•To dopiero plan!

Uścisnęli sobie dłonie i Keith wyszedł. Teraz już bardziej padało, portier z parasolem poszedł po samochód, który stał za rogiem. Kierowca otworzył drzwiczki i odezwał się do Keitha tak głośno, żeby tamten usłyszał:

•Z powrotem do Białego Domu, proszę pana?

•Nie, prezydent ma się ze mną spotkać w Hay-Adams.

•Oczywiście, proszę pana.

Keith wszedł i samochód odjechał. To miasto świruje, pomyślał.

•Świry.

•Słucham pana?

•Pan Adair chciałby, żebyś przyjechał po niego o piątej.

•Oczywiście, proszę pana.

Keith usiadł wygodnie. Zdawał sobie sprawę, że Charlie bierze go pod włos, próbując na nim psychologiczne gierki. Ale przytoczona przez Charliego analogia ze smokiem i szczurami okazała się tak przekonująca, że teraz nie miał już wątpliwości — podjął słuszną decyzję ze słusznych pobudek.

To miasto uwiodło go jak największa dziwka świata; za każdym razem kiedy ją widział, kiedy jej dotykał, kiedy ją czuł— ulegał. Zmusiła go, by zrzucił mundur i pieprzyła go, aż nie pozostało w nim nic, a jednak cieszyła go każda chwila z nią spędzona. Innych mężczyzn też pieprzyła, a to go tym bardziej podniecało. Wiedział, że jest przekupna, zimna i bez serca. Ale była taka piękna, tak ślicznie ubrana, umalowana i błyskotliwa! Wabiła go uśmiechem, a on kochał ją ciałem, lecz w duszy nienawidził.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

O

szóstej po południu Keith wyrejestrował się z Hay-Adams i sam zaniósł swój bagaż do drzwi.

- Czy życzy pan sobie taksówkę?
- Poproszę. Czekał pod markizą.
- Taksówki uciekają przed deszczem — powiedział portier.
- Widzę.
- Na lotnisko? -Tak.
- Loty są przesunięte. Przez Virginia Beach nadchodzi Jack.
- Słucham?
— Huragan Jack. Szaleje na wybrzeżu. Ominie nas, ale będzie silnie wiało i pada. Lało przez całą noc. Czy sprawdzał pan swój lot?
-Nie.

•Krajowe czy Dullesa?

•Krajowe.

Portier potrząsnął głową.

— Duże spóźnienia. Może lepiej spróbuje pan z Dullesa.

Podjechała taksówka, portier otworzył drzwiczki. Keith wsiadł i za pytał taksówkarza:

- Jak tam krajowe?
- Zamknięte.
- Dullesa?
- Wciąż otwarte.
- Na Dullesa.

Droga na lotnisko Dullesa, która normalnie trwa czterdzieści pięć minut autostradą, zajęła im ponad godzinę; nie wyglądało na to, żeby pogoda miała się poprawić. Zbliżali się do lotniska, a Keith nie widział żadnego lądującego czy startującego samolotu.

— Nie wygląda to dobrze, szefie — powiedział taksówkarz. — Chce pan wracać?

-Nie.

Taksówkarz wzruszył ramionami i jechał dalej.

— USAir — powiedział Keith.

Kiedy dojechali do hali odlotów USAir, przywitała ich długa kolejka ludzi czekających na taksówki. Keith wszedł na teren terminalu i przestudiował monitor z rozkładem lotów. Prawie wszystkie były opóźnione albo odwołane.

Sprawił inne linie, szukając lotu do jakiegokolwiek miasta oddalonego od Spencerville o kilkaset mil, ale nikt nie potrafił mu pomóc.

O siódmej trzydzieści lotnisko Dullesa zostało oficjalnie zamknięte do odwołania.

Ludzie zaczęli opuszczać terminal. Niektórzy rozsiadali się, przygotowani na długie oczekiwanie.

Poszedł do baru. Pełno tu było podróżnych, ale dostał piwo i stanął wśród innych mężczyzn przed ekranem telewizora umieszczonego nad kontuarem. Jack zaatakował Ocean City w Marylandzie i nadal tam czynił spustoszenia, a efekty huraganu dawały się odczuć w promieniu stu mil od epicentrum. Wszystko wskazywało na to, że do rana nie odleci żaden samolot. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie pierwszy raz w życiu nie mógł się dostać do samolotu, wiedział więc, że nie warto martwić się i złościć z tego powodu. W innych miejscach i czasach sytuacja bywała krytyczna, czasem wręcz niebezpieczna. Tym razem była poważna.

Dochodziła już dziewiąta wieczór, a on umówił się o dziesiątej rano w zachodnim Ohio. Zastanawiał się, jakie ma możliwości. Dzieliło go od miejsca spotkania trzysta mil drogą powietrzną, trochę mniej niż dwie godziny lotu do Columbus, nieco więcej do Toledo, jeszcze więcej do Dayton lub Fort Wayne w Indianie. Gdyby mu się udało złapać samolot do któregoś z tych miast przed piątą, dotarłby do Spencerville na dziesiątą, ale musi wstąpić jeszcze na swoją farmę, toteż potrzeba mu kilku dodatkowych godzin. Może zawsze zadzwonić do siostry Annie z jakiegoś publicznego telefonu i powiedzieć, że się spóźni.

Ale było też możliwe, że rano ruch będzie nadal wstrzymany i z Dullesa uda mu się wylecieć dopiero później. Poza tym jego bilet nie miał rezerwacji na lot z tego lotniska.

Przeszedł z baru do biura wynajmu samochodów, gdzie stała już długa kolejka ludzi. Stanął do Avisy i wreszcie dotarł do kontuaru. Młody człowiek, który za nim siedział, zapytał:

- Czy ma pan rezerwację?
- Nie, ale potrzebny mi samochód. Jakikolwiek.
- Żałuję, ale zupełnie nic nam nie zostało i tej nocy nic nie dojedzie. Keith już wcześniej wiedział, że to usłyszysz.
 - A pański samochód? — zapytał. — Jadę do Ohio. To dziesięciogodzinną podróż. Dam panu tysiąc dolarów i może pan spać całą drogę na tylnym siedzeniu.
- Kuszące — odparł młody człowiek — ale...
- Proszę się zastanowić. Popytać dookoła. Będę w barze.
- Dowiem się.

Keith wrócił do baru i zamówił kolejne piwo. Teraz było tu prawie pusto, ludzie zwątpili we wznowienie w nocy lotów i pojechali do pobliskich moteli.

O dziesiątej młody człowiek z Avisy wszedł do baru.

- Rozpytywałem się — powiedział. — Niestety, nie ma chętnych. Dzwoniłem też do innych biur, ale nie mają samochodów. Pewnie wszędzie jest to samo. Może jeszcze spróbuje pan w Amtraku.
- Dzięki. — Chciał dać chłopakowi dwadzieścia dolarów, lecz ten odmówił. Keith wrócił do swego piwa. W większości krajów za zielone da się kupić premiera wraz z jego samochodem. W Ameryce pieniądze wciąż przemawiają, ale już nie tak głośno. Większość ludzi wykonuje swoją pracę bez drobnych łapówek, a czasami nawet nie chcą wziąć napiwku. Jednak jakieś oryginalne rozwiązanie problemu dostania się z punktu A do punktu B musiało istnieć.

Zastanawiał się przez chwilę. W ciągu lat swojej pracy nauczył się, że istnieje wiele dróg wydostania się z miasta. Ale jeśli lotnisko jest zamknięte z powodu pogody, obstrzału artyleryjskiego lub partyzanci zajmują płytę lotniska, utrudnia to także transport lądowy i morski.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Terry i nie wytłumaczyć jej, w jakiej się znalazł sytuacji. Byłoby to jednak działanie przedwczesne, a zarazem dopuszczające możliwość porażki. Albo jeszcze gorzej — porażka wyobraźni.

Myśl, nakazał sobie. Znajdź rozwiązanie.

Opuścił bar i przeszedł do telefonów. Tutaj też stały kolejki, ustawił się w jednej i czekał.

O dziesiątej trzydzięci dobił się do aparatu, zatelefonował do domu Charliego Adaira, ale odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

Powiedział:

—Charlie, jestem ugotowany na lotnisku. Na wypadek gdybyś tego nie zauważył: szaleje huragan. Złap mnie tutaj, jestem na Dullesie, nie na krajowym.

Usiadł z gazetą w poczekalni, tak żeby słyszeć, gdyby ktoś wywoływał jego nazwisko. Wiedział, że Adair odbierze wiadomość, ponieważ w tym zawodzie informacje sprawdza się co godzinę, jeśli nie częściej. Los świata od tego zależy. Przynajmniej kiedyś tak było.

O dziesiątej pięćdziesiąt pięć głos przez głośniki poinformował pana Landry'ego, że jest do niego telefon. Podeszedł szybko do aparatu. Odezwiał się męski głos:

- Panie Landry, mówi Stewart, pański poranny kierowca. Dostałem wiadomość od pana Adaira, żeby...
- Gdzie jesteś?
 - Na lotnisku Dullesa. Mogę się z panem spotkać przy wyjściu z hali odlotów.
 - Za pięć minut. — Keith ruszył szybkim krokiem do drzwi. Od razu poznał Stewarta, siwego mężczyznę koło pięćdziesiątki; stał obok lin-colna. Podbiegł ku niemu. Stewart włożył torbę do bagażnika, a kiedy Keith usiadł na przednim siedzeniu, spytał:
 - Nie byłoby panu wygodniej z tyłu?
 - Nie.

Stewart wszedł i ruszyli.

- Dzięki — powiedział Keith.
- To moja praca, proszę pana.
- Jesteś żonaty, Stewart?
- Owszem, proszę pana.
- Czy twoja żona jest kobietą wyrozumiałą?
- Nie, proszę pana. — Stewart się roześmiał.

Jechali powoli w ulewnym deszczu, zgodnie z oznakowaniem.

— Jakie dostałeś instrukcje? — zapytał Keith.

- Żeby zabrać pana do Four Seasons. Czeka tam na pana pokój. Wszędzie pełno ze względu na pogodę, ale panu Adairowi udało się to załatwić.
- Świetny gość
 - Pan Adair wysłał mnie na krajowe, gdy tylko się dowiedział, że jest zamknięte. Zostawiłem tam dla pana

wiadomość.

- Doceniam to.
 - Potem zadzwonił do mnie do domu i powiedział, że pan jest na lotnisku Dullesa, więc przyjechałem tutaj.
 - Współczesne środki komunikacji międzyludzkiej są wspaniałe.
 - Tak jest, proszę pana. Ja mam pager, telefon w samochodzie i radiotelefon.
 - Czy pan Adair powiedział ci, skąd dzwoni?
 - Nie, proszę pana. Ale mam do niego zadzwonić i zostawić wiadomość na sekretarce.
 - Ja mogę to zrobić. — Keith sięgnął po telefon komórkowy, wystukał numer Adaira i poinformował automatyczną sekretarkę: — Jestem w samochodzie, Charlie. Dzięki. Spróbuję wrócić tu jutro wieczorem, ale najpierw muszę się dostać do Ohio. Zadzwoni do mnie pod ten numer. — Podyktował numer komórki i dodał: — Porozmawiamy później. — Odłożył telefon i zapytał Stewarta: — Byłeś kiedyś w Ohio?
 - Nie, proszę pana.
 - Kasztanowy stan.
 - Tak, proszę pana. — Stewart tylko spojrzał na niego. Zbliżali się do rozjazdu. Keith powiedział:
 - Wjedź w Dwudziestą Ósmą Północną. Musimy gdzieś wpaść, zanim wrócimy do miasta.
 - Tak, proszę pana. — Stewart skręcił zgodnie z poleceniem. Keith spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. Było piętnaście po jedenastej. Przeniósł wzrok na wycieraczki.
 - Okropna pogoda.
 - Tak jest, proszę pana.
 - Podejrzewam, że o tym huraganie wiedziano wcześniej.
 - Od tygodnia o niczym innym nie mówią. Dziś rano powiedzieli, że dotrze do Virginia Beach, a potem uderzy we Wschodnie Wybrzeże, co spowoduje ulewne deszcze i wichury. Mieli rację.
 - Z pewnością. Kiedy dojedziemy do drogi numer siedem, skręć na zachód.
 - Dobrze. — Po kilku milach Stewart zapytał: — Jak daleko na zachód jedziemy, panie Landry?
 - No, jakieś... niech się zastanowię... około pięciuset mil.
 - Słucham?
 - Stewart, nareszcie masz okazję zobaczyć wspaniały stan Ohio.
 - Nie rozumiem.
 - To całkiem proste. Muszę być w Ohio. Żaden samolot nie odlatuje z Waszyngtonu. Więc jedziemy do Ohio. Stewart spojrzał na Keitha, potem na radio i telefon.
 - Pan Adair nie... On powiedział...
 - Pan Adair nie jest do końca zorientowany w sprawie, ale dowie się wszystkiego, kiedy z nim porozmawiam. Stewart zamilkł. Od lat pracował jako kierowca rządowy i nauczył się wykonywać polecenia niezależnie od tego, jak niewygodne i dziwaczne mu się wydawały. Keith jednak uważał, że winien mu jest kilka słów wyjaśnienia. — Możesz zadzwonić do żony i wyjaśnić, co się stało — powiedział.
 - Dobrze, proszę pana. Ale może najpierw powinienem porozmawiać z panem Adairem. Nie wiem, czy jestem upoważniony...
 - Stewart, dziś rano rozmawiałem z sekretarzem obrony, a potem z samym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Czy życzysz sobie, żebym teraz zadzwonił do któregoś z nich z prośbą o upoważnienie?
 - Nie, proszę pana.
 - Porozmawiam z panem Adairem w odpowiednim czasie. Ty patrz na drogę. Ja zadzwonię do twojej żony. Jaki numer?
- Stewart podał mu numer i Keith go wystukał. Przy tej pogodzie musiał próbować kilkakrotnie, w końcu jednak przez trzaski przebił się damski głos.
- Dobry wieczór, pani... — Keith spojrzał pytająco na Stewarta, który powiedział „Arkell”.
- Pani Arkell, mówi generał Landry z Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Obawiam się, że zmusiłem pani męża do nadgodzin dziś wieczorem... Tak, już go daję. — Keith wręczył telefon Stewartowi, który przyjął go bez entuzjazmu.
- Stewart słuchał przez pełną minutę, po czym powiedział tylko:
- Nie, nie wiem, jak późno...
 - Powiedzmy o tej samej porze jutro — wtrącił Keith. — Tak będzie bezpiecznie.
 - Tak, kochanie, ja...
 - Keith patrzył przez boczne okno na deszcz.
 - Zadzwonię do ciebie później — powiedział Stewart do żony i jeszcze mruknął coś pod nosem.
 - Wszystko w porządku? — zapytał Keith.
 - Tak jest, proszę pana.
 - Zaraz będzie droga numer siedem, pojedziemy nią do północnej obwodnicy.

- Oczywiście.
- Jedźmy ostrożnie. Później, kiedy wyrwiemy się już z tego deszczu, spróbujemy nadrobić czas.
- Tak jest, proszę pana. Nie mogę przekroczyć dozwolonej prędkości. Takie są zasady.
- Dobre zasady. To był długi dzień, prawda?
- Tak, proszę pana.
- Zastąpię cię później.
- To jest niedozwolone, generale.
 - Pułkowniku. Czasami mówię, że jestem generałem. Paniom.
- Stewart uśmiechnął się po raz pierwszy.
- Jechali powoli drogą numer 7, kiedy zadzwonił telefon. Keith odebrał:
- Cześć, Charlie.
- Wciąż jesteś w samochodzie?
- Nie, biegnę obok.
- Stewart cię znalazł?
- Tak, teraz jestem w jego samochodzie, dlatego do mnie dzwoni.
- Powinieneś być już dojechać do Four Seasons. Gdzie jesteś?
- Wciąż w samochodzie.
- Gdzie jest ten pieprzony samochód?
- Droga numer siedem.
- Dlaczego tam? Czy coś złego stało się z drogą Dullesa?
- Z tego, co wiem, nie.
- Keith słyszał w tle muzykę i gwar rozmów. Po dobrej chwili Charlie odezwał się znowu:
 - Gdzie jedziesz, Keith?
- Dobrze wiesz gdzie.
- Jezu Chryste, porwałeś rządowy samochód z szoferem...
 - Czemu nie? Już nieraz porywałem obce rządowe samochody z szoferami. Czemu nie nasz własny? Charlie zrobił głęboki wdech i zapytał:
- Stewart jest z tobą?
 - Jest. Już załatwił to z jego żoną, teraz ty załatw to z władzami. Postaram się wrócić jutro wieczorem. Baw się dobrze na kolacji czy gdzie tam jesteś. Dzięki, cześć...
 - Poczekaj. Słuchaj, nie możesz po prostu zadzwonić do niej i powiedzieć, że przylecisz jutro?
- Nie, umówiłem się rano.
- Powiedz, żeby ona przyleciała rano.
- Nie, uciekniemy razem.
- Zaczynasz sprawiać kłopoty, Keith.
 - Ja? To ty usiłujesz zamustrować mnie w Waszyngtonie. A na dodatek wiedziałeś o huraganie.
 - Nie, nie wiedziałem. W każdym razie myśleliśmy, że uderzy gdzieś w morze. Posłuchaj, dlaczego ona nie może po prostu przylecieć...
 - Charlie, spotkałeś jej męża. To zły facet. Kiedy Annie będzie zrywać okowy, muszę przy tym być. A poza tym chcę zabrać parę rzeczy z domu. Rozumiesz?
- Rozumiem. Nie da się logicznie dyskutować z facetem, którego prowadzi jego ptaszek. Masz zamiar zdążyć?
 - Keith spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. Była dwunasta dziesięć.
- Postaram się.
 - Powodzenia, bracie. Powiedz Stewartowi, że jestem mu winien kolejkę. Zadzwoni jutro.
 - Dobra. — Wyłączył telefon i powiedział do Stewarta: — Pan Adair winien ci jest dużą przysługę.
- Nie pierwszą.
- To tak jak mnie.
 - Jechali kolejne pół godziny, po czym skręcili w 1-81, na północ.
- Uważaj na drogę — powiedział Keith. — Wracać będziesz sam.
- Tak jest, proszę pana.
 - Keith poprawił się na siedzeniu.
- No i co powiesz o Oriolesach w tym roku?
 - Nie za wiele. Do rozgrywek pucharowych dostanę się tylko wtedy, gdy kupię sobie bilet.
- Orientujesz się w wynikach drużyn uniwersyteckich?
- Jasne.
- Buckeyesi znowu są w świetnej formie.
 - To prawda.
- Jechali i rozmawiali o sporcie. Oddalili się już trochę od centrum huraganu, deszcz nieco ustał i gdy wjechali do

Marylandu, Stewart zgodził się przekroczyć limit o dziesięć mil na godzinę.

W Hagerstown Keith polecił mu zjechać w I-70, prowadzącą na zachód. To była dobra droga, prawie całkiem pusta o tej porze, ale ponieważ wiodła przez Appalache, Stewart, który był do szpiku miejskim zwierzęciem, stracił fason.

Keith poprosił go o postój. Kiedy kierowca wrócił z toalety, zastał go za kierownicą.

•Proszę pana, pan nie ma prawa prowadzić tego samochodu.

•Chyba że w sytuacji krytycznej, kiedy trzeba cię usunąć z za kierownicy. Połóż się na tylnym siedzeniu, Stewart, i odpocznij. Albo zostawię cię tutaj.

•Tak jest, proszę pana.

Stewart otworzył tylne drzwi i ułożył się na tylnym siedzeniu.

Keith ruszył. Po piętnastu minutach z za pleców doszło go głośnie chrapanie. Włączył cicho radio i słuchał muzyki country, nadawanej przez stację w Wirginii Zachodniej. Puszczali zabawną piosenkę o rozwiedzionym facecie, który śpiewał „Ona dostała kopalnię złota, a ja szyb”.

Na południe od Pittsburgha zatrzymał się, żeby zatankować. Była czwarta dwadzieścia, a do Columbus zostało mu jeszcze pięć godzin, potem jeszcze dwie po drogach drugiej klasy do Spencerville i jakaś godzina do Chatham. Nie było mowy, żeby dotrzeć na spotkanie na dziesiątą ani na lot o drugiej piętnaście z Toledo. Ale zdąży wykonać jakiś nieco zmodyfikowany plan.

O siódmej, kiedy wciąż jeszcze kilka godzin drogi dzieliło go od Columbus, Keith próbował dodzwonić się do informacji w Chatham i zdobyć telefon Terry, ale nie udało mu się połączyć z samochodem. Zatrzymał się przy budce. Stewart obudził się i przeciągnął.

Keith poprosił centralę o numer Terry lub Lawrence'a Ingramów z hrabstwa Chatham. Otrzymał go i zatelefonował.

•Słucham — usłyszał damski głos.

•Terry? -Tak?

•Mówi Keith Landry.

•O mój Boże! O...

•Wszystko w porządku?

•Tak. Gdzie jesteś? Czy przyjedziesz? Która to godzina?

•Terry, posłuchaj. Jestem przy drodze, na wschód od Columbus. Spóźnię się. Nie zdążę przed... Będę jakoś tak wczesnym popołudniem. W porządku? Najpierw muszę pojechać do siebie. Rozumiesz?

•Tak. Annie przyjedzie o dziesiątej. Co mam jej powiedzieć?

Keith wciągnął głęboko powietrze. Najwyraźniej nie wszyscy w rodzinie Prentisów są bystrzy.

•Powtórz jej dokładnie to, co ci właśnie powiedziałem.

•Och, tak. Oczywiście, Keith. Jestem taka podekscytowana. Nawet nie wyobrażasz sobie, jaka ona była nieszczęśliwa. A to jest takie cudowne, jak sen. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Keith przerwał jej dopiero, kiedy się trochę wygadała.

•Terry, nie dzwoń do niej. Posłuchaj, wydaje mi się, że jej telefon może być na podsłuchu. Jeśli zadzwonisz, będą cię słyszeli na policji. Rozumiesz?

•Tak... ale ona przyjedzie tu o dziesiątej...

•Właśnie. I wtedy jej powiesz. Zjecie lunch. Zjawię się, kiedy tylko będę mógł. Złapiemy późniejszy samolot. W porządku?

•Tak, przekażę jej. O której...?

•Mniej więcej o pierwszej. Już nie będę dzwonił. Po prostu powiedz jej, żeby poczekała.

•Nie mogę się doczekać spotkania z tobą.

•Ja też. Wielkie dzięki, Terry. Dzięki za pośrednictwo przez te wszystkie lata. Jeszcze tylko ten jeden raz, dobrze?

•Gdzie jesteś?

•Niedaleko Columbus, w Ohio. Jadę z Waszyngtonu. Była okropna pogoda i nie mogłem przylecieć. Powiedz Annie, że jadę i że przepraszam. I powiedz, żeby nie dzwoniła do mnie do domu. Mój telefon też może być na podsłuchu.

•Twój telefon?

•Tak. Jej mąż mógł to zrobić.

•To skurwiel, nienawidzę go.

•Dobrze. — Keith wreszcie się pożegnał. Odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu. Stewart siedział z przodu, na siedzeniu dla pasażera. — Chcesz zadzwonić do domu? Dam ci moją kartę kredytową.

•Nie, dzięki. Zadzwonię z Ohio.

•Jesteśmy w Ohio.

•Tak...? No, to zadzwonię później. Jest za wcześnie.

Keith przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył obwodnicą wokół Columbus, a potem na północny zachód drogą 23.

Był chłodny, słoneczny dzień, błękitne niebo zdobiły gdzieś białe chmurki. Zaczął się już sobotni ruch, ludzie jechali wypocząć, najprawdopodobniej nad jezioro Michigan lub jakieś inne.

Stewart rozglądał się zafascynowany widokiem.

•Wszędzie farmy. A co to takiego rośnie? Kukurydza?

•Tak, kukurydza.

•Kto zje tę całą kukurydzę? Ja zjadam może uncję na miesiąc. Czy tutaj jada się dużo kukurydzy?

Keith, któremu nie bardzo chciało się tłumaczyć, jaka jest różnica między kukurydzą pastewną a słodką, ani rozwijać tematu paszy dla bydła i jedzenia dla ludzi, powiedział tylko:

— Jemy kukurydzę trzy razy dziennie.

Kiedy przejechali granicę hrabstwa Spencer, była już prawie jedenasta.

Keith zwolnił i ostatnie piętnaście mil jechał na luzie. Nie widział nigdzie ani policji hrabstwa, ani miejskiej; zresztą i tak nie rozpoznaliby samochodu. Ale nie chciał mieć kłopotów tak blisko celu.

Wjechał na podjazd, wyjął ze skrzynki pocztę i przerzucał ją, podjeżdżając pod dom. Przeważnie były to śmieci, ale znalazł też wezwanie do drogówki za wielokrotne złe parkowanie, a nie pamiętał, żeby kiedykolwiek dostał mandat. Drobną złośliwość, lecz zdawał sobie sprawę, że jeśli nie stawi się w wyznaczonym terminie, to znaczy w poniedziałek, może się u niego zjawić policja. Tyle że już go tu nie będzie.

•Mieszka pan tutaj? — zapytał Stewart.

•Tak. — Keith zatrzymał się przy ganku i wysiadł. Stewart wysiadł również, ale tak był zajęty rozglądaniem się wkoło, że Keith sam wyjął torbę z bagażnika.

•Wejść i odśwież się — powiedział.

Weszli do domu drzwiami, Keith poprowadził Stewarta na górę.

— Tam jest łazienka. Spotkamy się na dole. Bierz z lodówki wszystko, na co masz ochotę.

Poszedł do swego pokoju i wyciągnął z szafy spakowaną walizkę. Dwadzieścia lat życia w wiecznej gotowości do wyjazdu nauczyło go mieć zawsze pod ręką przybory toaletowe i zmianę bielizny. Potrzebne papiery miał naszykowane w teczce, paszport wsadził do kieszeni spodni.

Łazienka była już wolna, więc umył się, potem zniósł swoje rzeczy na dół. Stewart pił w kuchni sok pomarańczowy Keith wlał sobie resztę z kartonu.

•Przykro mi, że nie mogę ci nic zaproponować na śniadanie.

•Nic nie szkodzi. — Stewart rozejrzał się wokół. — To jest prawdziwy stary dom.

•Ma jakieś sto lat. Trafisz z powrotem do Waszyngtonu?

—Chyba tak.

Keith wyciągnął z portfela cztery studolarówki i powiedział:

•To na benzynę, jedzenie i autostrady. Zatrzymaj się przy jakiejś farmie i kup świeże warzywa. Pani Arkell ucałuje cię za to.

•Dziękuję, pułkowniku. Niezłe się bawiłem.

•Wiedziałem, że tak będzie. Kiedyś to powtórzymy.

•Czy mogę skorzystać z telefonu?

•Nie, mam podsluch. Nie chcę, żeby ktoś wiedział, że tutaj jestem. Zadzwoń z budki przy drodze.

•Dobrze, proszę pana. Mam nadzieję, że zobaczę pana znowu w Waszyngtonie.

— Nigdy nic nie wiadomo. — Uścisnęli sobie dłonie i Stewart wyszedł.

Keith zastanowił się jeszcze, czy o czymś przypadkiem nie zapomniał, potem zamknął na klucz drzwi frontowe i wyniósł bagaż do blazera.

Na przednim siedzeniu leżała kartka, Keith przeczytał wydrukowaną wiadomość: MIAŁEŚ ZNIKNAĆ STĄD W PIĄTEK, A TWÓJ SAMOCHÓD NADAL TU JEST WPADNĘ W PONIEDZIAŁEK SPRAWDZIĆ.

Notatka nie była podpisana i żaden sąd nie potraktowałby jej jako groźby. Ale Keith nie wybierał się do prokuratora. Albo zabije Baxtera, albo pozwoli mu żyć. W gruncie rzeczy wybór należał do szefa policji.

Nie wiedział, czemu policjant miał zamiar czekać aż do poniedziałku, potem uzmysłowił sobie, że Baxter wybrał się w sobotę na swoją tradycyjną wyprawę na ryby lub polowanie. A niedziela może nawet dla szefa policji Baxtera jest dniem odpoczynku i pokoju. Do poniedziałku jego już tu nie będzie. Prawdę mówiąc, nie będzie go już przed jutrem, kiedy to szef Baxter wróci do pustego domu. Wtedy też zrozumie, że Keitha Landry'ego istotnie już nie ma, ale że również nie ma pani Baxter. Ciekawe, czy ona zostawi mu kartkę.

Wsiadł do blazera i przekręcił kluczyk. Nic. Kompletnie martwy. Pociągnął za rączkę otwierającą maskę i wysiadł. Brakowało akumulatora, na jego miejscu leżała kartka: PIEPRZ SIĘ.

Odetchnął głęboko. Przez tego człowieka nie dotrzyma obietnicy danej Annie. Ogólnie rzecz biorąc, ostatnie dni nie były najlepsze, a wszystko zaczęło się od przyjazdu Charliego Adaira. Wizyta w Białym Domu też nie należała do przyjemności. Podobnie huragan Jack. A teraz jeszcze to.

W porządku, Landry. Masz problem z transportem.

Zastanawiał się przez chwilę i poszedł do stodoły. Mały traktor miał dwunastowoltowy akumulator. To powinno wystarczyć.

Otworzył bramę i siadł na siodełku. Miał zamiar uruchomić traktor, podjechać do blazera, przez chwilę go ładować,

potem przelożyć akumulator z traktora do samochodu. Przekręcił włącznik. Nic. Ale usłyszał klik. Spojrzał na wskazówki. Ktoś włączył światła i akumulator się wyczerpał.

—Cliff, działasz mi na nerwy.

Zsiadł z traktora i spojrzął na drogę prowadzącą do farmy Jenkinsów. Mógłby pożyczyć akumulator od nich, ale żaden z ich samochodów

nie stał przed domem. Mógłby pożyczyć akumulator z ich traktora, ale w tych stronach tak się nie postępowało.

Wszedł do domu i wykręcił numer Jenkinsów, ale tak jak się spodziewał, nikogo nie było w domu. Od farmy Mullerów dzieliło go pół mili marszu.

—Niech to cholera.

Otworzył książkę telefoniczną i zadzwonił do warsztatu samochodowego. Powiedzieli, że przyjadą w ciągu pół godziny z nowym akumulatorem. Mechanik dodał:

- Pewnie go ukradły cholerne dzieciaki. Powinien pan zadzwonić na policję.
- Tak zrobię. — Powiedział im, jak dojechać, i odłożył słuchawkę. — Może powinienem zadzwonić do Baxter Motors, bo tam przecież leży mój akumulator.

Zastanawiał się, czy zadzwonić do Terry. Annie już tam była, czekała na niego, a Cliff Baxter najprawdopodobniej wyjechał z miasta. A jeśli jego rozmowę zarejestrowaliby na posterunku policji? Żeby nie wiadomo jak uważał podczas rozmowy z Terry, telefon ten byłby jak dzwonek alarmowy. Wszystkie jego instynkty i cała wiedza zawodowa podpowiadały mu: nie korzystaj z telefonu.

Tymczasem ogolił się, wziął prysznic i przebrał w zwykłe ubranie, przez cały czas starając się złe znaki brać za dobry omen. Prawdziwa miłość nigdy nie bywa łatwa.

Dzisiaj wieczorem, myślał, będziemy w Waszyngtonie, zjemy kolację z Adairami, może w niedzielę pójdziemy do katedry, potem Charlie pokaże nam miasto, następnie napiszę rezygnację z proponowanej mi pracy, odbiorę paszport Annie i nie później niż w środę polecimy do Rzymu.

To brzmiało naprawdę dobrze.

—Gdzie jest ten cholerny akumulator?

Jakieś czterdzieści minut po telefonie na podjeździe pojawiła się ciężarówka i już dziesięć minut później samochód działał. Keith włączył silnik przy mechaniku, wydawało się, że wszystko chodzi jak w zegarku.

Wyjechał na szosę, po kilku minutach skręcił na południe i ruszył do hrabstwa Chatham. Była pierwsza pięć, na miejsce dojedzie w niespełna godzinę.

Zobaczył za sobą niebiesko-biały radiowóz. W tej chwili nie dbał jednak o gliny. W samochodzie był tylko kierowca i jeśli szef chce go jeszcze bardziej przycisnąć, może znaleźć policjanta związanego we własnym wozie.

Na wypadek gdyby ów policjant zastanawiał się, czemu Keith Landry jedzie połą drogą do hrabstwa Chatham, na południowej granicy hrabstwa Spencer skręcił w autostradę, tak jakby kierował się do Columbus.

Samochód jechał jeszcze jakiś czas za nim, ale kiedy zbliżyli się do granicy hrabstwa Dawson, zawrócił. Keith jechał dalej jeszcze dziesięć minut, potem skręcił na południe, a następnie na zachód, w stronę Chatham. Podejrzewał, że policjant ze Spencerville poinformował przez radio swojego kolegę z Dawson, żeby pilnowali blazera, ale nie natknął się już na żaden radiowóz. Policje hrabstw nie są liczne, a hrabstwa duże. W porównaniu z wyprawami, jakie podejmował z Niemiec Zachodnich przez Wschodnie, do Berlina, to była łatwizna. Ale kiedy omija się policję, wszystko jedno gdzie, dużo zależy od szczęścia.

Po kolejnych piętnastu minutach przejechał kolejną granicę hrabstw i znalazł się w Chatham. Nie bardzo się orientował, gdzie jest, ale nie było trudno poruszać się po drogach, które zostały wytyczone zgodnie ze wskazaniami kompasu.

Wreszcie znalazł się na drodze numer 6 i jechał dalej na zachód, czytając numery rozjazdów, aż dotarł do T-3, przy której mieszkała Terry i gdzie czekała na niego Annie. Nie miał pojęcia, czy powinien skręcić w prawo, czy w lewo, ale rzucił monetą w wyobraźni i skręcił w lewo. Jechał powoli, szukając wzrokiem wiktoriańskiego domu z czerwonej cegły. Wreszcie ujrzał go w oddali po prawej stronie drogi. Pomyślał, że jakiś szósty zmysł podpowiedział mu, gdzie skręcić, i uśmiechnął się na wspomnienie dowcipu Charliego o własnym organie reprodukcyjnym jako drogowskazie. Keith wierzył jednak, że jego drogowskazem jest jego serce, które biło teraz jak szalone.

Zwolnił i wjechał na zwirowy podjazd. Natychmiast zauważył, że stoi tam tylko jeden samochód, i to półciężarówka. Po chwili go zaniepokoiło, to że w drzwiach, które się właśnie otworzyły, pojawiła się kobieta, która choć podobna do Annie, nie była nią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

T

erry przez chwilę stała w drzwiach, wreszcie ruszyła w stronę Keitha, który wysiadał z samochodu. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by odgadnąć, że Annie tu nie ma, choć nie wiedział dlaczego.

- Cześć, Keith — powitała go Terry.

- Jak się masz?

- W porządku. Annie nie ma.

- To wiem.

- Była, ale odjechała.

- W porządku. — Skinął głową.

- Ona... musiała.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Napilbyś się kawy? — zapytała wreszcie Terry.

- Jasne.

Poszedł za nią do kuchni.

- Usiądź. — Wskazała mu taboret. Zajął miejsce przy okrągłym stole kuchennym, a Terry nalewała kawy do dwóch filiżanek.

- Annie zostawiła wiadomość dla ciebie.

- Czy u niej wszystko w porządku?

- Tak. — Terry ustawiła filiżanki na stole, obok dzbanuszek ze śmietanką i cukier. — Była dość przygnębiona.

- No cóż, nie mam do niej żalu.

Terry siedziała, jakby nieobecna, wpatrując się w kawę.

— Nie była zła. Ale kiedy przyjechała tutaj... tak bardzo się cieszyła... Potem, gdy powiedziałam jej, że się spóźnisz, poczuła się zawiedziona. Wkrótce jednak wrócił jej dobry humor i zrobiło się całkiem miło.

Keith przyglądał się Terry. Była jakieś trzy lata starsza od Annie i właściwie bardzo do niej podobna, ale nie miała tej energii życiowej, tej jasności, co Annie. Terry skończyła szkołę średnią dwa lata wcześniej, zanim Keith zaczął spotykać się z Annie. Potem wyjechała na uniwersytet stanowy w Kent, więc widywał ją tylko podczas wakacji, ale — co Annie ostatnio mu przypomniała — to właśnie Terry pomagała im, ilekroć była w domu. Terry pozostała wieczną romantyczką. Pamiętał, że spotkała swego przyszłego męża, Larry'ego, na studiach. Pobrali się przed dyplomem, którego już żadne z nich nigdy nie zrobiło. Keith z Annie, oboje wtedy na pierwszym roku w Bowling Green, razem przyjechali na ślub. Teraz przypominał sobie, że siedem miesięcy później Terry urodziła dziecko, a Annie powiedziała wtedy do niego: „My najpierw skończymy studia, potem się pobierzemy, a potem będziemy mieli dzieci, w tej właśnie kolejności”.

- Zjadłyśmy razem lunch —kontynuowała Terry — i takiej szczęśliwej nie widziałam jej od lat. Ktoś z sąsiadów przyjechał i kiedy usłyszała, że samochód wjeżdża na podwórko, zerwała się i pobiegła do drzwi. — Terry uśmiechnęła się. — Pewnie nie powinnam zdradzać rodzinnych sekretów.

- Doceniam twoją szczerość. Annie możesz powiedzieć, że ja wyglądałem jak nieszczęśliwy, chory z miłości szczeniak.

Uśmiechnęła się znowu.

— Wyglądasz na zmęczzonego. Jechałeś całą noc?

Skinął głową.

—Znam ten wyraz twarzy. Kiedy Larry wraca z drogi, wygląda jak śmierć i jest wtedy wygłodniały. Tylko nie chodzi mu o jedzenie, lecz o miłość. Tylko miłość. — Poczerwieniła, dodając: — Och, wy, mężczyźni.

Keith uśmiechnął się. Larry był właścicielem kilku ciężarówek, Annie pisała mu o tym kiedyś. Jej szwagier jeździł, a Terry prowadziła księgi. Wyglądało na to, że nieźle im się powodzi, bo dom wyglądał miło i porządnie, a samochód stojący na podwórku był prawie nowy. Mieli trójkę dzieci na lub po studiach. Keith spotkał kilka razy Larry'ego, kiedy przyjeżdżał na wakacje z uczelni, i zapamiętał go jako dużego, spokojnego człowieka. Tego poranka albo był w pracy, albo bawił się w weekendowego szeryfa, albo po prostu gdzieś się zasztył, jak to robią mężczyźni, gdy wokół rozgrywają się sprawy sercowe.

—Czekała do pierwszej — mówiła dalej Terry — a potem zupełnie

nagle powiedziała: „Odjeżdżam” i napisała do ciebie kartkę.

Terry wyjęła kopertę z kieszeni spodni i położyła ją na stole. Keith spojrzął i zobaczył swoje imię napisane znajomym pismem. Popijał kawę, dobrze mu robiła.

- Próbowałam ją zatrzymać — powiedziała Terry — ale ona na to, że wszystko jest w porządku i że zobaczycie się innym razem. Jest zawsze taka pogodna, nawet kiedy coś ją dręczy. Nie chodzi mi o dzisiejszy rano, ale o całe życie z tym skurwielem. O Boże, tak bardzo bym chciała, żeby była szczęśliwa. Żeby znowu była naprawdę szczęśliwa.
- Ja też — powiedział Keith. — A co u ciebie? Wyglądasz świetnie.
- Dzięki. Ty wyglądasz naprawdę wspaniale, Keith. Poznałam cię od razu, gdy wysiadłeś z samochodu.
- Minęło sporo lat, co?
- O tak. Dobrze się wtedy bawiliśmy.
- Masz rację.
- Larry musiał pójść do pracy — zmieniła temat. — Czekał, bo chciał się z tobą spotkać, ale wreszcie musiał jechać. Prosił, żeby cię pozdrowić.
- Zobaczymy się następnym razem.
- Mam nadzieję. A więc nieźle ci się w życiu ułożyło. Zawsze wiedziałam, że dasz sobie radę.
- Dzięki. Macie ładny dom.
- Och, te stare domy to prawdziwy kłopot, ale Larry lubi majsterkować. Wracasz teraz na farmę?
- Tak. Czeka mnie mnóstwo roboty. Jak tam wasi rodzice?
- Świetnie. Jakoś trzymają się w niezłym zdrowiu, dzięki Bogu. A twój?
- Floryda bardzo się im podoba. Nie mogą uwierzyć, że mają syna na emeryturze.
- Wyglądasz zbyt młodo jak na emeryta. — Uśmiechnęła się.
- W tym punkcie się z tobą zgadzam.
- Byłeś w Waszyngtonie?

—Musiałem zakończyć kilka spraw. Myślałem, że zdążę na czas.

Rozmawiali jeszcze chwilę, list leżał na stole między nimi. Keith uważał, że odnowienie znajomości z siostrą Annie jest ważne, a prawdę mówiąc lubił Terry i chciał, by i ona go lubiła. Jako człowieka, nie jako kochanka Annie czy księcia na białym koniu. Okazała się znacznie bardziej przytomna niż o siódmej rano, czuł, że ma mu wiele do powiedzenia, ale na razie starał się nie poruszać żadnych ważnych tematów. Wreszcie jednak powiedział:

—Chcę dla twojej siostry tylko tego, co najlepsze. Wiesz, że nigdy nie przestaliśmy się kochać.

Terry przytaknęła, łzy płynęły jej po policzkach. Keith sięgnął po kopertę.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym go teraz przeczytał?
 - Nie, oczywiście, że nie... — Podniosła się. — Muszę wrzucić rzeczy do suszarki. — Zniknęła na schodach do piwnicy.
- Keith otworzył kopertę i przeczytał:

Kochany. Nie, nie jestem rozgniewana, ale... tak, jestem zawiedziona. Wiem, że nie mogłeś nic poradzić na ten wyjazd do Waszyngtonu, ale dzięki temu miałam kilka godzin dzisiejszego przedpołudnia, żeby się zastanowić. (O nie, Prentis! Tylko nie zaczynaj znowu myśleć!).

Keith uśmiechnął się, przypominając sobie, że tak zawsze reagował, kiedy Annie zaczynała zdanie od: „Myślałam...”.

Wiedział jednak, że ten list nie będzie zabawny, i czytał dalej:

Pomyślałam, że dla Ciebie jest to wielkie ryzyko. Dla mnie oznacza wyrwanie się z sytuacji, której już nie mogę dłużej znieść. Ale dla Ciebie to przyjęcie ogromnej odpowiedzialności — odpowiedzialności za mnie. Może nie chcesz tego ciężaru. Wiem, że mój mąż utrudniał Ci życie, jak mógł, i wiem, że postępowałeś z nim uczciwie. Ale zaczynam czuć się winna. Chodzi mi o to, Keith, że gdyby nie ja, nie byłoby Cię tutaj i nie wplątałbyś się w to wszystko. Gdyby nie ja, mógłbyś robić wszystko, na co masz ochotę, a po tym, co się wydarzyło, sądzę, że byłby to powrót do Waszyngtonu, Europy czy gdziekolwiek, bez potrzeby uwzględniania mnie w swoich planach. Nie, ja się nie dąsam, po prostu wreszcie zaczynam się zastanawiać, co jest dla Ciebie najlepsze.

Keith był pewien, że wie, co znajdzie w następnym akapicie, ale przeczytał go mimo wszystko:

Może obojgu nam potrzebny jest czas, żeby się zastanowić i spojrzeć na sprawy chłodnym okiem. Czekaliśmy tak długo, więc może potrzebujemy jeszcze kilku tygodni. Najprawdopodobniej byłoby dobrze, gdybyś wyjechał na ten czas. Nie o to chodzi, że chcę, byś wyjechał, ale obojgu nam mogłoby to ułatwić życie w związku z Cliffem. Możesz kontaktować się ze mną przez Terry, tak jak robiłeś to przez dwadzieścia lat. Ustalimy czas i miejsce kolejnego spotkania i wtedy porozmawiamy. Pewnie jesteś rozgniewany, że nie

poczekalam na Ciebie, ale nie dalam rady, przepraszam. Wiesz doskonale, że nie jestem najlepsza w pisaniu listów, nie potrafię pisać o swoich uczuciach, ale Ty wiesz, co czuję. Panie Landry, wszystko to powiem panu, kiedy się znowu spotkamy. Z wyrazami miłością, Annie.

Keith złożył list i schował go do kieszeni. Do kuchni weszła Terry. Sięgając po dzbanek z kawą, zerknęła na niego.

- Dolać ci?
 - Nie, dziękuję. — Podniósł się. — No cóż, jeszcze raz dzięki. Kiedy zobaczysz się z Annie, powiedz jej, że wyjeżdżam w poniedziałek.
- Wyjeżdżasz? Gdzie?
 - Jeszcze nie jestem pewien, ale skontaktuję się z nią przez ciebie, jeśli można.
 - Dobrze... Posłuchaj, pozwól, żebym do niej zadzwoniła. Ma telefon w samochodzie, może właśnie gdzieś jedzie. Powiem jej, że jesteś tutaj.
- Nie. Robi się późno. — Keith ruszył w kierunku drzwi.
- Chcesz jej zostawić jakąś wiadomość?
 - Napiszę do niej, a list przyślę tutaj.
 - Terry wyszła z nim.
- Nie wiem, co napisała — odezwała się — ale wiem, co czuła. Może nie powinieneś tak bardzo przejmować się tym listem.
- List jest w porządku.
 - Nie sądzę. Posłuchaj, co z wami jest nie tak?
 - Keith uśmiechnął się.
 - Pech, spóźnienia. — Wsiadł do blazera i otworzył okno. — Jakoś to naprawimy.
 - Tym razem prawie się udało. — Położyła dłoń na drzwiach samochodu. — Keith, ja znam swoją siostrę i nie powiedziałabym tego nikomu na świecie poza tobą... Ona jest przerażona. Ma za sobą zły tydzień.
- Czy myślisz, że grozi jej niebezpieczeństwo?
 - Ona uważa, że nie, ale... myślę, że ten ranek... to już było dla niej za wiele. Zaczęła się zamartwiać o ciebie... więc zadzwoniła do ich letniego domku w Michigan, a kiedy odebrał Cliff, odłożyła słuchawkę. Poczuli się lepiej, wiedząc, że on jest tam, a nie gdzieś w pobliżu. Mimo to wkrótce potem oświadczyła, że wraca do domu. To było dwie godziny przed twoim przyjazdem. Dziwię się, że się nie minęliście.
- Jechałem inną drogą.
- Prawdopodobnie mijała twój dom.
- Może.
 - Spróbuj porozmawiać z nią, zanim wyjedziesz. Ona tego potrzebuje.
- To nie takie proste.
 - Zobaczę się z nią jutro. Wiem, że nie mogę zadzwonić. Ale wpadnę do niej po kościele i wyciągnę ją gdzieś samą. Umówię was.
 - Terry, naprawdę doceniam to, co dla nas robisz, ale oboje potrzebujemy czasu na pewne przemyślenia.
- Mieliście na to dwadzieścia lat.
- I kolejnych kilka tygodni nic nie zmieni.
- Może.
 - Niech tak na razie zostanie. Skontaktuję się z tobą. Do tego czasu wszystkim nam się rozjaśni w głowie.
 - Terry odsunęła się od blazera.
- Oczywiście. Nie chciałam się wtrącać.
- Bardzo nam pomogłaś. — Włączył silnik.
- Jesteś zły.
 - Nie, nie jestem. — Uśmiechnął się. — Czy jeśli ci powiem, że jesteś równie ładna i seksowna jak twoja siostra, zachowasz się niczym prawdziwa dama ze Środkowego Zachodu i trzepniesz mnie po buzi?
 - Nie, ale dam ci buzi. — Nachyliła się do okna i cmoknęła go w policzek. — Uważaj na siebie. Do zobaczenia wkrótce.
- Mam nadzieję.
 - Wycofał się z podjazdu i skierował samochód znowu w stronę hrabstwa Spencer.
 - Praca oficera wywiadu przez dwadzieścia lat uczy człowieka niejednego. Przede wszystkim dowiadujesz się, w jak różny sposób rozumują ludzie, rozgrywasz życie niczym partię szachów i myślisz sześć posunięć naprzód. A poza tym nigdy nie zdradzasz swoich planów ani nie udzielasz więcej informacji niż to konieczne. Terry mógł oczywiście zaufać, ale nie wierzył jej ocenie. Najlepiej, żeby myślała, że się rozgniewał, czy co tam sobie wykoncypuje. Nie usiłował nią manipulować, a pośrednio Annie. Lecz trzeba brać pod uwagę Cliffa Baxtera, więc im mniej Terry wie, tym lepiej.
 - List Annie. Nie musiał czytać między wierszami — napisała mu wszystko, co chciała powiedzieć. Była zawiedziona, być może nawet zraniona. Bała się o jego bezpieczeństwo. Nie chciała być dla niego ciężarem. Traktował jej słowa serio. Oczekiwała od niego potwierdzenia, że nic się nie zmieniło mimo podróży do Waszyngtonu, że Cliff Baxter jej

nie przeraża, że ona sama nie jest mu kulą u nogi, wręcz przeciwnie.

Jednak prosiła go również, żeby zaczekał, i bez wątpienia prosiła o to poważnie. Ale nawet gdyby chciał czekać, nie mógł. Działania Cliffa Baxtera były nieprzewidywalne. „Ma za sobą zły tydzień”.

Przypomniał sobie, co opowiedziała mu Gail o strzelaninie w domu Baxterow i przemknęło mu przez głowę, zresztą nie po raz pierwszy, że Annie chce zabić męża. Nie mógł pozwolić, by to się stało. To nie mogło się stać. Ale gdyby nawet planowała coś takiego, czekałaby na wyjazd Keitha Landry'ego. Dlatego na razie miał jeszcze czas. Jeśli rozegrał to z Terry dobrze, Terry powie Annie, że Keith ma zamiar wyjechać i sądząc po jego minie, nie ma zamiaru wrócić. Może była to jednak drobna manipulacja, ale konieczna.

„Wszystko dozwolone w miłości i na wojnie”.

Może nie wszystko, lecz wiele.

Minął granicę hrabstwa Spencer i już po dwudziestu minutach był w Spencerville. Przejechał koło domu Annie; na podjeździe nie dostrzegł samochodu. W centrum zatrzymał się koło banku, wyciągnął z bankomatu, ile się dało, co w tych stronach oznaczało czterysta dolarów. Potem pokręcił się trochę po mieście, ale nigdzie się nie natknął na jej białego lincolna.

Wyjechał z miasta autostradą 22, zatrzymał się na samoobsługowej stacji Arlesów, wysiadł z samochodu i napełnił bak.

•Jak leci? — W drzwiach biura pojawił się Bob Arles.

•Świetnie. A u ciebie?

•W porządku. — Bob podszedł do klienta. — Sprawileś sobie nowego blazera.

-Tak.

•Jesteś zadowolony?

•Owszem.

•Udało ci się pozbyć tamtego cudaka?

•Zrobiłem w nim kurnik. Arles roześmiał się.

•Posłuchaj, czy szef Baxter interesował się tobą? — zapytał. Keith spojrział na właściciela stacji.

•Wpadł do mnie w zeszłym tygodniu.

•Coś takiego sugerował. Mówiłem mu, że byłeś u mnie któregoś dnia.

•Dzięki. — Keith odłożył na miejsce wąż dystrybutora. Weszli razem z Arlesem do biura i zapłacił za benzynę. —

Często tutaj zajeżdża? — spytał.

Wyraz twarzy Boba Arlesa się zmienił.

•No... kiedyś tak. Ale... hm... mieliśmy problemy.

•Chyba słyszałem coś na ten temat.

•Pewnie... Mnóstwo ludzi o tym słyszało.

Keith przeszedł przez wewnętrzne drzwi do pomieszczenia sklepowego. Za ladą nikogo nie było.

•Gdzie jest pani Arles? — spytał.

•Wyjechała na jakiś czas. Podejrzewam, że wiesz dlaczego, jeśli słyszałeś o spotkaniu w kościele.

•Ale dlaczego pani Arles wyjechała?

•Hm... no cóż... myślę, że czuła się trochę... chyba przestraszona, po tym jak otworzyła buzię na spotkaniu.

•Czyżby nie mówiła prawdy?

•Nie o to chodzi. Na tym świecie trzeba trochę dać, żeby trochę dostać. Kobiety nie mają pojęcia, jak się robi interesy. — Arles potrząsnął głową i dodał: — Szef i jego kuzyn, Don Finney, który też jest policjantem, przyjechali tutaj i powiedzieli, że już oni załatwią, żeby rada przeniosła rachunki policji gdzie indziej. Czy wiesz, jaka to dla mnie strata? Powiem ci. Dobre pięćdziesiąt procent mniej. Wiesz, co się teraz ze mną stanie? Jestem skończony. Przez to, że otworzyła tę swoją jadaczkę.

•Więc już się nie widzisz z Baxterem?

•Nadal tu wpada, bo policja ma jeszcze u mnie otwarty rachunek i tak będzie, dopóki rada miejska tego nie zmieni.

Ale nie jest skory do pogawędki, a jeśli już się odzywa, nie jest to przyjemne. Poinformował mnie, że ma do załatwienia sprawę z Mary. Powiedziałem mu, że nie zobaczy jej przez jakiś czas.

•Czy nadal bierze sobie, na co ma tylko ochotę?

•Nigdy nic takiego nie robił. Zawsze płacił. A jak chciałem mu dać coś ekstra, to chyba moja sprawa.

Keith położył na kontuarze produkty, które miały mu umożliwić przeżycie weekendu. Arles przeszedł za ladę i wybił ceny.

•Wyjeżdżam — powiedział Keith. — W poniedziałek.

•Tak? Na dobre?

•Owszem. Nie mam tu nic do roboty.

•Mówiłem ci. Chociaż szkoda. Przydałoby się więcej ludzi. Dwadzieścia jeden dolarów i siedemdziesiąt dwa centy.

Keith zapłacił, Arles włożył produkty do torby.

•Kiedy następnym razem do nas przyjedziesz, ta stacja będzie już zamknięta — powiedział.

•Twoja żona postąpiła słusznie. Wiesz o tym.

- Tak, może. Ale nie chcę mieć w Baxterze wroga, a w moim wieku nie mogę zaczynać jeszcze raz od nowa.
- Baxter już niedługo będzie szefem policji.
- Tak myślisz?
- Czytałeś sprawozdanie ze spotkania u Świętego Jakuba? Arles skinął głową.
- I co o tym myślisz?

—No cóż... facet powinien lepiej pilnować swego ptaszka. — Arles uśmiechnął się. — Czy wiesz, dlaczego mężczyźni wymyślają imiona dla penisa? Ponieważ nie chcą, by bezimienny nieznajomy podejmował za nich dziewięćdziesiąt procent decyzji. — Zaśmiał się i uderzył dłonią o ladę. — Łapiesz?

—Pewnie.

Arles spoważniał.

- Ale te inne rzeczy, które mu zarzucali... że brał za darmo... Do diabła, nawet jak to prawda, nikogo to nie bolało. A jeśli chodzi o niego i te inne baby... moja żona twierdzi, że taki facet nie nadaje się na szefa policji. Ja tam nie wiem, bo nie mam przecież pewności, czy one czasem nie kłamały. Wiem jedno, całe to gadanie nie wpłynęło dobrze na jego życie domowe. Znasz panią Baxter?
- Chodziliśmy razem do szkoły.
- Tak? To naprawdę świetna kobieta. Nie musiała wysłuchiwać tych brudów, które wycieruchy wyciągnęły w kościele.
- Zorganizuj następne spotkanie lepiej. I przekaz, proszę, wyrazy szacunku pani Arles. Powinieneś teraz być z nią. — Keith wziął torbę i wyszedł.

Z telefonu na stacji zadzwonił do Charliego Adaira. Włączyła się automatyczna sekretarka.

—Charlie — powiedział — moje plany uległy zmianie. Odezwę się do ciebie za dzień lub dwa. Przykro mi, że dzisiaj się nie spotkamy. Pozdrów ode mnie Katherine. A tymczasem mam prośbę. Mógłbyś za dzwonić do mnie i sprawdzić, czy szef policji Baxter, który wpadł na szalony pomysł, że interesuję się jego żoną, nie założył czasem na linii podsłuchu? Stewart wykonał wspaniałą robotę. Powinien być z powrotem przed północą. Wciąż się zastanawiam nad propozycją pracy. Przekaz ode mnie pozdrowienia prezydentowi. Odezwę się.

Mniej więcej o dziewiątej wieczorem Keith policzył, że jest na nogach od trzydziestu sześciu godzin, więc najwyższy czas pójść do łóżka. Otworzył szufladę w komódce przy łóżku. Glock zniknął.

Przez chwilę się zastanawiał. Porterowie wiedzieli, gdzie jest klucz do domu, ale oni nie zabraliby pistoletu. Przejrzał inne rzeczy w szafach, niewątpliwie ktoś je ruszał.

Najwyraźniej Baxter dostał się tutaj, co dla policjanta, który ma z pewnością ślusarza na zawołanie, nie było niczym skomplikowanym.

Wyglądało na to, że nie zniknęło nic poza pistoletem, a w domu nie było żadnego kompromitującego przedmiotu. Ostatnie listy od Annie spalił, a wszystkie wcześniejsze spotkał los różnych oficjalnych papierów — śmierć w niszczarce. Nie był kolekcjonerem, z czego się teraz cieszył.

Ale glocka nie było, a Baxter przeglądał jego rzeczy. Wystarczający powód, żeby zabić człowieka, i zrobiłby to, gdyby nie obietnica i fakt, że Baxter miał stracić żonę, pracę, przyjaciół i miasto. Śmierć, jak to się mówi, byłaby dla niego błogosławieństwem.

Keith wyciągnął stary nóż, który mu służył w Wietnamie, i położył go na nocnej szafce. Zgasił światło i poszedł spać.

Obudził się o świcie, wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół. Był rześki niedzielny poranek; kiedy wyszedł na dwór, widział swój oddech. Poszedł na pole i oderwał liść z kolby kukurydzy. Kolor kaczana był już prawie dobry, podobnie jak liści chroniących kolbę. Prawie, ale jeszcze nie całkiem. Jeśli pogoda pozwoli, za tydzień lub dwa zaczną się zbiory.

Obszedł podwórko, przyglądając się budynkom, płotom, ziemi. Odwalił tu kawał solidnej roboty. W farmę trzeba było jednak zainwestować nieco pieniędzy i mnóstwo ciężkiej pracy. Właściwie nie wiedział, dlaczego poświęcił jej tyle czasu i wysiłku, ale dobrze mu to robiło. Miał świadomość, że dotykał tych samych przedmiotów, których do tykali wcześniej jego ojciec i wuj, a jeszcze wcześniej dziad. Niewiele tu pozostało z czasów pradziadka czy prapradziadka, pierwszego osadnika, ale chodzili oni tymi samymi drogami wczesnym rankiem lub późnym wieczorem, kiedy wszystko pogrążone było w półmroku. Czuł ich obecność.

Pojechał do kościoła. Nie do Świętego Jakuba, ale Świętego Jana w Spencerville. Tu była inna kongregacja, co tu gadać — ludzie lepiej ubrani, lepsze samochody. Duży ceglano-kamienny kościół był, obok sądu, najokazalszym budynkiem w mieście. Jeśli hrabstwo miało świątynię establishmentu, był nią właśnie ten luterański kościół Świętego Jana, silnie związany z rodzinami pierwszych osadników, a obecnie miejsce, do którego przychodzili ludzie władzy. Nawet wyznawcy Kościoła episkopalnego wpadali tutaj od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy starali się o urząd albo chcieli otworzyć w mieście interes.

Keith szukał wzrokiem Baxterów przed świątynią, lecz bez skutku. Zresztą gdyby nawet wpadł na zwalistego szefa policji, nie miałyby to znaczenia. Była niedziela, teren kościelny, bogobojni zamożni mieszkańcy Spencerville nie pozwoliliby na żadne burdy w boży dzień i w domu Bożym.

Keith wszedł do środka. Budynek mógł pomieścić jakieś osiemset osób. Przebiegł wzrokiem po ludziach siedzących w ławkach, ale tutaj też nie ujrzał ani pana, ani pani Baxter. Jeśli mimo wszystko gdzieś byli, stanie u stóp schodów po nabożeństwie i zobaczy, jak wychodzą z kościoła.

Usiadł w jednej z ostatnich ławek po lewej stronie. Nabożeństwo rozpoczęło się powitaniem pastora Wilbura Schenka, powiernika pani Baxter.

Dopiero gdzieś w połowie nabożeństwa zdał sobie sprawę, że Annie jest w chórze i siedzi po prawej stronie ołtarza.

Chór właśnie się podniósł, by zaśpiewać. Patrzyła na niego tak, jakby widziała go już od dawna i niecierpliwił ją fakt, że do tej pory jej nie dostrzegł. Ich oczy spotkały się na moment, mrugnął do niej. Uśmiechnęła się i zaczęła śpiewać, potem spuściła wzrok na śpiewnik, ale wciąż się uśmiechała. Pomyślał, że wygląda jak prawdziwy anioł w czerwonej todze chórzystki, z oczami lśniącymi w blasku świateł. Kiedy hymn się skończył, złożyła śpiewnik, a siadając, znowu spojrzała na niego.

Keith wyszedł z kościoła przed końcem nabożeństwa i wyjechał z miasta.

Zatrzymał się na farmie Cowleyów, zastukał do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Drzwi jednak były otwarte. Wszedł do środka i zawołał Billy'ego Marlona, lecz dom wydawał się opustoszały. W kuchni znalazł ołówek i jakąś starą kopertę, napisał na niej: *Billy, wyjeżdżam na jakiś czas z miasta. Do zobaczenia następnym razem. Skończ z pićm. Jedź do szpitala dla weteranów w Toledo na badania kontrolne. To rozkaz, żołnierzu.* Podpisał się: *Landry, pułkownik piechoty armii Stanów Zjednoczonych.* Keith nie wiedział, czy ta wiadomość odniesie skutek, ale kierowała nim wewnętrzna potrzeba, a może poczucie obowiązku. Położył sto dolarów na stole kuchennym i wyszedł.

Zastanawiał się, czy pojechać do domu Porterów, ale już się z nimi pożegnał i nie chciał ich alarmować zmianą planów. Poza tym im mniej wiedzą, tym lepiej dla nich.

Następna w kolejności była ciotka Betty. Po drodze zatrzymał się przy straganie i kupił kilka słoików dżemu, syrop klonowy i inne słodkie produkty, które większość ludzi wprowadziłoby w cukrowy szok, ale które zdawały się świetnie służyć ciotce Betty.

Była w domu, właśnie wybierała się do Lilly i Freda na niedzielny obiad, o czym go od razu poinformowała. Zaprosiła go do środka, ale jak większość starych ludzi, których znał — a już szczególnie jego niemieccy krewni — niepokoiły ją nawet drobne zmiany w rozkładzie dnia.

— Muszę tam być za godzinę — oświadczyła.

Lilly i Fred mieszkali o dwadzieścia minut drogi od niej. Keith z uśmiechem uświadomił sobie, że czas mierzony przez ciotkę Betty biegnie całkiem inaczej.

— Wpadłem tylko na minutę — powiedział. — Przyniosłem ci parę rzeczy.

Postawił torbę na kuchennym stole, a ona opróżniła ją, wyjmując jeden słoik po drugim.

• Och, Keith, nie powinienes. Jesteś takim słodkim chłopcem! — wykrzykiwała.

• Ciociu, wyjeżdżam na jakiś czas — powiedział — i zastanawiałem się, czy byłabyś taka dobra i miała oko na mój dom.

• Znowu wyjeżdżasz?

• Tak. Nie zdarza mi się to aż tak często. Mniej więcej raz na ćwierć wieku.

• Gdzie jedziesz tym razem?

• Do Waszyngtonu. Muszę się zająć pewnymi zaległymi sprawami. Prosiłem jeszcze innych ludzi, żeby zajrzeli tam od czasu do czasu i rzucili okiem na dom i gospodarstwo. Jeffreya i Gail Porterów. Z Jeffreyem jesteście kumplami ze szkoły.

• Z których on jest Porterów? Czy to ten, który ma trzech synów?

• Nie, to jego ojciec miał trzech synów. Jeffrey jest jednym z nich. Jeffrey ma tyle lat co ja. W każdym razie chciałem, żebyś wiedziała.

• Poczekaj. Mam tu coś dla ciebie. — Podreptała do kuchni i wróciła z butelką francuskiego czerwonego burgunda, zimnego, bo wyjętego z lodówki. — Tutaj to się zmarnuje, więc lepiej weź.

• Dziękuję.

• Może byś poszedł ze mną do Freda i Lilly? Zadzwonię. Dołożą jeszcze jeden talerz. Ona zawsze przygotowuje za dużo. Ta kobieta marnuje jedzenie. Powiedziałam Harriet, ta twoja córka marnuje...

• Umówiłem się gdzie indziej. Posłuchaj mnie, ciociu. Wiem, że nie słuchasz plotek ani ich nie opowiadasz, ani w nie nie wierzysz. Ale za kilka dni usłyszysz plotki o mnie i Annie Baxter. Większość tego, co powiedzą ci ludzie, będzie przypuszczalnie prawdą.

Spojrzała na niego przelotnie i szybko przeniosła wzrok na wiktuały rozłożone na stole.

Keith cmoknął ją w policzek.

— Nie spiesz się, masz jeszcze sporo czasu. Napiszę do ciebie.

Zostawił ciotkę Betty w salonie, najprawdopodobniej zamartwiającą się, jak zdąży do Lilly, skoro została jej tylko

godzina. Keith uśmiechnął się. No cóż, przynajmniej dostał z powrotem swoje wino, niezła zamiana.

Ruszył do domu. Było już wczesne popołudnie, październikowe słońce przeszło na zachodnią stronę nieba, wraz z północnym wiatrem pojawiły się chmury. Było ciemno, chłodno i pusto.

Poczuł się samotny, jakby zamknął za sobą jakieś drzwi, ale jednocześnie był pewien, że zrobił wszystko jak należy. Wyjedzie rano, z Annie lub bez niej, ale ona pozostanie w jego sercu, a on wej. A w przyszłym tygodniu, przyszłym miesiącu czy przyszłym roku będą razem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

O

szóstej po południu Keith siedział w salonie, czytał i pił burgunda, który teraz już osiągnął temperaturę pokojową. Znalazł pudło z książkami ze studenckich czasów i wybrał Edith Wharton *Ethan Fro-me*. W tamtych latach lubił czytać Wharton, a także innych amerykańskich pisarzy tego okresu, na przykład Henry'ego Jamesa, Theodore'a Dreisera i syna stanu Ohio, Sherwooda Andersona. Podejrzewał jednak, że dziś już nikt do ich książek nie zagląda. Zanotował w pamięci, żeby zapytać Porterów, czy Anderson jest wciąż lekturą obowiązkową.

Od czasu dyplomu sięgał głównie po pozycje dotyczące bieżącej polityki, i to tylko te, które się pojawiały na liście bestsellerów „Washington Post”. Już cieszył się na następne dwadzieścia pięć lat, kiedy będzie mógł czytać to, co mniej aktualne.

Radio miał nastawione na stację w Toledo, nadającą stare przeboje. Van Morrison skończył właśnie ładną piosenkę *Brown eyed girl*, a teraz Percy Sledge zawodził *When a Man Loves a Woman*, przy której Keith lubił się kochać.

Był zmierzch, a przez chmury zrobiło się jeszcze ciemniej, tak że najpierw zobaczył światła wjeżdżającego na podjazd samochodu, a dopiero potem jego kształt. Kilka sekund później usłyszał chrzęst żwiru pod kołami.

Odłożył książkę, wyłączył radio i wyjrzał przez okno. Biały lincoln objeżdżał dom.

Keith przeszedł do kuchni i stanął w drzwiach dokładnie w chwili, gdy samochód się zatrzymał. Otworzyły się drzwiczki od strony kierowcy i wysiadła Annie. Miała na sobie biały golf, brązową tweedową spódnicę i pasujący do niej żakiet. Towarzyszył jej energiczny szary kundel, który wyskoczył z samochodu i natychmiast zaczął obwąchiwać podwórko. Stali o kilka kroków od siebie.

•Przez ciebie zgubiłam kilka linijek hymnu.

•Wyglądałaś i śpiewałaś jak anioł.

•Upadły anioł. Gdybyś tylko wiedział, o czym myślałam. Musiałam być czerwona jak moja tunika.

Podszedł do niej i pocałowali się, nie namiętnie, ale z czułością. Żadne z nich nie wiedziało, do czego to za chwilę doprowadzi.

•Ciotka Harriet przekazała mi twoje pozdrowienia — powiedziała Annie.

•Lubię ją. Chcę, żebyś wysłała jej kartkę z Rzymu.

•Mówiła, że jadła z tobą niedzielny obiad u twojej ciotki. Opowiadała mi, jaki z ciebie przystojny i kulturalny mężczyzna. — Po chwili dodała: — Użyła nawet słowa „seksowny”.

•Mój Boże. To kartkę z Rzymu wyślę jej ja.

Nie uśmiechnęła się. Wyglądała, jakby dręczyło ją wiele spraw. Patrzył na niebiesko-białą naklejkę z napisem „Wspomagaj miejscową policję” na jej samochodzie. Zauważyła to.

—Chcesz taką? — zapytała. — Mam w nadmiarze.

•Pozwól, że się nad tym zastanowię. Uśmiechnęła się, potem zmarszczyła brwi.

•Ja nie mam takiego wyboru.

•Wiem.

Przez kilka sekund milczeli, wreszcie Keith zadał najbardziej oczywiste, bardzo nieromantyczne pytanie:

— Gdzie jest twój mąż?

— Nadal nad Jeziorem Szarym. Zadzwoił wczoraj po południu i oświadczył, że zostaje. Wróci mniej więcej o północy, tak przynajmniej powiedział. — I dodała: — Udziela mi jak najmniej informacji. Prawdopodobnie z góry wiedział, że spędzi tam cały weekend.

Keith kiwnął głową. Jemu Baxter zostawił wiadomość, że zjawi się w poniedziałek.

— Jesteś pewna, że nikt za tobą nie jechał? — zapytał.

- Nie widziałam ani miejskich radiowozów, ani hrabstwa, a nie-oznakowane samochody znam. Zresztą i tak zaraz jadę, możemy postać trochę tutaj, za domem.
- Dobrze. Czy powinienem wyjaśnić ci sprawę Waszyngtonu?
 - Nie. Nie ma potrzeby. Ledwie wyjechałam od Terry, usłyszałam przez radio o huraganie. Zrobiło mi się przykro i chciałam wrócić, ale pomyślałam, że Cliff może już być w domu, a my potrzebujemy przecież kilku godzin przewagi. Potem zadzwonił i powiedział, że zostaje. Mogłabym go zabić... ja... płakałam wczoraj wieczorem, kiedy leżałam w łóżku i myślałam o tobie i o tym, co się mogło stać.
 - Nie jest za późno. Patrzyła na niego przez chwilę.
 - Moja siostra mówiła, że jutro wyjeżdżasz — powiedziała wreszcie.
 - Prosiłaś mnie, żebym wyjechał.
 - Och, a ty akurat robisz to, o co ja cię proszę. Od kiedy? Uśmiechnęła się.
 - Robilem mniej więcej połowę tego, o co mnie prosiłaś. To niezły wynik.
 - Zależy, która to połowa.
 - Jesteś twarda.
 - Nie. Tylko przyciśnięta do muru. To mój problem.
 - Słyszałem o bardzo dobrym kursie treningu asertywności dla kobiet. Wszystkie panie z Waszyngtonu, które znam, chodzą na niego. Mogę ci dać ulotkę.
 - Biedny Keith. Ostro dały ci w kość?
 - Czy my walczymy?
 - Jeszcze nie. — Przez chwilę stała w milczeniu, wreszcie rzekła: — Dobrze, chcę wiedzieć o Waszyngtonie.
 - Posłuchaj, w czwartek mój były szef, Charlie Adair, przyjechał tutaj, na farmę, i oznajmił, że moi byli przełożeni chcą mnie widzieć z powrotem w pracy. Ja mu na to: „Nie, jestem szalenie zakochany w dziewczynie z sąsiedztwa”. A on: „W porządku, weź ją ze sobą”. Wtedy opowiedziałem mu o twoim ograniczonym mężu, który nie pozwala ci podróżować z byłymi kochankami...
 - Zdusiła uśmiech.
 - Więc to były sprawy zawodowe?
 - Tak. A myślałaś, że co? Krótkie wakacje w Waszyngtonie przed ucieczką do Waszyngtonu?
 - Sama nie wiem... no... wiesz... ja po prostu... — Spojrzała mu w oczy. — To nie miało nic wspólnego z jakąś kobietą?
 - Och... rozumiem... Nie, nie miało. Czyżbyśmy byli zazdrośni?
 - Wiesz, że tak. Ale tylko gdy chodzi o ciebie.
 - No cóż, jeszcze jeden powód, żeby odrzucić tę ofertę pracy. Miałem latać po świecie i uwodzić rządzące kobiety.
 - Nie drocz się. Umierałam. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy nie czułam się tak... no, może raz. Kiedy byłam po uszy zakochana w pewnym facecie kilka lat temu.
 - Czy był ci wierny?
 - Jak pies.
 - A był dobry w łóżku?
 - Najlepszy w całym Ohio.
 - Kto kogo rzucił?
 - Nigdy tak naprawdę nie wiedzieliśmy.
 - Smutna historia. Przytaknęła.
 - Więc rząd chce, żebyś wrócił?
 - Tak, i muszę osobiście powiedzieć im „nie”...
 - Keith, jeśli chcesz wrócić do Waszyngtonu, nie będę ci stała na drodze...
 - Ja nie chcę...
 - Posłuchaj. Możesz wrócić, a jeśli postanowimy, że pragniemy być razem i zechcesz, żebym tam z tobą zamieszkała, a ja będę chciała przyjechać, pojedę do Waszyngtonu.
 - Nie będzie ci się podobało. Wierz mi.
 - Może i będzie.
 - Annie, jeśli cię proszę, żebyś porzuciła swój świat, ja również muszę porzucić swój. Nie żałuję tego i mam nadzieję, że ty także nie.
 - Nie, Keith, posłuchaj mnie: ten tutaj to był również twój świat i mógłby nim znowu być. Niestety nie jest możliwe właśnie z mojego powodu. Nie chcę, żebyś nie wracał do Waszyngtonu przeze mnie.
 - Oboje jesteśmy bardzo szlachetni. Powiedzieliśmy wszystko, co należało powiedzieć. Dobrze. Teraz bądźmy

egoistami, bo wydaje mi się, że oboje chcemy tego samego.

•Może. Muszę już jechać.

•Gdzie powinnaś teraz być?

•Nigdzie. On może się zjawić w domu w każdej chwili. Tak właśnie robi. Zawsze, jak mu się zdarzy mnie poinformować, kiedy wróci, przyjeżdża kilka godzin wcześniej, jakby się spodziewał, że zastanie żonę w łóżku z mleczarzem czy kimś takim.

•Co powiedziałaś na farmera? Jedźmy do twojego domu, niech raz ma powód do niezadowolenia. Znowu zdusiła uśmiech.

•Wpadłam tylko, żeby cię zobaczyć, zanim wyjedziesz. Chciałam też, żebyś poznał Denise.

•Kogo?

Zawołała psa. Przybiegł, polizał Annie po ręce, potem obwąchał Keitha i oparł się łapami o jego kolana. Keith przykucnął i pogłaskał psa, który okazał się bardzo ufny. Wyglądał jak krzyżówka szczotki z terierem.

Annie przyglądała się im przez chwilę.

—Czy pamiętasz? — zapytała.

Spojrzał na nią, najwyraźniej zdezorientowany.

—Tak naprawdę to jest Denise numer cztery — powiedziała. I nagle wróciło to do niego — latem sześćdziesiątego trzeciego roku podarował jej szczeniaka, suczkę nieokreślonej rasy. Nazwali ją Denise na cześć piosenki, która była wtedy bardzo modna. Podniósł się i spojrzał na Annie.

•To jest...?

•To jest praprawnuczka Denise. Ta pierwsza zmarła w siedemdziesiątym trzecim, ale zatrzymałam jedno z jej szceniąt i nazwałam ją Denise Dwa, a potem ona miała potomstwo i tak dalej... Stanowi coś w rodzaju łącznika, zdaje się... To sentymentalne i głupie...

wiesz, jakie są wiejskie dziewczyny... — Spojrzała na psa, który szarpał sznurowadła Keitha. — Psie życie jest krótkie, ale... nie stwarzają sobie problemów.

Keith przez chwilę przyglądał się suczce. A więc była symbolem miłości i lojalności, wiary i wierności przez lata.

•Aż trudno mi w to uwierzyć.

•Nie miałam wiele więcej... — Usiłowała się uśmiechnąć. — Gdyby tylko Cliff wiedział... On ma swoje psy, ale ten jest mój. I Denise go nienawidzi. Prawdę mówiąc, wszystkie kolejne go nienawidziły. Stara Denise raz go nawet ugryzła. — Annie roześmiała się.

•Psy dobrze się znają na ludzkim charakterze.

•Kiedyś mnie zapytał, skąd ją mam, i powiedziałam, że dostałam od anioła stróża.

Skinął głową. Pies odbiegł zwabiony jakimś zapachem koło stodoły.

Keitha zalała lawina wspomnień, bał się odezwać. Wspominał dzień, kiedy pierwszy raz zobaczył Annie w szkole, potem lato, gdy zaczęli się spotykać, chodzili na spacer, siedzieli z jej rodziną na werandzie, jedli wspólnie lody, trzymali się za ręce w kinie. Czuł swoje dłonie na jej skórze, wdychał jej zapach, potem nadszedł pierwszy pocałunek. Napięcie seksualne doprowadzało go do szaleństwa, a w owych czasach szansa na danie mu ujścia wahała się między nic a zero. A jednak pewnej nocy, kiedy jej rodzina gdzieś wyszła, a on przyszedł do niej do domu... Najpierw siedzieli na werandzie przez pół godziny, a Annie milczała. Z początku jej roztargnienie go denerwowało, ale potem jakoś, w sposób, którego do dziś dnia nie potrafił całkiem zrozumieć, bez słowa, bez dotyku, bez spojrzenia, dała mu do zrozumienia, że pragnie seksu. Pamiętał, że był tak przerażony myślą o tym, że omal nie uciekł do domu. Ale nie uciekł.

„Chodźmy do twojego pokoju” — powiedział.

Od tamtej nocy jego życie już nigdy nie było takie same.

Pamiętał także, jak kilka dni później zdecydował się wziąć od kolegi jednego szczeniaka, żeby go jej podarować. Wtedy nie wiedział, że po upojnej nocy kobiecie daje się kwiaty, dopiero później się tego nauczył. Ale ten szczeniak był pierwszym i najważniejszym prezentem, jaki dał dziewczynie, a to, co ona dała jemu — siebie — było najważniejszym darem, jaki kiedykolwiek otrzymał.

•Nigdy nie napisałaś mi o Denise — powiedział wreszcie.

•Ja... nie potrafiłam wymyślić... jak o niej wspomnieć, a jednocześnie nie robić wrażenia kogoś chorego z miłości. — Wciągnęła głęboko powietrze, wpatrując się w niego w gęstniejącym zmierzchu. — Te psy codziennie przypominały mi o tobie. — Uśmiechnęła się. — Czy cię uraziłam?

—Nie. Tylko brak mi słów.

—Jestem zbyt sentymentalna... Zdradzę ci jeszcze jeden sekret... W domu mojej siostry trzymam skrzynię pełną rzeczy związanych Keithem Landrym... Miłosnych listów, zdjęć, kronik szkolnych... kart, które dostawałam na urodziny i Walentynki, pluszowego misia... Miałam tam też inne rzeczy, byłam na tyle głupia, że zatrzymałam je po

ślubie. Znalazł pudło... Nie było tam żadnych listów ani zdjęć, nic takiego, tylko drobne prezenty, które mi dawałeś, i pewnie się domyślił, że nie dostałam ich od przyjaciółek, bo je wyrzucił. Nic nie powiedziałam, chciałam być lojalną żoną. Już wtedy wiedziałam, że poślubiłam nieodpowiedniego człowieka. — Stała chwilę w milczeniu. — Muszę jechać — oświadczyła wreszcie.

—Zostawiłaś swoje rzeczy u siostry?

Spojrzała na niego.

•Tak, bałam się je przywozić do domu, bo już tam mógł być. Dlaczego pytasz?

•Dobrze. Jedziemy.

•Gdzie?

•Do domu twojej siostry. Wyjeżdżamy. Zaraz.

•Nie, Keith...

•Teraz, Annie. Nie jutro czy w przyszłym tygodniu, czy za rok. Teraz. Czy twoja siostra lubi psy? Bo właśnie zaraz dostanie jednego w prezencie.

Wziął ją w ramiona i pocałował.

•Keith, nie... — Odepchnęła go. — To znaczy, naprawdę jedziemy...? Teraz?

•W tej chwili. Zostaw tu swój samochód. Mój jest spakowany. Zwołaj psa. Wsiadaj do blazera.

Wszedł do domu, wziął klucze, pogasił światła. Oderwał kawałek kartki z kuchennego bloczku i napisał: „Cliff, pieprz się”. Podpisał się, wyszedł z domu, poprosił Annie o jej kluczyki, dała mu.

•Chcesz mu zostawić jakąś wiadomość w samochodzie? — zapytał. Spojrzała na kawałek papieru, który trzymał w rękę, i powiedziała:

•Nie, on mi nigdy nie zostawiał żadnych wiadomości.

•Dobrze.

Wsiadł do jej samochodu, dojechał do stodoły, otworzył wrota i wprowadził lincolna do środka. Zostawił kartkę do Cliffa na siedzeniu kierowcy, zamknął bramę.

Kiedy jechali w stronę szosy, Annie zapytała:

•Czy ty mu zostawiłeś wiadomość w moim samochodzie?

•Tak. Złośliwą i dziecinną.

•Co napisałeś?

•Tylko dwa słowa i nie było to „Wszystkiego najlepszego”. Uśmiechnęła się.

Wyjechał na szosę, Annie siedziała obok niego, Denise na tylnym siedzeniu, jego rzeczy leżały w bagażniku.

Skreślił na południe, w stronę hrabstwa Chatham. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło, wreszcie Annie przerwała ciszę:

•Nie chce mi się wierzyć, że to się dzieje naprawdę.

•Tak. I nie ma odwrotu.

Znowu przytaknęła, potem ściągnęła obrączkę i pierścionek zaręczynowy i wyrzuciła je przez okno na drogę.

— Nie ma odwrotu. — Nachyliła się i pocałowała go w policzek. — Kocham cię.

Poczuł na twarzy jej łzy.

— Brakowało mi ciebie — powiedział.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

T

uż po wpół do ósmej Annie i Keith dojechali do wiktoriańskiego domu z czerwonej cegły. W chwili gdy Terry stanęła w drzwiach, Annie już wyskakiwała z blazera. Bez słów, tylko wydając piski i okrzyki kompletnie dla Keitha niezrozumiałe, podbiegły do siebie, uściskały się i ucałowały, podskakując przy tym jak małe dziewczynki. Czuł, że to właśnie on jest prawdopodobnie powodem tej radości, ale nie zwracały na niego wcale uwagi i dopiero po chwili Terry podbiegła, żeby go uściskać.

•No, no — powiedziała. — Kogo my tu znowu mamy?

•Tak, tym razem się udało.

•Och, Keith, wiedziałam, że się uda.

Annie stała obok, obejmując go ramieniem. Czuł się tak, jakby pozwali do fotografii.

•Jedziemy... — zwróciła się Annie do Terry, ale spojrzała na Keitha — gdzie jedziemy, kochanie?

•Do Nowego Jorku — odparł. Niezupełnie tam się wybierali, ale Keith nie zamierzał odkrywać wszystkich kart. To był dopiero początek ucieczki z terytorium wroga.

•A potem do Rzymu, prawda?

•Owszem.

Denise, która wciąż siedziała w samochodzie, zaczęła poszczekiwać.

— To właściwie była nagła... Czy nie miałabyś nic przeciwko przechowaniu jakiś czas Denise? — zapytała Annie Terry.

—Absolutnie nic. Odkąd dzieciaki się wyprowadziły, nie mieliśmy psa.

Annie otworzyła drzwi samochodu, pies wyskoczył i obiegł podwórko. Zachowuje się, jakby dobrze znał, pomyślał Keith.

Drzwi do domu otworzyły się znowu i stanął w nich mąż Terry, Larry. Był wyższy, niż Keith zapamiętał — ponad sześć stóp wzrostu — nieco cięższy i nieco bardziej łysy, ale wciąż wyglądał na mocnego faceta. Powitał szwagierkę, potem uściśnął dłoń Keithowi.

•Miło cię znowu widzieć.

•Mnie również.

Larry był silny i milczący. Jak większość mężczyzn z tych stron nie lubił rzucać słów na wiatr. Prawdę mówiąc, nigdy nie strzepił języka na darmo. Keith przypominał sobie, jak pewnej nocy pił wraz z Larrym Ingramem piwo w czyimś domu w Spencerville, było to jakiś milion piw temu. Nie pamiętał, żeby Larry powiedział wtedy coś poza: „Poproszę jeszcze jedno”. Larry nigdy nie zadawał pytań, toteż Keith sam pospieszył z informacją:

—Wyjeżdżam razem z Annie.

Larry skinął głową.

—Myślę, że nie będziecie mieli z tego powodu żadnych problemów ze strony Cliffa Baxtera, chyba że się dowie, że byliśmy tutaj.

Larry wzruszył ramionami.

•Coś mi się wydaje, że sobie z tym poradzisz.

•Pewnie.

•Tak właśnie myślałem.

•Możecie chwilę zostać? — spytała Terry Annie. Annie spojrzała na Keitha.

•Naprawdę już powinniśmy jechać.

•Dobrze — powiedziała.

Ich spojrzenia się spotkały, Keith pomyślał, że Annie wygląda tak, jakby potrzebowała wsparcia.

•Wszystko będzie dobrze — zwrócił się do obu siostr. — Nie musimy przejeżdżać przez hrabstwo Spencer.

•W porządku. — Terry skinęła głową.

Larry zniknął. Nagle pokazał się znowu w drzwiach domu, niosąc walizkę i torbę podróżną. Nie odzywając się ani słowem włożył je do bagażnika blazera.

Annie podziękowała mu.

•Przywiozłam tu swoje rzeczy w torbach na zakupy, ale Terry pożyczyła mi walizki — wyjaśniła.

•Czy to wszystko? — spytał Keith.

•Tak. Nie zabieram zbyt wiele.

•Chyba będzie mi się podobało podróżowanie z tobą.

•Zawsze mogę przecież dokupić coś po drodze. — Uśmiechnęła się.

•Właśnie.

•Mam te dwa listy do dzieciaków — wtrąciła Terry — a jutro rano pojedę do rodziców. Wpadnę też do ciotki Louise.

Keith bardzo już chciał być w drodze, powiedział jednak:

•Może byś wzięła coś ze swojej skrzyni wspomnień.

•Ależ z ciebie romantyk. — Annie spojrzała na Terry. — Czy nie jest cudowny? Mogę wziąć coś ze skrzyni?

•Jasne. Chodź.

•Jesteś zastępcą szeryfa w hrabstwie Chatham? — zwrócił się Keith do Larry'ego, gdy wyszły.

•Honorowym.

•Masz radio policyjne w domu albo samochodzie?

•Tu i tu.

•Udaje ci się łapać rozmowy policji ze Spencerville?

- Czasami. Słaby sygnał.
- A z biura ich szefa?
- Tak. Mocniejszy sygnał.
- Czy mógłbyś je łapać dzisiaj wieczorem?
- Jasne.
 - I sprawdzić u szeryfa hrabstwa Chatham, czy poszukują mojego blazera albo jej lincolna?
- Zrobione.
- Zadzwoń do ciebie z trasy.
 - W porządku — powiedział Larry i dodał: — Wiesz co? Weźcie mój samochód.
- Nie, tego nie możemy zrobić.
- Ależ możecie.
 - Larry, posłuchaj, wiem, że sobie poradzisz z tym facetem, ale on nie musi wiedzieć, że jest jakiś związek między tym, co się dzisiaj stało, a tobą i twoją żoną.
- To bez znaczenia.
 - Jeśli zatrzymają mnie w twoim samochodzie, będziesz miał kłopoty. Ten skurwiel zrobi wszystko, żeby cię dopaść, choćby mu to miało zająć dwadzieścia lat.
- Tym się nie przejmuj.
 - Owszem, przejmuję się. Posłuchaj, podoba ci się to czy nie, on należy do twojej rodziny, twoja siostrzenica i siostrzeniec to jego dzieci, twoje dzieci i jego dzieci są kuzynami, a na razie on wciąż jest twoim szwagrem. Będzie mi dobrze w moim samochodzie.
 - Larry nie odpowiedział.
 - Poza tym nie chcę niepokoić kobiet.
 - Larry skinął głową.
 - Polowanie nie rozpocznie się jeszcze przez kilka godzin, a potem i tak zaczną najpierw szukać samochodu Annie, a dopiero w drugiej kolejności mojego. Mamy dość czasu.
 - Larry zastanawiał się przez chwilę.
 - Trzymaj się międzystanowych — powiedział w końcu. — Na nich nie powinno być samochodów policji hrabstwa. Nie sądzę, żeby jakkolwiek patrol policji stanowej was ścigał, chyba że Baxter może cię oskarżyć o coś poważnego.
- Nie ma na mnie żadnego haka — odparł Keith.
 - No, nigdy nie wiesz, z czym on wyskoczy. Jeśli cię zatrzymają, zawiadomią go.
- Rozumiem.
- Gdzie jest jej samochód?
- Czemu pytasz?
 - No, jeśli stoi gdzieś na poboczu albo na parkingu, a jej nie ma w pobliżu, Baxter z pewnością zaalarmuje policję stanową, że jego żona została uprowadzona.
 - Keith skinął głową.
 - Jeśli jej samochód stoi przed domem — ciągnął Larry — a jej tam nie ma, albo jeśli nikt nie może znaleźć jej samochodu, policja dojdzie do wniosku, że chodzi o kłopoty domowe, czyli nieistotne. Rozumiesz?
 - Keith znowu skinął głową.
- Samochód jest schowany — powiedział wreszcie.
- Dobrze.
 - Niedobrze, pomyślał Keith, jeśli znajdą samochód ukryty w mojej stodole.
 - W hrabstwie Chatham nic ci nie grozi, już ja o to zadbam.
 - Dzięki.
 - Annie i Terry wyszły z domu. Keith zauważył, że Annie tuli pluszowego misia. Przyjrzała się mężczyznom.
 - Wszystko w porządku?
 - Albo jest zbyt spostrzegawcza, albo bardzo spięta, pomyślał Keith, albo on i Larry wcale nie mieli twarzy pokerzystów, jak im się wydawało.
 - Wszystko w porządku — powiedział. — Co znalazłaś?
 - Rzuciła mu misia. Obejrzał go dokładnie.
 - Ja ci tego nie dałem. Sięgnęłaś do skrzynki niewłaściwego narzeczonego.
 - Annie uśmiechnęła się.
- Kpiarz z niego — zwróciła się do Terry — i uważa, że to zabawne.
 - No, będziemy ruszać. — Keith uściśnął dłoń Larry'ego. — Jeszcze raz dzięki.
 - Annie przytuliła siostrę.

— Byłaś cudowna. Dzięki. Zadzwońmy do was z Nowego Jorku. Och, zaraz się rozplączę.

Uściskała Larry'ego.

— Uważaj na siebie — powiedział jej szwagier. — Nie martw się tym, co tu zostawiasz.

Keith miał właśnie ująć dłoń Terry, kiedy w kuchni rozdzwonił się telefon. Stali nieruchomo, opanowani jedną myślą.

— Może powinnaś odebrać — powiedział Keith. Terry skinęła głową i pospieszyła do kuchni. Keith, Annie i Larry poszli za nią. Terry sięgnęła po słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

—Słucham.

Po wyrazie jej twarzy Keith poznał, że nie były to dzieci meldujące, co u nich słychać.

•Nie, Cliff, nie widziałam jej — rzekła wreszcie. Annie chwyciła Keitha za rękę, jakby przerażała ją sama świadomość, że jej mąż jest z nimi powiązany linią telefoniczną.

•Nie — mówiła dalej do słuchawki telefonu Terry — była u mnie wczoraj rano, została nawet na lunch. Wpadłam dziś do was po kościele i widziałam się z nią... Nie, nie rozmawialiśmy o jej planach na dzisiaj... Chociaż wspomniała, że ma mnóstwo zakupów... Nie, nie wiem, czemu nie zrobiła ich wczoraj... — Terry pokazała słuchawce język i choć sytuacja była poważna, wszyscy się uśmiechnęli. — Skąd mogę wiedzieć, czy telefon w jej samochodzie działa? — Terry przez chwilę jeszcze słuchała Cliffa, a potem ku zdumieniu wszystkich powiedziała: — Posłuchaj, Cliff, a może byś tak przestał śledzić każdy krok mojej siostry? Jestem już zmęczona...

— Najwyraźniej jej przerwał, ale widać miała dość jego gadania, bo rzuciła tylko: — Cliff, idź do diabła! — I odwiesiła słuchawkę. — No cóż, wiecie, kto to był.

•Czy strasznie przeklinał? — zapytał Larry.

—Można tak powiedzieć.

Larry zmarszczył brwi.

— Już nie musisz traktować go jako szwagra — zwróciła się do niego Annie.

Larry skinął głową, a Keith mógł się tylko domyślać, co te słodkie słowa dla niego znaczą.

•Skąd dzwonił?

•Powiedział, że jest w domu. Że przyjechał wcześniej, niż zamierzał.

•W jakim był nastroju?

•Takim jak zwykle. Niezadowolony. — Wzruszyła ramionami.

•Wreszcie ma powód, żeby być niezadowolonym — skomentowała Annie.

Keith zerknął na zegar w kuchni. Była siódma czterdzieści pięć. Teraz już naprawdę nie mieli zbyt wiele czasu.

— Dobra, pora ruszać — powiedział.

Wyszli na podwórze i tu raz jeszcze odbyła się ceremonia pożegnalna, tym razem przyspieszona.

Po minucie siedzieli już w blazerze, wycofali się podjazdem i pomachali na pożegnanie. Miś siedział między nimi.

Jeszcze pięć minut temu Keith uważał, że mają sporą przewagę, teraz zmniejszyła się ona do pięćdziesięciu pięciu minut, a to mu się wcale nie podobało.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

N

a drodze numer 6, prostej jak strzełił, w sobotni wieczór nie było zbyt dużego ruchu, Keith włączył więc długie światła i przyspieszył do siedemdziesięciu mil na godzinę.

•Czy na pewno wszystko w porządku? — zapytała Annie. — Nie traktuj mnie jak dziecka.

•Nie chciałem denerwować twojej siostry — odparł Keith.

•W takim razie nie jest w porządku.

•No cóż, pytanie brzmi... jak długo zabierze Cliffowi ustalenie, co się właściwie wydarzyło. Może ty potrafisz na nie odpowiedzieć.

- Dochodzi ósma. — Zastanowiła się przez moment. — Nigdy nie wychodziłam tak późno, nie zostawiając informacji, gdzie się wybieram. — A gdy Keith nie odpowiedział, dodała: — Szkoda, że nie mamy większej przewagi.
- Bez ryzyka nie ma zabawy.
Spojrzała na niego. Uśmiechał się, więc i ona się uśmiechnęła, ale oboje wiedzieli, że sytuacja nie jest zabawna.
- Mimo wszystko za bardzo ryzykujesz — powiedział wreszcie — i to z mojej winy. Gdybym mógł cię teraz odwiedzić na moją farmę, tak żeby nikt nas nie zobaczył, zrobiłbym to i poradziłbym ci powrót do domu na dzisiejszą noc.
- Nie, nawet gdyby to było możliwe, nie zrobiłabym tego. Jestem z tobą i nigdy już do niego nie wrócę. I nie jesteś odpowiedzialny za to, że dziś wieczór powiedziałam „tak”. W porządku?
- W porządku.
Kierując się dalej na wschód, wyjechali z hrabstwa Chatham i znaleźli się w hrabstwie Dawson.
- Jak sądzisz, co teraz porabia twój małżonek?
•No cóż, co chwila dzwoni, usiłując się połączyć z moim samochodem... Dlatego był taki hojny i zainstalował mi aparat. Między tymi telefonami obdzwania moich rodziców, krewnych i przyjaciół, z pastorem i panią Schenk włącznie. Jeśli chodzi o śledzenie mnie, jest całkowicie bezwstydnym, a kiedy już z kimś rozmawia, nie bawi się w subtelności.
- Pewnie uważają, że się puszczasz. — Keith się uśmiechnął.
•Nie, uważają, że on ma świra. — Po chwili dodała: — On myśli, że zawstydzę mnie i karze za to, że nie melduję się mu za każdym razem, kiedy gdzieś wychodzę. Ale tylko robi z siebie głupca.
•Co ważniejsze, wszystkie te telefony zabiorą mu trochę czasu... Która z kolei na jego liście jest Terry?
•Zazwyczaj druga, zaraz za moimi rodzicami. Zostało mu jeszcze ze dwanaście.
Keith skinął głową.
•Terry wreszcie to zrobiła. — Annie uśmiechnęła się. Naśladując nieco głębszy głos siostry, powiedziała: — Cliff, idź do diabła. — Parsknęła śmiechem. — To wprawi go we wściekłość na dobre pół godziny. Nie lubi, kiedy kobiety mu się stawiają.
- Kto lubi?
•Ty. I kochasz riposty. Ale nie jesteś przykry... tylko zabawny. Wciąż jeszcze potrafisz mnie rozśmieszyć. — Wyciągnęła dłoń i pstryknęła go w policzek.
Jechali z dobrą prędkością, oceniając, że do drogi międzystanowej zostało im tylko dziesięć mil.
Sięgnęła po misia i położyła go sobie na kolanach.
—Pamiętasz go?
Zerknął na białą-brązowego pluszowego zwierzaka.
- Jarmark stanowy — zaryzykował.
- Jarmark w Spencerville.
- Zgadza się.
- Strzelnica. Byłeś bardzo dobry. Nadal lubisz strzelać?
- Nie. Przeszło mi.
- Wyobrażam sobie. A jesteś uzbrojony? -Nie.
- Dlaczego?
- No cóż, nie mam zamiaru strzelać do policjantów.
- A jeśli wpadniemy na Cliffa?
- Nie przejeżdżamy przez jego małe królestwo.
- Jeśli będzie nas szukał, pojedzie na koniec świata.
- No cóż, a ty jesteś uzbrojona? Odpowiedziała dopiero po chwili:
- Wczoraj byłam. Dzisiaj trochę mnie to wszystko zaskoczyło. On także zastanawiał się przez chwilę.
- Czy użyłabyś broni? — zapytał wreszcie.
- Gdyby próbował nam przeszkodzić, tak.
•No cóż... ja też. A uczciwie mówiąc, wziąłbym w drogę mój pistolet, ale zginął. Podejrzewam, że twój mąż włamał się do mojego domu.
- Co? Chcesz mi powiedzieć, że był u ciebie?
•Nie jestem pewien, czy to on, ale zajmuje dość wysokie miejsce na liście podejrzanych. — Po chwili dodał: — Nie potrzebujemy broni. Wszystko będzie dobrze.
- Dobrze...
•Jakieś dwa miesiące temu — zerknął na nią — mniej więcej wtedy, gdy się zjawiłem, w twoim domu doszło do jakiejś strzelaniny we wczesnych godzinach rannych. Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?
Spuściła głowę i jakiś czas wpatrywała się w podłogę. Wreszcie powiedziała:
- Nie, nie chcę.
- W porządku.
- Opowiem... ale nie teraz.

- Dobrze.
- Skąd się dowiedziałeś?
- To niewielkie miasto.
- Ludzie gadają o Baxterach, prawda?
- Wiesz, że tak. Ty zawsze jesteś święta. On zawsze jest szatanem.
- A ty to mój anioł stróż.
 - Dziękuję. Będę się starał. — Potrzebował więcej informacji, więc zapytał: — Co zrobi, jak już przepytasz wszystkich przez telefon? Czy zadzwoni do własnej jednostki policyjnej?
 - Może... w ostateczności. Ale to się już zdarzało. Najprawdopodobniej jednak wsiądzie do swojego radiowozu i wyruszy na poszukiwanie mojego samochodu. Najpierw objedzie motele, tak jakbym ja, mając romans, korzystała z takiego przybytku. Jednocześnie będzie wydzwaniał do każdego, kto mu tylko przyjdzie do głowy. Kiedy poczuje się już całkiem przybity, zadzwoni na posterunek. Nie pojedzie tam, bo nie zechce stanąć twarzą w twarz ze swoimi ludźmi, tylko opowie im jakąś idiotyczną historyjkę, że się martwi, czy nie miałam wypadku, albo coś w tym rodzaju. Poprosi o sprawdzenie szpitali i pogotowia i żeby policja zawiadomiła go, jeśli okaże się, że miałam wypadek. Taki z niego idiota i jego ludzie to wiedzą.
 - Najwyraźniej całkiem dobrze znasz jego *modus operandi* — zauważył Keith.
 - Po tych wszystkich latach chyba tak. Kiedyś pracował w policji taki starszy sierżant, z którym się zaprzyjaźniłam. Opowiadał mi o szaleństwach mojego męża. Cliff pozbył się go, jak zresztą wszystkich dobrych ludzi, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Czy zauważyłeś, że większość jego funkcjonariuszy to bardzo młodzi ludzie? Cliff sam ich dobiera. Kiedyś powiedział, że to jak z tresowaniem psów, trzeba je przyuczać od małego, karmić z ręki, nauczyć, żeby się ciebie bały i służyły tylko tobie. Twierdził, że to samo odnosi się do żon.
 - Keith nie odpowiedział.
 - Starał się ich ukształtować na obraz i podobieństwo swoje. Aleja nie wierzę, że zła można ludzi nauczyć, jeśli nie mają go w sobie już od początku. Większość tych chłopaków jest w porządku, lubią mnie, ale muszą grać rolę, które narzuca im szef.
- Keith nie był o tym do końca przekonany, ale ponieważ nie zamierzał przejeżdżać przez hrabstwo Spencer, miał nadzieję, że nie będzie okazji tego sprawdzać. Chyba żeby jakieś inne siły policyjne zatrzymały ich i doprowadziły na posterunek w Spencerville.
 - No dobrze. Kiedy więc wykona te wszystkie telefony, zadzwoni, jak przypuszczam, do szeryfa hrabstwa.
- Z pewnością. To kuzyn jego matki.
 - Od tego momentu całe hrabstwo będzie poszukiwało twojego białego lincolna.
 - Tak. Zanim zainstalował telefon w moim samochodzie, potrafili zajechać mi drogę i bardzo uprzejmie poprosić, żebym zadzwoniła do męża, który siedzi w pracy lub w domu, bo pilnie musi mi coś powiedzieć. Wielu z nich śmiało się, ale nie ze mnie, tylko ze mną.
 - Wygląda na to, że małżeństwo z miejscowym szefem policji to niezła zabawa.
 - Prawdę mówiąc, niekiedy tak. Niech Bóg mi wybaczy, ale czasami przyglądanie się, jakiego wała z siebie robi, sprawiało mi prawdziwą przyjemność. — Po chwili dodała: — Przepraszam. Mówię jak nie ja.
 - W porządku — uspokoił ją. — Będę z tobą uczciwy. Nasza sytuacja najbardziej zależy od tego, kiedy pojedzie na moją farmę i otworzy drzwi stodoły.

•Wiem.

Próbował postawić siebie w sytuacji Cliffa. Zastanawiając się nad tym, co powiedziała Annie o mężowskiej metodzie poszukiwania żony, musiał wziąć pod uwagę, że Baxter w gruncie rzeczy nie wierzył, iż ostatnimi czasy nie było kontaktu między jego żoną a Keithem Landrym. Dlatego Cliff Baxter w końcu wybierze się na jego farmę. A wtedy co? Jeśli podjedzie pod dom, zobaczy, że w oknach nie palą się światła, a na podjeździe nie ma samochodu. Jako pewny siebie superman, powinien dojść do wniosku, że Keith Landry potraktował jego pogróżki poważnie i uciekł. Z drugiej jednak strony, jeśli górę weźmie paranoidalna zazdrość, tym razem mająca realne podstawy, może pomyśleć coś zupełnie innego. Jeśli Baxter zdecyduje się sprawdzić stodołę, otrzyma odpowiedź na wszystkie pytania. Kartka z napisem „Cliff, pieprz się” nie poprawi mu humoru. Analizując to wszystko, Keith doszedł do wniosku, że mają najwyżej godzinę, zanim rozpoczną się rozmowy radiowe między siłami policyjnymi sąsiednich hrabstw.

Opuścili dom Terry i Larry'ego pół godziny temu, zaraz wjadą na międzystanową numer 75. Odnoga południowa zaprowadzi ich pro-

sto do Dayton albo do szosy numer 13, wiodącej do Columbus. Jeśli skierują się na północ, dotrą do Toledo. Keith zastanawiał się, co wybrać. Do Columbus mają dwie godziny drogi, do Dayton prawie trzy. Lotniska w obu tych miastach są większe niż port lotniczy w Toledo i stamtąd mają większą szansę złapać lot do Waszyngtonu czy choćby Baltimore lub Richmondu.

Za to do Toledo było zaledwie pół godziny jazdy, tyle tylko że nie wiadomo, czy złapią tam lot na wschód, a nie owijając rzeczy w bawełnę, czy złapią tam w ogóle jakiś samolot. Jednak przecież musiały istnieć jakieś połączenia. W ich sytuacji najważniejsze było jak najszybsze zniknięcie z drogi.

- Myślę, że powinniśmy pojechać do Toledo, bo jest najbliżej — zwrócił się do Annie. Przytaknęła ze zrozumieniem.
- Ale nie wiem, o której i dokąd odlatują stamtąd samoloty — dodał.
- Nie obchodzi mnie czym, gdzie i jak.

- W porządku. — Skręcił w północną odnogę międzystanowej 75. Była to dobra autostrada, z dwoma pasmami w każdą stronę. Ruch na niej panował niewielki. Utrzymywał prędkość siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. W tej chwili zawracali w stronę hrabstwa Spencer, ale ta szosa nie zahaczała o jego obszar. Keith starał się ocenić, jaki teren policja obejmie swoimi poszukiwaniami, dlatego zapytał: — O której dzisiaj po raz ostatni rozmawiałaś lub widziałaś się z kimś przed przyjazdem do mnie?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Dzwoniłam do moich dzieci około piątej... Po prostu chciałam je usłyszeć. Toma nie zastałam, ale rozmawiałam z Wendy.
- Czy pan Baxter dzwoni do swojej córki?
 - Zazwyczaj nie, ale tym razem może. Tak, sądzę, że to zrobi, bo mogło mu przyjść do głowy, że pojechałam się z nią zobaczyć. Mówiłam mu, że zamierzam to zrobić, ale jemu ten pomysł się nie podobał.
 - Więc Wendy potwierdzi, że byłaś w domu około piątej trzydzieści.
 - Tak. Mniej więcej o tej samej porze zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce Toma.

Keith spojrzął na zegar na tablicy rozdzielczej. Była ósma trzydzieści. Jeśli Baxter weźmie się porządnie do detektywistycznej roboty, ustali, że nikt nie widział jego żony od trzech godzin, co oznaczało promień stu osiemdziesięciu mil wokół Spencerville. To oczywiście obejmowało również Toledo, a także Fort Wayne w Indianie, gdzie również było lotnisko mniej więcej tej samej wielkości co w Toledo. Po każdej kolejnej półgodzinie zakres poszukiwań automatycznie się zwiększał. Zakładając, że poszukiwania już się zaczęły albo właśnie miały zacząć.

Annie przez chwilę mu się przyglądała.

- Keith — powiedziała wreszcie — to tylko dla ciebie kłopot.
- Nie, to spełnienie moich marzeń.
 - Ale gdyby mnie nie było z tobą, nie musiałbyś uciekać. Wysadź mnie na następnym przystanku, zadzwonię na policję w Spencerville i powiem...
 - Co powiesz? Że zgubiłaś samochód u mnie w stodole i potrzebujesz podwózki do domu?
 - Nieistotne, co powiem ani co on zrobi, ani co się stanie. Nie będę cię wplątywać w...
 - Annie, ja też mam swoje żale do Cliffa Baxtera, i to od wielu lat. Nie robię tego dla ciebie.
 - Och.
 - Po prostu chcę mu ukraść żonę, żeby go zdenerwować. I pojedę do Waszyngtonu, a ty do Rzymu. Przyślesz mi kartkę, dobrze?
- Myślę, że żartujesz.
 - Jestem sarkastyczny i mało zabawny. A ty jesteś za przyzwoita. Ale doceniam twoją troskę. — Minęła chwila, zanim dokończył: — Annie, wyrzuciłaś swoją obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Zgodziliśmy się, że nie ma powrotu. Temat zamknięty. Na zawsze.
 - Dobrze. Rozegrałeś to znakomicie. Podejrzewam, że trening zawdzięczasz swojej pracy.
- Uprawdzałem czyjaś żonę średnio raz na tydzień.
 - Chodzi mi o niebezpieczeństwo. Często groziło ci niebezpieczeństwo?
 - Nie, jeśli dobrze wykonałem robotę. A ostatnie pięć czy sześć lat spędziłem za biurkiem. Czuję się trochę zardzewiała.
- A ja wstrząśnięta.
- Masz powody. — Ujął jej dłoń i ścisnął ją. — Świetnie ci idzie.
- Z tobą czuję się bezpieczna.
 - Dobrze. Twoja siostra wygląda świetnie. Rodzina Prentisów ma świetne geny.
 - Moja mama też wiele się nie postarzała. Robisz dobry interes, panie Landry.
 - Wiem. Albo mi się zdawało, albo dałaś Larry'emu zielone światło na parę rundek z panem Baxterem.
 - Cliff będzie się trzymał teraz od niego z daleka, a Larry nie szuka kłopotów — powiedziała. — Terry i Larry to świetne małżeństwo. Kobiety z rodziny Prentisów potrafią być dobrymi żonami. — I jakby czytając w jego myślach, dodała: — Jedna z nich nie wiedziała tylko, jak wybrać męża.
- Wprawdzie wiedział, że nie powinien tego robić, ale zapytał:
 - Czy kiedykolwiek go kochałaś?
 - Nie. Nigdy.
 - Ale on cię kocha.

- Tak. Ale nie tego rodzaju miłości chcę czy potrzebuję. To ten rodzaj uczucia, którego on chce i potrzebuje, a mnie trzyma na smyczy obowiązków. — Milczała chwilę. — Teraz, kiedy Wendy poszła na studia, chciałam coś zrobić. Z tobą lub bez ciebie. Wierzysz mi?
- Tak. Czytałem to między wierszami w twoich listach. Może właśnie dlatego wróciłem.
- Nie ma żadnego „może”, Keith. To była nasza ostatnia szansa. Dobrze wiesz.
- Tak, wiem.
 - Tym razem nam się uda, prawda?
 - Uda.
 - Gdybym nie była tak przestraszona, podskakiwałabym na siedzeniu.
 - Będziesz mogła podskakiwać w samolocie. — Włożył kasetę do odtwarzacza. — Lata sześćdziesiąte. Mieszanka. Może być?
- Lepiej niż może.
 - Usłyszeli *Do You Believe in Magic*.
 - Sześćdziesiąty piąty. Byliśmy na pierwszym roku. Zgadza się? — zapytała Annie.
- Tak.
 - Moje dzieci uwielbiają tę muzykę — dodała. Potem było *Then You Can Tell Me Good-By*.
 - To chyba sześćdziesiąty siódmy — tym razem zgadywał Keith.
 - Słuchali kasety, jakieś dziesięć minut później Annie dotknęła jego ramienia i wskazała drogowskaz przed nimi — Bowling Green.
 - Skinął głową. To dziwne, pomyślał, jak niektóre nazwy przywołują wspomnienia. Serce mu lekko drgnęło, odwrócił się, żeby jej coś powiedzieć, i zobaczył, że po policzku Annie płyną łzy. Położył dłoń na jej karku i pomasaował delikatnie.
 - Jeśli... — westchnęła — moja córka będzie choć w połowie tak szczęśliwa tutaj, jak ja byłam, pozostaną jej dobre wspomnienia na resztę życia.
- Jestem pewien, że będzie szczęśliwa, jeśli jest podobna do ciebie.
 - Mam nadzieję... Ten kraj tak bardzo się zmienił... Trudno powiedzieć, czy teraz jest lepiej, czy gorzej, niż jak byliśmy dziećmi.
 - Ja również nie wiem, ale prawdę mówiąc, już mnie to nie obchodzi. Dojrzałem do tego, żeby stać się osobą prywatną, i mam nadzieję, że świat zostawi nas w spokoju.
- Musiałeś widzieć wiele okropności, Keith.
 - Widziałem. I szczerze mówiąc, dołożyłem temu światu problemów.
- Naprawdę?
- Może nie do końca świadomie.
 - Opowiedz mi o swoich dobrych uczynkach, tych, które popełniłeś świadomie.
 - Och, nic mi nie przychodzi do głowy... Widziałem też, jak działa się dobro... To nie jest zły świat, Annie, nie chciałem tego powiedzieć. Całe zło równoważą niezwykle akty odwagi, uczciwości i miłości. — Po chwili dodał: — I zdarzają się cuda. Takie jak odnalezienie ciebie.
 - Dziękuję. Dawno nie słyszałam czegoś tak miłego. — Rzuciła mu przelotne spojrzenie. — Keith, ja rozumiem, że twoje życie nie było przez cały czas podniecające i wspaniałe, wiem, że musiałeś przeżywać załamania, że widziałeś rzeczy pozostawiające urazy, o których chcesz teraz zapomnieć, które musisz z siebie wyrzucić. Powiedz mi tyle, ile zechcesz, ani mniej, ani więcej. Będę słuchać.
- Dzięki. Zrewanżuję ci się tym samym.
 - Przed nimi pojawiła się wielka zielona tablica z białym napisem: Lotnisko w Toledo, najbliższy zjazd.
- Już blisko — powiedziała Annie.
 - Tak. — Po prostu potrzebny był im jeszcze tylko jeden cud. Lub dwa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

K

iedy zbliżali się do małego lotniska, położonego na południowy wschód od Toledo, Keith nie widział ani jednej

maszyny podchodzącej do lądowania ani wznoszącej się w niebo, ale to go nie martwiło, ponieważ nie było to specjalnie ruchliwe lotnisko; jeśli dobrze pamiętał, miało tylko sześć stanowisk.

Zatrzymali się przed wejściem do terminalu, wspólnym dla przylotów i odlotów.

Nigdzie nie widać było ani ludzi, ani taksówek, ani samolotów.

—Poczekaj tutaj minutę — powiedział do Annie. Wszedł do małego nowoczesnego budynku; wewnątrz też było opustoszałe. Działała tylko mała kawiarenka, a wszystkie stoiska były pozamykane. Nie wyglądało to specjalnie obiecująco.

Znalazł monitor wyświetlający odloty. Z lotniska korzystało siedem linii, których maszyny latały na krótkie dystanse. Wpatrywał się w szklany ekran, nie przyjmując do wiadomości faktu, że zgodnie z rozkładem, ostatni lot — do Dayton — był godzinę temu.

—Cholera by to wzięła.

Podszedł do najbliższego punktu sprzedaży biletów, który należał do USAir. Za kontuarem siedziała kobieta, która wypełniała jakieś papiery.

•Czy będzie dziś jakiś lot dokądkolwiek? — zapytał Keith.

•Nie, proszę pana.

Spojrzał na pozostałe sześć punktów. Wszystkie wyglądały na opuszczone.

•Żaden samolot nie odlatuje stąd dzisiaj? — zapytał jeszcze. Spojrzała na niego zdziwiona i powtórzyła:

•Nie, proszę pana. Gdzie zamierza pan polecieć?

Nie chciał, by kolejnym jej posunięciem okazał się telefon do ochrony, więc powiedział:

— Myślałem, że jest wieczorny lot do Waszyngtonu.

•Nie, proszę pana. Ostatni lot z Toledo mamy o siódmej czterdzieści pięć. Czy zarezerwować panu miejsce do Waszyngtonu na jutro rano?

•Może. — Przez chwilę się zastanawiał. — Czy firmy wynajmu samochodów są jeszcze otwarte?

— Nie, proszę pana. Ostatni samolot wylądował czterdzieści pięć minut temu.

Był przykuty do blazera, a nim daleko nie zajędzie.

— Mam miejsca na siódmą piętnaście rano. Będzie pan w Waszyngtonie o ósmej pięćdziesiąt pięć. Zabukować?

Keith był za mądry, by pozostawiać za sobą jakieś ślady na piśmie, ale tak czy owak do rana każdy sprzedający bilety będzie miał podobiznę Annie Baxter, a prawdopodobnie także i jego.

•Proszę pana?

•Nie, dziękuję. Czy nie ma tu czasem czarterów?

•Owszem. Biuro jest, co prawda, zamknięte, ale można do nich zadzwonić.

•Dzięki.

Przeszedł do kontuaru lotów czarterowych, podniósł słuchawkę i wykręcił podany numer. Nagrany głos poprosił go, żeby podał nazwisko i zostawił wiadomość. Keith odłożył słuchawkę, mruczając pod nosem, że wydostać się z Sajgonu podczas ataku komunistów na ambasadę amerykańską było łatwiej, niż wyrwać się z Toledo w niedzielną noc.

Przeszedł do budki i zadzwonił do Ingramów. Odebrała Terry; Keith odezwał się swym najspokojniejszym głosem:

•Cześć.

•Keith! Gdzie jesteście? Czy wszystko...?

•Wszystko w porządku. Za chwilę odlatujemy. Annie już jest przy bramce, a ja tylko chciałem wam jeszcze raz podziękować i powiedzieć do widzenia.

•Jak to miło z twojej strony. Bardzo się cieszę, że mogliśmy pomóc i...

— Poczekaj... W porządku. Właśnie ogłosili lot. Chciałbym tylko jeszcze pożegnać się szybko z Larrym.

•Jasne. On tu stoi.

•Larry, czy nie denerwując zbytnio swojej żony, możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

•Poczekaj. — Keith usłyszał, jak Larry coś mówi, potem zabrzmiał wyraźny już głos w słuchawce: — W porządku, mogę mówić. Usłyszałem jakieś dziesięć minut temu, nadali to do wszystkich patroli, potem dzwoniли do mnie, czy chcę jechać dziś w nocy.

•W porządku... Czego i kogo szukają?

— Zielonego chevroleta blazera, tegorocznego, z twoimi tablicami rejestracyjnymi. Poszukiwanymi są Annie Baxter i Keith Landry.

Keith przytaknął sam sobie. Oznaczało to, że odnaleźli jej samochód u niego w stodole.

— Czy zasugerowali, gdzie nas szukać?

•No cóż, tam gdzie zwykle. Punkty wynajmu samochodów, lotniska w promieniu dwustu pięćdziesięciu mil od Spencerville, zwiększonym co pół godziny, dworce autobusowe, stacje, wszystkie drogi i autostrady... te rzeczy.

•Z jakiego powodu nas poszukują?

- Urowadzenie. Zdaje się, że znaleźli w twojej stodole jej samochód.
- Czy radziłbyś mi pójść na policję i złożyć wyjaśnienie?
 - Nie rób tego. Przetrzykają cię, aż on przyjedzie i opowie swoją wersję. A policjant między policjantami...
- Ale jeśli ona podpisze oświadczenie, że...
 - Rozmawiałem z Baxterem. Powiedział, że ściąga dzieci do domu. Nie wiem, czy mówił prawdę, ale jeśli to prawda, mogą pojawić się na posterunku w tym samym momencie co wy i zrobi się prawdziwe zamieszanie, a na dodatek wszyscy się wzruszą. Jeśli możesz wyjechać, ruszaj.

Keith rozważał jego słowa. Annie nigdy nie wróciłyby do Bxstera, ale jeśli on wciągnąłby w to dzieci... Keith miał inne, prostsze wyjście. A przynajmniej myślał, że ma.

- W porządku — powiedział do Larry'ego. — Jeszcze raz dzięki.
- Wszystko u was w porządku?
- Tak. Za chwilę odlatujemy.
- Powodzenia.

Odwiesił słuchawkę. Dziesięć minut temu. To oznaczało, że już nie powinno ich być na lotnisku.

Przeszedł żwawym krokiem przez opustoszały terminal, zastanawiając się, czy nie powinien spróbować szczęścia w Dayton lub Columbus. To jednak oznaczało przemieszczanie się autostradą i nawet gdyby dotarł na lotnisko, czekali by już na nich. Prawdę mówiąc, już na nich czekali.

Nie było czasu, żeby się dłużej zastanawiać. Swoją plan opierał na własnym doświadczeniu, na tym, co podpowiadała mu jego wiedza i intuicja. Plan A nie zadziałał, plan B był prosty — ukryć się.

Wyszedł na zewnątrz. Na chodniku nieopodal blazera stał ochroniarz z lotniska. Podszedł do Keitha.

— Czy to pański samochód?

-Tak.

— Ta pani mówi, że leccie do Nowego Jorku. Coś mi się nie wydaje, żeby tak było.

Annie wysiadła z blazera i szła w ich stronę.

- Chyba rzeczywiście nie — powiedział Keith.
 - Jasne, że nie. Powiedziałem jej, że ostatni samolot odleciał godzinę temu.
- Właśnie się o tym dowiedziałem.
 - Ten pan mówi, że spóźniliśmy się na ostatni lot. — Annie stanęła koło Keitha.
 - Tak. Wracamy do domu. — Wziął ją pod ramię i poszli do blazera. Ochroniarz szedł za nimi. Wskazał na tablicę rejestracyjną.
- Widzę, że kupił pan samochód w Toledo.
 - Keith zerknął na blachę, na której widniał adres dealera.
- Owszem.
- Pani mówiła, że jedziecie z hrabstwa Chatham.
 - Tak. A samochód kupiłem w Toledo. — Otworzył drzwi od strony pasażera i Annie wsiadła.

Keith zauważył, że ochroniarz ma przy pasku radio, a wołał być daleko, kiedy z radia popłynę komunikat na ich temat. Przeszedł do drzwi od strony kierowcy i otworzył je.

Ochroniarz szedł za nim.

— Powinien pan przed przyjazdem zarezerwować lot telefonicznie.

Keith wysłuchiwał tego typu uwag i pytań już w tylu miejscach świata, że prawie znał je na pamięć, znał też mentalność zadających je ludzi. Nie miał pojęcia, co Annie zdążyła temu facetowi powiedzieć poza tym, że wybierali się do Nowego Jorku i że przyjechali z hrabstwa Chatham, a sam już zdążył zapytać o lot do Waszyngtonu. Spojrzał na nią i używając swego najlepszego akcentu środkowowschodniego, powiedział:

—Mówiłem ci, że powinniśmy zadzwonić i zarezerwować bilety.

Przytaknęła ze zrozumieniem i wychylając się przez otwarte okno, zwróciła się do ochroniarza:

- Tak jak panu wspominałam, na Nowy Jork zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili. Tak jak to robią ludzie na filmach. — I dodała: — Nigdy wcześniej nie lataliśmy.
- Możecie jechać do motelu i poczekać — poradził im. — Linia USAir ma poranny lot do Nowego Jorku.
- Do diabła z nimi — powiedział Keith. — Wracamy do domu. Odjechali. Ochroniarz stał na krawężniku.
- Trochę zanadto wścibski — mruknął Keith.
 - Za długo mieszkales w Waszyngtonie. On tylko starał się pomóc. Kiedy go zagadnęłam, był bardzo przejęty.
- No, myślę.

Tak czy owak ten człowiek na pewno zapamięta zarówno ich, jak i samochód.

- I co teraz pocniemy? — zapytała Annie.
- Jedziemy do motelu.
- Nie możemy po prostu jechać do Nowego Jorku?
 - Nie sądzę. — Zerknął na nią. — Rozmawiałem z Larrym. Rozesłali za nami list gończy.

Nie odpowiedziała. Wyjechał z terenu lotniska i skręcił na wschód na autostradę prowadzącą do Toledo.

•Czy możemy wynająć samochód? — zapytała.

•Myślałem, że tak, zanim usłyszałem o tym liście. Teraz bardzo musimy uważać na to, gdzie jedziemy i co robimy. Skinęła głową.

Zobaczyli przed sobą hotel przylotniskowy Sheraton, Keith podjechał bliżej i zaparkował tak, żeby z okien recepcji nie widać było samochodu.

•Poczekaj tutaj. Próbowala się uśmiechnąć.

•Jak za dawnych dobrych czasów.

•Coś w tym rodzaju.

Wszedł do środka. Na półce koło kontuaru stał aparat telefoniczny, przeznaczony do przyjmowania rezerwacji. Podniósł słuchawkę, a kiedy odezwała się centrala, zgłosił rezerwację w Sheratonie w Cleveland, co potwierdził swoją kartą American Express. Potem przeszedł do płatnego telefonu, skąd zadzwonił pod bezpłatny numer USAir. Zarezerwował dwa miejsca na poranny lot z Cleveland do Nowego Jorku, znowu podając numer karty. Dotychczas nie zdarzało mu się uciekać z własnego kraju, ale był raczej pewien, że tego typu telefonów nie da się sprawdzić. A jeśli nawet, to policja będzie go poszukiwać na między-stanowej do Cleveland, a — co jeszcze bardziej prawdopodobne — na tamtejszym lotnisku w Sheratonie. Fałszywe tropy były tak proste, że czasami działały, tylko dwa warunki musiały być spełnione, by odnieść sukces — policja na tyle sprawna, żeby je wyśledzić, a na tyle głupia, by uznać je za prawdziwe. Jeśli chodzi o to drugie, zakładał, że policja poszukuje przeciętnego obywatela, a nie kogoś, czyja praca polegała na wiecznym zacieraniu za sobą śladów.

Wyszedł z holu, podszedł do samochodu i wyjął z bagażnika torbę.

•Czy mogłabyś to potrzymać? — zapytał, siadając na swoim miejscu. Wzięła torbę, a Keith wyjechał z parkingu.

•Nie zatrzymujemy się tutaj? — zapytała Annie.

•Nie. — Powiedział jej, co zrobił i dlaczego. Spojrzała na niego.

•To było twoje powołanie czy praca?

•Powołanie. — I dodał: — Ale nie sądziłem, że da się to wykorzystać w życiu cywila.

Jechali na wschód, autostradą do Toledo, którego wieżowce już było widać. Ruch już przybrał na sile.

Zastanawiał się nad zmianą tablic. To oznaczało, że trzeba by znaleźć samochód, który został zaparkowany na noc albo którego właściciel nie zauważyłby zmiany i nie złożył meldunku. Ze zmienionymi tablicami mógłby jechać całą noc i dotrzeć nawet do Waszyngtonu. Tyle że nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś doniesie, że tablice zostały zmienione. A nawet gdyby nie doniósł, policja i tak szuka przecież zielonego blaze-ra, więc jeśli natrafią na taki, spiszą numery i sprawdzą w komputerze. Nie, to była ślepa uliczka.

•Nad czym się zastanawiasz? — zapytała.

•Rozważam możliwości. Ucieczka czy ukrycie się?

•Czemu po prostu nie pójdziemy na posterunek wytłumaczyć, o co chodzi?

•To nie jest rozwiązanie.

•Czemu nie?

•Jesteś gotowa na sceny rodzinne? — zapytał i opowiedział jej wszystko, co usłyszał od Larry'ego. Zastanawiała się przez chwilę.

•Gdyby chodziło tylko o niego — powiedziała — dałabym radę. Ale jeśli będą z nim dzieci... nie wiem...

•Może byśmy przycupnęli gdzieś i przeczekali do rana? Wszystkie te listy gończe dość szybko tracą na świeżości, może do tego czasu policja stanowa porozmawia z szefem policji w Spencerville, a nawet z tym ochroniarzem z lotniska. I może dojdą wtedy do wniosku, że pan Baxter źle zinterpretował sprawę.

•Może... — Skinęła głową.

•A dostać się w ręce policji o tej porze, bez możliwości rozmawiania z sędzią czy adwokatem, to nie jest najlepszy pomysł.

•Myślisz jak kryminalista. — Próbowala się roześmiać.

•Byłem traktowany jak kryminalista w wielu krajach, nigdy w moim. Ale zasady są te same. — Zamilkł. — Jeśli gdzieś się schronimy, czas będzie działał na naszą korzyść. Tak uważam, ale nie zrobię nic, czego ty nie zaakceptujesz.

•Już od dawna nikt tak ze mną nie rozmawiał. — Zastanawiała się przez chwilę. — Może powinniśmy zatrzymać się na noc, a rano... nawet jeśli trzeba będzie stanąć przed nim i wytłumaczyć się, zrobię to.

•Jeśli będziemy mieli szczęście, nie zobaczysz go ani rano, ani już w ogóle nigdy.

•To byłoby wspaniałe.

—Zgoda. W takim razie teraz poszukajmy jakiegoś motelu dla za kochanych. Znasz coś odpowiedniego w okolicy?

Uśmiechnęła się.

•Co najmniej sześć.

•Wystarczy jeden. Otwórz torbę. — Podał jej kombinację szyfru, a kiedy poradziła sobie z zamkiem, powiedział: —

To cię rozbawi. Tam jest fałszywe dno. — Wytłumaczył jej, jak je otworzyć. — Potrzebne mi okulary i mała brązowa koperta.

Bez słowa wyjęła jedno i drugie. Założył okulary.

—Otwórz kopertę. Tylko się nie śmieję.

Otworzyła i wyjęła z niej wąsy w takim samym kolorze jak włosy Keitha.

- Oderwij celofan i przyczep mi je. Zrobiła to, a on przejrzał się w lusterku.
- Co na to powiesz?
- Brak mi słów.
- Wypatruj hotelu.

Wyjął grzebień i zmienił uczesanie.

—Co powiesz na ten? Przed nami, po prawej.

Keith zobaczył niewielką tablicę informującą, że to motel Westway, cena 29 dolarów, strzałka skierowana była na prawo. Przypuszczał, że autostrada była kiedyś krętą dwupasmówką, ale wiele lat temu poszerzono ją i wyprostowano, pozostawiając niektóre z moteli o kilkaset jardów od nowego szlaku. Skręcił w wąską dróżkę, która prowadziła na niewielki parking przed motelem, gdzie stał tylko jeden samochód, ford escort. Zatrzymał się tak, by ich samochodu nie było widać przez okna recepcji.

— Dobrze. To naprawdę zupełnie jak za dawnych czasów. Za dwie minuty wracam.

— Kiedyś wracałeś z kluczem po czterdziestu pięciu sekundach.

Uśmiechnął się, wysiadł i wszedł do małej recepcji.

Recepcjonista, młody mężczyzna, podniósł wzrok znad ekranu telewizora umieszczonego pod blatem kontuaru.

Keith, udając napalonego gościa, powiedział tylko:

- Potrzebny mi pokój. Recepcjonista położył formularz na blacie.
- Ile za kilka godzin? — zapytał Keith.
- Tyle co za dobę.

— Człowieku, posłuchaj, właśnie postawiłem jej stek. Nie możesz trochę spuścić?

- Jak długo zostajecie?

•Może do północy. O północy kończysz robotę? To możesz sprawdzić.

- Tak, ale nie chcę was popędzać.

•No... może rzeczywiście dłużej nam zejdzie. Dam ci dwadzieścia pięć dolców za noc.

- Zgoda.

Keith wypełnił formularz, a puszczać wodze wyobraźni, wpisał forda escorta jako swój samochód. Dowiedział się, że portier, który mógł go rozpoznać mimo przebrania, zniknie o północy. Jak na razie wszystko się układało po myśli Keitha. Dał młodemu człowiekowi dwadzieścia pięć dolarów gotówką, wziął klucz do domku numer 7 i wyszedł.

Wsiadł do blazera, przejechał kawałek, tak by samochód stał w pewnej odległości od domku, który wynajął. W ten niedzielny wieczór przed budynkami niewiele było zaparkowanych pojazdów i żadnego nie dało się dostrzec z szosy. Ale i tak nie zamierzał zostawiać blazera na widoku.

Wyjęli bagaże, Keith zabrał również wszystkie osobiste drobiazgi z samochodu, kasy i kartę wozu.

Otworzył drzwi do domku i wnieśli wszystko do środka. Annie zapaliła lampę.

—Ślicznie tu — orzekła.

Prawdę mówiąc, było mało przytulnie. Keith znalazł w nocnej szafce książkę telefoniczną i zaczął przeglądać żółte strony.

- Czego szukasz?

•Potrzebuję... O, jest tutaj. — Zamknął książkę. — Wrócę za piętnaście, dwadzieścia minut.

- Gdzie się wybierasz?

•Pozbyć się samochodu. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Pójdę z tobą. Nie chcę być tutaj sama, gdyby przyszli.

- Dobrze.

Wyszli i wsiadli do blazera. Jechali dróżką prowadzącą do autostrady, Keith zatrzymał się przy neonie wskazującym drogę do motelu. Wsiadł i wyciągnął wtyczkę doprowadzającą prąd; napis zgasł.

— Jak na jedną noc, mają dość gości — powiedział, wsiadając do samochodu. Annie spojrzała na niego bez słowa.

Keith wyjechał na autostradę, kierując się znowu w stronę Toledo.

- Będziemy musieli wrócić piechotą — powiedział.

- Dobrze.

Minął ich jadący z przeciwnej strony radiowóz. Keith spojrzał w lusterko wsteczne, ale policjanci nawet nie zwolnili.

•Z książki telefonicznej wynika, że dalej przy tej drodze jest dealer chevroleta. Nieparzysty numer, więc będzie gdzieś po lewej stronie.

•Dobre miejsce, by zostawić blazera. Jesteś sprytniejszy, niż na to wyglądasz, Keith.

•Dziękuję.

•Czy ciągle jeszcze potrzebne ci okulary i wąsy?

•Dla twoich późniejszych fantazji. Uśmiechnęła się i dała mu kuksańca w ramię.

•Ty jesteś moją fantazją.

Po lewej stronie drogi ukazał się plac pełen chevroletów, Keith zwolnił i skręcił na parking. Tak jak podejrzewał, zakład o tej porze był już zamknięty. Znalazł plac, gdzie stały używane samochody.

Wysiedli, Keith otworzył bagażnik, wyjął i pudełka I narzędziami śrubokręt i odkręcił tablice.

— Kiedy przyjdą rano, będą musieli uwierzyć w dobrą wróżkę samo chodową. Chodźmy. Gdyby cię to interesowało, mamy ponad milę do przejścia.

Ruszyli z powrotem w stronę motelu.

— Czy rano wrócimy tu po samochód? — zapytała.

•Jest to jedna z możliwości. Doszli do Burger Kinga.

•Głodna? — zapytał Keith.

•Nie, czuję się, jakbym miała żołądek zawiązany w supeł.

•W takim razie potrzebujesz czegoś na rozwiązanie. Chodźmy. Wzięli hamburgery, coca-colę i frytki.

•Czy jest to tak romantyczne, jak myślałaś? — zapytał Keith, gdy usiedli przy stole.

•Kiedy jestem z tobą, autostrada lotniska wygląda jak Via Veneto. — Uśmiechnęła się. Wziął ją za rękę.

— Już dobrze.

Skinęła głową.

Zjedli. Okazało się, że oboje byli bardzo głodni. Zerknął na zegarek. Zawsze dobrze jest spędzić trochę czasu poza pokojem, który się właśnie wynajęło. Policja niekiedy staje się bardziej ślamazarna, jeśli musi trochę poczekać.

— Nie połknij wąsów — powiedziała.

— Lubię cię. — Uśmiechnął się. O dziesiątej oznajmił wreszcie: — Chodź, wytrząsnijmy z siebie te frytki.

Przeszli na światłach na drugą stronę autostrady. Poza nimi nie było żadnych pieszych — w niektórych rejonach Ameryki piesi są tak rzadkim zjawiskiem, że zwracają uwagę. Przyspieszył kroku, a ona dotrzymywała mu tempa.

Zwolnił, kiedy doszli do zgaszonego neonu. Przy drodze do motelu był sklep całodobowy.

•Chcesz wejść i kupić coś do przegryzienia na później?

•Nie. Nie opuszczę cię ani na chwilę.

•Dobrze. Poczekamy tu trochę.

Po pięciu minutach poszli do motelu i przez parking skierowali się do drzwi domku numer 7. Jeśli policja — czy ktokolwiek — zdążyła się tu zjawić, było już za późno, więc po prostu szli dalej. Światła nadal się paliły, tak jak je zostawili, nic nie zakłócało nocnej ciszy.

Weszli do domku. Annie zamknęła drzwi i zasunęła zasuwkę.

Keith rzucił klucze na nocny stolik, a tablice na podłogę.

— Masz żyłkę awanturniczą — pochwalił ją.

— Jesteś zadziwiający. — Zdjęła mu okulary, odczepiła wąsy i pocałowała go.

Swego czasu zawód szpiega stał się jego drugą naturą. Teraz mniej już polegał na instynkcie, ale przynajmniej wiedział, jak się zabrać do rzeczy.

Annie rozpakowywała kosmetyki w łazience. Uchylił zasłony i wyjrzał na parking. Wszystko wyglądało normalnie, ale miał uczucie deja vu, jakby znowu znalazł się w Berlinie Wschodnim i patrzył na ulicę z okien bezpiecznego domu, który wcale nie był bezpieczny.

Jak na razie, zrobił wszystko jak należy. Nawet wybór Toledo, do którego było najbliżej, okazał się słuszną decyzją, jeśli nie brać pod uwagę drobiazgu, że nie zdążyli na ostatni lot. Jego jedynym prawdziwym błędem było spontaniczne podjęcie decyzji o ucieczce. Kierował się uczuciami, nie rozumem. Ale może tym błędem były całe dwa ostatnie miesiące. Utrata kontroli. Ponieważ pragnął kogoś tak bardzo, że ćwierćwiecze wykonywania rozkazów, dyscypliny i odwagi nagle przemieniło się ot tak, po prostu, w pragnienie i odwagę. Czuł się dobrze. Ale trzeba było za to zapłacić. Po pierwszym impulsywnym kroku, choć tyle sprytu wykazał — cały plan B — tracił kontrolę nad wydarzeniami. Patrzył na parking. Wygląda w porządku. Jest w porządku...

Ponieważ w pokoju nie było krzeseł, usiadł na łóżku i ściągnął buty. Pomyślał, co ich czeka rano. Nie było sposobu dotarcia na lotnisko w Toledo ani w ogóle na żadne inne. List gończy, w którym opisano go jako porywacza żony szefa policji, matki dwojga dzieci i tak dalej, brzmiał wystarczająco poważnie, by utrzymać w gotowości wszystkich policjantów tego stanu i stanów przyległych, chyba że, jak powiedział Annie, policja stanowa weźmie się do Baxtera. Ale Keith nie miał możliwości się tego dowiedzieć.

Wiedział, że jakoś musi opuścić stan. A najlepszym na to sposobem było odczekać do siódmej czy ósmej rano,

skorzystać ze zwykłego podmiejskiego autobusu, a potem już w samym Toledo, na tyle dużym mieście, że można się w nim rozplątać, z taksówki. Nie wolno mu wynająć samochodu, co dobrze wiedział, a nie chciał kraść.

Pociągi i autobusy nie były najlepszym rozwiązaniem, ale miał parę innych pomysłów — wynająć limuzynę, wyczerterować samolot albo łódź, która zabierze ich gdzieś na Wielkie Jeziora. W punktach czarterowych płaciło się gotówką, nikt nie wymagał dokumentów, poza tym takie miejsca zwykle nie interesowały policji, a na ogół jedyne pytanie, które tam zadawano, brzmiało: „Gdzie chcesz się wybrać?”.

Mieli jeszcze trzy inne możliwości — tak jak sugerowała Annie, zadzwonić na policję, zadzwonić do Porterów, wreszcie zadzwonić do Charliego Adaira. Ale żadna z nich nie wydawała się w tym momencie pociągająca. Na policję mógł zadzwonić rano, Porterom nie trzeba było już więcej kłopotów o żadnej porze dnia ani nocy, a Charliego Adai-ra lepiej zostawić na koniec. Tak czy owak były to jakieś rozwiązania i rano można się będzie na któreś z nich zdecydować. Annie wyszła z łazienki. Wstał.

- Czy to twoje urodziny?
- Nie, dlaczego?
- Bo masz na sobie strój, w którym się urodziłaś.
- Och, zapomniałam włożyć piżamę. Tak mi wstyd. Nie patrz. Uśmiechnął się. Podeszli do siebie, objęli się.
 - Keith, niezależnie od tego, co stanie się dziś w nocy czy jutro rano, ten czas należy do nas — powiedziała w przerwie między jednym pocałunkiem a drugim.
- Do nas należy czas całego świata.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

C

Cliff Baxter siedział sam w swoim gabinecie na posterunku policji w Spencerville. Wszyscy jego ludzie, piętnastu mężczyzn, byli na służbie, część na miejscu, część w terenie.

Popijał colę, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. Czerpał pewną perwersyjną przyjemność ze świadomości, że miał rację. Jego żona okłamywała go i była dziwką, a Keith Landry kutasem dobierającym się do cudzych żon.

— Wiedziałem.

Irytowało go natomiast, że kontaktowali się jakoś podczas minionych paru tygodni tuż pod nosami tych głupców, przygotowali plan i uciekli. Siebie nie miał o co obwiniać; od początku wiedział, co jest grane.

Odnalezienie samochodu Annie było stosunkowo proste. Nie wiedziała, że ma on wmontowany zaawansowany technologicznie nadajnik radiowy, zakupiony ostatnio dla policji Spencerville do efektywniejszej walki z przestępczością. Odbiornik znajdował się w samochodzie Baxtera.

Wspominał chwilę, kiedy wszedł do stodoły i ujrzał białego lincol-na obok traktora. Otworzył drzwi samochodu i zobaczył kartkę. „Cliff, pieprz się”.

— O nie, to ty się pieprz, dupku.

Schował kartkę do kieszeni, zanim jego ludzie ją zobaczyli, nie dlatego że się zmieszał, ale ponieważ była to czysto prywatna notatka i nie wносиła nic do sprawy uprowadzenia.

Oczywiście nie było to uprowadzenie i podejrzewał, że jego ludzie też o tym wiedzą. Ale już policja stanowa — nie.

Rozległ się brzęczyk interkomu.

•Szefie — powiedział sierżant Blake — kapitan Delson ze stanowej.

•Dobrze. — Baxter sięgnął po słuchawkę telefonu.

— Mamy coś. — Rozległ się głos kapitana Delsona z policji stanu Ohio. Baxter usiadł prosto.

-Tak?

— Jakies pół godziny temu nasi ludzie sprawdzali lotnisko w Toledo i tamtejszy ochroniarz im powiedział, że widział poszukiwanych.

Samochód się zgadza, opis ludzi również, nawet zapamiętał część rejestracji i ta także się zgadza.

•Czy wsiedli do samolotu?

•Nie, spóźnili się na ostatni lot i powiedzieli mu, że wracają do domu.

•Dobrze. W porządku. Więc zlokalizowaliście ich w pobliżu Toledo i...

- Właśnie... tyle tylko że kobieta, którą ten ochroniarz zidentyfikował jako panią Baxter, nie wyglądała na zmuszaną...
- Och, gówno prawda. Ten skurwysyn trzyma ją pod lufą pistoletu...
- No cóż, podejrzany mężczyzna, Landry, przez jakiś czas był poza samochodem, a kobieta siedziała w nim sama. Baxter odchrząknął.
- No... co to za jeden, ten gość z lotniska? Służba bezpieczeństwa? Jak, u diabła, jakiś facet może wiedzieć...
- Podejrzani najwyraźniej chcieli wsiąść do samolotu razem. To nie wygląda ani na porwanie, ani na zmuszanie. Baxter milczał przez kilka sekund.
- Jest pan gotowy wziąć na siebie odpowiedzialność? — zapytał wreszcie. — Jeśli znajdziecie ją martwą, to pan będzie odpowiadał za odwołanie poszukiwań.
- Przeszukaliśmy dla pana ten stan z góry na dół. Pogrożki nie działają na mnie najlepiej. Powiem panu coś, jak glina glinie: wygląda na to, że pańska żona zwała z tym facetem. Baxter milczał.
- Przefaksowaliśmy numer ubezpieczenia Keitha Landry'ego, który otrzymaliśmy od pana — mówił dalej kapitan Delson — do FBI, ale nie otrzymaliśmy za wielu informacji na jego temat. Wszystko wskazuje na to, że jest to emerytowany pułkownik armii Stanów Zjednoczonych. Nie ma na swoim koncie żadnych przewinień ani w ogóle nic. Nadal szukamy.
- To... pułkownik?
- Zgadza się.
- Co mi pan właściwie chce powiedzieć?
 - No cóż... nie wiem. Czy zamierza nam pan przesłać oficjalną skargę, podpisaną przez pana? .
- A czy stan Ohio nie mógłby być stroną?
 - Stan Ohio nie ma nic przeciwko temu mężczyźnie ani przeciwko pani Baxter.
- Nie? Nie macie nic przeciwko uprowadzeniu?
 - Owszem, mielibyśmy, ale wygląda na to, że pan się myli. Posłuchaj pan, wiem, że to dla pana trudne, ale rozmawiałem z tym ochroniarzem przez dwadzieścia minut i muszę przyjąć, że tych dwoje ludzi, których on widział, to ci sami, których my poszukujemy, a co więcej, że pani Baxter jechała z tym mężczyzną z własnej, nieprzymuszonej woli. Możemy nadal ich poszukiwać, z zawodowej grzeczności — i niech to zostanie między nami, lepiej, żeby podatnicy się o tym nie dowiedzieli — ale będę musiał rozesłać nowy biuletyn, który nakaże czekać na dalsze instrukcje i nie zatrzymywać podejrzanych na terenie objętym naszą jurysdykcją. Nam niepotrzebna sprawa w sądzie, a panu kłopotliwa sytuacja. Zgoda?
- Baxter zastanawiał się przez chwilę, potem wziął głęboki oddech i powiedział:
 - Landry jest poszukiwany w związku z łamaniem przepisów ruchu drogowego, sprzeciwianiem się władzy i innymi wykroczeniami.
- Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, wreszcie kapitan Delson mruknął:
 - Dobrze, proszę nam to przefaksować. — I dodał: — Ale niech pan nie pisze tego, czego nie mógłby później udowodnić.
 - Wyślę wam nakaz aresztowania, podpisany przez tutejszego sędziego. Jedyne, co musicie zrobić, to ich zatrzymać. Spencerville już sobie potem poradzi.
 - Nie zatrzymam ich, ale gdy ich namierzemy, damy wam znać. Jest jeszcze coś... Keith Landry zarezerwował pokój w hotelu Sheraton w Cleveland i stamtąd lot do Nowego Jorku. — Podał Baxterowi szczegóły. — Pilnujemy drogi między Toledo a Cleveland, a do Sheratona pojedzie miejscowa policja. — Kapitan Delson przerwał. — Na pana miejscu ja bym to zostawił. Poza tym, ponieważ zostali namierzeni na lotnisku w Toledo, policja miejscowa i stanowa sprawdza wszystkie motele i pensjonaty w tamtym rejonie, to standardowa procedura. Jeśli podejrzani dowiedzieli się w jakiś sposób, że są poszukiwani, mogli zrezygnować z jazdy do Cleveland.
 - Tak... — Baxter kiwnął głową. — W porządku. Zawiadomcie mnie, gdy tylko na coś traficie.
 - Zawiadomimy. — Kapitan Delson znowu przez chwilę milczał, wreszcie powiedział: — Pewnie chce pan załatwić to sam, jak mężczyzna z mężczyzną.
 - Taa... gdziekolwiek i o jakiejkolwiek porze ich nakryjecie, dajcie mi znać. — I dodał: — Chcę z nią porozmawiać... Chcę się dowiedzieć, czy ona wie, co robi, zostawiając męża i dwoje dzieci. Jeśli ma pan rację i ucieka z tym gościem z własnej woli, do diabła z nią. Ale chciałbym usłyszeć to z jej ust. Myślę, że mnie pan rozumie.
- Tak.
- Taa... Cholerna sprawa. Dwadzieścia lat po ślubie... syn i córka na studiach... Teraz są w domu — skłamał — bardzo się martwią... a jej matka o mało nie dostała ataku serca. Siostra zapłakuje się na śmierć, a ojciec wpadł we wściekłość. Co, u diabła, dzisiaj wyprawiają te kobiety?
- Nie wiem.
 - No cóż, doceniam wszystko, co dotąd zrobiliście. Ja po prostu chciałbym z nią porozmawiać.

- Będziemy pana informować.
 - Czekam tu przez całą noc. — Wydmuchał nos i łamiącym się głosem powiedział: —Ja tylko chcę ją jeszcze raz zobaczyć. Boże, proszę...
 - W porządku. Niech się pan tak nie przejmuj. Baxter odłożył słuchawkę i trzasnął dłonią w biurko.
 - A niech to szlag! Zabiję ją. I ukrzyżuję tego skurwy... Otworzyły się drzwi, sierżant Blake wsunął głowę do gabinetu.
 - Wszystko w porządku, szefie?
 - Tak. Wynoś się stąd do diabła... Nie, poczekaj. — Zastanawiał się przez chwilę: — Niech Schenley załatwi nakaz aresztowania Landry'ego, za jakieś wykroczenia, przeszkadzanie policji w wykonywaniu obowiązków służbowych, takie tam bzdety, i powiedz mu, niech obudzi sędziego Thornsby'ego, żeby to podpisał.
 - Tak jest.
 - Poczekaj. Potem podstaw dwa samochody i trzech ludzi, z tobą włącznie, i urządzenie naprowadzające. Jedziemy do Toledo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

K

iedy Keith się rozbierał, Annie usiadła na łóżku po turecku, z misiem na kolanach.

- Nie biorę pigułek — powiedziała.
 - Nie. Ostatnim razem ominęliśmy tego typu wstępy. Ja natomiast powinienem ci powiedzieć, że przeszedłem testy zdrowotne, zanim odszedłem z pracy. Jestem w porządku.
 - Zakładałam... ale pewnie powinnam była spytać wcześniej... Nie jestem przyzwyczajona do... chodzi mi o to, że ja tego nie robię.
- Nie, ty nie.
 - Skinęła głową, rozumiejąc, o co mu chodzi.
 - Kiedy zdałam sobie sprawę, że on... że on ma inne kobiety, zrobiłam sobie testy i poprosiłam mojego ginekologa, żeby mu powiedział, że nie mogę używać pigułek ani diafragmy, więc on musi stosować prezerwatywy. To było dla niego upokarzające. Bardzo się rozgniewał, ale rozumiał, o co tak naprawdę chodzi... Czy musimy o tym rozmawiać?
 - Myślę, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. — Uśmiechnął się. — Może cię zapłodniłem?

Ona też się uśmiechnęła.

— Mam nadzieję. Chcesz spróbować jeszcze raz?

Keith usiadł na łóżku i odłożył misia. Siedzieli twarzami ku sobie, obejmując się nogami, pieścili się, całowali, przeciągając grę wstępną, jakby naprawdę należał do nich cały czas świata i jakby im nie groziło, że w każdej chwili mogą usłyszeć pukanie do drzwi.

Przysunęła się bliżej, podniosła, a potem nasunęła na niego, nie odrywając warg od jego ust.

Przez następne pół godziny byli znowu dziećmiakami bez wcześniejszych doświadczeń, odczuwali, badali, dotykali, próbowali, eksperymentowali i udawali, że odkrywają nowe, nieznanne wcześniej pozycje.

- Nie kochałam się tak od czasów tego faceta, o którym ci opowiadałam. Gdzie się nauczyłeś tego wszystkiego? — zapytała.
- Od pewnej szesnastki, no, może siedemnastki.
- Cieszę się, że nie zapomniałeś.
- Nie, i nigdy jej nie zapomnę.

Leżeli na łóżku, trzymając się za ręce. Do sufitu przyczepione było lustro, z czego oboje żartowali, ale Keith zauważył, że Annie jest nieco zakłopotana. Patrząc w lustro, widział ją obok siebie, z włosami rozrzuconymi na poduszce, oczami przymkniętymi, z uśmiechem na twarzy, który wiele mówił o jej zadowoleniu. Wyglądała jak uspio-
na, jej piersi unosiły się i opadały, ciemne włosy zakrywały łono, nogi miała lekko rozchylone, palce u nóg wygięte, zawsze tak robiła. Prawdę mówiąc, taką właśnie ją zapamiętał, kiedy odchodził o poranku przed dwudziestu laty. Pamiętał też, że powiedział wtedy: „Do zobaczenia”.

Powoli podniósł się i rozejrzał po pokoju. Niewiele tu było mebli, a wszystko przymocowane do podłóg i ścian, z odbiornikiem telewizyjnym i lampą włącznie. Chciał podeprzeć czymś drzwi, ale nie było nawet krzesła. Przyszło mu do głowy, że jeśli klienci motelu Westway należeli do tego typu ludzi, którzy mogą wywieźć meble w swoich ciężarówkach, powinno się od nich żądać czegoś więcej niż tylko zapłacenia dwudziestu dziewięciu dolarów z góry. Doszedł również do wniosku, że recepcjonista najprawdopodobniej spisywał numery tablic rejestracyjnych, które tylko z rzadka pasowały do tych podanych w formularzach meldunkowych. Nie zaparkował blazera przed oknem budynku recepcji, ale nie było tam zbyt wiele pojazdów. Po stronie plusów można było zapisać fakt, że blazer nie stał przed motelem dłużej niż dziesięć minut, zanim się go pozbyli. Teraz już nie warto się tym martwić, uznał. Nauczono go dwóch wzajemnie wykluczających się rzeczy: nigdy nie należy przeceniać policji i nigdy nie należy nie doceniać policji. To, w co się wplątali, nie groziło śmiercią. W najgorszym razie trafią na posterunek. Byłoby to kłopotliwe i krępujące, ale w końcu musiano by ich zwolnić. Keith nie chciał, żeby w ich wspólnych wspomnieniach znalazła się wycieczka na policję, ale jeśli się przydarzy, to trudno. Jak dotąd igranie z Baxterem raczej mu się podobało i tej części przygody nie chciałby stracić. Spojrzał na zegarek stojący na nocnej szafce. Była jedenasta trzydzieści pięć. Na razie wszystko w porządku.

•Od czasu naszego wspólnego lata w Columbus nigdy już nie czułam się tak szczęśliwa — odezwała się Annie.

•Ja też.

•Naprawdę? -Tak.

•Czy będziemy żyli długo i szczęśliwie?

•Będziemy.

Przez chwilę milczała.

— Ale musimy przebrnąć przez dzisiejszą noc i jutrzejszy dzień, prawda?

Dopiero po chwili spojrzął na nią i powiedział:

— Niezależnie od tego, co się przydarzy tej nocy lub jutro, nawet jeśli zostaniemy rozdzieleni na krótko, pamiętaj, że cię kocham i że znowu będziemy razem. Obiecuję.

Usiadła i pocałowała go.

•Ty też o tym pamiętaj.

•Pamiętam.

Położyła rękę na jego piersi.

•Czuję się znowu jak dziewczyna, jakby wcale nie minęło dwadzieścia pięć lat, tylko dwadzieścia pięć godzin, a wszystko, co wydarzyło się od tego poranka w Columbus, kiedy mnie opuściłeś, w ogóle nie miało miejsca.

Udawajmy. Za tymi drzwiami nie ma wcale świata, jesteście tylko my dwoje, tak jak kiedyś.

•Dlaczego, na litość boską, w ogóle pozwoliłem ci odejść?

•Ciii. Nie pozwoliłeś. Jestem tutaj. I zawsze byłam... — Poklepała go dłonią po piersiach. — Tutaj. Tylko to się liczy. Nigdy nie opuściłam twojego serca i ty nigdy nie opuściłeś mojego.

Keith skinął głową, chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Po raz pierwszy od dwudziestu lat łza popłynęła mu po policzku.

Cliff Baxter siedział na przednim siedzeniu samochodu. Prowadził sierżant Blake. Za nimi siedzieli Ward i Krug.

Przed Cliffem Baxterem leżał lokalizator. Nie było to dzieło sztuki, radzie miasta niezbyt podobała się cena dużego modelu, który zostałby zamontowany w furgonetce, z dużą obrotową anteną na dachu i z różnymi ekranami i gadżetami. To, na co się zgodzili, wyglądało jak radio, które po prostu zaczynało piszczeć, jeśli nadajnik znalazł się w odległości co najmniej mili, w miarę przybliżania się pisk stawał się po prostu głośniejszy. Jednak urządzenie wystarczało do tego, do czego tak naprawdę zostało kupione: do trzymania na smyczy własnej żony. W komplecie przyszły dwa nadajniki, tego drugiego użył kilka razy dla zabawy do śledzenia innych ludzi, ale zazwyczaj trzymał go jako zbyteczny w szufladzie biurka, aż do dnia, kiedy przyszło mu do głowy, żeby go podłożyć w samochodzie Keitha Landry'ego.

Nadajniki przekazywały sygnał na różnych kanałach, toteż gdy Baxter jechał na farmę, wiedział już, że znajdzie tam lincolna swojej żony, a nie blazera. Wtedy już wiedział też, co się stało.

Przyjechali na lotnisko w Toledo. Logicznie rzecz biorąc, od tego miejsca należało rozpocząć poszukiwania. Było prawie zupełnie opuszczone. Podjechali do parkingu biura wynajmu samochodów i przedfilowali wzdłuż rzędów ustawionych aut.

—Nie widzę jego samochodu — zauważył Blake.

•Nie. W porządku, możemy wracać na autostradę, skręć w prawo, w stronę Toledo.

•Dobrze, szefie.

Dwa wozy policji SpencerviUe skierowały się na wschód. Cliff Baxter wyciągnął telefon komórkowy i połączył się ze swoim biurem. Na dyżurze został Schenley.

•Coś nowego? — zapytał go Baxter.

- Nie, szefie. Zadzwońbym, gdyby...
- Jasne. Zadzwońbyś. Sprawdzam tylko, czy mamy łączność.
- Oczywiście, szefie.
 - I tak jak ci mówiłem, gdyby zadzwonił ktoś z policji stanowej czy skądkolwiek, nie mów im, gdzie jestem.
- Tak jest.
 - Po prostu zadzwoń do mnie, a ja się z nimi skontaktuję. Nie wciskaj im żadnego kitu.
- Tak jest, szefie.
 - I nie śpij. — Wyłączył się i powiedział do Blake'a: — Podjedź do tego Sheratona. Blake wjechał na parking hotelowy.
- Nie mamy tu sygnału, szefie.
 - Cholera, nie ufam temu urządzeniu. Ufam swoim uszom i oczom. Podjedź pod recepcję, a kiedy wysiądę, objeżdż parking.
- Tak jest.
 - Baxter wysiadł z samochodu i wszedł do holu. Podeszedł do recepcji, gdzie siedziała młoda atrakcyjna kobieta.
- Jak tam idzie dziś praca, kochanie? — zapytał.
- Świetnie. A co u pana? — Uśmiechnęła się.
 - Mogłoby być lepiej. Szukam nikczemnika, który uciekł z żoną innego. Coś wiesz na ten temat?
- Jasne. Widziałam w telewizji.
- To dobrze. Mam nadzieję, że wiadomość przysłała też faksem.
 - Owszem. — Obróciła się i sięgnęła po kartkę papieru leżącą na kontuarze. — Mam tu opis, nazwiska, model samochodu...
- I nie widziałaś ich?
 - Nie, mówiłam już to ludziom z policji stanowej godzinę temu. Będę miała oczy szeroko otwarte.
- Tak trzymaj, kochanie. Spojrzała na jego mundur i zapytała:
- SpencerviUe? Czy to znaczy...?
 - Jasne. Właśnie u nas ją wprowadzono. Posłuchaj, jeśli kiedyś będziesz w naszych stronach, wpadnij na posterunek.
- Więc pan jest... pan jest szefem Baxterem, którego żonę...
- Zgadza się.
- Och, jak mi przykro. Mam nadzieję, że nic się jej nie stało...
 - Gdy tylko ją odnajdę, wszystko będzie dobrze. Już ja tego dopilnuję. Baxter wyszedł. Samochód już na niego czekał.
- Tutaj ich nie ma - oznajmił Blade.
- Jedźmy.
 - Jechali dalej autostradą, mijając kolejne motele.
- Czy chciałby pan zatrzymać się gdzieś tutaj? — Blake zapytał.
 - Nie wiem. Ale gdybym był na jego miejscu i właśnie spóźniłbym się na ostami samolot, raczej bym stąd zmykał, szczególnie gdybym usłyszał przez radio, że mnie szukają. A jeśli tego nie wie, wkrótce się dowie. Tak czy owak nie zajedzie daleko.
 - Pewnie. — Blake zastanawiał się przez chwilę. — Nie rozumiem, jak on chciał wsiąść z nią do samolotu, przecież ktoś by zauważył, że prowadzi ją siłą.
- A może byś tak zajął się, do cholery, prowadzeniem?
- Tak jest, szefie.
 - Groził jej pistoletem, ot co. A poza tym pewnie ją nafaszerował narkotykami.
- Aaa, rozumiem.
 - Ale to nieprawda i już pewnie wszyscy policjanci w całym stanie to wiedzą, myślał Baxter. Prawda jest taka, że to załatwia jego i jego karierę. Ale na razie ma władzę i prawo po swojej stronie, i ma jaja, żeby zachować się jak mężczyzna. Do rana cała sprawa zacznie się rozsypywać, więc musi odnaleźć ich wcześniej. A ponieważ jako policjant jest skończony, może z nimi zrobić, co mu się żywnie podoba.
 - Po kilku milach dostrzegł w oddali wysokie budynki Toledo.
 - Odbiornik wydał z siebie słaby dźwięk.
 - Blake i Baxter spojrzeli na siebie, ale żaden się nie odezwał. Na terenie zabudowanym często zdarzały się fałszywe odczyty. Minutę później urządzenie wydało kolejne piknięcie, potem znowu, tym razem już głośniejsze, aż wreszcie dźwięki stały się regularne.
 - Zatrzymaj się.
 - Blake podjechał do krawężnika, drugi samochód za nim. Przysłuchiwali się elektronicznym dźwiękom.
 - Baxter rozejrzał się wokół.
 - Jedź przed siebie — powiedział. — Powoli, trzymaj się skraju jezdni.
 - Blake zrobił, co mu kazano. Przerwy między piknięciami zaczęły się wydłużać, sam dźwięk stawał się słabszy.

—Zawróć — polecił Baxter.

Piknięcia stały się głośniejsze.

Baxter spojrzął przed siebie i nagle zobaczył.

•No, niech mnie... Blake, gdzie byś szukał igły?

•W stogu siana.

•Nie, w pudełku z igłami. Zatrzymaj się tutaj.

Znalezienie zielonego blazera zajęło im kilka minut. Co prawda nie mieli pewności, że to ten, bo był bez tablic rejestracyjnych, ale Baxter sięgnął pod tylny zderzak i wyciągnął nadajnik. Patrzył na prostokątne urządzenie wielkości mniej więcej pudełka papierosów, z krótką anteną, i uśmiechał się.

— No, no, no... —Wyłączył je i pikanie w jego samochodzie ustało.

— Co na to powiecie?

Blake uśmiechał się szeroko, a Krug i Ward stali, wpatrując się z podziwem w swego szefa. Oczywiście wszyscy byliby znacznie szczęśliwsi, gdyby samochód znalazł się przed motelem, pensjonatem czy restauracją. Bo najwyraźniej ani Keitha Landry'ego, ani Annie Baxter tutaj nie było. Blake pierwszy zwrócił na to uwagę:

•Jak pan myśli, gdzie poszli? Baxter rozejrzał się.

•Niedaleko — ocenił.

•Mogli ukraść stąd samochód — podsunął Blake.

•Mogli... Ale wzięli ze sobą tablice rejestracyjne. Dlaczego niby mieli to robić, gdyby zabrali inny samochód, który wiózłby ich teraz do Cleveland albo gdziekolwiek? Nie, myślę, że są gdzieś blisko, wystarczy mały spacer. Po prostu nie chcieli, żeby ktoś kojarzył ten samochód z nimi. — Spojrzał na trzech mężczyzn. — Macie jakieś pomysły?

•Stąd mogli odjechać taksówką albo autobusem, szefie. Na przykład do Toledo.

Baxter skinął głową.

—Owszem. — Jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. — Taksówka lub autobus. Może. Ale chyba nie. Myślę, że przyjechali do motelu, jednego z tych kurwidółków. Facet zobaczył po drodze punkt sprzedaży chevroleta i to mu podsunęło myśl, jak się pozbyć wozu. Tak. Są gdzieś niedaleko. Najprawdopodobniej w jednym z tych moteli z pokojami na godziny, gdzie nie trzeba korzystać z karty kredytowej. - Posłuchajcie, Krug i Ward, wy bierzecie tę stronę szosy i sprawdzane motel po motelu w stronę lotniska. My zaczniemy od lotniska i obejrzymy wszystko po drugiej stronie autostrady. Jeśli traficie na coś, dzwońcie, nie zawia damiacie nikogo innego. Używajcie komórki.

Blake i Baxter zaczęli od lotniska, minęli Sheraton i podjechali do Holiday Inn.

—Jedź dalej — powiedział Baxter. — Oni na pewno zatrzymali się w jakimś małym hoteliku.

Ruszyli przed siebie.

Baxter rozmyślał. Keith Landry był dupkiem, ale okazał się o wiele sprytniejszym dupkiem, niż Baxter przypuszczał. Ale może jednak nie dość sprytnym. Baxter zdawał sobie sprawę, że już trochę za długo robi coś, co nie ma nic wspólnego z prawdziwą policyjną robotą, jednak był policjantem od trzydziestu lat, sporo się nauczył i trochę zapamiętał, teraz jednak pojął, że ma do czynienia z zawodowcem. Zastanawiał się, co też takiego Landry robił dla rządu i doszedł do wniosku, że na pewno nie był strażnikiem przyrody. Z kolei Landry nie wziął pod uwagę instynktu drapieżcy Baxtera, który braki w wyszkoleniu nadrabiał intuicją. Kiedy Baxter wyjeżdżał na polowanie do lasów Michigan, był wśród swych kumpli najlepszym myśliwym. Szósty zmysł podpowiadał mu, gdzie szukać zwierzyny, czuł krew, potrafił odgadnąć, czy ofiara będzie uciekać, czy przyczai się przy ziemi, odwróci i podejmie walkę, czy po prostu stanie jak wryta, czekając, co przyniesie los. Już dawno doszedł do wniosku, że ludzie nie różnią się za bardzo od zwierząt.

Zastanawiał się, jak jego żonie udało się to wszystko zorganizować w tajemnicy przed nim. Podejrzewał ją, ale przecież zawsze ją podejrzewał. W jakiś sposób całkowicie oszukała najsprytniejszego lisa. Wiedział też, że po przeżyciu z nim dwudziestu lat znała go na wylot. Kiedy skarżył się na nią innym kobietom, jednego nigdy nie powiedział: „Moja żona mnie nie rozumie”.

Nie chciał myśleć o niej, ale musiał. Czasami wyobrażał sobie Annie

•Szczyt Doskonałości, Aniołka, Cukiereczek —jak kocha się z innymi mężczyznami. To zawsze był jego największy koszmar i teraz stało się

•Landry i jego żona są tu gdzieś blisko, nadzy w łóżku, roześmiani, uprawiający seks. Landry leży na niej, a ona obejmuje go nogami. Ta myśl przyprawiała go o szaleństwo, a jednocześnie podniecała.

Mijali zgaszony neon Westway motelu, gdy nagle Baxter krzyknął:

— Poczekaj. Zwolnij i zjedź do krawężnika.

Blake podjechał samochodem na skraj autostrady.

Baxter siedział przez chwilę. Coś zaskoczyło w jego umyśle, ale nie bardzo wiedział co.

— Zawróć — polecił.

Blake skręcił na drugi pas, a kiedy dojechali na wysokość zgaszonego neonu, Baxter polecił:

— Zatrzymaj się.

Wysiadł z samochodu i ruszył do plastikowej tablicy, na której widniały plastikowe litery: „Motel Westway— 29\$”. Podszedł bliżej i zobaczył, że ktoś wyciągnął wtyczkę. Wcisnął ją z powrotem i napis się zapalił. Wyciągnął wtyczkę i napis znowu zgasł.

Baxter wrócił do samochodu.

•Wjedź w tę dróżkę.

•Dobrze. — Blake wjechał na wąski podjazd. Było po dwunastej.

•Poczekaj tu. — Baxter wziął papierową teczkę z dokumentami sprawy i wszedł do małego holu. Młody człowiek za kontuarem podniósł się.

•Słucham pana?

•Szukam kogoś, synu. — Położył papiery na blacie. — Czy słyszałeś o liście gończym rozesłanym dziś w nocy?

-Nie.

•To po cholere oglądasz telewizję?

•To kasetą wideo.

•Tak? Od której pracujesz?

•Od czwartej. Właśnie czekam na zmiennika...

•W porządku, to ty jesteś mi potrzebny. A teraz słuchaj uważnie. Szukam faceta w ciemnozielonym blazerze. Jest z nim kobieta, ale chyba tu nie wchodziła. Przyjechali prawdopodobnie o jakiejś dziewiątej, dziewiątej trzydzieści, może trochę później. On ma jakieś czterdzieści parę lat, wysoki, średniej budowy, szatyn, szarozielone oczy... pewnie można powiedzieć, że dość przystojny. Czy widziałeś kogoś takiego?

-Ja...

•No, synu. Faceta poszukujemy za uprowadzenie, a ja nie mam całej nocy, a za fatygę dam ci pięćdziesiąt baksów.

•No więc był tu taki jeden... Czy ten pana gość nosi okulary i ma wąsy?

•Kiedy go widziałem ostatni raz, nie miał. Pokaż mi jego formularz meldunkowy.

Urzędnik przerzucił stos kartek i wyciągnął tę, której szukał.

•Tutaj. Przyjechał...

•Dawaj, niech ja to przejrzę, synu. — Baxter wziął formularz. — John Westermann z Cincinnati, przyjechał fordem escortem. Widziałeś jego samochód?

•No, jak przyjechał, wyjrzałem przez drzwi i był tam ford escort, ale on stał tu już od paru godzin. Powinienem zapisywać numery rejestracyjne...

•Wiem doskonale, jak się prowadzi te pieprzone moteliki. Czy widziałeś zielonego blazera?

—Nie wiem... Widziałem ciemny czterośladowy pojazd, ale był już wieczór, a poza tym on nie stał przed tym domkiem, który dałem Westermannowi. Nie zauważyłem go wcześniej i miałem zamiar później wyjść i sprawdzić numer, ale kiedy wyszedłem po dziesięciu minutach, już go nie było.

Baxter skinął głową.

•W porządku, który pokój dałeś temu facetowi?

•Siódemkę.

•Czy on nadal tu jest?

•Tak mi się wydaje. Wziął pokój na całą noc. Przed chwilą sprawdzałem, czy ktoś nie zwracał kluczy, ale nie.

•Dobrze. — Baxter pomasaował szczękę. — Dobrze... I kobiety nie widziałeś?

-Nie.

Baxter otworzył teczkę i wyciągnął książkę. To był rocznik szkolny jego żony, jedna z niewielu rzeczy, które pozwolił jej zatrzymać, głównie dlatego że było tam również jego zdjęcie na potańcówce. Otworzył rocznik na stronie ze zdjęciami uczniów i powiedział:

— Przejrzyj to, synu, pamiętaj, że minęło dwadzieścia lat, wyobraź sobie okulary i wąsy na twarzach chłopców, którzy nie mają ani jedno go, ani drugiego. Nie spiesz się, ale nie marudź.

Młody człowiek przebiegł wzrokiem po kartkach. Nagle zeszywniał.

— Widzisz go?

-Ja...

Baxter wyciągnął z kieszeni długopis i podał chłopakowi.

— Dorysuj okulary i wąsy.

Recepcjonista wziął długopis i dorysował okulary i wąsy na fotografii Keitha Landry'ego.

- Tak... — powiedział — to on... Wydaje mi się, że to ten sam gość...
- Myślę, że masz rację. Daj mi zapasowy klucz.
Chłopak zawahał się, ale Baxter pochylił się nad kontuarem i syknął:
— Klucz, do cholery!
Recepcjonista dał mu klucz do pokoju numer 7.
- Proszę pana... pan wspomniał...
- Sprawdzaj pocztę.
Baxter wyszedł na zewnątrz, podszedł do wozu i nachylił się do okna.
— Zawołaj chłopców — powiedział do Blake'a. — Mamy go.
-Jezu...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

K

eith Landry i Annie Baxter leżeli objęci. Pogrążeni byli w półśnie, ale od czasu do czasu ona mówiła coś do niego, a on odpowiadał. Walczył ze snem i podejrzewał, że ona robi to samo. Wreszcie zapaliła lampę i wturlała się na niego, układając głowę na jego ramieniu.

- Czy gram ci na nerwach? — zapytała i ugryzła go w ucho.
- Nie. Podoba mi się to. — Położył rękę na jej pośladkach i pogłaskał

je-

- Jak dobrze. — Po jakiejś minucie powiedziała: — Keith, nie mogę spać.
- Spróbuj.
•Nie mogę. — Sięgnęła dłonią między jego nogi i pieściła go, aż stał się twardy, wtedy włożyła go w siebie.
•To mój uspokajacz. Czy utrzymasz go w takim stanie, dopóki nie usnę?
- Myślę, że tak. — Uśmiechnął się. — Nigdy tego nie próbowałem.
- Kocham cię.
- Uwielbiam cię.
- Chrapię.
- Ja też.
- Ślinię się. Ślinię wszystko. Ciebie też będę obsłiniać.
- Jesteś zabawna.
•Jadam w łóżku pieczonego kurczaka z frytkami, wycieram usta w prześcieradła i bekam.
- Przestań. — Roześmiał się.
- Mam mokre sny i krzyczę przez sen, kiedy osiągam orgazm.
- Dobrze...
Zaczęła poruszać w górę i w dół biodrami.
- Właśnie za chwilę będę go miała.
- Och, coś czuję, że...

Usłyszał chrobotanie przy drzwiach i zanim zdążył zareagować, strzał rozwalił zamek, poleciały drzazgi.

Do pokoju wpadł Cliff Baxter, trzymając w dłoniach pistolet.

Annie wrzasnęła, gdy Keith zsunął ją z siebie. Wskoczył z łóżka, łapiąc nóż, który leżał na nocnej szafce pod książką telefoniczną.

Baxter zamachnął się kolbą pistoletu, Keith odbił ją ramieniem, ale kolba trafiła go w czoło. Stał ogłuszony. Baxter jeszcze raz podniósł kolbę i rąbnął nią z całej siły w jego ramię. Cios sparaliżował dłoń z nożem. Baxter już miał zamachnąć się po raz trzeci, lecz Annie wyskoczyła z łóżka i rzuciła się na niego całym ciałem, tak że aż się cofnął.

Keith, wciąż oszołomiony, z prawą ręką zwisającą bezwładnie u boku, sięgnął po nóż lewą. Wzrok miał zamglony od ciosu w głowę, ale widział Annie, wiszącą na Baxterze, który próbował się od niej uwolnić. Pchnął nożem w stronę Baxtera, ale on wciąż miotał się z Annie, uczeponą jego pleców, i nie widać było strugi krwi, która powinna z niego popłynąć.

Baxter ryczał z bólu, Annie wrzeszczała i zanim Keith mógł ponownie dźgnąć nożem, do pokoju wpadło już dwóch następnych uzbrojonych mężczyzn.

-Stać!

Keith chwiał się niepewnie na nogach, wciąż z nożem w ręku, a jeden z policjantów — wydawało mu się, że to Ward — zamachnął się pałką i trafił go w nadgarstek. Nóż wypadł mu z ręki.

Baxterowi udało się uwolnić od żony i Annie leżała teraz na podłodze, płacząc. Dwóch policjantów nadal celowało z broni w Keitha, lecz nie odrywali oczu od nagiej żony szefa.

Keith przesunął się w stronę Annie, a wtedy Baxter zamierzył się jeszcze raz i walnął go kolbą w splot słoneczny. Keith opadł na kolana. Usłyszał jeszcze, jak Baxter wrzeszczy na swoich ludzi:

— Wynocha stąd! Wynosić się, do cholery!

Keith uświadomił sobie, że policjanci wychodzą, potem poczuł kolejne uderzenie, tym razem w potylicę. Opadł na podłogę. Usłyszał głos Baxtera:

•No i co? Ja mam się pieprzyć? Nie. Ty się pieprz! Ty! — Baxter kopnął go w zębra, znowu rozległ się wrzask Annie, a potem jej ciało zasłoniło go, ręce objęły jego pierś, a twarz przytuliła się do karku. Krzyczała:

•Zostaw go! Zostaw go! Wynos się!

W pokoju zapanowała cisza. Keith walczył, by nie stracić przytomności. Widział przed sobą nogi Baxtera, krew spływającą po nogawce spodni do buta.

I wtedy usłyszał znowu jego głos:

— Puść go! Puść go, bo inaczej cię zabiję, przysięgam.

-Nie!

Keith rozpoznał trzask odciąganego kurka i zdołał wyszeptać:

— Puść, Annie, puść...

-Nie!

Któryś z policjantów stojących na dworze zawołał:

—Szefie! Musimy ruszać! Zbierają się ludzie. Zaraz przyjedzie policja.

Baxter przyłożył koniec lufy pod nos Keitha.

•Liczę do trzech i jeśli ta suka nie wstanie i nie ubierze się, twój pieprzony mózg rozleje się po twoich jajach. Raz...

•Annie... wstań...

•Dwa...

•Dobrze... pamiętaj, co powiedziałam...

•Trzy.

Poczuł, że Annie się odsuwa. Baxter pchnął ją, odstąpił krok, ale cały czas trzymał broń wymierzoną w twarz Keitha.

—Kiedy teraz ja ją wypieprzę, nie będzie już miała ochoty robić tego z nikim i nigdy.

Keith próbował się podnieść, ale upadł na twarz, bo Baxter uderzył go w głowę. Usłyszał, jak ktoś krzyczy od strony drzwi:

—Szefie! Policja stanowa tutaj jedzie.

Tracił i odyskiwał przytomność. Wzrok mu się zamglił, a głosy wydawały się napływać z oddali. Zobaczył nagie nogi Annie, potem ujrzał je w dżinsach i pantoflach, a potem mignęły mu przed oczami nogi w mundurze, które odchodziły z jej nogami i jeszcze usłyszał głos Annie. Wołała coś do niego, ale rozpoznawał tylko swoje imię.

Później z jeszcze większego oddalenia rozległ się głos Baxtera:

•Spójrz na siebie, leżysz tu nago jak oskałpowany Indianin. Otworzył oczy. Baxter klęczał przy nim, trzymając w dłoni jego nóż.

•Teraz należysz do mnie — powiedział.

•Pieprz się.

Baxter splunął mu w twarz i spuścił ciężką ręką noża na jego głowę.

Keith był prawie nieświadomy rąk nad sobą, poczuł tylko, jak przekręca się jego ciało. Otworzył oczy i zobaczył sufit. Na jego tle pojawił się Baxter z nożem w dłoniach. Usłyszał jego cichy głos:

—Ulżę wszystkim twoim kłopotom.

Keith czuł szarpnięcie w okolicy moszny i wydało mu się, że czuje też dłoń Baxtera dotykającą jego penisa, ale pomyślał, że tylko mu się wydaje. Nagle zdał sobie sprawę, że nie, i wtedy dobiegł go łagodny głos:

—Zabiorę to ze sobą do domu, a ty do końca życia będziesz mógł myśleć o tym, kto je ma, i o tym, kto pieprzy moją żonę, a kto nigdy już nikogo nie będzie mógł pieprzyć...

Keith wepchnął dwa palce w prawe oko Baxtera. Baxter wrzasnął i odskoczył, łapiąc się dłońmi za twarz.

W pokoju rozległy się pospieszne kroki i ponaglące głosy, Ward z jakimś drugim policjantem na wpół wywlekli, na wpół wyprowadzili Baxtera z pokoju.

Keith nie czuł żadnego bólu, tylko ciężkie pulsowanie w głowie, i wydawało mu się, że gałki oczne wyskakują mu z orbit. Zrobiło mu się niedobrze, ale wiedział, że może się zadławić treścią żołądkową. Jakoś udało mu się przekręcić na bok i dopiero wtedy zwymiotował, a potem zapadł w ciemność.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

•Jaki dzień dziś mamy?

•Najpierw poda mi pan swoje nazwisko, a wtedy ja panu powiem, jaki mamy dzień — odpowiedziała pielęgniarka. Keith uznał, że układ jest uczciwy.

•Keith Landry — przedstawił się. Uśmiechnęła się.

•Dziś mamy wtorek. Przywieźli pana w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Keith spojrzął na słońce za oknem.

— Jest rano czy popołudnie?

— Teraz moja kolej. Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Keith odpowiedział i dodał:

— Przemili facet. Uciąłem sobie z nim pogawędkę w zeszłym tygodniu.

Zmarszczyła brwi.

Keith uświadomił sobie, że nie to chciała usłyszeć od pacjenta, którego przywieziono z poranioną głową, więc dodał:

— Żartowałem.

Skinęła głową.

Spróbował usiąść, ale położyła mu dłoń na ramieniu.

— Proszę leżeć, panie Landry.

Przyglądał się jej przez chwilę. Trzydziestoparolatka, pulchna, o przyjaznej twarzy, ale wyraźnie na tyle doświadczona, żeby okazać stanowczość, gdyby jej nie posłuchał.

— Która godzina? — zapytał.

•Ósma piętnaście rano. Był pan nieprzytomny przez jakieś trzydzieści sześć godzin.

•Aha...

Czuł się trochę otumaniony, bolała go głowa i właściwie całe ciało, ale poza tym wydawało mu się, że nic mu nie dolega. Usiłował sobie przypomnieć, co się właściwie wydarzyło, i fragmentami wracało to do niego, ale przypominało to dopasowywanie kawałków potłuczonej porcelany.

— Gdzie pan mieszka? — zapytała znów pielęgniarka. Odpowiedział.

Zadawała mu najróżniejsze pytania. Zauważył, że odpowiedzi zaznacza w jakimś formularzu. Chciał się zastanowić, ale nie dawała mu spokoju. Wreszcie udało mu się odtworzyć ostatnie dwie minuty przed utratą przytomności i jego ręka pod kołdrą powędrowała pomiędzy nogi.

•Nic mi nie jest — powiedział.

•Oczywiście, że nic panu nie jest. Dobre oznaki życia, dobre wyniki...

•W porządku. Wychodzę. — Tym razem usiadł, mimo że znowu położyła mu rękę na ramieniu.

— Proszę się położyć, panie Landry, albo będę musiała zawołać pielęgniarkę.

•Kiedy mnie wypiszą?

•To zależy od lekarzy. Neurolog właśnie robi obchód.

•Gdzie są moje rzeczy?

•W szafie.

•Czy ten telefon działa?

•Nie. Chce pan, żebym go podłączyła?

•Tak, poproszę. Czy pani wie, co mi się przydarzyło? Nie odpowiedziała od razu.

•Domyślam się, że został pan napadnięty.

•Właśnie. Byłem z moją dziewczyną. Wie pani coś o niej?

•Nie, tyle tylko że razem z pana rzeczami jest parę sztuk damskiej garderoby. Przywieziono pana policyjnym ambulansem. Policja spisała wszystkie osobiste przedmioty znalezione przy panu i przywiozła je tutaj. Mogę później sprawdzić je razem z panem.

•Nie, dziękuję. Potrzebny mi tylko portfel. Czy mogłaby mi pani go przynieść?

•Później.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Czy policja chce mnie przepyttać? — zapytał.
- Tak, poprosili, żeby ich zawiadomić, kiedy będzie pan mógł z nimi porozmawiać.
- Dobrze. Ale nie dzisiaj.
- Zobaczmy.
- Czy zrobiono mi tomografię?

•Tak. Ma pan ranę ciętą, obrzęk wewnętrzny... Wolałabym, żeby lekarz rozmawiał z panem na ten temat.

Próbował ją jeszcze wypyttywać, ale nie chciała używać terminów medycznych. Opisała obrażenia potocznym językiem: uraz klatki piersiowej, prawego ramienia i lewej ręki, a co do głowy, nie stwierdzono krwotoku podczaszkowego. Kilka urazów i skaleczeń. Po tym wszystkim doszedł do wniosku, że gdyby tylko udało mu się wstać i ubrać, mógłby wyjść.

—Gdzie ja właściwie jestem? — zapytał.

—Szpital hrabstwa Lucas, pod Toledo.

To by się zgadzało. Był w rękach lokalnych władz, co oznaczało również lokalną policję, która albo uważała go za ofiarę, albo za zbiega, albo za zbiega i ofiarę równocześnie.

—Zapytam doktora, czy wolno panu zjeść normalny posiłek. Ma pan ochotę na śniadanie?

Miał, lecz uznał, że należy grać chorego i słabego. Zresztą naprawdę czuł się słabo, ale poza bólem głowy w gruncie rzeczy nic mu nie dolegało.

- Chce mi się spać — powiedział.
- Dobrze. Wrócę do pana później z neurologiem.
- W porządku. Ale teraz potrzebuję trochę snu.

Wyszła, Keith usiadł. W którymś momencie policja poprosi szpital o podpisanie oświadczenia, że pacjent nadaje się do przewiezienia, i wtedy przetransportują go do izby chorych przy więzieniu stanowym albo czegoś w tym rodzaju. Nie wiedział, jaki jest jego status prawny, nie był również pewien swego stanu jako pacjenta, ale nie miał czasu tego ustalać. Mimo bólu głowy i otaczającej go mgły, co dało się jakoś wytrzymać, musi się stąd wydostać, dotrzeć do Spencerville i odnaleźć Annie.

Odłączył się od kroplówki, z jego żył popłynęło trochę krwi. Na stoliku leżała gaza i plaster, więc szybko opatrzył krwawiące miejsce. Spuścił nogi przez krawędź łóżka i powoli wstał. Kolana ugięły się pod nim, ale udało mu się zrobić kilka ostrożnych kroków.

Na sąsiednim łóżku spał mężczyzna w średnim wieku. Keith zaciągnął zasłony wokół obu łóżek, tak żeby przez otwarte drzwi nie było widać, czy ktoś na nich leży.

Otworzył schowek w ścianie. Były w nim walizka i worek z teczką i dużą plastikową torbą pełną męskiej i damskiej garderoby oraz przyborów toaletowych. Wyjął walizkę, zdjął szpitalną piżamę i szybko przebrał się we włoski jedwabny garnitur.

W plastikowej torbie, do której policjanci włożyli wszystkie przedmioty leżące luzem w pokoju motelowym, znalazł dzinsy, koszulę i wiatrówkę, ale nie było tam ani portfela, ani prawa jazdy. Najwyraźniej to pozostało w rękach miejscowej policji. Na dnie leżał brązowo-bia-ły niedźwiadek. Przez chwilę trzymał go w dłoniach, a potem wrzucił z powrotem do torby.

Otworzył teczkę, której zamek był rozsunięty od czasu, kiedy Annie ją otworzyła. Policja z pewnością zajrzała do środka, ale wszystko, co było widoczne, wyglądało całkiem niewinnie. Odsunął fałszywe dno. Paszport nadal tam spoczywał, kilkaset dolarów w banknotach o różnych nominałach także. Przełożył pieniądze do kieszeni marynarki, wepchnął wszystko, poza teczką, z powrotem do szafki i zamknął ją. Z teczką w ręce przemaszerował korytarzem energicznym krokiem czło-

wieka zajętego, zerkając w prawo i w lewo. Po prawej dostrzegł windy. Wszedł prosto do otwartej kabiny, wmieszał się w personel szpitalny i zjechał na dół do holu.

Tu zobaczył policjanta w mundurze, czytającego gazetę, a naprzeciwko niego mężczyznę w garniturze; wyglądał na tajniaka.

Wszedł na zewnątrz, ktoś akurat wysiadał z taksówki. Wskoczył na tylne siedzenie i powiedział do kierowcy:

— Poproszę na lotnisko.

Wjechali na autostradę. Panował na niej duży ruch, ale dość szybko oddalali się od Toledo. Wszystko wyglądało inaczej w świetle dziennym. Minęli punkt sprzedaży chevroletow, ale nie dostrzegł tam swego blazera. Dalej, po drugiej stronie autostrady, świecił neon reklamujący motel Westway.

Nie był pewien, w jaki sposób Baxter ich znalazł, ale zakładał, że polowanie było tak zaciekle, że wreszcie doprowadziło do jedyne go śladu, który zostawił: rozmowy z ochroniarzem na lotnisku. Po tej rozmowie przeszukiwano okolice, co wreszcie doprowadziło do motelu, mimo że neon był zgaszony. Ameryka, myślał Keith, to bez żadnych wątpliwości państwo policyjne i ma dużo więcej policji i możliwości oraz niezbędnych gadżetów niż jakiegokolwiek inne państwo policyjne, które kiedykolwiek widział. Mimo wszystko tylko pech na lotnisku tak zmienił losy ich ucieczki.

Keith wiedział, że jeśli zajmie się roztrząsaniem minionych wydarzeń i pozwoli wściekłości i poczuciu winy wziąć górę nad rozsądkiem, nie da rady zrobić tego, co planuje. Dlatego otrząsnął się z myśli o niedzielnym wieczorze i zajął

planowaniem kolejnych kroków. Wiedział, że nie może próbować w nieskończoność.

Kiedy dojechali do lotniska, taksówkarz zapytał:

- Dokąd jedziemy?
- Proszę zatrzymać się w pobliżu znaku USAir. Taksówkarz zajeżdżał przed terminal.
- Dwanaście siedemdziesiąt pięć.

Keith dał mu dwadzieścia, odebrał resztę i zostawił napiwek. Wszedł do budynku, zawrócił i wyszedł innymi drzwiami. Stał na chodniku, spojrzął na zegarek. Wyglądał jak biznesmen, który przyleciał właśnie rannym lotem. W ciągu minionych lat wielokrotnie bywał na tym lotnisku i znał je jak własną kieszeń. Zignorował taksówkę i podszedł do bagażowego.

- Znajdę tu kogoś, kto ma ochotę na długi kurs?
- Jasne. Dokąd?
- Lima.

— W porządku. — Bagażowy machnął w stronę vana zaparkowanego z boku.

— Jakiś bagaż?

-Nie.

Podjechał van, Keith dał chłopakowi dwa dolary. Z samochodu wyskoczył mniej więcej dwudziestoletni chudzielec.

- Gdzie jedziemy?
- Do Limy. Ile to będzie kosztowało?
 - No... policzmy. — Właściciel wozu zastanowił się. — Jakies dwie godziny w jedną stronę, no i powrót... Czy pięćdziesiąt to dla pana za dużo?
 - Może być. — Keith otworzył drzwi od strony pasażera, kierowca wskoczył na swoje miejsce i ruszyli. Kiedy wyjechali z lotniska, chłopak wyciągnął rękę.
- Nazywam się Chuck.
- John. — Keith uściśnił jego dłoń.
- Miło mi pana poznać.
- Fajna bryczka.

•Prawda? Sam ją wyszykowałem. — Chuck opowiedział Keithowi szczegółowo, jakie zmiany zastosował w najnowszym modelu dodge'a. Chuck był obecnie bez pracy i zaspokajał swoją kosztowną namiętność do chromowanych powierzchni, proponując konkurencyjne ceny na lotnisku. Zanim zakończył monolog, byli już na międzystanowej 75 i jechali na południe.

Keith miał zamiar prosić Chucka, by dodał gazu, bo dość mu się spieszy, ale chłopak zdążył już rozpędzić samochód do siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Chuck zauważył, że Keith spogląda na szybkościomierz, roześmiał się i powiedział:

- Na siedemdziesiątej piątej robię siedemdziesiąt pięć. Szczęście, że nie jedziemy sto szóstą. — I dodał: — Jak za szybko, to powiedz.
- Nie, w porządku.
 - To dobrze. Mam tu najlepszy wykrywacz radarów. — Pokazał urządzenie na desce rozdzielczej. — Pieprzyć ich.
- Jestem tego samego zdania.

Kiedy doszedł do osiemdziesięciu mil na godzinę, zapytał:

- Skąd jesteś?
- Z Nowego Jorku.
- Podoba ci się?
- Może być.
- Nigdy tam nie byłem.

Keitha coraz bardziej bolała głowa, z żołądkiem też nie było najlepiej. Nie wiedział, czy to z powodu jazdy, czy ciosów, a oberwał nieźle. Może jednak winien był Chuck.

Chłopak spojrzął na niego i powiedział:

— Nie chcę się wtrącać, ale wyglądasz, jakby ktoś walnął cię w głowę.

Keith nie przeglądał się w ciągu ostatnich godzin w lustrze, ale teraz opuścił osłonę przeciwsłoneczną, która po drugiej stronie miała lusterko. Spojrzął na siebie. Lewa skroń była czarno-niebieska i nieco opuchnięta, pod prawym okiem przecięcie posmarowane jodyną, ale bez szycia. Poza tym był blady jak śmierć i miał podkrążone oczy.

- Biłeś się?
- Nie, miałem wypadek samochodowy.
- Jezu. Przyjechałeś tu w interesach? -Tak.
- Bez bagażu?
- Wracam dziś wieczorem.
 - Tak myślałem. Chcesz, żeby na ciebie poczekać? Pięć baksów za godzinę.
- Może.

•Posłuchamy radia? Albo kasety?

•Radia.

W radiu puszcza hard rocka.

Keith zaczął zmieniać stacje, aż zatrzymał się na rozgłośni z Toledo, nadającej na okrągło wiadomości. Wysłuchał wieści ze świata, które interesowały go tyle samo co Chucka. Wreszcie zaczęły się informacje miejscowe.

Dziennikarz powiedział:

„Policja stanowa poinformowała dziś rano, że zamierza przesłuchać Keitha Landry'ego, podejrzanego o uprowadzenie kobiety ze Spencer-ville. Landry przebywa obecnie w szpitalu hrabstwa Lucas z powodu obrażeń głowy, będących wynikiem napaści dokonanej przez nieznanego osobnika lub osobników w motelu niedaleko lotniska. Landry był poszukiwany przez cały niedzielny wieczór i poniedziałkowy rano, kiedy policja Spencerville zgłosiła, że uprowadził Annie Baxter, żonę tamtejszego szefa policji. Pani Baxter nie znaleziono w motelu, ale policja stanowa otrzymała wiadomość od policji ze Spencerville, że dotarła bezpiecznie z powrotem do domu. Władze podają, że śledztwo będzie kontynuowane w celu ustalenia tożsamości napastnika lub napastników, którzy pobili pana Landry'ego. Keithowi Landry'emu zostaną postawione zarzuty, ale na razie brak dokładniejszych informacji na ten temat”.

Keith nacisnął klawisz, przełączając na stację nadającą muzykę country.

— To naprawdę coś — powiedział Chuck.

-Co?

— To uprowadzenie. Znaleźli faceta zaraz tutaj, koło lotniska.

— I Chuck wygłosił swoją opinię na ten temat: — Trąbili o tym przez radio, w telewizji i w ogóle, i tak sobie myślę, gdyby chodziło o moją dziewczynę czy jakąś inną, nie chciałoby im się podnieść tyłków. Ale

tu chodziło o innego glinę, a ta kobieta była ważną personą i w ogóle, dwoje dzieci, a mąż szef policji. Więc wreszcie ich znaleźli... No, powiedzieli, że jej nie, co jest dziwne, ale policja przyjechała do tego motelu, takiego na godziny, i znaleźli tego faceta, który ją porwał, dostał niezły łomot, a nikt nie wie, co się z nią stało... Kiedy gliniarze przyjechali do motelu, wszyscy, co tam byli, już dawno dali nogę, bo to nie było miejsce, w którym powinni się znajdować, i jedynym świadkiem jest kierownik motelu czy ktoś w tym stylu, a gliniarze nie mówią, co on powiedział. Więc ja tak sobie myślę, że ich było dwóch, dwóch facetów, Landry i ten drugi, no i oni się pokłócili, który z nich pierwszy ją przeleci, i jeden przyłożył drugiemu, a potem dał nogę z kobitką. I to wszystko biali ludzie! Dałbyś wiarę?

•Niesamowita historia.

•Święte słowa. A teraz mówią, że ona wróciła do rodziny. A stanowa twierdzi, że ten jej mąż jest w stanie... zaraz, jakie to było słowo...

•Szoku?

•Tak, podobnie, ale jakoś inaczej... odosobnienia. W odosobnieniu. Jakby się ukrył. Rozumiesz?

-Tak.

•No i co myślisz? Było ich dwóch, nie? To by wszystko wyjaśniało. Gliniarze nie wiedzą, co się stało. Też mi zagadka! Do licha, mają przecież tego pracownika motelu i mają tego pobitego gościa. Dobrze wiedzą, co się wydarzyło, tylko nie chcą puścić pary z gęby. Tak czasami robią. Coś tutaj nie gra. Jak ta żona wróciła do domu? Wiesz, co ja myślę? Mąż zapłacił okup. A gliniarze nie chcą powiedzieć, że inny gliniarz zapłacił okup. Pasuje, nie?

•Może i tak.

•Powinienem pracować w policji. Masz ochotę na kawę? Zaraz będzie bar.

Tak, chciał się napić kawy i coś zjeść, pozbyć się trzydniowego zarostu, umyć zęby i wykapać się, ale powiedział:

•Nie, spieszę się.

•Jasne.

Wkrótce potem Keith zobaczył zjazd na zachód, na drogę numer 15.

•Zjedźmy tutaj — powiedział. -Tu?

•Muszę odebrać pewne papiery od prawnika.

•Dobrze... Gdzie to jest?

•Nie jestem pewien. Mam opis. Jeśli to potrwa dłużej, zapłacę ci kilka dolców ekstra.

•Nie ma problemu.

Jechali na zachód szosą numer 15, Keith pilotował pokrętnie, żeby chłopak, nawet gdyby sprawa wyszła na jaw, nie odtworzył drogi.

•Nauczyłeś się tej drogi na pamięć? — zapytał Chuck.

•Pewnie.

•Co to za miasto?

•Farma.

•W porządku.

Wjechali na szosę 22, ale kiedy dojeżdżali już do farmy, Keith uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Nie zgadzał się

widok — nie było domu.

Keith stał przed ruinami tego, co było kiedyś jego domem, a także domem jego ojca i dziadka.

— Jezu — wyjęczał Chuck — myślisz, że nikomu się nic nie stało?

Keith nie odpowiedział. Patrzył na inne budynki, które stały nietknięte, na ciągnące się po horyzont pola kukurydzy, na błękitne niebo, na majaczącą w oddali linię drzew.

— Co teraz zrobisz? — zapytał Chuck.

Keith chciał usiąść na ziemi i patrzeć na dom, aż słońce zajdzie. Ale musiał zrobić co innego.

Od chwili gdy wyszedł ze szpitala, minęło nieco ponad godzinę. Personel nie od razu odkryje jego nieobecność, a kiedy odkryje, przeszukają najpierw szpital, potem będzie trochę zamieszania, a dopiero po jakimś czasie zawiadomią policję w Toledo. Zanim informacja dotrze do policji stanowej, upłynie jeszcze trochę czasu, a potem jeszcze trochę, nim ktoś pomyśli, żeby zawiadomić policję w Spencerville, a ta swojej sławy na pewno nie zawdzięczała szybkim reakcjom. Ale mimo wszystko pierwszym miejscem, w którym by go szukali, była ta farma. Wskoczył do wozu.

Chuck usiadł za kierownicą.

- Dokąd teraz?
- Do Spencerville.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W drodze do Spencerville Chuck zauważył:

- Niezły zbieg okoliczności, co? Chodzi mi o to, że przyjeżdżasz z Nowego Jorku i lądujesz akurat w tym miejscu, z którego uprowadzono tę kobietę. Wcale niebrzydkie miasteczko. Gdzie jest biuro tych twoich prawników?
- Teraz skreć.

Skierował Chucka na północ miasta, po kilku minutach byli już na Williams Street. Nie spodziewał się, żeby Annie i Cliff Baxterowie byli właśnie tutaj i próbowali naprawiać swoje małżeństwo. Z pewnością pojechali w jakieś ustronne miejsce, a o Williams Street tego akurat się nie dało powiedzieć. Pod domem nie ujrzał białego lincolna, nic też nie świadczyło, że ktoś jest w domu albo go pilnuje.

—Zatrzymaj się — powiedział Keith do Chucka. Chłopak podjechał do krawężnika.

Być może do tego czasu policja w Spencerville dowiedziała się już o ucieczce Keitha Landry'ego ze szpitala. Od razu pomyśla, że Landry opuścił stan. Ale potem może im jednak zaświtać, iż wrócił do Spencerville. Chociaż będą uważali, że to raczej niemożliwe. Mimo to mogą ogłosić coś w rodzaju stanu pogotowia i najprawdopodobniej obstawiać farmę. Lecz w dwóch miejscach z pewnością się go nie spodziewają: na posterunku policji i w domu Baxterow.

Keith wysiadł z vana.

—Wróć za jakieś dziesięć minut — powiedział. Wziął teczkę i po maszerował w stronę domu. Był chłodny poranek, werandy sąsiednich posesji wyglądały na opustoszałe, ulica też była całkiem wyludniona. Obszedł dom dookoła. Jeśli nawet ktoś z sąsiedztwa widział go przez okno, błękitny urzędniczy garnitur i teczka nadawały mu wygląd buńczący zaufanie.

W głębi podwórka zobaczył psiarnię, ale nie widział ani nie słyszał żadnych psów.

Wszedł na ganek i spróbował przekręcić gałkę drzwi. Zamknięte. Rozejrzał się. Nigdzie żywej duszy. Wybił teczką szybę w oknie, włożył rękę w dziurę i otworzył zamek. Wsunął się szybko do środka i zamknął za sobą drzwi.

Rozejrzał się po kuchni. Uderzyła go niesłychana schludność wnętrza. Otworzył lodówkę, która okazała się prawie pusta, co było raczej niezwykle. Najwyraźniej Baxterowie wyjechali i nie zamierzali w najbliższym czasie wrócić.

Otworzył drzwi do piwnicy i zszedł na dół. Znalazł kontakt i zapalił światło. Na ścianach wisiały głowy zwierząt, a pomiędzy nimi gabloty na broń z zaczepami dla dwunastu karabinów i strzelb, teraz pusta.

Wrócił na górę, zerknął do jadalni i salonu, tu także rzucił mu się w oczy nienaganny porządek. Otworzył szafę na ubrania w holu; wisiał tam tylko jeden cywilny płaszcz męski, jeden mundur i dwa płaszcze damskie. Brakowało ubrań cywilnych i okryć na chłodniejszą pogodę.

Wszedł na górę i zajrzał do pokojów syna i córki, a potem do pokoju, który służył za gabinet. Poszperał w szufladach i znalazł karty ze spisem telefonów policyjnych. Wszedł do sypialni państwa domu i otworzył szafy. Tutaj wisiały same sukienki, natomiast wcale nie było ubrań sportowych, spodni, swetrów, kurtek. W szafie Cliffa Baxtera wisiały cztery mundury z pasami, kaburami i butami — dwa letnie i dwa zimowe. Szuflady były wyciągnięte i opróżnione z bielizny. Keith domyślał się, co się tu wydarzyło. Najwyraźniej Baxter planował długi wyjazd, być może

na zawsze. Co ważniejsze — biorąc pod uwagę fakt, że jej ubrania także zniknęły — Annie nadal żyła i mąż nie zamierzał zmieniać tego stanu rzeczy.

Keith wszedł do łazienki. Apteczka była otwarta. W umywalce leżał zakrwawiony ręcznik, na szafce resztki gazy, rolka bandażu i butelka jodiny, na podłodze porzucony mundur polowy Baxtera, przesiąknięty zakrzepłą już krwią.

O cal dalej w lewo lub w prawo, pomyślał Keith, może nawet tylko pół cala głębiej, a uszkodziłbym mu tętnicę udową. Istniało jeszcze lepsze rozwiązanie — przyjechać na lotnisko w Toledo godzinę wcześniej; byłiby już w Waszyngtonie. A gdyby nie pojechał z Adairem do Waszyngtonu w czwartek, byłiby już teraz z Annie w Rzymie. I tak dalej, i tak dalej. Zastanawianie się nad tym nie prowadziło do niczego dobrego, liczyło się tylko to, że oboje nadal żyją i los dał im jeszcze jedną szansę.

Podniósł zakrwawione spodnie Baxtera z podłogi i wrócił do sypialni. Jak cały ten dom, miała w sobie coś ludowego — dębowe meble, kołki do wieszania ubrań, perkalowe zasłonki, suszone kwiaty. Uderzyło go, że Annie, mimo nieudanego małżeństwa, a może właśnie przez nie, bardzo zwracała uwagę na wygląd domu, dbając o najdrobniejsze szczegóły, tak by był przytulny i z każdego miejsca tchnęło ciepłem. Podejrzewał, że wynikało to z jej dumy i potrzeby stworzenia normalnego otoczenia dla dzieci, przyjaciół i rodziny, ale też z marzenia o takim właśnie życiu i małżeństwie; te drobiazgi zapewne zaspokajały niezbędne jej poczucie bezpieczeństwa. Z jakiegoś powodu ogarnął go smutek.

Wiedział, że nie ma co tu dłużej siedzieć. Ale wiedział też, że musiał tu przyjść, zajrzeć w życie Cliffa i Annie Baxterów, dwojga ludzi, którzy bardziej niż ktokolwiek inny wpłynęli na jego życie.

Cliff Baxter, który nigdy w ich wspólnych szkolnych czasach nie został zaproszony do domu Keitha, teraz włamał się do niego i na swój sposób było to jeszcze ohydniejsze od tego, co nastąpiło potem: spalenia budynku i napaści w motelu. Keith nie miał zamiaru palić domu Baxtera, ponieważ był on wypełniony przedmiotami należącymi do Annie i jej dzieci. Ale czuł, że musi zostawić jakiś ślad swej obecności, choć nie dla Cliffa, bo Keith już postanowił, że Baxter nigdy więcej nie zobaczy swego domu. Chciał zrobić to dla siebie.

Przyjrzał się swemu dziełu. W salonie na fotelu siedział zakrwawiony mundur Baxtera, wypchany ręcznikami i pościelą. Do kołnierzyka przytroczona była głowa wilka.

Keith powiedział sobie, że nie jest szalony, że uderzenie w głowę nie wpłynęło na jego zdolności oceny sytuacji. Ale nie był też tym samym człowiekiem, co przed wtargnięciem Cliffa Baxtera do pokoju motelowego. Patrzył na głowę wilka zwieńczającą mundur. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w białe zęby i szkliste oczy, pewny, że po to, by zabić tego potwora, sam musi stać się potworem. Najwyraźniej jego anioł stróż odleciał. Poczul, jak w jego sercu budzi się czarny wilk.

•Dostałeś to, po co przyjechaliśmy? — zapytał Chuck. -Tak.

•Teraz do Limy?

•Jeszcze musimy zatrzymać się po drodze.

Skierowali się na drogę wylotową z miasta, w stronę parkingu przed supermarketem. Keith wyjął sześćdziesiąt dolarów z kieszeni i wręczył je chłopakowi.

•To za dotychczasową jazdę.

•Nie trzeba, John. Wiem, że mnie nie oszukasz. Keith położył pieniądze na tablicy rozdzielczej.

•Tego się nigdy nie wie, Chuck. Idź kupić sobie coś do jedzenia. Masz jakieś drobne?

•Jasne. — Chłopak sięgnął do kieszeni, pokazał garść pełną drobnych i ruszył do sklepu.

Keith wszedł do budki telefonicznej, wyjął kartkę z numerami policji i wystukał numer. Fizycznie czuł się kiepsko, za to psychicznie — wiedząc, że Annie żyje — bez porównania lepiej. Próbował tylko nie dopuszczać do siebie myśli, przez co ona musi przechodzić.

•Słucham?

•Terry, to ja.

•O mój Boże! Keith, Keith, gdzie jesteś?

•Na autostradzie. Gdzie Annie?

•Nie wiem. Kiedy wrócili do Spencerville, zadzwoniła do mnie i powiedziała, że mają zamiar wyjechać, żeby spędzić ze sobą jakiś czas i przedyskutować wszystko, co się stało. Powiedziała, że jadą na Florydę.

Keith wiedział, że wzięli rzeczy nieodpowiednie na Florydę.

•Jakim głosem mówiła?

•Kłamała. Niech go cholera, pewnie trzymał jej pistolet przy głowie. To skurwiel. Dzwoniłam na policję w Chatham, ale powiedzieli, że nie mogą nic zrobić bez dowodów i że powinnam zadzwonić na policję w Spencerville...

•Rozumiem. Terry, posłuchaj, odnajdę ją i przywiozę z powrotem. Powiedz mi, gdzie twoim zdaniem pojechali.

•Nad Jezioro Szare.

•Też tak myślę. Czy nie zostawiła ci jakiejś wskazówki, kiedy rozmawialiście przez telefon?

Terry odezwała się po chwili milczenia:

•Tak, powiedziała coś... że będą przejeżdżać po drodze przez Atlantę. Potem przypomniałam sobie, że Atlanta to

również wioska, przez którą się jedzie nad Jezioro Szare. Właśnie wtedy pomyślałam, że tam się wybierają. Próbowałam się tam dodzwonić, ale odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Więc nie wiem...

- W porządku. Myślę, że to jednak tam.
 - Larry chce się tam wybrać...
 - Nie. Baxter jest uzbrojony i niebezpieczny. Zajmę się tym z pomocą miejscowej policji.
 - Policja nic nie zrobi, Keith. Ona jest jego żoną. Tylko to wciąż mi powtarzają.
 - Zajmę się tym.
 - Co się stało? Myślałam, że zdążyliście na samolot.
 - To długa historia, ale mówiąc w skrócie, zatrzymała nas policja.
 - Niech to!
 - No właśnie. Ale kiedy ją zabierali, nic jej nie było.
 - Nie wydaje mi się, żeby teraz czuła się dobrze. Mój ojciec wydzwania do policji stanowej, wynajął adwokata, ale... Trudno wprost uwierzyć, że skurwiel mógł ją tak po prostu uprowadzić...
 - Kiedy dzwoniła do ciebie?
 - W poniedziałek wieczorem, gdzieś około szóstej. Powiedziała, że rozmyśliła się i nie chce wyjechać z tobą, że są teraz z Cliffem w domu, spędzą w nim jeden dzień, spakują rzeczy i pojedą na Florydę. Mówiła, że dzwoniła do dzieci, uspokoiła je i zawiadomiła o wyjeździe na wakacje. Skontaktowałam się potem z dziećmi. Nie odzywała się do nich, natomiast wcześniej rano telefonował do nich ojciec. Więc znowu zadzwoniłam do Annie, ale wszystkie połączenia do nich przechodzą przez posterunek. Zapytałam, co się, u diabła, dzieje, a oni na to, że telefony do Baxterów są teraz automatycznie przełączane... Wtedy ojciec poszedł na posterunek, ale dowiedział się tylko, że Cliff i Annie już wyjechali na Florydę. Akurat!
 - W porządku, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? Nie rozdmuchuj sprawy. Jeśli on tam rzeczywiście jest, nie trzeba go już bardziej drażnić. Dobrze?
 - Dobrze...
 - Jak ten dom wygląda, Terry?
 - Och... Ja tam byłam tylko parę razy... w kształcie litery A, z ciemnego drewna, nieopodal jeziora.
 - Po której stronie?
 - Poczekaj... po północnej. Tak, to północna strona jeziora, można się tam dostać tylko piaszczystą drogą przez las.
 - W porządku. Powiedz Larry'emu, że go pozdrawiam. Zadzwonię do was wieczorem z Michigan.
 - Obiecujesz?
 - Wiesz, że zadzwonię, Terry. Posłuchaj, przykro mi...
 - Nie, nie przepraszaj. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Ten skurwiel to prawdziwy diabeł... przysięgam na Boga.
 - Przyniosę ci jego rogi i kopyta. Spróbowała się rozeźmiać.
 - O Boże... sama bym go zabiła, gdybym mogła... Keith? -Tak?
 - Jeśli nie będzie mogła żyć z tobą, wolałaby umrzeć, niż być z nim. Boję się o nią.
 - Powiedziałem jej, że znowu będziemy razem. Ona to wie.
 - Proszę Boga, żebyś się nie mylił.
 - Porozmawiamy wieczorem. — Rozłączył się. Wybrał kolejny numer.
- Odezwał się nagrany głos Cliffa Baxtera:
- Tu chata Wielkiego Szefa Cliffa. W tej chwili nikogo nie ma. Jeśli wiesz, gdzie biorą ryby albo gdzie się chowa jeleń, zostaw wiadomość.
- Keith miał ochotę to zrobić, ale się zreфлектовał. Wyjął z kieszeni następną kartkę, na której zapisano telefony dziesięciu policyjnych samochodów ze Spencerville i numery pagerów kilkunastu policjantów. Wystukał jeden i czekał.
- Kiedy usłyszał, że jest połączenie, odezwał się:
- Schenley?
- Kto mówi?
- Słychać było, że Schenley korzysta z telefonu komórkowego.
- Keith Landry — odpowiedział.
 - Skąd zna pan mój numer? — zapytał Schenley po chwili ciszy.
 - To nie ma znaczenia. Jest pan sam?
 - Tak, patroluję miasto. Prawdę mówiąc, szukam właśnie pana.
 - No cóż, więc jestem.
 - Gdzie?
 - Pozwoli pan, że to ja będę zadawał pytania. Czy ma pan kogoś przyjaznego w radzie miejskiej?
- Znowu przez dłuższą chwilę panowała cisza, wreszcie Schenley powiedział:
- Może.
 - To jest również mój przyjaciel.
 - Wiem.

- Potrzebuję pomocy.
 - Nie wątpię. Dziwię się, że pan w ogóle żyje.
 - Czy zechce mi pan pomóc?
 - Proszę poczekać. Muszę stanąć. — Jakiś czas potem Schenley odezwał się znowu: — W porządku. Posłuchaj pan, Landry, mamy nakaz aresztowania pana.
 - Za co?
 - Różne drobiazgi. Wszystko wyssane z palca. Wydany przez sędziego Thornsby'ego, który podpisze każdą rzecz podsunętą mu przez Baxtera. Ale oskarżenie o uprowadzenie zostało wycofane. Z drugiej jednak strony otrzymaliśmy wiadomość, że policja stanowa poszukuje pana w charakterze świadka.
 - Świadka czego?
 - Dobrze pan wie czego. Tego, co się wydarzyło w motelu.
 - Czy pan tam był?
 - Nie. Baxter nie wziąłby mnie na tego typu akcję, a ja sam też bym nie pojechał. Miałem tamtej nocy dyżur. — Po chwili dodał: — I nie podobało mi się to, co widziałem.
 - A co pan widział?
 - No... do cholery, jestem przecież policjantem, Landry, a pan zbiegiem... — Dobrze pan sypia?
 - Nie.
 - Schenley, przecież pan rozumie, że Baxter złamał prawo i jeśli sprawa się rozniesie, pociągnie za sobą wszystkich. On nie dba ani o pana, ani o nikogo ze swoich ludzi.
 - Nie musi mnie pan przekonywać.
 - Jak się czują inni?
 - Przestraszeni. Ale szczęśliwi, że go tu nie ma.
 - Czy kontaktuje się z wami?
 - Jeśli nawet, to z Blakiem. — Przez kilka sekund obaj milczeli, potem Schenley powiedział: — No, dobrze, mniej więcej o drugiej nad ranem siedziałem na dyżurze, Baxter przyjechał z Toledo z trzema chłopakami, których wziął ze sobą. Ale nie podam panu żadnych nazwisk. A z nimi była... ona. Przywiózł ją na posterunek w kajdankach i wsadził do celi. Miał spodnie zalane krwią, całą lewą nogawkę. Utykał, widać było, że go boli, prawe oko miał przekrwione, jakby go ktoś uderzył, i kłął jak szewc. Potem wziął ze sobą policjanta i wyszedł, dwóch zostało tutaj. Jeden z nich powiedział mi, że chciał mu pan urznąć jaja. Jakąś godzinę później Baxter wrócił przebrany w cywilne ubranie. Wtedy ją zabrał, cały czas zakutą w kajdanki. Przed posterunkiem stało jego bronco wyładowane torbami, a z tyłu siedziały trzy psy.
 - Dokąd pojechali? — zapytał Keith.
 - Nie wiem. Słyszałem coś o Florydzie. Ale wiem, że skręcił na południe w Chestnut Street i pamiętam, że wtedy przyszło mi do głowy, czemu nie jedzie na wschód, do autostrady.
 - Ponieważ najpierw zatrzymał się przy moim domu.
 - Tak... wiem. Przykro mi.
 - Czy ktoś pojechał szukać mnie u Porterów?
 - Ward. Nie ma ich w domu, ale Ward kręci się w pobliżu.
 - Ilu ma ludzi w samochodzie?
 - Jest sam. Mamy duży teren do sprawdzenia. Doszli do wniosku, że wrócił pan do nas. Wezwali do pomocy wszystkich honorowych zastępców szeryfa i stworzyli oddział pościgowy z konnych ochotników. To pierwsza taka akcja od pięciu lat, wtedy szukaliśmy zaginionego dzieciaka. Honorowych jest ze dwudziestu, jeżdżą prywatnymi samochodami, a ochotników drugie tyle. Niech pan posłucha, jeśli nie jest pan teraz na terenie hrabstwa, lepiej niech pan tu nie przyjeżdża.
 - Dzięki. Nie przyjadę — powiedział Keith. —Jak ona wyglądała? Schenley nie od razu odpowiedział.
 - A jak można wyglądać w takiej sytuacji? Miała zadrapania na twarzy... Kiedy była w celi, chciałem z nią porozmawiać, ale cały czas nie odstępowało mnie dwóch policjantów. Nigdy w życiu nie czułem się tak okropnie. Siedziała tam, nie płakała ani nie krzyczała, prawdziwa dama, a kiedy patrzyła na nas, w jej spojrzeniu nie było nienawiści ani nic w tym stylu, tylko jakby jej było żal... nas.
 - Jestem wdzięczny. Będę pamiętał tę przysługę, jeśli kiedykolwiek sprawa trafi do sądu.
 - Dzięki, Landry. Co za cholerna sprawa. Nie rozumiem, jak tych trzech facetów mogło to zrobić. A wydawało mi się, że ich znam.
 - Gdybyśmy umieli odpowiedzieć na to pytanie, potrafilibyśmy też rozwiązać większość problemów świata — odpowiedział Keith. —
- Wspomnę o panu dobrze w rozmowie z pastorem Wilkesem.
- Schenley roześmiał się.
- A tak dla pańskiej informacji, Baxter przyczepił do pańskiego bla-

zera urządzenie naprowadzające.

Cholera.

•Jakiego koloru jest ten jego bronco?

•Czarny. — Schenley podał mu numery rejestracyjne. — Landry, odpuść. Trzymaj się pan od tego jakiś czas z daleka. Szukają pana, a Baxter wyjechał już dość dawno.

•Ale może ja poszukam go na Florydzie.

•Następnym razem on pana zabije. Jeden z chłopaków, którzy z nim byli, powiedział, że musieli odciągnąć go od pana, bo gotów był zrobić to tam, na miejscu.

•Jeszcze raz dzięki. — Keith odwiesił słuchawkę i wrócił do furgonetki, gdzie Chuck już zjadał pączka i popijał go big gulpem.

•Przyniosłem dużo pączków — powiedział.

•Dzięki. Wyjedź w lewo.

•Jasne. — Chuck wycofał się z parkingu i włączył w ruch. — To nie jest droga do Limy.

•Nie. Na światłach skręć w lewo.

•Dobrze. Nie chciałbym być zbyt wścibski, ale mam wrażenie, John, że coś cię dręczy.

•Nie, wszystko w porządku, Chuck. Prawdę mówiąc, ten telefon umocnił właśnie moją wiarę w ludzi.

•Tak? Szkoda, że nie słyszałem.

—Nie zapomnij o skręcie. Tutaj w lewo.

Pojechali na południe.

Keith myślał o tym, co mu powiedzieli Schenley i Terry. Najwyraźniej Annie telefonowała do siostry w poniedziałek wieczorem nie ze Spencerville, lecz znad Jeziora Szarego, jeżeli ustalenia Schenleya co do czasu zgadzały się, a tak najprawdopodobniej było. Jeżeli Baxter wyjechał ze Spencerville około trzeciej nad ranem, nad jezioro dojechał o jakiejś dziewiątej czy dziesiątej przed południem, bo trzeba liczyć przystanek na spalenie domu. Rano zadzwonił do dzieci, a dużo później kazał Annie porozmawiać z siostrą, prawdopodobnie jak sobie uświadomił, że staną się celem zainteresowania dziennikarzy i że ich wyjazd musi zostać potwierdzony przynajmniej przez jedną osobę z rodziny żony. Chodziło też o puszczanie w obieg histeryjki o Florydzie. Jeszcze raz Baxter okazał się nie tylko człowiekiem złym, ale i bardzo sprytnym. Niedobra mieszanka.

Keith nie miał pojęcia, co się dzieje nad Jeziorem Szarym, ale wiedział, że nie jest to pojednanie. Próbował uspokajać sam siebie, że Annie była pewna, iż potrafi poradzić sobie z Cliffem, przemówić mu do rozsądku. Ale po tym, jak Baxter zobaczył w łóżku żonę z kochankiem, nagich, nie było to już takie pewne. Gdyby Baxter choć w połowie kierował się rozsądkiem, nie uprowadzałby jej, zostawiając za sobą tyle bałaganu. Trwałby na stanowisku, chroniąc swoją pracę, pozycję i reputację. Ale najwyraźniej wiedział już, że jest skończony, i ta świadomość zabiła w nim jakąkolwiek zdolność oceny sytuacji.

Nie zabije jej. Ale może sprawić, że będzie wołała być martwa.

Keith podyktował Chuckowi, jak wyjechać na autostradę, potem podał mu dalsze szczegółowe instrukcje.

•Skąd zna pan tak dobrze te okolice? — zapytał chłopak.

•Urodziłem się tutaj.

•Nie zalewa pan? To jesteśmy krajanie. Kopsnij piątkę, John. Keith poczuł się zmuszony scementować przyjaźń, więc uścisnęli sobie dłonie.

Parę minut później podjeżdżali pod dom Porterów. Nigdzie nie widać było żadnego radiowozu ani w ogóle żadnego samochodu, nawet auta Porterów, które powinno stać na wyźwirowanym podjeździe.

•Zatrzymaj się tutaj, Chuck. Wjechali na podjazd.

•Dzięki, chłopie — powiedział Keith. — To byłoby na tyle.

•To nie jest Lima.

•Pewnie nie. Dostałeś sześćdziesiąt, a tu masz jeszcze dwadzieścia. Do zobaczenia następnym razem, kiedy będę w Toledo.

•Dzięki.

Keith otworzył drzwi i wyskoczył.

•Wspaniałe auto — oświadczył.

•Prawda?

Poszedł szybko na tyły zabudowań. W ogrodzie nie było nikogo, ale drzwi do domu stały otworem. Wszedł do środka, zawołał gospodarzy, lecz nikt się nie odezwał. Położył teczkę na blacie, zamknął tylne drzwi, potem przeszedł do frontowych i zasunął w nich rygle.

Wrócił do kuchni, otworzył lodówkę, wyjął butelkę mleka i bułkę z otrębów, którą zjadł, popijając wprost z butelki. Kiedy skończył, poczuł, że robi mu się niedobrze, ale udało mu się jakoś nie zwymiotować. Używanie jako napędu wyłącznie adrenaliny i nienawiści najwyraźniej mu nie służyło.

Nie miał pojęcia, gdzie są Porterowie ani kiedy wrócą, ale na razie cieszył się, że ich nie ma.

Lada chwila policja Spencerville albo szeryf, albo ochotnicy, w każdym razie ktoś się tu zjawi i on będzie musiał

zmykać. Do północnego

Michigan było prawie trzysta mil, a do tej zabójczej gry potrzebował broni, samochodu, ubrania i kilku innych drobiazgów.

Właśnie przeszedł do holu i patrzył na schody, kiedy usłyszał walenie w drzwi frontowe.

Ruszył szybko do salonu i wyrzwał przez okno. Przed domem stał radiowóz ze Spencerville.

W samochodzie nie było nikogo, pytanie więc brzmiało: ilu policjantów kręci się koło domu. Schenley powiedział, że jeżdżą pojedynczo. Stukanie rozległo się znowu.

Keith oczywiście nie musiał odpowiadać, ale jeśli był to jeden z tych panów, którzy towarzyszyli Baxterowi do motelu, miał ochotę się z nim przywitać, a może i pożyczyć od niego samochód i pistolet. Wyrzwał jeszcze raz i zobaczył Kevina Warda. Stał spokojnie z kciukami zatkniętymi za pasek, najwyraźniej nieprzygotowany na żadne niespodzianki.

Keith podszedł do drzwi i otworzył je.

—Cześć.

Zanim Ward zdążył zareagować, Keith wymierzył mu cios w krocze, od którego policjant zgiął się wpół. Keith wciągnął go do środka, kopnięciem zamknął drzwi i z całej siły walnął go w kark. Ward upadł nieprzytomny na podłogę.

Keith sięgnął po kajdanki, przypiął więźnia za prawy nadgarstek do rury grzejnika i właśnie odpinał mu pas z bronią, gdy policjant zaczął dochodzić do siebie.

•Szukałeś mnie? — spytał Keith. Ward leżał na boku i chwilę zajęło mu uzmysłowanie sobie, że jest przypięty do rury, którą płynie para. Spojrzał na Keitha.

•Ty pieprzony... — warknął.

Keith wyciągnął jego rewolwer, wymierzył i odbezpieczył.

•Gdzie twój szef?

•Pieprz się.

Keith strzelił w drewnianą podłogę, tuż przed twarzą Warda, tak że opryskały go drzazgi.

•Na Florydzie. Jest na Florydzie! — krzyknął policjant.

•Gdzie na Florydzie?

•Ja nie...

Keith strzelił ponownie, tym razem jeszcze bliżej twarzy Warda, który znowu walnął głową o podłogę.

•Przestań! On pojechał... Ja myślę, że pojechał do Daytona Beach. Tak, na pewno do Daytona.

•Gdzie jest Daytona Beach?

•Ja... Nie powiedział nam.

— W porządku. Czy ona jest z nim?

-Tak.

•Dobrze się bawiłeś w motelu? -Nie.

•Mnie się wydaje, że miałeś niezłą zabawę.

•Byłem przerażony.

•Ale chyba nie tak jak teraz.

•Nie, posłuchaj, Landry, ja tylko wypełniam rozkazy.

•Za każdym razem, kiedy to słyszę, mam ochotę zabić faceta, który to mówi.

•Odpuść. Załatwiłeś mnie. Powiedziałem ci to, co wiem. Jak dla mnie, możesz jechać do Daytona i zabić tego skurwiela. Nienawidzę

go-

—On też nie jest z ciebie zadowolony. Zobaczyłeś jego żonę, kiedy była naga. Naprawdę powinieneś mieć nadzieję, że go zabiję, bo inaczej będziesz miał problemy w pracy.

Zanim policjant zdążył się zastanowić nad jego słowami, Keith schował rewolwer do kabury i pobiegł na górę. Jeśli szczęście mu dopisze, Ward zadzwoni do szefa pochwalić się, jakim był dobrym chłopcem, ponieważ odesłał Landry'ego na Florydę. Nie miało to większego znaczenia, ale przy wielkiej grze nie traci się żadnej sposobności.

Keith znalazł sypialnię, w której panował totalny bałagan — stopy ubrań porozrzucane dookoła, nie posłane łóżko i wszystkie meble ustawione tak, jakby były nie na miejscu — schylił się i sięgnął pod łóżko, mając nadzieję, że Gail potraktowała dosłownie to, co powiedział, i tam położyła karabin. Nie było go tam jednak. Rozejrzał się po pokoju. Karabin mógł leżeć gdzieś na podłodze, ale łatwo go było przegapić w bałaganie. Obszedł łóżko z drugiej strony i zajrzał pod nie jeszcze raz, ale nie zobaczył nic, co choćby przypominało futerał.

—Szukasz czegoś?

Keith wyprostował się i ujrzał lufę M-16 opartą o materac łóżka. Podniósł się.

—Witaj, Charlie.

Charlie Adair rzucił broń na łóżko.

•Nieszczególnie wyglądasz.

- Dziękuję, ty też.
 - Czy dobrze słyszałem, że tam, na dole groziłeś przedstawicielowi władzy?
 - Tam na niego trafiłem.
 - To było bardzo sprytnie... wyciągnąć z niego bajeczkę na temat Florydy, kiedy wiesz, że ich tam nie ma. Jesteś bardzo dobry w terenie. Zawsze uważałem, że marnujesz się za biurkiem.
 - Tak też ci mówiłem. — Keith nie miał pojęcia, skąd Charlie Adair wie, że Baxter i Annie nie pojechali na Florydę. Nie wiedział zresztą również, skąd Charlie wziął się w domu Porterów.
 - Adair rozejrzał się po pokoju.
 - Mając takich przyjaciół, nie trzeba hodować świń.
 - To bardzo porządni ludzie.
 - Lewicowe radykały.
 - Nie sprawdzaj moich przyjaciół. Nie podoba mi się to.
 - Takich przyjaciół muszę sprawdzać.
 - Nie, nie musisz.
 - Rzeczywiście, to bardzo mili ludzie.
 - Jak na nich wpadłeś? Czy powinienem pytać?
 - Nie, nie powinienes. Powinienes był sam mi powiedzieć. Keith zastanawiał się przez moment.
 - Rozmowy telefoniczne.
 - Bingo. Kiedy tu mieszkałeś, nie korzystałeś zbyt często z telefonu, więc to było łatwe. Wstrzymaj się z wyrazami podziwu.
 - Nie podziwiam cię. Gdzie sąPorterowie?
 - Pojechali na zakupy. Wiesz co, nigdy jeszcze nie widziałem faceta w garniturze od Armaniego, który wynurza się z opalizującego vana. Co to był za młodzian?
 - Chuck. Z lotniska w Toledo.
 - Aha. Dobrze. Wróci tu? -Nie.
 - Więc jesteś bez transportu.
 - Mam radiowóz. Co z twoim transportem?
 - Wystarczyło, że stuknąłem obcasami, i jestem.
 - Charlie... już i tak boli mnie głowa. Co mogę dla ciebie zrobić?
 - To nieodpowiednie pytanie, Keith. Nie pytaj, co ty możesz zrobić dla kraju, ale co kraj może zrobić dla ciebie.
 - To nie tak szło.
 - Niestety, Keith, tak właśnie to idzie w Waszyngtonie, największym cycu świata. Twój kraj przybył tu, żeby ci pomóc.
 - Bez żadnych zobowiązań.
 - Tego nie powiedziałem.
 - Naprawdę nie mam na to czasu.
 - Odrobina czasu teraz zaoszczędzi ci sporo czasu później. Posłuchaj, moglibyśmy wyjść z tego chlewu? Wydaje mi się, że na dole było nieco czyściej.
- Keith wziął z łóżka karabin — dźwigał już pas i kaburę Warda — i ruszyli do holu, gdzie leżały pokrowiec na M-16 i pudełko z amunicją. Charlie podniósł je. To takie podobne do Adaira, pomyślał Keith, pojawić się znikąd i wywijać karabinem, który równie dobrze mógłby tkwić w futerale — Charlie to showman, szafuje efektami tragicznymi i komicznymi, choć wie, że przedstawienie musi się skończyć tragicznie.
- Zeszli na dół, Charlie zbliżył się z wyciągniętą dłonią do leżącego na podłodze policjanta.
- Cześć, jestem Barry Brown z Amwaya.
- Keith o mało nie wybuchnął śmiechem, kiedy Ward naprawdę wyciągnął lewą rękę i uściśnął dłoń Charliego.
- Mam taki preparat, po którym mundur będzie znowu wyglądał jak nowy. Zaraz wracam. Zostań tutaj.
- Przeszli z Keithem do kuchni. Charlie umył dwie szklanki, które wyjął ze zlewu.
- W lodówce jest świeży sok pomidorowy — powiedział.
- Keith rozlał sok do szklanek.
- Charlie dotknął szklanki Keitha brzegiem swojej.
- Dobrze widzieć cię znów żywego.
 - Cieszę się, że jestem żywy, ale nie cieszę się, że cię widzę.
 - Ależ oczywiście, że się cieszysz. Wypili. Charlie oblizał wargi.
 - Nie najgorszy. Przydałoby się trochę wódki, ale może lepiej, żebyś nie pił. Naprawdę kiepsko wyglądasz. Zgaduję, że szef Baxter miał cię w swoich łapach.
- Keith nie odpowiedział.
- Wyjdźmy i porozmawiajmy.

Wyszli na dwór. Charlie usiadł na leżaku i z uznaniem rozejrzał się po ogrodzie.

•Pięknie tu. Keith stał.

•Charlie — powiedział — spieszę się.

— Dobrze. Nie będę zbyt tajemniczy. Oto co wiem. Wróciłeś tu z Waszyngtonu w sobotę, spóźniwszy się, na spotkanie z panią Baxter, ale przed niedzielą wieczór zniknęliście razem, tyle sobie poskładałem. Przed dziewiątą wieczór w niedzielę cały pieprzony stan Ohio poszukiwał ciebie jako oskarżonego o porwanie, ale z jakichś dziwnych powodów FBI nie zostało o tym powiadomione. Następnie do wiedzieliśmy się od policji stanowej, że znaleźli cię nagiego i pobitego w jakimś pieprzonym motelu w pobliżu lotniska w Toledo, lecz bez pani Baxter. Trafiliś do szpitala w hrabstwie Lucas i tak dalej, i tak dalej. Pan i pani Baxter są znowu razem i pojechali na drugi miesiąc miodowy na Florydę. Poleciałem w poniedziałek rano do Toledo, żeby się z tobą spotkać, ale wciąż jeszcze byłeś nieprzytomny. Kazałem facetowi z tutejszego biura FBI mieć cię na oku, na wypadek gdyby pan Baxter wrócił, żeby pozbawić cię jaj, które — jak mnie poinformowano — są nietknięte, a potem przyjechałem do Spencerville i wybrałem się na najnormalniejsze pod słońcem zakupy. Wieczorem piłem już zsiadłe mleko z Porterami, bardzo sobie przypadliśmy do gustu mimo różnic w poglądach politycznych. — Spojrzał na Keitha i powiedział: — Pojechałem też oczywiście do ciebie. Przykro mi.

•W porządku.

•Nie sądzę. Więc teraz chcesz go znaleźć, zabić, a ją odebrać. Keith nie odpowiedział.

•Zatrzymałem się w takim miejscowym rodzinnym pensjonacie

— mówił dalej Charlie — i dzisiaj rano zadzwonił do mnie ten człowiek z FBI, bardzo zdenerwowany, bo wystawił go do wiatru. Jestem pod wrażeniem. Ostatnim razem, kiedy cię widziałem w poniedziałek rano, nie wyglądałeś na takiego, co mógłby się wplątać w kłopoty. Więc wziąłem szeryfa federalnego i pojechaliśmy do jej siostry... a potem założyłem podsłuchy na każdy telefon, jaki tylko mi przyszedł do głowy. To dzięki grzeczności sędziego federalnego z Toledo. I wreszcie przyjechałem tutaj, licząc, że się pojawisz. W tym czasie załatwiłem też federalny *habeas corpus*, na wypadek gdyby miejscowym udało się jednak jakoś ciebie zatrzymać. Wystarczy tylko, żebym wypełnił puste miejsca. Czy to nie wspaniałe? Mogę zrobić, co tylko zechcę. Ale tym razem jestem po stronie aniołów, więc wszelkie wykroczenia zostaną mi wybaczone. — I dodał: — My dbamy o swoich ludzi, Keith. Zawsze dbaliśmy.

•Wiem.

•Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

•Wierzę ci, Charlie. Ale nie sądzę, żebym potrzebował twojej pomocy.

•Z pewnością tak. Potrzebujesz samochodu, ubrania i trochę sprzętu, który przyda się podczas polowania.

•I niby na co mi to?

•Żeby pojechać do Michigan. Tak jak powiedziałeś Terry przez telefon.

•Odwaliłeś kawał roboty. — Keith potrząsnął głową. — Posłuchaj, nie zamierzam sprzedawać duszy za parę kaloszy. Poradzę sobie sam.

•Pozwól, że uświadomię ci twoją sytuację. Przyłożyłeś policjantowi, który leży w holu, nie masz samochodu ani domu, przyjaciół i pieniędzy też niewiele, każdy glina w tym hrabstwie cię ściga, jesteś ubrany w jedwabny garnitur i przyciasne buty, chodzisz, chwiejąc się na nogach, a twoją jedyną porządną bronią, nie licząc tej pukawki policyjnej, jest M-16, który tak naprawdę wcale nie należy do ciebie, tylko do Wujka Sama i w zasadzie mogę go zabrać.

•Nie radziłbym ci.

Charlie wyciągnął paczkę papierosów.

— Porterowie powiedzieli, że mogę tutaj palić. Oni palą trawkę. — Zaciągnął się. — Czy to nie cudowne być częścią wielkiej, silnej, wszechmocnej organizacji?

•Ty mi powiedz. Czy tego właśnie potrzebujesz, żeby się dobrze czuć?

•Prawdę mówiąc, tak. I ty też.

- Mylisz się. Myślałem, że jesteś po mojej stronie. Pamiętaj: „Smoki na mej tarczy, szczury w piwnicy”.
- To było w piątek. Dzisiaj jest wtorek i jesteś bezbronny.
- I tym razem się mylisz. Jestem znowu rycerzem i to moja krucjata, zamierzam wyratować damę z łap potwora. To szlachetna walka, a rycerze zawsze walczą samotnie. Pieprzyć króla i wszystkich jego ludzi. W tym również ciebie.

Charlie zastanawiał się przez chwilę.

— W porządku — rzekł wreszcie. — Łapię. Ale mimo wszystko nie mam zamiaru pozwolić, by sir Keith wyruszył bez potrzebnych mu rzeczy. Dostarczę ci wszystkiego, czego potrzebujesz, a ty pojedziesz do Michigan i załatwisz faceta, a potem pojedziesz... powiedzmy do Detroit. Do Marriotta. Zarezerwuję ci pokój. Jeśli się nie zjawisz do jutra o tej porze, założę, że sprawy poszły nie po twojej myśli. Natomiast jeśli przyjdziecie we dwoje z panią Baxter, uczymy to. Bez żadnych zobowiązań.

Keith nie odpowiedział.

- Powiedziałem ludziom w Waszyngtonie, że masz osobiste sprawy, którymi musiałeś się zająć. Oczekują od ciebie tylko jednego: żebyś do piątku odpowiedział im „tak” albo „nie”. Jeżeli przeżyjesz do jutra, będziesz miał dość czasu na przemyślenie sprawy. Jeśli zginiesz, powiem im, że jesteś czasowo niedysponowany. Tak czy owak, kiedy stąd wyjdiesz, będziesz zdany tylko na siebie. Jak za dawnych czasów, kiedy dawałem ci buzi na jakimś pieprzonym przejściu granicznym czy lotnisku. Ale zanim odejdę, muszę wiedzieć, że zapewniłem ci przewagę w tym starciu. Jak dawnymi czasy, Keith. Pozwól, żebym to zrobił dla ciebie.
- Dlaczego?
 - Bo cię lubię. A nie lubię szefa policji Baxtera. Nie podoba mi się to, co on robi. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Szczęśliwy człowiek podejmuje szczęśliwe decyzje.
- Keith znowu nie odpowiedział.
- A na koniec pomyśl o Porterach. Mają policjanta w holu. Zajmę się tym dla ciebie i dla nich.
- Ja się tym zajmę — powiedział Keith. — Gdzie są Porterowie, Charlie?
- Na zakupach.
- Gdzie na zakupach?
 - W Antioch. Odesłałem ich. Posłuchaj, opowiedzieli mi o życiu erotycznym w Antioch. Śmiałem się jak głupi. Ale to nie jest zabawne.
- I dodał: — Właściwie ja ich lubię. Obiecali, że następnym razem będą głosować na republikanów. Napijesz się jeszcze soku? Boja tak.
- Nie, muszę iść.
 - W porządku. — Charlie odstawił szklankę i wyciągnął z kieszeni kopertę. — Mam dla ciebie tysiąc dolarów.
- Nie chcę pieniędzy Wujka Sama.
- To są moje pieniądze.
- Nie, nie są.
- No dobrze, to jest zaliczka na poczet twojej przyszłej pensji.
- Zatrzymaj je.
 - Charlie wzruszył ramionami i włożył kopertę z powrotem do kieszeni.
- Niezależność i rycerskość umarły, Keith.
- Wybacz pompatozność, ale nie umarły, póki ja jeszcze żyję.
 - W takim razie jutro już nie będą żyły. W porządku, próbowałem. Powodzenia, przyjacielu.
- Uścisnęli sobie dłonie i Charlie Adair odszedł, przeciął podwórko, potem zagłębił się w ogród i wreszcie zniknął pośród kukurydzy, jak jakaś eteryczna zjawka. Ten zresztą efekt chciał osiągnąć, o czym Keith dobrze wiedział. Keith lubił ludzi mających styl, Charlie czasami jednak przesadzał.
- Keith spoglądał na ścianę kukurydzy, która w pewnej chwili zakołysała się, a potem wyprostowała, kiedy Charlie Adair wyjechał z pola szarym fordem taurusem.
- Przejechał przez rabatki i zatrzymał się na trawniku koło Keitha.
- Jestem w motelu Mapie.
- Dobry wybór.
- Nie miałem wyboru. Posłuchaj, ona musi być niesamowita. -Jest.
- Równie dobra jak ta jak-jej-tam-było z Georgetown?
- Nie pamiętam tej jak-jej-tam-było z Georgetown.
 - No, jeśli jest taka dobra, powinieneś jej dać większą szansę, niż możesz w tej chwili.
 - Muszę to zrobić bez twojej pomocy i bez pomocy Wujka Sama. Keith nauczy się sam rozwiązywać swoje problemy. — Jak sobie życzysz. To ty stworzyłeś ten pieprzony problem.
- Keith milczał.

- Mówię poważnie. Facet, który nielegalnie przekraczał w jedną i drugą stronę granicę Niemiec Wschodnich, nie może się wyrwać z Ohio? Jezu Chryste.
- Nie kuś mnie. Nie jestem w nastroju.
 - Nie musisz niczego udowadniać. Spieprzyłeś, potrzebujesz pomocy. Nic takiego. Problem w tym, że masz nazbyt wybujałe ego. Nigdy nie umiałeś grać w zespole, Keith. Dziwi mnie, że nie zginąłeś już dawno temu. No cóż, ścigałeś śmierć po całym świecie zbyt wiele lat. Nie daj się przyłapać tutaj.
- Dzięki, że się o mnie martwisz.
 - Pieprz się, Keith. — Charlie nacisnął gaz i wyjechał przez podwórko na drogę. Keith nie miał wątpliwości, że jeszcze go zobaczy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

K

Keith jechał na zachód niebiesko-białym radiowozem. Droga, szeroka akurat na tyle, by minęły się dwa auta, prowadziła prosto jak strzeżenie. Łany kukurydzy po obu stronach powodowały, że człowiek miał wrażenie, jakby jechał głębokim rowem.

Keith miał na sobie kapelusz i koszulę Warda, ale dotychczas nie minął go żaden policyjny samochód ani w ogóle jakikolwiek, w którym mogliby siedzieć poszukujący go ludzie. Hrabstwo Spencer było duże, mniej więcej sześćset mil kwadratowych, a odległość między domem Porterów a farmą Cowleya wynosiła tylko dziesięć mil. Jeśli szczęście dopisze, uda mu się do niej dotrzeć, choć nie wiedział, co go tam czeka.

Zachęcił Warda, by skontaktował się przez radio z posterunkiem i złożył raport. Sierżant Blake ochrzanił Warda, że na tak długo opuścił wóz. Ward, z własnym rewolwerem przytkniętym do skroni, rękami spiętymi na plecach i kroczem nieco obolałym, wysłuchujący wydzierającego się nań sierżanta, robił doprawdy żalosne wrażenie. Keith podejrzewał, że teraz czuje się jeszcze gorzej, objijając się w bagażniku. Ale wina leżała całkowicie po stronie Warda, a w dodatku był to najmniejszy z jego problemów, jak również najmniejszy z problemów Keitha.

Polna droga wychodziła na prostopadłą do niej szosę numer 8, w którą Keith skręcił.

Zbliżał się do farmy Cowleyów, gdy zobaczył pięciu mężczyzn z karabinami i psami, którzy wynurzyli się z lasu na koniach i wjechali na drogę przed nim. Zwolnił, by przepuścić oddział, mężczyźni pomachali do niego, a on odpowiedział podobnym pozdrowieniem. Jeden z jeźdźców skierował się w stronę samochodu. Keith nie wiedział, czy mężczyzna zna wszystkich okolicznych policjantów, ale zdawał sobie sprawę, że niebieskie spodnie od Armaniego nie przejdą w tej sytuacji, nie wspominając już o Wardzie, który od czasu do czasu kopał i krzyczał w bagażniku.

Jeździec był już blisko. Keith jeszcze raz mu pomachał i nagle przyspieszył, jakby nie rozumiejąc, że tamten chce z nim porozmawiać. W lusterku widział, że mężczyzna patrzy za nim.

Minął farmę Cowleyów, koło domu zauważył zaparkowaną niebieską półciężarówkę Billy'ego Marlona. Przejechał jeszcze z milę, dopiero potem zawrócił.

Oddział jeźdźców musiał być już dobry kawał drogi stąd, Keith więc wjechał na prowadzący do domu podjazd, potem skręcił, omijając półciężarówkę i skierował się prosto do starej obory. Uderzył w podwójne wrota, tak że otworzyły się do środka. Ostro zahamował, ale i tak wpadł na blaszane bańki na mleko, które potoczyły się na wszystkie strony.

Ward krzyknął coś z bagażnika.

Keith wyłączył silnik, zdjął koszulę i kapelusz, a zapiął pas Warda. Wziął M-16, zatknął za pas rewolwer i zastukał w bagażnik.

- Nicei nie jest?
- Nic. Wypuść mnie.
 - Później. — Wyszedł z obory i zobaczył idącego w jego stronę Billy'ego Marlona. Marlon spojrzał na wóz policyjny, potem na Keitha.
- Jezus! — krzyknął zduszonym głosem.
- Mylisz się. Jesteś sam?
- Taa.

- Chodźmy do domu. — Wręczył Billy'emu karabin. Gospodarz był najwyraźniej zaskoczony i zmieszany, ale ruszył za Keithem.
- Posłuchaj, oni cię szukają — powiedział.
- Kto był tutaj?
- Ten skurwiel Krug. Pytał mnie, czy cię widziałem, ale powiedziałem, że nawet nie wiem, kim jesteś.
- Kupił to?
- Tak jakby. Przypomniał, że mi pomogłeś, gdy miałem zatarg z prawem... Posłuchaj, dziękuję za forszę. Znalazłem ją. Myślałem, że wyjechałeś.
- Wróciłem. Jesteś trzeźwy?
- Jasne. Spłukałem się. Jestem trzeźwy. — Billy przyjrzał się Keithowi. — Co, u diabła, ci się stało?
- Upiłem się i spadłem ze schodów
- Nie wciskasz mi kitu? Posłuchaj, jest jeszcze coś. Był tu wczoraj taki jeden, nie pamiętam, jak się nazywał, powiedział, że jest twoim kumplem i dowiedział się od Porterów, że może znajdzie cię u mnie...
- Charlie?
- Tak... Elegancik, jasne włosy, mądrała...
- Charlie.
- Szukał cię. Pokazałem mu tę kartkę od ciebie i powiedziałem, że wyjechałeś, ale twierdził, że możesz się tu jeszcze pokazać. Co tu się, u diabła, dzieje? I na co ta broń?
- Nie mam za dużo czasu, Billy. Potrzebuję twojej pomocy.
- Wszystko, czego chcesz, jeśli tylko to mam.
- Dobrze. Potrzebuję twojej ciężarówki i butów. Nie masz czasem munduru polowego?
- Pewnie, że mam.
- A lornetkę i kompas znajdziesz?
- Zaraz przyniosę. Wybierasz się na polowanie?
- Tak.
- Weszli do schludnego domu. W niewielkiej sypialni na piętrze Billy wyjął z szafy swój sprzęt myśliwski. Keith zdjął spodnie i buty.
- Spal je — powiedział.
- Spalić?
- Spal wszystko, co tutaj zostawię.
- Keith wciągnął na siebie spodnie w panterkę, nieco przyciasne i niezbyt czyste, ale stosowne dla człowieka, który nie kąpał się od niedzieli rano. Buty były w sam raz, koszula też. Billy dał mu jeszcze jasno-pomarańczową kamizelkę dla myśliwych, ale Keith nie zamierzał jej używać.
- Billy przyglądał mu się.
- Pojadę z tobą.
- Dzięki, ale chcę polować sam.
- Na co?
- Na lisa.
- Keith zasnurował buty i podniósł się. Pomyślał o trzech psach Bax-tera. Przy domu na Williams Street była psiarnia i nic nie wskazywało na to, żeby wpuszczano je do domu. Podejrzewał, że jeśli psy trzymane były na dworze w mieście, w lesie tym bardziej nie są zamykane przez właściciela.
- Czy masz jakiś łuk albo kuszę na polowania? — zapytał.
- Nie. Ja używam karabinu. A ty? -Też.
- Wprawdzie przeszkolono go w używaniu różnej egzotycznej broni, lecz nigdy nie zaznajomił się dobrze z łukami, dmuchawkami, procą, włócznią czy bumerangiem. Jedyłą bronią niewydającą dźwięku, którą władał sprawnie, były nóż i garota, a te nie przydawały się w ataku na psa, a do M-16 nie miał tłumika. Uznał, że będzie się tym martwił później.
- Na lisy trudno polować z łukiem. Choć widziałem, jak używano do tego kuszy.
- W porządku. Dzięki. Oddam ci samochód jutro albo pojutrze.
- Hola, Keith! Posłuchaj. Może i mam rozmiękczenie mózgu, ale teraz jestem trzeźwy.
- Keith popatrzył na Billy'ego.
- Im mniej wiesz, tym dla ciebie lepiej. — Ruszył do drzwi.
- Pamiętam — Billy złapał go za rękę — co nieco z tej nocy w barze i jak mnie odwiozłeś do domu.
- Muszę już jechać, Billy.
- On naprawdę pieprzył moją żonę... moją drugą żonę. Kochałem ją... i ona też mnie kochała, i wszystko było dobrze do chwili, kiedy ten skurwiel wszedł między nas. Po tym, co się stało, próbowaliśmy znowu być razem, wiesz. Ale nie mogłem się z tym uporać i zacząłem pić, a wtedy byłem dla niej naprawdę okropny. Odeszła, choć... Mówiła, że nadal mnie kocha, ale ponieważ popełniła błąd, rozumie, że nie mogę jej wybaczyć. — Billy nagle odwinął się i kopnął w drzwi szafy, aż poleciały drzazgi. — Niech to cholera!

Keith wziął głęboki wdech i powiedział:
— W porządku. — To niesamowite, pomyślał, jak wielkie zniszczenia spowodował Cliff Baxter. — Jak jej było na imię?

Wciąż odwrócony do Keitha plecami Billy odpowiedział:

- Beth.
 - Gdzie ona teraz jest?
 - Nie wiem... — Billy wzruszył ramionami. — Przypuszczam, że w Columbus. — Obrócił się do Keitha. — Wiem, gdzie jedziesz, i nie puszcę cię samego. Muszę pojechać.
 - Nie potrzebuję pomocy.
 - Nie chcę pomagać tobie, tylko sobie. Proszę.
 - Tam będzie niebezpiecznie.
 - Ja już i tak jestem martwy. Nawet nie zauważę różnicy.
- Keith spojrzął na Billy'ego Marlona i skinął głową.

Wszedł do obory. Siekierą, którą dostał od Marlona, wyrąbał kilka otworów wentylacyjnych w bagażniku.

- Ciesz się, że to fairlane, nie escort — powiedział do Warda.
- Pieprz się, Landry.
 - Wyprowadził samochód policyjny z obory i skręcił w drogę, którą tu przyjechał. Nie chciał zostawiać żadnych dowodów świadczących o związkach między sobą a Billym Marlonym i jego samochodem.
 - Zjechał na pobocze, przejechał przez rów i skręcił w drogę dla traktorów. Zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt jardów w głębi kukurydzy i zgasił silnik.
 - Wysiadł z samochodu i zapukał w bagażnik.
 - Zatelefonuję z Daytona Beach i powiem im, gdziejesteś. To mi chwilę zajmie, więc się lepiej odpręż. Pomyśl o wcześniejszej emeryturze.
- Hej! Zaczekaj! Gdzie ja jestem?
- W bagażniku.

Keith ruszył biegiem w stronę drogi, gdzie już czekał na niego Billy Marlon w półciężarówce.

Billy prowadził dziesięcioletniego forda ramera, a Keith siedział obok w brudnym słomianym kapeluszu nasuniętym na twarz.

Między siedzeniami leżał ich sprzęt: ponczo na michigańskie chłody, M-16 z celownikiem teleskopowym, strzelba powtarzalna będąca własnością policji ze Spencerville, rewolwer Warda i karabin Billy'ego Marlona oraz wojskowy M-14, też z celownikiem teleskopowym. Koło Keitha leżała też jego teczka z paszportem, papierami, pieniędzmi i innymi drobiazgami. Przyszło mu do głowy, że te rzeczy są właściwie wszystkim, co posiada na tym świecie, ma więc niewiele większy dobytek niż wtedy, gdy wyjeżdżał ze Spencerville zaciągnąć się do armii, całe życie temu.

- Baxter ma ze sobą trzy psy obrończe — poinformował Billy'ego.
- Cholera.
- Zastanów się nad tym.
- Zastanowię się. Gdzie jedziemy?
- Michigan, od północy.

•Naprawdę? Tam zazwyczaj polują. W skrytce znajdziesz kilka zupełnie niezłych map.

Keith wyciągnął mapy i znalazł Jezioro Szare w północnej części półwyspu. Była pierwsza po południu, do Atlanty powinni dotrzeć około siódmej, a — jeśli szczęście dopisze — jakąś godzinę później do chaty Baxtera.

Po drodze Keith widział dwa radiowozy, jeszcze jeden oddział jeźdźców i samochód szeryfa hrabstwa Spencer. Za każdym razem chował się, ale najwyraźniej nikt nie zwracał uwagi na obdrapaną ciężarówkę. Billy nasunął na oczy stary kapelusz kowbojski, a Keith poinstruował go, żeby nie nawiązywał kontaktu wzrokowego z policjantami, bo pewnie wszyscy wiedzą, że często upija się nocami.

- Znają twój wóz?
 - Nie. Kiedy wybieram się na popijawę do miasta, zawsze chodzę pieszo.
 - Dobrze... Gdyby nas zatrzymali, rób, co ci każą. Nie możemy zaczynać od ucieczki przed policją.
 - Pieprzyć ich — odparł Billy. — Nie mam zamiaru już nigdy płaszczyć się przed tymi dupkami.
 - Będą strzelać. Znam takich jak oni.
 - Pieprzyć ich. Oni jeżdżą fairlane'ami. Jeśli wjadę swoim w kukurydzę, nie dadzą nam rady.
 - W porządku. Rób, jak uważasz. — Keith przez chwilę przyglądał się Billy'emu. Nie docenił go. Wtedy, gdy się spotkali po raz pierwszy, Billy był pijany, teraz szedł na akcję. Po zakończeniu szkoły i po Wietnamie Keith Landry i Billy Marlon poszli różnymi drogami, teraz te drogi się połączyły.
 - Dowiozę nas na północną stronę Michigan, poruczniku... zaraz, zaraz... czy kartka nie była czasem podpisana „pułkownik”? Jesteś teraz pułkownikiem?
- Niekiedy.

Marlon się roześmiał.

- Tak? Ja jestem sierżantem. Zanim odszedłem z wojska, zdobyłem trzy belki. To chyba coś?
- Musiałeś być bardzo dobrym żołnierzem.
- Byłem...
 - Na granicy hrabstwa mogli ustawić blokadę - odezwał się Keith po jakimś czasie.
 - Tak, wiem. Ale mamy do wyboru pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt polnych dróg, nie mogą na każdej postawić blokady.
- Racja. Wybierz więc którąś z nich.
 - Znam taką jedną, człowiek albo się zakopuje w piachu, albo w błocie, bo tam jest bardzo zły drenaż. A chłopcy Baxtera muszą uważać, żeby wozy Baxter Motors wyglądały dobrze. — Roześmiał się. — Dupki. Skręcił na zachód, a zaraz potem w prawo, na północ, w poślubioną koleinami żwirówkę o dumnej nazwie „Droga miejska numer 18”.

Jakieś dziesięć minut później skończyły się pola kukurydzy, a zaczął podmokły teren porośnięty trawą, pozostałość po dawnych bagnach - Great Black Swamp. Droga też była grząska, samochód rozchlapując czarne błoto.

Po kolejnych pięciu minutach Billy powiedział:

— Wyjechaliśmy z hrabstwa Spencer.

Keith nie widział żadnego znaku, ale przyjął, że Billy zna okolicę. Wyciągnął ze schowka mapę Ohio.

•Zawróćmy do Maumee, a potem do Michigan, może pojedziemy drogą numer sto dwadzieścia siedem.

- Tak, to rozsądna trasa.

Przemierzali krainę pyszniącą się bogactwem kolorów jesieni, po bokach migwały niekończące się pola kukurydzy i zboża, pastwiska, łąki, miasteczka. Teraz, kiedy Keith opuszczał te strony ze świadomością, że widzi je po raz ostatni, starał się nie uronić nic z tego widoku, przyglądał się znakom przy drodze, znajomym nazwiskom na skrzynkach, łanom zbóż, zwierzętom, ludziom, pojazdom, domom i całej tej ziemi, która była czymś znacznie wspanialszym jako suma składników, niż gdy się oceniało każdy element oddzielnie... *A kresem wszystkich naszych poczynań będzie dojście do punktu wyjścia i poznanie tego miejsca po raz pierwszy.*

Pół godziny jechali w milczeniu. Poza uwagami dotyczącymi wyboru dróg czy komentarzy na temat policji nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Keith, patrząc na mapę, stwierdził, że prawie wszystkie mosty na Maumee są ulokowane w miastach, a te miasta wolał omijać. Wpadł

mu jednak w oko most koło niewielkiego miasteczka The Bend i zapytał Billy'ego o to miejsce.

— Tak — przytaknął Marlon — most ciągle jeszcze tam stoi. Ma jakieś ograniczenie nośności, ale jeśli przycisnę gaz, przejedziemy, zanim się rozpadnie.

Keith nie był pewien, czy Billy zna się na fizyce stosowanej, ale uznał, że to się zaraz okaże.

Był to wąski mostek na drewnianych słupkach. Zanim Keith zdołał przeczytać jaką mostek ma nośność, Billy już jechał po drewnianych belkach. Dziesięć sekund później znaleźli się po drugiej stronie Maumee.

•Wydawało mi się, że jest zamknięty dla ruchu kołowego — zauważył Keith.

- Tak? Wyglądał całkiem w porządku.

Przejechali przez The Bend, co zabrało im nieco mniej czasu niż przejazd przez most, potem skręcili w drogę międzystanową numer 127. Była druga po południu, od granicy stanu Michigan dzieliło ich trzydzieści pięć mil, a stamtąd musiało być dwieście pięćdziesiąt, a może i więcej do Jeziora Szarego.

Szosa 127 wiodła przez Bryan w Ohio, ale Bryan ominęli bocznymi drogami i wrócili na drogę kilka mil dalej. To było ostatnie większe skupisko ludzkie w ich rodzinnym stanie, a prawdę mówiąc i w południowym Michigan, poza Lansing, za którym nie było miast aż do półwyspu. Wkrótce napis przy drodze obwieścił, że serdecznie wita ich Michigan — Kraina Jezior. Keitha interesowało tylko jedno z nich.

Północne Ohio nie różniło się od południowego Michigan, były jednak subtelne różnice w sposobie malowania znaków, w nawierzchni drogi, różnych drobiazgach, na które nikt by nie zwrócił uwagi, gdyby nie świadomość, że się jest w innym stanie. Dla Keitha liczyło się tylko jedno: przedstawiciele władz stanu Ohio nie powinni sięgnąć za tę granicę. I chociaż jej przekroczenie nie wstrzymało ani na chwilę bicia jego serca, jak to się działo przy przekraczaniu granicy w Berlinie w dawnych czasach, poczuł coś na kształt ulgi.

- Właściwie dokąd jedziemy? — zapytał Billy.

- Nie wiem.

- W takim razie jak się tam dostaniemy?

•Damy sobie radę. Pamiętaj, jak to się kiedyś mówiło w wojsku? Nie wiem, gdzie jestem...

•Tak. Nie wiem, gdzie jesteśmy ani co robimy, ale bawimy się znakomicie. — Roześmiał się.

Na razie to go usatysfakcjonowało, ale po paru minutach zapytał znowu:

— Czy Baxter jest tam sam?

Keith odpowiedział po głębokim namyśle:

— Nie sądzę, by był tam z nim jakiś mężczyzna.

Billy przetrwał te informacje dobrą chwilę, po czym zapytał:

- Gdzie jest pani Baxter?
- Dlaczego chcesz wiedzieć?
 - No... chodzi mi... słyszałem przez radio, że została porwana. — Billy zerknął na Keitha i dodał: — W radiu mówili, że to tyją porwałeś.
- A co ty myślisz?
 - To jasne jak słońce, że uciekliście razem. Całe miasto o tym mówiło.
 - Keith milczał.
- Ale nie bardzo wiedzieliśmy, co się stało później.
- A jak myślisz?
 - No... pewnie was złapał. To by wyjaśniało, czemu masz takąpokan-cerowaną twarz. Ale nie rozumiem, dlaczego żaden z was nie zginął.
- Próbowaliśmy — odparł Keith.
 - Nie wątpię. — Billy roześmiał się. — Teraz pewnie czas na drugą rundę.
- Drugą, może trzecią, czwartą lub piątą. Kto by to liczył?
- Ale podejrzewam, że ta będzie ostatnia.
- Bez wątpienia.
- Masz zamiar go zabić?
 - Keith zastanawiał się przez chwilę.
- Wolałbym nie — odpowiedział.
- Dlaczego?
 - To byłoby dla niego zbyt dobre. — A gdy Billy skinął głową, spytał: — Czy będziesz słuchał moich rozkazów?
Billy znów skinął głową.
- Nie słyszę cię, żołnierzu.
- Tak jest, sir.
 - Przez chwilę jechali w milczeniu.
- Ona jest razem z nim, prawda? — zapytał wreszcie Billy. -Tak.
- Więc musimy dostać jego, a jej nie wyrządzić żadnej krzywdy.
- Zgadza się.
- To nie będzie łatwe.
- Nie będzie.
- Trzy psy?
- Chyba tak.
- Jaki sprzęt zabrał ze sobą?
 - Wymień cokolwiek, co ci przyjdzie do głowy, a on to niewątpliwie ma. Jest myśliwym i policjantem.
- To prawda. Noktowizor?
- Myślę, że tak. Dzięki uprzejmości policji ze Spencerville.
 - No... i pewnie przyczaił się w swojej chacie czy czymś w tym rodzaju. W miejscu, które zna na wylot.
 - Zgadza się. — Keith spojrzął na Marlona. Każdy lekarz powiedziałby, że jego umysł ucierpiał wskutek nadużywania przez Billego alkoholu, a każdy, kto go znał, wiedział, że ucierpiał jego duch, bo życie za bardzo dało mu w kość. Keith nie miał jednak wątpliwości, że dziś Billy Marlon da z siebie wszystko. — Opowiedz mi o Beth.
- Nie mogę.
- Jasne, że możesz.
 - Billy prowadził przez kilka minut w milczeniu, potem wyciągnął portfel i wyłowił z niego wyświechtane zdjęcie. Podał je Keithowi.
 - Kolorowa fotografia przedstawiała twarz trzydziestoparoletniej kobiety: krótkie jasne włosy, całkiem ładne usta, duże oczy, szeroki uśmiech. Keitha nie zdziwiło, że tak ładna kobieta wzbudziła zainteresowanie Baxtera. Procent ładnych kobiet był wprawdzie w hrabstwie Spencer taki sam jak gdzie indziej, co Keith zdążył zaobserwować, ale wiedział też, dlaczego ta właśnie stała się ofiarą Baxtera. Cywilizacja nie zmieniła faktu, że słaby mężczyzna tracił zawsze, choć czasem nie na zawsze, swoją kobietę, jeśli była wyjątkowo atrakcyjna, na rzecz kogoś takiego jak Cliff Baxter. Keith oddał fotografię Billy'emu.
- Bardzo piękna — powiedział. -Tak.
- Kiedy to się stało?
- Dwa lata temu.
- Wyszła powtórnie za mąż?
 - Nie sądzę. W książce telefonicznej Columbus figuruje nadal jako Beth Marlon.
- Może potem pojedziesz ją odszukać.

•Tak... może.

•Czy znasz tę drogę? — zapytał Keith po jakimś czasie, gdy Billy odzyskał lepszy humor.

•Owszem, jeździłem nią od czasu do czasu. W Hartwick Pines Park nieźle się poluje. Byłeś tam kiedyś?

•Nie, nigdy nie dotarłem tak daleko na północ. Pamiętasz, czy w pobliżu jest jakaś stacja benzynowa?

•Zaraz... — Billy wyrzwał przez okno. — Tak, mniej więcej za jakąś milę. A jak daleko my jedziemy?

•Prawie na czubek półwyspu. Jeszcze ze dwie godziny. — I dodał: — Nie musisz jechać ze mną do końca. Mogę wysadzić cię przy jakimś motelu i zabrać, jak będę wracał.

•Tak? A jeśli nie wrócisz?

•Wrócę.

—Nie robisz w portki, co? — Billy nagle uśmiechnął się szeroko.

—Posłuchaj, dopadniemy tego jebakę, zwiążemy go i przywieziemy do Spencerville na dachu, jak jelenia. Co ty na to?

—Nie kuś mnie.

Billy wydał z siebie okrzyk radości i klepnął się w udo.

—Tak! Będziemy jeździć tam i z powrotem po głównej ulicy z włączonym klaksonem, pokazując wszem wobec goły tyłek Baxtera, a jego wnętrzności rzucimy na pożarcie michigańskim wilkom.

Keith przemilczał ten krwiożerczy wybuch entuzjazmu. Nie dlatego, by uważał, że jest obrzydliwy, ale dlatego, że ten pomysł nawet mu się spodobał.

Zobaczył przed sobą stację. Wjechali na parking. Keith dał swemu towarzyszkowi pieniądze na kanapki, a sam usiadł za kierownicą.

Pracownik stacji napełnił bak, Keith mu zapłacił, kiedy Billy był w toalecie. Miał ochotę zostawić go tutaj. Doskonale rozumiał, co się stało z Billym, i podziwiał, że w potrzebie potrafi się zmobilizować do działania. Problem w tym, że obecność Billy'ego nadawała nowy wymiar tej wyprawie.

Ale w chwili słabości powiedział mu zbyt wiele i nie mógł go teraz tak zostawić.

Billy wrócił do samochodu i usiadł na siedzeniu dla pasażera. Spojrzał na Keitha i obaj zrozumieli. Billy był facetem przyzwyczajonym, że go oszukiwano, spychano na margines, zostawiano.

—Dziękuję — powiedział.

Keith wjechał na drogę numer 127.

Farmy tutaj trafiały się coraz rzadziej, wzgórza były coraz wyższe i gęściej zalesione. Dęby i klony straciły już większość liści, a brzozy i osiki stały prawie całkiem nagie. Rosło tu więcej drzew wiecznie zielonych, sosen i świerków, niektóre bardzo wysokie. Przy wjeździe do hrabstwa tablica informacyjna podawała, że teren ten zamieszkuje sześć tysięcy dwieście osób. Była to jedna dziesiąta populacji hrabstwa Spencer. Tę ziemię pionierzy tylko przeszli, zmierzając ku żyźniejszemu zachodowi.

Powoli zaczynało się zmierzchać, drzewa kładły na wzgórza długie cienie.

—Myślisz, że nic jej nie jest? — zapytał Billy. Keith nie odpowiedział.

—Chybaby jej nie skrzywdził?

—Nie. On ją kocha.

Billy przez dobrą minutę milczał, potem jednak skomentował:

•Trudno mi sobie wyobrazić, że kocha kogoś poza sobą.

•Tak, może „kocha” to nie jest odpowiednie słowo. Ale w jakiś sposób jej potrzebuje.

— Rozumiem, co masz na myśli. — Billy pokiwał głową. — Ona jest w porządku.

W Gaylord Keith skręcił na wschód w drogę 32, a dwadzieścia minut później, o siódmej piętnaście, dotarli do Atlanty, największego miasteczka w tym rejonie, liczącego sześciuset mieszkańców.

— Zatrzymamy się po benzynę — powiedział Keith. — Nie wspominaj o Jeziorze Szarym.

Podjechał do jedynej stacji w mieście. Zaraz po zatankowaniu mieli ruszać dalej, na spotkanie nieznanego przeznaczenia.

Pracownik stacji najwyraźniej lubił sobie pogadać; Billy powiedział mu, że jadą na wyspę Presque na kaczki.

Keith poszedł do budki telefonicznej i wystukał numer Baxterów w Spencerville. Tak jak mówiła Terry, telefony automatycznie przełączane były na posterunek policji.

•Policja Spencerville. Tu sierżant Blake. Słucham?

•Blake, mówi twój stary kumpel, Keith Landry. Samochód, który wam przepadł razem z kierowcą, znajdziecie na polu kukurydzy po północnej stronie drogi numer osiem, jakąś milę na zachód od miasta.

-Co...?

Keith odwiesił słuchawkę. Czuł się w obowiązku zadzwonić, żeby zdążyli wyciągnąć Warda z bagażnika, zanim zniwiarze znajdą go tam martwego. Wątpił, czy jego telefon z Michigan via dom Baxterów był do wyśledzenia. Normalnie nie zachowałby się tak miłosiernie, gdyby miało to oznaczać dla niego choćby cień ryzyka, ale nie chciał

śmierci Warda, a poza tym, kiedy policja go odnajdzie, Ward im powie, że Keith pojechał do Daytona Beach. Policja ze Spencerville zaalarmuje policję stanu Ohio, by ustawiła posterunki w pobliżu lotnisk i na drogach prowadzących na Florydę. Nie było żadnego powodu, żeby przyszło im na myśl Jezioro Szare czy Billy Marlon i jego ciężarówka. W każdym razie miał taką nadzieję.

Chciał także sprawdzić, czy ktoś odbierze telefon w domu Baxterów. Był przekonany, opierając się na wskazówce, której Annie udzieliła Terry, wymieniając Atlantę — tę Atlantę — że Baxter pojechał nad Jezioro Szare. Z drugiej jednak strony mógł to być fałszywy trop. Ale wydawało się to zbyt wyrafinowane jak na Cliffa Baxtera. Keith dobrze wiedział, że sam zbyt długo żył w dżungli luster, gdzie tysiące inteligentnych chłopców bawiło się w wymyślanie skomplikowanych pułapek. Tutaj miał do czynienia z czym innym. Baxter był w jedynym miejscu, w jakim mógł być — w swojej chacie nad Jeziorem Szarym. Był sam, jeśli nie liczyć Annie, i nie wiedział, że Keith Landry jedzie do niego. Uspokojony Keith zajął się bardziej aktualnymi problemami.

Zwrócił się do mężczyzny, który nalewał im benzynę:

•Gdzie mógłbym kupić dobrą kuszę?

•Neil Johnson sprzedaje sprzęt sportowy. Używany i nowy. Bierze tylko gotówkę. Teraz sklep jest już zamknięty, ale jeśli pan chce, mogę do niego zadzwonić.

•Byłbym wdzięczny.

Neil Johnson jadł chyba właśnie kolację i chciał wiedzieć, czy panowie nie mogliby trochę poczekać.

—Wolałbym jak najszybciej ruszać. Nie zabiorę mu dużo czasu — rzekł Keith.

Pracownik stacji przekazał to panu Johnsonowi, który zgodził się od razu zejść do sklepu. Keith, dowiedziawszy się, jak tam jechać, wsiadł do ciężarówki.

•Jedziemy kupić kuszę. — Ruszył na wschód, a Billy skinął głową.

•Czy jest jakiś sposób, żeby zabić Baxtera, nie zabijając psów? — zapytał.

•Zobaczmy.

Oczywiście, pomyślał Keith, istnieje szansa, że trafi Baxtera z daleka z M-16 z celownikiem teleskopowym. Tyle że nie chciał, by tak to wyglądało. Pragnął patrzeć swej ofierze w oczy.

Znalazł dom Johnsona, małą chatę oszalowaną deskami, na skraju Atlanty, czyli o jakieś kilkaset kroków od głównej ulicy. Wjechali na podjazd.

Psy zaszczekały, nad drzwiami frontowymi zapaliło się światło. Keith i Billy wysiedli z półciężarówki i ruszyli na spotkanie z wysokim chudzielcem, wciąż jeszcze przeżuującym posiłek. Keith przedstawił siebie i Billy'ego jako Boba i Jacka. Neil popatrzył przez chwilę na obdrapany samochód, potem na swych gości, najprawdopodobniej oceniając, czy warto było wstawać od kolacji.

•Jesteście z Ohio? — zapytał.

•Tak — odparł Keith. — Pomyślałem, że spróbuję swoich sił z kuszą.

•Kusza? To żaden sport. Potrzebuje pan raczej łuku.

•Nie, nie jestem łucznikiem. Chcę strzelać do lisów.

—Aha. W porządku, mam jedną kuszę, możecie ją obejrzeć. Zapraszam do środka.

Zaprowadził ich do blaszanego baraku, który służył za magazyn. Włączył jarzeniówki. Po prawej stronie na ścianie przymocowane były uchwyty na broń i półki na amunicję. Pan Johnson, ocenił Keith, mógłby wyposażać batalion piechoty. Po lewej stronie wystawiony był sprzęt łowiecki, stroje sportowe, namioty i różne drobiazgi przydatne myśliwemu. Ani śladu rakiet tenisowych czy obuwia do biegania.

Keith nie spieszył się szczególnie, wiedząc, że to, co ma zrobić nad Jeziorem Szarym, musi poczekać do wczesnych godzin rannych. A jed-

nak coś kazało mu nie tracić czasu. W miasteczku, gdzie żyje sześćset osób i każdy zakup traktowany jest jak interes stulecia, nie okazuje się jednak zniecierpliwienia.

Po wymianie kilku grzecznościowych uwag Neil Johnson wręczył Keithowi kuszę.

—Używana. Wykonana włókna szklanego w firmie Pro Line. Całkiem dobra.

Keith obejrzał broń. Składała się krótkiego łuku przyczepionego prostopadle do trzonka wykonanego z tego samego materiału. Zapadka zwalniała naciąg i wypuszczała bękart za zwierzęciem śmigającym do lasu.

•Wygląda na łatwą w użyciu.

•Tak. Jest zbyt łatwa. Żaden tam sport. Po kilku dniach osiągasz sprawność mistrza. Łucznik nabiera wprawy dopiero po latach.

Keith odniósł wrażenie, że pan Johnson lekceważy zarówno kuszę, jak i każdego, kto się nią posługuje.

Jakby na potwierdzenie tego domniemania Neil Johnson powiedział:

•Słyszałem, że były czasy, gdy zabraniano używania kusz. Uważano, że chrześcijaninowi taka broń nie przystoi.

•Naprawdę? Nawet wtedy, gdy się strzela do szczurów?

•Pewnie nie. W każdym razie ta jest niezwykle celna. Naciąg sześćdziesiąt funtów. Opiera się ją o pierś i naciąga

obiema rękami. Tutaj, pokażę panu. — Neil wziął kuszę, zaczepił cięciwę i naciągnął. Ułożył bełt w wyżłobieniu i wymierzył w zakurzoną głowę jelenia na ścianie trzydzieści kroków od miejsca, gdzie stali. Zwolnił zapadkę. Bełt wyfrunął z kuszy, trafił jelenia między oczy, przeszył głowę i uderzył w metalową ścianę.

•No i jak?

•Bardzo dobrze.

•Właśnie. Z łuku by mi się to nie udało. Strzała leci z prędkością dwustu stóp na sekundę, ale jeśli celuje pan do zwierzęcia, trzeba pamiętać, że to nie strzelba, i pilnować, gdzie się mierzy. — Wziął w rękę bełt. — One też są wykonane z włókna szklanego, z plastikową lotką, te tutaj mają szeroką główkę. W pudełku mieści się osiem. Ile pan chce?

Keith spojrzął na plastikowy kołczan, leżący na kontuarze.

•Pełen — powiedział.

•To oznacza dwadzieścia cztery strzały. Potrzebuje pan jeszcze czegoś?

•Czy można do tego przymocować celownik teleskopowy?

•Celownik? Nie chce pan dać cienia szansy tym szczerom, co?

•Właśnie.

•Zobaczmy, co ja tutaj mam. — Neil znalazł celownik o czterokrotnym powiększeniu przeznaczony do łuków i przymocował go do kuszy. Wręczył go Keithowi i powiedział: — Chce pan wyregulować ustawienie?

•Pewnie.

•Proszę ustawić go na cel. I cofnąć się do drzwi. To będzie jakieś dwadzieścia kroków.

Keith wziął kuszę, zarzucił na ramię kołczan i przeszedł do drzwi. Tymczasem Neil Johnson ustawił tarczę celowniczą przy beli słomy i odsunął się. Keith naciągnął cięciwę, ułożył bełt, wycelował i pociągnął za spust. Trafił trochę poniżej celu. Poprawił ustawienie teleskopu i strzelił ponownie. Za trzecim razem trafił w sam środek tarczy.

•W porządku. Jak dokładne jest to urządzenie z odległości, powiedzmy, czterdziestu jardów?

•Mniej więcej dwa razy dokładniejsze od łuku, co oznacza, że powinien pan trafić w dziewięciocalowy krąg.

•A z osiemdziesięciu jardów?

•Z osiemdziesięciu? Z takiej odległości nie zobaczy pan szczura... No cóż, może... z celownikiem, wtedy trzeba to liczyć jak z dwudziestu. Kusze obliczone są na strzał z czterdziestu jardów. Przy większej odległości trzeba uwzględnić, że bełt opada. Doleci i na siedmset jardów, ale nie trafi pan wtedy w nic, chyba że w krowę, i to przez przypadek.

•Tak... ale czy trafię, oczywiście używając celownika, powiedzmy, w dzikiego psa, który leży w odległości osiemdziesięciu jardów?

Neil potarł szczękę.

•No... siła będzie dostateczna, ale trzeba uwzględnić opadanie. O co tym razem chodzi?

•Psy napadają moje owce w Ohio. Kiedy strzelam do jednego, reszta ucieka. Wymyśliłem, że z kuszą sobie z nimi poradzę.

•Dlaczego ich pan po prostu nie otrujesz?

•To z pewnością nie po chrześcijańsku.

—Punkt dla pana. — Neil roześmiał się, sięgnął po ołówek i zapisał jakieś cyfry na drewnianym blacie. — Zobaczmy... kusza, dwadzieścia cztery bełty, wliczając ten, który ja wystrzeliłem... chce pan go z powrotem?

-Nie.

•Dobrze, kołczan, pokrowiec i celownik... powiedzmy sześćset dolarów, w tym podatek.

•Uczciwa cena. — Keith odliczył pieniądze. To było prawie wszystko, co miał. Przypomniał sobie tysiąc dolarów

Charliego Adaira, a te z kolei przywiodły mu na myśl przyjaciela. Zastanawiał się, kiedy go znowu zobaczy.

Gdy Billy pakował wszystko do pokrowca, Keith zapytał:

— Dużo ludzi z Ohio tędy przejeżdża?

Neil przeliczył pieniądze, a potem odpowiedział:

•W lecie mnóstwo, a potem znowu w sezonie myśliwskim. Później już nie. Gdzie się wybieracie?

•Wyspa Presque.

•Tak? Jeśli się nie zna drogi, można w nocy pobłądzić.

•Będziemy uważać. Widzę, że sprzedaje pan też psie żarcie.

•Tak. Tak naprawdę to zarabiam na takich drobiazgach, jak właśnie jedzenie dla psów czy przynęta na ryby. Strzelby czy karabiny ludzie mają zazwyczaj własne — rozgadał się Neil, ale przypomniał sobie, od czego zaczęli, i zapytał: — Potrzebuje pan psiego żarcia?

•Nie, tylko ma do mnie dojechać przyjaciel z dwoma czy trzema psami, a one mają wilczy apetyt. Pewnie zajędzie tu po karmę.

•Jak dużo biegają, trzeba je dobrze karmić. Prawdę mówiąc, jeden facet z Ohio był tu parę dni temu i kupił tyle żarcia dla psów, że powinno mu starczyć na parę miesięcy.

- To mógł być mój kumpel. Czyli że przyjechał przede mną.
- Możliwe.
 - Rozmowa toczyła się gładko, więc Keith — mimo że rozsądek go ostrzegał — kontynuował:
 - Zastanawiałem się, czy nie kupić tu gdzieś ziemi, ale chyba pogadam z kimś od nas, kto już to zrobił.
 - Pewnie. Weźmy tego faceta, który wyczyścił mi półki z psiego żarcia. Ma chatę nad Jeziorem Szarym. Może pan tam podjechać i poszukać jego tabliczki. Nazywa się Baxter. Czy to pański przyjaciel?
 - Nie.
 - Keith zauważył, że Billy spogląda na niego nerwowo.
 - Tak, może wracając, podjadę do niego — powiedział do Neila — ale nie chcę przeszkadzać, jeśli pojechał z kobietą.
 - Nie widziałem w samochodzie żadnej damy. Ale psów też nie widziałem, więc pewnie przyjechał już z chaty. Może pan do niego zadzwonić. Numer jest w książce telefonicznej. Powiem mu, że rozmawiałem z panem. Od czasu do czasu ubijamy jakiś interes.
 - Dzięki. Może tam wpadnę, kiedy będę wracał. Na razie zadzwoniłbym do domu. Mogę skorzystać z telefonu?
- Proszę, stoi za kasą.
 - Keith znalazł aparat i nakręcił numer. Billy zagadywał Neila, rozmawiali o broni i polowaniu. Odebrała Terry.
 - Słucham.
 - To ja, Terry.
 - Keith, gdzie jesteś?
 - Tutaj. Posłuchaj, twój telefon jest na podsłuchu. -Mój?
- Ale to nie sprawa policji ze Spencerville, tylko federalnych.
- Co? Dlaczego...?
 - Nieważne. Zadzwoń rano do swojego adwokata i poproś, żeby ci zdjęto podsłuch. A teraz najważniejsze: już wiem, że on tutaj jest, więc musimy założyć, że ona też. — I żeby podtrzymać Terry na duchu, dodał: — Jestem pewien, że żyje.
- O, dzięki Bogu... Co zamierzasz?
 - Rozmawiałem z miejscową policją i zgodzili się współpracować. Chciałem tylko przypomnieć, żebyście z Larrym nie zrobili nic, co mogłoby pogorszyć sytuację. Nie mów nic swoim rodzicom przez telefon. Dobrze?
 - Tak.
- Terry, zaufaj mi.
- Ufam ci.
- Jutro ją odzyskam.
- Naprawdę tak myślisz?
- Tak.
- A co z nim? Aresztują go?
 - Trudno mi powiedzieć. Sądzę, że jeśli ona złoży zaprzysiężone zeznania, to tak.
- Nie robi tego. Ona po prostu chce się od niego uwolnić.
 - No cóż, najpierw zajmijmy się tym, co najważniejsze. Tutejsza policja chce poczekać do rana, zgadzam się z nimi. Zadzwonię jutro z dobrymi wieściami.
- Dobrze... Czy mogę jakoś się z tobą skontaktować w nocy?
 - Zatrzymam się gdzieś w motelu i jeśli tylko będę coś wiedział, zatelefonuję.
- Dobrze. Uważaj.
 - Będę. A teraz wiadomość do ludzi, którzy nagrywają tę rozmowę: Cześć, Charlie, dotarłem tutaj bez twojej pomocy, ale i tak chcę podziękować. Jest ze mną Billy, jeśli przysporzę kłopotu, zajmij się nim, dobrze? Do zobaczenia. Terry, siedź spokojnie. Pozdrowienia dla Larry'ego.
- Dzięki.
 - Odłożył słuchawkę. Poszli we trójkę do ciężarówki.
 - Do zobaczenia w przyszłym tygodniu — pożegnał się z właścicielem sklepu Keith.
- Powodzenia.
 - Keith i Billy wsiedli do szoferki i wyjechali na drogę.
- Słyszałeś? — zapytał Billy. — Baxter jest nad Jeziorem Szarym.
- Tak. — Keith czuł się teraz znacznie lepiej.
 - Mamy go. — Billy spojrzał na Keitha. — Wiedziałeś, że on tu jest, prawda?
 - Keith nie odpowiedział. Billy zastanawiał się przez chwilę.
- Jak myślisz, czy on wie, że go szukasz?
- Na pewno.
- Tak... ale czy wie, że ty wiesz, gdzie go szukać?
- Oto jest pytanie.

Billy oglądał kuszę. Podniósł ją i spojrzął przez mały teleskop.

- Celuje się jak z karabinu. Ale nie kapuję, jak to jest z tym torem lotu. — Wyjął belt. Ostry jak brzytwa grot wykonany był ze stali najwyższej jakości. — Jezu, tym można kroić mięso na platy. Jesteś pewien, że musimy zabić te psy?
- Powiem ci, jak już tam będziemy.
- W porządku. Może da się tym dopaść Baxtera.
- Może.

Człowiek jest tak samo martwy, czy się go zabije ze stu jardów z karabinu, czy z czterdziestu z kuszy, czy przecinając mu żyłę nożem — różnica była tylko w, nazwijmy to, raporcie z akcji. Keith zastanawiał się nad tym przez chwilę, biorąc pod uwagę fakt, że Annie miała być świadkiem. Zastanawiał się również nad tym, co będzie, jeśli nie zabije Baxtera. Wiele wydarzeń, które miały się rozegrać jeszcze przed świtem, nie zależało od niego, ale czuł, że przynajmniej powinien myśleć, jak będzie wyglądało życie po śmierci — to znaczy jego życie po śmierci tego drugiego. Zawsze tak robił, choć rzadko jego przewidywania się sprawdzały. Zazwyczaj po prostu starał się nie trafiać komuś w plecy albo jaja. Poza tymi drobnymi grzecznościami, wszystko było dozwolone. Ale Baxter był przypadkiem specjalnym i Keith naprawdę chciał być blisko niego, czuć jego woń, spojrzeć mu prosto w oczy i zapytać: „Cześć, Cliff, pamiętasz mnie?”.

- Wprowadzasz się w nastrój?
- Chyba tak. Czy aby nie przegapiłem drogi?
- Nie, ale tutaj już powinienes skręcić, zjazd w lewo.
 - Dzięki. — Keith skierował się na północ od Atlanty. Szeroki trakt prowadził ich w świat dzikiej przyrody, wzgórz, strumieni, jezior i moczarów.

- Pamiętam, że drogi na mapie nie zawsze zgadzają się z rzeczywistością — powiedział Billy.

Keith stanął, włączył światło i rozłożył mapę. Prawie cały ten teren był własnością stanu: dwieście, może trzysta mil kwadratowych lasu, do którego dostęp możliwy był jedynie przez przecinki, ścieżki wydeptane przez myśliwych i strumienie. Na mapie nie zaznaczono żadnej wioski ani osady. Zgasił światło i wręczył mapę Billy'emu.

— Ty pilotujesz. Chata Baxtera znajduje się po północnej stronie jeziora Szarego.

Billy tylko spojrzął na niego. Wyjął ze schowka latarkę i uważnie studiował mapę.

- Dobrze... — mruknął. — Tu biegnie droga po wschodniej stronie jeziora, ale od północy już jej nie widać.
- Znajdziemy.
 - Tak, ludzie stawiają tu drogowskazy ze swoimi nazwiskami. O, widzisz tam? John i Joan Hideawayowie. Nie wiesz, jak nazywa się to jego gniazdko? — zapytał.
 - Nie... zaraz, chyba tak. „Chata Wielkiego Szefa Cliffa”. Ale coś czuję, że pousuwał wszystkie wskazówki.
- Tak... może trzeba będzie zasięgnąć informacji.
- Nie widzę tu nikogo, kogo można by zapytać, Billy.
- Na kogoś trafimy.
- Tak, i ten ktoś zadzwoni do Baxtera.
 - Może. Myślisz o wszystkim, co? Może i ja od czasu do czasu powinienem myśleć trochę naprzód.
- Nie zaszkodzi. Zacznij od razu.

Noc była ciemna jak oko wykol, droga wąska, kręta, ograniczona wysokimi sosnami.

- Przyjeżdżałeś tu na polowania? — zapytał Keith.
 - Od czasu do czasu. Można spotkać jelenia, rysia, a nawet niedźwiedzia. A bywa, że i wilka. Tyle że trzeba znać teren, bo inaczej może się to źle skończyć dla myśliwego. To nie jest koniec świata, ale podejrzewam, że widać go stąd. — Billy wpatrywał się w ciemność. — Skręcaj zaraz w tę małą dróżkę na lewo, dochodzi prawie do Szarego. Potem trzeba się będzie rozejrzeć.
 - Dobrze. — Keith skręcił w dróżkę tak wąską, że samochód ledwie się na niej mieścił, sosnowe gałęzie szorowały po bokach półciężarów-ki. Po lewej stronie, między pniami, załśniła woda. Wstał jasny księżyc, prawie w pełni, i jezioro naprawdę wyglądało jak szare, niezbyt wypolerowana cyna. Miało jakąś milę średnicy i otaczały je sosny, tylko w paru miejscach nad wodę schodziły ogołocone z liści brzozy. Nie widać było żadnych świateł ani na łodziach na jeziorze, ani pomiędzy drzewami.

Istotnie, myślał, to piękny zakątek, tyle tylko że bardzo oddalony od terenów rekreacyjnych Michigan. Ciekawe, co Annie myślała o zakupie ziemi na takim odludziu. Dla ludzi przyzwyczajonych do nieskończonych przestrzeni i wielkiego błękitnego nieba nad głową to miejsce musi być jakieś klaustrofobiczne, złowieszcze, a zimą wręcz przerażające. Jednak Baxter czuje się tu pewnie jak w domu, jak wilk w swej norze.

Pomiędzy drzewami Keith dostrzegł chatę, która wyglądała na pustą. Podejrzał, że większość domków tutaj służyła tylko na weekendowe wypady. Wszystko wskazywało na to, że poza nim i Billym, Annie i Baxterem nie ma tu nikogo. Bardzo dobrze. Zanim nadejdzie świt, populacja nad Jeziorem Szarym spadnie do zera.

Cały czas widział jezioro po swej lewej ręce, ale potem droga skręcała na północ, oddalając się od wody. Zatrzymał samochód.

- Tu musi być jakaś przecinka na tyle szeroka, żeby przejechał samochód — powiedział Billy.
- Na pewno. — Nie mogąc zawrócić, Keith wycofał samochód i wypatrywał wyrąbanej dróżki między sosnami.

Wzdłuż wąskiej drogi stały słupy, szukał więc miejsca, gdzie kabel odchodziłby w stronę jeziora.

Wreszcie zatrzymał samochód na wąskim zjeździe. Wysiedli. Było zimno, widzieli parę wydobywającą się im z ust. Panował całkowity spokój, typowy jesienny wieczór w północnych lasach; żadnych owadów, ptaków ani zwierząt. Było też całkiem ciemno i miało tak zostać, aż spadnie pierwszy śnieg i rozjaśni trochę krajobraz.

Przeszli drogą, którą od biedy można było jeszcze jechać, jakieś sto jardów.

- Może powinniśmy po prostu wziąć kompas — powiedział cicho Billy — dojść przez las do jeziora, a potem iść wzdłuż brzegu.
- To może być rozwiązanie. Wracajmy po sprzęt.

Idąc do samochodu, Keith wciąż spoglądał na słupy. Nagle zatrzymał się, klepnął Billy'ego w ramię i wskazał coś ręką.

Billy zapatrzył się w ciemne niebo. Po drucie, który był całkiem niewidoczny w cieniu sosen, skakała wiewiórka. Drut biegł w stronę jeziora. Pod przewodem elektrycznym był jeszcze drugi. Prawdopodobnie linia telefoniczna, pomyślał Keith.

—Nie ma wątpliwości, że prowadzi nad jezioro, ale przecież zawsze instalują je wzdłuż drogi, a drogi nigdzie nie widać.

Keith stanął koło słupa, potem wszedł w las, złapał za pień sosny, potrząsnął nią i wyciągnął drzewko z ziemi. Billy spojrzał na uciętą choinę.

—Jezu... ten facet naprawdę musi być paskudny.

Keith kopnął następną sosnę i ta też dała się wyciągnąć. Ktoś, niewątpliwie Cliff Baxter, zamaskował wąską piaszczystą drogę, która prowadziła do jego domu, ściętymi sosenkami. Było ich kilkanaście, wszystkie wetknięte w piach drogi. Pozorowały zbitą ścianę drzew. Keith pomyślał, że nadal są zielone i pozostaną takie przez kilka następnych tygodni. Były jednak nieco mniejsze niż sosny rosnące po obu stronach przecinka.

Zauważył również, że miejsce, gdzie piaszczysta przecinka stykała się z traktem, zasypane było suchymi liśćmi i igłami sosny, tak by zatrzeć ślady kół skręcających w ukrytą dróżkę. Nie najlepsza robota, pomyślał, ale dość dobra, żeby trzymać z daleka ciekawskich lub przypadkowych turystów.

Rozejrzał się wokół i znalazł wykopaną i rzuconą w krzaki tablicę. Nie widniał na niej żaden napis, ale był pewien, że kiedyś wskazywała drogę do „Chaty Wielkiego Szeffa Cliffa”.

Najwyraźniej, pomyślał, Baxter nie życzy sobie żadnych wizyt — ani przypadkowych, ani innych. Te same sosny, które pracownicy zostały wsadzone w ziemię, by trzymać ludzi z daleka od chaty, zamykały i jemu drogę do świata zewnętrznego, trudno więc liczyć na to, że uda się wyrwać stąd Annie podczas jakiegś jego wycieczki. Najwyraźniej miał ze sobą wszystko, czego potrzeba na długi pobyt. Najważniejsze było jednak, czy ma także Annie i czy ona jeszcze żyje. Keith był przekonany, że jeśli nawet żyje, nie czuje się najlepiej. Celem ucieczki Bax-tera do położonej na odludziu chaty było uwięzienie niewiernej żony i wyładowanie na niej gniewu i wściekłości.

Keith uświadomił sobie również, że tak czy owak, niezależnie od istnienia Keitha Landry'ego, było to dla Baxtera miejsce przeznaczenia, w przyszłości miejsce stałego zamieszkania, choć Annie mogła nie doceniać znaczenia chaty dla psychiki męża. Przypomniało mu się coś, co powiedziała: „Gdy kilka razy pojechaliśmy tam sami, bez dzieci i w ogóle bez towarzystwa, był innym człowiekiem. Niekoniecznie lepszym i właściwie nie gorszym... po prostu innym... spokojnym, odległym, jakby... nie wiem... nad czymś rozmyślał. Nie lubię tam z nim jeździć sama i zazwyczaj się od tego wymygam”.

Można sobie tylko wyobrażać, pomyślał, co chodziło po głowie Clif-fowi Baxterowi. I można tylko mieć nadzieję, że to, co zrobił Annie przez ostatnie trzy dni, nie wyrządziło jej ciału i umysłowi nieodwracalnej krzywdy.

Zabrali z ciężarówki sprzęt i wrócili do ukrytej drogi. Obaj byli zbyt mądrzy, by z niej korzystać. Weszli do lasu, trzymając się prawej strony przecinka i spoglądając na kompas.

Mniej więcej po piętnastu minutach Keith zatrzymał się, uklęknął i zaczął nasłuchiwać. Billy uklęknął obok niego i trwali tak w bezruchu przez pełne pięć minut. Wreszcie Billy wyszeptał:

- Dźwięki w porządku, zapachy w porządku, w powietrzu nic nie wisi. — Keith skinął przytakująco, a Billy, wciąż szeptem, zauważył: — Wiem, że to maskowanie wygląda na robotę Baxtera, ale skąd pewność, że na końcu drutu jest na pewno jego dom? Nie wiemy, jak wygląda, a przecież mamy zamiar najpierw strzelać, potem pukać.
- Jest w kształcie litery A — odszepnął Keith — z ciemnego drewna, nieco odsunięty od jeziora.
- Ach tak. Wiesz więcej, niż mówisz, co? Typowy oficer.
- Teraz chyba wiesz już tyle co ja — odparł Keith. — Mówiłem ci na samym początku, że to może być niebezpieczne.
- Tak, mówileś.
- I powiem ci coś jeszcze. Ciągnąłem cię tu ze sobą nie dla siebie, ale dla ciebie. Ale doceniam pomoc.
- Dzięki.
- Jeśli mam cię ciągnąć dalej, musisz mi obiecać, że jeśli ja nie będę mógł, ty dokończysz za mnie robotę.

Billy spojrzał na Keitha i skinął głową.

- Wiesz, że mam własne powody, tak jak ty masz swoje... więc gdy jednego z nas zabraknie, drugi musi to załatwić — mruknął.
- Dobrze... — Keith zawahał się przez moment — i jeśli na końcu zostaniesz tylko ty i ona, powiedz jej... no, wiesz. — Dobrze, powiem jej. Jest coś, co chciałbyś powiedzieć jej w szczególności?

Było, jednak Keith mruknął tylko:

- Opowiedz jej o dzisiejszym dniu.
- Dobrze. A ty zrób to samo. Może już jej nie obchodzę, ale powinna wiedzieć.
- Zrobię. — Keith miał uczucie, że prowadził już takie rozmowy w przeszłości, w innych miejscach, z innymi ludźmi. Był tym zmęczony. — Ruszajmy.

Ruszyli dalej przez las. Keith starał się ocenić, jak starannie Baxter zdołał się przygotować. Maskowanie było w porządku, ale podstawowa rzecz to wczesne ostrzeżenie. Od tego, oczywiście, były psy, bardziej jednak obawiał się wybuchów, chociaż Baxter, jako człowiek bez wojskowego przygotowania, mógł na to nie wpaść. Niemniej, idąc, podnosił wysoko nogi i zauważył, że Billy robi to samo. Ciekawe, pomyślał, jak wiele pamiętają byli żołnierze, nawet faceci pokroju Billy'ego. Ale jeśli raz się widziało, jak ktoś wpada w potrzask — wszystko jedno, czy następował potem wybuch — chce się za wszelką cenę tego uniknąć.

Księżyc stał teraz wysoko, oświetlał czubki sosen, ale Keith wciąż nie widział dalej niż na dwadzieścia kroków przed sobą. Było zimniej, niż się spodziewał, w dodatku od jeziora wiał wiatr.

Posuwali się powoli, w pół godziny zrobili pół mili, w końcu Keith zwolnił, wreszcie znieruchomiał i wyciągnął przed siebie rękę.

Przed nimi między sosnami prześwitywała polana, a w głębi za nią lśniły szare wody jeziora.

Pokonali kolejne dwadzieścia jardów i zatrzymali się znowu. Na prawo, jakieś sto kroków od nich widniał ciemny kształt domu w kształcie litery A.

Przez chwilę obaj patrzyli na dom, potem Keith podniósł do oczu lornetkę. Chatę zbudowano w góralskim stylu, stała na cementowych blokach. Obiegał ją taras oparty na belce wspornikowej, dogodny punkt obserwacyjny dla Baxtera, który mógł widzieć cały teren wokół. Pośrodku dachu wznosił się kamienny komin. Dym płynął w ich stronę,

co oznaczało, że ustawieni byli pod wiatr i psy nic mogły ich wyczuć. Przed domem stał ciemny ford bronco.

Chata stała ukosem do jeziora, tak że Keith widział i front, i dłuższą, północną ścianę. Światło padało zarówno z okien mansardowych w ukośnym dachu, jak i zza szklanych drzwi, które wychodziły na taras. Kiedy się wpatrywał w dom, za szklanymi drzwiami mignęła jakaś sylwetka — nie potrafił powiedzieć mężczyzny czy kobiety.

Opuścił dłoń z lornetką.

— Jesteśmy na miejscu.

Od strony domu zaszczeakał pies.

ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY ÓSMY

C

liff Baxter przypiął kaburę i nałożył kamizelkę kuloodporną. Sięgnął do stojaka na broń i zdjął swój sako TRG-21, karabin wojskowy wyposażony w celownik noktowizyjny. Karabin, który wykonano w Finlandii, kosztował podatników Spencerville cztery tysiące dolarów, a noktowizor kolejny tysiąc. Jego zdaniem był to najlepszy zestaw do nocnego zabijania, odpowiedni dla najbardziej wymagającego snajpera.

Pogasił światła w izbie, żeby jego sylwetka nie była widoczna, i otworzył drzwi, które prowadziły na odkryty taras.

Opadł na kolano, uniósł karabin i spoglądając przez teleskop, ustawiał ostrość. Wciąż źle widział na prawe oko, które uszkodził mu Landry, ale wzmocnienie pomagało.

Powiódł wzrokiem po lesie, który zaczynał się jakieś sto kroków od domu, ale nic nie zauważył.

Nie był pewien, który pies zaszczeakał i dlatego, więc przeszedł taras w kucki, cały czas obserwując otaczający go las przez noktowizor, potem uważnie przyjrzał się linii jeziora, w końcu przeniósł wzrok dalej, na wodę, ale tam też nic się nie poruszało.

Jeden z psów, rottweiler, był przywiązany do liny biegnącej równolegle do ściany domu od strony jeziora. Drugi, doberman, mógł biegać na linie od jeziora do piaszczystej drogi wychodzącej z lasu na polanę. Trzeci, owczarek niemiecki, uwiązany był za domem. Owczarek nie biegał wzdłuż drutu — miał długą smycz przyczepioną do palika, dawało mu to dość swobody, ale nie mógł dostać się ani do lasu, ani do domu. Pola zasięgu psów całkowicie pokrywały polanę.

To bardzo dobre psy, myślał, tyle tylko że szczekają właściwie na wszystko. Jednak za każdym razem, kiedy któryś się odezwał, sprawdzał teren. Wrócił przed dom i leżąc na tarasie, wymierzył w przecinękę. Wydawało mu się, że szczekał doberman, a na dodatek zwierzę stało teraz na końcu drutu, najbliżej linii lasu. Baxter zauważył, że wiatr wieje od strony jeziora, więc pies chyba nie wyniuchał nic pod wiatr. Ale najwyraźniej coś usłyszał albo zobaczył. Baxter podregulował ostrość i koncentrując się na obrazie, powoli przesunął broń z lewa na prawo.

Przeniósł wzrok na psa, który wyrwał się w stronę lasu. Wycelował w miejsce, na które patrzył pies. Wymierzył nisko w pnie sosen, a potem powoli nacisnął spust.

Strzał przetoczył się echem między drzewami i po jeziorze, przerywając ciszę nocy. Wszystkie trzy psy zaczęły ujadąć. Baxter wymierzył znowu i strzelił jeszcze raz, a potem znowu.

Echo zamarło, psy się uciszyły. Baxter leżał nieruchomo i patrzył przez teleskop, czekając na jakiś dźwięk czy ruch między sosnami. Czekał też, czy ktoś odpowie mu strzałem. Dopiero gdy minęły dwie pełne minuty, uznał, że w lesie nic nie ma, a jeśli nawet było, to uciekło albo nie żyje. Może to jelen, pomyślał. Podczas sezonu myśliwskiego wychodziły szukać pożywienia głównie w nocy, ale gdy tylko psy zaczynały szczekać, uciekały. Dlaczego jednak pies ciągle patrzy w stronę lasu? Może królik albo wiewiórka. Pewnie tak...

—Dobra... — Nie chciał zwracać niczyjej uwagi i nie chciał zabić ja kiegoś myśliwego, ale nie sądził, by któryś z jego nielicznych sąsiadów przebywał akurat nad jeziorem. W każdym razie raczej nie chodziłby po lesie nocą, a już na pewno nie tak blisko jego domu.

Odczekał parę minut, potem przetoczył się po podłodze tarasu, szybko podniósł i wrócił do izby.

Odłożył karabin na miejsce. W stojaku spoczywały jeszcze cztery sztuki broni półautomatycznej, jedna z lunetą przydatną o zmierzchu, jedna ze standardową lunetą o czterokrotnym zbliżeniu, następna z celownikiem o dwunastokrotnym zbliżeniu do strzelania na dalekie odległości, na przykład na milę przez jezioro, wreszcie AK-47 o krótkim zasięgu.

Oprócz karabinów i psów miał również sześć staroświeckich pułapek na niedźwiedzie, które rozmieścił wokół na swym terenie, poza zasięgiem psów. Jedna znajdowała się tuż przy schodach prowadzących na taras. Miał jeszcze parę innych sztuczek w zanadrzu, na wypadek gdyby pokazał się nieproszony i niezapowiadany gość. Nie spodziewał się nikogo, ale nie zapominał o Landrym.

Keith przywarł płasko do ziemi między sosnami, z Billym u boku. Kiedy kanonada ustała, wyszeptał:

- To tylko na próbę. Billy przytaknął.
- Tak... ale cholernie blisko.
- Myślę, że pies nas wystawił.
- Miałeś czysty strzał, kiedy klękał — wyszeptał Billy.
 - Miałem, ale przypuszczam, że nałożył kamizelkę, a na taką odległość nie zaryzykowałbym strzału w głowę.
- Widziałeś, jak te czerwone oko patrzyło prosto na nas?

— Widziałem. — Celownik wykorzystujący podczerwień ma tę cechę, że jeśli ktoś patrzy przez niego wprost na ciebie, widać czerwoną po światę. Keitha nie zdziwiło, że Baxter dysponuje takim sprzętem, ale to utrudniało sprawę.

Pies, który był o jakieś dwadzieścia pięć kroków od nich, wydał z siebie niski, grzmiący pomruk.

Leżeli cicho bez ruchu jeszcze kilka minut, wreszcie zwierzę, reagując na jakiś inny odgłos, odwróciło się i pobiegło w stronę jeziora.

Keith odczekał minutę, potem ostrożnie uklęknął. Uniósł lornetkę i spojrział w kierunku domu.

Baxter zdjął kamizelkę kuloodporną, ale pasa z pistoletem nie odpiął. Zapalił lampę. Rozświetliła dużą izbę, której sklepienie nasuwało skojarzenie z katedrą.

Na ścianach wisiały jego trofea myśliwskie: głowy łosia, jelenia, rysia, dzika i dwóch niedźwiedzi czarnych spoglądających na siebie z przeciwległych ścian. Nad kominkiem królował łeb wilka, który jakby spoglądał na cały pokój.

Na bujanym fotelu koło ognia siedziała Annie. Wpatrywała się w płomień. Kiedy Baxter podszedł do niej, podniosła wzrok.

- Czy spodziewasz się towarzystwa, kochanie? — zapytał. Potrząsnęła głową.
- Tak myślałem. — Usiadł na krześle naprzeciwko niej.

Poza kocem, który chronił ją od zimna, nie miała na sobie nic. W stopy było jej chłodno mimo bliskości ognia.

Kostki nóg miała spięte kajdankami połączonymi łańcuchem dość długim, żeby normalnie chodzić, ale zbyt krótkim, by uciekać. Łańcuch był przypięty do dużego sworznia wkręconego głęboko w dębową podłogę.

Jedyny telefon znajdował się w kuchni, w kuchni też Cliff zamknął wszystkie narzędzia, z nożami włącznie. Kiedy wysyłał ją na noc do łóżka, przypinał jej nadgarstki do żelaznej ramy, za to uwalniał stopy. „Żebyś mogła rozłożyć dla mnie nóżki, kochanie”.

Przyglądał jej się przez chwilę.

— Myślisz, że on po ciebie przyjdzie, co? Muszę ci opowiedzieć o mojej rozmowie z Blakiem. Powiedział, że twój kochanek porwał Warda i torturował go. A Ward mu powiedział, że wybraliśmy się na Florydę. I tam ten głupek się wybiera, jeśli oczywiście uda mu się tak daleko zajechać. Jeśli mu w ogóle na tobie choć trochę zależy.

Annie nie odpowiedziała.

— Nie sądzę, żebyś go naprawdę interesowała — ciągnął Baxter — a jeśli nawet, to on już i tak nie ma jaj. — Roześmiał się. — To nie prze nośnia. Choć ja też bym chciał, żeby on się tu pojawił. Widziałaś kiedyś człowieka złapanego w pułapkę na niedźwiedzie? To nie jest przyjemny widok, mówię ci. Zazwyczaj nie mogą jej otworzyć, więc umierają z głodu i pragnienia. Zdarza się, że odcinają sobie stopy, żeby się uwolnić. No więc, kiedy twój kochaś wpadnie w jedną z tych pułapek, co je mamy koło domu, będziemy patrzyli, jak umiera przez tydzień czy coś koło tego. Zazwyczaj krzyczą, płaczą i błagają, a na końcu chcą, żeby ich zastrzelić.

Annie wpatrywała się w ogień.

•Nigdy sam tego nie widziałem — powiedział Cliff — ale znam kogoś, kto widział. I chyba będzie mi się to podobało. — Ponieważ nie udało mu się wywołać u niej żadnej reakcji, dodał: — Zresztą i tak nie wiem, jak mógłby ci teraz zrobić dobrze. Kiedy widziałem go ostatnim razem, jego jaja leżały na mojej dłoni. Nigdy nie widziałaś męskiego jaja bez torebeczki? Powinienem być zachować je dla ciebie. — Patrzył na nią, odpowiedziała mu spojrzeniem. Wiedział, że nie może być pewna, czy to prawda, ale że za każdym razem, kiedy opowiadał jej tę historię, jakby mniej w nią wierzyła, toteż postanowił nie wspominać o tym przez następnych kilka dni.

•Mam nadzieję — ciągnął, pochylając się nad nią — że gdy się tu pokaże, nie będę musiał zabić go od razu. Jeśli nie wpadnie w jedną z pułapek na niedźwiedzie, dopadnie go któryś z psów albo ja go złowię. Przyprawdę go tutaj i będziesz się mogła nim zająć. A kiedy już dojdzie do siebie, obedrę go żywcem ze skóry...

•Zamknij się! Wyprostował się nagle.

•Coś ty powiedziała?

•Przestań. Przestań natychmiast.

•Tak? Podnieś się. -Nie.

—Podnieś się, dziwko, i zrzuc to z siebie albo potraktuję cię gorzej, niż myślisz.

Annie zawahała się, potem wstała.

—Zrzuc koc.

Puściła koc, który opadł na ziemię. Baxter wyjął z kieszeni klucz do łańcuchów, przyklękł i odpiął je.

— Idź i oprzyj się na oparciu sofy.

Pokręciła głową przecząco.

Wyciągnął rewolwer i wycelował jej w twarz.

•Rób, co ci mówię.

•No, strzelaj.

Obniżył lufę i teraz mierzył w jej brzuch.

— Jeśli tu strzelę, będziesz umierała przez cały dzień.

Annie stała nieporuszona. Chciała umrzeć i w tej chwili nie obchodziło jej, jak długo będzie trwało umieranie. A potem pomyślała o swoich dzieciach i że Keith mógł zapamiętać to, co mu mówiła na temat Jeziora Szarego, albo że rozmawiał z Terry, która zrozumiała jej uwagę o Atlancie.

Wiedziała, że nie mogą pozostać w chacie na zawsze, a jeśli ktoś tu się zjawi, zacznie się strzelanina, a potem Cliff najprawdopodobniej zabije ją, a na końcu siebie.

Czuła się rozdarta między częścią, żeby umrzeć już teraz, a pragnieniem, by żyć jeszcze trochę i zrobić coś, co zakończy ten koszmar. Ale nie wiedziała, jak długo wytrzyma, ile czasu mu zabierze złamanie jej. Przyjechali do chaty trzy dni temu i już teraz traciła kontakt z rzeczywistością, ulegając jego perwersjom, lecz nie mogła bez przerwy znosić bólu. W takiej sytuacji nie była dla niego przeciwnikiem, uzmysłowiła sobie. On dzierżył całą władzę, a jej subtelny opór wyzwalał w nim sadyzm. Jednak nie zamierzała być uległą ofiarą, więc powiedziała:

— Idź do diabła.

Baxter opuścił rewolwer, podszedł do kominka, sięgnął po pogrzbacz i wetknął go w płomień.

Annie przyglądała się temu.

Nie, on jej nie zabije. Jeszcze nie. Ale zrobi to, do czego się przygotowywał. Kiedy metalowy koniec rozżarzył się na czerwono, wyciągnął go z ognia, uniósł i splunął nań. Ślina wyparowała z sykiem. Przysunął rozżarzony koniec blisko jej prawej piersi.

•Nie chcę tego zrobić — powiedział — ale nie dajesz mi wyboru.

•Ja też nie chcę tego robić, ale ty nie dajesz mi wyboru — odpowiedziała.

•Tak czy siak postawię na swoim. Więc?

Zdała sobie sprawę, że opierała się tak długo, jak mogła. Odwróciła się, podeszła do kanapy. Łańcuch *zaczepii* o dywanik, a obręcze na nogach obcierały jej kostki.

— Pochyl się — powiedział.

Pochyliła się, opierając dłonie na poduszce. Słyszała, jak Baxter odkłada pogrzebacz, potem odpina pas z bronią i rzuca go gdzieś na bok. Podeszedł do niej z tyłu, odpiął pasek spodni.

— Dobrze, zapłacisz teraz za pyskowanie. A masz do zapłaty całkiem sporo, bo pyskowałeś mi przez całe lata.

Nie chciała odpowiadać, ale wiedziała, że jeśli nic nie powie, on będzie mówił i mówił, a nie chciała tak czekać w upokarzającej pozycji.

— Kończ już.

— Chcę, żebyś myślała o tym, co się za chwilę stanie i za co dostajesz.

—Niech cię cholera.

Zamachnął się pasem i z całych sił uderzył ją po pośladkach.

Keith skupił wzrok na jednym z oświetlonych okien. Coś mu w nim mignęło, potem nagle ją zobaczył. Stała, widział ją od pasa w górę. Była naga, zamarła nieporuszona na kilka sekund. Widział jej twarz, ale z daleka rysy były zamazane. Pomyślał, że wygląda na przestraszoną, ale może taki obraz podsuwała mu wyobraźnia.

Nagle znikła, a jej miejsce zajął Cliff Baxter. Keith skupił się; Baxter wykonywał jakieś dziwne ruchy. Minęło kilka sekund, nim Keith zrozumiał, że Baxter wykonuje czymś kolejne zamachy, batem lub paskiem. I nagle pojął, co się dzieje. Opuścił lornetkę, zrobiło mu się niedobrze.

•Co widzisz? — zapytał Billy. -Nic.

•Zobaczyłeś kogoś?

•Tak... — Spojrzał na Billy'ego i dodał: — On ją bije. Idę. — Złapał karabin i zrobił krok, ale Billy pchnął go na ziemię.

•Nie! Nie! Poczekaj.

Keith leżał na ziemi. Wydawało mu się, że słyszy odgłosy tego, co się dzieje w domu, równomierne uderzenia o nagie ciało i jej krzyk. Oczywiście nie mógł tego słyszeć, ale czuł, jakby to jego bito.

Annie, zaskoczona, krzyknęła z bólu. Zazwyczaj przygotowywała się na pierwsze uderzenie i nie wydawała dźwięku aż do chwili, kiedy nie mogła już znieść bólu. Poprzedniego dnia wytrzymała dziesięć uderzeń bez krzyku i to dało jej pewną satysfakcję.

—Zamierzałem ci wlepić tylko pięć, ale teraz dostaniesz pełne dzie sięć. Licz, a jeśli się pomylisz, zacznym od nowa. Gotowa?

Nie odpowiedziała.

— Gotowa?

-Tak.

— Chodź, Keith. Nie chcemy go zaalarmować. Cofniemy się i zaczekamy chwilę, dobra?

Zbierajmy się. To nie ćwiczenia. Keith nie odpowiedział.

— Nie możemy tu zostać.

Keith przyklęknął, później wstał i jeszcze raz spojrzął przez lornetkę, ale nie mógł dostrzec co się dzieje w domku. Billy chwycił go i pociągnął w dół.

— Jezu. Jeśli ona ma celownik na podczerwień, już jesteś trupem. Chodź.

Pies ponownie zaszczekał

Baxter położył pas na stole, odwrócił się i podeszedł do krzesła. Usiadł i spojrzął na żonę. Znowu usłyszał szczekanie psa, ale je zignorował.

— Obróć się i uklęknij - powiedział po minucie.

Odwróciła się do niego na kolanach.

— Ty kurwo. — Pochylił się i wbił w nią wzrok. — Spójrz na mnie,

dziwko. Kłamałaś na jego temat, prawda?

-Tak.

— Mówiłaś, że nawet nie pamiętasz, że na niego wpadłaś, a cały czas się z nim pieprzyłaś. Mam rację?

-Tak.

— Może twój kochanek ma AIDS, a teraz ty to złapałaś i ja też będę chory. Używał gumy?

Nie odpowiedziała.

•Ile razy się z nim pieprzyłaś?

•Pytasz o średnią szkołę i college...?

•Zamknij się! Niedobrze mi się robi, kiedy cię słucham. Powinienem cię zabić, ale to by było dla ciebie za dobre. Zapłacisz za to, co zrobiłaś. Wiesz o tym, prawda?

-Tak.

— Nigdy nie zdołasz za to odpokutować. Mogę się założyć, że teraz jest ci przykro, prawda?

Milczała.

•Odpowiedz mi. -Tak.

•Tak co?

•Tak, sir. Jest mi przykro.

— No, ja myślę. Ale będziesz dwa razy bardziej żałować. Kiedy z tobą skończę, będziesz jak ta moja suka tam, na dworze. Będziesz robić wszystko, co ci powiem, jeść, kiedy ci pozwolę, pełzać u moich stóp, liść mi po ręce i chodzić za mną ze spuszczoną głową. Zrozumiałaś?

-Tak.

•Co tak?

•Tak, sir.

•Będę cię dobrze traktował, chociaż wcale na to nie zasługujesz po tym, co mi zrobiłaś. Dostaniesz trzy posiłki, ciepłe miejsce do spania, a lanie tylko wtedy, gdy zasłużysz. Rozumiesz?

•Tak, sir.

Cliff rozparł się wygodnie. Nadal ją obserwował. Klęczała z głową spuszczoną, objęta ramionami. Uśmiechnął się.

•Zimno?

•Tak, sir.

•Zbliź się do ognia. Ale nie wstawaj.

Annie się zawahała, a potem przesunęła na czworakach do Baxtera. Zatrzymała się przy jego stopach.

— Wyprostuj się.

Usiadła prosto, twarzą do niego, ale nie podniosła głowy.

—Spójrz na mnie.

Zauważyła z satysfakcją, że jego prawe oko jest wciąż przekrwione.

•Kiedy się z nim pieprzyłaś? I gdzie się z nim pieprzyłaś?

•W jego domu.

•Czy pieprzyłaś się z nim w naszym domu? -Tak.

To go najwyraźniej zdziwiło.

•Jak, u kurwy nędzy, to ci się udało? Kłamiesz! Nigdy nie udałoby ci się pieprzyć z nim w naszym domu.

•Skoro tak mówisz.

—Ty cholerna dziwko! Wiesz co? Jesteś kurwą, więc mam zamiar potraktować cię jak kurwę.

Zauważyła, że pas z kaburą leży na małym stoliczku po prawej stronie jego krzesła. Pomyślała, że mogłaby ją złapać, przetoczyć się na bok i wyciągnąć pistolet, zanim on zdążyłby zareagować. Mogłaby go wtedy zakuć w łańcuchy i uciec. Tylko tego pragnęła — znaleźć się jak najdalej od niego i od tego domu. Strzeliłaby tylko wtedy, gdyby ją do tego zmusił, a i wówczas próbowałaby go jedynie zranić. Czekwała na sposobność.

Keith niechętnie odchodził od chaty, Billy szedł za nim. Zatrzymali się w lesie, jakieś dwieście jardów od domu. Billy usiadł, oparł się plecami o pień sosny.

—Ten skurwiel mógł nas wystrzelać jak kaczki dzięki temu celownikowi na podcierwień.

Keith przytaknął. Widział swego towarzysza w szarawym świetle księżyca.

•Nie musisz tu zostawać. Wracaj do samochodu.

•Przecież umówiliśmy się. Prawda?

•Tak, ale...

•Spoko, chłopie. Wiem, że zobaczyłeś coś, co cię ruszyło, a ja tego nie widziałem. Aleja nie muszę widzieć. Znam go lepiej niż ty. Siedziałem w jego więzieniu.

Keith wziął się w garść.

•W porządku. Dzięki.

•Posiedzimy tu chwilę. Niech się psy uspokoją. Niech się Baxter uspokoi. Przyszpilimy go. Pamiętasz... jak to szło? Znaleźć ich, przy-szpilić i wykończyć. Pieprzyć go.

Keith przytaknął. Myślał teraz, czy nie powinien był jednak strzelić. Ale były dobre strzały i złe strzały, pewne strzały i wątpliwe strzały. A ten z pewnością byłby zły i wątpliwy, a gdyby nie trafił albo trafił, ale na przykład w kamizelkę... kto wie. Podczas szkolenia mówili

im, że nie zawsze pierwszy strzał jest najlepszy, ale czasem jest czas tylko na jeden. Trzeba szybko przekalkulować. Może gdyby przewidział, co Baxter robi Annie... ale przynajmniej wiedział, że żyje i będzie żyła co najmniej tak długo, jak długo dręczenie jej sprawia Baxterowi przyjemność.

•Skurwiel.

•Tak. I jeszcze coś więcej. Trzeba by na niego wymyślić słowo, które jeszcze nie istnieje.

•Mam dla niego odpowiednie słowo. Trup.

•Podoba mi się.

Baxter obrzucał ją obelgami jeszcze parę minut, a ona klęczała u jego stóp i patrzyła na niego, tak jak jej przykazał. Nie słuchała; czekała na sposobność, by się poruszyć. Pistolet leżał zaledwie o cztery stopy od niej. Ale musiała jakoś zagadać Baxtera.

•Zimno mi —powiedziała. — Czy mogłabym dostać koc?

•Nie. Jak dla mnie, możesz sobie odmrozić te swoje cycki. — Znalazł sobie nowy temat i zapytał: — Z iloma facetami pieprzyłaś się podczas naszego małżeństwa?

•Z żadnym.

•Nie okłamuj mnie. Masz gorącą cipkę, kochanie. Widziałem, jak patrzyłaś na innych mężczyzn. Tylko o tym potrafisz myśleć. No cóż, tutaj pieprzenia ci nie zabraknie, kochanie. Z iloma facetami pieprzyłaś się podczas naszego małżeństwa?

•Z żadnym.

•Gównu. Zanim skończę z tobą, wymienisz mi wszystkich, z którymi ciupciałaś się za moimi plecami. Byli jacyś inni, prawda?

Przytaknęła.

•Ilu?

•Tylko dwóch.

•Och, naprawdę? Tylko dwóch? — Nagle zainteresował się. — Kto?

•Będziesz się gniewał.

•Gniewał? Już teraz jestem wkurzony. Kto?

•Obiecaj, że mnie nie uderzysz.

•Nie będę ci nic obiecywał poza tym, że dostaniesz lanie, jak mi nie powiesz. Kto?

Wzięła głęboki wdech i powiedziała:

—Reggie Blake i twój brat, Phil.

Podniósł się.

-Co?

Zakryła dłońmi twarz, żeby ukryć uśmiech.

—Ty... ty kłamiesz? Ty kłamiesz, dziwko. Spójrz na mnie!

Opuściła dłonie i spojrzała na niego.

Cliff przyklęknął na jedno kolano i przysunął swoją twarz do jej twarzy.

•Wydaje ci się, że możesz mi napięprzyć w głowie, tak?

•Cliff, proszę, to nie w porządku. Robię wszystko, o co mnie prosisz. Odpowiadałam ci już setki razy na pytania o innych mężczyzn. Co mam ci powiedzieć?

•Chcę usłyszeć pieprzoną prawdę.

•Nigdy nie uprawiałam seksu podczas naszego małżeństwa z żadnym mężczyzną poza... nim.

•Nigdy nie pieprzyłaś się z Blakiem?

•Nie... ale on chciał.

•Ach tak? Ten skur... a mój brat?

•On też mnie nagabywał...

•To... Nie wierzę ci.

•Przykro mi.

Przyglądała się jej chwilę, potem skinął głową.

— Dobrze, dojdziemy prawdy. Może jeszcze nie dzisiaj, może krok po

kroku, ale powiesz mi wszystko o tych innych mężczyznach.

Wiedziała, że ma obsesję na tym punkcie, a więc póki jest zainteresowany tematem, może czuć się w miarę bezpieczna.

-Tak.

Przez jakiś czas nic nie mówił, potem — wciąż klęcząc na jednym kolanie przed nią — ujął ją pod brodę i odwrócił jej twarz ku sobie. Powiedział łagodnie i powoli:

— Zawsze wiedziałas, że wreszcie tutaj wylądujesz, prawda?

Spojrzała mu w oczy, zastanawiając się nad jego słowami. W jakiś sposób wydawało jej się, że go zna, że wie, jak bardzo jest szalony, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby być zdolny do czegoś takiego.

—Wiedziałas, prawda? Ja wiedziałem, więc ty też musiałaś to wie-
dzieć. A jeśli wiedziałas, że to się stanie pewnego dnia, musiałaś też
chcieć, żeby to się stało.

-Nie!

•Podoba ci się to...

•Nie! Ty skurwielu... — Chciała go uderzyć, ale złapał ją za nadgarstek i walnął w twarz. Upadła na plecy.

Wstał.

—Podnieś się.

Schowała twarz w dłonie i zwinęta w kłębek popłakiwała.

•Wstawaj!

•Zostaw mnie! Zostaw mnie w spokoju!

Annie leżała na podłodze skulona, z twarzą wciąż zakrytą dłońmi. Baxter nie lubił, kiedy wpadała w histerię, bo wtedy nie mógł dostać

tego, czego chciał, nie mógł jej zmusić, by go słuchała. Musiał po prostu poczekać. Po kilku minutach powiedział:

—Jeśli skończyłaś już z tą komedią, pozwolę ci wstać, owinąć się
w koc i dam ci coś do jedzenia. Czekam, ale nie będę czekał dłużej. Daję
ci dziesięć sekund i idę po bat. Dziewięć. — Zaczął odliczać wstecz.

Annie przeturłała się po podłodze, a potem znowu powoli wróciła do pozycji klęczącej.

•Tak, dobrze. Posłuchaj, kochanie, tu będzie lekko lub ciężko, to zależy od ciebie. Im szybciej zrozumiesz, że ja tu
rządzę, a ty masz trzymać swoją przemądrzałą buzię na kłódkę i robić tylko to, co ci każę, tym będzie ci łatwiej.
Stąd nie ma ucieczki, kochanie. Będziesz mi gotować, sprzątać, myć mnie, obciążać mi druta, pieprzyć się ze
mną i całować moje stopy. Im lepiej będziesz to robić, tym ja będę lepszy dla ciebie. Zrozumiałaś?

•Tak, sir.

•Wy, wszystkie Prentisówny, zawsze zadzierałyście nosa. Myślisz, że nie widziałem, jak patrzysz na mnie i na moją
rodzinę? A niby kim ty jesteś? W gruncie rzeczy chciałbym tu mieć jeszcze tę jędzę, twoją siostrę. Jej też by się
przydało kilka lekcji obciążania druta. Popatrz na mnie, dziwko. Mówię do ciebie. Jak ci się to podoba? Dwie
nagie kurwy pod ręką...

— Proszę, Cliff... nie czuję się zbyt dobrze... nie chcę umierać...
nie chcę mieć zapalenia płuc... muszę dostać coś do jedzenia... zaraz
zemdleję...

Przyjrzał się jej uważnie.

— Dobra, nie chcę, żebyś mi tu chorowała. Nie mam zamiaru się tobą
zajmować.

Nie odpowiedziała.

— Dobrze, najpierw przynies apteczkę i zmień mi bandaż. I nie pró-
buj wstawać, ślicznotko. Jesteś teraz bernardynem.

Annie przeszła na czworakach przez pokój, wyjęła z drewnianej szafki apteczkę, zawiesiła ją sobie na szyi i wróciła
do niego.

Baxter spuścił spodnie i majtki, a potem położył się na sofie.

Otworzyła torbę i wyjęła z niej nożyczki o stępionych końcach, przeznaczone do cięcia gazy. Przecięła bandaż
owinięty wokół lewego uda Baxtera. Zauważyła, że jest nasiąknięty krwią. A kiedy zdjęła gazę, okazało się, że rana nie
goi się dobrze. Zastanawiała się, czy istnieje sposób, żeby ją jakoś zainfekować.

Wyjęła z apteczki alkohol i watę i zmyła krew naokoło rany. Skrzywił się. Przecięcie polala jodyną i tym razem
pozwolił sobie na cichy jęk. Uniósł udo. Zerwała stare bandaż, to również musiało go nieźle zboleć, a potem
nałożyła świeżą gazę i zabandażowała. Nigdy nie mówił nic ani na temat tej rany, ani na temat oka. Milczenie było
jego metodą

na przekonanie zarówno siebie, jak i jej, że wszystko w motelowym pokoju poszło po jego myśli. Prawda była jednak
taka, że Keith walczył bardzo dzielnie i mało brakowało, by mu przeciął tętnicę udową. Kiedy Cliff po raz pierwszy jej
powiedział, że wykastrował Keitha, prawie mu uwierzyła, ale nieustępująca nienawiść dowodziła, że to nieprawda.

Zauważyła, że przyknęła oczy i zerknęła przez ramię na stolik koło krzesła, gdzie leżała kabura.

— Szukasz czegoś? — zapytał.

Odwróciła się.

— Leżę sobie tutaj z portkami pętającymi mi kostki, a ty zastanawiasz się, czy zdołałabyś szybciej niż ja doskoczyć do pistoletu. No cóż, kochanie, udałoby ci się. Ale gdybyś go dopadła, czekałaby cię mała nie spodzianka, ponieważ — wyciągnął broń spomiędzy poduszek — mam go tutaj. — Poklepał ją lufą po dłoni i powiedział: — Czekaj nas długa droga, prawda, kochanie? Kiedy już skończę z tobą, będziesz czyściła mi broń i nawet ci do głowy nie przyjdzie, że mogłabyś jej użyć przeciwko mnie.

Skinęła głową, ale wiedziała — i on też — że taki czas nigdy nie nadejdzie. Przyszło jej do głowy, że jemu podoba się ta gra w kotka i myszkę, miał dzięki niej trochę rozrywki. Cieszyło go udowadnianie, że jest od niej sprytniejszy, a przynajmniej bardziej przebiegły, lepiej dający sobie radę w świecie, który stworzył. Z jednej strony chciał ją złamać, ale z drugiej jej odwaga mu się podobała, bo stanowiła dla niego wyzwanie. Jeśli załamie się zbyt szybko, poczuje się znudzony, wpadnie w depresję, może się stać jeszcze bardziej sadystyczny i wreszcie doprowadzi ją i siebie do końca. Z drugiej jednak strony, jeśli będzie opierała się zbyt skutecznie albo jeśli on uwierzy, że jest dość sprytna, by go pokonać, może ją zabić w ataku wściekłości, wiedziony instynktem przetrwania. Tyle przynajmniej zrozumiała przez ostatnie trzy dni, chociaż nie zawsze udawało jej się utrzymywać równowagę między odwagą a uległością. Zdarzały się momenty, gdy upokarzanie stawało się wręcz groteskowe, wówczas było jej już wszystko jedno. Ale zawsze jakoś zdołała zebrać siły, obiecywała sobie, że wytrzyma jeszcze godzinę, potem jeszcze jedną, aż wreszcie przypinał ją kajdankami do łóżka i pozwalał spać.

— Umyj klejnoty rodzinne Baxterów, kochanie — powiedział. — Użyj alkoholu. Lubię to.

Nalała alkoholu na gazę i obmyła mu genitalia.

— Och. To przyjemne. A teraz nasmaruj je wazeliną.

Wyjęła tubkę, wycisnęła maść na penisa i jądra i zaczęła wsmarowywać. Ponieważ twardniał w jej dłoni, przestała.

— Wiesz, że mogę się pieprzyć trzy razy dziennie — powiedział. — Mogę pieprzyć się z jedną lub dwiema kobietami, a potem wrócić do domu i wypieprzyć ciebie. Co na to powiesz? A ty myślałaś, że tylko ty się puszczasz, co?

Nigdy nie myślała, że jest jej wierny, i nie rozumiała, dlaczego sądził, że ta rewelacja ją zrani. Ale jego umysł cały czas pracował, szukając sposobów, jak by ją dotknąć, podważyć wiarę w siebie, urazić jej godność. Jeśli będzie ją nazywał dziwką, kurwą i suką, miała pomyśleć, że jest właśnie taka. Kiedy mówił, że wykastrował Keitha, miała mu uwierzyć. Kiedy mówił, że chciałby wypieprzyć jej siostrę, miało to ją rozgniewać i zaniepokoić. Kiedy ją bił pasem, miała się poczuć bezradna. A jednak mimo bólu zachowywała godność, a bicie umacniało ją tylko w postanowieniu, że musi pozostać przy zdrowych zmysłach.

• Czy mogę teraz wziąć koc i dostać coś do jedzenia?

• Byłaś naga, kiedy cię znalazłem w motelu, więc możesz zostać naga. — Wstał z sofy, podciągnął bieliznę i spodnie.

— Proszę, Cliff, jestem zmarznięta i głodna. I muszę pójść do łazienki.

— Tak? W porządku, możesz wstać.

Wstała i nie czekając na jego pozwolenie, owinęła się kocem.

• Chodźmy — powiedział.

• Czy nie mogłabym pójść sama?

• Nie ma mowy, skarbie. Idziemy.

Przez kuchnię i mały korytarz przeszli do łazienki.

Baxter usiadł na krawędzi wanny, ona na muszli. Zrobiła siusiu, unikając jego spojrzenia. Podtarła się papierem toaletowym, wstała i wróciła na korytarzyk. Łańcuch nie pozwalał jej stawiać zbyt dużych kroków. Weszła do kuchni, ale zagroził jej drogę do lodówki.

• Chciałabym zjeść coś ciepłego. Mogę coś zrobić.

• Zjesz, kiedy dam ci jeść. Usiądź, jeśli tyłek nie boli cię za bardzo, możesz zresztą stać albo położyć się na podłodze, a ja dam psu zjeść.

Podeszła do niewielkiego stołu i osunęła się ostrożnie na drewniane krzesło.

Otworzył lodówkę, na papierowy talerz położył dwa kawałki chleba i kilka plasterków zimnej wędliny. Rzucił to na stół.

-Jedz.

Przeżuwała chleb, a on patrzył. Jadła powoli. Była bardzo głodna, ale czuła się słabo.

Wyjął dla siebie z lodówki piwo, przed nią postawił pudełko mleka, ale nie dał jej szklanki. Usiadł naprzeciwko.

— Nie dostaniesz nic więcej, więc nie pros.

Annie zastanawiała się, czy to jest właściwa chwila, żeby normalnie z nim porozmawiać. Wydawał się uspokojony, zadowolony, może więc udzieli jej paru informacji. Odezwała się miłym głosem, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, jakby wcale jej nie bił i nie gwałcił.

•Jak dużo jedzenia mamy, Cliff?

•Dość na dwa do trzech miesięcy. Za tydzień nie będziemy już mieli nic świeżego, ale są puszki i suchy prowiant. I mnóstwo piwa.

•A potem?

•A potem pojedę do miasta i przywiozę więcej. Dlaczego pytasz? Chciałabyś gdzieś pojechać?

•Chciałabym tylko wiedzieć, kiedy wrócimy do domu.

•Jesteś w domu, króliczku.

•Mówię o naszym domu w Spencerville.

•Dlaczego chciałabyś tam jechać?

•Po prostu myślałam, że spędzimy tam trochę czasu.

•Naprawdę? — Uśmiechnął się. — Nie sędzę. Jesteśmy już parą emerytów, kochanie. Sprzedamy dom.

•Dobrze. Myślę, że to dobry pomysł. — Nie chciała pić z kartonu, ale łyknęła trochę, a potem zapytała obojętnym tonem: — Kiedy mogłabym zadzwonić?

•Kiedy zaczniesz żałować tego, co zrobiłaś.

•Ja żałuję, Cliff. Żałuję, że to się stało. Kiedy mi wybaczysz?

•Nigdy. Najwyżej pewnego dnia mogę uznać, że już cię dość ukarałem. Ale zanim ten dzień nadejdzie, czeka nas długa droga.

Skinęła głową, świadoma, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Wiedziała, że niebezpiecznie byłoby przypominać mu o dzieciach, które będą chciały przyjechać nad Jezioro Szare na Święto Dziękczynienia albo najpóźniej na Gwiazdkę. No i jeszcze była jej rodzina siostra, rodzice, a także jego rodzina. Przypominanie mu, że jest jakiś zewnętrzny świat, z którym się trzeba liczyć, mogło pogłębić jego paranoję. Jednak już wspominając o telefonach, zahaczyła o ten temat. Widziała, że on teraz o tym myśli.

•Gdybym zadzwoniła do kilku osób — powiedziała — nie zastanawialiby się, gdzie jesteśmy. Powiedziałabym, że właśnie wróciliśmy z Florydy i...

•Pozwól, że ja się tym będę martwił. Może w przyszłym tygodniu albo jeszcze później. Wszyscy na razie wiedzą, że spędzamy drugi miesiąc miodowy na Florydzie. Nie muszę się nikomu meldować. Wziąłem wolne i to tylko mój pieprzony interes, gdzie jestem, niczyj więcej. Dzieci już nie są dziećmi, mają własne życie i o nas nie dbają ani trochę. Zadzwonię do nich od czasu do czasu.

•Dobrze. — Skinęła głową. Spojrzała na niego. — Cliff, już przecież zapłaciłam za to, co zrobiłam, dostałam to, na co zasłużyłam. Czemu nie udamy, że nic się nie stało, i nie wrócimy do Spencerville? Prze cież chcesz wrócić do pracy, masz przed sobą jeszcze kilka lat służby. Zapewniam cię, że dostałam już nauczkę na całe życie i... bardzo przepraszam za to, co się stało. To się już nigdy więcej nie powtórzy. Poza

tobą nie potrzebuję żadnego innego mężczyzny. — Przyglądała mu się uważnie i widziała, że jej słowa trafiają do niego, że naprawdę je rozważa, więc ciągnęła: — Nie ma powodu zbyt długo tu zostawać. Wszystko, czego się tu nauczyłam, jak cię zadowalać i uszczęśliwiać, mogę przecież robić w Spencerville. Jeśli wrócimy szybko, nie trzeba będzie odpowiadać na zbyt wiele pytań. Prawda?

Milczał przez chwilę, potem wstał, ale nie odpowiadał. Spojrzał na nią, ona też się podniosła i zwinęła szczelniej kocem. Stali twarzą w twarz. Widziała, że toczy się w nim jakaś wewnętrzna walka. Nie miała pojęcia, ile z tego, co zrobił, było skutkiem gniewu, a ile choroby psychicznej. Ale, przerażało ją to, że się nie uspokajał, lecz jego wściekłość pogłębiała się w ciągu tych trzech dni.

Wreszcie uśmiechnął się i powiedział łagodnie:

— Wygląda na to, że chciałabyś wrócić do dawnego życia, tyle że lepszego.

-Tak.

•To znaczy, że mnie kochasz. Nie proponowałabyś tych wszystkich miłych rzeczy mężczyźnie, którego nie darzysz uczuciem.

•Nie, nie proponowałabym.

•Czy mnie kochasz? — zapytał. Nie odpowiedziała.

•Powiedz, że mnie kochasz.

Wiedziała, że powinna to powiedzieć, bo jeśli tego nie zrobi, zorientuje się, że wszystko, co mówiła wcześniej, jest kłamstwem.

•Powiedz mi, że mnie kochasz.

•Nie kocham.

•Tak myślałem. Aleja ciebie kocham.

•Gdybyś mnie kochał, nie robiłbyś mi tego.

- Nie zrobiłem ci nic, do czego byś sama nie doprowadziła. Czy traktowałem cię tak, zanim rozłożyłaś nogi dla innego?
 - Ty... Nie, nie traktowałeś.
 - Widzisz? Po prostu nie chcesz ponieść kary. Nie lubisz brać odpowiedzialności za własne czyny. To jest właśnie wada kobiet. Zawsze liczą, że im ujdzie na sucho. To wy jesteście winne, że Spencerville tak się zmieniło. Tym razem nie pójdzie ci tak łatwo.
 - Tobie też nie.
 - A to co, do cholery, ma znaczyć? Nie odpowiedziała.
 - Chcesz kolejne lanie? -Nie.
 - No myślę. Więc nie kochasz mnie. Ale pokochasz. I kiedy wreszcie to powiesz, będzie to prawda. Powiesz to ze szczerego serca. I po słuchaj jeszcze, nawet wykrywacz kłamstw poinformuje mnie wtedy, że mówisz najprawdziwszą prawdę. Aleja nie będę potrzebował żadnej maszyny, słoneczko, ponieważ kiedy ten dzień nadejdzie, będę wiedział. I ty również.
 - Nigdy.
 - Zapamiętaj swoje słowa. A na razie ciesz się, że wciąż cię Kocham, bo inaczej już byś nie żyła. Gdy będziesz odmawiać wieczorem pacierz, nie zapomnij się pomodlić, żebym rano nadal cię kochał.
 - Kiedy się będę modlić, Cliff, pomodlę się za twoją duszę i poproszę Boga, żeby ci wybaczył, bo ja nie mogę. Nie podobało mu się to.
 - Idź, przypnij się do podłogi — powiedział.
- Odwróciła się i wyszła z kuchni, uklękła koło fotela przy ogniu. Stał za nią, patrząc, jak przez szklę przeciąga łańcuch i z trzaskiem zamyka kłódkę. Owinęła się w koc i usiadła.
- Pogrzebał w ogniu i dołożył polano, potem przez chwilę patrzył w płomienie. Jeden z psów zaszczekał znowu, ale on jakby tego nie zauważył. Odwrócił się i spojrzał na nią.
- Mówiłem ci, że kiedy już z tobą skończę, nie będziesz sobą. Nie będziesz chciała wrócić do Spencerville. Przyzwyczaj się do tej myśli, Kochanie. Zostaniemy tu na zawsze. —Wskazał na głowę wilka nad kołminkiem. — Tylko ja, ty i one jako towarzystwo.
- Annie odwróciła od niego wzrok, zapatrzyła się w ogień. Po policzku spłynęła jej łza.
- Zapalił małą lampkę stojącą na stoliku przy jego krześle, a potem zgasił górne światło. Usiadł i zagłębił się w lekturze pisma dla myśliwych. Po kilku minutach podniósł wzrok i powiedział normalnym, prawie konwersacyjnym tonem:
- Ale powiem ci coś jeszcze. Gdzieś tam jest facet, który cię pieprzył, i jeśli moi chłopcy go złapią i przywiozą tutaj albo jeśli on się tu pokaże i ja go złapię, to po jego śmierci mogę przemyśleć sprawy. Ale na razie zostaniesz ze mną. Możesz sobie myśleć o tym skurwielu, ile ci się podoba, ale już nigdy go nie zobaczysz, chyba że jak rzucam go psom na pożarcie.
- Annie otarła kocem łzy.
- Nie płacz, Kochanie. Wiem, że się o mnie martwisz, ale ja potrafię zadbać o siebie. To już do ciebie dotarło, prawda? — Roześmiał się i wrócił do lektury pisma. — Dziwka!
- Annie siedziała w fotelu. Czuła zimno, gniew i ból, była wykończona. To był zły dzień, a przyjdą następne. Spojrzała na Cliffa, potem zamknęła znowu oczy i pomyślała o Keicie. Czuła w sobie jego obecność i próbowała sobie wyobrazić, że jest gdzieś w pobliżu. Przypomniała sobie jego słowa: Jeśli nawet będziemy rozdzieleni na krótko, pamiętaj, że cię Kocham i wiem, że znowu będziemy razem".
- Obiecuję.
- Co?
- Nic.
- Zajął się znowu czytaniem.
- Idę o zakład, że wiem, o czym myślisz, i może cię zdziwi, ale ja myślę o tym samym. I też mam nadzieję, że on tu przyjdzie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

K

Keithowi trudno było tak siedzieć i czekać, ale wiedział, że im późniejsza godzina, tym większa szansa, że zaskoczą Baxtera. Atakujący, przypominał sobie, zawsze ma przewagę dzięki zaskoczeniu i możliwości przemieszczania się, nie wspominając o psychologicznym aspekcie nastawienia do walki. Obrońca zaś góruje dzięki temu, że sam wybiera miejsce, sam je przygotowuje i w konsekwencji ma przewagę wynikającą z pewności siebie. Pewność siebie jednak może stać się przyczyną złudnego poczucia bezpieczeństwa.

Billy wyciągnął z kieszeni torebkę celofanową i rozerwał ją.

—Chcesz orzeszków?

-Nie.

Billy chrupał orzeszki.

- Może nie będziemy musieli zabijać psów — powiedział. — Teraz, kiedy zobaczyłem jego twierdzą, uważam, że możemy go załatwić, nawet nie podchodząc pod dom. Zajmiemy po prostu pozycję na skraju polany, pohałasujemy, psy zaczną szczekać, on wyjdzie na ten wygodnie wysoko położony taras i odstrzelimy mu jaja.
- Ma kamizelkę kuloodporną.
- Pieprzyć kamizelkę. Kiedy kule zaczną walić, ranimy go nawet w kamizelce. A może uda nam się trafić w ramię albo w nogę, albo i w jego pieprzony łeb. Co o tym myślisz?
- Pomysł w zasadzie mi się podoba. No, dobrze, załóżmy, że on teraz już leży. I co dalej?
- Biegniesz szybko, te sto jardów do domu i na taras zabierze jakieś dwanaście, może trzynaście sekund. Aja tu leżę i cię osłaniam, więc gdy tylko on podniesie swój gruby tyłek, przyspiłam go znowu. Jeśli coś z niego w ogóle zostanie, kiedy go dopadniesz, poderzniesz mu gardło. Potem ja przyjdę i wypruję z niego flaki. Nie żartuję, Keith, naprawdę zamierzam to zrobić. A na koniec, jeśli chcesz, możesz podpalić cały ten dom. Jak uważasz, pułkowniku.

Keith zerknął na Billy'ego. Najwyraźniej facet dobrze się bawił. Ale miał powody.

—Standardowe podpalenie. Niezły pomysł. Bezpieczny.

—Tak. Podłożenie ognia zawsze jest bezpieczne, a facet, który biegnie do domu, musi ufać temu, który go kryje. Dobrze strzelasz?

—Nieźle. A ty?

Marlon się zawahał.

— Kiedyś byłem najlepszy. Teraz zależy... jak mi się ręka nie trzęsie...

- Czy może ci się nie trząść?
- Na tego skurwiela będzie jak skała.

Keith skinął głową. Zastanawiał się nad planem Billy'ego. W szkole piechoty dostałby pochwałę. Ale tu trzeba było wziąć pod uwagę jeszcze inne rzeczy. Po pierwsze, zakładniczkę. A po drugie, pragnął stanąć z Baxterem twarzą w twarz. Tego nie uwzględniano na zajęciach z taktyki, a nawet w czasie zajęć w szkole wywiadu. Zemsty człowiek się uczy samodzielnie.

- Jest szansa — powiedział — że Baxter zdoła się ukryć, zanim porządnie go zranimy. Może przejść na drugą stronę domu, której nie będziemy widzieli, lub co gorsza, wrócić do środka.
 - Tak, ale...
 - Posłuchaj. Sto jardów to nie jest duża odległość na strzał, ale w nocy i kiedy przeciwnik nosi kamizelkę, może się nie udać. Nie chcę, żeby się zamknął w domu.
- Billy skinął głową, ale powiedział:
- Dlatego właśnie musieliśmy gnać jak szaleni, gdyśmy mieli wokół siebie setkę żółtków chcących nam odstrzelić tyłek. Dopadniemy go, zanim zdąży się pozbierać. Nawet jeśli zdoła wejść do środka, będzie ranny.
- On ją zabije.
 - Keith, trafimy go, ponieważ żaden z nas nie chybi na taką odległość, mamy celowniki teleskopowe. Jeśli nawet dostanie się do domu, będzie myślał tylko o nas. Nie ona będzie mu w głowie.
 - Może.
 - Masz jakiś inny pomysł?
 - Tak, mam. Nie chcę, żeby któremuś z nas udało się przez przypadek strzelić mu w głowę. Nie chcę, żeby umarł szybko. Musisz o tym wiedzieć.

Billy pokiwał wolno głową.

— Taa... coś takiego już mi przeszło przez myśl. Posłuchaj, ja też nie chcę, żeby w jednej chwili stał, a w drugiej leżał z dziurą w głowie, bez cierpienia, bez wiedzy, kto mu to zrobił. Do diabła, ja też chcę wziąć go żywcem. Żywcem, Keith. I patrzeć w jego oczy, gdy będę mu wyjmował wnętrzności. Ale jeśli myślisz, że uda nam się podczołgać do domu i przyłapać go dłubiącego w nosie, to ja tego nie kupuję. Takich nerwów to ja nie mam. A ty ?

-Mam.

— W takim razie idź, ja będę cię osłaniał od strony lasu. Ale najpierw musisz załatwić psy.

- Wiem. Dlatego właśnie kupiłem kuszę. Mało skomplikowane technicznie problemy rozwiązuje się za pomocą mało skomplikowanych technik.

- Pewnie tak. Tyle tylko że to, co chcemy zrobić, i to, co możemy zrobić, to dwie różne sprawy. Ja ci powiedziałem, jak bezpiecznie możemy wykończyć tego drania, a ty mi opowiadasz o jakimś komandoskim gównie.

- Billy, tak czy owak twoja rola pozostaje taka sama. Siedzisz między drzewami i mnie osłaniaasz.

- Posłuchaj, ja tam się nie martwię o moją beużyteczną dupę. Ale nie chcę, żeby ci się coś stało, kiedy będziesz się wystawiał na otwartym polu do odstrzału, nie chcę też, żeby on czekał na ciebie, kiedy dotrzesz do chaty. Tam ci już, stary, nie pomogę. W moim rozwiązaniu, jak dotrzesz na taras, on będzie albo martwy albo ciężko ranny. Tak czy siak będę mógł go wypatroszyć.

Keith wziął głęboki wdech i oznajmił:

- Chcę go wziąć żywcem.

- Nie ma takiej możliwości.

- Jest. Chcę go związać, wsadzić do ciężarówki i zawieźć do przedstawicieli prawa. Namyslałem się długo, i to właśnie chcę zrobić. Zastanów się nad tym.

- Już myślałem, Keith. Wiem, o co ci chodzi. On by wolał umrzeć, niż usłyszeć werdykt sądu. Ale coś ci powiem, pieprzone prawo działa dziwnie. Temu sukinsynowi mogłoby to ująć na sucho.

Keith się zamyślił. Poza upokorzeniem, jakie by spotkało Baxtera, rok lub dwa później rzeczywiście mógłby wyjść na wolność. Był człowiekiem chorym i władze stanu zgodziłyby się pewnie z jego adwokatem, że potrzebna mu terapia. Przeżył szok, zobaczywszy swoją żonę w łóżku z uwodzicielem spoza miasta, i zachował się tak, jak każdy prawdziwy mężczyzna powinien się zachować. Pobił faceta, a potem zamiast wyrzucić żonę z domu, zabrał ją na wakacje, żeby wyjaśnić sprawę. Może trochę przesadził, ale właśnie dlatego potrzebuje lekarza. Keith po namyśle doszedł do wniosku, że mimo obietnicy złożonej Annie musi zabić Baxtera.

- Dobrze — powiedział. — Zniszczymy go. Ale chcę to zrobić z bliska. On musi wiedzieć, że ma do czynienia z tobą i ze mną.

- W porządku... jeśli ci to potrzebne. Ja się zgadzam. Mam nadzieję, że nam się uda.

-Uda.

- Posłuchaj, jak już skończymy z tym gównem, pojedę do Columbus poszukać jej. Nie mogłem tego zrobić za jego życia. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Nie mogłem spojrzeć ludziom w oczy, Keith. Włóczyłem się po mieście, spotykałem go na ulicach, a on śmiał się ze mnie. Od czasu do czasu, kiedy spotykał mnie pijanego, aresztował mnie, zmuszał do rozebrania się do naga, że niby rewizja osobista, robił mi zdjęcia i mówił, że wysłał je Beth. Te, na których on stoi obok mnie.

Keith nie odpowiedział.

— Pewnie się zastanawiasz, czemu tam się plątałem. Powiem ci. Ponieważ zbierałem siły, żeby go zabić. Ale nigdy nie starczało mi zimnej krwi. Do chwili kiedy ty przyjechałeś. Pamiętaj, jeśli mnie się nie uda...

— W porządku. Dość. — Keith spojrział na towarzysza opartego o drzewo, zapatrzonego w ciemność. Billy Marlon, pomyślał, trzeźwy i ze zdolnością widzenia spraw jasno, charakterystyczną dla zagubionych dusz, prawdopodobnie przewidywał własną śmierć. Keith obawiał się, że jego przewidywania mogą się sprawdzić. Billy osiągnął je den z tych rzadkich momentów, kiedy życie i śmierć są równie dobre.

Czekali, nasłuchując dźwięków wydawanych sporadycznie przez jesienny las. Keith podniósł wzrok na księżyc, który wisiał teraz nad ich głowami. Schowa się za jakieś trzy, może cztery godziny. To dobry moment na rozpoczęcie akcji, tyle tylko że potrzebował światła księżyca, jeśli ma ustrzelić psy z kuszy.

Nie chciał myśleć o tym, co się dzieje w chacie, lecz nie mógł przestać. Bez wątplenia zaborczość Cliffa Baxtera przemieniła się w coś znacznie gorszego. Będzie bił Annie, upokarzał ją i karał za jej niewierność. Był sędzią, wreszcie znalazł usprawiedliwienie dla swoich chorych fantazji seksualnych w rozgrywkach z kobietą, której nigdy nie

udało mu się do końca złamać. Keith wierzył z całego serca, że jeszcze jej nie złamał. I kiedy się spotkają, Annie będzie taka, jaka była — pobita i pokrwawiona, ale nie ukorazona.

Próbował się skoncentrować na tym, co miało nadejść. Musi zachowywać się racjonalnie, chłodno, wykazać równie dużo sprytu jak Baxter. Baxter jeszcze jej nie zabił, ale był w trakcie swojej gry. A ta gra była najbardziej niezwykłą sprawą, jaka się przydarzyła Baxterowi w życiu, więc nie skończy jej szybko. Dopiero w ostatniej chwili. I właśnie w tej ostatniej chwili, kiedy się spotkają twarzą w twarz, wszystko się zbiegnie: uwolnienie, zemsta i zapłata — wszystko o wiele za późno.

- Mam uczucie, jakby on wiedział, że tutaj jesteśmy — powiedział Billy. — To znaczy tak naprawdę nie wie, ale przeczuwa.
 - To nie ma znaczenia — odparł Keith. — Ani dla niego, ani dla nas. To nic nie zmienia.
 - Racja. Sam wlaź do narożnika. — Billy zastanawiał się przez moment. — Podejrzewam, że my też siedzimy w narożniku. Niby możemy się ruszyć, ale w gruncie rzeczy wcale nie. Wiesz o tym?
 - Wiem.
 - Przydałby mi się papieros.
 - Chciałbyś się napić?
 - No... a masz coś?
 - Nie. Ja tylko pytam, czy czujesz taką potrzebę.
 - Ja... tak. Ale... poczekam.
 - Posłuchaj, może uda ci się potem poskładać życie do kupy, jeśli odstawisz procenty.
 - Może.
 - Pomogę ci.
 - Zapomnij o tym. Jesteśmy kwita. Czy pomyślałeś kiedyś, że nieźle nam przypieprzono?
 - Taa. No i co z tego? Każdy weteran od czasów pierwszej wojny światowej może to powiedzieć. Nawet najdłuższa i najstraszniejsza wojna nie może nam zrobić nic gorszego, niż my sami sobie.
 - Mów za siebie. Zawsze byłeś dobrze poukładany. Ja nie potrafiłem tyle wytrzymać.
 - Przykro mi.
 - Powiem ci coś jeszcze, Keith... Jeśli nie uważasz, że choć trochę jesteś popieprzony, to znaczy, że nie słuchasz dzwonek i gwizdków w swojej głowie.
Keith nie odpowiedział.
Przesiedzieli kolejną godzinę, przeważnie w milczeniu. Wreszcie odezwał się Billy:
— Pamiętasz mecz z Findlayami? Byliśmy wtedy w ostatniej klasie.
-Nie.
— Grałem tego dnia w pomocy, przegrywaliśmy siedem do dwu nastu. Przyspili mi w narożniku, nie miałem gdzie się ruszyć, ale rzuciłem piłkę do ciebie. Ty grałeś tego dnia w obronie. Te skurczybyki ruszyły na ciebie, ale podałeś piłkę daleko, aż pod linię końcową, do tego... jak też on się nazywał... do Davisa. Zgadza się? Nawet się nie zorientował, że powinien odebrać tę piłkę, ale akurat się odwrócił, piłka wylądowała mu w rękach, więc przebiegł linię końcową i wykonał przyłożenie. Czysto. Pamiętasz to?
-Tak.
• To była gra. I coś ważnego wtedy zrozumiałem. Nawet jeśli jest już całkiem źle, można to przełamać. Ciekaw jestem, czy wciąż mają film z tego meczu?
 - Pewnie tak.
 - Chciałbym go zobaczyć. A pamiętasz Baxtera z czasów ogólniaka?
 - Nie... chociaż właściwie tak.
 - Zawsze był z niego dupek. Przyłożyłeś mu kiedyś?
 - Nie, chociaż powinienem był.
 - Nigdy za późno na wyrównanie rachunków.
 - Tak właśnie on myśli i dlatego tu jesteśmy.
 - Taa... Ale my nigdy nic mu w szkole nie zrobiliśmy. Ja nigdy nic mu nie zrobiłem. On po prostu lubi przypieprzać ludziom. Nie rozumiem, dlaczego nikt mu nie oddał już dawno temu.
 - Wybiera słabych przeciwników — odparł Keith.
 - Na ciebie to on jest naprawdę wkurzony. — Billy roześmiał się i dodał: — Wiesz co, po naszym pierwszym spotkaniu w barze, następnego dnia, gdy już mogłem myśleć jasno, przypomniałem sobie o tobie i Annie Prentis. I wtedy przyszła mi do głowy szalona myśl, że ty i ona powinniście się spotkać i wrócić do siebie. Co powiesz na to? Nieźle to wykombinowałem?
- Keith nie odpowiedział.

— Podejrzewam, że i jemu coś takiego przyszło do głowy — kontynuował Billy. — Wiesz, widywałem ją od czasu do czasu w mieście... W szkole nigdy jej zbyt dobrze nie znałem, a jednak ponieważ byliśmy kumplami ze starej budy, ona zawsze uśmiechała się do mnie i mówiła „cześć”. Czasami nawet zatrzymywała się na chwilę, żeby zapytać, co porabiam. Stawałem wtedy i nie mogłem wydusić z siebie słowa, bo myślałem sobie tak: Twój mąż pieprzy się z moją żoną, powinienem ci to chyba powiedzieć. Ale oczywiście nigdy tego nie powiedziałem. I nie chciałem też stać z nią za długo, bałem się, że jak on nas zobaczy, zrobi coś nieprzyjemnego mnie albo jej.

—Może jednak powinienem pozwolić ci wypatroszyć go żywcem —powiedział Keith.

—Do tego niepotrzebne mi twoje przyzwolenie — oświadczył Billy. Ta uwaga nieco zaskoczyła Keitha, ale był to dobry znak.

— Umówiliśmy się, kto tu wydaje rozkazy — powiedział.

Billy milczał.

Przeszła kolejna godzina, robiło się coraz zimniej. Keith spojrzął na zegarek. Dziesiąta wieczór. Nie mógł już usiedzieć, ale było za wcześnie na pierwszy ruch. Baxter nie będzie jeszcze rozespany, przeciwnie —czujny. Psy również.

Księżyc przesunął się na południowo-zachodnią stronę nieba, Keith obliczył, że jeszcze przez dwie, może nawet trzy godziny będzie widno.

— Dobra — powiedział — zrobimy to w taki sposób: pozbędziemy się psów przy księżycu, potem poczekamy, aż księżyc zajdzie, i wtedy ja przemknę się przez polanę, ty mnie będziesz osłaniał. Dostanę się na taras i usiądę oparty plecami obok oszklonych drzwi. W porządku?

•Jak na razie.

•Teraz musisz go wyciągnąć z chaty. Czy potrafisz udąć szczekanie psa?

•Pewnie.

•Dobrze. Zaszczekasz, on wyjdzie, tak jak przedtem, tylko że teraz ja będę czekał na niego z rewolwerem. Proste i bezpieczne. Widzisz jakieś problemy?

•Brzmi nieźle... ale w teorii zawsze wszystko jest proste, prawda?

—Tak. I czasami nawet zgadza się z praktyką.

Billy się uśmiechnął.

•Pamiętasz, jak przygotowaliśmy strategię przed meczami? Każdy gracz mógł wykonać przyłożenie. Tak samo w wojsku. Nigdy ci nie pokazują, co się stanie, jeśli kilku twoich chłopców zginie. I nigdy się nie wie, jakie sztuczki wymyśla druga strona, żeby ci przypieprzyć.

•Takie jest życie.

•Taa. — Billy zastanawiał się przez moment. — Myślę, że sam dość spieprzyłem. Nie potrzebowałem wcale innych, żeby mi dopomogli. Ale minęło sporo czasu i chyba złapałem oddech.

Czekali w chłodzie nocy, otuleni w poncha. O dwunastej Keith podniósł się, zrzucił poncho na ziemię i powiedział:

— Ruszamy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

C

liff Baxter odłożył pismo i ziewnął. Dopił piwo z puszki, wyciągnął garść precli z torby i zjadł je. Spojrzął na żonę, która kołysała się w fotelu na biegunach, i rzucił kilka precli na jej koc.

—Żebyś nie mówiła, że cię nie karmię.

Nie zwróciła uwagi na precle i nie odpowiedziała.

•Gotowa do łóżka, kochanie? — zapytał.

- Nie, chcę tu siedzieć — odparła, wciąż patrząc na przygasające płomienie.
- Taa? Całą noc? -Tak.
- To do kogo ja mam się przytulić?
- Nie do mnie. Ja będę przykuta do łóżka.
- Przypięta kajdankami, ale bez łańcucha.
- Jąkato różnica?
— Daj spokój, gdybym ci mógł zaufać, nie przypinałbym cię ani do podłogi, ani do łóżka. Czy mogę ci ufać?
-Tak. Roześmiał się.
- Jasne, mogę być pewien, że mi przestrzelisz mózg.
- Czyżbyś się mnie bał? — Spojrzała na niego.
 - Obawiam się każdego — zmrugał oczy — kto może pociągnąć za cyngiel. Nie jestem głupi.
- Nie, nie jesteś — odparła. — Ale jesteś... -Co?
- Nie ufasz ludziom, Cliff. Czy ty wiesz, co to znaczy zaufanie?
 - Nie. Dlaczego miałbym komukolwiek ufać? Dlaczego miałbym ufać tobie?
 - Czy jeśli dam ci słowo, że nie będę próbowała cię zabić, odepniesz mnie?
- Nie. Czemu robisz takie wielkie halo z powodu tych kajdanek?
- Dlaczego? Bo nie chcę być przywiązana jak zwierzę. Dlatego.
 - O, nie chcesz być przywiązana jak zwierzę. Zwierzęta mają więcej swobody. — Roześmiał się. — Jesteś związana jak przestępca przyłapany na gorącym uczynku. Te psy, które trzymam koło domu, nigdy nie zrobiły nic złego, więc mogą biegać w promieniu stu jardów czy coś koło tego. Ty się pieprzyłaś, miałaś dobrą zabawę. Może za parę tygodni przywiążę cię do tego sznura, na którym jest teraz uwiązana moja suka, i będziesz mi wdzięczna. Annie wzięła głęboki oddech.
- Cliff... przecież miałam sposobność cię zabić. Nie ma we mnie żądy mordy. Proszę, uwierz mi... przecież to wiesz. Sam to powiedziałeś. Pozwól mi dzisiaj spać bez kajdanek. Nie mogę spać, kiedy mam ręce przykute do zagłówka. Proszę. Przysięgam, że nie zrobię ci krzywdy.
- Taa? Ale to wcale nie znaczy, że nie obudzę się przykuty do łóżka, a ty nie znikniesz. Zgadza się? Zgadza się?! Nie musisz się silić na odpowiedź. — Pochylił się ku niej. — To mi coś przypominało. Kiedy następnym razem będzie ci się chciało sikać, zrobisz to pod siebie, tu, gdzie jesteś.
- Cliff, proszę...
 - A potem to posprzątasz. Ale w łóżku nie. — Znowu ziewnął. — Więc wolisz spać przez całą noc na tym cholernym fotelu niż ze mną?
Potrząsnęła głową.
 - Nie... przepraszam. Nie chcę tu siedzieć całą noc. Pójdę do łóżka. Muszę iść do łazienki.
 - Tak? Mam lepszy pomysł. Zostań tutaj i ulżyj sobie. — Ściągnął z niej szarpnięciem koc i odrzucił go na drugi koniec pokoju. — Prze-chłódź swoją cipę i sikaj na krzesło.
- Skurwiel.
Uszczypnął ją boleśnie w policzek.
—Rano czeka cię kolejne dziesięć pasów. Możesz o tym myśleć przez całą noc. I nie licz na śniadanie. Będziesz siedziała tu we własnych szczyinach i wachała dochodzący z kuchni zapach bekonu i jajecznicy.
Podszedł do stojaka na broń, odpiął i wyciągnął AK-47, potem zapiął łańcuch.
—I tak wolę spać z karabinem niż z tobą. Jest cieplejszy, niż ty kiedykolwiek byłaś.
Siedziała w fotelu, obejmując się ramionami i spoglądała na żarzące się węgle.
- Czy chcesz, żebym dorzucił polano? — zapytał. Nie odpowiedziała.
- I tak bym tego nie zrobił.
 - Cliff, proszę... — spojrzała na niego. — Przepraszam. Nie zostawiaj mnie tutaj. Zimno mi, muszę...
 - Mogłaś pomyśleć o tym, zanim otworzyłaś jadaczkę. Pamiętasz tego dobermana, który cały czas na mnie szczekał, a nawet raz mnie ugryzł? Ludzie mi mówili, że powinienem go zastrzelić. To może zrobić każdy. Dwa miesiące mi zabrało, żeby mu pokazać, kto jest panem. Po-tem był to jeden z najlepszych psów, jakie kiedykolwiek miałem. Z tobą też tak będzie, słoneczko. Wstała.
- Nie jestem psem. Jestem osobą, człowiekiem. Jestem twoją żoną...
- Nie! Byłaś moją żoną. Teraz jesteś moją własnością.
- Nie jestem!
Cliff pchnął ją, aż opadła na oparcie fotela. Stał nad nią długo, wreszcie odezwał się kpiąco:
— Skoro jesteś moją żoną, powinnaś nosić obrączkę, a jakoś jej nie widzę. Jak znajdziesz obrączkę, wrócimy do rozmowy o tym, czy jesteś moją żoną. Gdzie ją zgubiłaś?

Milczała.

— Do diabła, niepotrzebna ci obrączka. Masz kajdanki i łańcuch. Tyle tylko że powinienem być ci je założyć wiele lat temu. I jeszcze pas cnoty, żeby trzymać twoją gorącą cipę z daleka od kłopotów. Bóg wie, że nie traktowałeś poważnie przysięgi małżeńskiej.

-Ty...

— Co? Chcesz mi powiedzieć, że ja też sobie używałem? No i co tego? Powiem ci coś... tamte kobiety nic dla mnie nie znaczyły. Gdybyś ty po rządnie spełniała swoje obowiązki, nie szukałbym przyjemności gdzie indziej. Ale ty musiałaś się zakochać! Nie było tak?

Nie odpowiedziała.

Nachylił się nad nią. Odwróciła głowę.

— Spójrz na mnie.

Zmusiła się, żeby mu spojrzeć w oczy.

— Myślisz, że kiedykolwiek zapomnę to, co się stało w tym motelu? Nie chodzi mi o to, że się z nim pieprzyłaś. Do diabła, wiele razy wyobrażałem sobie, jak pieprzysz się z innymi facetami. Chodzi mi o to, jak skoczyłaś na mnie, żeby on mógł... żeby on mógł mnie zabić. Siedziałaś na mnie, nie dałaś mi zmiażdżyć jego pieprzonej głowy. Myślisz, że zdołam kiedykolwiek o tym zapomnieć?

-Nie.

— Właśnie. Nigdy.

Keith i Billy kłęczeli na skraju polany.

Podczas gdy Billy pilnie lustrował teren przez celownik teleskopowy, Keith skierował lornetkę prosto na dom. Nadal paliło się tam światło, ale teraz jaśniało to okno, w którym przedtem mignęła mu Annie, pośrodku domu, w miejscu, gdzie wznosił się komin. Takie oświetlenie musi dawać lampa stojąca na stole. Nie paliło się żadne inne światło, nie widać też było odbłasku kominka, chociaż dym wciąż unosił się z komina. Płynął nadal w ich stronę, co było dobre ze względu na psy.

Nie odrywał wzroku od domu. W oknie nic się nie poruszyło, nie widział również zimnej, niebieskawej poświaty telewizora, który odwracałby od nich uwagę. Gdyby Keith miał zgadywać, co się w tej chwili dzieło w domu — a rzeczywiście zgadywał — powiedziałby, że albo jedno z nich, albo oboje jeszcze nie śpią, siedzą przy zamierającym ogniu, może czytają, może rozmawiają. Zakładał również, że Annie jest w jakiś sposób unieruchomiona lub Baxter bez przerwy jej pilnuje.

Przeniósł wzrok na otwartą przestrzeń wokół domu. Doberman rozciągnął całą linę i leżał od strony jeziora. Prawdopodobnie spał. Kawałek dalej zauważył drugiego psa; jego sylwetka przesuwała się na tle lśniącej wody. Ten najwyraźniej również był na uwięzi, ale jego linka biegła wzdłuż jeziora. Trzeci pies, którego nie mógł w tej chwili dostrzec, musiał być gdzieś za domem. Baxter na długo przedtem, nim uznał za konieczne przywarować w jamie, zadbał o środki bezpieczeństwa. Keith podejrzewał, że gdyby sam prowadził takie życie, też by tak postąpił.

Opuścił lornetkę, a Billy odłożył karabin. Trwali prawie bez ruchu. Ze względu na psy mogli tylko szeptać sobie do ucha.

— Coraz gorsza widoczność — mruknął Billy.

Keith przytaknął.

Księżyc opuścił się nad południowo-zachodni skraj jeziora, niemal częściowo skrył się za najwyższymi sosnami. Keith chętnie doczekałby do całkowitej ciemności przed świtem, kiedy psy i ludzie śpią najmocniej. Ale jeśli zlikwiduje psy teraz, kiedy jeszcze są widoczne, będzie się czuł bezpieczniej, pokonując otwartą przestrzeń między drzewami a domem. Żeby tylko światło w domu zgasło, zanim księżyc się skryje za drzewami.

Keith patrzył na dom bez lornetki. Im dłużej patrzy, pomyślał, tym bardziej złowieszczy mi się wydaje ten ciemny trójkątny kształt, wznoszący się nad ziemią, skąpany w blasku księżyca i otoczony obszarem śmierci. Mgła nad jeziorem podnosiła się teraz, potęgując jeszcze ponury nastrój tego odludzia. Keith próbował sobie wyobrazić, co się dzieje w tym domu, co Annie i Cliff mówią, myślą i czują teraz, gdy oboje już wiedzą, że koniec jest bliski.

Annie wciąż patrzyła na Cliffa i po raz pierwszy od trzech dni, może nawet po raz pierwszy od lat, ich spojrzenia się spotkały. Nie kochała go od bardzo dawna i oboje to wiedzieli, a ostatnio nie obchodził jej już nawet jako człowiek. Ale nigdy nie chciała, żeby cierpiał, mimo wszystkiego, co jej zrobił. A teraz, chociaż tak bardzo ją dręczył, litowała się nad nim, bo jego ból był autentyczny i głęboki. Nie było w niej żadnego przywiązania do męża — to zabił już dawno temu. Ale było jej przykro z powodu tego, co zobaczył w motelu.

Wydawał się czytać w jej myślach.

•Ze mną nigdy byś tego tak nie robiła— powiedział. — Nawet dwadzieścia lat temu.

- Nie zrobiłabym. Przykro mi, Cliff, naprawdę. Możesz mnie bić i gwałcić, ale jedyne, co do ciebie czuję, to litość. Może powinnam cię była zostawić wcześniej. A ty powinieneś być pozwolić mi odejść.

Milczał, ale wiedziała, że przynajmniej część z tego, co mówiła, trafia do niego. Wiedziała, że jej słowa zranią go jeszcze bardziej, ale w sytuacji, kiedy życie sprowadzone zostało do tego, co najważniejsze, nadszedł czas na uczciwość. Nie sądziła, by jej słowa wyrwały go z szaleństwa, w które popadł, raczej wepchną go jeszcze głębiej. Ale jeśli ona ma umrzeć, niech wie, co czuła w ostatniej chwili.

Keith poczuł znajomy spokój przed bitwą, jakby to, co się działo, wcale go nie dotyczyło. Wiedział, że takie uczucie ogarnia przed akcją większość mężczyzn, ale potem, kiedy się wszystko zaczyna, dostaje się kopa adrenaliny.

Myślał o Annie. Miał nadzieję, że wierzy, iż przyjdzie jej z pomocą, że polega na nim i trzyma się, nie popychając Baxtera na krawędź szaleństwa.

Baxter wyciągnął pistolet z kabury.

—To jego broń — powiedział. — Ukradłem ją z jego domu. Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli cię zabiję, to z jego pistoletu.

- No i co z tego? Wymierzył w nią.
- Chcesz mieć to już za sobą? Spojrzała na czarnego glocka.

— Ty podejmiesz decyzję. Nic, co powiem, nie ma dla ciebie znaczenia.

- Ależ ma. Kochasz mnie? -Nie.
- Kochasz jego? -Tak.

Patrzył znad lufy pistoletu, potem przystawił go do własnej głowy i odbezpieczył.

- Chcesz, żebym pociągnął za spust? -Nie.
- Dlaczego nie?
- Ja... Cliff, nie...
- Nie chcesz zobaczyć, jak mój mózg się rozpryskuje?
- Nie. — Odwróciła głowę.
- Spójrz na mnie.

-Nie.

—Nieważne. Jeśli strzelę sobie w tej chwili w głowę, będziesz tutaj umierać powoli, przykuta do podłogi. Będziesz patrzeć, jak się rozkładam. Będziesz to czuć, tutaj, koło siebie, na podłodze.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Cliff... proszę, nie... nie torturuj mnie, nie torturuj samego siebie.
 - Więc kogo mam zastrzelić? Ciebie czy siebie, słodziutka? Które z nas?
- Przestań! Przestań!
- Zegnaj, kochanie...

Nagle zabrzmiał strzał. Keith i Billy przywarli do ziemi. Czekali, ale strzał nie powtórzył się, dochodziło ich tylko szczełanie psów.

•Czy to z domu? — wyszeptał Billy.

•Nie wiem. — Ale Keith podejrzewał, że tak. Nie był to bowiem odległy huk broni myśliwskiej, lecz odgłos nieco przytłumiony, jakby strzelano w zamkniętym pomieszczeniu. Podniósł lornetkę, zauważył, że trzęsą mu się ręce. W oknach nic się nie poruszyło. Pragnął jak najszybciej biec do tego domu, ale cokolwiek tam się stało, już się stało; było za późno, żeby temu zaradzić.

- Zachowaj zimną krew — wyszeptał Billy. — Nic nie wiemy.
- Nie, ale wkrótce się dowiemy.

Annie aż podskoczyła na huk eksplozji. Odwróciła głowę w stronę męża. Nadal tam stał, z pistoletem przy głowie i uśmiechem na twarzy.

—Chybiłem — powiedział. — Zsikałaś się? — Zachichotał cicho.

Znowu ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Cliff wziął kałasznikowa, kamizelkę kuloodporną i strzelbę powtarzalną, potem zgasił lampę. Dom pograżył się w ciemnościach. Słyszała jego oddech tuż przy sobie, a potem głos:

- Dobranoc, kochanie. Nie odpowiedziała.
- Powiedziałem: dobranoc, kochanie.
- Dobranoc.
- Nie lunatykuj. — Roześmiał się. Usłyszała, że wychodzi z pokoju.

Trwała chwilę bez ruchu, potem otworzyła oczy. Węgle żarzyły się jeszcze na kominku. Serce biło jej mocno.

Wzięła głęboki oddech. Mimo że zachowywał się tak irracjonalnie i ją przerażał, udało jej się posunąć mu pomysł i sprawić, żeby zachował się tak, jak sobie życzyła. Nie miał zamiaru zabijać ani siebie, ani jej tej nocy. Ale pragnął, żeby cierpiała, więc spodobał mu się pomysł — który uważał za swój — pozostawienia jej tutaj, nagiej i zziębniętej, na łańcuchu przyczepionym do podłogi. Jak na razie, wszystko idzie dobrze. Ma szansę, ale tylko jedną. Zsunęła się z fotela na podłogę i poczołgała w stronę kominka.

Keith patrzył, jak światło w domu gaśnie, potem pojawia się w oknie na tyłach domu, prawdopodobnie w sypialni. Po chwili i ono zgasło. Opuścił lornetkę. To, że ktoś w domu został właśnie zabity, a teraz druga osoba gasiła światła i udawała się na spoczynek, nie wydawało się logiczne. W krainie myśliwych często słyszy się strzały, nawet w nocy, a po jeziorze głos dobrze się niesie. Trudno określić, gdzie padł strzał.

Wziął się w garść i zerknął na Billy'ego, który patrzył na niego tak, jakby chciał coś powiedzieć. Obaj dobrze wiedzieli, że w tym momencie ich rozmowa ograniczy się do: idź, nie idź, wstrzymaj się. „Nie idź” nie wchodziło w grę. „Wstrzymaj się” kusiło. „Idź” było nieuniknione.

Keith zapytał:

- Gotów?
- Gotów.
- Ruszamy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

A

nnie pełzła po podłodze, łańcuch przesunął się przez kłódkę, dopóki kajdany na jej lewej kostce nie zetknęły się ze sworzniem w podłodze. Wyciągnęła prawą rękę po pogrzebacz oparty o kamienny kominek. Ale nie mogła go dosięgnąć.

Odpoczywała chwilę, nasłuchując. Z sypialni dobiegało chrapanie Cliffa. Sięgnęła, jak tylko mogła najdalej; pogrzebacz był blisko, ale wciąż poza zasięgiem dłoni.

Spróbowała jeszcze raz, wyciągając się z całych sił i tym razem musnęła pogrzebacz. Opadła bezsilnie. Zwolniony łańcuch uderzył z chrzęstem o podłogę; zamarła. Chrapanie ustało na moment, potem rozległo się znowu. Usiadła, rozglądając się po ciemnym pokoju. Ogień na kominku wciąż się żarzył, przez południowe okno wpadał blask księżycy. Potrzebowała czegoś, czym mogłaby sięgnąć. Nagle to zobaczyła. Przy kominku, oświetlony żarem, leżał duży precel, który upadł tam, kiedy Cliff zerwał z niej koc. Mały poczęstunek. Dziękuję ci, Cliff. Wzięła precel, jeszcze raz się wyprężyła i wyciągnęła rękę w stronę pogrzebacza.

Napięła wszystkie mięśnie, skatowane ciało przeniknął ból. Ale trzymała precel pewnie, aż wreszcie zahaczyła o rękojęść pogrzebacza. Pociągnęła. Żelazny pręt poleciał w jej stronę, złapała go, a potem opadła na podłogę, oddychając ciężko.

Wreszcie, upewniwszy się, że mąż nic nie usłyszał, przesunęła się w stronę fotela bujanego i usiadła na podłodze. Obejrzała łańcuch, kłódkę i sworzeń. Chyba jej się uda podważyć sworzeń i w jakiś sposób wyrwać go z podłogi. Albo wyłamać kłódkę. Albo wykręcić śruby mocujące sworzeń do podłogi. Przyłożyła koniec pogrzebacza do główki sworznia i zaczęła nim kręcić w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Gdy gwint zaskrzypiał, obracając się w drewnie podłogi, zamarła i nasłuchiwała. Przełożyła pogrzebacz, żeby nie zapętlić łańcucha, i obróciła sworzeń jeszcze raz. Po kilku obrotach sprawdziła palcami: sworzeń wystawał z podłogi. Pamiętała, że miał jakieś trzy czy cztery cale. Kiedy Cliff go mocował, powiedział: „Tego nie wyciągniesz”. Myliłeś się, Cliff. Ale trochę musi to potrwać.

Kręciła pogrzebaczem i po kilku minutach sworzeń wystawał z podłogi na dwa cale, wciąż jednak mocno się trzymał.

Usłyszała skrzypienie łóżka, a potem ciężkie stąpanie w korytarzu. Szybko wsunęła pogrzebacz pod dywanik i usiadła na fotelu, opierając stopę na sworzniu. Osunęła się na bok i udając, że śpi, spoglądała na drzwi spod zmrużonych powiek.

Zapalił lampę na stoliku i stał, patrząc na nią w milczeniu, ubrany w bokserki i podkoszulek. Pomyślała, że omiata

wzrokiem pomieszczenie niby zwierzę, sprawdzając, czy coś jest nie tak, jak być powinno. Jego spojrzenie zahaczyło o jej białe stopy, ale jakby patrzył gdzie indziej. Pod wieloma względami, pomyślała, upodobił się do swoich psów. Już wcześniej podejrzewała, że ma psi węch i słuch, a także wilczą chytryść. Jednakże przeceniał własną inteligencję i nie doceniał bystrości innych, zwłaszcza kobiet, a już szczególnie jej.

— Obudź się.

Otworzyła oczy i wyprostowała się.

- Wygodnie ci, kochanie? Nie.
- Zsikłaś się już?
- Nie... ale ja muszę...
- Dobrze. Ulżyj sobie.
- Nie.
- Zobaczysz, że tak. Zimno ci? -Tak.

—Zastanawiałem się, czy ci pozwolić pójść do łóżka. — Zadzźwięczał kluczami zawieszonymi na łańcuszku na szyi. — Chciałabyś pójść do łóżka?

Nie, nie, nie. Starła się wyglądać na wdzięczną i uradowaną.

—Tak, dziękuję ci — powiedziała. — Muszę iść do łazienki. Zimno mi, Cliff, i jestem głodna. Poza tym wydaje mi się, że zaraz dostanę miesiączki. Potrzebna mi podpaska. Proszę.

Zastanawiał się przez chwilę, ona również. Jeśli został w nim choć cień współczucia, pomyślała, zlituje się nade mną i pozwoli mi na to, o co prosiłam. Ale gotowa była pójść o zakład, że nie wiedział, co to litość. Chciał tylko, by go błagała.

- No cóż, zastanowię się nad tym — powiedział. — Przyjdę później sprawdzić, jak bardzo jesteś zmarznięta, mokra i głodna.
 - Proszę, Cliff...
 - Pamiętaj. Rano dziesięć razy i głodówka. Ale może uda ci się coś wynegocjować. Pomyśl o tym, czego nigdy nie pozwoliłaś mi zrobić. — Puścił do niej oko i zgasił lampę. Zanim zgasła, Annie zdążyła spojrzeć na zegar.
- Słyszała, jak odchodzi, słyszała spuszczenie wody w toalecie. Słyszała cykanie zegara na kominku. W poprzednie dwie noce nastawiał budzik, żeby dzwonił co dwie godziny, poczynając od pierwszej trzydzieści. Teraz była dwunasta czterdzieści pięć, ma więc czas, chyba że tej nocy ustalił inny schemat. Nie sprawdzi tego. Musi czekać i zdobyć pewność, że znowu usnął.

Odczekała jakieś dwadzieścia minut, potem wydało jej się, że słyszy chrapanie. Osunęła się na podłogę, wyjęła pogrzebacz spod dywanika i wróciła do przerwanej roboty.

Jeden z psów zaszczekał, ale tylko raz, potem wiatr poruszył okiennicą, kłęb sadzy wyleciał z kominka, węgielki zasyczały. Podskakiwała na każdy dźwięk, każdy nawet najmniejszy odgłos wydawany przez dom. Serce biło jej szybko.

Odkręcając sworzeń, wyobrażała sobie, że znowu jest wolna. Nogi ma nadal spętane, ale może chodzić. Wie, gdzie w kuchni leżą klucze do bronco. Musi je tylko złapać, owinąć się w koc, wyjść na taras i zejść schodami na podwórko. Wie też o pułapce, więc musi się zsunąć po poręcz, przejść pod domem do miejsca, gdzie stoi samochód, wsiąść i zapalić silnik. W kilka sekund znajdzie się na piaszczystej drodze. Czy strzelałby do samochodu, gdyby miał taką możliwość? Przypomniała sobie, co opowiadał o zamaskowaniu drogi. Czy bronco z napędem na cztery koła zdoła się przez nią przedrzeć? Żadne z tych pytań nie miałyby znaczenia, gdyby poszła do sypialni z pogrzebaczem i rozwalila mu głowę, a potem ubrała się i zadzwoniła po policję.

Czuła w rękach ciężar metalowego prętu. Sam akt byłby łatwy, łatwiejszy niż ucieczka. Ale jeśli nie potrafiła zabić Cliffa, kiedy stała z nim twarzą w twarz i oboje byli uzbrojeni, czy potrafi go zabić, gdy będzie spał?

Jeszcze pół cala, jeszcze kilka minut i będzie wolna.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

P

rzedarli się przez gąszcz sosen i stanęli na skraju lasu, na tyłach domu.

Keith oparł kuszę o pierś, napiął cięciwę i zahaczył o chwytak. Położył bełt w rowku i ukląkł koło sosny, korzystając z pnia, by nie drżała mu ręka. Spojrzał przez celownik teleskopowy.

Jakieś sześćdziesiąt jardów dalej spacerował w świetle księżyca owczarek niemiecki. Keith zauważył, że pies nie biega wzdłuż drutu, jego swobodę ograniczała długa smycz przywiązana do palika.

Miał nadzieję, że pies zbliży się do niego albo przynajmniej zatrzyma na kilka sekund, ale zwierzę zmieniało miejsce w sposób całkiem przypadkowy. Keith czekał.

Billy skierował lornetkę na dom.

— Tam wszystko w porządku — wyszeptał.

Wreszcie owczarek zamarł w odległości mniej więcej czterdziestu jardów, podniósł głowę, jakby nasłuchiwał. Keith wycelował z nadzieją, że trafi w serce lub płuca. Wypuścił z kuszy bełt.

Nie wiedział, gdzie trafił, ale z pewnością nie w psa, który jednak usłyszał przelatującą koło niego strzałę i wydał z siebie krótkie, niepewne szczeknięcie, po czym znowu zaczął biegać.

Keith naszykował następną strzałę.

— Tam wciąż w porządku — wyszeptał Billy. Keith podniósł się i celowo strzelił niedaleko, bełt uderzył w ziemię jakieś dwadzieścia jardów od niego. Owczarek usłyszał hałas i ruszył w tę stronę, zgodnie z przewidzowaniami Keitha, który już szykował kolejny bełt. Pies zatrzymał się, Keith zwolnił cięciwę.

Nie był pewien, czy trafił w głowę owczarka, ale był pewien, że pies nie żył, zanim upadł na ziemię. Klepnął Billy'ego po ramieniu.

— O jednego mniej. Idziemy.

Poprawił swój M-16 i przerzucił przez ramię kuszę. Billy zarzucił na ramię M-14, w rękę ścisnął strzelbę. Ruszyli z powrotem przez las w stronę, skąd mogli zaatakować pozostałe psy.

Przedarcie się przez gąszcz zabrało im dwadzieścia minut. Przebiegli przez piaszczystą drogę i szli dalej, trzymając się brzegu polany, aż do miejsca, z którego widać było jezioro. Księżyc już się prawie schował za szczytami sosen i woda wyglądała na znacznie ciemniejszą. Zostało im jeszcze tylko kilka minut dobrego światła. Skraj lasu znaczyły pnie sosen, najwyraźniej ściętych w celu powiększenia polany. Keith użył jednego z pni, żeby oprzeć łożo kuszy. Spojrzał przez wizjer i odszukał rottweilera, który siedział jakieś dwadzieścia jardów od niego i patrzył na jezioro.

Billy przyglądał się domowi przez celownik karabinu. Obserwował szklane drzwi prowadzące na taras.

— Dom w porządku — wyszeptał. Przesunął karabin i zobaczył dobermana. — Trzeci pies śpi.

Keith przesunął kuszę, wymierzył w lewy bok rottweilera. Pies podniósł głowę i zawył. Keith zwolnił bełt. Poza brzdęknięciem cięciwy nie towarzyszył temu żaden dźwięk. Sekundę później pies podskoczył, wydał z siebie krótkie, jakby zdziwione pół szczeknięcie, pół ziewnięcie i przetoczył się na bok. Przez kilka sekund pojękiwał cicho, a potem zamilkł.

Keith także przetoczył się na plecy i przyciskając kuszę do piersi, znów naciągnął cięciwę. Billy podał mu następny bełt z kołczanu. Keith ułożył go, potem skoczył na nogi. Ponieważ dwa psy już nie żyły, za zachowanie całkowitej ciszy nie było tak ważne, jak szybkość. Zerknął na tarczę zegarka — pierwsza dwadzieścia osiem.

Wpadł zza sosen i ruszył prosto na dobermana, który leżał na ziemi zwinięty w kłębek, jakieś pięćdziesiąt jardów od niego i chyba spał. Zanim się obudził i zdążył zerwać na równe nogi, Keith był już blisko. Wystrzelił i nie sprawdzając, czy strzał był celny, odrzucił kuszę i ruszył biegiem ku zwierzęciu z nożem w ręce.

Doberman zaskomlał, chciał rzucić się na biegnącego, ale że strzała przebiła mu zad, potknął się. Kiedy odruchowo się odwrócił, by spojrzeć, co się stało z jego bokiem, Keith już wylądował na nim, łamiąc mu kręgosłup. Jednocześnie jedną ręką ścisnął zwierzęciu pysk, a drugą poderżnął gardło.

Spazm przebiegł przez ciało zwierzęcia, z rozciętego gardła popłynęła krew. Po kilku sekundach pies leżał nieżywy.

Keith spojrział na dom oddalony o sto jardów. Teraz już nie było między nim a tym domem nic — żadnych psów, które ostrzegłyby Baxtera, ale też żadnej osłony. Sto jardów otwartej przestrzeni. Było ciemno, ale za kilka minut księżyc schowa się za wierzchołki drzew i będzie jeszcze ciemniej. Wiedział, że powinien poczekać zgodnie z planem. Ale teraz był gotów do walki, czuł przyływ adrenaliny. Nie będzie już bardziej gotów niż w tej chwili.

Billy przesunął się między drzewami, tak by kryć Keitha, ale nie znaleźć się bezpośrednio na linii ognia.

—Cofnij się albo biegnij do przodu — szepnął. — Nie możesz tam stać...

Keith pokazał mu uniesiony kciuk.

—Dobra — powiedział Billy. — Będę cię osłaniał. Powodzenia.

Keith odwrócił się w stronę domu i ruszył biegiem przez nagą polanę.

Nie chciał, by coś mu krępowało ruchy, a że nie potrzebował karabinu, miał przy sobie tylko policyjny rewolwer i nóż myśliwski.

Osiemdziesiąt jardów. Jeszcze dziesięć sekund, a dotrze do schodów prowadzących na taras. Skupił wzrok na ciemnych szklanych drzwiach.

Sześćdziesiąt jardów. Czuł się jak nagi i wiedział, że gdyby Baxter stanął w tym momencie w drzwiach z karabinem wyposażonym w noktowizor, nie musiałby się nawet spieszyć, żeby go zabić, zdążyłby się jeszcze uśmiechnąć i krzyknąć coś nieprzyjemnego. Keith miał nadzieję, że Billy Marlon jest dobrym strzelcem.

Cliffa Baxtera obudził dzwonek budzika. Wstał z łóżka i w sypialni przeszedł do izby dziennej. Zapalił lampę. Pas z bronią przewiesił przez ramię i narzucił na siebie kamizelkę kuloodporną, ale nie miał przy sobie ani kałasznikowa, ani pistoletu.

Annie klęczała na podłodze przed fotelem na biegunach, ze spiętymi stopami za sobą. Pogrzebacz ścisnęła mocno między udami, jego czubek zasłaniał fotel.

•Dlaczego klęczysz w ciemnościach? — zapytał.

•Nie mogłam usnąć w fotelu. Chcę się położyć na podłodze.

— Ach tak? — Ruszył w stronę szklanych drzwi. — Idę obudzić psy.

Wyciągnął pistolet, uchylił drzwi, przez szparę wytknął broń na zewnątrz i wystrzelił. Już miał zamiar drzwi zamknąć, gdy zamarł, nasłuchując. Żaden z psów nie zaszczekał.

Billy Marlon osłaniał Keitha biegnącego przez polanę, obserwując go przez celownik teleskopowy M-14.

Nagle w domu zapaliło się światło i kilka sekund później zobaczył zarys sylwetki na tle drzwi, ale nie był pewny, czy to Baxter. Drzwi jakby się poruszyły, Billy usłyszał strzał, a potem, zanim zdążył nacisnąć spust, postać zniknęła.

Cholera.

W celowniku pojawił się nadal biegnący Keith.

W porządku. W porządku.

A potem, zaledwie kilka kroków od schodów, Keith zmienił kierunek biegu i zniknął mu z pola widzenia.

— Co, u diabła?

Billy Marlon stał jakąś sekundę, zdezorientowany, zły na samego siebie. Czuł się, jakby w jakiś sposób zawiódł Keitha. Nie ma na świe-

cie nic bardziej frustrującego niż nieoddanie strzału w odpowiednim momencie. Opuścił karabin i już bez namysłu ruszył przez otwarte pole w stronę domu.

Trzydzieści jardów. Jeszcze cztery, może pięć sekund. Keith podniósł wzrok i zobaczył, że w domu zapala się światło. Nie zwolnił ani nie zmienił rytmu. Biegł.

Dwadzieścia jardów. Na tle szklanych drzwi pojawiła się postać, drzwi jakby nieco się uchyliły. Keith podjął nagłą decyzję, skręcił w biegu pod taras i zatrzymał się przy jednym z cementowych słupów, na których stał dom. Usłyszał strzał. Światło padające przez szklane drzwi przeświecało lekko przez szpary w deskach tarasu. Keith trzymał rewolwer wymierzony w te deski, czekając na pojawienie się cienia, na jakiś ruch, ale nic nie zobaczył ani nie usłyszał. Sekundę później rozległ się głuchy odgłos zatraskiwanych drzwi.

Keith był prawie pewny, że to Baxter. Przypuszczał też, że Baxter nie zobaczył go ani nie usłyszał, w przeciwnym razie nie zapalałby światła. Po prostu wybrał zły moment, żeby rozruszać psy za pomocą strzału, a psy nie odpowiedziały. I nigdy nie odpowiedzą. Cliff Baxter już wie, że ma towarzystwo.

Cliff Baxter zamknął szklane drzwi i zrobił duży krok w tył, cofając się ku stojakowi na broń. Stał nieporuszony z glockiem Keitha wymierzonym w drzwi. Zerknął w stronę lampy stojącej dwadzieścia stóp od niego na stole. Wolałby, żeby była wyłączona, ale nie chciał się ruszyć. Nasłuchiwał.

Powtarzał sobie, że nikt nie mógłby zabić wszystkich trzech psów, że wcale nie są martwe, że strzał po prostu ich nie obudził. Ale to było niemożliwe. Cholera.

Popatrzył na żonę klęczącą po drugiej stronie pokoju. Ich spojrzenia się spotkały.

Annie nie spuściła wzroku. Na jego twarzy gościł ten sam wyraz, który widziała, kiedy celowała do niego z pistoletu. Miała ochotę uśmiechnąć się, coś powiedzieć, ale czuła, że śmierć czai się gdzieś blisko, a nie wiedziała, czyja to śmierć.

Baxter zdjął z szyi łańcuszek, na którym nosił klucze, i otworzył kłódkę. Wyjął karabin Sako i włączył podczerwony celownik teleskopowy. Odbezpieczył broń.

Keith tkwił nieruchomo przy betonowym słupie, celując z rewolweru w deski tarasu. Za nim stał zaparkowany w otwartym garażu bronco, a nad nim był dom. Keith nasłuchiwał kroków, ale nic nie usłyszał.

Zerknął w stronę, gdzie zostawił Billy'ego Marlona, na skraju polany, w pobliżu martwego dobermana. Księżyc zszedł już poniżej linii wierzchołków drzew i polana pogrążyła się w mroku.

Zastanawiał się, dlaczego Billy nie strzelił, ale był z tego zadowolony. Prawdopodobnie wszystko stało się dla niego zbyt szybko, nie zdążył zareagować, a może myślał, że on przesunął się na linię jego ognia i sam zamierza strzelić. Tak czy owak Baxter został zaalarmowany, Billy był sto jardów dalej, po drugiej stronie polany, a on tuż pod stopami Baxtera. Wolałby być na tarasie, ale za to Baxter z pewnością nie wie, gdzie go szukać. Wystarczy czekać, aż zdecyduje się wyjść, rozwiązać problem.

Usłyszał jakiś hałas i odwrócił się w stronę polany. Po chwili zrozumiał, że coś się tam rusza, potem ujrzał Billy'ego biegnącego pędem ku domowi.

A niech go. Keith był wściekły, że kumpel nie posłuchał rozkazów, ale przecież nigdy nie oczekiwał, że tak się stanie.

Przyglądał się, jak Billy pokonuje pędem otwartą przestrzeń, z karabinem na biodrze, niczym piechociarz atakujący pozycję wroga.

Keith w żaden sposób nie mógł go kryć. Próbował gestami przywołać go w swoją stronę, Billy jednak chyba chciał zaatakować schody na taras. Billy Marlon pragnął dopaść Cliffa Baxtera i dla niego liczyło się tylko to.

Cliff Baxter szybko przeanalizował sytuację. Nie miał pojęcia, kiedy psy zostały uciszone ani kto to zrobił, chociaż miał jednego podejrzanego. Brak psów oznaczał brak wczesnego ostrzegania. Nie miał pojęcia, gdzie Keith Landry może się w tej chwili znajdować. Czuł, jak po czole spływa mu strużka potu. Cholera.

Billy Marlon był o dziesięć stóp od schodów i najwyraźniej nie zamierzał skrócić i dołączyć do Keitha ukrytego pod tarasem. Keith nie miał innego wyjścia, jak tylko podążyć za swym towarzyszem, chociaż nie bardzo wiedział, co zrobią, kiedy już wpadną na taras. Billy pewnie roztrzaska kolbą szklane drzwi i w ten sposób dostaną się do środka.

Kiedy Marlon znalazł się cztery czy pięć stóp od drewnianych stopni, Keith spostrzegł cztery drewniane paliki wetknięte w ziemię tuż przy schodach. Ale było za późno. Noga Billy'ego znikła w miejscu, które wyglądało jak ubita ziemia, ale to tylko jej cienka warstwa przykrywała plastik lub brezent napięty na kółkach.

Keith patrzył. Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie: zdziwienie na twarzy Billy'ego, pod Billym rozstępuje się ziemia, a potem Billy się zapada. Keith oczekiwał, że zniknie całkiem, jak to bywało w Wietnamie, kiedy ludzie wpadali do głębokich jam i nadziewali się na zaostrzone bambusowe kije. Ale Billy zatrzymał się na wysokości kolan, ze stopami uwięzionymi w stożkowatym leju. Keith usłyszał metaliczny trzask, a zaraz po nim zgrzytliwe chrupnięcie i przenikliwy wrzask Billy'ego. Zamarł bez ruchu o kilka kroków od niego. Na górze otworzyły się szklane drzwi.

Baxter usłyszał metaliczny trzask pułapki, a potem krzyk. Uchylił drzwi; chciał, żeby wrzask bólu wypełnił pokój.

—Mam go! Mam go! — zawołał. Człowiek u stóp schodów zwił się w śmiertelnej męce, ale nie wypuszczał z rąk karabinu. Baxter w jednej chwili zorientował się, że to nie Landry.

—Kto to, u diabła? To ty, Marlon? Ty małe ścierwo!

Baxter, wciąż stojąc w pokoju, mierzył w Marlona.

Skrećającemu się w śmiertelnych drgawkach Billy'emu udało się raz wystrzelić z biodra, Baxter wypalił w tym samym momencie. Strzał Billy'ego poszedł zbyt wysoko, kula trafiła w drewno nad głową Bax-tera. Kula Baxtera trafiła dokładnie tam, gdzie miała trafić: w serce Billy'ego Marlona.

Jednocześnie Keith strzelił trzy razy przez drewniane deski w kierunku, gdzie, jak przypuszczał, stał Baxter.

Jeden strzał rozbił szklane drzwi, jeden musnął Baxtera w ramię, a jeden trafił w pierś i powalił go na ziemię.

Annie krzyknęła.

Baxter podniósł się z trudem, nie wypuszczając z rąk broni.

Keith usłyszał, jak Baxter zwała się na deski, wysunął się spod tarasu, złapał za palik poręczy i przeskoczył nad dołem, w którym leżał martwy Billy. Z rewolwerem wycelowanym w drzwi przeskakiwał po trzy stopnie, a ponieważ nie zobaczył nikogo na deskach tarasu, wpadł do pokoju przez otwarte drzwi i przeturlał się za sofę.

Leżał, patrzył i nasłuchiwał, ale nie widział nikogo i nic nie słyszał. Na stoliku po drugiej stronie pokoju stała lampa, wszystkie meble rzucały długie cienie. Sofa zasłaniała mu widok na palenisko, ale mógł dostrzec kamienny komin, sięgający aż do wysoko sklepionego sufitu, a także łeb wilka, który patrzył na niego z odległej o trzydzieści stóp ściany.

Leżał na plecach, nieruchomo, poruszał się tylko rewolwer w jego dłoni. Starał się opanować oddech i na podstawie fragmentu, który widział, wyobrazić sobie całe pomieszczenie. Był prawie pewien, że trafił Baxtera — słyszał ciężki odgłos upadającego ciała. Ale jeśli Baxter miał na sobie kamizelkę kuloodporną, kula po prostu zwała go z nóg i odrzuciła od drzwi. Baxter mógł być ranny, myślał Keith, ale nabój z rewolweru kalibru .38 nie zrobił mu wielkiej krzywdy.

Keith przesunął się trochę w stronę ściany. Jego oczy nieustannie błędziły po pokoju.

Nie wiedział, kto wykona pierwszy ruch, ale ruchów tych nie zostało im zbyt wiele.

Pojawił się mu przed oczami obraz Billy'ego Marlona — Billy w barze „U Johna”, Billy proszący go, by go wziął ze sobą, Billy w samochodzie podczas drogi, Billy siedzący z nim w lesie... Billy zwijający się w agonii. Billy martwy.

Myślał też o Annie. Wiedział, że jest tutaj, gdzieś niedaleko, i wie, że on też tu jest.

Zdecydował się wykonać pierwszy ruch, nie dlatego że kierowała nim wściekłość, ale ponieważ zakładał, że Baxter wie o jego obecności w pokoju, podczas gdy on nie miał żadnej wskazówki co do miejsca, gdzie czyha przeciwnik.

Zaczął się podnosić na kolano, kiedy rozległ się głos od strony kominka:

—On kuca w prawym rogu.

Strzelił dwukrotnie za drewnianą skrzynię w rogu, zanim skończyła mówić. Gdy padał za sofę i przetaczał się w prawo, w stronę ściany, Baxter dwa razy strzelił.

Keith leżał nieruchomo za fotelem.

W czasie tych dwóch sekund, kiedy strzelał, zdążył zobaczyć Annie klęczącą koło kominka. Był pewien, że ona też go widziała.

Nie miał wątpliwości, że przynajmniej jedna z jego kul trafiła Baxtera, ale jeszcze raz uratowała go kamizelka. Broń Keitha — sześćo-strzałowy smith & wesson, model policyjny nr 10, używany przez ludzi Baxtera — nie była w tym momencie najlepsza, zwłaszcza że pozostał mu jeden nabój, a nie mógł ryzykować aż tak, by otworzyć bębenek, wyrzucić łuski i załadować nowe pociski.

Zastanawiał się, czy Baxter używa glocka, który miał siedemnaście naboji i wymienny magazynek. Ale to i tak nie miało znaczenia, ponieważ teraz, gdy Baxter był już pewien, że jego przeciwnikiem jest Landry, zabawa zaraz się skończy.

Jakby czytał w jego myślach.

—Nie strzelaj, Landry! — rozległ się okrzyk. — Stoję za nią. Trzymam jej przy głowie pistolet. Więc po prostu wstań z rękami w górze.

Keith spodziewał się, że to nastąpi, bo znał Baxtera. Ale jego głos nie brzmiał całkiem spokojnie, chociaż sytuacja była dla niego korzystna.

—Najpierw chcę zobaczyć puste dłonie!

Keithowi pozostała już tylko jedna możliwość i to Baxter mu ją stworzył. Mógł udawać martwego. Minęło kilka sekund.

—Ty dupku! — zawołał Baxter. — Chcesz, żeby umarła? Stań jak mąż czynna albo odstrzelę tę jej pieprzoną głowę. Nie baw się ze mną.

Keith usłyszał głos Annie, przzerwany uderzeniem i okrzykiem bólu.

●Nie rób tego, Keith...

●Ty, bohaterze! — zawołał znowu Baxter. — Liczę do pięciu, a potem ona umrze. Jeden!

Nie, Baxter nie ma zamiaru zabić Annie, i to z kilku powodów, a przede wszystkim dlatego, że straciłby żywą tarczę.

— Dwa!

Jeśli wstanie, czeka go powolna śmierć. Przyciskając rewolwer do ciała, by stłumić odgłos, Keith otworzył cylinder i wyjął pięć łusek.

— Trzy!

Po cichu wkładał kolejno naboje do pustych komór.

●Cztery! Przysięgam na Boga, Landry, podnosisz się albo ona już nie żyje.

●Nie! Nie podnoś... - Annie krzyknęła.

Kolejne uderzenie i kolejny okrzyk bólu; jednocześnie Keith szybko zatrzasnął bębenek.

— Pięć! Dobrze, strzelam.

Keith wstrzymał oddech. Pragnął wstać, krzyknąć, strzelić, pozwolić, by Baxter go zabił, zrobić cokolwiek, byle nie trwać w bezczynności. Zapadła długa cisza, wreszcie Baxter odezwał się:

— Ty! Nie żyjesz czy udajesz umarlaka?

Keith odetchnął i uśmiechnął się. *Przyjdź i sprawdź.*

—Ja mogę czekać przez całą pieprzoną noc, Landry!

Ja też.

Keith czekał. Na jedno mógł liczyć: że Annie mu powie, kiedy Baxter ruszy się w jego stronę. Jeniec Baxtera, jego tarcza, był zarazem jego problemem. Ale najwyraźniej Baxter też to wymyślił, bo nagle lampka zgasła i pokój pogrążył się w całkowitych ciemnościach.

Panowała taka cisza, że Keith słyszał tykanie zegara na kominku oddalonym o parę stóp. Nagle usłyszał także głos Baxtera:

— Jeden z nas ma celownik noktowizyjny, a drugi nie. Zgadnij, który może widzieć w ciemnościach?

Skrzypnęła podłoga, potem znowu, tym razem bliżej, i znowu zapadła cisza.

Keith wyobraził sobie Baxtera, jak stoi pośrodku pokoju i obserwuje uważnie podłogę, ściany, meble. Gra była prawie skończona i miał tylko dwie możliwości: wstać i strzelać na ślepo albo nadal udawać martwego.

Przesunął prawą dłoń z rewolwerem pod pośladki, jakby upadł, przygniatając sobie ramię. Lewą, w której trzymał nóż, przeciął sobie skórę, a potem rozsmarował krew po twarzy i wokół lewego oka. Wsunął nóż do kieszeni i leżał, wpatrując się otwartymi oczyma w niewidoczny sufit ponad sobą.

Baxter był już bardzo blisko, po drugiej stronie sofy.

— No... — powiedział — więc jednak nie udawałeś.

Keith nie mógł widzieć, ale czuł nad sobą obecność przeciwnika, wiedział, że Baxter stoi jakieś trzy kroki od niego, a z tej odległości obraz w podczerwieni jest zamazany, trudno dostrzec oznaki życia. Mimo wszystko wstrzymał oddech i nie mrugał. Ale nie mógł zapobiec formowaniu się kropli potu na górnej wardze. Czuł niemal, jak oko noktowizora jeździ po jego twarzy, czuł karabin wymierzony w szyję. Gdzieś z drugiej strony pokoju doszło go łkanie Annie.

— Ty, Landry! — powiedział Baxter. — Udajesz?

Keith wiedział, że musi trafić w głowę, a to w ciemności było niemożliwe. Mógł liczyć jedynie na to, że pocisk przewróci Baxtera, a wtedy on zaatakuje nożem.

— Mam nadzieję, że nie jesteś martwy, głupku. To byłoby za łatwe.

Keith pojął, że teraz Baxter strzeli mu w nogę albo w krocze. Czas na jego ruch. Wyciągnął spod siebie rewolwer i wystrzelił trzy razy w górę, skąd dochodził głos Baxtera, przetoczył się, wystrzelił jeszcze trzy razy i zamarł oparty o ścianę w pobliżu potłuczonych szklanych drzwi. Wpatrywał się w ciemność i czekał.

Nie usłyszał okrzyku bólu ani uderzenia kul o kamizelkę, ani osuwania się ciała. Zrozumiał, że Baxter po ostatnich słowach przesunął się albo przykucnął. Baxter wykonał sprytny manewr. Keith wykonał zgubny manewr. Dobiegł go głos policjanta — z innego miejsca:

— Zegnaj, frajerze...

Jednak zamiast strzału z karabinu Baxtera usłyszał jakiś tępy odgłos. Nie miał pojęcia, co to mogło być, ale oznaczało, że nie jest martwy, skoczył więc na równe nogi i rzucił się ku sofie z nożem w ręku. Trafił w mebel i pchnął nożem, gdy nagle coś podcięło mu nogi i grzmotnął na podłogę.

W ciemnym pokoju panowała cisza, potem usłyszał jęk i wreszcie zapaliła się lampa stojąca koło sofy.

Minęła chwila, zanim jego oczy przyzwyczaiły się do światła, ale nawet wtedy nie bardzo pojmował, co się stało.

Baxter klęczał przed nim na sofie, skrzyżowana w bok głowa i ramiona zwisały. Miał na sobie grubą, szarą nylonową kamizelkę. Z jego lewego ramienia, tam gdzie pewnie trafiła kula, płynęła krew. Keith spojrział w oczy Baxtera wlepione w niego, a potem, na swoje stopy i zobaczył karabin z celownikiem noktowizyjnym leżący na podłodze. Zrozumiał, że to właśnie upadający karabin uderzył go w nogi. Ale wiedział, że nie trafił Baxtera nożem, a jednak z ust policjanta płynęła krew.

Zdał sobie sprawę, że naprzeciw, trochę na lewo, stoi Annie. Spojrział na nią. Była naga, sztywno wyprostowana, odległa, jakby znajdowała się o miliony mil stąd. Prawą rękę jeszcze trzymała na włączniku lampy, w lewej ścisnęła pogrzebacz. Nie patrzyła na niego, tylko na tył głowy Cliffa Baxtera.

Baxter jęknął, głowa opadła mu na bok, krew nadal płynęła z ust.

Keith znowu spojrział na Annie. Nie powiedział nic ani się nie ruszył, tylko patrzył na nią, aż wreszcie odwróciła się ku niemu.

Między nimi stała sofa, ale wyciągnął ramiona ponad Baxterem, pokazując jej, żeby mu oddała pogrzebacz. Teraz dopiero zauważył żelazny łańcuch między kostkami jej nóg. Raz jeszcze wyciągnął ręce po pogrzebacz, ale przecząco pokręciła głową.

Cliff Baxter jęknął znowu. Keith powiedział do niego, ale dla Annie:

— To ty do tego doprowadziłeś. Wiesz o tym.

Baxter podniósł głowę i, jeszcze przytomny, spojrział na Keitha.

— Pierdol się... — mruknął. Spróbował wstać, obrócił się, jakby szukając czegoś w pokoju. — Annie, Annie, ja...

Zamachnęła się z całych sił pogrzebaczem i uderzyła w czubek głowy męża; opadł z powrotem na kanapę.

Keith usłyszał trzask pękającej czaszki i zobaczył, jak krew chlusta Baxterowi z nosa. Pomyślał, że wie lepiej niż ktokolwiek inny, co ona robi i dlaczego.

Annie upuściła pogrzebacz na podłogę i spojrzała na Keitha.

•W porządku... — powiedział. — Już dobrze. — I nadal przemawiając do niej spokojnie, obszedł naokoło sofę.

Zrobiła niepewny krok ku niemu, potem jeszcze jeden, nieco większy, ale łańcuch okazał się zbyt krótki i potknęła

się. Złapał ją za ramię i poprowadził łagodnie na krzesło. Zdjął z siebie koszulę, zarzucił jej na ramiona i przyłożył dłoń do jej policzka.

•Już w porządku.

Podszedł do pogrzebacza i podniósł go. Skoczył do sofy i z całych sił wymierzył cios w już zmiażdżoną głowę Baxtera. Jego umysł zarejestrował, że mąż Annie jest w bieliźnie, ma jasną skórę i puściły mu zwieracze.

Rzucił pogrzebacza na podłogę i odwrócił się do Annie.

— Zabiłem go — rzekł cicho.

Nie odpowiedziała, więc powtórzył:

— Annie, zabiłem go. On nie żyje. Już po wszystkim.

Patrzyła na niego, a on klęczał przed nią, trzymając ją za dłonie. Były zimne i wilgotne.

— Już wszystko w porządku — mówił. — Nic ci nie grozi. Zaraz wracam do Spencerville.

Skinęła głową, łzy płynęły jej po policzkach.

— Dziękuję.

To nie jest odpowiednia chwila, pomyślał Keith, żebym ja dziękował jej za uratowanie życia. Niech zapamięta inny obraz tej sytuacji.

•Czy jesteś ranna? — Masował jej dłonie.

•Nie. — Dotknęła jego twarzy, na której pozostały jeszcze ślady roz-smarowanej krwi. — Ty jesteś ranny.

•Nic mi nie jest. — Teraz zauważył siniaki na jej ciele. Wzrok miała przytomny, chociaż skórę zimną, wręcz niebieskawą. Kiedy trzymał jej dłonie, czuł szybki, ale regularny puls. — Tobie też nic nie jest. Jesteś dzielna.

•On ma klucze na szyi. Daj mi je. — Zadzźwięczała łańcuchami. — Chcę to zdjąć.

Podniósł się, obszedł zwłoki Baxtera i ściągnął z jego zakrwawionej szyi łańcuch. Znowu przyklęknął przed Annie i spróbował po kolei kilku kluczy. Zauważył, że do łańcucha przypięta jest kłódka, a do niej szakla.

— Jak ci się to udało?

•Odkreśliłam pogrzebaczem.

Uwolnił jej stopy i rozmasował je.

•Dobrze? -Tak.

•Ubierzemy cię i zabieramy się stąd.

Najwyraźniej nie chciała się ruszyć, ale kiedy jej wzrok padł na martwego Cliffa Baxtera, powiedziała:

— Tak, chcę, żebyś mnie stąd zabrał. Pomóż mi się podnieść.

Wstał i pomógł jej się podnieść, przeprowadził ją koło nieruchomego ciała. Szedł, obejmując ją ramionami. Zatrzymała się i odsunęła od niego.

•Dam sobie radę sama. Poczekaj tutaj. Ubiorę się w kilka minut.

•Dobrze.

Zawahała się przez moment, potem spojrzała na niego i zapytała:

•Tam ktoś jeszcze był, prawda?

•Owszem. Billy Marlon.

•Nie żyje? -Tak.

•Przepraszam.

•To nie twoja wina.

Spojrzała jeszcze na Cliffa, potem znów na niego.

—To ja go zabiłam.

Milczała.

Ujęła jego twarz w dłonie i długo patrzyła mu w oczy.

•Wiedziałam, że przyjdiesz — szepnęła.

•Przecież ci przyrzekłem.

•No cóż... mam nadzieję, że uważasz, że było warto.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

C

iężarówka Billy'ego Marlona jechała na południe drogą 127. Zanim Keith i Annie dotarli do granicy Ohio, niebo nad świętymi mrozem polami i łąkami pojaśniało.

- Dlaczego nie próbujesz trochę się przespać? — zapytał Keith, zerkając na Annie.
- Chcę na ciebie patrzeć.
- Zdarzało mi się wyglądać lepiej. — Uśmiechnął się.
- Wyglądasz całkiem nieźle.
- Ty też.

Prawdę mówiąc, oboje nie byli w najlepszej formie, ale Annie umalowała się nieco, włożyła biały wełniany golf i dzinsy. Obmyła i opatrzyła jego ranę od noża, ale nie chcieli zostawać w chacie nawet chwili dłużej niż potrzeba. Ona nie zwracała sobie głowy zabieraniem rzeczy, a Keith zostawił broni. Zawarli rodzaj milczącej umowy, że nie chcą mieć nic wspólnego z niczym, co znalazło się w tym straszliwym miejscu.

- Zanim przyjechałem tutaj — powiedział — włamałem się do twojego domu, szukając wskazówek. Chcę, żebyś o tym wiedziała.
- W porządku. — Uśmiechnęła się znowu. — Prawdziwy z ciebie dżentelmen. Czy było wysprzątane?
- Bardzo miłutko. Nadal straszliwy czyścioch z ciebie.
— Ale siedzi we mnie prosię, które usiłuje się wyrwać na swobodę.
—To dobrze.

Położyła dłoń na jego ręce i nie puszczała, nawet kiedy zmieniał biegi. Przypomnił sobie, że kiedy chodzili jeszcze do szkoły średniej, a on nie mógł korzystać z rodzinnego samochodu i przyjeżdżał po nią pół-ciężarówką z prawdziwą skrzynią biegów, też zawsze trzymała go za dłoń opartą o drążek.

- Będzie piękny dzień — powiedział.
- Tak. Chcę zobaczyć wschód słońca. Właśnie ten wschód słońca.
—Tak. — Milczał chwilę. — Billy Marlon mi mówił, że zawsze byłaś dla niego miła.
Nie odpowiedziała.
—Chciał zrobić to, co zrobił — ciągnął Keith. — Miał swoje rachunki do wyrównania.
—Wiem o jego żonie.
Keith skinął głową.
- Zawsze myślałam, że któregoś dnia wszystkie złe uczynki Cliffa zemszczą się na nim. — Zamyśliła się na moment.
— On sam ściągnął to na siebie.

- Tak zazwyczaj bywa.
•Czy zabiłbyś go? — zapytała nagle. — Gdybym ja nie musiała go zabić w samoobronie?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.
•Myślę, że nie. Tak jest w porządku. Jesteś dobrym człowiekiem. Złożyłeś mi obietnicę. Ja nikomu tego nie obiecywałam.
•Zatrzymamy się kawałek dalej — zmienił temat — tuż przed zjazdem na międzystanową. Postawię ci śniadanie. I muszę się z kimś spotkać.

•Z tym człowiekiem, do którego dzwoniłeś z chaty? -Tak.

•To twój przyjaciel z Waszyngtonu? -Tak.

Milczała do chwili, gdy kilka minut później Keith zjechał na parking.

—Zostanę tu — zaproponowała.

—Nie, chcę, żebyś poznała Charliego, a poza tym musisz zadzwonić do swojej siostry.

Wysiedli i weszli do knajpki.

Charlie Adair siedział przy oknie, miał na sobie tweedowy garnitur. Tak ubrany gość jeszcze nigdy nie odwiedził tego miejsca. Pił kawę, palił i czytał gazetę. Kiedy zbliżyli się do niego, wstał z uśmiechem.

- Dzień dobry. — Keith i Charlie uścisnęli sobie dłonie.
- Charlie, chciałbym, żebyś poznał Annie Baxter.
- Cieszę się, że udało się pani przyjechać. — Adair ujął jej dłoń.
- Dziękuję, ja też się cieszę.

Usiedli, Charlie zamówił jeszcze dwie kawy.
—To wspaniałe miejsce — rzekł. — Wszyscy tutaj palą. Czy prze-
szkadza pani, że palę?

Potrząsnęła przecząco głową. Charlie wyciągnął kolejnego papierosa.

- Keith i ja — powiedział — posprzeczaaliśmy się nieco przed jego wypadem do Michigan, więc chcieliśmy się teraz pogodzić.
- A pan chciał rzucić na mnie okiem.
- Oczywiście. Jest pani bardzo piękna.
- Jestem, istotnie, ale nie w tej chwili.
 - Myślę, że to rzeczywiście prawda. — Charlie uśmiechnął się. — A ponieważ nie zamierzam zabierać Keitha, mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.
- Dobrze.
- Nie wierz w ani jedno jego słowo — wtrąci! się Keith.
- Do tego już sama doszłam.
Charlie uśmiechnął się znowu. Przyniesiono im kawę.
 - Jest coś, w co może pani uwierzyć, Keith Landry to najlepszy, naj-waleczniejszy i najszczerzy człowiek, jakiego w życiu spotkałem.
- Wiem o tym.
 - Myślę, że wystarczy tego — powiedział Keith, po czym zwrócił się do Charliego: — Ta kobieta uratowała mi życie.
Jego przyjaciel skinął głową.
- Masz u niej dług.
 - Prawdę powiedziawszy, to Keith ryzykował życie, żeby mnie uratować — wtrąciła Annie.
- Dość — poprosił Keith.
 - Czy Wuj Sam może wam postawić śniadanie? Jeśli rachunek będzie poniżej dziesięciu dolarów, nie traktuj tego jako zobowiązania.
Oboje pokręcili przecząco głowami.
- Potrzebujecie pieniędzy? — dopytywał się Charlie.
- Nie, mamy dość — odparł Keith.
 - A więc znacie się od dziecka. To wspaniale. Kto lepiej radził sobie w szkole?
- Ja — odparła Annie. — On zanadto się rozpraszał.
 - Ale potrafi mówić po rosyjsku. Wiedziała pani o tym? — Charlie wręcz promieniał.
—Jakoś nigdy nie wypłynęło to w rozmowie i pewnie nigdy nie wypłynie.
Charlie zachichotał. Pili kawę.
 - Wiem, że macie za sobą bardzo męczące doświadczenie i bardzo sobie cenię, że zatrzymaliście się, żeby uciąć ze mną małą pogawędkę.
 - Jestem pewna, że gdy pójde zadzwońić do siostry, poczujecie się zwolnieni od rozmowy o niczym.
 - Miałem zwyczaj spotykać się z nim, kiedy skądś wracał. — Charlie spojrział na nią. — Zwykle w małych przygranicznych knajpkach. To spotkanie przypomina mi stare czasy. Wypijaliśmy kawę lub drinka, wymienialiśmy uwagi na temat najnowszych wydarzeń sportowych, nigdy nie rozmawialiśmy o tym, gdzie był ani co robił. To zostawialiśmy na później. Ale tym razem, skoro pewnie nie zobacze go przez jakiś czas...
- Annie wstała.
—Pójde zatelefonować.
Keith i Charlie podnieśli się, kiedy odchodziła. Wszyscy kierowcy w knajpie spoglądali za nią.
—Świetna kobieta — rzekł Charlie. — Dobra prezencja, dobra twarz, dobra figura. Tylko źle dobiera sobie mężczyzn.
- Najwyraźniej.
- Wciąż zakochany? -Tak.
- Niewygodny mąż, jak przypuszczam, zniknął z horyzontu.
- Definitywnie.
- Potrzebujesz ekipy sprzątaczy?
- Tak. On został w chacie. Billy Marlon na zewnątrz. Charlie skinął głową.
Keith wytłumaczył mu, jak dojechać na miejsce.
 - Chcę, żeby wszystko, co należy do niej, zostało stamtąd zabrane. Możesz nawet uznać, że należy spalić ten dom. Pozostawiam to tobie. Potem ktoś może wykonać anonimowy telefon do miejscowej policji. Niech oni się tym zajmą.
 - Załatwione. — Charlie jeszcze raz skinął głową. — Co z ciałem Marlona?
 - Znajdźcie jego najbliższą rodzinę w Spencerville. Są jeszcze jego dzieci i była żona w Fort Wayne, i druga była

żona w Columbus. Chciałbym, żeby miał pogrzeb wojskowy z honorami w Spencerville.

- W porządku. Jak się czujesz, dobrze czy źle?
- Trochę tak, trochę tak.
- Naprawdę uratowała ci życie?
- Rozwaliła mu głowę pogrzebaczem.
 - No, no. Poza tym, że próbował cię zabić, chyba sobie na to już wcześniej zasłużył.
- Bardziej, niż myślisz.
- A jak ona?
- Dobrze.
 - Później będzie trochę gorzej, kiedy wszystko do niej dotrze. Chodzi o dzieciaki i w ogóle.
 - Będzie w porządku. Ale nikt więcej nie może się dowiedzieć, co się tam wydarzyło.
- Nikt się nie dowie.
- Dzięki.
 - A więc zrobiłeś to dla siebie. — Charlie uśmiechnął się. — Ale to ja muszę posprzątać.
- W tym właśnie jesteś dobry.
- Czy to z mojej strony bezinteresowna przysługa?
- Jasne.
 - Nie dostanę nic w zamian? -Nie.
 - Wrócisz? — zapytał Charlie. -Nie.
 - To ostateczna decyzja?
 - Tak.
- Dobrze. Może ja wezmę tę robotę.
- Będzie ci odpowiadała.

Wróciła Annie. Mężczyźni znowu wstali.
- Możemy jechać — zwrócił się Keith do Annie.
 - Zgoda. — Wyciągnęła rękę do Charliego. — Bardzo się cieszę, że się poznaliśmy. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.
- Na pewno. Zapraszam was do Waszyngtonu.
 - To miło z pańskiej strony.
 - Charlie ujął dłoń Keitha.
 - Powodzenia, przyjacielu. Spotkamy się w szczęśliwszych okolicznościach.
- Na pewno.

Kiedy wyjeżdżali z podjazdu na autostradę, Keith zapytał:
- Rozmawiałaś z Terry?
- Tak. Ulżyło jej. Prosiła, żeby ci podziękować.
- Powiedziałaś o nim?
- Tak — odparła. — Niech spoczywa w spokoju. Keith pominął to milczeniem.

Kierowali się na południe, w stronę Spencerville.
- Charlie to niezwykle uroczy mężczyzna.
- Tak, bardzo.
- Był twoim szefem?
- Owszem, ale nigdy nie traktował tego specjalnie poważnie.
- Chcesz tam wracać? - zapytała po chwili. -Nie.
 - Dlaczego nie? Założę się, że to bardzo światowe życie i niezwykle ekscytujące. Co zamierzasz robić przez resztę życia?
- Uprawiać kukurydzę.
- Keith... czy wiesz, co się stało z twoim domem? -Tak.
- Przykro mi.
 - Trudno, Annie. Ziemia jest tam nadal, a zanim stanął ten dom, na tym samym miejscu były dwa inne. Ja zbuduję czwarty. Ale na razie zabieram cię do Rzymu i zobaczymy Koloseum nocą. Razem.
- Witaj w domu, Keith — szepnęłaL